Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

ZNASZLI TEN KRAJ?...

I INNE WSPOMNIENIA

Copyright by **Tower Press**

Wydawnictwo „Tower Press ”
Gdańsk 2001

ZNASZLI TEN KRAJ?...
CYGANERIA KRAKOWSKA

PRAWY BRZEG WISŁY

Kiedy z okazji przedmowy do nowego wydania *Słówek* i ćwierćwiecza „Zielonego Balonika" zamyśliłem się nad dawnym Krakowem, uczułem, że temu miastu należałaby się osobna monografia. Bo Kraków, taki jakim go splot warunków uczynił, to było najoryginalniejsze miasto pod słońcem, z pewnością unikat na kuli ziemskiej wszechczasów. Już pod względem geograficznym położenie jego było osobliwe. Wciśnięty w sam kąt Galicji, odcięty granicą od całego niemal Krakowskiego, które mieściło się w zaborze rosyjskim, odcięty drugą granicą od przemysłowego zagłębia na Śląsku, wydziedziczony ze swej stołeczności – bodaj galicyjskiej – przez Lwów, wgnieciony w plan twierdzy austriackiej z zatamowaniem ruchu budowlanego przedmieść, Kraków podcięte miał wszystkie możliwości materialnego rozwoju. Był co się zowie małym miastem. W epoce gdy chodziłem do szkoły, uczyłem się w s t a t y s t y c e Austrii, że Kraków ma 56 tysięcy mieszkańców. Z początkiem wieku XIX miał ich podobno ośm... Oto losy dawnej stolicy Jagiellonów. Mimo to nigdy Kraków nie abdykował ze swej stołecznej roli; przeciwnie, wytworzone przez niewolę warunki bytu oblekły go w insygnia nowej królewskości; dane mu było aż do lepszych czasów przechowywać pewne wartości duchowe, zdławione w innych dzielnicach.

Wszystko to razem robiło z Krakowa osobliwy stwór. Można by zaryzykować jedno porównanie. Jak wiadomo, Paryż rozkłada się na dwóch brzegach Sekwany, przy czym terminy *rive gauche, rive droite* budzą pewne pojęciowe i wzrokowe kompleksy. Otóż Kraków, tak geograficznie, jak metaforycznie, był cały – lewym brzegiem. Były tam – niby w Faubourg Saint-Germain – stare arystokratyczne pałace. Snuły się po nim – jak w okolicach Saint-Sulpice – kwefy, sutanny i czarne kapelusze. Były poważne mury Akademii, birety i togi; roje młodzieży wysypywały się z uniwersyteckich gmachów. Była i dzielnica artystów, gdzie kwitły sztuki piękne i gdzie, w zaciszach pracowni, uzbrojone w węgiel młode dłonie kopiowały, częściej co prawda gipsowe niż żywe modelki. Były i wąskie uliczki, ciche, cichutkie; i malownicze zakątki, i stare kościoły – to był lewy brzeg, wcale imponujący: nie powstydziłaby się go żadna stolica. Ale na tym był koniec: gdy na prawym brzegu Sekwany huczy cały nowoczesny, bogaty, ludny, rojny, modny Paryż, na prawym brzegu Wisły były tylko – Dębniki.

Ale co tu wspominać Paryż. Ot, taki Lwów to był szczęściarz! Austria zrobiła go, licho wie za jakie zasługi, stolicą: był siedzibą Sejmu, Wydziału Krajowego, Namiestnictwa, co za tym idzie, skupiał tysiące interesów. Położony w ogromnej połaci kraju, która stanowiła jego dopływ naturalny, w żyznej ziemi podolskiej, miał w dodatku w pobliżu na okrasę – naftę! Toteż Lwów (w porównaniu z Krakowem i na miarę zabiedzonej przez Austrię Galicji) kipiał życiem; banki i banczki wyrastały i pękały jak bańki mydlane, handel ze Wschodem, interesy, interesiki, humor, rozmach, wesołość. Lwów odznaczał się przy tym szczęśliwym połączeniem krwi: polskiej, r u s i ń s k i e j (jak wówczas się mówiło), ormiańskiej; śliczne i chętne życiu kobiety, śpiewność, muzykalność, ogień w żyłach. (Trzy czwarte śpiewaków i śpiewaczek dawał Polsce Lwów.) Toteż Lwów patrzył z politowaniem na cichy i ubożuchny Kraków, gdy Kraków, z wyżyn swych kulturalnych świetności, patrzył na Lwów niby podupadły wielki pan na dorobkiewicza. Ale

faktem jest, że we Lwowie był inny klimat.

Klimat... Pisząc o Krakowie w *Synach ziemi*, Przybyszewski maluje Wisłę, jak płynie leniwo, powoli, i zieje zarazą malarii na miasto. Czy ta przenośnia miała jakiś realny podkład lekarski? To pewne, że w Krakowie był jakiś organiczny smutek, jakaś, można by rzec, infekcja smutku. Czy tu działały czynniki psychiczne, czy warunki materialne, czy w istocie jest coś w klimacie?

To przytłumione życie, bez niespodzianek, bez ryzyka i bez możliwości, wycisnęło na Krakowie swoje piętno. To nie było miasto miłosne, jak Lwów. Gdy we Lwowie nawet stracenie mordercy opiewano skoczną piosenką „Widzisz, Lewicki, co miłość może – w zimnej mogile kochanki trup" (na nutę: *Ach, ta trójka*), Kraków był niemy, nie śpiewał; co najwyżej pijany murarz, wracając z szynku, darł się fałszywie:

Idzie murarz, idzie,
walca wygwizduje,
a wesz po kołnirzu,
a wesz po kołnirzu – marsia śpaciruje...

Piszę to, aby podkreślić dziwaczność narodzin piosenki w „Zielonym Baloniku". Ten wybuch wesołości, który poszedł na całą Polskę właśnie z tego Krakowa, był niewątpliwie paradoksem; otóż życie Krakowa składało się z samych takich paradoksów.

Było smutne. Ta sfera, która wówczas nadawała mu ton – arystokracja, w ubożuchnym Krakowie będąca zarazem jedyną plutokracją – żyła dość eksterytorialnie, w swoich pałacach, w klubie, za granicą wreszcie. Mieszczaństwo trzymało się w stylu biedermaier, dość świętoszkowatym. Jeżeli była tak zwana „rozpusta", to nie szumna, robiąca ruch, dająca żyć setkom ludzi, ale wstydliwa, pokątna, brzydka. I tutaj niszcząco działała na Kraków bliskość Wiednia. Flaszki wina nie wypił taki łyk *loco*, ale jechał na nią pod jakimś szanownym pozorem do „Widnia". Oczywiście, ta abstynencja fatalnie działała na życie miejscowe. Nie da się opisać, na jak niskim poziomie stał krakowski „półświatek". I dziewczęta wysypujące się z „cygarfabryki" niewiele doprawdy miały z Carmeny, żarła je bieda i blednica, brak zalotności był uderzający. Może znów ten brak zalotności dziewcząt był jedną z przyczyn biedy Krakowa: nie dawały owej podniety, która każe mężczyźnie zdobyć pieniądz czy wydźwignąć się ponad swój stan za wszelką cenę. Jeżeli tak było, źle spełniały swoje przeznaczenie kobiece, którym jest wywoływać ruch wstępujący klas oraz ożywiać obrót pieniądza. Toż samo ładne, a bezposażne dziewczęta ze sfer mieszczańskich z rezygnacją poddawały się staropanieństwu, którego panna z „dobrego domu" nie mogła wypełnić nawet pracą zarobkową. Ach, te tragiczne pary – matka z córką – obchodzące przez całe lata plantacje, coraz starsze, coraz kwaśniejsze!

W dzień jeszcze Kraków miał jakieś pozory życia, nie bardzo zharmonizowanego zresztą z jego murami; za to w nocy mury brały władztwo nad człowiekiem. Z uderzeniem dziesiątej krakowianin, oszczędny z musu, chronił się do domu przed godziną tradycyjnej szpery, oszczędzając na stróżu niemniej tradycyjną szóstkę. Zdąży, nie zdąży... Zdążył: zdyszany dopadł bramy, zanim niechętnie spoglądający na ten wyścig stróż zdołał ją zamknąć, i za chwilę już wydzwaniały ową dziesiątą cztery wieżowe zegary, otrębywał ją hejnał mariacki na cztery strony maleńkiego świata. Na opustoszałej ulicy zostawał jedynie policjant i ta samotna „kokotka", której – jak opiewała jedna z piosenek *Szopki krakowskiej* – nie pozostawało nic, jak rozkochać się w romantycznym pięknie tego miasta umarłych. Ale niebawem wsiąkała w mury i ona, wyłaniał się stróż nocny z halabardą, można było mniemać, że się jest, het, w wiekach średnich.

Bo zważmy, że stosunek Krakowa do swoich murów był zgoła odmienny niż w innym nowoczesnym mieście. Wszędzie odbywa się w ciągu lat walka między kamieniem a człowiekiem, życiem a przeszłością. Miasto wykipia niejako z garnka swoich murów, rozlewa się szeroko, tworzy sobie nowe dzielnice, zostawia zabytki na boku. Kraków do bardzo późna cały niemal zamknięty był w przestrzeni dawnych murów, których pamiątką została brama Floriańska wraz z Rondlem, wskazówką topograficzną plantacje, a które wypełniała siatka starożytnych ulic z węzłami kościołów. W Krakowie człowiek – w znaczeniu życia materialnego – był za słaby, życie za wątłe, mury raz po raz zwyciężały.

Nie bez walki: och, nie. Ta stolica dziwnego nabożeństwa miała w sobie szczególną żywotność. Nigdy, nawet w najcięższych opresjach, nie zgodziła się zostać po prostu małym miastem, tak jak dziś za nic nie godzi się zostać prowincją, wasalką Warszawy. Raz po raz stwarzała sobie formy, czasem dziwaczne, w których manifestowała swoją odrębność, udzielność. Ale walka z murami była trudna.

Nic w tym mieście nie było takie jak gdzie indziej. Pory roku znaczyły się tam obrzędami. Groby, nabożeństwa majowe, Boże Ciało, lajkonik, wianki, pasterka, w ogóle wszelkie uroczystości odgrywały w życiu Krakowa nieproporcjonalnie dużą rolę. Rozwijał się zmysł dekoracyjny. Po rezurekcji, we wszystkich salonach rozmawiało się o tym, jak prześlicznie wyglądał biskup Dunajewski z infułą na srebrnych włosach. Mówiło się o nim, jak gdzie indziej o aktorce. Osobliwym zbiegiem spotęgowała jeszcze tę naturalną skłonność sytuacja polityczna Krakowa, czyniąc zeń uprzywilejowane miasto narodowych obchodów, przedsionkiem do Skałki i Wawelu.

Przebierano się też przy lada sposobności. Jeszcze w dzieciństwie pamiętam paru ludzi, którzy chodzili stale w kontuszu, przy szabli; inni w czamarach. Mieszczanie kładli insygnia cechów lub króla kurkowego, profesorowie togi, sokoli swoje dolmany i pentelki, ludowcy sukmany; wciąż coś święcili, grzebali, witali... To doktorat *sub auspiciis Imperatoris*, to Trzeci Maj, to pogrzeb Mickiewicza, to przyjazd arcyksięcia. Tarnowskiemu przez trzy lata przedłużano rektorat, bo były w programie jakieś obchody, a nikt tak twarzowo nie wyglądał w todze. Kiedy Szkołę Sztuk Pięknych przemieniano w Akademię, pierwsza rzecz, która się nasunęła, to były togi i gronostaje. Zapewne, wszędzie są jakieś obchody, ale rozpuszczają się w strumieniu żywego życia, tutaj miasto żyło nimi jak narkotykiem. W ogóle nigdzie tyle co w Krakowie nie żyło się wyobraźnią, a tak mało realnie. Życie było marzeniem, gapieniem się, jeżdżeniem przez imaginację na wszystkie koronacje.

I stosunek do przyrody był odrębny. Słońce czuło się tam nieswojo, budziło smutek. Oświetlało niedyskretnie nędzę życia, twarze kobiet zabiedzone i wyblakłe, niemodną, nicowaną i cerowaną odzież. Za to księżyc był jak u siebie w domu, cudownie harmonizował z pejzażem wąskich ulic i zaułków, miał jakieś powinowactwo z ludźmi. Kraków to było lunatyczne miasto. Nigdy poza Krakowem nie pamiętam, abym się interesował księżycem; w Krakowie pełnia nie dawała mi spokoju, wypędzała mnie z domu. Nigdy nie słyszałem o lunatykach, w Krakowie opowiadano o nich raz po raz.

Noc w Krakowie miała swoje widmo. Był nim malarz religijny, Franciszek Krudowski, tajemniczy człowiek, odludek niewidzialny w dzień. Za to w nocy, jakąkolwiek ulicą, o którejkolwiek godzinie się przechodziło, wyrastała nagle z mroku wysoka postać Krudowskiego. Doprawdy, można było podejrzewać, czy on nie ma daru rozszczepiania się (czemu nie?) i czy nie pojawia się na raz w kilku miejscach.

To był ten dawny Kraków mego dzieciństwa. Kraków mojej młodości już był inny. Z murów tych, jak czarami, zaczęły puszczać nowe pędy. Z salonów i zakrystii życie wymknęło się na ulicę, zaczęło szumieć po kawiarniach. Młodzież, której przedtem w Krakowie się nie czuło,

wyroiła się pelerynami. Na lewym brzegu Wisły wykwitło nowe dla Krakowa zjawisko – cyganeria. I gdybyż jedna! Niemal równocześnie oglądał Kraków cyganerię malarską, cyganerię Pawlikowskiego, cyganerię Zapolskiej, cyganerię Przybyszewskiego, cyganerię bronowicką, ba, można by powiedzieć, cyganerię Lutosławskiego i Daszyńskiego, nie licząc cyganerii studenckiej, wzmożonej młodzieżą chroniącą się raz po raz zza kordonu i falangą młodych dziewcząt, pierwszy raz dopuszczonych do studiów uniwersyteckich. To była jedna z najenergiczniejszych, odmładzających „kuracji Steinacha", jakie kiedy widziano.

Wszystko to się przewaliło. „Zielony Balonik" był „kropką nad i" tej przemiany starego Krakowa. Radosnym uświadomieniem. Podłożeniem wszystkich tych zdarzeń pod muzykę piosenki. Szturmem do księżyca. Życie brane w pigułkach. Co parę tygodni jedna noc. Kilka godzin cudownej złudy, że ta igraszka zbratanych z sobą Sztuk jest pianką płynącą po szerokiej rzece, że ten szampan, który się perli w kubkach, jest normalnym napojem przyzwoitego człowieka, że tam za ścianą śpi wielkie miasto, które zbudzi się rano pełnią życia... I w istocie, kiedy się człowiek rozejrzał po sali, można było mieć złudzenie. Co za interesujące pyski! Talentu, inteligencji tyle, że można by nimi obdzielić całą Polskę. Dajcie im tylko ów „punkt oparcia", którego się daremnie dopraszał Archimedes.

Pamiętam jedną taką noc, po której rano cała gromadka michalikowa wysypała się na ulicę. Ranek był brudnoszary. Wieża Floriańska, zawiana trochę, chwiała się na nogach, jak to uwiecznił Szczygieł w swoim fresku. Wieża Mariacka też miała koronę na bakier. Baby w krasnych chustkach ciągnęły z dworca kolei z koszykami na targ. Olbrzymiego Witolda Noskowskiego, w matowym półcylinderku i w potężnej szubie z peleryną, całowały, przechodząc, w rękę, brały go co najmniej za kanonika. Poza tym było pusto. Kokotka – miejmy nadzieję – spała już dawno. Szliśmy ulicą Floriańską, Rynkiem, Grodzką, mijając kościół Panny Marii, kościół Świętej Barbary, kościół Świętego Wojciecha, kościół Dominikanów, kościół Św. Piotra i Pawła, kościół Św. Idziego, kościół Św. Andrzeja, katedrę, aż nad samą Wisłę. Płynęła szara, mała, zbidzona, trochę śmieszna. Za nią, w oddali, majaczyło kilka domków. Prawy brzeg Wisły, Dębniki.

Ten prawy brzeg Wisły i to, czego tam nie było, to był dramat krakowskiego życia.

MURY I LUDZIE

W poprzednim szkicu o starym Krakowie wspomniałem o walce murów z żywymi ludźmi. Ta walka to nie jest tak prosta rzecz: i mury, i ludzie to są rzeczy szanowne; po czyjej tu być stronie! Istnieje dziś, w postaci specjalnych urzędów, ochrona murów przed ludźmi, ale gdzie ochrona ludzi przed murami?... Od niedawna działają urzędy konserwatorów, i to jest dobrze. Ale mimo woli nasuwa się myśl, gdyby takie urzędy konserwatorów istniały od wieków, ile by pięknych rzeczy nie powstało. Duma Krakowa, jeden z jego uroków i oryginalności – plantacje, zrodziły się z nieprawdopodobnego wandalizmu: powstały na miejscu zburzonych murów miasta. Podziwia się wieżę Floriańską: dawniej była taka na wylocie każdej prawie ulicy śródmieścia. Zburzono je. I samej wieży Floriańskiej omal nie zburzono, a warto zanotować, czemu zawdzięcza, wedle tradycji, swoje ocalenie. Mianowicie, w czasie debaty w radzie miejskiej, gdy zagłada jej była postanowiona (zburzono wszak ratusz na rynku!), jeden z radnych zaoponował motywując swój protest tym, że pod kościołem Mariackim są i tak straszliwe wiatry; otóż jeśli się zburzy wieżę Floriańską, przeciąg będzie nie do wytrzymania. Widzę, że się uśmiechacie: co za głupstwo! Ale to nie było takie głupstwo i miało swoje racje. Czy wiecie, co to był wicher pod kościołem Mariackim, a są tam w istocie wichry straszliwe. To było zgorszenie wiernych dążących do świątyni, to była tragedia statecznych niewiast, sprawa ich powagi i czci.

Ja to jeszcze rozumiem, ale na ogół jedno pokolenie nie rozumie drugiego. Nie trzeba patrzeć na dawność dzisiejszymi oczami. Dziś kobieta, w swoim grzybku na głowie, w swoim *burberry*, urąga kaprysom aury, zawsze może być wdzięcznie i schludnie ubrana, ładnie obutymi nóżkami przebierając po gładkim asfalcie. Dziś moda jest demokratyczna, na miarę ludzi pieszych i tramwajów. Ale jeszcze za moich czasów mody były tworzone dla dam jeżdżących karetą, a przejmował je potulnie gmin chodzący na nogach. Wyobraźcie sobie ciężką suknię do ziemi, olbrzymi kapelusz z rozmaitymi kukuryku, strusiami, kolibrami, winogronami, całe wiszące ogrody na głowie, nogi w kaloszach, z których się przez kilka miesięcy nie wyłaziło dla straszliwego błota, wyobraźcie sobie to wszystko w słotę i wiatr taki, jaki bywał pod kościołem Mariackim, gdzie konfiguracja ulic stwarzała piekielną iście różę wiatrów! Wyobraźcie sobie kobietę unoszącą suknię, w którą wicher dmie niby w żagiel, zdzierając równocześnie z głowy kapelusz, odsłaniając barchanowe majtki, nicując parasol i czyniąc ich właścicielkę radością tłumów śpieszących do domu bożego. A cóż dopiero dama w „rotundzie", jaką z początkiem naszego stulecia jeszcze nosiły damy, w ciężkiej rotundzie bez rękawów!

Tak więc roztropny głos owego rajcy ocalił bramę Floriańską. I drugi raz była zagrożona. Było to mianowicie wtedy, kiedy przerabiano tramwaj konny na elektryczny. Pamiętam ów doniosły ewenement i dyskusję, jaka się na ten temat toczyła w domu Przybyszewskich. Stach oburzał się: jego cudny średniowieczny Kraków odratowany! zdawałoby się, że już tramwaj konny stał się nietykalną tradycją, tak dalece wszystko w Krakowie przybierało charakter zabytku. A Wyspiański ze swoim drwiącym uśmieszkiem radził następujące rozwiązanie: wprowadzić elektryczność dla postępu, ale zachować biegnącego przed tramwajem „honorowego" konika dla tradycji.

Otóż brama Floriańska była zagrożona o tyle, że sam tramwaj ledwo się w nią mieścił, na wierzchnie druty nie było już miejsca. Inżynierowie podali projekt, aby łuk bramy podciąć. Łatwo pojąć, jaki krzyk podnieśli konserwatorowie: niszczyć te wymiary, te cudowne proporcje, naruszać odwieczne mury! W końcu znaleziono inne wyjście: pogłębiono bramę od dołu, obniżając na przestrzeni kilkudziesięciu metrów poziom ulicy. I na to mruczeli starzy, ale już ich nie słuchano. Dziś nikt tego nie pamięta, i dalej podziwia się niezrównane proporcje...

Niech mnie tylko nikt nie posądzi o brak sentymentu dla murów Krakowa. Wręcz przeciwnie, jestem w nich zakochany. Cały „Zielony Balonik" zresztą był niemal ekspozyturą duchową urzędu konserwatorskiego; staczał niejednokrotnie boje o całość skarbów dawnego Krakowa. Jakżeby mogło być inaczej! Ale prawo do uśmiechu jest starsze niż wszystkie mury na świecie.

Ta „wojna murów" miewała swoje dramatyczne epizody. Aby wystawić teatr, zburzono szpital Św. Ducha; była tam stara kaplica, którą sobie upodobał Matejko. Chciał ocalić tę kaplicę, ofiarował się wyrestaurować ją własnym kosztem i obrócić na muzeum. Nic nie pomogło: zburzyli. Matejko był honorowym obywatelem Krakowa; rozgniewany, odesłał dyplom. Miasto wysłało doń deputację z prośbą, aby cofnął ten krok. Przyjął ją bardzo szorstko. „Panie artysto – rzekł jeden z dygnitarzy miejskich, urażony – przecież i my każdy kamień w Krakowie znamy i kochamy." – „Tak, każdy kamień, który prowadzi od Hawełki do Wencla" (dwa znane handelki), odparł Matejko i pozostał nieubłagany.

„Burzymurki" – tak nazywali miejskich wandalów obrońcy starego Krakowa. Cóż za namiętne walki toczyły się o domki przy kościele Św. Idziego, bez wartości same w sobie, ale mające zaszczyt służyć za obramienie dla Wawelu. Może niegdyś, kiedy wyrosły z ziemi, oburzano się na nie jako na oszpecenie, ale oko tak już przywykło do nich: tradycja!

Czasem tradycja ta spadała komuś na łeb jak dachówka. Oto epizod, dziś już zupełnie zapomniany: awantura z tzw. Basztą Kościuszki. Był przy ulicy Podwale zapuszczony ogród, w którym stała jakaś rudera. Kupił to wszystko, jako plac budowlany, pewien radny miejski i kupiec win w intencji postawienia wielkiego nowoczesnego hotelu. Kiedy już gotował plany, naraz spada na niego protest urzędu konserwatorów: w baszcie tej, a właściwie domku, spędził, jak się okazało, jedną noc Tadeusz Kościuszko w dobie powstania. Nie wolno burzyć: zabytek, pamiątka. Kupiec zawrzał gniewem. Jak to, kupił plac budowlany, zapłacił porządną cenę, a teraz ma go sobie chować na pamiątkę? Trzebaż człowieka ostrzec! toż stała ta rudera tyle lat, nikt o nią nie dbał, a dopiero teraz, kiedy on chce wystawić miastu porządny hotel, wyjeżdżają mu z Kościuszką!

Ale po co mówić prozą, kiedy opiewałem to wierszem w „Zielonym Baloniku":

Dzieją się cuda!
Ot! stała buda,
    Pies nie zatroszczył się o to;
Aż w jednej chwili,
Coś w niej odkryli:
    To świętość! relikwia! złoto!

„Tu, pod tą gruszką,
    Drzemał Kościuszko!"
    Dopieroż robi się skweres!
„A pod tą drugą,
    Kołłątaj Hugo
    Załatwiał mały interes!"

Chcę kłaść fundament,
Ci dalej w lament:
„Na Boga, nie tykaj gruszki!”
I płać ty, człeku,
Po całym wieku,
Koszta rebelii Kościuszki!...

Tak lamentował kupiec win i radny miejski. Ale ten radny był potęgą polityczną: specjalistą od fałszowania wyborów, twórcą jakiegoś systemu urn wyborczych, stanowiącego epokę w życiu politycznym Galicji. Świadom swej wartości, nie dał sobie w kaszę dmuchać pp. konserwatorom, zwłaszcza że w owym czasie kurs konserwatywny spadł nisko. Podczas gdy pisma wrzały polemiką o Basztę Kościuszki, on wezwał cichcem murarzy i w ciągu jednej nocy uporał się z niedużą budowlą; rankiem na drugi dzień nie było ani śladu. Rozumiał, jako polityk, wymowę faktów dokonanych. W istocie, dyskusje skończyły się, jak nożem uciął; od tego czasu słuch o Baszcie Kościuszki zaginął. Tyle tylko, że radca, zniechęcony, nie postawił już hotelu, ale prywatny dom dla siebie.

Jeszcze jeden przykład ucisku murów na człowieka. Notowałem raz, przy innej sposobności, jeden z faktów psychologicznych. Mianowicie, w owej epoce, choćby mężczyzna i kobieta najbardziej mieli ochotę się spotkać i spędzić czas z sobą, zawsze, nim doszło między nimi do ostatecznego porozumienia, potrzebowali jakiegoś godziwego pretekstu. Coś trzeba było pokazać. Stąd każdy światowy posiadacz garsoniery coś kolekcjonował, porcelanę czy coś podobnego, a każda dama interesowała się kolekcjami. Ale gdzie tam w Krakowie garsoniera i porcelana! Toteż wstępne schadzki były bardzo utrudnione. Było jedno uprzywilejowane miejsce: kościół Św. Katarzyny, położony w odludnej dzielnicy, zawsze prawie zamknięty i pusty, gdzie jakiś stary obraz, dość nieprzyzwoity, przedstawiał męki piekielne grzeszników. Pokazywanie tego średniowiecznego zabytku to była „porcelana” cygańskiego Krakowa; tam można było zaprowadzić damę, nie brutalizując zbytnio sytuacji, a trzeba wiedzieć, że damy z epoki rembrandtowskich kapeluszy to były wściekłe mimozy. Odźwierny wpuszczał do zamkniętego kościoła za drobną opłatą, pokazywał obraz, po czym zostawiał parę w mrocznych stallach. To dawało najzwyklejszej randce posmak perwersyjny, do czego młodzi dekadenci dociągali resztę, deklamując *Litanię do szatana* Baudelaira i narażając silnie zbawienie duszy. Dziś taka para poszłaby po prostu do kina.

Zgorszy może kogo to zestawienie? Cóż począć, jest bardzo istotne; to właśnie był Kraków. Kościół bywał tam, jak w średniowieczu, płaszczem okrywającym życie Erosa. Niedzielna msza u o.o. kapucynów, półmrok nabożeństw majowych, ileż wchłonęły fluidu marzeń miłosnych! Dobrzy ojcowie jezuici w kościele Św. Barbary aż uważali za stosowne rozdzielić na wieczornych nabożeństwach płcie, ustawiając mężczyzn po jednej stronie, niewiasty po drugiej.

...Wciąż widzę paniusię mocującą się z wichrem pod kościołem Mariackim. Śmieszne. Ale co na tym tle nie było śmieszne? Kiedy Kraków postanowił uczcić pomnikiem Adama Mickiewicza, głowiono się nad miejscem: oczywiście Rynek, cóż może być godniejsze wieszcza! Kilka lat trwały konkursy, potem zmieniano, poprawiano, parę lat trwało ustawianie, przeczuwano widać niebezpieczeństwo. I wreszcie, kiedy go odsłoniono, och jakiż okazał się mizerny i śmieszny ten pomniczek pomiędzy wieżami Mariackimi a zwałem Sukiennic, na tle architektury Rynku. W ogóle nic nie było na swoim miejscu na tym Rynku: jedna procesja Bożego Ciała „trzymała fason”. I inne miasta mają takie uroczyska, ale przez instynkt życia zostawiają je na boku; w Krakowie każdy mieszkaniec był dziennie z pięć razy na Rynku; do banku czy do kawiarni, gdziekolwiek szedł, musiał przechodzić tamtędy. Przesuwał się, smutny anachronizm, pod okiem

tych wież, poruszał się sennie w sferze potężnego, a wrogiego mu magnetyzmu. Gdziekolwiek był, co godzina cztery zegary wieżowe zmieszane z trąbką hejnału dosięgły go swym *memento mori*. Zatruwał się małymi dawkami co dzień, nie wiedząc o tym, jak robotnik w kopalniach rtęci.

Przeglądałem świeżo *Synów ziemi* Przybyszewskiego i ich karty poświęcone Krakowowi. I zrozumiałem po latach, że pomysł osiedlenia się w Krakowie był dla niego samobójstwem. Właśnie dla Przybyszewskiego tak przewrażliwego na mowę kamieni. Kraków zwalił się na niego, niby w owym dramacie trumna świętego Stanisława na Śmiałego rycerza. Odtąd charlał z pękniętym krzyżem pacierzowym.

Wyspiański... Tak. Ten był niby roślina wyrosła z tych murów w mroku podziemi. Blady, bez kropli krwi, ten *genius loci* murów Krakowa umiał żyć z nimi. Ale bez mała on jeden.

A inni? Co począć, jak żyć w tym mieście, w którym mury spiknęły się na zgubę człowieka, czyhały tylko, aby go zasmucić, ośmieszyć i zabić? Zginąć lub bronić się. I z perspektywy ćwierćwiecza „Balonilk" wydaje mi się takim aktem samoobrony. Dość znamienne jest, że rozpoczął się od przyjacielskiego skarykaturowania Wawelu. Spojrzeć na ściany w tej „Jamie": tu karykatura Wisły, tam pijana brama Floriańska, ówdzie plotkujące wieże Mariackie. Karykaturowało się mury pilniej niż ludzi. Samoobrona, odwet. Przed śmiesznością bronić się śmiechem. „Gwałt niech się gwałtem odciska." Zawrzeć jakiś honorowy pokój, ułożyć jakiś *modus vivendi*!

Ale walka była nierówna. I gdyby nie zaszły wypadki, które zmieniły życie Polski, byłyby nas tam wszystkich zjadły te mury.

PAŃSKI KRAKÓW

Monografia, której napisania wart byłby dawny Kraków, nie byłaby pełna, gdyby nie starała się wniknąć w warunki, które sprawiały, że miasto to, późno w wiek XIX, stanowiło jedyne w swoim rodzaju w Europie osiedle arystokratyczne. Wiele przyczyn złożyło się na to: i feudalne tendencje Austrii, i ziemiański charakter kraju, i brak naturalnej przeciwwagi w małym miasteczku pozbawionym handlu i przemysłu, i wreszcie, w nienajmniejszej mierze, wpływ paru indywidualności. Wszystko to dało w Krakowie, na kilka dziesiątków lat, jednej kaście władzę tak pełną, jaka może nigdy i nigdzie nie była jej udziałem.

Że w jej ręku była władza polityczna, to wynikało z ustroju, z ordynacji wyborczej, z sojuszu z rządem, z klerem, z przewagi ekonomicznej, z ciemnoty i nędzy mas. Spokrewniona i spowinowacona między sobą na wszystkie sposoby, zespolona mnóstwem rozmaitych węzłów, klasa ta tworzyła przy tym rodzaj naturalnej masonerii. Miała rękę wszędzie, umiała wyzyskać wszystkie interesy, wszystkie słabostki, bodaj za pomocą bardzo zamkniętego klubu, gdzie jednak, jako partnerzy przy wincie, dobrze widziani byli i głównodowodzący generał, i prezes sądu, i naczelnicy wszelkich instytucji. Wszystko ta klasa mogła zrobić dla „swoich ludzi", wszędzie mogła dosięgnąć niemiłych sobie. Mogła, parafrazując Ludwika XIV, powiedzieć: „Kraj, to ja."

Jaki był bilans socjalny tej hegemonii? Nie chcę się w to zapuszczać. Boję się zaciemnić koloryt tej gawędy. Zwłaszcza niebezpiecznie jest spojrzeć na to oczyma z zewnątrz. Ot, czytać takie *Wspomnienia krakowskiego studenta* Wacława Nałkowskiego. Brrr! Więc taki był ten Kraków mego dzieciństwa? Albo urywek z listu Stefana Żeromskiego do narzeczonej:

„Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę nagą głupotę, tę bezczelną podłość, to nadużycie słowa, tę pompę idiotów – śmiałabyś się do rozpuku jak ja. Galicja – Kraków to niewyczerpane źródło humoru, to po prostu sam humor potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota – i ci... w swoich kontuszach i... kitach."

To są wrażenia Żeromskiego z... pogrzebu Pawła Popiela.

Ale nie będziemy tu wznawiali przebrzmiałych, na szczęście, procesów. Przypomina mi się taka historia. W czasie wojny, na gruncie N.K.N., spotkali się w Wiedniu Władysław Michałowski, osławiony niegdyś starosta galicyjski, osobiście jeden z najdowcipniejszych i najmilszych ludzi, jeden z owych uroczych artystów bez teki, i – Ignacy Daszyński. Byli to z czasów urzędowania Michałowskiego zacięci wrogowie polityczni, ale nie zetknęli się osobiście. Otóż ci dwaj ludzie przypadli sobie do serca. Kiedy raz (scena godna Flersa!) wspominali przy kieliszku wina dawne boje, eks-satrapa rządowy, grożąc żartobliwie paluszkiem trybunowi ludu, powiadał: „Ale pan, panie pośle, używał sobie na mnie: nazywał mnie pan idiotą, łotrem, złodziejem grosza publicznego, mordercą..." – „Nic to panu hrabiemu nie zaszkodziło", śmiał się dobrodusznie Daszyński ściskając go wpół. I tak już jest: idee są nieprzejednane, ale ludzie zawsze się mogą porozumieć, bodaj późno, jak Gerwazy z Protazym...

Niechże mi wolno będzie spojrzeć na ten dawny Kraków tylko okiem artysty.

Arystokracja krakowska – trzeba to jej przyznać – miała niepospolity zmysł życia. Poza swymi przewagami rzeczowymi uczyniła to, czego – jak mu zarzuca Balzak w jednej ze swych powieści – nie umiało uczynić paryskie Faubourg Saint-Germain za Restauracji: wzięła w pacht wszystkie centra kulturalne. Było to dziełem zwłaszcza dwóch ludzi: Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Koźmiana.

Czynność, jaką rozwijał Tarnowski, była czymś zadziwiającym. Był profesorem literatury polskiej, wielokrotnym rektorem, prezesem Akademii, pisał mnóstwo książek, wydawał własnym kosztem miesięcznik, który w znacznej części zapełniał, był radcą miejskim i posłem na sejm, sypał artykuły polityczne, przemawiał, celebrował wszędzie, gdzie było potrzeba jego udziału... Kiedy na jego własnym jubileuszu sławiono na wszystkie tony te zasługi kadząc mu ponad wszelką miarę, sam czuł potrzebę usprawiedliwienia się, że mógł aż tyle zrobić: zasłaniał się darami, którymi go wyposażyła Opatrzność, dając mu, między innymi: „...pamięć wyśmienitą – zdrowie rzadko dobre – majątek znaczny, nie nadto wielki, aby się stał ciężarem...” Tak swą fortunkę określił Tarnowski, żonaty z Branicką, jeden z bogatszych ludzi w Polsce.

Dała mu Opatrzność jeszcze inne różne rzeczy, predestynujące go do roli krakowskiej Cécile Sorel: pyszną głowę na zbyt małym ciele, które podwyższał aktorskim gestem; głos giętki i świetnie modulowany, mimo że wciąż na krawędzi maniery proszącej się o parodię i wielokrotnie też parodiowanej. Całość można by określić: mizdrzący się hetman.

Tarnowski był ekscelencją, tajnym radcą; z okazji jego jubileuszu ówczesny namiestnik Galicji, Andrzej Potocki, zabiegał dla niego o złote runo, najwyższe odznaczenie, które posiadacza czyniło „kuzynem cesarza”. Ale mimo wszystko hetman-profesor nie otrzymał tego odznaczenia: Franciszek Józef, który był przysłowiowym analfabetą, nie mógł się pogodzić z tym, aby ten rodzinny jego order miał zawisnąć na piersi bądź co bądź profesorskiej... Chcąc osłodzić odmowę przesłał jedynie w dniu jubileuszu pismo odręczne, zredagowane w nader pochlebnych słowach. Tarnowski odczuł rekuzę i okazał to na swój pański sposób. Dziękując wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia jego jubileuszu, wspomniał z dworną wdzięcznością o tym piśmie, dodając: „Nie będzie to pierwsze pismo cesarskie w archiwach mojej rodziny; znajdzie się tam obok pisma Karola Piątego...”

Nie wiem, czy Franciszek Józef uczuł tę szpileczkę... Innego typu, ale niemniejszej żywotności, był Stanisław Koźmian, ten znów w stylu francusko-ośmnastowiecznym: gorszący amant, a potem morganatyczny małżonek znakomitej aktorki. Jak ten potrafił być równocześnie niepospolitym dyrektorem teatru, redaktorem „Czasu”, posłem, duszą polityki galicyjsko-wiedeńskiej, pisarzem, publicystą i karciarzem w dodatku?

Kiedy go poznałem, miał lat przeszło ośmdziesiąt, był siwy jak gołąbek. Mieszało mu się już w głowie po trosze, czasy i ludzie, żywi i umarli, ale lubił mnie zagadywać półgłosem o teatr, w którym od wielu lat noga jego nie postała, podobno wskutek zakazu spowiednika, gdy po śmierci Hoffmanowej odprawił pokutę i wyrzekł się dawnych błędów. Spowiednik nakazał mu prócz tego przełożyć z hiszpańskiego wielotomowy żywot jakiegoś świętego. Koźmian wtedy mieszkał w Wiedniu u swego naturalnego syna, żonatego z córką wiedeńskiego *Volkssängera*; to wspólne gospodarstwo dwu teściów i pokuta Koźmiana na tym tle to miało być coś niesłychanie zabawnego.

W ogóle o żywotności tej kasty i jej tradycjonalizmie świadczy, że miewali oni bastardów, w których liczbie fama wymieniała szereg niepospolitych nazwisk, jak Modrzejewska, Klaczko „i tym podobni”.

Rozmawiałem raz o teatrze ze starym krakowskim *clubmanem* Szymberskim, nie pogodzonym z nowoczesnością chwalcą dawnych czasów. Była mowa o Trzcińskim. „Et, co to

za dyrektor! – żachnął się Szymberski. – Żadnego posłuchu, porządku. Koźmian to był dyrektor. Pamiętam, raz nieboszczyk Artur Potocki mówi do mnie: «Szymbersiu, idziemy za kulisy.» Poszliśmy. A Sobiesław, młody smyk wówczas, który bardzo nie lubił, kiedyśmy tam zachodzili, krzyczy na cały głos: «Łóżek dawajcie! Panowie idą!» Ja na skargę do Koźmiana. Koźmian każe wołać Sobiesława. I dopieroż go zrugał: «Ty durniu jeden (powiada) powinieneś sobie za zaszczyt uważać, że przyjaciele moi tu przychodzą. Przeproś zaraz. A teraz ruszaj precz.» To był, panie, dyrektor!", zakończył z entuzjazmem Szymberski.

Ci dwaj ludzie tedy – Tarnowski i Koźmian – dzierżyli w ręku politykę i oświatę. „Kultura i sztuka" pozostała w tej samej sferze. Macherem od sztuki był ośmieszony hrabia Zyzio (Cieszkowski); wieloletnim prezesem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych – szczery miłośnik malarstwa hr. Edward Raczyński, jedna z najbardziej zajmujących figur dawnego Krakowa. Cały ten arystokratyczny świat przesuwał się przez pracownię Matejki, użyczając mu swoich najrasowszych głów za modele do obrazów. Oazę muzyczną – jedyną prawie, zanim ojciec mój przeniósł się do Krakowa – stanowił salon księżnej Marceliny Czartoryskiej, uczennicy Chopina. Gawęda intelektualna kwitła na niedzielach Ludwika Michałowskiego. Najwybitniejsi, najkulturalniejsi ludzie, Morawski, Pawlicki, Potkański, Sokołowski, Konstanty Górski etc., byli towarzysko i duchowo wrośnięci w tę sferę. Nawet bez ciśnienia snobizmu wszystko składało się na to, aby całe życie ówczesnego Krakowa w niej się obracało.

Nie mówiąc o innych, konkretniejszych pobudkach. Kto miał rękę na uniwersytecie, na Radzie Szkolnej, na Akademii (stypendia, podróże, nagrody, wszystko dla grzecznych dzieci, nic dla krnąbrnych), ten miał w garści wszystko. Nawet malarstwo, poza Tow. Przyjaciół (zakupy), było pod patronatem Akademii i jej premii. Ach, te doroczne niewysłowione sprawozdania nagrody Barczewskiego pióra Jerzego hr. Mycielskiego, jednej z najkomiczniejszych – jakże ciepłym rodzajem komizmu – figur ówczesnego Krakowa! Ale tu już odkładam pióro; Jerzy Mycielski żądałby osobnej monografii, to była jedna z postaci, które są jakby skomponowane przez wielkiego humorystę.

Jedną tylko historyjkę o Mycielskim. Dobry ten człowiek miał wszystkie snobizmy, łasy był na tytuły, godności, odznaczenia. Starał się o szambelanię; cesarz długo mu jej odmawiał z tych samych przyczyn co Tarnowskiemu złotego runa: Mycielski był profesorem uniwersytetu! Wreszcie dostał upragnioną szambelanię, a tuż przed wojną został – o upojenie! – członkiem Izby Panów. Był „osobistym" przyjacielem następcy tronu, arcyksięcia Ferdynanda, oraz arcyksięcia Karola Stefana. Po wybuchu wojny, okrężną drogą „głównej kwatery", doszedł do... idei legionów i oddał się jej całą duszą. Przez całą wojnę żył trochę arcyksiążętami, ale głównie, z niezmiernym oddaniem, legionami. Po rozpadnięciu się Austrii, przeniósł swój kult na Piłsudskiego. Ale jednego dnia rozebrało go. „Ej, Władziu – jęknął do Wł. Michałowskiego, który później cudownie odgrywał tę scenę – wolno przecież pomarzyć trochę. Wyobraź sobie, że, tak jak tu siedzimy, nagle telefon: *Hallo! hier Konopisch* (rezydencja arcyksięcia Ferdynanda)... Sama arcyksiężna mówi. (Tu Mycielski zgiął się w pokłonie.) *Kommen sie doch nach Konopisch, Herr Graf? – Jawohl, Kaiserliche Hoheit, wenn ich dieser Gnade würdig bin...* (Nowy rozanielony ukłon do fikcyjnego telefonu.) A dziś co? (waląc z komiczną wściekłością pięścią w stół) Belweder, Belweder, Belweder."

Mycielskim bawili się po trosze wszyscy; w „Zielonym Baloniku" był ciągłym przedmiotem konceptów. On sam objawiał w tych rzeczach i kulturalne poczucie żartu, i dziecinną próżność. Kiedy zaproszeni do Lwowa wybraliśmy się tam z *Szopką krakowską*, pominęliśmy te sceny i te laleczki, które zdawały się nam dla Lwowa mniej zrozumiałe. Nie wzięliśmy lalki Mycielskiego, której tekst był zresztą mocno ośmieszający. Przypadkowo Mycielski był na lwowskiej premierze *Szopki*; przyszedł do nas za kulisy z wymówkami: „Ależ mnie tu znają, doskonale mnie znają, to

by ich bardzo bawiło, czemuście mnie nie wzięli?" Widząc jego szczerą przykrość, nadałem w nocy pilną depeszę do Zenona (Pruszyńskiego): „Wysłać Mycielskiego blitzem, odbiorę od konduktora." Nazajutrz wieczór jeden z naszych pojechał na kolej i w istocie ujrzał konduktora trzymającego w ręku wspaniałą lalę, arcydzieło Pugeta. Mycielski był uszczęśliwiony: wydobył później ten dokument od Zenona, ucałował telegram z rozczulenia i schował go na pamiątkę. Powtarzał niemal ze łzami w oczach: „Wysłać Mycielskiego blitzem, wysłać Mycielskiego blitzem..." Duże dziecko!

Ów zmysł życiowy, instynkt władzy, sprawiał, że żeńska połowa arystokratycznego klanu usidlała znów miasto w inną sieć: filantropię. To był teren, na którym hrabina stykała się z „panią z miasta", hipnotyzowała ją. Stara hrabina, mniej lub więcej dobroczynna, była w Krakowie potęgą. W czarnej mantylce, w przydeptanych trzewikach (i tak wszyscy wiedzą, kto ona jest) albo trzęsąca się w starej herbowej landarze, w ścisłym kontakcie z którymś z o.o. jezuitów, była ona uosobieniem protekcji, owej protekcji, która z konieczności taką rolę grała w ustroju ówczesnego Krakowa. Toteż krakowska hrabina znała swoją siłę, i kiedy przyszła nowa epoka, niełatwo abdykowała ze swej królewskości. „Halo! tu hrabina X – taki raz ostry dzwonek zabrzmiał do redakcji «Czasu» – chciałam się zapytać, czy «Czas» jest jeszcze katolickim pismem?" – „Nie wiem, pani hrabino, naczelny redaktor wyszedł i nie zostawił mi żadnych informacji w tej mierze", odpowiedział z całą powagą zapytany.

To był „bunt młodzieży", w osobie wiceredaktora „Czasu", nieboszczyka Stasia Kopernickiego. Interpelantką była potężna hrabina X, zwana przez młodzież swojej sfery *„das verrückte Kanguru"*, a chodziło jej, zdaje się, o to, że „Czas", znudzony odwiecznym wyliczaniem rozkładu jazdy wszystkich hrabin i podhrabin kwestujących przed Wielkanocą w kilkudziesięciu kościołach, uczynił zamach na tę martwą już, a niegdyś nader żywotną rubrykę.

Ale o „Czasie" trzeba by opowiedzieć osobno, to temat zbyt bogaty. Interesujący jest ten rys, też znamienny dla ówczesnego Krakowa. Kiedy naprzeciw tego przez wiele lat jedynego w Krakowie dziennika powstała opozycyjno-demokratyczna „Reforma", istniała ona długo jedynie dzięki hojności Mieczysława Pawlikowskiego, a dom Pawlikowskich, spokrewniony z całą prawie arystokracją przez swą wielokrotną „dzieduszyckość", miał znów cechy bardzo zamkniętego arystokratycznego pałacu. Tak więc wszystko w ówczesnym Krakowie nosiło piętno arystokratyczne, aż do... demokracji włącznie.

Oczywiście, tak zwane krakowskie „towarzystwo" nie mogło uniknąć w wielu rzeczach znamion zaściankowości. Nie było ono zresztą jednolite, obejmowało całą gamę odcieni, od autentycznych polsko-europejskich Guermantów, otartych o Orleanów czy Burbonów, aż do Iksińskich z Psiej Wólki. Ci oczywiście byli „najbłękitniejsi". Jeszcze za mojej pamięci wsławiła się jakaś panna Horodyska (jeżeli się nie mylę) tym, że na widok portretu Napoleona (pierwszego) odwróciła się z niechęcią i wycedziła przez skrzywione usteczka: „Uzurpator!"

Czuli sami doskonale swoje stanowisko w tym Krakowie, do którego, zdawałoby się, nie doszły echa rewolucji francuskiej. „Co zaszło ważnego w Austrii w roku 18..?", pytał na egzaminie prawniczym srogi profesor Ulanowski któregoś z młodych Zamoyskich. „Babka moja umarła", odpowiedział z flegmą. A stara pani Branicka, kiedy lektorka nie orientowała się w jej zagmatwanych koligacjach, wzdychała: „Szczególne, jak dziś młodzież nie zna historii polskiej."

Ten mariaż małego zabawnego miasteczka z przerastającą jego stan żywotnością kulturalną był najbardziej swoistą cechą Krakowa. To fakt, że nic się tam nie działo tak jak gdzie indziej. Sądzę, że w nowoczesnej Europie było to jedyne miejsce, gdzie życie nie regulowało się prawami handlowej kalkulacji. Raczej pańskim gestem. Matejko malował swoje olbrzymie płótna nie troszcząc się, kto mu bodaj za farby zapłaci. Kiedy jakiś łyk chciał zamówić u Wyspiańskiego swój portret, artysta mierzył go zimnym i bacznym wzrokiem, aby wreszcie

odpowiedzieć: „Nie widzę powodu.” Kiedy Koźmian wystawił *Świecznik* Musseta, na którym się ówczesna publiczność nie poznała, kazał go grać kilka razy, ot, dla siebie, siedział w loży w pustej sali i co chwila bił brawo. Ta sama „pańskość” powtórzy się w teatrze Pawlikowskiego. W „Czasie” pisywali wszyscy darmo albo pół darmo. Wychowanie to udzieliło się i nam, chudeuszom. Kiedy miałem ochotę oglądać na scenie Molierowską Celimenę, przetłumaczyłem *Mizantropa*, za co dostałem, zdaje mi się, sto koron; i Solski, dla trzech pustawych przedstawień, wystawił tę arcytrudną sztukę w pięciu aktach wierszem. W ogóle widoki sfinansowania czegokolwiek były tak nędzne, że nie warto było paskudzić się myślą o tym. Tym tłumaczy się, że „Zielony Balonik” mógł przez kilka lat bawić Kraków gratis, nie okazując tendencji do skomercjalizowania. Kiedy Szyfman chciał uprzemysłowić tę żyłę humoru, nie mógł nikogo wyciągnąć z „Jamy” do swoich „Figlików”. Trzcińskiemu nigdy duma hidalga z ryżą bródką nie pozwoliła ciągnąć godziwych zysków ze swego fenomenalnego talentu.

Gdyby przyszło robić bilans arystokratycznego Krakowa, byłbym doprawdy w kłopocie. To pewne, że przerost tej supremacji był dość potworny, ale czy ówczesne małe, zabiedzone miasto było zdolne do pełniejszego życia? To już wchodzi w sferę historiozofii pod godłem: „Gdyby ciocia miała wąsy...”

Przyszedł czas zresztą, że ten dawny Kraków zaczął się rozkładać. Starsi hrabiowie zramoleli lub wymarli, młodsi hrabiowie nie czuli się na tyle pomazańcami, aby objąć ich rolę. I miasto dojrzało do tego, aby się bez nich obchodzić.

Ciekawe jest, że emancypacja Krakowa odbyła się w sferze sztuki. Bo też sztuka w Krakowie to była jedyna siła, która się mogła przeciwstawić pałacom. Zadziwiająca odnowa, jaka na przełomie wieku dokonała się tam w teatrze, literaturze, malarstwie – a dokonała się poza obrębem „dworskiego” Krakowa i zostawiając go na boku – była równocześnie wyzwoleniem miasta. „Kultura” przeniosła się z salonu do knajpy. „Szopen, gdyby żył, to by pił, he, he”, byłby szepnął Przybyszewski w uszko Marcelinie Czartoryskiej, gdyby dożyła tego renesansu. Wyspiański był wychowankiem Matejki i najautentyczniejszym jego kontynuatorem; ale cóż za przeobrażenie od modelów Matejki do modelów Wyspiańskiego: od przekrwionych pychą i bogactwem twarzy magnatów do tych zjedzonych anemią dziewczynek z suteren! A mimo to Wyspiański sam, jako zjawisko, i on, i jego sztuka, jakże pozostał arystokratyczny, pański! Coś jest w tych murach, coś jest w tym dziwnym mieście...

ZAKRYSTIA

Prastary dziennik „Czas", organ arystokratyczny, konserwatywny i klerykalny, zajmował tyle miejsca w życiu dawnego Krakowa i na tyle sposobów splótł się z moim życiem, że trzeba poświęcić mu nieco wspomnień. „«Czas» pisze, «Czas» mówi", to były słowa, które brzęczały mi w uszach od najwcześniejszego dzieciństwa. Kiedy raz szedłem z matką na spacer, minął nas starszy pan, z dziwnymi, widocznie farbowanymi włosami, z twarzą mumii, z wypomadowanymi wąsami w szpic, w nieświeżym cylindrze, w tużurku, posuwający się tabetycznym krokiem. Spytałem matki, kto to taki. „To pan Kłobukowski, redaktor «Czasu»." Obraz tej mumii skojarzył się w mojej wyobraźni z gazetą, która dla dziecka uzmysławiała chwilę, gdy trzeba być cicho i nie przeszkadzać komuś z dorosłych, który zatopił się w tej płachcie papieru, olbrzymiej dla oczu dziecka i całej zadrukowanej; stąd nic dziwnego, że nuda ziała dla mnie z tych czterech liter: CZAS. Zresztą słyszało się ciągle powtarzane na wszystkie tony: „Ach, ten «Czas» robi się taki nudny." Należało do zwyczaju wymyślać na „Czas"; ale nikomu nie powstałoby w głowie, aby się mógł obejść bez niego.

Długo zapewne słowo „Czas" zostałoby dla mnie martwym pojęciem, gdyby nie zaszedł fakt, który był poniekąd rewolucją w dziennikarstwie. „Czas" – jak w Warszawie „Słowo" – stał się naraz ulubionym pismem dzieci dzięki drukowi *Trylogii* Sienkiewicza. Nie chcę tym oczywiście uchybić *Trylogii*, wręcz przeciwnie; ale to fakt, że jak Polska długa i szeroka, tłumy małoletnich entuzjastów przypięły się do gazety. Ten i ów przy niej został, i oto jak się rozszerzają kręgi cywilizacji. To była słodka męka dostawać tak pasjonującą lekturę maleńkimi dawkami, po łyżeczce. Biliśmy się z bratem o to, kto pierwszy chwyci numer gazety; nie przyszło nam do głowy, że moglibyśmy zgodnie przeczytać go razem. Oto trudności praktycznego pacyfizmu.

W zasadzie, każdy odcinek miał przechodzić cenzurę domową. W razie ujemnego wyniku cenzury, numer „Czasu" znikał, z czego zgadywaliśmy, że coś tam musiało być „tłustego" (jak wówczas się mówiło) i że koniecznie trzeba go odszukać. Dzięki temu wszystkie niewinne sprośności Sienkiewicza tym lepiej utrwaliły się dzieciakom w pamięci, jak np. toast weselny pana Zagłoby:

Każda dziewka hubka,
Każdy chłop krzesiwo,
Będzie iskier kupka,
Tylko krzeszcie żywo.

I kiedy to czytałem jako mały brzdąc, nie przeczuwałem, że w parędziesiąt lat potem będę musiał wytoczyć redaktorowi „Czasu" proces karny, aż do Najwyższego Trybunału, o samowolne usunięcie z mojego felietonu słowa „dziwka"...

Prawda, że tamto było d z i e w k a, a u mnie d z i w k a. *Littera nocet*. (Przypomina mi to, jak na cześć Gabrieli Zapolskiej, za pomocą tej maleńkiej zmiany literalnej, zaadaptowałem do niej ten portret Grażyny: „Oboje, d z i w k i i matrony wdzięki – na jednym licu zespoliła cudnie..."

Tak więc dzięki Sienkiewiczowi zrozumiałem, że gazety mogą się na coś przydać i że

czytanie ich nie jest może tylko czczym obrzędem. Znałem zresztą już w zaraniu życia osobiście wielu kolejnych redaktorów „Czasu". Tomkowicz był serdecznym przyjacielem mego ojca; bardzo lubiłem, kiedy był u nas na obiedzie: opowiadał mnóstwo zabawnych anegdot, przeważnie z zakresu krakowskiego snobizmu. Sam zadomowiony „Pod Baranami" etc., a znający całe miasto, miał sposobność do obserwacji. Opowiadał np., jak ktoś, chcąc go uczcić, zaadresował do niego list: „Jaśnie Wielmożny pan Stanisław z Wężyków Tomkowicz". (Matka jego była z domu Wężykówna.)

Długoletnim redaktorem „Czasu" był p. Michał Chyliński, szwagier całego klanu dowcipnych Rosnerów, którzy przezwali go „Chichał Myliński", co też do niego przylgnęło.

„Czasownikami nieforemnymi" nazywano dwóch krótkich, tłustych bliźniaków, braci Bochenków, którzy pisywali do „Czasu". Nosili jednakie bródki à la Napoleon III i szare cylindry. Byli braćmi owej „panny zacnej", kulawej starej panny Leontyny, która przegrywała Wyspiańskiemu *Warszawiankę*. Jeden z nich, profesor uniwersytetu, był ojcem biednego Luca Bochenka, owego rotmistrza ułanów, który zginął tragicznie na ulicy Krakowa, towarzysza moich lat dziecinnych. Mój Boże, ten Kraków... ileż wspomnień na każdym kroku.

Istotna moja zażyłość z „Czasem", na wiele, wiele lat przed moim w nim współpracownictwem, zadzierzgnęła się przez Rudolfa Starzewskiego. Zbliżył nas wspólny przyjaciel, nieodżałowany Ludwik Janikowski. Starzewski był młodym studentem prawa, przygotowywał się do ostatniego egzaminu, kiedy go zagarnęło dziennikarstwo; już w nim pozostał. Był to wychowanek o.o. jezuitów z Chyrowa, tym samym wielki sceptyk, gładki towarzysko, ale zadzierzysty w potrzebie, umiejący bronić własnego zdania i niezależności. Niezwykle inteligentny, żywotny, niepodległy duchowo, musiał rozszerzyć sobie ten domek „Czasu", aby w nim móc istnieć. Politykę – ówczesną politykę stańczykowsko-galicyjską! – przyjmował ten prototyp Dziennikarza z *Wesela* jako zło konieczne, „mącił tę narodową kadź", jak mógł najmniej szkodliwie, dość krytycznie zresztą oceniając swoje stronnictwo. Z upodobań byłby najchętniej redaktorem jakiegoś literackiego miesięcznika. Wychował się na literaturze francuskiej z epoki Taine'a i Renana, czytywał od deski do deski „Revue des Deux-Mondes", „La Vie Parisienne". I Słowackiego namiętnie. Czytał zresztą wszystko. Bardzo towarzyski, ale tylko o tyle, o ile czuł w kimś powinowactwo myśli i smaku; żył w przyjaźni ze światem artystycznym, z teatrem, z malarzami; przebył szczepienie przybyszewszczyzny; z najżywszą grupą uniwersytecką miał kontakt przez słynne zebrania „Zeitgenossen". Pisał dobrze, ale z trudem; za wiele wkładał w to świadomej refleksji, podczas gdy myśl, zdanie, musi się wytwarzać podświadomie, wyskakiwać gotowe, zwłaszcza w wymagającym pośpiechu dziennikarstwie. Toteż pisanie męczyło go tak, że gdy objął naczelną redakcję, przestał pisać zupełnie; nieporównany był za to jako inspirator, doradca, jako partner w inteligentnej dyskusji. Słowem, ideał redaktora.

Zrazu Starzewskiemu powierzono „Czas" poranny; urzędował tedy w nocy. Ten „nocny lokal", wabiący z plantacji szeregiem oświetlonych okien, otwarty z konieczności do bardzo późna, z nieustanną gorącą herbatą, z gospodarzem życzliwym i chętnym do rozmowy, zaczął ściągać znajomych artystów. Stąd „Czas" ówczesny miał podwójną klientelę: w dzień magnaty, hofraty i prałaty, w nocy cygany i łaziki. To była, mówiąc po wiedeńsku, „szwema" „Czasu".

Zawsze, będąc nocnym ptakiem, lubiłem zachodzić tam na gawędę. Z tymi wizytami łączą mi się zabawne wspomnienia. Byłem wówczas po trosze graczem; jak wiadomo, szczęście bywa zmienne. Otóż, kiedy wygrałem, miałem zwyczaj odnosić część łupów do redakcji „Czasu" i oddawać Starzewskiemu na przechowanie. To było bardzo wygodne; bo kiedy znów się zgrałem, wiedziałem, że o każdej godzinie nocy mogę swoją rezerwę odebrać. Jednego razu, zgrany do nitki w baka, przypominam sobie o moim depozycie; pędzę do „Czasu". Widzę karetkę stojącą

od ulicy Św. Tomasza, służący mówi mi: „Jest ktoś u pana redaktora na konferencji.” Byłem zawsze wobec matadorów bardzo nieśmiały, wolałem tedy nie wchodzić; pomyślałem: „Przejdę się trochę i przeczekam.” Był trzaskający mróz; chodzę i chodzę, nogi mi marzną, karetka wciąż stoi, widać z daleka jej latarnie. Żal mi było zrezygnować, czułem, że się odegram! Pochodziwszy tak ze dwie godziny, zmarznąwszy na kość, klnąc na czym świat stoi niewczesnego gościa, poszedłem wreszcie spać. Nazajutrz dowiedziałem się, że to tzw. „Peter” Górski, biedny garbusek, który właśnie kandydował beznadziejnie na posła, wiercił dziurę w brzuchu Starzewskiemu do rana. A czułem, że byłbym się odegrał!

Zdobywając sobie coraz więcej zaufania Starzewski awansował w hierarchii, w końcu powierzono mu naczelną redakcję. Przez cały ów okres wciąż dążył do tego, co było dla niego antydotem na zgagę polityki galicyjskiej: starał się uczynić „Czas” organem kultury. Dało to rezultat dość paradoksalny, ponieważ równocześnie „Czas” zachował mnóstwo swych dawnych serwitutów. Stąd pismo miało jakby kilka fizjognomii.

Jedna, oczywiście, polityczna; druga „pańska”, znajdująca wyraz w różnych przygodnych artykułach, w iście dworskich opisach wesel, chrzcin i innych wydarzeń rodzinnych magnaterii; wreszcie w sławnych „nekrologach”, o których trzeba by powiedzieć osobno, gdyż stanowią one humorystyczną kartę „Czasu”. I znowuż dział kulturalno-artystyczny – zwłaszcza sztuki plastyczne i teatr – prowadzony żywo, przodujący, można powiedzieć, całej Polsce. Tak więc, oryginalnym paradoksem, mamut „Czas” stał się postępowy w sprawach sztuki, gdy postępowa „Reforma” hodowała piórem niezmordowanego Prokescha największy obskurantyzm artystyczny.

Ten dział prowadził Starzewski z dużą odwagą. Ryzykował nieraz wszystko, stawał do oczu bodaj samemu papieżowi „konserwy”, staremu Dunajewskiemu. Przypominało to nieraz scenę ze *Sprawy Dołęgi* Weyssenhoffa ze starym Zbąskim. W istocie starym bonzom nieraz się flaki przewracały, ale w końcu, widząc niewątpliwy sukces „Czasu”, zostawili Starzewskiemu wolną rękę. Instynkt ten okazał się bardzo trafny: kulturalna wyższość „Czasu” zachowała mu klientelę miejskiej inteligencji, skądinąd nie sympatyzującej nawet z kierunkiem pisma.

Przytoczę dwa epizody tej „polityki artystycznej «Czasu»”. Rozpoczęto cykl artykułów pt. *Nowe klejnoty Krakowa* pióra młodego rzeźbiarza, barona Ludwika Puszeta (wciąż ten „pański Kraków”: aby skrytykować to, co napaskudził książę, trzeba było co najmniej barona!), wymierzone ni mniej ni więcej tylko w gospodarkę artystyczną kardynała Puzyny w katedrze wawelskiej. Zrobiła się taka awantura, że felietony trzeba było przerwać. Furia Puzyny dosięgła nawet stryja Puszeta, lojalnego kanonika i katechety w gimnazjum. Kardynał, pod pozorem jakiejś inspekcji, wszedł do klasy, uznał przywitanie starego księdza za nie dość pokorne i zwymyślał go wobec uczniów, krzycząc: „Na kolana!” Księżyna musiał klęknąć i pocałować kardynała w rękę. Owo „Na kolana!”, które odbiło się echem po Krakowie, posłużyło Wyspiańskiemu za motyw w scenie *Wyzwolenia*. Ksiądz Puszet miał właśnie zostać prałatem; nie został; umarł rychło potem ze zmartwienia.

Drugi epizod to premiera *Wesela*. Wyobraźmy sobie w ówczesnym Krakowie scenę, gdy dumny, pobożny i wszechpotężny Tarnowski patrzy z loży, jak na scenie diabli wynoszą na widłach, wraz z niecką rosyjskiego złota, hetmana Branickiego, ni mniej ni więcej tylko rodzonego dziadka jego żony... Tarnowski wyszedł z loży i trzasnął drzwiami. – Co napisze „Czas”? Czekano na to trzy dni. Po trzech dniach ukazał się pierwszy entuzjastyczny felieton Starzewskiego o *Weselu*, potem następne: całe studium. „Czas” przyczynił się wiele do tak rychłego zwycięstwa Wyspiańskiego, do jego konsekracji. A nadąsany Tarnowski napisał anonimowo persyflaż *Wesela*, słaby zresztą, pod tytułem *Czyściec Słowackiego*.

Stopniowo Starzewski wprowadzał do redakcji młodych, po części dawnych

przybyszewszczyków; był okres, gdzie w ogóle nie było tam starszego człowieka. I tu znów zabawny kontrast: ta redakcja reprezentująca tradycję, powagę, składała się z ludzi młodych, gdy w „Reformie", organie postępu, siedziały przeważnie zatabaczone pierniki. Kto bywał w redakcji „Czasu", a potem czytał numer pisma, czasami miał wrażenie, że ci młodzi ludzie przyprawiają sobie siwe brody, jak święty Mikołaj.

Opowiem następnym razem o osobliwej symbiozie „Czasu" i „Zielonego Balonika"; symbiozie dyskretnej, ale bardzo rzeczywistej. To zbliżyło mnie jeszcze z „Czasem"; ale sam, mimo tych serdecznych stosunków, dopiero – jak wspomniałem – w wiele lat potem, dość przypadkowo zresztą, zostałem jego współpracownikiem. Pasją Starzewskiego – odkąd sam nie pisał – było podniecać, zachęcać do pisania innych. Twierdził, że każdy ma coś w brzuchu, bodaj jeden artykuł, tylko trzeba go wydobyć. Nieraz mu się to udawało; rzecz osobliwa, z jednego tylko Janikowskiego, tej najświetniejszej inteligencji, nic nie mógł wycisnąć. Zawsze zapowiadał, że skoro się dorobi, sprowadzi go z Wiednia do „Czasu" na stałą pensję po to tylko, aby siedział w redakcji jako „*Animiermädel*". (Do podobnej roli użył Janikowskiego Karol Kraus w swojej „Fackel".) Mnie Starzewski prawie podstępem wciągnął do recenzji teatralnych, przełamując moją nieśmiałość. Jest to dla mnie wspomnienie bardzo miłej współpracy. Starzewski był redaktorem niezmiernie sumiennym; czytał każdą literę, która szła do druku; tym bardziej mój rękopis, bo zawsze, mimo przyjaźni i uznania, obawiał się, że coś może w nim być nie dość „czasowe". Lektura odbywała się wspólnie, bo oczywiście nie byłby mi ani przecinka zmienił bez mojej zgody. Lubiłem tę przyjacielską cenzurę, w której Starzewski wciąż bronił niewinności czytelników „Czasu", którzy znów... byli uszczęśliwieni, że ktoś nareszcie tę niewinność gwałci. Wówczas była to mała rewolucja w obyczajach pisma, które miało – jak „Tygodnik Ilustrowany" – za zasadę, aby mogło leżeć na stole w domu, gdzie są córki; dziś wyda się to wszystko straszliwie dziecinne. Czasem bawiłem się tym, aby przemycić coś w ten sposób, że Starzewski nie zauważył. Pamiętam np. jego tragikomiczną rozpacz, kiedy spostrzegł – już po wyjściu numeru – że w recenzji z *Miłosierdzia* Rostworowskiego wsunąłem niewinnie zwrot: „zakon benedyktynów czy też pipermentów". „Jak ja mogłem to puścić!"– wołał. Gdyśmy się nie mogli zgodzić, braliśmy za superarbitra Stanisława Estreichera, który zwykle stawał po mojej stronie. Czasem, przewidując trudności, dawałem coś „na wyrost": zaceniałem, aby móc spuścić. Raz np. przymówiłem coś świętej Kindze i w tym samym felietonie, w innym miejscu, użyłem słowa „gatki". To było ciężkie przejście! Targ w targ, Starzewski mówi: „Święta to święta; w tych rzeczach «Czas» nie może znać kompromisu; ale ustąp mi świętą Kingę, a ja ci ustąpię gatki." Cudownie się bawiłem tym stopniowym rozszerzaniem skali wytrzymałości czcigodnego „Czasu".

Dziś zabawne się wyda, że dorośli ludzie mieli czas i głowę na takie rzeczy; ale czyż nie mówiłem, że w Krakowie nic się nie działo tak jak gdzie indziej.

Kochana redakcja „Czasu"! Ten cichy kącik przy ulicy Św. Tomasza... („Niewierny Tomasz", cóż za symbol!) Ten stary parterowy dworek, tonący w zieleni plantacji i ogródka, ta odrapana, ledwie że zamieciona sala redakcyjna – ta zecernia, gdzie nie śniło się o linotypach ani maszynach rotacyjnych; metrampaż Stabrawa, typowy „stary sługa", najprzywiązańszy do pisma burczymucha, który bodaj najgrubszą ekscelencję umiał wyprosić za drzwi swoim: „Panowie tu gadu, gadu, a numer musi wyjść" – jakże to wszystko miło sobie przypomnieć! I ta gromadka młodych cyników, z talentem celebrująca Krakowowi jego codzienne nabożeństwo! Jak tam bywało wesoło, ile pierwszorzędnego dowcipu spalali oni w tej redakcji, z czego nic prawie nie przenikało do pisma, bo nie pozwalała – powaga! Ileż niejeden z nich musiał dokładać wysiłków, aby pisać dostojnie, kiedy go pióro świerzbiało do jakiego żartu! Toteż im bardziej każdy numer „Czasu" był uroczysty i godny, tym więcej zostawało ognia na wewnętrzne życie redakcji, które

kipiało szelmiowskim humorem. Aż w końcu musiało trysnąć na zewnątrz, to było nieuniknione. Droga znalazła się sama przez się. „Czas" był najściślej związany sympatiami ze światem malarskim; skoro tedy malarze skupili się pod sztandarem „Zielonego Balonika", dusza sędziwego, a tak młodego „Czasu" przeniosła się do „Jamy Michalikowej". I to także stanowi jedną z nienajmniejszych osobliwości dawnego Krakowa.

ODWET STAŃCZYKA

Krakowska szkoła polityczna, która od nazwiska nadwornego błazna króla Zygmunta I przezwała się „stańczykami", zapomniała o jednym: o tym, że Stańczyk był – wesołkiem. Mógł – jak na obrazie Matejki – zadumać się gorzko nad przyszłością narodu, ale z zawodu był błaznem. To jedno jest pewne; reszta jest mitem. O ile Tarnowski z Szujskim zaczęli na łamach „Przeglądu Polskiego" od satyrycznych jasełek (nie znam tych jasełek, ale nie mam jakoś zbytniego zaufania do ich humoru), później zatraciło się to zupełnie: S t a ń c z y k to był synonim powagi, jegomość uroczysty i nadęty. Herszt stronnictwa, Michał Bobrzyński, sławny był z tego, że nigdy w życiu nie zrozumiał żadnego dowcipu; bardzo go irytowało, gdy się ludzie śmiali, a on nie wiedział dlaczego; a nie było sposobu mu wytłumaczyć. Ładny Stańczyk! Aż wreszcie cień Stańczyka, zniecierpliwiony, wziął odwet; wtargnął do fortecy swoich rzekomych potomków, do „Czasu", zadzwonił dzwoneczkami, wywinął błazeńskim berłem, parsknął śmiechem, zaraził nim wszystkich i pociągnął ich hurmem do gospody, czyli jak się mówi z cudzoziemska, do kabaretu.

A były zarazki śmiechu w tym smutnym mieście. Kraków był bardzo dowcipny. Miał swoisty humor. Stłoczenie żywiołów intelektualnych, leniwe tempo życia, nadmiar sposobności do wzajemnej obserwacji, reakcja wywołana ciągłą pompą, celebrą, wszystko to stwarzało specjalny rodzaj wytwornego kpiarstwa. Centralą krakowskiego dowcipu był „Czas". Przewijało się tam tylu ludzi, każdy zostawił jakąś anegdotę, jakieś powiedzonko, uronił jakąś śmiesznostkę... Gabinet redaktora to był almanach charakterów, konfesjonał próżności, ambicji, maniactwa. Starzewski, wykarmiony na francuskich klasykach, mający zawsze tomik Chamforta czy La Bruyère'a przy łóżku, był smakoszem dobrej anegdoty, kolekcjonerem typów, zdarzeń, pasjonowanym spektatorem komedii ludzkiej. I nie tylko on. Nigdzie się tak dobrze nie bawiłem jak w tej redakcji „Czasu", w tym „Qui pro quo" intelektu, gdzie *conférencierem* bywał na przemian Władysław Leopold Jaworski, Ignacy Rosner, Witold Noskowski, Tadeusz Smarzewski, Żuk-Skarszewski... To był niby młynek na zboże, gdzie wiatrem dowcipu przewiewało się wszystko, przy czym często – z konieczności – ziarno zostawało na użytek prywatny, a plewy szły pod prasę.

„Czas" miał dla mnie, od młodu, ogromne znaczenie wychowawcze. Pasjami lubiłem tę ostrą, sceptyczną atmosferę, atmosferę kulis życia, gdzie oglądało się wszystko od drugiej, poufnej strony, wszystko się sądziło, wszystko ważyło. Dyskusje kawiarniane wydawały mi się zawsze dość jałowe, jako królestwo dialektyki; „Czas" – to było królestwo faktu. Cokolwiek się działo w mieście czy w kraju, czy szło o błahą plotkę, czy o ważne wydarzenie, z nałogu szedłem do „Czasu", aby spytać: „Powiedzcie mi, jak to jest naprawdę." Dawano mi zwykle trzy wersje; jedna: jak jest w istocie; druga: co się mówi; a trzecia: co trzeba będzie napisać. To była dla mnie nieoceniona szkoła perspektyw życia.

Ileż tych miłych pogawędek na zniszczonej, dziurawej, ceratowej kanapie! Bo trzeba przyznać, komfortu tam nie było. Ileż żartów, pogwarek na stojąco, którym kładła koniec ostra interwencja starego metrampaża. W pośpiechu pracy, kochany Tolo Noskowski doprowadził do perfekcji lapidarność aforyzmu; raz dlatego, że istotnie był zapracowany, a po wtóre, że

zająkiwał się trochę nerwowo, więc nadrabiał to zwięzłością. Jednego dnia zapytuję go na przykład o któregoś z młodszych mężów stanu, o którym nagle zaczęło być głośno. „Słuchaj, Tolu, powiedz mi w dwóch słowach, jak z nim jest właściwie, bo wciąż słyszałem: dureń, dureń, a teraz nagle wielki człowiek." Noskowski zastanowił się chwilę i rzekł: „Powiem ci. Tt... to jest dureń, który się bb... bardzo wyrobił."

Każdemu, kto tam wszedł, udzielała się ta atmosfera miłej swobody intelektualnej. Ksiądz profesor Hortyński, bardzo sympatyczny jezuita, gawędził sobie np. ze mną o Pascalu. Wmieszał się ktoś z redakcji, zapytując, co to właściwie jest ta „kazuistyka", co to były *Prowincjałki* i o co chodziło w tym sporze. Dałem popularny przykład: kobieta, dajmy na to, parała się nierządem i zrobiła na tym majątek. Przyszła na nią skrucha; idzie do spowiedzi i postanawia odmienić życie. Chodzi o dyrektywę dla spowiednika: czy ona jest obowiązana ten majątek, pochodzący z nieczystego źródła, restytuować? Ówczesna kazuistyka jezuicka orzekłaby, że nie... „Oczywiście, że nie! – wpadł mi w słowo ksiądz Hortyński. – Jak to! Skąd?! Więc może i ta szwaczka, która jej szyła koszule do nierządu, imałaby restytuować? Do czego byśmy doszli?" Aż się zaperzył dobry ksiądz.

Nigdy tak wyraźnie nie uczułem, do jakiego stopnia spór między religią „w czystej formie" a religią w znaczeniu pragmatyzmu społecznego jest wciąż aktualny. Ta rozmowa sprawiła, że pisząc przedmowę do *Prowincjałek* Pascala, wziąłem trochę w obronę o.o. jezuitów...

Nikt się nie umiał tak bawić sam sobą jak „Czas" . Noskowski założył księgę, do której wklejał wszystkie „bąki" „Czasu"; leżała na honorowym miejscu w redakcji. Pamiętam z niej tylko jedną pozycję, niewinną, ale zabawną: anons wielkiego hotelu w Monte Carlo, w którym, obok innych zachwalanych wygód, uderzała pozycja: „Zatoka na lewo." Okazało się, że to w administracji „Czasu" tak przetłumaczono *„Golf-links"* (pola do golfa). Ale nie wyczerpanym źródłem humoru, który był po trosze humorem zakrystii, była „pańska" strona „Czasu", owe relacje z wesel i ślubów, owe nekrologi! Pisywał je z dawien dawna Ludwik hr. Dębicki, specjalista od nekrologów; były tak przeraźliwie długie, że skracano je po prostu nożyczkami, bez czytania, inaczej zajęłyby cały numer. W przysłowie weszła jego „ostatnia matrona polska", która, jak posażna jedynaczka w komedyjce Fredry, zawsze była ostatnią; jego sakramentalne zwroty, jak: „surowa dla siebie, pobłażliwa dla drugich" itp.; owe „ciosy, które umiała znosić z hartem", a pierwszym z nich było zwykle bombardowanie Krakowa, które przebyła mając lat dwa... Tej rubryki zresztą nie potrzebuję przypominać, bo przetrwała w „Czasie" do dziś: co kwartał grzebie się tam „ostatnią matronę". W pewnych okazjach nekrofilnych wyruszał sam Stanisław Tarnowski; zwykle wtedy, kiedy chodziło o jego osobistych przyjaciół; absolutny brak poczucia komizmu wydawał pod jego barokowym piórem przekomiczne rezultaty. Umarł na przykład jakiś hrabia Bogu ducha winien, zupełne nic, ale żonaty z Potocką: należał mu się felieton. Hrabia ów, nie mając co z czasem robić, włóczył się trochę za granicą: dalejże Tarnowski zrobił z niego wielkiego podróżnika, który w wyprawach swoich „dotarł aż do Neapolu". Potrafił napisać cały artykuł o Maniusi Szujskiej, córce Józefa Szujskiego, miłej panience, ale której cień musiał być zdumiony, że sam prezes Akademii Umiejętności opłakuje ją w tak krągłych zwrotach. Umarł August Gorayski, przeciętny sobie ziemianin, który przez parę miesięcy był „kompromisowym" marszałkiem sejmu; Tarnowski, nie mając czym innym, pół nekrologu wypełnił tym, jak „pan August" tańczył mazura. Potem przejął te nekrologi Jerzy Mycielski, który również prowadził rubrykę wesel i chrzcin, mnóstwo sztuki dyplomatycznej wkładając w porządek wyliczania gości oraz w znalezienie właściwego punktu, gdzie – niby nóż gilotyny – przypadało zabójcze słowo: „i inni".

Ale tematu do zabawy nie brakło w „Czasie" nigdy. Od cesarskiego Burgu i gabinetów ministerialnych, od Akademii Umiejętności aż do sypialni ładnej pani, znało się tam kulisy

wszystkiego. To było bardzo zajmujące. Z kim i gdzie przepadła słynna „zaginiona hrabina"; i jak minister dla Galicji, sławny oryginał Wojciech Dzieduszycki, przyjął w szlafroku deputację nauczycielek, a nim wysłuchał ich postulatów, oświadczył z całą powagą: „Najpierw siusiu", i skierował się ku przyległym drzwiom; i diagnoza płci Dawida Abrahamowicza; i autentyczna rozmowa Długosza z cesarzem Francem Józefem, i konszachty ze Stapińskim, i perypetie księdza Stojałowskiego, tam – i tylko tam – wiedziało się wszystko. Czyż to nie był „Zielony Balonik" *avant la lettre*?

Kiedy od malarskiego stolika w cukierni Michalikowej padło hasło „kabaretu", najżywszy oddźwięk znalazło ono – w „Czasie". Było to bardzo naturalne. Jednym z pierwszych, którzy przyjęli je z entuzjazmem, był Jan Stanisławski, niby to groźny profesor, ale w gruncie starszy kolega uczniów, sam dowcipny, złośliwy i cudownie żywotny grubas; Stanisławski był serdecznym przyjacielem Starzewskiego; „Czas" był półoficjalnym organem „Sztuki"; związki między młodą „malarią" a młodą redakcją „Czasu" były bardzo bliskie. Noskowski duchem obejmował miłośnie teatr, malarstwo i muzykę; był urodzonym pieśniarzem, w którym drzemał nieuświadomiony piosenkarz. Sierosławski, Rakowski, Siedlecki, współpracownicy „Czasu" – to była dawna cyganeria Przybyszewskiego. I „Zielony Balonik" nie byłby przetrwał ani dwóch wieczorów, gdyby na pierwszy apel nie przybyła mu w sukurs redakcja „Czasu" niemal w komplecie. „Stasinek" stanął na estradzie i ujął chwiejną czasem dłonią kaduceus *conférenciera*, na wpół bezwiednie wchodząc w uroczysty styl krakowskich mistrzów ceremonii[1]; Noskowski sypał wyborne piosenki i grzmiał w pianino, aż mu pot spływał z czoła. Żuk-Skarszewski recytował swój „tryptyk" o złotym runie, z okazji nadania orderu złotego runa Andrzejowi Potockiemu[2], właścicielowi słynnego pałacu „Pod Baranami", którego fronton zdobiły w istocie trzy baranie głowy. Siedlecki w uroczystościach „Balonika" świetnie parodiował Stanisława Tarnowskiego. Rakowski był tym, który z niesłychanym przejęciem odryczał z estrady moją

[1] Oto krakowiak Tadeusza Zakrzewskiego, przeprowadzający paralelę między Tarnowskim a Sierosławskim:

Dwie postacie historyczne miasto Kraków sławi,
Wielkiego Stasia ze Szlaku i Stasinka z Pawlej,
Obaj dzielni publicyści, zasłynęli w prasie,
Pisując czasem dla „Czasu" artykuł na czasie.
Każdy inną miał zasadę, głosił ją z godnością;
Jeden wołał: „Bądźmy trzeźwi!", drugi: „Precz z trzeźwością!"
Zgodność życia z swą zasadą podziwiano w świecie;
Jeden tron miał w Akademii, drugi w kabarecie.
W małych ciałkach wielkie dusze i gest wielkopański:
O tym pisał Przybyszewski, o tamtym Wyspiański.
A pod świętym Stanisławem, w zasłużonych grobie,
Złożymy kiedyś Na Skałce te wielkości obie.
I zapłaczem nad mogiłą tych, co Kraków sławi,
Wielkiego Stasia ze Szlaku i Stasinka z Pawiej...

[2] W długim tym żartobliwym poemacie była taka apostrofa do znanego ze sknerstwa hr. Potockiego, namiestnika Galicji:

Dzieckiem w kolebce kto urwie łeb hydrze –
Głupcem! Lecz wełnę kto wszyściutką wydrze
Z baranów, kto ich wystrzyże, wyiska,
Wydoi, paszę odejmie od pyska
I wszystką wełnę, co dają barany,
Spieniężу, złoży na procent składany –
Ten, wzrósłszy w męża, zabłyśnie jak łuna.
Istnym bez trwogi ten rycerzem RUNA!
A gdy nad RUNO nic nie masz na świecie,
Jak twą wspaniałość opiewać poecie?

Litanię do matrony krakowskiej. A Starzewski – jak w redakcji, tak i w kabarecie niezrównany animator – rozbawiony, uszczęśliwiony, widział w tym wszystkim dowód żywotności swego ukochanego „Czasu". (Rozumiał zresztą i pewne polityczne możliwości tej placówki humoru; „miarodajne" sfery stańczykowskie nieraz dawały nam do zrozumienia, że chętnie by finansowały ewentualną gazetkę satyryczną „Zielonego Balonika"; ale jak już wspominałem, w Krakowie kaprys artystów oporny był komercjalizacji.) O ile zresztą Rudolf Starzewski nie pojawiał się na estradzie, roiło się na niej – w tej pierwszej półamatorskiej fazie – od innych braci Starzewskich. Stanisław, kapitan sztabu, przebierał się w trykoty i tańczył jako baletnica; Leopold, sekretarz ministerialny, przybywał specjalnie z Wiednia, aby odgrywać... sekretarza ministerialnego idiotę, przy Trzcińskim, który odgrywał takiegoż idiotę ministra. Jan Starzewski wreszcie, radca skarbowy, drżący od tremy, produkował swoje amatorskie piosenki. A Tadeusz Starzewski z Wł. L. Jaworskim i Janem Hupką zasiadali przy stoliku w kącie, coś niby rada nadzorcza.

Później stosunki „Balonika" z „Czasem" jeszcze bardziej się zacieśniły. Jak z „Czasu" do „Balonika" weszło sporo osób, tak znów, z kolei, przez nowe wytasowanie ludzi, „Czas" znalazł w „Jamie Michalikowej" nowych przyjaciół lub współpracowników: Karol Frycz, Adamowicz, Jachimecki, Edward Leszczyński, Warchałowski. Młody adwokacik, Zakrzewski, dzięki swoim piosenkom[3] zyskał sympatię Starzewskiego i został – syndykiem „Czasu", dziedzicznej niemal osobistej własności Potockich z „Pod Baranów"... Kiedy Noskowski towarzyszył Wł. L. Jaworskiemu w jego objeździe kandydackim dla agitacji przedwyborczej, brał z sobą *Szopkę* i kajet piosenek Delmeta, którymi czarował szlachcianki po dworach. Kiedy chodziło o to, aby przeforsować niepopularną kandydaturę Bobrzyńskiego, werbowano agitatorów w „Zielonym Baloniku"; w „Czasie" znowuż odbywały się posiedzenia komitetu „balonikowego", na hektografie „Czasu" odbijaliśmy nasze cyrkularze i korespondencje. Nieraz Noskowski,

[3] Oto jeden z krakowiaków Zakrzewskiego pt. *Baranie głowy*:

Sercem Polski nasze miasto, kto przeczy, bluźnierca,
A sławny Rynek krakowski sercem tego serca.
W nim całego życia obraz, każdemu tak znany:
Friedlein, wieża Maryjacka, Hawełka, Barany.
Wszak te cztery Rynku rogi, to przyznacie z góry,
Są gdyby słupy wytyczne dla naszej kultury.
Z jednej strony hejnał z wieży, co pod niebo sięga,
Głosi o tym, jaka była przeszłości potęga.
Z drugiej strony naszych czasów symbol masz gotowy:
W melancholii zadumane trzy baranie głowy.
Od wieku nieporuszone, tego miasta strzegą,
By przypadkiem coś nie wyszło z trybu codziennego.
Z dobrotliwym pobłażaniem pilnują tej rzeszy,
Co pod tablicę przysięgi (Kościuszki) z pieśnią nieraz śpieszy.
To znowu niechętnym wzrokiem śledzić muszą czasem,
Gdy tłum z czerwonym sztandarem przechodzi z hałasem.
Nie powagi ich nie mąci i nie budzi strachu,
Póki dumnym stąpa krokiem żołnierz na odwachu.
W czarno-żółtą patrzą budkę z wyrazem ufności,
Każąc ją mieć za fundament szczęśliwej przyszłości.
Kto tej budki świętość uzna, tego mają w pieczy,
I zdrój łask na niego spływa, gdy jak baran beczy.
Jeśli tylko zręcznie umie wdziać baranią skórę,
Na wszystkie szczeble kariery szybko pnie się w górę.
A naród, choć czasem szemrze i skarży się na nie,
Przecież robi, co mu każą te głowy baranie!

wypukując na swojej maszynie uroczyste powitanie zjazdu ziemian lub biskupów, mimo woli bębnił je w takt jakiejś melodii, którą podśpiewywał sobie, a do której tekst już chodził mu po głowie.

Szczególna rzecz, jak ludzie mało mają poczucia rzeczywistości: podczas gdy moralizatorzy grzmieli na „Zielony Balonik" jako na „cyniczną międzynarodówkę", która „szarga świętości narodowe" (jakżeby się bez tego zwrotu obeszło!), nikt nie zauważył faktu, który wrogowie „Czasu" byliby z pewnością wyzyskali, mianowicie najściślejszych związków tego bardzo poważnego pisma z tą bardzo wesołą instytucją.

Z czasem te związki „balonikowe" scementowały się jeszcze mocniej: ci na estradzie i ci na sali tworzyli jakby wspólne bractwo, którego jednym centrum było stowarzyszenie „Sztuka", a drugim redakcja „Czasu", i które stanowiło swojego rodzaju potęgę w życiu kulturalnym Krakowa. Człowiek z „Zielonego Balonika" to był człowiek, z którym można się było dogadać, człowiek mający poczucie humoru. Zarazem to wymieszanie się światów i sfer, to fraternizowanie powagi z płochością, pracy z zabawą, cyganów z dygnitarzami, dziś tak naturalne, było w ówczesnym Krakowie czymś absolutnie nowym. A już kiedy pod koniec istnienia „Balonika" ekscelencja Stanisław Tarnowski z córką swoją, hrabiną Esterhazy, i niesłychanie wzruszonym tym wydarzeniem szambelanem swoim, Jerzym Mycielskim, wkroczył do Michalika, aby oglądać swoją figurkę w szopce, był to z pewnością fakt o wiele nieprawdopodobniejszy, niż gdyby dziś kardynał Kakowski zjawił się ze swym kapelanem na balu „Qui pro quo". To był piękny odwet Stańczyka. Tylko jeden Bobrzyński, kiedy mu na prywatnym „kabarecie" u jakiejś hrabiny zaśpiewano piosenkę „Pan Bobrzyński pod Mielcem stoi" – absolutnie nie mógł zrozumieć, czemu się ludzie śmieją.

Trwało to kilka lat, aż wreszcie wypalił się ogień, „Zielony Balonik" skończył się. „Czas" został po staremu prywatną centralą dobrego dowcipu. Ale i tam każdy rok przynosił zmiany; ludzie rozpraszali się, ubywali. Przyszła wojna, a z nią ciężkie na pismo opresje; i to przeszło; i znów „Czas" stanął na nogi. Moje z nim stosunki jeszcze się zacieśniły; z gościa stałem się współpracownikiem; chwile, które najmilej wspominam. Pisać w „Czasie", na którym wychowałem się od dziecka, cóż za emocja! Potem losy przeniosły mnie do Warszawy; znów minęło kilka lat. I jeszcze raz spotkałem się z „Czasem" – przed kratkami sądu karnego. O tę „dziwkę". Przywiozłem z sobą adwokata, redaktor Beaupré przyprowadził swojego. Biedny Tadzio Zakrzewski, syndyk „Czasu", nie dożył tej chwili; a szkoda, byłby on występował z ramienia dziennika, byłoby weselej. Rozprawa się toczy, w końcu adwokat „Czasu" wstaje, chrząka i wygłasza wielką mowę. O Boże! Cóż za styl, cóż za frazesy, cóż za patos! Gdzie on się chował? „W piśmie – wołał – które miało zaszczyt na swych łamach drukować *Quo vadis* mistrza Sienkiewicza, nie może być miejsca na koncepty kabaretowe godne «Zielonego Balonika»..."

A ja patrzałem tylko na niego i myślałem sobie: „Panie mecenasie, kiedy myśmy w «Czasie» robili «Zielony Balonik», pana by tam może do przedpokoju nie wpuszczono..."

Zapadł wyrok w pierwszej instancji. I ten wyrok sądu karnego, skazujący redaktora „Czasu" na dwiescie złotych grzywny (z ewentualną zamianą na karę aresztu), pięćset złotych pokutnego i ogłoszenie wyroku na łamach pisma, za samowolne opuszczenie w felietonie słowa „dziwka" – to też może była zemsta Stańczyka za to, że tak długo brano jego imię nadaremno...

Z DOGMATEM...

Pomiędzy epoką, którą można by nazwać matejkowską, a renesansem młodopolskim przypada w życiu Krakowa okres szczególnie jałowy. Jedno się kończy, drugie się nie zaczęło. Stańczycy krakowscy odegrali swoją rolę, mimo że wpływy ich polityczne miały przetrwać jeszcze długo. Niewątpliwie mieli oni swój okres twórczy, kiedy, korzystając z osłabienia Austrii, trzeba było wytargować koncesje dla kraju, kiedy, po załamaniu roku 1863, trzeba było fabrykować nową ideologię, kiedy umacniało się w Krakowie placówki polskiej nauki. Ale z czasem nadmierna przewaga jednej kasty, obwarowanej niesłychanymi przywilejami, aż nadto skłonnej do sobkostwa i ciasnoty, musiała doprowadzić do uwiądu. Odbija się to na mieście, które staje się partykularzem tym głębszym, im większe szeroki świat przechodzi tymczasem przeobrażenia. Od innych dzielnic odcina się ówczesny Kraków coraz grubszym murem. Nie dochodzą go prawie walki i prądy, tak znamienne podówczas dla Warszawy. Warszawiak (zwłaszcza „postępowy") czuje się w Krakowie bardziej obco niż w cudzym kraju. „Ani ludzi, ani stosunków nie mogę pojąć – pisze z Krakowa Żeromski do narzeczonej w roku 1892 – wszyscy ujadają na stańczyków, a wszyscy są stańczykami." Nawzajem, o Warszawie przeciętny ówczesny galicjanin wie tyle, co o żelaznym wilku.

W owej epoce robi się w Krakowie osobliwie duszno Władcy chwili tępiąc młodość sami się tymczasem – nieraz przedwcześnie – postarzeli. Wytwarzają się rządy starych ludzi lub – co gorsza jeszcze – „starobabokracja". Z dwójki Szujski – Tarnowski nie stało Szujskiego; został Tarnowski, karykatura wodza, raczej lajkonik obchodowy. Ciągłe „gaszenie", ciągłe wołanie o trzeźwość, o rozsądek wydały swoje; wychowały pokolenie karierowiczów... w mieście, gdzie nie było karier. Żywsza młodzież tłucze głowami o pręty klatki: wyrwać się za granicę to marzenie; ale jakże trudne do ziszczenia!

Równolegle z marazmem ideowym, marazm artystyczny. Był jeszcze Matejko; zapewne. Ale ówczesny Matejko to już nie był ten wulkan natchnienia co dawniej; wielkie jego płótna, coraz zimniejsze, coraz chłodniej były przyjmowane. Pamiętam charakterystyczny projekt, którego zapewne i wtedy nie brano zbyt na serio: ponieważ Matejko ma złą perspektywę, a dobre głowy i ponieważ nikt tak wielkich obrazów nie kupi, aby jego obrazy... rozparcelować!... Obok Matejki jednym tchem wymawiało się nazwisko Siemiradziki; Kraków tłoczył się na wystawę podziwiać jego marmury „jak żywe". Dość powiedzieć, że jego kurtyna nowego teatru była wydarzeniem artystycznym! Epigoni tych dwóch zapychają swymi bohomazami wysystawy obrazów, podczas gdy np. prace Boznańskiej, które niebawem miały jej zdobyć stanowisko w Paryżu były w Krakowie przedmiotem pośmiewiska. Bohaterem chwili jest Piotr Stachiewicz:

> Tyś chyba widział w noc księżycową
> otwarte niebo nad swoją głową;
> tyś chyba słyszał anielskie głosy,
> co przenikały na wskroś niebiosy...

– takie wiersze pisał ktoś do niego po karmelkowym *Cyklu Matki Boskiej*.

Na wystawę obrazów chodziło się głównie... wieczór, na koncert orkiestry wojskowej i elektryczne oświetlenie, jedyne wówczas w Krakowie. Jakże mi się żywo przypomniało to wszystko, kiedy w listach Żeromskiego napotkałem opis takiego koncertu, gdzie (pisze) „damy przy świetle elektrycznym mówią po francusku, oglądają *Mildę* Alchimowicza i na «Lutnię» tyle zwracają uwagi ile na mnie".

Ten sam odpływ w zakresie teatru. Umarł świeżo ówczesny dyrektor (1886–1893), Jakub Glikson. Mimo wszystkich frazesów, jakimi dziś starowinę na kredyt uczczono, trzeba stwierdzić, że jego rządy były nader smutnym momentem krakowskiej sceny. Glikson był totumfackim Koźmiana, który, zmęczony życiem na kilka frontów, oddał mu z czasem teatr, a sam pozostał przy polityce. Ponieważ równocześnie budował się już teatr nowy, o którym Glikson wiedział, że buduje się nie dla niego, prowadził tedy gospodarkę rabunkową, nic nie wkładając, a wyciskając, co się da. Były oczywiście talenty aktorskie, bo gdzieżby się podziały; ale, co do ogólnego poziomu, teatr ówczesny, stojący przeważnie „benefisami" i gościnnymi występami, był czymś nad wyraz prowincjonalnym. Podstawę jego stanowił – jak i za Koźmiana zresztą – francuski repertuar „salonowy", zabawnie odbijający nieraz od krakowskiej biedoty, gdy zemdlona wicehrabina padając ukazywała podeszwy, na których kredą była wypisana przez szewca cyfra należytości za świeżutkie „zole".

Literatura... Och! Cielęcy kult Sienkiewicza, i to bez mała wszystko. Był Asnyk, zapewne; ale już na schyłku i – w niełasce; na IV tom swoich poezji (*Nad głębiami* etc.) Asnyk długo nie mógł znaleźć nakładcy. Nigdy może kult Sienkiewicza w Warszawie, gdzie ścierały się prądy społeczne, nie był tak zupełny, jak w owym „dobrze myślącym", estetyzującym Krakowie. Sienkiewicz przebywał wówczas w Krakowie wiele: pamiętam jego odczyt – *Pójdźmy za nim* – preludium do przyszłego *Quo vadis*, ślicznie, choć trochę pretensjonalnie w swej „prostocie", czytane niskim, matowym głosem. Czytał dla Niej... Bo to był okres jego miłości, z której wynikło znikome małżeństwo oraz mściwa tych amorów transpozycja w *Rodzinie Połanieckich*. Był zresztą niewidzialny oczom zwykłych śmiertelników. To nie to, co później Stach Przybyszewski, któremu każdy mógł postawić koniak i wypić z nim „na ty"! „Z samymi hrabiami żyje, z samymi stańczykami", donosi Żeromski narzeczonej w r. 1892. Obiegały za to jego dowcipy i powiedzenia, na przykład owo: „Ładna Nata, ładna Ama, ale najładniejsza mama", zapisane na wachlarzu pięknej pani Z., wraz z ustnym dopełnieniem do ucha sąsiada: „Biedna Ama, biedna Nata, ale najbiedniejszy tata..." Mój Boże! znowu wspomnienie jak żywe: Ama i Nata Z., poezyjka Krakowa, najpierw ślicznie ubrane dzieci, z których urody dumne było całe miasto, potem młodziutkie panny, niepokojące swą dziewiczo-wyzywająco-cieplarnianą pięknością. Starszą zwłaszcza, Amę, powtarzał dziesiątki razy Axentowicz w swoich „główkach"; wycisnął ją jak cytrynę. Późniejsze ich małżeństwa były bardzo charakterystyczne: wydała je mama za mąż za granicą, jedną za księcia włoskiego, drugą za księcia rosyjskiego. Sama mama mieszka podobno dotąd na Riwierze. Kochano się w niej masowo, w owej epoce, gdzie było tak mało kobiet, że na jedną przypadało po dziesięciu wzdychaczów, i to jakich! Kochał się w niej podobno bez większego skutku znakomity Kazimierz Morawski tak, że aż zaniedbywał przez to swój warsztat naukowy, czym strapiony kolega jego i przyjaciel, ksiądz Pawlicki, chodził wielce zaaferowany i powtarzał: „Niechże ktoś na nią wpłynie, żeby ona jemu uległa, bo on nic nie pisze."

Strasznie trudno jest trzymać w ryzach takie wspomnienia: wciąż jedno wysnuwa się z drugiego, wciąż coś odrywa od przedmiotu. Ksiądz Pawlicki to znówl cała epoka dawnego Krakowa, dla którego zresztą pozostał sfinksem ten młody i zdolny filozof-pozytywista, który nagle, nie wiadomo z jakich pobudek, został księdzem i zakonnikiem, po to aby dostarczać miastu przez lata całe tematu anegdotek, jako wielbiciel Renana i France'a, epikurejczyk, żarłok i

czarujący bufon. Był profesorem filozofii (!) na Uniwersytecie Jagiellońskim; kiedy, na posiedzeniu Wydziału, jeden z kolegów-profesorów nagle ciężko zaniemógł, Pawlicki wsławił się naiwnym wykrzyknikiem: „Trzeba posłać po księdza...” Smakoszostwem był tak przesiąknięty, że rozprawiając po premierze o *Judaszu* Rostworowskiego, zamiast „Ostatnia Wieczerza” mówił „ostatnia kolacja” i nie wiedząc kiedy, przeszedł na różne sposoby przyrządzania ryb. Raz, bawiąc w zaprzyjaźnionym pałacu (żył przeważnie w sferze pałaców), miał odprawiać w niedzielę mszę w kaplicy pałacowej dla domowych i gości. Wychodzi ze mszą, widząc, że paru hrabin jeszcze brakuje, czeka tedy, dając oznaki zniecierpliwienia; kiedy wreszcie śpioszki się zjawiły, skłania lekko kielich w ich stronę, mówiąc: *„Ces dames permettent?”*, i idzie do ołtarza. Zabawną historię opowiadał mi o nim prof. Askenazy. Jako młody historyk, Askenazy referował w krakowskiej Akademii Umiejętności *Pamiętnik* króla Stanisława Augusta. Była tam relacja o kuchmistrzu królewskim, który był tak wybredny, że utrzymywał, iż dwudniowe masło jest już nieświeże. Naraz, przy tym ustępie, widzi Askenazy, który nie znał jeszcze wszystkich członków Akademii, że z aeropagu zrywa się jakiś ksiądz i machając rękami wykrzykuje: „Ma rację, ma rację, ja zawsze mówiłem, że nieświeże.” Z trudem go sąsiedzi-akademicy uspokoili i posadzili z powrotem. To był ksiądz Pawlicki.

O czym mówiliśmy? O pięknej pani Z. i jej wielbicielach. Czy to jeszcze zwykła plotka, czy już „historia literatury”, doprawdy nie wiem; ale podejrzewam, że to do niej Kocio Górski adresował swoje strofy (cytuję z pamięci, więc może co przekręcam):

Nie wołaj na mnie, nie usłyszę,
Czarnymi nie goń mnie oczyma,
Bom w elizejską wstąpił ciszę
I w blask, gdzie ziemskich wspomnień nie ma,
Bom białych świątyń przeszedł progi
I siadłem bogiem między bogi...

Co znaczyło prozą, że wyjechał do Rzymu i że jak nie, to nie...

Nie wołaj: jeszcze w szalę chwycę
Uśpioną Zewsa błyskawicę
I w oczy twoje pałające
Bez trwogi patrząc, w noc cię strącę,
Bo, jak się czarnym bogom święci,
Ciebiem poświęcił niepamięci...

Tak górnie się piało w owym Krakowie, a miasto wyglądało mniej więcej tak jak na rycinie. I kiedy patrzę na tę dorożkę, przypomina mi się mimo woli klasyczna scena z *Madame Bovary* Flauberta, gdy upiorny fiakier objeżdża przez pół dnia smutne ulice Rouen, kryjąc pierwsze upojenie miłosne Emmy i Leona. Iluż bezdomnym parom służyła za schronienie ta krakowska drynda, iluż wyolbrzymionym przeszkodami namiętnościom była zaczarowanym pałacem miłości! Egzaltacja słów skojarzona z trywialnością sytuacji – to było znamię epoki.

Czemu ten Kraków wyglądał tak straszliwie? Też jedna z fizjognomii powszechnego marazmu. Po Zyblikiewiczu, Dietlu, dawnych prezydentach Krakowa, nastąpiły senne rządy cnotliwego safanduły, księgarza Friedleina, które doprowadziły miasto do nieprawdopodobnego zaniedbania. Olimp krakowski miał przeważnie powozy, więc mniej cierpiał na tym, ale biada nam, piechurom...

Ale to należy do innego paragrafu; na razie mówiliśmy o Kociu Górskim. Mówię „Kociu”, bo

tak się dla wszystkich zwało to „cudowne dziecko" arystokratycznego Krakowa, paź cioci Modrzejewskiej-Chłapowskiej, która deklamowała w salonach jego wiersze. Biedny „Kocio" miał być po trosze ofiarą swojej sfery, z której nie umiał się wyzwolić. Utalentowany, dowcipny, wykształcony, nie dał mimo wszystko swojej pełnej miary; zaczął jako poeta, skończył jako historyk sztuki, wart był lepszego losu. Pamiętam jego nowelę *Biblioman*, nagrodzoną na konkursie „Czasu"; to był mały ewenemencik w literackim życiu Krakowa.

Dużym ewenementem natomiast stały się pierwsze tomy – zwłaszcza drugi – poezji Tetmajera. Ale o tym zjawisku trzeba by mówić oddzielnie. Tarnowski, przerażony, zapytywał w „Przeglądzie Polskim": „Co by powiedział pan Tetmajer, gdyby ktoś, przejąwszy się jego ideami, oblał naftą kościół Mariacki i podpalił?" Ale w Tarnowskim już Litka z *Rodziny Połanieckich* budziła poważne zastrzeżenia, począwszy od samego imienia. „Litka? – pytał hrabia-profesor – co to za imię? Czy jest w kalendarzu święta Litka? Czy ksiądz powiedział przy chrzcie świętym: *«Ego te baptiso Litka...»*? Może ta Litka (wydziwiał dalej) jest bardzo poetyczna i heroiczna, ale byłoby lepiej i dla niej, i dla jej rodziców, gdyby była taka, jak wszystkie inne dzieci w jej wieku..." A zważmy, że kiedy Tarnowski to pisał, on sam nie był w wieku usprawiedliwiającym ten stopień zdziecinnienia: miał lat pięćdziesiąt kilka. Cóż miał niedługo potem rzec o Przybyszewskim, o Zapolskiej, o Wyspiańskim! W tym świetle może zrozumialszy się stanie poemacik ze *Słówek* Boya o *Niegrzecznej literaturze polskiej i jej strapionej ciotce*.

> Teraz Józio się pomodli
> Za mamusię, za tatusia,
> Potem grzecznie się wysiusia
> I spokojnie, cicho zaśnie.
> Brzydki chłopczyk mruknął: „Właśnie!"

Bo zbliżał się moment, gdy życie ze wszystkich stron miało przypuścić szturm do tych zaspanych trochę i zadowolonych z siebie „okopów św. Trójcy", w których hetmanił ten król żołędny w gronostajach: w ciągu dziesiątka lat Kraków – bodaj duchowy – miał się przeobrazić do niepoznaki. Tylko drynda została ta sama.

A oto epizod, który przedstawia mi się niby *apogeum* kończącego się świata, a zarazem jakby jego symboliczne Mane-Tekel-Fares. Był to arcydystyngowany ślub Sienkiewicza, który odbył się w prywatnej kaplicy kardynała Dunajewskiego. Uwielbiałem wówczas Sienkiewicza; uwielbiałem go, Boże odpuść, za *Bez dogmatu*; z bijącym sercem wkradłem się na tę bardzo zamkniętą uroczystość za kartą mego ojca. Sienkiewicz był zawsze trochę snob, jeśli wierzyć wspomnieniom W. Przyborowskiego, wedle których główną ambicją młodego autora *Szkiców węglem* było to, że babka jego była z domu Ciuńdziewicka. Toteż na ślubie tym znalazł się cały wielki świat krakowski. Z ciekawością patrzałem na znakomitego pisarza, wówczas czterdziestosiedmioletniego, co w owej epoce, zwłaszcza dla młodożeńca, było straszliwie dużo. Wydał mi się zachwycający, gdy tak sobie klęczał z dość głupią miną, widocznie wzruszony; dwudziestoletnia oblubienica[4] zdawała się o wiele lepiej panować nad sytuacją. Książę-kardynał,

[4] W odziedziczonych rękopisach z jakiejś ówczesnej filantropijnej jednodniówki znalazłem wiersz narzeczonej Sienkiewicza, przepisany do druku ręką Kocia Górskiego. Wiersz ten figurował w jednodniówce tuż obok drobiazgu Sienkiewicza pt. *Osiczyna*. Miało to wyraźny charakter anonsu: „Henryk Sienkiewicz i Maria... zaręczeni", sprawiło też nie lada sensację w mieście, mimo iż jednodniówka wyszła w maju, a ślub odbył się w lutym. Wiersz narzeczonej Sienkiewicza to już (zdaje mi się) historia literatury; więc go tu przytaczam. Tytuł: *Riwiera*:

> Na srebrnej, cichej, przeźroczystej wodzie
> Cicho ligurskie kołyszą się łodzie,

świadom ważności momentu, wypieścił po literacku swoje przemówienie; robiąc aluzję do głośnej powieści Sienkiewicza, z naciskiem mówił, błogosławiąc nowożeńcom: „Z dogmatem idźcie w świat...”

Pojechali z dogmatem w podróż poślubną, oczywiście na południe. Wrócili po miesiącu, każde osobno: małżeństwo nie zostało skonsumowane... I dlatego uroczystość tę uważam za symboliczną dla ówczesnego Krakowa. Odmładzająca kuracja stawała się nieodzowna. Niebawem też miała nastąpić.

W oddali góry jasne i zamglone
Jakby w muślinu spowite zasłonę.
Przy brzegu, ponad śpiących wód lazury,
W koronkę willi rzeźbione marmury,
Wśród dwóch błękitów świecą się i bielą
Jak białe lilie, marząc nad topielą.
Głębiej cyprysów czerń, tam róż kaskady
I oliwniki. Bluszcz i winogrady
Stroją mur, zębem wieków poszczerbiony,
W ciemnej i jasnej zieleni festony.
Tam znów gaj pinij. Rozłożyste sosny
Sennemu morzu nucą śpiew miłosny,
A w chór złączone, złotolistne palmy
Grają, jak harfy, Dawidowe psalmy.
Różowym kwieciem kapią z gór migdały,
Anemonami porastają skały,
Czasem rybacka pieśń zabrzmi echowo...
Wietrzyk przynosi woń pomarańczową.

Powiedzcie: kiedy się człowiek wychował w tak dystyngowanej epoce, czy nie może mu zostać na resztę życia niejaka skłonność do używania ciężkich słów?

WIATR NAD KRAKOWEM

Malując w poprzednich rozdziałach dawny „pański" Kraków, mimo woli zaraziłem się od niego skłonnością do gawędy; ale tu trzeba mi być zwięzłym i suchym, zaledwie ram tego felietonu starczy, aby nakreślić „tablicę synchronistyczną" wypadków, jakie w ciągu kilku lat zaszły w tym cichym mieście. A rzecz zasługuje na utrwalenie, nigdy bowiem w tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni nie dokonała się większa przemiana. I nie bez ścisłości wziąłem datę ślubu Henryka Sienkiewicza jako symboliczny znak zbliżającej się odnowy; właśnie ten rok 1893 miał się stać jej początkiem.

Datę można ustalić z całą ścisłością, gdyż jest to data otwarcia nowego teatru, którego dzierżawę obejmuje Tadeusz Pawlikowski. Wobec powszechnej u nas skłonności do zmieniania ludzi w bezcielesne mity, warto może przypomnieć, że kiedy Pawlikowski obejmował teatr, miał lat dwadzieścia dziewięć. Mając przy organizowaniu nowej sceny wolną rękę, nie mając zaś za sobą autorytetu ani zasług, młody ten człowiek wolał, ufając (i słusznie, jak się okazało) swemu instynktowi, oprzeć się na zespole przez siebie stworzonym niż na szanownych rekwizytach personelu. Teatr Pawlikowskiego jest więc przede wszystkim – teatrem młodych. Jaki był ten zespół, uprzytomniło mi się, kiedy niedawno, przeglądając stare czasopismo, znalazłem obsadę jakiejś błahej sztuczki; grali w niej, między innymi: Solska (Pomian), Siemaszkowa. Przybyłkówna, Siemaszko, Solski, Roman, Kamiński, Śliwicki...

Nie jest moim zamiarem pisać tu monografię teatru Pawlikowskiego, ale też warto przypomnieć, czym dla ówczesnego Krakowa, po jałowiźnie dożywającej swych dni „budy" Gliksona, musiał być teatr, w którym przedefilowali Ibsen, Björnson, Strindberg, Hauptmann, Curel, Courteline, Portoriche, Oskar Wilde, Ostrowski, Czechow, Gorki, Maeterlinck etc... etc... Teatr Pawlikowskiego miał charakter teatru awangardy – dla całej Polski wówczas; otóż czy nie musiało być oryginalnym zjawiskiem małe i senne miasteczko, w którym jedyny istniejący teatr był sceną literacką prowadzoną przez notorycznego modernistę i „dekadenta"? Co Antoine w Paryżu grywał w swoim Théâtre Libre pokątnie, to w Krakowie szło jako oficjalny repertuar. A zważmy, że w mieście nie było konkurencji, nie było operetki, nie było wówczas kina; kto zatem miał w ręku teatr, ten mógł uprawiać pewnego rodzaju terror; mówił niejako do publiczności: „Nie chcesz tego, co ci daję? To siedź w domu." Miało to wielkie znaczenie wychowawcze dla miasta; zwłaszcza przy częstości premier. A czymże dopiero był taki teatr dla młodych, jakiż ożywczy zastrzyk raz po razu; w mieście, gdzie życie realne było tak straszliwie ubogie, jedynymi realnościami stawali się Ibsen czy Curel, nowa rola Kamińskiego urastającego w oczach. Teatr opędzał trzy czwarte rozmów, był jedynym zdarzeniem wolnym od piętna śmieszności, europejskim. Dodajmy, iż sam Pawlikowski, swą tajemniczą perwersyjnością, legendą swego majątku, swą cyganerią w wielkim stylu, swoim upartym drażnieniem krakowskiej cnotki, działał silnie na fantazję miasta, w samym zaś teatrze stwarzał atmosferę podniecającą, sprzyjającą rozkwitowi talentów.

Prawie równocześnie – ważne przemiany w życiu malarskim. Umiera Matejko. Matejko był genialnym malarzem, ale szkoła jego, w ostatnich latach zwłaszcza, była martwa. Już szły ze

świata nowe prądy, nowe hasła, światło, kolor, plama, plener, impresjonizm; nie przenikały tylko do gmachu, gdzie władał Matejko, sam jeden, wielki, w otoczeniu miernych nauczycieli. Najpowolniejsi uczniowie w zaduchu pracowni podlewali brudnym sosem swoje zimne wypracowania figuralne. Co było wielkie u Mistrza, stawało się okropne u jego epigonów. Najżywszy z młodych, Włodzio Tetmajer, zmuszony niemal kryć się z tym, co malował, drapnął do Bronowic. Skoro umarł Matejko, po krótkim okresie przejściowym (Łuszczkiewicz, Rodakowski), powierzono Fałatowi reorganizację szkoły. Fałat ściąga z kraju czy z zagranicy tęgich malarzy, a młodych jeszcze ludzi; nowe ciało profesorskie to Wyczółkowski, Malczewski, Pankiewicz, Axentowicz, Laszczka, Stanisławski, później Ruszczyc... Zmienia się zupełnie fizjognomia, duch szkoły. Zapachniało Paryżem. Przedtem szacunek dla Mistrza trzymał uczniów w milczącym oddaleniu; teraz młodzi profesorowie, kontenci, że się znaleźli razem, kontenci z warsztatu pracy, są w pysznych humorach, figlują, karykaturują się wzajem, tak jak ich znowuż karykaturują uczniowie, traktowani przez nich jak młodsi koledzy. Na którymś ze swoich obrazów Wyczółkowski wymalował Jacka Malczewskiego nago, z kosmatymi nogami fauna, nagabywanego przy pracy przez nimfy czy dziewczęta. W istocie, w porównaniu z askezą Matejki, to był renesans po średniowieczu! Szkoła wre pracą, ale rozbrzmiewa wesołym śmiechem. A kiedy rychło potem powstaje stowarzyszenie „Sztuka", przeprowadzając tak potrzebną wówczas selekcję artystyczną, dzięki której zyskuje pierwszorzędne sukcesy w stolicach europejskich, raz po raz profesorowie któregoś ze swych uczniów wyzwalają na majstra, pasując go na członka „Sztuki". Zadziwiający jest urodzaj na talenty malarskie w ówczesnym Krakowie. Młodość!

Interesujący jest związek, jaki istnieje między rzeczami materialnymi, technicznymi, a życiem duchowym. Jakże doniosłe miał na przykład znaczenie pastel, użyty przez Wyspiańskiego. Olejny obraz – taki jak je wówczas malowano, masywny – był dostępny jedynie magnatom. Robota portretu trwała całe tygodnie. Któż mógł bodaj zamarzyć o portrecie Matejki! Wyspiański, który miał w głowie tysiące prac i pomysłów, a nie zawsze miał na farby, machał pastel w godzinę lub dwie; w proporcji do czasu i materiału, i cena była o ileż niższa; to „potanienie geniuszu" miało nieobliczalne następstwa dla kultury artystycznej miasta. Uprościł także ramy – oprawiając swoje obrazy w zwykłą, nie malowaną nawet listwę drewnianą, gdy dawniej lada bohomaz wymagał kosztownych ram złoconych. Dzięki tej prostej zmianie techniki arcydzieło Wyspiańskiego było dziesięć razy tańsze niż „kobyła" jakiegoś Krzesza, którego samo płótno, farby i rama kosztowały więcej, niż Wyspiański żądał za cały obraz. To miało decydujący wpływ na wniknięcie malarstwa w nowe mieszczańskie społeczeństwo, dopuszczając je do zażyłości ze sztuką. Pasja do obrazów, zwłaszcza wśród lekarzy krakowskich, rozwija się w ciągu kilku lat zadziwiająco, przeobrażają się ściany mieszkań. Bardzo ciekawe było patrzeć na tę infekcję sztuką, w której niemałą rolę gra osobiste zetknięcie się z artystami, nietrudne w miniaturowym Krakowie, gdzie wszyscy prawie się znali.

Literatura. Ale trzeba się streszczać. Zatem w roku 1894 wyszła w Krakowie pamiętna druga seria (tak wówczas skromnie tytułowano tomiki poezji) Kazimierza Tetmajera. W tym samym mniej więcej czasie drukuje w krakowskim „Świecie" Miriam swój przekład *Statku pijanego* Rimbauda, dając tym przedsmak przyszłej „Chimery". W r. 1897 zakłada Ludwik Szczepański „Życie" (pierwsze harce Nowaczyńskiego, A. Górski, Miciński, Perzyński, Kisielewski etc.), w którym współdziała przybyła z Paryża Gabriela Zapolska. Zarazem Zapolska jest aktorką w teatrze Pawlikowskiego i wystawia pierwsze swoje sztuki: *Żabusia*, *Kaśka Kariatyda*, *Tamten*. W roku 1898 spada na Kraków Przybyszewski; w tymże roku teatr wystawia jego sztukę *Dla szczęścia*; w roku 1899 *Warszawiankę* Wyspiańskiego. Powstaje „Paon", braterska orgia literatury, teatru, malarstwa, muzyki. (Przybyszewski miał wówczas lat trzydzieści; krakowska

jego gromadka liczy mało co ponad dwadzieścia; i tu – młodość.) Feliks Jasieński zjeżdża ze swoim wędrownym muzeum i całą japońszczyzną.

Wreszcie – w roku 1901 – *Wesele*, już w teatrze Kotarbińskiego. Doprawdy, w ciągu tych ośmiu lat Kraków dużo przeżył. To równoczesne spotkanie się tylu niezwykłych indywidualności, współżycie ich, współdziałanie, inspirowanie się wzajemne wytworzyło atmosferę tak przesyconą ozonem, jak z pewnością mało gdzie i kiedy. Było to tym osobliwsze, że działo się w małym miasteczku, którym zewnętrznie Kraków być nie przestał. Mały Kraków urósł przez sztukę o wiele wprzód, zanim ambitna energia prezydenta Leo przeobraziła go administracyjnie w Wielki Kraków. To do niedawna miasto starców staje się miastem młodych. Nawet jego biedę zdołała na chwilę oszukać sztuka. Młoda cyganeria z dumą przywdziewa uniform artysty, parysko-zakopiańską pelerynę, która ma tę zaletę, że wraz z młodopolskim krawatem pokrywa niedomagania ubrań i bielizny. Życie przenosi się z salonów do knajpy, a jeżeli zawadzi o salon, to o bawialnię jakiego lekarza czy profesora. Sztuka staje się nobilitacją mieszczaństwa.

A dawny „pański" Kraków patrzał na to wszystko, coraz bardziej odosobniony, i nie rozumiał nic. Dopiero młodsi hrabiowie – Morstin, Rostworowski – przejdą pod znak Wyspiańskiego. Kiedy młody Morstin po wystawieniu *Legionu* miał odczyt o tej sztuce, Tarnowski był bardzo z tego niezadowolony; aby go udobruchać, spiknięto go gdzieś w towarzystwie z Morstinem. Nie bardzo się to powiodło. „Czterdzieści lat uczę, co jest piękne, a co brzydkie, a te osły latają na *Legion*", burknął hrabia-profesor. „A cóż ekscelencja powie o mnie, który miałem odczyt o *Legionie*?", podjął Morstin rękawicę (jeżeli to można nazwać rękawicą). „Kto osłów uczy, o tym nie powiem, kim jest", odrzekł Tarnowski. Taka była rozmowa hrabiów, którą powtarzał mi Morstin, a która dowodzi, jak bardzo staremu hetmanowi ta dezercja zapadła w serce.

Bądź co bądź, fala młodości, która ogarnęła Kraków, dała się odczuć i w tym obozie, ale w dość zabawny sposób. Było to w początkach dyrekcji Pawlikowskiego: owo sławne przedstawienie *Lizystraty*, od którego długo trzęsło się miasto. W owym czasie wystawiono w Paryżu ten utwór Arystofanesa, przyprawiony bulwarowo przez Maurycego Donnay. Skusiło to dawnego dyrektora, jeszcze sercem bliskiego teatrowi, Koźmiana, który ujrzał w tym rolę dla wybornej, ale starzejącej się aktorki Hoffmanowej: sam przetłumaczył tę arystofanesowo-donejową *Lizystratę* i ofiarował się z inscenizacją. Już z prób zaczęły iść na Kraków wieści, że czegś podobnie nieprzyzwoitego świat i korona polska nie widziały. Tecia Trapszówna, która miała grać Myrrynę, zalewała się rzewnymi łzami, że jej każą występować nago: „nago" wówczas to znaczyło w cielistych trykotach po szyję i w płaszczu, który miała rozchylić na jeden moment. Ale w istocie przedstawienie było bardzo nieprzyzwoite: podkreślono, z sarmacką jurnością, słowem i gestem, drażliwe momenty; wszystko razem trąciło pornografią. Jako poetycką wstawkę wszyto *Narodziny Afrodyty* Tetmajera, połączone z tekstem za pomocą operetkowego: „Opowiedz, jak to było. – Posłuchajcie." I do tego bigosu, znakomity hellenista, prof. Kazimierz Morawski, któremu widać w owym czasie dopiekła perfidna srogość którejś z krakowskich dam, napisał prolog, na dzisiejsze pojęcia arcyniewinny, ale na ówczesne stańczykowskie maniery nieprawdopodobnie... wyuzdany! Mówił w tym prologu do publiczności, iż może ją dziwi,

> że greckie panie i greckie panienki
> rzecz nazywają właściwym imieniem,
> może się serce wasze przy tym wzdryga;
> wiecie, jak cenną krzewiną jest figa
> i jak jest miło skryć się pod jej cieniem.

...Perykles czułby się w tym grodzie struty,
próżno by szukał uroczej Aspazji,
w mieście, gdzie więcej niż grzechów – pokuty,
i może rzecz tę biorąc nazbyt serio,
Aspazję zmieniłby w skromną Egerią...

(Oj, ta Aspazja! czuję tu perfumy pięknej pani Z...)

Po tej *Lizystracie* w mieście zawrzało. Liberały, widząc sposobność ugodzenia znienawidzonych stańczyków w najczulszy punkt: moralności, owej moralności, której stańczykom wciąż było za mało u drugich, rozdarli szaty z oburzeniem; satyryczne pismo „Diabeł" ogłaszało imienną listę szanownych osób, które były na *Lizystracie*. Ksiądz jakiś, nie zorientowany w wyższej polityce, wystąpił z ambony przeciw sztuce: Tarnowski wezwał księdza i zwymyślał go; nie księdzu sądzić biskupa, a wedle krakowskiej hierarchii stańczykowskiej Koźmian i Morawski mieli rangę co najmniej biskupów.

Jedną jeszcze pamiętam zabawną historię o tym, jak pałac próbował uczepić się nowego życia. Było to już później, kiedy dzięki agitacji Warchałowskiego Kraków wstąpił w znak „sztuki stosowanej", a znowuż dzięki apostolstwu Witkiewicza zakopiańszczyzna wciskała się wszędzie. Jednego dnia zjawia się w siedzibie Warchałowskiego słynna hrabina X. Chciałaby (powiada) ufundować konkurs: konkurs na ornat. „Bardzo pięknie, jakąż nagrodę przeznacza pani hrabina?" – „Jedną gwineę. (Zdumienie na twarzy Warchałowskiego.) ...Jedną gwineę; ja słyszałam, że zwykle na takich konkursach nagroda jest jedna gwinea. Tylko jeden warunek: żeby nic nie było z portek. (Znów na twarzy Warchałowskiego odbiło się zdumienie.) ...No, z portek (tutaj gest palcem w powietrzu, z którego interlokutor zaczyna się domyślać, o co chodzi)." – „Pani hrabina myśli o parzenicy?" – „*Vous appelez ça* parzenica? Bo ja to nazywam portki..."

Dobra hrabina była przekonana, że „portki" to jest wyszywanie na spodniach góralskich!

Czy można by znaleźć coś, co by lepiej oddało psychikę kasty niż ta gwinea, ten ornat i te portki? Kombinacja sknerstwa, bigoterii, snobizmu i jakiejś – aby tak rzec – eksterytorialności tych krajowych cudzoziemców, którzy nawet języka swego kraju nie znają! Bo skoro żona prezesa Akademii Umiejętności nie wie, co znaczą po polsku „portki", czegoż żądać od innych!

Ale już zbliżał się dzień zapłaty: „Nie takie głowy jak twoja, ekscelencjo, spadały!", grzmiał w wiedeńskim parlamencie Daszyński do Wojciecha Dzieduszyckiego, starego kawalarza, który bawił się tym, że na ceremonialne zaproszenia opatrzone u dołu literami O. o. u. s. (O odpowiedź uprasza się) odpowiadał również pierwszymi literami: Dziękuję uprzejmie, przybędę akuratnie. (Potem się ta formuła spospolitowała, ale on ją wymyślił.)

Daszyński! To też był współczynnik przemiany Krakowa. Cały Kraków pędził jak do teatru na jego pierwsze porywające mowy w ujeżdżalni. Daszyński, wówczas w pełni młodości, to był – niezależnie od przekonań słuchaczy – największy, obok Kamyczka (Kamińskiego), sukces artystyczny. Ale sam socjalizm, w pierwszym wówczas swoim bohaterskim okresie, pociągał młodzież; skupiał siły wprzód nie mające zużycia, wabił chłopców, dziewczęta. Bo wśród tego i uniwersytet dostał zastrzyk hormosperminy. Po długich walkach dopuszczono kobiety do studiów, na razie na medycynę. Miało to dla fizjognomii Krakowa znaczenie: nie tylko krakowianki wyroiły się na ulicy Kopernika, ale i większość emancypantek zza kordonu, które dotąd musiały jeździć do Zurychu lub do Paryża. Równocześnie chroni się na krakowski uniwersytet raz po raz garść wydalonych za jakieś przewiny studentów warszawskich. Odcinają się na ulicy swymi rosyjskimi czapkami, niedbałymi brodami, w laboratoriach swą pracowitością i swą hardością, tak niepodobną do potulności tubylców, wychowanych w szacunku dla „władzy". Przynoszą z sobą jakiś powiew tragiczny, raz po raz bucha tajemnicza historia, jakiś

trup znaleziony na Błoniach – samobójstwo czy samosąd? Słowem, gdzie tylko spojrzeć, przemiany. Ostry wiatr powiał na Kraków.

ARIEL I KALIBAN

Niech to nikogo nie dziwi, że Ariel na rycinie jest masywny i tłusty, a Kaliban długi i cienki. Natura miewa także kaprysy. Ale tutaj kaprys jej ma znaczenie poniekąd symboliczne. W walce, jaką w podwawelskim grodzie Ariel sztuki stoczył z Kalibanem, siłą przeciwnika była właśnie ta nikłość, która się umykała wszelkiemu natarciu. Przygięty wichrem, jak trzcina, Kalibanek prostował się znowu.

I niech też nikogo nie dziwi, że tym dawnym krakowskim zdarzeniom poświęcam tyle miejsca; niech nikt nie pomawia mnie o zbytni „regionalizm". Toż to była – od czasu starcia romantyków z klasykami warszawskimi – pierwsza w wielkim stylu s p r a w a o s z t u k ę, to było pierwsze bodaj ś r o d o w i s k o a r t y s t y c z n e, jakieśmy mieli.

Bo i jak mogliśmy je mieć przy naszym rozbiciu, rozprószeniu, przy naszych troskach? Wszak przez tyle lat duch polski nawykł koczować za granicą! Gdyby ułożyć listę naszej emigracji – musowej i dobrowolnej – zajęłaby ta lista wiele stronic. Nie było naturalnej osmozy sztuki. Pomiędzy szczytami – jakimś Norwidern czy Chopinem – a kulturą kraju była przepaść. Przy ciągłych upustach krwi, wstrząsach i żałobach, zakazach i nakazach, czyż mogło być na serio miejsce na te sprawy?

Dlatego czymś osobliwym w naszym życiu było to dziesięcio- czy piętnastolecie Krakowa, w którym, na przekór wszelkim niedostatkom materialnym i fizycznym miasta, rozwinęło się życie artystyczne tak pełno, jak nigdy wprzód u nas i nigdzie. Płodne spotkanie się tylu niezwykłych jednostek, współczesność rozkwitu teatru, malarstwa, poezji, sztuki dekoracyjnej, walka o nową myśl i nową formę; okres ów, poza tym co dał bezpośrednio, wytworzył tyle energii potencjalnej, że można powiedzieć, iż bardzo znaczna część tego, co się dziś w Polsce w zakresie sztuki dzieje, ma źródło w ówczesnym Krakowie. To chyba starczy, aby się warto było nim zajmować.

Na kilka lat przed tym krakowskim renesansem pojawiła się w Warszawie książka, która narobiła dużo hałasu. Była to Stanisława Witkiewicza *Sztuka i krytyka u nas*. Mówiła o rzeczy mającej ścisły związek z brakiem atmosfery artystycznej, o niedomaganiach naszej krytyki. Chodziło tam głównie o malarstwo, ale i w ogóle o to, aby sztukę sądzić kryteriami sztuki. Nie było to łatwe żądanie, bo gdzież miały się wytwarzać te kryteria? Malarstwo nasze rozwijało się przeważnie za granicą; krajowa „krytyka", to było aż nazbyt często ględzenie miernot o miernotach. Poczciwość intencji, obywatelska myśl, dostojeństwo tematu, szacunek dla starszych, praca, nieskazitelne życie to były miary służące dla oceny obrazu. I tak było po trosze we wszystkim; zanieczyszczenie pojęć sztuki najciaśniej stosowanymi kategoriami pożytku społecznego istniało we wszystkich działach. Straszliwie było potrzeba miotły; owo: „Oczyścić dom, dzieci!", księdza Robaka było bodaj że najpilniejszym zadaniem. I to spełniło się poniekąd w Krakowie.

Działał w tym duchu teatr, który wprowadzając raz po raz dzieła współczesnej europejskiej myśli, odkażał powietrze z mikrobów zaścianka. Działa najsilniej Przybyszewski, jednostronnie zapewne i często niesprawiedliwie, ale jakże twórczo, podniecająco, podnosząc temperaturę, ogarniając jednym spazmem myśli poezję, malarstwo, rzeźbę, architekturę, muzykę, historię! I

wciąż istotą tego apostolstwa, mającego dwa oblicza – uwielbienie i szyderstwo – było rozróżnienie tego, co jest Sztuką, a co ją świętokradczo udaje. Pod tym względem wszystkie te tak różne indywidualności sprawujące sądy Minosa w krakowskim „Paonie" były zgodne: to samo wyrażało ironiczne brząknięcie Wyspiańskiego i sławne „he, he" Przybysza, i wymowne milczenie Pawlikowskiego, i groźne, nieartykułowane pomruki Stanisławskiego. Interpretowanie zasady mogło, oczywiście, nie być wolne od uprzedzeń i omyłek, ale sama zasada, postawiona u nas bodaj po raz pierwszy, miała wielkie znaczenie. Pierwszy raz akcentuje się tak dobitnie pojęcie wspólności Sztuki i potrzeba selekcji.

Zasada selekcji najrealniej wyrażała się w dziedzinie malarstwa; jakoż powstające w owym czasie stowarzyszenie „Sztuka" już samą nazwą wskazuje, że celem jego jest rozdział na to, co jest sztuką, a co nią nie jest. Nie było to zadanie łatwe; wymagało autorytetu, pewnej bezwzględności, nawet despotyzmu. Tego zbawiennego tyrana znalazła „Sztuka" w Janie Stanisławskim; a choć z natury rzeczy akcja ta budziła niejeden sprzeciw, w sumie jednak miała swoje wielkie znaczenie, wewnątrz i jeszcze bardziej na zewnątrz. Pierwsze wystawy „Sztuki" za granicą były tryumfem. Przedtem istnieli dla Europy polscy malarze (często pod obcą flagą), odtąd istnieje – polskie malarstwo.

Jana Stanisławskiego warto przypomnieć, bo twórczość jego malarska – mimo że niepospolita – nie wyczerpuje tej bogatej natury. Jego wpływ osobisty w ciągu owego dziesięciolecia, jego działalność organizatorska, jego „żywa krytyka" – i to nie tylko malarska – wszystko to zajmowało wiele miejsca w ówczesnym życiu artystycznym Krakowa. Dziś jeszcze, po dwudziestu kilku latach, tym, co go blisko znali, zdarza się w różnych sytuacjach naśladować żartem, co by on powiedział, jego głosem, jego stylem. Słyszy się jeszcze te długie pomruki, z których strzela nagle jakaś rozkosznie celna i lotna definicja.

Gdyby nie ukraińska mgła zadumy w jasnoniebieskich oczach, można by o Stanisławskim powiedzieć: figura rabelesowska. Ten olbrzym, gruby jak piec, był podobny do Pantagruela z ilustracji Dorégo. Był synem profesora, tłumacza *Boskiej komedii*; studiował matematykę, z której przeszedł do malarstwa, zawadziwszy o dom obłąkanych, podobno wskutek nieszczęśliwej miłości do pianistki Antoniny S. Opowiadał raz, że spotkał tam wariata, który mu mówił zdumiewające rzeczy o kolorach. Kiedy uzbierał jakie sto rubli, jechał do Paryża i żył tam, póki mógł. Malował maleńkie obrazki – małe cudowności – stanowiące wymiarem swym zabawny kontrast z jego olbrzymią postacią, ale właśnie podobno tusza jego była przyczyną ich maleńkości: przy większym obrazie zanadto go męczył konieczny ruch ciągłego zbliżania się i oddalania. Ten brzuch o niesłychanej pojemności był stale niedopełniony. Sądzę, że kiedy go zamianowano profesorem Akademii, pierwszą jego radością było, że może się najeść do syta. Opowiadał, jak oprowadzając po Paryżu Zapolską, bez grosza w kieszeni i zmuszony udawać, że mu się nie chce jeść, patrzał z nienawiścią na nią, wsuwającą befsztyk. „Jak ja jej nienawidziłem w tej chwili!", powiadał. Maciupeńkie pejzaże, które przywoził z Ukrainy, zaczęły zwracać na niego w Paryżu uwagę. Nie mając pieniędzy na ramy, przyczepił kilkanaście tych obrazków do wielkiego płótna i posłał je na Salon; zainteresowały członków jury tak, że sami złożyli się na ramy. Wówczas to Fałat, reorganizując Szkołę, powołał go do Krakowa; niebawem Stanisławski stał się duszą Akademii Sztuk Pięknych.

Rabelesowska była w tym człowieku i pojemność duchowa. Rzadko spotyka się człowieka tak niezmęczonego w chłonięciu wrażeń. Nie opuścił ani jednej premiery, ani jednego koncertu, znał całą literaturę, pił muzykę wszystkimi zmysłami. Ten kresowiec-paryżanin czuł się równie swojo w mrokach duszy rosyjskiej, co w wyrafinowaniach kultury francuskiej. Miał pasję nauczycielską, masę czasu poświęcał uczniom; przy tym był żarłok i smakosz, potrafił zjeść półmisek kołdunów, zagrać dwadzieścia robrów winta, a gawędziarz był taki, że z

odprowadzającym go do domu zagadywał się pod bramą do rana. Dowcip smakował i cenił jak mało kto; określenia jego krążyły z ust do ust, były żywą krytyką kształtującą opinię. Organizator o niespożytej energii stał się również duszą „Sztuki"; woził jej wystawy za granicę, znajdował wszędzie posłuch i sympatię, dnie i noce męczył się przy urządzaniu sali i cieszył się tryumfem tych, których wysuwał na pierwszy plan, najmniej myśląc o sobie. A kiedy mówił o wielkiej sztuce, o swoich uwielbianych mistrzach, oczy jego nabierały wyrazu jakby ekstatycznego rozmodlenia. I ta mgiełka mistyczna – mistyka matematyków – to źdźbło obłędu przytajone w oczach, dodawały, szczególnej zaprawy tej jasnej i przenikliwej inteligencji.

Obcowanie z nim – a umiał być czarujący! – zawsze budziło pewien niepokój. Podrażniony, miewał wybuchy furii, których się bano; zdawało się, że może zabić człowieka. To również przydawało mu autorytetu: przy jego wzroście i sile, któż by się takiemu sprzeciwił! Kiedy mu ktoś zarzucał, że jest niesprawiedliwy, wybuchał: „Noo... dlaczego ja mam być sprawiedliwy? Pan Bóg jest sprawiedliwy." Mimo to, nie sądzę, aby w kryteriach malarskich popełniał wiele niesprawiedliwości.

Po którejś wystawie Jacka Malczewskiego (z jego najbardziej „symbolicznego" okresu) Stanisławski długo kręcił brodę, międlił coś w ustach, w końcu mruknął: „No, pięknie, bardzo pięknie, no, ale na przyszły rok będzie żaba w kwaśnym mleku, no, i zbawienie Polski." Ktoś musiał powtórzyć to Jackowi, bo kiedy na przyszły rok wystawił nowy obraz, była na nim, obok postaci samego Jacka, wielka dzieża z kwaśnym mlekiem, z której wychodzi żaba; podpis *Zatruta studnia*. Bo Jacek Malczewski, mimo tercjarskiego habitu św. Franciszka, w którym się kazał pochować, był wielki ścichapęk i figlarz.

Stanisławski uwielbiał Chełmońskiego, jego jednego może bez zastrzeżeń. Zabawny był jego stosunek do Wyspiańskiego, złożony z admiracji, czułości i jakiejś przyjaznej złośliwości, odwzajemnianej zresztą. W jednym ze swoich wybuchów – było to przed *Weselem* – dawał taką charakterystykę Wyspiańskiego: „No, wyobraźmy sobie, że Polska umarła i że jest jej pogrzeb; Słowackiemu, gdyby był na pogrzebie, pękłoby serce i wylałaby się krew czerwona. Wyspiański najpierw by wszystko ustawił, wyreżyserował, poprawił, to tu, to tak; potem pękłoby mu też serce i wylałaby się krew – seledynowa." Kiedy już przekonał się do Wyspiańskiego zupełnie, cierpiał nad tym, że Chełmoński go nie uznaje: pasją jego było zbliżać tych, których kochał. Wreszcie nawrócił Chełmońskiego witrażem Kazimierza Wielkiego, przed którym Chełmoński stanął w osłupieniu. Korzystając z tego, Stanisławski z radością zaprosił obu do siebie. Chełmoński, ze swoją wylaną naturą, podszedł ku Wyspiańskiemu z otwartymi ramionami i ze słowami podziwu. Ale Wyspiański, który wiedział o jego dawniejszej niechęci, a był bardzo rogaty i pamiętliwy, zapiął charakterystycznym ruchem swój wieczny czarny tużurek, w odpowiedzi na wylewy brząknął tylko: „Cieszę się, że znalazłem uznanie w pańskich oczach", i odsunął się. Stanisławski oniemiał; nie wiadomo było chwilę, czy wybuchnie, czy się rozpłacze; wreszcie odszedł w kąt i jęknął: „Noo, g...arz z żółtą brodą!" Nikt chyba dla Wyspiańskiego nie znalazł równie oryginalnego określenia; a był w tym i żal, i czułość, i nawet uznanie.

Tak, ten ciężki kształtem, a lotny myślą i miłością brzuchacz był prawdziwym Arielem radosnej wiedzy o sztuce. Budził naturalny postrach w Kalibanie, którym był krytyk „Nowej Reformy", Władysław Prokesch. Nicość Prokescha miała coś apokaliptycznego; to był na swój sposób fenomen. Przez trzydzieści lat z górą był sprawozdawcą literackim, teatralnym, malarskim i muzycznym. Gdyby zebrać razem – szalona myśl! – wszystko, co napisał, złożyłaby się cała biblioteka. Pomagała mu w tej pracy absolutna ignorancja. Bąki, które strzelał, były stałą radością artystów. W recenzji z *Mandragory* potrafił pisać: „p. Maciavel", w przekonaniu, że krytykuje współczesnego autora. Wyrobił sobie specjalny słownik frazesów, które nie znaczyły nic, a których można było użyć do wszystkiego, jak na przykład: „uwypuklić nieprzeciętne

walory owiane sentymentem" itp. Wynalazł sposób „asekurowania się" polegający na tym, że jedna połowa zdania przeczyła drugiej. Ten krytyk, piszący parę dziesiątków lat w dużym piśmie liberalno-postępowym, wciąż zwalczał wszelką „modernę", a chwalił zbożne tendencje. Chwalił Rostanda[5], że „otworzył szarą przędzą pleśni od dawna zasnute okno i wpuścił przez nie powiew świeżych prądów po stęchliźnie szpitalnej, jaką daje literatura modernistyczna"; chwalił Bełcikowskiego „swojski obrazek życia narodowego skreślony ręką zamiłowaną w przeszłości, a piszącą sercem" etc. Z formułek jego ułożył Nowaczyński *vademecum* dla krytyków, pod tytułem *Mały Prokesch*. Najzabawniejsze bąki strzelał w muzyce, której terminy najwięcej mają ścisłości; nie da się np. słów „chromatyczny" itp. używać po omacku. Fachowi muzycy robili sobie zabawę przysiadając się na koncercie do Prokescha i podsuwając mu brednie, które na drugi dzień z radością czytali w jego recenzji.

Przez czas działań Stanisławskiego Prokesch przycupnął nieco. Ale oto rzecz godna uwagi, niemal symboliczna. Grubas Stanisławski umarł bezdzietnie; cienki jak tyczka Prokesch miał ośmioro dzieci. I to chuchro, które – zdawałoby się – wiatr przewróci, przetrwało wszystkich; Witkiewicza, Stanisławskiego, Pawlikowskiego, Wyspiańskiego, wszystkich. Doczekał się swojej apoteozy, swego jubileuszu (te nieopisane krakowskie jubileusze!). I ci sami malarze, którzy dwadzieścia lat wprzódy kwalifikowali jego działalność w słowach najbardziej... malowniczych, teraz, sami doszedłszy fazy, w której budzi się potrzeba wzajemnej wyrozumiałości i pobłażania, zaczęli rozumieć praktyczność i wygodę instytucji – Prokescha. I urządzili mu jubileusz, i wprowadzili go pod ręce, i mieli do niego mowy. Tylko *enfant terrible* ówczesnego Krakowa, Feliks Jasieński, zamącił tę uroczystość felietonem, w którym zestawił najsławniejsze bąki Prokescha, między innymi ową sławną recenzję z *Wesela*[6], gdzie krytyk wykładał myśl utworu jako zachętę dla inteligencji, aby się zbliżała do ludu, a „choć nie brak przy tym małych dysonansów, całość kończy się wesołym oberkiem". „Nie miałbym ostatecznie nic przeciw tej koncepcji – dworował sobie Jasieński – jedno mnie tylko niepokoi, mianowicie, że p. Prokesch był równocześnie krytykiem muzycznym."

W owej chwili Kraków, pod znakiem wojen, a zwłaszcza aprowizacji, znów miał co innego na głowie i nie przywiązywał znaczenia do takich sporów. Ale walka między Arielem a Kalibanem jest wieczna...

[5] Cytaty te przepisuję dosłownie z książki Kotarbińskiego *W służbie poezji i sztuki*, gdzie przytoczone są zupełnie poważnie... Poczciwy Józefek!

[6] Egzemplarz „Nowej Reformy" z ową słynną recenzją zniknął tak doszczętnie, że nie ma go podobno nawet w Bibliotece Jagiellońskiej.

«NA POCZĄTKU BYŁA CHUĆ...»

Lubię, kreśląc te wspominki, zaglądać do listów Żeromskiego pisanych z Krakowa do narzeczonej. Bawią mnie te konfrontacje wrażeń. Otóż czytam pod datą roku 1892: „Zapoznałem się z powieściopisarzem Sewerem. Ten ostatni jest już starowinką, ale krzepkim jeszcze i trzymającym z młodymi... Spotykamy się i gadu gadu. Jest to taki gaduła, że trzeba na ulicy zmiatać przed nim, gdy się nie ma czasu, bo gotów godzinkę przetrzymać i poobrywać guziki u palta, tak je kręci. Złoty pierniczek!..."

Uśmiechnąłem się mimo woli, kiedym to czytał. Bo Sewer miał wtedy lat 52, a historia literatury – Feldmana czy Potockiego – podkreśla młodzieńczą świeżość, jaką zachował do końca. Ale mógł robić na kimś to wrażenie. Tak ludzie postarzali się wówczas dobrowolnie, charakteryzacją, strojem, wzięciem. Kto znał Sewera powierzchownie, ten mógł w istocie myśleć: „pan Jowialski". Pan Jowialski płatający niewybredne figle i psoty, potrzebujący ciągłego gwaru, wciąż głodny okazji do śmiechu, bawiący się bez końca jednym konceptem. To był Sewer „popołudniowy". Ale był i Sewer „poranny", jeden z najpracowitszych literatów w Polsce, który regularnie kropił swoich sto czy dwieście wierszy dziennie zachowując do końca niezmęczoną wenę opowiadania, artysta wrażliwy na wszystkie kwestie i prądy, chwytający je za łatwo może czasem, ale w lot, żyjący po koleżeńsku a zarazem po ojcowsku z młodymi, nie przestraszający się żadnej ich ekstrawagancji.

Kiedy skończył swój dzień pracy, Sewer puszczał głowę luzem. Wówczas bawił się byle czym, chodził, gadał, mącił wodę, świntuszył sobie z sarmacka i bardzo niewinnie, zaczepiał nieznajomych, pisał z byle powodu do przyjaciół listy zrywające znajomość, ale zapominał o tych listach zaraz po ich wysłaniu...

Szedłem raz z Sewerem ulicą; idzie naprzeciwko nas jakaś obca pani z córeczką i woła na nią: „Andziu, nie oddalaj się!" – „...Od trzody, mówiła stara owca do owieczki młodej", wy deklamował jej Sewer prosto w twarz, ukłonił się i odszedł, zostawiając paniusię w osłupieniu. To próbka jego zabaw. Czy nie jowialszczyzna?

Ten pan Jowialski miał swoją nieodłączną panią Jowialską, przezacną panią Marię Maciejowską. Podobnie jak Sewer (to był jego pseudonim; nazywał się Ignacy Maciejowski) i żona jego wyszła ze sfery ziemiańskiej. Młoda jeszcze jej twarz była dosłownie pomarszczona ze śmiechu. „Co ten Sewer nie wymyśli", powtarzała krztusząc się od śmiechu i kręcąc wiecznego papierosa. Ale zajrzyjmy znów do Żeromskiego: „Stary Sewer zawsze z żoną pisze i przerabia..." To może przesada; ale w istocie Sewerowa była dzielną pomocnicą męża, była duszą tego domu, gdzie przez wiele lat zbierali się na codziennej popołudniowej herbacie Asnyk, Wyspiański, Reymont, Miciński, dwaj Tetmajerowie, Malczewski, Wyczółkowski, Kamiński, Starzewski, Górski, Wysocki i cała czereda innych. Cóż to był za miły, uroczy dom, te trzy pokoiki na drugim piętrze przy ulicy Batorego nr 6, chwilami przypominające dom wariatów! Sewerowie byli tak zrośnięci z sobą, że kiedy roztargnionego Sewera pytano o zdanie o jakiejś książce, pierwszym jego odruchem było zwrócić się do swojej generalnej sekretarki: „Maria, czy ja to czytałem?" – „Czytałeś." – „Podobało mi się?" – „Podobało." I dopiero wtedy Sewer

odpowiadał: „Czytałem, świetne!”

Figlarstwo Sewera objawiało się na przeróżne sposoby. Koperty nie zaadresował, aby nie poczynić jakichś psotnych dopisków! Sławna była historia jego wikarego w Dołędze (Sewer pół życia gospodarował i do końca zachował ścisły kontakt ze wsią), którego władze duchowne przeniosły w drodze karnej, za taki adres skreślony przez Sewera: „Wielebny ksiądz X., wielbiciel Marii, ale nie Boskiej, tylko Sewerowej Maciejowskiej.” Jeżeli jaki „badacz” weźmie się kiedy naukowo do jego korespondencji, może dojść do fantastycznych wniosków. Zacnego Sewera, najprzywiązańszego małżonka, pomówią co najmniej o – erotomanię. Nic mu nie znaczyło w liście o charakterze czysto towarzysko-przyjacielskim dać nagłówek taki: „Najdroższa! – za mało! Ukochana! – za mało! Jedyna! – nareszcie”, tak jak nic mu nie znaczyło zakończyć np. tak: „C a ł u j ę r ę c e! w y r a ź n i e i głośno wołam r-ę-c-e! Przywiązany, oddany, zakochany Sewer”; albo: „Całuję wszystkie okrągłości od a do z...”; albo jeszcze gorzej; po czym oddawał najspokojniej pióro żonie, aby się dopisała. Ten stary dzieciak miał tak ustalone przywileje, że byłoby szczytem śmieszności w Krakowie obrazić się o cokolwiek na Sewera. Wszystko składało się na tę bezkarność, i wcześnie posiwiałe włosy, i fama emisariusza z 63 roku, emigranta, autora świetnych *Szkiców z Anglii*, i powszechna świadomość, że ten figlarz jest rozumnym i najlepszym człowiekiem.

Mam w ręku kilkadziesiąt listów Sewera pisanych do Elizy Pareńskiej, żony znakomitego lekarza i profesora, z której domem był w serdecznej zażyłości. Cały Sewer odbija się w tych listach. Wciąż kimś się opiekuje, kogoś ratuje, dla kogoś kwestuje. To kupuje imieniem adresatki obrazek od młodego malarza, to szturmuje przez nią do bogatego kołtuna o stypendium na lekcje dla młodej adeptki sceny; wciąż przejęty czyjąś biedą, czyimś talentem, ufny, życzliwy wszystkim i wszystkiemu, pełen optymizmu, zachowujący humor w drobnych i większych codziennych kłopotach. Bo opierając swój byt na pracy literackiej, zawsze zawisłej od kaprysów „rynku” i opłacanej nieregularnie, mimo to Sewer miał otwarte serce i pugilares dla innych.

Oto próbka ksiąg handlowych Sewera, wyjęta z listów do pani Elizy, która też była po trosze domem bankowym Młodej Polski:

„Włodzio nie namalował portretu, więc mi nie oddał 100 złr., Józio Wolf nie odsyła 300 rubli, Skiwski 800 odda dopiero po piętnastym, X... nie oddał 40, zatem proszę na tydzień lub dwa pożyczyć mi 100 złr., jeśli łaska...”

Przez szereg listów ciągną się projekty jakiejś wycieczki do Włoch głównie dlatego, aby zawieźć tam młodego literata, którego talent potrzebowałby wrażeń. Koszt wyprawy do Rzymu oblicza Sewer na 250 reńskich na głowę (sielskie czasy!), czeka tylko na pieniądze z „Ateneum”. Ale to marzenie o miesięcznym wytchnieniu okazało się zbyt wygórowane, bo już na drugi dzień pisze:

„Wczoraj podany przeze mnie projekt na Rzym upadł!... Na Rzym mamy za mało pieniędzy; wraca projekt Wenecja i do domu. Na Wenecję potrzeba 120 guldenów na głowę i jedziemy tylko na dwa tygodnie.”

Są w tych listach zabawne ploteczki literackie:

„Dziękuję za *Krzak dzikiej róży* Jasia. Są tam rzeczy prześliczne, nastrojowe i świeże, aż pachnie górskim powietrzem i kosodrzewiną. *Na wzgórzu śmierci* silne, tylko ta dusza głupia, która nic nie robi, tylko oddaje się orgii zmysłowej z Lucyperkiem – a cóż za wielkie rzeczy mogłaby mówić, gdyby umiała! Gdyby Jasia (Kasprowicza) było na to stać...”

To znów o czym innym:

„Przyjechał tu do nas Włodzio Tetmajer i zabawne rzeczy opowiada o konkurach Lucka o rękę Jagi w Bronowicach Małych. Jak Lucek lata boso, z cwikierem na nosie, jak okopuje buraki, wiąże snopy, jak się umizga, jak jest czuły, sentymentalny itd., itd., z humorem opowiada, a

wybornie robi Lucka, jego ruchy – jego miny. Przy tym bardzo lubi Lucka i śmieje się mówiąc, że dla mnie na listy przybył mi nowy tytuł dla niego: «szwagier Rydla»... I ja tak będę adresował. Ale Rydelek Lucek zrobił nam niespodziankę i zaimponował!!!... Lubię go za to bardzo!"

A ta ploteczka, czy nie kapitalna? Sewerowie żyli w bliskiej przyjaźni z żoną głośnego filozofa-mistyka, profesora Lutosławskiego. Otóż Sewer referuje:

„Pisała L.....a, że 44 już w drodze, tylko nie przez nią. Znalazł Lutuś podobno na Wołyniu matkę «cudzoziemkę», która pozwoliła na to, aby z niej (i Lutusia) przyszedł na świat «a imię jego 44». Skądże Lutuś jest taki zarozumiały, że to on tylko może być ojcem 44-ech? Na to trzeba być wariatem, dziwię się tylko tej, którą znalazł..."

Szczegół ten z tak autentycznego źródła jest niezmiernie ciekawym przyczynkiem do psychologii sekt mistycznych. Uparcie pokutuje ustna tradycja, wedle której Towiański miał starać się Mickiewiczowi o matkę dla przyszłego geniusza; w tym samym czasie, Ojciec Wiekuisty saintsimonistów, Prosper Enfantin, wędrował ze swymi uczniami do Egiptu, aby tam sobie szukać matki dla mesjasza...

„Lutuś" – jak go nazywa Sewer – toż to znowu cała karta dawnego Krakowa, i jakże charakterystyczna! W owej bujnej epoce, naprzeciw „czarnym mszom" Przybyszewskiego szerzy się magia biała: wszystkie sale są za ciasne, aby pomieścić słuchaczów mistrza Wincentego; musi przemawiać na Błoniach. W przepełnionej sali Teatru Ludowego sfanatyzowani mężczyźni i kobiety ślubują poczwórną wstrzemięźliwość. Czyż nikt nie napisze historii Elsów krakowskich? Ale trzeba, aby to był ktoś mający poczucie humoru. Dziwne maskarady urządza czasem bożek Eros...

Byli i inni apostołowie. Pamiętam dra Augustyna Wróblewskiego, fanatyka czystości. Z każdego słowa jego prelekcji czuć było, jak jest opanowany demonem płci. Znikł gdzieś nagle, zdaje się, że w czeluściach jakiegoś domu zdrowia.

Wszystko było wówczas w fazie wrzenia, nawet antyalkoholizm. Miał swój okazowy egzemplarz: był nim stolarz Ligęza, stary pijak, który został abstynentem. Wyleczony z zastarzałego nałogu, demonstrowany tryumfalnie po wszystkich zjazdach i ceremoniach opowiadał historię swego nawrócenia, jak pił, jak przestał pić, etc. Nieszczęściem, od czasu jak przestał pić, biedak zramolał zupełnie. Otóż raz, w największej sali uniwersyteckiej, tzw. sali Kopernika, był odczyt młodej studentki na temat „etyki płciowej", po odczycie dyskusja. Pierwszy prosi o głos – stolarz Ligęza. Zaczyna kręcić swoją katarynkę: jak pił, jak przestał pić... Dłuższy czas dają mu mówić, w końcu jednak przewodniczący przerywa mu i prosi, aby się trzymał ściśle tematu, którym jest (z naciskiem to zaznacza) stosunek do etyki płciowej. Stolarz Ligęza zafrasował się wyraźnie: „E, tego to już tam...", machnął z wymownym zniechęceniem ręką i usiadł wśród homerycznego śmiechu sali. Powaga dyskusji prysła.

Ale wróćmy do listów. Jeszcze jakiś list Sewera, wcześniejszy. Data: 1898.

„Męczyłem się z «Życiem» i nareszcie odstąpiłem go Przybyszewskiemu, bo to jego rzecz, straciwszy na nim 700 złr., lecz cieszę się, żem się pozbył – mam wolną głowę i swobodną myśl... Męczyłem się z dekadentami wściekle..."

Prawda! Oto charakterystyczny epizod, który trzeba było tu przypomnieć, skoro mowa o przewartościowaniu dawnego Krakowa. Ten stary powstaniec przejmujący na swoje barki organ najmłodszej Polski po to, aby go wiernie oddać w ręce piewcy „nagiej duszy", to ma swoją pikanterię. Miał rację Żeromski mówiąc, że Sewer „z młodymi trzyma"! Kiedy „Życie" w pierwszej fazie bytu nie mogło wydychać przy swoich czterystu prenumeratorach i miało nieodwołalnie upaść, właściciele jego złożyli je w ręce Sewera. „On ma stosunki – mówili – wydębi może jakieś pieniądze." Sewer wziął się najofiarniej do dzieła. Wyłożył swój literacki grosik, wykupił „Życie", redakcję oddał Arturowi Górskiemu, sam uczynił się „wielkim

jałmużnikiem" pisma. Kogo on nie naciągnął na to „Życie"! Znów czytam w liście:

„Szczepanik przysłał 500 zł., Badeni, marszałek, 200, może co Wyczół uzbiera w Warszawie. Za to znowu zaczynają krzyczeć, że «Życie» jest nudne i bezbarwne. Kazio Skrzyński powiada, że to organ księdza biskupa Puzyny. Trudno wszystkim dogodzić."

Przemęczył się Sewer najgorsze letnie miesiące; wreszcie kiedy w jesieni 1898 zjechał do Krakowa Przybyszewski, Sewer oddał mu pismo. Było coś bardzo ładnego w sposobie, w jaki traktował Sewer swój depozyt i swoją rolę. Przybyszewski wziął nie tylko „Życie", ale zabrał Sewerowi połowę codziennych herbacianych gości. Za silna była fascynacja na młodych: „Przybysz" lał do herbaty trzy czwarte koniaku, takiej konkurencji „herbaciarnia" kochanej Sewerowej nie mogła wytrzymać.

Sewer pogodnie zniósł tę dezercję. Wrażliwy na wszystkie zjawiska, umiejący przy tym ze wszystkiego wycisnąć trochę zabawy, z ciekawością przyglądał się, co się dzieje w nowym „Życiu", jak na kartach niedawno tak spokojnych i zbożnych wykwitają upiorne wizje Muncha, jak rozbrzmiewa dźwiękiem organów *Synagoga szatana*, jak *Msza za umarłych* łka wersetami nowej ewangelii płci. Czytał to wszystko stary Sewer (wówczas miał już pod sześćdziesiątkę), chodził po pokoju z rękami założonymi w tył i powtarzał swoim nosowym głosem pierwsze zdanie poematu Przybyszewskiego: „«Na początku była CHUĆ.» Tak, tak, na początku była chuć. Prawda, Maciejowska?" A Sewerowa parskała krótkim śmiechem i mówiła: „Oj, ten Sewer, ten Sewer, co on nie wymyśli!"

FORTEPIAN STACHA

Przeczytałem drugą część *Moich współczesnych – Wśród swoich* Stanisława Przybyszewskiego. To znów owe czasy krakowskie, na które patrzyłem z bliska młodymi oczami. Sam chciałem o nich pisać, zacząłem nawet szkic pod tytułem *Scherzo Przybyszewskiego*, ale później, zajęty czym innym, zarzuciłem to pisanie. Może trzeba by go dokończyć? Tym bardziej że sam Przybyszewski desygnuje mnie niejako testamentem na dziejopisa „tak zwanej (powiada) Młodej Polski". „Nikt inny prócz niego, Boya, nie byłby więcej do tego powołany...", mówi w swojej książce. Rzecz zastanawiająca, że historię Młodej Polski, stale aż do przesady uderzającej w najgórniejsze akordy, on sam, Przybyszewski, który nie znał innego tonu prócz dytyrambu, przekazuje – humoryście... I czemu mnie? W dobie gdym przebywał ze „Stachem", nie byłem ani Boyem, ani literatem, byłem w istocie, jak pisze o mnie, studentem medycyny, „zgrywającym się całymi nocami w karty w niekoniecznie dobrym towarzystwie i w niekoniecznie dobrych lokalach"; nie rozmawiałem z nim nigdy o literaturze, w ogóle rozmawiałem z nim niewiele... Ale dość często, na różny temat, spoglądaliśmy sobie w oczy. Ta wymiana spojrzeń stała się dla mnie przygodą, która zaważyła na moim życiu, a dla Stacha musiała też być czymś, co mu utkwiło w pamięci, skoro po paru dziesiątkach lat, w ciągu których straciliśmy się z oczu zupełnie, pisze w tych nazbyt zaszczytnych dla mnie i jak zawsze przesadnych słowach:

„Jest jedyny człowiek w Polsce, który by mi tę zagadkę rozwiązał, zagadkę nie smutku tego wszystkiego *(«tristesse de tout cela»*), ale zagadkę bajecznego humoru tego wszystkiego, godnego pióra jakiegoś Gogola o bardzo wysokiej kulturze, posługującego się na granitowym kole wyostrzonym skalpelem, z jakim się tylko wysoce dyskretny artysta, obdarzony darem śmiercionośnej, bo delikatnej, sceptycznej, a zarazem boleściwie kochającej ironii, obchodzić umie: Boy-Żeleński..."

I może to nie jest bez głębokiej racji, że humoryście przekazał sekret swego życia. Bo Przybyszewski, mimo że w pismach swoich – poza osławionym „he, he" – tego nie ujawniał, miał diabelskie poczucie humoru. Otóż uderzające jest, że życie tego poety, udręczone, tragiczne, zasłane trupami, było zarazem ciągłą groteską, znaczyło się pasmem najkomiczniejszych anegdot; było niemal do końca jakąś makabryczną farsą, która wciągała w grę całe otoczenie. Czemu, jak, przez co – gdzie indziej[7] starałem się to wytłumaczyć. Dziś chcę skreślić jedynie parę słów na marginesie jego książki, przy której czytaniu koło każdego zdania snuje mi się jakiś komentarz, jakieś przypomnienie, często sprowadzające mi uśmiech na wargi.

„Na samym wstępie (mówi Przybyszewski opisując swój przyjazd do Krakowa) zastanowił mnie jeden człowiek – przystojny, starannie ubrany, przystanął nagle przede mną i powiedział jednym tchem: «Byłbym szczęśliwy, gdybym był cielakiem, z którego skóry pańskie buty wyprawione.» Przez chwilę cośkolwiek zgłupiałem, ale nie przeczę, że byłem wzruszony tą przemową..."

[7] *Ludzie żywi*.

To był w istocie – mimo ekscentrycznej formy – szczery wyraz uwielbienia, z jakim nasze pokolenie powitało Przybyszewskiego w Krakowie. A pierwszym tym hołdownikiem był nie jakiś chłystek, ale pan Zdzisław Gabryelski, meloman, filozof i oryginał, zarazem właściciel największego w Krakowie składu fortepianów. Zdaje się nawet, że wymawiając te słowa, ukląkł czy chciał uklęknąć. Było to w letnim teatrzyku, na popularnej wówczas w Krakowie *Królowej przedmieścia*. Z teatru zaprosił ów Gabryelski cygańską kompanię do siebie. Z pewnością w całej Europie nie znalazłoby się piękniejszego miejsca dla upicia się niż historyczny gmach Krzysztoforów, gdzie w szeregu sal stały szeregiem dziesiątki fortepianów, a w nich lśniły szeregiem czarne na przemian i białe klawisze. Pomyślcie tylko, jak to wszystko zacznie się w oczach dwoić, troić, giąć w fantastyczne kształty, wibrować, tańczyć, chichotać... Okna szeroko otwarte na cudny Rynek krakowski, muzyka płynie het, het, aż po mogiły Krakusa i Wandy, ukochane *Preludium A dur* spływa się z trąbką mariackiego hejnału, wódkę przepij a się szampanem, a zagryza koniakiem, serce wzbiera bezgranicznym szczęściem powrotu na polską ziemię, a szczęście to ciśnie się na usta boskim refrenem Richarda Dehmela:

Noch eine Stunde, dann ist Nacht,
Trinkt bis die Seele überläuft...

Czyż ta noc nie pozwalała sądzić, że Kraków to – nareszcie! – kraina czystej poezji, znaleziona po tylu wędrówkach?

Nic dziwnego, że Przybyszewski wpadł w istny szał zachwytu, a entuzjazm jego miał w owej epoce nieodpartą zaraźliwość. Nad ranem Gabryelski, wciąż na klęczkach, ofiarował mu uroczyście, przy świadkach, najpiękniejszego koncertowego Steinwaya. Przespawszy się, handlowiec ten musiał przechodzić ciężkie chwile, ale słowo się rzekło! Wprawdzie, między słowem a czynem, Steinway zmienił się w zgrabnego czeskiego Petrofa, ale Petrof w istocie zajechał przed mieszkanie Przybyszewskiego, skoro mieszkanie to poecie znaleziono. Znamienne jest, że pierwszym meblem, który posiadał Stach, był fortepian; wśród dokładnie puściutkich ścian błyszczał wspaniale. Postać Gabryelskiego urosła do wyżyn krakowskiego Medyceusza.

Stolik Przybyszewskiego w kawiarni był oblężony. Cisnęli się doń wszyscy niby do twórcy jakiejś nowej religii, on zaś najchętniej przygarniał maluczkich. W liczbie tych błogosławionych maluczkich i ubogich duchem, znalazł się młody aktor Ankiewicz, który w owej *Królowej przedmieścia* grał rolę Kantka. Stach pokochał tego Ankiewicza, był dla niego bardzo dobry, lubił słuchać jego naiwnych zwierzeń. Strapieniem Ankiewicza – który zresztą miał przed sobą ledwie kilka miesięcy życia – było to, że nie posiadał wykształcenia; biedaczysko ten, suchotnik, alkoholik, głodomór, miał w istocie wzruszającą pasję kształcenia się, którą zaspakajał w arcykomicznych warunkach. Przejęty zabobonną czcią dla nauki, czytywał – jak często aktorzy-samoucy – co najpoważniejsze dzieła, ekonomię polityczną etc.; mieszkał zaś z kochanką, prostą i pospolitą dziewczyną, która nie mogła wręcz znosić tego czytania. Przybyszewski zaśmiewał się do łez, słuchając opowiadań Ankiewicza, jak, leżąc z nią w łóżku (mieli tylko jedno łóżko), chce czytać ekonomię polityczną, a ona drze mu książkę i rzuca w kąt lub na złość gasi lampę. Potem aktorzyna (który, czując po aktorsku sukces swoich wynurzeń, zaczął się po trosze „zgrywać") mówił o swojej matce, ubogiej kobiecie, która go z trudem wychowała, która jest bardzo muzykalna i całe życie cierpiała nad tym, że nie ma fortepianu. Teraz biedaczka jest bardzo chora, pewnie niedługo umrze... Serce Stacha wezbrało współczuciem: chora matka, która nie ma fortepianu! On, który by nie mógł sobie wyobrazić dnia bez muzyki, odczuwał nieznośną mękę za matkę Ankiewicza, o niczym nie mówił, tylko o fortepianie dla matki Ankiewicza. On, który nigdy nie miał zapewnionego na parę dni naprzód obiadu i któremu w domu brakło

najpotrzebniejszych sprzętów, zaczął w ubożuchnym Krakowie agitować za... składką na fortepian dla matki Ankiewicza, której nikt nie widział na oczy, która może w ogóle nie istniała. Rzecz naturalna, że oczy Stacha zwracały się pytająco, potem z niemym wyrzutem, a wreszcie z rosnącą irytacją w stronę Gabryelskiego. Jak to! ten człowiek ma w swoim składzie ze sto fortepianów, a cierpi, aby matka Ankiewicza nie miała fortepianu? Wówczas mogłem sprawdzić głęboki sens myśli, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego. Z golcem zawsze można mieć jakieś złudzenia: dałby, gdyby miał; ale tutaj fakt był jasny, oczywisty: ma na składzie sto fortepianów, a odmawia biednej wdowie jednego. W ewangelicznym pojmowaniu świata, jakie zawsze cechowało Przybyszewskiego, człowiek taki był zgubiony. Gwiazda Medyceusza zaczęła blednąć; coraz częściej koło jego nazwiska bzykał epitet „świnia". Zeszły się z tym i inne tarcia podobnej natury, o których gdzieś opowiadałem, dość, że zakończyło się heroiczną sceną, gdy Stach, podrażniony jakimś przycinkiem, w nocy, na Rynku, zrzucił z nóg buty pożyczone od Gabryelskiego, nie chcąc zachować nic od „tego człowieka", i w skarpetkach dumnie powędrował do domu. Gabryelski, jako dobry handlowiec, musiał zrobić bilans sytuacji. Stracił najpiękniejszego Petrofa, dołożył sporo w gotowiźnie, i za to wszystko okrzyczano go – Bóg widzi, że niesłusznie – skąpcem, brudasem i świnią. Nie mógł tego strawić, zawrzał zimnym gniewem i powziął decyzję. Świnia to świnia. Jednego dnia, gdy w domu Stacha było pełno i gwarno, zajechała przed bramę platforma. Wszedł Gabryelski, a za nim czterech tragarzy. Obecni stężeli w oczekiwaniu, nikt nie przywitał się z nim, nikt nie wyrzekł słowa, wszyscy patrzyli w milczeniu. Gabryelski skinął dłonią, czterej tragarze załadowali Petrofa i znikli ze swoim ciężarem. Scena ta miała coś widmowego: „maska czerwonej śmierci" Edgara Poe!

Na drugi dzień w opustoszałym salonie znalazł się inny fortepian, wypożyczony z konkurencyjnego składu przy pomocy „podatku narodowego", i muzyka znów brzmiała bez przerwy. Gabryelski, który szczerze uwielbiał Przybyszewskiego, cierpiał męki, żałował swego kroku, chodził nocami pod okna słuchać tej muzyki, jak dusza wygnana z raju, ale ambicja nie pozwalała, stosunki nie poprawiły się nigdy.

Dziwny to był człowiek ten Gabryelski. Kiedy się nad nim po latach zastanawiam, nic o nim nie wiem. Coś w nim musiało być nie wyżytego, zahamowanego. W ówczesnych naszych stosunkach, które tak dotkliwie zubożały sferę działania każdego człowieka, tak ciasne granice zakreślając możliwościom i energii, pełno tłukło się takich nie wyładowanych talentów, wokacji, może nawet zboczeń, które dziś, tak czy owak, znalazłyby swoją drogę, a które wtedy tylko męczyły swego właściciela. On nie umiał się uporządkować z samym sobą. Student filozofii niemieckich uniwersytetów, wydał małą broszurę pt. *Czym filozofia jest, a czym będzie*, którą zdemaskowano jako dziecinny plagiat z popularnego niemieckiego podręcznika. W życiu lubił wygłaszać paradoksy, kryć histeryczny niemal entuzjazm i chorobliwą nadczułość pod maską zimnego Anglika, epatować oryginalnością. Ubierał się znakomicie, z dyskretną ekscentryczną elegancją. Przez kilka lat miał burzliwy stosunek z głośną aktorką: przywiedziona do rozpaczy jego angielską flegmą, artystka chwyciła raz zapaloną lampę (naftową) i tą lampą wypędziła go w nocy w koszuli na schody. Gabryelski zadzwonił do pierwszych drzwi z brzegu i przedstawił się zdumionemu gospodarzowi najspokojniej w świecie: „Jestem Zdzisław Gabryelski, właściciel składu fortepianów, czy nie mógłby mi pan pożyczyć na chwilę spodni?"

Innym razem z tą samą, widocznie zbyt wrażliwą, artystką w najbardziej ożywionym momencie czułości Gabryelski zastygł, znieruchomiał i rzekł sucho: „Przepraszam. Albo pani, albo ja. Kobieta powinna być bierną." Jak takiego nie wyrżnąć lampą? Kiedy go ktoś odwiedzał po raz pierwszy, Gabryelski prowadził gościa do wykwintnego męskiego buduaru, gdzie na półce stało kilka słojów z poronionymi ludzkimi foetusami. „To moje dzieci", objaśniał bardzo

naturalnym tonem w odpowiedzi na pytające spojrzenia gościa. I podobno była to prawda!! Gdy objął po matce ów skład fortepianów, umiał rozwinąć wielki rozmach i talent handlowy, którym jednak ciasne waruneczki Krakowa zakreślały granice. Bądź co bądź, zdołał sprawić przewrót w lokalnym handlu, pierwszy forsując czeskie fortepiany w miejsce wyłącznie wprzód panujących niemieckich. W kilka lat potem – już po wyjeździe Przybyszewskiego – Gabryelski znalazł nowy przedmiot zapału: pianolę, którą wówczas zaczęto rozpowszechniać. Reklamował pianole, sprzedawał pianole, wciskał ludziom na raty pianole, sam grywał całymi nocami na pianoli. I znów było lato, przez szeroko otwarte okna Krzysztoforów co noc płynęła na Rynek krakowski kaskada tonów: to Gabryelski opętańczo, niestrudzenie rżnął na swojej pianoli. O którejkolwiek godzinie nocy było wejść na Rynek, zawsze słyszło się tę muzykę, która, nie wiadomo czemu, miała coś upiornego. Jednego dnia nad ranem nuta się urwała – długa cisza – i rozległ się strzał. W gabinecie z foetusami znaleziono Gabryelskiego z przestrzeloną czaszką martwego na kanapie.

Przybyszewskiego, jak rzekłem, już dawno w Krakowie nie było. Byłby ocenił tę scenę ze znawstwem smakosza.

«ZNASZLI TEN KRAJ?...»

Oto melodia, która mi się przyplątała mimo woli i która mnie prześladuje od chwili, gdy zamierzyłem dalej snuć swoje wspomnienia na marginesie *Moich współczesnych* Przybyszewskiego. I widzę bardzo wyraźnie taką scenę. Świt, filująca lampa dogasa, okno balkonu otwarte na ogród, z którego wnika chłód poranka i ćwierkanie ptaszków. Stach śpi głęboko w fotelu, cała jego gromadka, z zielonkawymi twarzami, kipi porozkładana, gdzie tam któremu padło, a w środku, pod stołem, leży młody medyk Szyszka, muzykalny jak Cygan, i rżnie może od godziny na skrzypcach *Znaszli ten kraj* Moniuszki. Gra leżąc z głową wspartą o pustą flaszkę i raz po raz trąca smyczkiem o blat stołu, co oryginalnie rwie na strzępy tę płynną melodię, bogacąc ją kaprysem niespodzianek. Obok mnie Ludwik Janikowski, ze swoją genialną trupią czaszką, zanosi się od płaczu siedząc na podłodze. Zdaje się, że popłakujemy wszyscy, ale on szlocha, ryczy... A Szyszka gra i gra, aż wreszcie zmęczona ręka grajka wypuściła smyczek, zrobiło się cicho, Janikowski siorbał tylko nosem, i tylko ćwierkanie ptaszków, i chrapanie Stacha...

I ta melodia snuje mi się wciąż w głowie, gdy czytam te wspomnienia Stacha z krakowskich czasów. Szczególna książka! mimo że pisana tak niedawno, ledwie przed kilku laty, robi wrażenie wykopaliska, w którym zachował się dzień wczorajszy niby odcisk muszli w kamieniu. Bo Przybyszewski nigdy nie wyszedł z kręgu pojęć, o które donkiszocił się w swojej młodości; wszystkie przemiany, zdarzenia spłynęły po nim bez śladu; dziś jeszcze, z kart tej książki gotów by mówić o „nagiej duszy", o „absolucie", o sztuce wolnej od nakazów społecznych etc. Jeszcze w tych wspomnieniach przeżywa wszystkie swoje *confiteor* i swoje, przeważnie imaginacyjne, wojny z „mydlarzami". Dzisiejszy czytelnik niełatwo zrozumiałby urzeczenie, jakie to wszystko mogło wywierać; jeszcze mniej by zrozumiał, gdyby wziął do rąk stary rocznik „Życia" – dziś rzadkość antykwarska – i odczytał w nim wszystkie owe szumne manifesty. Trzeba by to wszystko wymoczyć w spirytusie i podłożyć pod muzykę.

Istotnie, mówić o oddziaływaniu Przybyszewskiego nie mówiąc o alkoholu, to byłoby tyle, co pisać dzieje Napoleona, a nie wspomnieć o wojsku. A już się pojawiali tacy zbyt cnotliwi hagiografowie, którzy pisali, że „czas skończyć z legendą o alkoholizmie Przybyszewskiego". Mogę mówić o tym swobodnie, ile że sam Przybyszewski w *Moich współczesnych* pisze o swoim nałogu z zupełną prostotą i poświęca mu ciekawe karty. I mogę mówić tym bezinteresowniej, ile że, co do mnie, jestem człowiekiem, dla którego alkohol, poza jakimś rzadkim duchowym świętem, w życiu nie istnieje. Ale wtedy poznałem jego magię...

Alkohol i muzyka. Muzyka brzmiała w domu Przybyszewskich ciągle. Dagny grała Szumana, Griega, jakieś norweskie melodie ludowe lub, wespół z Szyszką, sonaty skrzypcowe Beethovena. Potem Stach, wciąż z niestrudzonym Szyszką, Bacha. Potem, gdy już „dojrzał", odpędzał Szyszkę i sam zaczynał grać Szopena. Dziwne czytało się w różnych relacjach sądy o jego grze: jedni pisali o niej poematy, gdy inni traktowali ją jako fuszerkę. Różnica w kącie widzenia: tak jakby poetę, który cudownie mówi wiersze, sądzić z punktu techniki deklamacyjnej. Nam nie przeszkadzały jego niedomagania techniczne; wszystkie przypadkowe fałsze czy brutalności,

nieoczekiwane fortissima i wściekłe kaprysy rytmiki, wszystko to spływało razem w jakąś tragiczną pieśń, która duszę wywlekała z człowieka. Może to były wariacje alkoholu na temat Szopena – transkrypcja Spirytus-Chopin jak jest Busoni-Bach – ale transkrypcja nieporównana. A do tego sam Stach przy fortepianie! – kto go widział, ten go nie zapomni. Och, czemuż takim nie pokazano go na pierwszej karcie *Moich współczesnych*, zamiast załzawionego dziadygi, który patrzy na nas z fotografii! Wreszcie, zmęczony, zlany potem, Stach wstawał, osuwał się na fotel i szeptał: „No, Stasinek, teraz graj ty." I Stasinek (Sierosławski) siadał posłusznie do fortepianu, stawiano przy nim kielich wódki, niby szklankę wody przy prelegencie, i rżnął od ucha, na przemian: *A jak będzie słońce i pogoda* albo *Stanął przed muzyką, sypnął talarami*, albo owo *Pod Krakowem ciemny las*, które potem przeniósł Wyspiański w muzykę Chochoła. A Stach słuchał, słuchał niesłychanie intensywnie, nie pozwalał przerwać ani na chwilę, tylko szeptał: „Graj, Stasinek, całą noc to samo." Aż, wypocząwszy, spędzał Stasinka i rzucał się na instrument, i bestwił się jeszcze w polonezie Szopena. Po czym już bez sił odpadał od fortepianu.

To były owe prawdziwe „manifesty", przy których tamte, drukowane w „Życiu", wydawały się mdłe i trochę śmieszne. To było dobre na eksport, dla prowincji, ale nie dla nas, bliskich, którzy mieliśmy to szczęście pić u źródła. Alkohol, stopiony w jeden eliksir z muzyką, był jak gdyby esencją „dionizyjskiego" – wedle terminologii Nietzschego – elementu sztuki Stacha. Nie był to ów dionizos grecki, tłoczony łagodnie z winnego grona, ale ów oszukujący naturę, płacący życiem gwałt na klimacie północy, pędzony, mocą chytrze wydartych samemu szatanowi tajemnic, na kartoflach, na życie, samobójczy, rozpaczliwy. (Nawiasem pytanie pod adresem filologów: czy Grecy znali wódkę?)

Ach, jakimż śmiechem parskał Stach, gdy mu ktoś w takiej chwili wspomniał literaturę! Jakimż urągliwym śmiechem! Jak gardził wszystkim, co było mową intelektu, wszystkim, co miało pretensje do myśli, w owych momentach, w których odbijał jedynie ultrafioletowe jej promienie! Dźwięk słów tylko, dźwięk powtarzany bez ustanku jak fraza muzyczna, słowo podniesione do godności motta do picia. Bo Stach nigdy nie pił bez motta; każdy dzień, każda godzina – niemal każdy kieliszek – miały swoje motto. Zależnie od tekstu, wódka zmieniała swój smak, tak jak w owej beczce, z której Mefisto w auerbachskiej piwnicy toczy rozmaite wino niemieckim studentom. Każdy przyzna, że inaczej pije się na: *les paons blancs*, *les paons nonchalants*, inaczej na: *nie sah ich die Nacht beglänzter*, a inaczej znów na: „oto jest święto zboża, oto święto chleba", motto, które, nawiasem mówiąc, idealnie nadaje się do kieliszka żytniówki... Motto dawało piciu charakter na przemian mistyczny, filozoficzny, marzący, szyderczy, żartobliwy, irracjonalny, absurdalny, powtarzało się niby refren, skandowało flaszkę na kieliszki, niby wiersz na trocheje lub jamby. Bywały motta trwałe, bywały okolicznościowe. Ot, na przykład poeta jakiś z plemienia „dekadentów" nadesłał do redakcji wiersz, który się kończył: „spazmem rozwścieczonego satyra wierzgnę". Przybyszewski nie posiadał się z radości, tak mu się to spodobało (do picia, nie do druku); przez jakiś czas przepijał: „No, Stasinek (czy Fredzinek, czy inny inek, bo Stach z kujawska wszystkie imiona zdrabniał na „inek"), no, Stasinek, wierzgnij spazmem rozwścieczonego satyra." I śmiał się, śmiał się jak dziecko. To znów inny poeta (którego nie wymienię przez delikatność, bo jeszcze żyje) popełnił wiersz, w którym znajdował się taki kwiatek: „Och, melancholii namiętny wzlot – upaja mnie do szału." Stach rozkoszował się tym „melancholii namiętnym wzlotem", wymawiał go z arcykomicznym przewracaniem oczu wychylając kieliszek, to było jego motto. I takimi dwoma „szpruchami" mógł się bawić cały wieczór; i nie umiem tego wytłumaczyć, ale to była jedna z najbardziej interesujących konwersacji, jakie znałem. A kiedy przepił specjalnie do mnie patrząc mi w oczy swymi skośnymi diabelskimi oczami, doprawdy wszystko topniało we mnie z uwielbienia i czułości, miałem uczucie, że mi się otwiera mózg, dusza, serce; że w jego rękach, które byłbym

radośnie całował w tej chwili, staję się człowiekiem. Wiem, że to, co mówię, trąci mistyką, ale bardzo się mylą ci, którzy twierdzą, że jestem niezdolny do pojmowania mistyki. Przeciwnie, bardzo jestem zdolny, za bardzo...

Często motta, którego się czepiał rozbawiony Stach, dostarczał Szyszka. Ten Szyszka to był szczególny chłopak. Suchotnik z kawernami w płucach wielkości pięści i wiedzący o tym, plujący krwią, gorączkujący stale i zapijający tę gorączkę na umór, był jednym z najweselszych ludzi, kipiał radością życia. Do tego stopnia, że lekarze polecali go jako medyka-pielęgniarza bogatym chorym, tak dobrze oddziaływał na nich swoim optymizmem i beztroską. Czasem jeździł do jakiegoś zamożnego dworu, wracał ze swoją gorączką i z furą anegdot. Pamiętam jedno takie motto, które uczepiło się na długi czas. Szyszka wrócił ze dworu, gdzie pan był sparaliżowany, a pani ciężko chora. Szyszka miał dozorować hrabinę, a hrabia, po trosze ramol, miał przy sobie nieodstępnego lokaja Józefa, bez którego nie mógł sobie dać rady w najprostszych sytuacjach. Jednego dnia zrobił się rwetes, cała służba pognała do pokojów jaśnie pani. Wpada Szyszka i oznajmia: „Panie hrabio, pani hrabina kona." Na co hrabia z bezradną irytacją: „Topsze! topsze! ale ja się zesrałem, a Józefa jak nie ma tak nie ma." Przybyszewski zwariował na punkcie tego „topsze! topsze!" Przez jakiś czas wszystkie kieliszki wychylało się pod znakiem „topsze, topsze!" W istocie, Szyszka, opowiadając, wkładał w to z cudzoziemska akcentowane „topsze" (dobrze) nieodparty komizm, a sama ta makabryczna historia, odgrywana przez człowieka, który iskrzył się humorem, a który sam nosił śmierć w sobie, miała ten właśnie smak, za którym szalał Przybyszewski.

Przybyszewski miał jakiś perwersyjny pociąg do wszystkiego, co pachniało śmiercią. Pamiętam taki epizod. Kiedy po rozbiciu się domu został w mieszkaniu sam, dowiedział się, że wuja jego służącej, nauczyciela ludowego, ciężkiego suchotnika, usuwają ze szpitala, ponieważ „bawił" w nim ponad przepisowy czas. Natychmiast ofiarował się, że go weźmie do siebie, zapewne po trosze z właściwej sobie dobroci, ale bardziej jeszcze upajając się tym, że będzie miał w domu umrzyka. Fantazjował w opowiadaniach na ten temat swoim charakterystycznym wnikliwym szeptem: „Taki ci wspaniały suchotniczek w ostatnim stadium, takie ci, robaczku, bakcyle latają u mnie po pokoju jak chrząszcze", powtarzał zachwycony. Ale suchotnik jak suchotnik: na domowym wikcie, w przewiewnym pokoju, zrobiło mu się lepiej. Co dzień kazał sobie gotować kurę, w końcu wyczerpał cierpliwość zawiedzionego Stacha, który go się z trudem pozbył, wyprawiając podleczonego z powrotem na wieś.

Inny epizod. Jednym z najbliższych był Józef Grzybowski, „piękny – mówiąc językiem Stacha – człowiek" (już nie żyje), którego koleje dziwnie się plotły. Ukończył nie wiadomo czemu prawo, którego nie znosił, studiując pokątnie umiłowaną geologię. Skończywszy prawo, oddał się wreszcie geologii, której później miał zostać profesorem. Miał cudowny węch do wykrywania nafty, wciąż wzywano go na eksperta, co mu dawało duże zarobki. Był opatrznością finansową Stacha, którego uwielbiał. Ten Grzybowski, zakochawszy się w młodej pannie, ożenił się, też nie bardzo wiadomo czemu, na złość pannie, z jej ciotką, starszą od niego o jakie lat trzydzieści. Była to zresztą sympatyczna osoba, piła z nami wszystkimi bruderszaft, mówiliśmy jej „wiedźmo", co przyjmowała dobrodusznie, mimo że w istocie, w chwilach pijaństwa, wnosiła lekki zapaszek Łysej Góry. Geolog również skłonny był pić obficie, przy czym kiwał w milczeniu głową nad swoim zwichniętym życiem. Bardziej jeszcze wmawiał w niego desperację Stach, który zawsze posądzał „Józinka" o to, że się powiesi: bał się tego i oczekiwał zarazem. Raz pamiętam scenę, która była niby humorystyczną trawestacją którejś ze scen *Homo sapiens*. W czasie jakiegoś pijaństwa u Stacha geolog znikł i dłuższy czas go nie było. Zaczęto się za nim rozglądać. Stach chodził niespokojny po pokoju, nie mówił nic, ale wytwarzał nerwowością swoją atmosferę grozy, która się udzieliła wszystkim. Wierzyliśmy niemal, że już się stało: tak

silna była sugestia Przybyszewskiego, że widzieliśmy już w klozecie wiszącego trupa, a nikt nie miał odwagi drzwi otworzyć. Naraz otworzyły się same i mniemany denat wyszedł, zadowolony z siebie, podśpiewując, z klozetu. Na twarzy Stacha, mimo że kochał tego najpoczciwszego Józinka, odbił się wyraźny zawód. Bo jego dusza łaknęła nade wszystko tragedii. Byłby chętnie zszopenizował tego geologa, tak jak się Niemcy skarżyli że im „szopenizuje" język...

Z takich epizodów snuło się życie Stacha. Może dlatego wspomnienie o nim splotło się z owym *Znaszli ten kraj*, granym pod stołem przez kochanego Szyszkę. I nie mogę się uwolnić od tej melodii, wciąż mnie prześladuje. „Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa..."

Dojrzewa... cytryna... w plasterkach....

«DZIECI SZATANA»

Tego, kto czytał dwa poprzednie rozdziały, kreślone na marginesie autobiografii Przybyszewskiego, mogło uderzyć, że z otoczenia jego wywołuję same nie znane literaturze nazwiska. Bo też w istocie tak było. To była raczej sekta niż skupienie literackie. Do najbliższych Przybyszewskiego w Krakowie nie należał ani jeden „firmowy" literat, chyba literat *in spe*. Od pierwszej chwili odsunęli się instynktownie od niego; nawet ci, którzy go sprowadzili, którzy go witali z entuzjazmem. Odstręczył ich swoją niwelacyjną beztroską o kompanię, w której przebywał, odstręczył ich swoją ironią, swoją niecierpliwością na wszystko, co było w sztuce umiarkowane, letnie, co nie było rozżarzone do białości, rozmodlone, roztańczone tańcem św. Wita. To rozbujanie, podniesienie skali żądań, temperatury, przypomnienie, że sztuka, to nie „obrazki w słońcu", nie gładkie rymy i tanie obserwacyjki, ale tragiczna gra, którą płaci się życiem, okazało się w sumie płodne i zbawienne, z d o p i n g o w a ł o cudownie wielu pisarzy; ale mało kto osobiście znosił tę atmosferę. Przybyszewski, wspominając te czasy później, koloryzuje je *ex post*, rozdaje komplementy, retuszuje rzeczywistość, ale w istocie było inaczej. Pamiętam, jak raz przyszedł do domu i zaczął się śmiać nieutulonym śmiechem, trzymał się po prostu za brzuch od śmiechu. „Co ci, Stachu?", pytano go. „Tadeuszek czytał mi swój dramat", wykrztusił. Tadeuszek to był Miciński. Z innymi nie było lepiej. Poza Miriamem, którego czcił trochę na kredyt, i poza Kasprowiczem, dla którego kult jego miał się stać z czasem niecierpliwiący swym brakiem miary i swoim – można by rzec – masochizmem, nie uznawał właściwie nikogo, a trzeba dodać, że dotąd żyjąc poza krajem, w kołach niemieckich, mało co znał z naszej ówczesnej literatury. Ale temperament jego dął jak wicher na krakowską sadzaweczkę i przewracał reputacje niby dziecinne okręciki. Miał pasję sam stwarzać nowe. Przez dwa tygodnie np. poszukiwał niemal listami gończymi autora jakiegoś nadesłanego do „Życia" wiersza pt. *Białe łabędzie*, witając w nim wielkiego poetę; zdecydowanie zaś szyderczo lub obojętnie odnosił się do uznanych pisarzy. I jedno trzeba zważyć: Stach, tak łatwo szafujący pochlebstwem, na którego lep brał ludzi, na punkcie sztuki był nieubłagany, drwił, szydził, smagał.

Nie każdy też godził się być zamieszany w gromadkę młokosów, łazików, figur dziwnego nabożeństwa, szyderczych, pozbawionych poczucia hierarchii i form, słowem, n a s, którzy stanowiliśmy, prawem kaduka, codzienną kompanię Stacha. Toteż odsunęli się prawie wszyscy. Kazimierz Tetmajer, który *Epipsychidiona*, pierwszy utwór Przybyszewskiego drukowany po polsku, poprzedził entuzjastyczną przedmową, cytując czyjeś o kimś powiedzenie: *Messieurs, chapeau bas, c'est un genie*, nawet nie starał się zapoznać z Przybyszewskim. Później, zrażony epileptycznym nabożeństwem, jakie się odprawiało koło Stacha, umieścił w jakimś piśmie satyryczny wiersz, malujący kult Przybyszewskiego pod postacią „Zewsa". Całego wierszyka nie pamiętam, ale kończył się aluzją do świątyni, w której z ofiar „bóg miał dym, kapłani mieli mięso"! – kończył się zaś ów wierszyk tak:

Cóż pocznę, Greczyn grzeszny,
Gdy was za rzezimieszków mam,

A wasz Zews nadto śmieszny,

co było jakby oficjalnym wypowiedzeniem wojny. W „Paonie" – warto zaznaczyć – też nie bywał właściwie ani jeden firmowy literat; raczej gromadzili się tam malarze. Czasem pokazał się Lucjan Rydel, ale czuł się tam zawsze niepewnie, a od czasu gdy, po tryumfalnej dla niego premierze *Zaczarowanego koła*, Wyspiański i Przybyszewski naszpikowali go złośliwościami, uciekł i już się więcej nie pokazał. I w tym zaostrzała sprawę wieczna obecność „bandy". Mogą sobie artyści mówić w oczy ostre prawdy, ale trudno to znosić w obecności ludzi, którzy wzięli się nie wiadomo skąd, którzy byli niczym, którzy na razie talenty wykazywali jedynie w piciu wódki i którzy szyderczym rechotem lub ironicznymi spojrzeniami podkreślali złośliwości Mistrza!

Z kogo więc i na jakiej zasadzie rekrutowała się ta „banda"?

Jest scena w *Dzieciach szatana*, w której Gordon, parafrazując – może nieświadomie – *Biesów* Dostojewskiego, mówi:

„Ten chłopiec, który zamiera w zgniłym pokoju, trawiony chorą rozpaczą, że niechybnie umrzeć musi, i przepełniony dziką fanatyczną nienawiścią ku wszystkiemu, co go zniszczyło, jest mój. Ten drugi, który zbrodnię popełnił i który chciał się ratować miłością, i ja mu ją zniszczyłem, jest mój. Ten filozof, któremu myśl serce wygryzła, jest mój. Ta kobieta, która nagle kochać zaczyna i wstręt odczuwa do własnej przeszłości, jest moja. Każdy trawiony lękiem, każdy zrozpaczony, co zgrzyta zębami w bezsilnej wściekłości, każdy, kto się ociera o więzienie, każdy, kto głód znosi i upokorzenie, niewolnik i pan syfilityczny, nierządnica i zhańbiona dziewczyna opuszczona przez kochanka, więzień i złodziej, literat bez powodzenia i aktor wygwizdany, wszyscy oni, wszyscy są moi..."

Oto, można powiedzieć, jeżeli nie program, to linia, po której biegły sympatie Przybyszewskiego. Pod tym względem tyrada ta jest bardzo szczera. I jakkolwiek w krakowskim okresie redaktor „Życia" dość daleki był od anarchicznego burzycielstwa Gordona, i jeżeli wśród nas, którzyśmy stanowili jego najbliższe otoczenie, nie było (niestety!) tyle „nierządnic", tylu więźniów i złodziei, ile by dusza jego pragnęła, w każdym razie w duchu tej idealnej selekcji kształtowała się – bodaj w imaginacji – gmina Stacha. Jedynym dlań kryterium człowieka był – prawdziwy lub wmówiony – tragiczny stosunek do życia. Stach nie pytał nikogo, co napisał ani jaką ma rangę w sztuce, w czym może dał dowód głębokiego rozumienia rzeczy. Boć nie ulega wątpliwości, że gdyby istniały jakieś idealne psychometry dla bezpośredniego oznaczenia procentu poezji, artyzmu, miara wypadłaby może inaczej, niż się to dzieje na giełdzie życia, z konieczności sądzącej artystę wedle realizacji, produkcyjności... Być może, iż właśnie pewna mierność, pewne ograniczenie są warunkiem produkcji, że konieczny jest pewien aliaż, a czyste złoto niezdatne jest do użytku... Stach zresztą kochał ludzi bez talentu, bo wiedział, że tragedia ich jest szczera, a właśnie tragedia była dla niego wszystkim. Przypomina mi się pewien malarz, który w chwilach szczerości po pijanemu bił głową o podłogę i skarżył się zabawnie: „Boże, Boże, dałeś mi talent, ale mały." Pociągał Stacha trupi ciąg desperacji, nieszczęścia. Kochał swoich łazików, nie miał natomiast sobie nic do powiedzenia np. z Sienkiewiczem. (Paradne było spotkanie Stacha z Sienkiewiczem w Zakopanem. Sienkiewicz, który lubił po trosze kokietować „młodych", dowiedziawszy się, że Przybyszewski jest niezdrów, poszedł do niego pierwszy z wizytą. Stach przyjął go z atencją, ale absolutnie nie wiedział, o czym z nim gadać; zakłopotany chodził w milczeniu po pokoju, w końcu zbliżył się, położył gościowi rękę na ramieniu i rzekł swoim poufnym szeptem: „Panie Henryku, napijmy się wódki." Jedynie ten, kto pamięta ówczesne stanowisko i fason Sienkiewicza, oceni w całej pełni smak tej anegdoty.) Toteż, mimo woli, młodzież otaczająca Stacha stylizowała soczyście swoje tragedie. Gdyby ktoś mógł mu dać

do zrozumienia, że jest pederastą, suchotnikiem, pijakiem i włamywaczem w jednej osobie, jakżeby go ujął za serce! Nie o legitymacje tedy artystyczne mu chodziło; on potrzebował, jak Gordon, mieć, bodaj w imitacji, swoją zgraję „dzieci szatana", którą się bawił po trosze i którą on czarował i bawił wzajem. To był teatr *dell'arte*, z którego co jakiś czas wynoszono prawdziwe trupy.

W Polsce nie ma kultu tradycji, mimo żeby się zdawało przeciwnie. Inaczej na pewno odbywałaby się, raz do roku, tradycyjna wódka starych przybyszewszczyków, na której spotkaliby się wszyscy, bez względu na koleje, jakimi potoczyły się ich losy. Spotkałbym się tam z Grzymałą-Siedleckim i z dobrym Jasiem Kleczyńskim, i z dr Zofią Daszyńską-Golińską, z którą tańczyliśmy szalone galopki, i – jeżeli gdzieś żyje – z niejakim B...kim, z którym brataliśmy się rok cały, nie wiedząc, że się inaczej nazywa i że ma z policją poważne zatargi bynajmniej nie polityczne. Przyszedłby z pewnością – gdyby żył! – chętnie na tę wódkę Perzyński, Perz, młodziutki wówczas chłopiec, delikatny, dyskretny, który drukował w „Życiu" pierwsze utwory. W jednym z numerów zamieścił wiersz, którego każda zwrotka kończyła się gorzką apostrofą do dziewczyny": „Pieść mnie, całuj, mam jeszcze pieniądze." Numer dla jakichś przyczyn skonfiskowano; oczywiście puściliśmy pogłoskę, że prokurator skonfiskował numer z powodu wiersza Perzyńskiego, dopatrzywszy się w nim znamion „świadomego i podstępnego wprowadzania w błąd..."

Kogo by jeszcze wspomnieć? A Jaś Kleczyński, czy pamięta jeszcze naszego preferansa? Jaś Kleczyński, nazwany nie wiadomo czemu przez Przybyszewskiego „Jasiu-Jasiu", poczciwy, lubiany przez wszystkich, małomówny, oddający się skrycie namiętności szachów. Pozostał najwierniejszy, gdy dom się rozbił, a Stach został osamotniony. Stach wśród wszystkich swoich namiętności nie miał jednej, nie grywał w karty; znał od biedy preferansa, i to licho. Kiedy został sam, zbiedzony, zaszyty w domu, aby nie widywać ludzi, nie mogący sypiać, odwiedzaliśmy go z Jasiem-Jasiem i łupiliśmy z nim całe noce w preferansa, ot, aby go rozerwać. Stach, znudziwszy się normalną partią, wprowadził taką modyfikację: kto był na ręku, miał prawo powiedzieć: *merde!* – wtedy rzucało się karty i wszyscy płacili do puli. Pula rosła zawrotnie, a Stach za każdym wykrzykiem zaśmiewał się do łez. Rżnęliśmy w tę idiotyczną grę kilka nocy, zgrywając się na tysiące, płatne oczywiście na księżycu.

Kogóż by jeszcze wspomnieć? „Szczep", rzeźbiarz dziś europejski laureat, wówczas przez całe dni modelował z gliny potężne *phallusy* i polichromował je niczym Stare Miasto; mieszkał zaś – dla kontrastu – z wstydliwym jak panienka i rumieniącym się muzykiem Kaziem Krzyształowiczem. Ale jedną z najbardziej malowniczych figur był Stasinek, istny średniowieczny „uczeń filozofa", który niańczył dzieci, przepisywał lub tłumaczył rękopisy, chodził po wódkę, czasem w potrzebie umiał chytrze zdobywać Stachowi pieniądze „na dom" i był w ogóle rodzajem honorowego marszałka dworu. Zdaje się, że zalecał się po trosze do służącej Helci, kiedy zostawał z nią sam na gospodarstwie, bo raz mały Zenonek wywołał wesołą konsternację zapytując po norwesku matki: „Mamo, czemu Helcia bije wujcia Stasinka?" Stasinek zapisany był na pierwszy semestr sanskrytu, wskutek czego bawiący przejazdem Miriam zamówił u niego tłumaczenie *Upaniszad*. Czeka na nie dotąd, ale Miriam, jak wiadomo, ma czas...

Młody dziennikarz Konrad R., ciekawy przykład „mimetyzmu" (czy jak się to nazywa), zawsze reprodukował czyjąś indywidualność, zwykle nie na jego miarę. Będąc niedużego wzrostu i fajtłapą, odstawiał wściekłe ataki furii olbrzymiego Stanisławskiego, do złudzenia podobnie i z najlepszą wiarą. Będąc potulnym komparsem, podrabiał demoniczne wybuchy ironii Przybyszewskiego. Najzabawniejsze było to, że upiwszy się miał ataki megalomanii i „miażdżył" Stacha jego własnymi tyradami pożyczonymi od Falka czy Gordona (miał fenomenalną pamięć)

z jego nieodłącznym „he, he!” Stach zaśmiewał się z rozkoszy; nazywało się to, że Konrad ma swój *Herrgottabend*. Powtarzało się to periodycznie, żyły występowały mu na czoło, potem, nakrzyczawszy się i natoczywszy piany, zasypiał spokojnie w kącie i chrapał bardzo po mieszczańsku. Z owym jakże uprzykrzonym „he, he” łączy się dość zabawna scenka. Jednego wieczora – było to w restauracji Turlińskiego – Konrad doprowadził swoim „he, he” Natalię Siennicką do takiego zdenerwowania, że krzyknęła: „Jeżeli pan jeszcze raz powie «he, he», rzucę w pana talerz.” – „He, he”, zarechotał na to Konrad i w tej samej chwili potrawka z rakowym sosem znalazła się na jego twarzy. Z Siennicką nie było żartów, trafił demon na demona, niczym Gabryelski. A Stachowi oczy zachodziły ze śmiechu, gdy patrzył na te igraszki swoich „dzieci szatana”.

Znamienna dla epoki jest historia małżeństwa tegoż Konrada. Starał się o pewną pannę z kresów, która była oporna jego zabiegom. Nie wiedząc już, co począć, kropnął do niej namiętny list, przepisany dosłownie z którejś z powieści Przybyszewskiego. Skutek był piorunujący, panna natychmiast padła mu w objęcia i pobrali się.

Konrad zginął śmiercią walecznych, na paraliż postępowy. Nie on jeden, w owej przedsalwarsanowej epoce... A Stach lubił wróżyć swoim wiernym taki koniec, lubił szeptać tajemniczo, kiwając głową: „Taka ci go żre przepotężna, prapolska franca...” Bo ten najdobroduszniejszy z Szatanów kochał swoje szataniątka, swoje dzieci...

CHRZCINY IWI

Kiedy, kreśląc te karty, wpatrzyłem się w odległą przeszłość, odnalazłem jedno jeszcze wspomnienie: chrzciny Iwi. Ach, te chrzciny Iwi, co to było koło nich śmiechu. Kiedy Przybyszewscy przybyli do Krakowa, przywieźli z sobą dwoje dzieci; Zenonek – już trzyletni kawaler – i kilkumiesięczna Iwi, która ten pierwszy okres swego życia spędziła na tułaczce po Europie, tak że nawet nie było czasu jej ochrzcić. Stach, który poza kwestią religijną, był wielkim tradycjonalistą – rzecz u cyganów częstsza, niżby się zdawało – mówił o tych chrzcinach ciągle, zachwycony był, że ma dom, meble – jakże na krótko! – i że będzie mógł godnie dopełnić tego obrządku, z kumami, z oblewaniem, po polsku, po kujawsku, po chłopsku. Nareszcie nadszedł ten wielki dzień, a po nim wieczór, na który Stach zaprosił, kogo tylko mógł.

Zaprosił... Z tymi zaproszeniami Stacha bywało, doprawdy rozmaicie. Tutaj, oczywiście, były poważne; ale zwykle nie brało się ich dosłownie. W chwilach rozlewności zapraszał, zapraszał, po czym na drugi dzień bardzo był zaskoczony, gdy ktoś w oznaczonej porze się zjawił. (Przez jakiś czas, w kołach bliskich Stacha, z późniejszego, warszawskiego okresu, weszło w modę przysłowie: „Zajączka jakoś nie ma.” Wzięło się stąd. W czasie jakiegoś przyjacielskiego wieczoru, wkrótce po przybyciu do Warszawy, Stach zaprosił świeżo poznanego literata na drugi dzień do siebie na obiad „na zajączka”. Ów, jeszcze nieobyty ze Stachem, znający formy – podobno to był Lorentowicz – ubrał się, jak przystoi, w żakiet i przybył punktualnie. Stach powitał go z pewnym zakłopotaniem; coś mu widocznie świtało w głowie; przez dobrą godzinę zabawiał gościa jak gdyby oczekując cudu, aż w końcu z nagłą determinacją pochylił się do jego ucha i rzekł: Zajączka jakoś nie ma, ale pożycz pan rubla, to poślę po wódkę.”)

Otóż faktem jest, że na godzinę przed przybyciem chrzestnych gości w domu Stacha nie było „zajączka” ani śladu. I nie tylko zajączka... A zaproszonych było mnóstwo osób, i to nie tylko codziennych cyganów, ale i dystyngowanej sosjety! Stach wyszedł na miasto w nadziei, że coś, gdzieś... Wierna jego gromadka była w owej porze już bardzo wypłukana. Na wódkę może by starczyło, ale nie chrzci się przecież samą wódką... Nawet Stasinek, choć miał w głowie „siła fortelów”, stał bezradny! Naraz, przypadkowo, napatoczył się z wizytą Józefat Nowiński z Warszawy, który wziął świeżo nagrodę na konkursie dramatycznym za swoją *Białą gołąbkę* i który, upojony szczęściem, wybierał się przez Kraków do Wiednia, gdzie zamierzał kupić lornetkę i inne sprzęty nieodzowne dla początkującego światowca. Z tym wszystkim zwierzył się niebacznie w kawiarni poprzedniego wieczora... Ujrzawszy Józefata, Stasinek otaksował go bystrym spojrzeniem i wyciągnął go do sąsiedniego pokoju na konferencję; gdy wyszli, Stasinek zakręcił się, znikł, i niebawem zaczęły się zjawiać kosze, paczki, butelki, mięsiwa... Kiedy nadeszli goście, stół był już pięknie nakryty: takich chrzcin nie powstydzono by się nawet na Kujawach.

Na drugi dzień Józefat Nowiński był nieco zafrasowany; zapytywany o podróż do Wiednia, powiadał, że jeszcze nie wie, o kupnie lornetki już nie było mowy. Czekał przez kilka dni w Krakowie, nie wiadomo na co, wreszcie nie doczekał się i wyjechał. Co gorsza, Stach wyszydził mu i sponiewierał jego *Białą gołąbkę*, która zresztą w teatrze krakowskim zrobiła sumienną

klapę. Nic dziwnego, że Nowiński w artykułach swoich nie potraktował Stacha zbyt czule. Ale czemu biedny Józefat niedługo potem sobie w łeb strzelił? Licho go wie. On też był z rzędu tych, którzy mogliby się skarżyć – jak ów malarz – że Bóg im „dał talent, ale mały". Jak można zresztą nazywać się Józefat?

Na razie Józefat, fundator mimo woli, żyje, siedzi w kącie i patrzy cokolwiek oszołomiony, jak w domu Stacha zabawa idzie szeroko. *Apud Polonos nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt*, objaśnia go po Sienkiewiczowsku któryś z bandy, lejąc mu zdradliwie szklankę czuby (tak nazywano ohydny węgierski koniak kupowany w szynczku na rogu, a szczycący się egzotyczną firmą Czuba & Durozier). W istocie ryk był piekielny. Ale niebawem uciszyło się, bo Józef Kotarbiński, przetańczywszy z panią domu na nutę *Słońce i pogoda*, przystanął koło grajka i zaśpiewał improwizowaną strofkę. Odśpiewał mu, przetańczywszy z kolei, natychmiast geolog Grzybowski, i dosłownie parę godzin ciągnął się, ku niesłychanej radości Stacha, ten taneczny pojedynek na improwizowane krakowiaki. To się nazywa artystyczne poczucie stylu: chrzciny to chrzciny! Było już dobrze szaro, kiedy Kotarbiński usiadł w fotelu i wśród religijnej ciszy zaczął, jakby do siebie, mówić strofy *Beniowskiego*, te najpiękniejsze: „Twój czar nade mną trwa..."

To wszystko brzmi jakby jakieś echo Murgerowskiej cyganerii. Boże drogi, co za niewinność! Bo jak rzekłem, w historii Przybyszewskiego ten pierwszy okres krakowski zajmuje dość odrębne miejsce. To były w jego udręczonym życiu jedyne może chwile pogody – bardzo niepewnej – jedyne chwile jakże nietrwałego spokoju. W patetycznej sonacie tego życia to było jakby scherzo. Wszystko, przy zachowaniu jego cech indywidualnych, barwi się tonem żartobliwym, jest mniej tragiczne, mniej ponure, niemal jowialne. Bo i dolę w tej krótkiej chwili w istocie miał lżejszą. W Niemczech paliło mu się już pod nogami. Kiedy Wincenty Lutosławski, poczciwie, ale trochę po doktrynersku, ściągał go do siebie do Hiszpanii, aby mu „uzdrowić duszę", stwierdza w swoim liście, że pisarz znajduje się „na drodze do rozpaczy". Trudno się dziwić: młodzi pisarze niemieccy, już sławni, przymierali w owym twardym Berlinie głodem, jak miał tam wyżyć poeta kapryśny, niepodległy, a raczej podległy wszystkim niebezpiecznym nałogom, który w dodatku obarczył się żoną i dwojgiem dzieci! Zarobić trudno, pożyczyć wśród obcych też nie łatwo. Przy tym tak obco, w Berlinie czy w Skandynawii, tak obco dla tego rozlewnego Kujawiaka!

Naraz, kiedy dosłownie nie wie, co z sobą począć, dostaje listy namawiające go do Krakowa. Chwyta się tej myśli. Jedzie z Norwegii jak w upojeniu. „Całe szczęście (pisze w swoich wspomnieniach), że na pieniądze, które wiozłem do Polski, miałem czek na Wiedeń, inaczej bym bez jednego centa przyjechał do Krakowa; ten czek mnie uratował." Spyta ktoś, jak można w wagonie, w drodze, nie zatrzymując się, wydać pieniądze: Przybyszewski i ten sekret posiadł! A skąd Stachowi te pieniądze, te czeki na Wiedeń? Stąd, skąd i wielu innym Stanisławom: Paderewski, opatrznościowy Paderewski!

Rozkoszne są te wyznania Przybyszewskiego, świadczące, jak mało on chodził po ziemi. Ten redaktor „Gazety Robotniczej" powiada, iż „był przekonany, że w Galicji tak samo Niemcy Polaków dławią jak w Prusiech"; bał się adresować po polsku listu do Krakowa, bo był przekonany, że list taki zaginie. „Byłem jak oszołomiony, gdym wszędzie naokół słyszał tylko język polski – tragarze, urzędnicy, kelnerzy." Ale nie tylko język polski upajał Stacha; czekały go inne niespodzianki. „Gnany przemożną tęsknotą, jechałem do Polski, ale przez głowę mi nie przechodziło, żebym miał kiedykolwiek jaką rolę w Polsce odegrać. Byłem na to przysposobiony, że pies, kot się o mnie nie zatroszczy, że będzie tak, jak było w Berlinie: małe kółko artystów, żyjące całkiem poza obrębem społeczeństwa..." Tymczasem... to, co Stacha zaraz na wstępie spotkało, przywodzi mu na myśl scenę z *Rewizora* z Petersburga. Musiało to wrażenie być wiernie takie, bo kilka razy w tych wspomnieniach, chcąc określić swoją sytuację, powraca

do *Rewizora*. Odczuwał to – powiada – „aż do przykrości, aż do zawstydzenia".

„To przykre wrażenie potęgowało się w ciągu całego wieczoru: zaledwie włożyłem papierosa do ust, już znalazło się jakby na wyścigi kilka zapałek; nie zdążyłem jeszcze zawołać na kelnera, a już zjawiał się z całą tacą wódek i zakąsek; zapytałem, gdzie mogę mój czek zrealizować, a w tej chwili wypłacono mi całą zawartość mego czeku, i to w samych pięcioguldenówkach, aby suma pokaźniej wyglądała..."

Czy to nie jest wzruszające?

Ktoś mu znajduje mieszkanie, ktoś mu je mebluje, najbardziej utalentowani malarze spieszą mu zdobić ściany; kiedy nie ma grosza w domu, ktoś wtyka kucharce parę guldenów na obiad. Wciąż nowi ludzie, nowe fizjognomie, a wszystko kręci się koło Stacha, wszystko pije jego słowa. Kraków był jak stara zasuszona wdowa, której spadł nagle z nieba młody, czarujący amant: Kraków oszalał! Przybyszewski, wspominając te czasy, pisze o staczanych walkach. Ale co to były za walki? z kim? Jedynie literaci boczyli się na niego, ale ci jego osławieni „mydlarze" ani trochę; gdyby chciał, mógł był chodzić z wieczoru na wieczór, z rautu na raut; mydlarze, a zwłaszcza mydlarki, aż drżą do tego, aby oglądać tego osławionego truciciela dusz. Publiczność przepełnia salę na jego odczycie o czarnej magii, gdzie oszołomionym, młodym panienkom opisuje dokładnie *phallusa* szatana (opatrzony był kolcami, chytrze ustawionymi pochyło, jak u jeża). A jeżeli nie było walki, to dlatego, że nie było armii nieprzyjacielskiej ani twierdzy; nie było czego zdobywać. Stary hetman krytyki, Stanisław Tarnowski, był już dość ośmieszony. „Czas" drukował *Anioła śmierci*, odmładzał się na gwałt. Teatr Pawlikowskiego był dla młodych, dom Sewera Maciejowskiego, najżywsze centrum artystyczne, zawojowany był przez młodych, co prawda... mało młodych.

Tak jak troska o byt była w owym okresie życia Przybyszewskiego lżejsza, tak samo i wytężenie jego siły twórczej. Żyje ze swego bogatego wówczas kapitału; przebija swe walory na polską monetę; rozmienia je po trosze na drobne... Upaja się swymi prymicjami polskiego języka i wypoczywa, bawi się, śmieje się swoim zawsze cokolwiek niepokojącym śmiechem. Los tego tragicznego i tragedię niosącego człowieka jakby przycupnął na chwilę.

Kiedy sobie wspominam ówczesne sceny krakowskie, nawet to, co tak patetyczną nutą brzmi w innych jego momentach, tu barwi się groteską. Na przykład porywy religijne tego „satanisty", którego młodość kołysała się hymnem *Święty Boże*. Pamiętam taką scenę. Powrót do domu ze Stachem, którego zawsze odprowadzało się gromadnie, miał swój ustalony porządek. Wstępowało się po drodze, gdzie się tylko dało. Ostatni etap to był mały szynczek przy ulicy Karmelickiej, gdzie nad ladą widniał napis, jakże charakterystyczny dla ubożuchnego Krakowa; „Po godzinie 11 potrawy i napoje o 1 centa droższe." Istotnie, na jajku na twardo i kieliszku wódki było to podrożenie o 33 proc., bardzo poważne! Stamtąd już prosto do domu, nie było już nic: droga wiodła pod cudownym ołtarzem kościoła Na Piasku. Jednego dnia Przybyszewski, rozebrany skruchą, zatrzymał się przed ołtarzem, przyklęknął i długo się modlił. Po czym, jeszcze na klęczkach, wyjął papierośnicę i już gotował się zapalić papierosa od lampki płonącej przed ołtarzem, kiedy Godziemba-Wysocki, *unus defensor*, któremu aż dech zaparło, chwycił go za rękę karcąc go słowami: „Cóż ty, Stachu, żyd jesteś, poganin?"

Druga historia przypomina mi ową spowiedź biednego Leliana – Verlaine'a – tak zabawnie opisaną przez Anatola France'a. Przyjechał mianowicie do Krakowa osiemdziesięcioletni blisko, ale bardzo czerstwy ksiądz z prowincji i zachodził wieczorami do kawiarni Szmidta (lokal w rodzaju dawnej warszawskiej „Udziałowej"), gdzie koczowała cyganeria. Pokazywano go sobie i mówiono o jego wieku podziwiając żwawość staruszka. Poza tym był to zwykły sobie człeczyna, lubiący się zabawić przy kieliszku. Przybyszewskiemu ten osiemdziesięcioletni kapłan uderzył na imaginację: ujrzawszy przy jego stoliku kogoś znajomego, przysiadł się i poprosił, aby go

przedstawić księdzu, co staruszek przyjął obojętnie. Ale Przybyszewski nachylił się do księdza i począł mówić swoim wnikliwym szeptem: „Proszę ojca, dla religii katolickiej mam taką głęboką cześć, ja, człowiek występny" etc. Ksiądz, który zupełnie nie wiedział, co za jegomość przysiadł się do stolika (a choćby i wiedział, nic by mu to nie powiedziało), odburknął: „A dajże mi acan spokój, idźże opowiadać takie rzeczy swemu spowiednikowi." – „A co by ojciec powiedział, gdybym się pochylił z całą pokorą do nóg, uklęknął i poprosił tu zaraz o tę najświętszą katolicką spowiedź..." I gotował się klękać. Tego już księdzu było za dużo: „A idźże pan do stu diabłów – huknął pięścią w stół – widzicie bałwana, człowiek spokojnie kieliszka wódki wypić w tym Krakowie nie może. Płacić."

Takim pasmem nieustających anegdot płynęło to życie. Ale czuć było, że tak być wiecznie nie może. Było to życie jakby nierealne, jakby wyzwolone spod praw ciążenia, prawa te musiały odzyskać swą wagę. I sam Stach nie mógł wytrwać tak długo; dusza jego łaknęła dramatu, łaknęła nieszczęścia: znalazła go też do sytości. Ten pobyt w Krakowie pozostał w jego życiu epizodem, epizodem dość osobliwym, któremu on sam, po latach trzydziestu, przygląda się we wspomnieniu z niejakim zdziwieniem.

Ostatnich podrygów tego krakowskiego poematu nie byłem świadkiem. Po piekielnej *bowli* (zimny poncz) urządzonej na cześć jakiegoś „Kujawiaka", który, przez jeden dzień będąc przejazdem w Krakowie, zapoznał się ze Stachem – przy czym nikt nigdy nie dowiedział się, jak on się nazywa, Kujawiak, i tyle – przeleżałem parę godzin w śniegu, przechorowałem potem dwa miesiące. Kiedy pierwszy raz z resztkami gorączki wstałem z łóżka i powlokłem się do domu Przybyszewskich, zastałem drzwi zamknięte, szybę wybitą, szedł jakiś nieuchwytny powiew dramatu i ruiny. I tak było w istocie. Skończyło się scherzo, jedyne bodaj, jakie było w życiu biednego Stacha. I mała Iwi, nasza chrzestna córeczka, poszła do obcych i już tam została. I na to się zdało chrzcić ją tak po polsku?...

KUŹNIE INTELEKTU

Każdy się domyśli z górnej metafory tytułu, że mowa o kawiarniach. Raz po razu powtarzało się w tych wspominkach słowo „kawiarnia". Słowo niby pospolite, a jednak wymaga historycznego komentarza. Są oczywiście kawiarnie i dziś, jest ich coraz więcej, i pełno w nich ludzi. Interesy, randki, muzyka, dansing, dziewczynki, życie, ruch. Otóż gdyby ktoś dzisiejszymi oczyma mógł ujrzeć dawną kawiarnię krakowską, byłby przerażony. Klasztor. Sami mężczyźni. Kobiety nie chodziły do kawiarni. Mężczyźni tonący w plikach gazet. Pożeracze gazet, którzy gromadzili koło siebie sterty drukowanego papieru, siadali na nich, strzegli ich zazdrośnie, gdy inni czekali godzinami na swoją kolej. Polskie, niemieckie, francuskie, angielskie, dzienniki, tygodniki... Czego oni szukali w tej bibule? Oszukiwali niedostatek żywego życia. Kibicowali. Całemu światu. Życie przeciętnego krakowianina było wiecznym kibicowaniem.

To byli samotnicy. Ale tu i ówdzie znowuż inny obraz. Grupa ludzi zapalających się, zagadanych, rozwrzeszczanych. Padają wielkie słowa. Ibsen, Nietzsche, Stirner, Dostojewski, Hamsun, Spinoza, niżej ani przystąp. Impresjonizm, estopsychologia. To były szkoły dialektyki, niczym ateńskie. Myślałby kto, że to sami fachowcy, filozofowie, literaci? Gdzież tam, połowa z nich to byli urzędnicy, którym nikt za to wszystko grosza nie dał. Sztuka dla sztuki.

To władztwo dialektyki miało głębokie przyczyny. Tak jak dziś jesteśmy w życiu bombardowani faktami, zdarzeniami, sensacją, tak w przedwojennym Krakowie była przerażająca niedokrewność faktu. To, co się działo, było drobne; to, co większe, było daleko. Jedyny możliwy ruch był w świecie wyobraźni. Żyło się abstrakcją. Walczono o „światopoglądy", bez innych konsekwencji prócz papierowych. Świat fikcji. Kłócono się o „nadczłowieka" jak dziś o Brześć. Prawda czy kłamstwo? *Dzika kaczka*. Czy silny człowiek ma obowiązek liczyć się z etyką? *Borkman*. W ogóle problemy. Na tym tle można zrozumieć znaczenie teatru Pawlikowskiego. Wypiekał chlebuś dialektyki na cały tydzień.

Dialektyka! Boska sztuka z Grecji rodem! Kiedy czytałem *Erystykę* Schopenhauera, gdzie znajdują się skatalogowane wszystkie chwyty mniej lub więcej nielojalnej dyskusji, mające na celu pognębienie przeciwnika bez względu na rację, byłem oczarowany, odnajdywałem się w jakże znajomym świecie! Mimo wszystko to była szkoła nie do pogardzenia. Dziś, przy pośpiechu życia, przy powszechnym pragmatyzmie, który nie doznaje potrzeby pozautylitarnego wartościowania zjawisk, niezrozumiałą wyda się owa pasja bezinteresownego, oderwanego dociekania „prawdy", *Ding an sich*, to oglądanie w najrozmaitszych oświetleniach fikcyjnej rzeczywistości. Ale jako ćwiczenie myśli, miało to bezwarunkowo swoją wartość. A przy tym – rzecz w ówczesnym Krakowie niemałej wagi – rozkosze te były *gratis*.

Stolik kawiarniany miał swoich herosów. O ile większość mełła językiem, dysputując nieraz zawzięcie o pisarzu, którego żaden ze spierających się nie czytał, byli tacy, którzy czytali i chłonęli wszystko. Za wszystkich. Studnie erudycji. Ludzie o zdumiewającym obszarze wykształcenia, zużywanego jedynie na terenie kawiarni.

Nieraz zastanawiałem się nad rolą improduktywów, o wiele donioślejszą, niżby się

zdawało. To są roznosiciele pyłków inteligencji. Za innych chłoną, za innych trawią myśli, pomagają do ich krążenia. Czytają często za tych, którzy... piszą. Bo pisarze na ogół czytają znacznie mniej, niż się przypuszcza, instynktownie bronią się przed nadmiarem druku. Pisać i czytać to może za dużo! Owi rzekomi improduktywi to są nieznani wychowawcy; gdyby można było na idealnej wadze ważyć takie rzeczy, wpływ niejednego z nich okazałby się może większy od wpływu jakiego znanego producenta książek.

W ogóle z tym artyzmem to nie wiadomo jak jest. Miary, które się stosuje, są raczej utylitarne. Na przykład dar opowiadania a dar pisania. Czy pierwszy gorszy jest od drugiego? Tyle że ulotny, że ograniczony na mniejszą ilość odbiorców. I ten, co wyładowuje się bezpośrednio, idąc za swoim powołaniem, zmarnuje życie na gawędach, wygłupianiach, ma szanse zostać pieczeniarzem i wykolejeńcem, gdy ten, co pisze, dojdzie do glorii i dochodów. Jestem przekonany, że gdyby istniał jaki przyrząd do bezpośredniego oznaczania stopnia artyzmu, klasyfikacja wypadłaby bardzo inaczej od oficjalnej. Wspominałem w jednym z poprzednich felietonów o Władysławie Michałowskim, którego nazwałem artystą bez teki; i oto, poruszony moim wspomnieniem, pisze do mnie jeden z tych, co go znali najbliżej:

„...był, zdaniem moim, jednym z największych aktorów-filozofów i nie tylko odtwórcą, ale twórcą postaci, które nigdy nie żyjąc w świecie żyły i żyją między nami... Gdyby ktoś rozmowy i powiedzenia tych postaci utrwalił pismem, można by z tego czerpać w życiu w chwilach złych i dobrych jak z *Fausta*...”

Tak mówi bardzo inteligentny człowiek o tym ziemianinie i staroście galicyjskim, który nic w ogóle nie pisał i całe życie przebawił się bańkami mydlanymi dowcipu i fantazji.

„Na dwa dni przed śmiercią, będąc już właściwie umierający (czytam w tym samym liście), udawał Pawła Popiela, jakby Paweł Popiel mówił o Aleksandrze Skrzyńskim i jego rządzie, wtedy właśnie ukonstytuowanym.”

Też Jowialski, ale jaki!

To tylko nawiasem. Wróćmy do kawiarni. Otóż można zrozumieć, że wówczas – dziś wydaje się to nieco egzotyczne, a nieśmiertelny Franc Fischer jest zabytkiem właśnie z owych epok – były umysłowości wyżywające się w ten sposób; inteligencje zarazem bardzo czynne i bardzo leniwe, które podnieca kontakt z audytorium, zapładnia atmosfera dysputy, paradoksu. Nie docenia się dziś tych ludzi. Grecy byli w tym szersi, mieli swój typ filozofów ulicznych, skompromitowany w sofistach, ubóstwiony w Sokratesie. Zawsze, kiedy się nad tym zastanawiam, myślę o biednym Ludwiku Janikowskim, któremu tyle zawdzięczam, tak znanym później w bohemie wiedeńskiej, przyjacielu Altenberga, Krausa, opisanym zjadliwie w paszkwilowej powieści pod tytułem *Ezechiel der Zugereiste*. Cóż to był za wspaniały płomień inteligencji!

Ach, te dysputy krakowskie! Dziś trudno sobie wyobrazić coś podobnego z powodu obecności kobiet. Nie zniosłyby tego. Czytałem gdzieś o procesie rozwodowym w Ameryce, w którym żona zażądała rozwodu z powodu znęcania się męża. Jako przykład okrucieństwa podała, że sprowadzał do domu przyjaciół i po kilka godzin rozmawiali o Kancie. Sąd uwzględnił motyw i udzielił rozwodu. Z tego punktu widzenia niejeden bywalec kawiarń krakowskich mógł być oskarżony o sadyzm...

Godziny schodziły na takich dysputach. „Wisełka płynie wolno, ma czas, robaczku, ma czas”, mawiał Stach Przybyszewski. Istotnie, czego jak czego, ale czasu było w Krakowie dość. Kiedy zamykano jedną kawiarnię, szło się do drugiej; w tym sennym mieście kilka kawiarń było otwartych do trzeciej rano! Bez muzyki, broń Boże; tym krakowski wyjadacz kawiarniany gardził: tylko gazety i gadanie. Można tam było dostać wódki, szynki, jajka, więc po co w ogóle wychodzić? Ale trzecia rano wybiła jak nic, a tu jeszcze nie doszło się do konkluzji w

najwalniejszych sprawach ducha! Na szczęście i wtedy było gdzie się schronić; była kawiarnia, której nie zamykano nigdy, otwarta bez przerwy dniem i nocą przez trzydzieści lat istnienia: „Rosenstock" („Rosenkreutzer" jak go nazywał Przybyszewski), na rogu ulicy Lubicz. Była to najbardziej malownicza knajpa, jaką znałem; ponieważ, począwszy od trzeciej rano, była jedyną, spotykały się tam wszystkie stany. Złota młodzież wprost z balu we frakach, i również we fraku kelner z innej kawiarni, który po fajerancie zachodził jako gość na partyjkę bilardu. Tupot nóg dorożkarzy wstępujących na rozgrzewkę i szwargot oficerów austriackich. A wśród tego gwaru, zaduchu, w kącie, nic nie widząc, nic nie słysząc, tokuje dwóch młodzieńców, wydzierając sobie słowa, miażdżąc się argumentami, nie mogąc się doczekać chwili, gdy przeciwnik zrobi pauzę dla nabrania oddechu. Ci z pewnością przegadają tak do ósmej rano, po czym będą jeszcze do południa obchodzić plantacje, upici jednym z najsilniejszych narkotyków – gadaniem.

A kelnerzy kawiarniani! Raz ujrzałem klepsydrę, gdzie pod imieniem i nazwiskiem widniała taka godność: „Były kursor związku kelnerów." Nie, to już za wiele melancholii: kelner, związek kelnerów i kursor tego związku, i do tego b y ł y, i do tego umarły. Stałem długo przed tą klepsydrą, w pustej ulicy krakowskiej, w błoto i w deszcz, niczym Hamlet nad czaszką Yoricka.

Potem przybył miastu jeszcze jeden nocny lokal: dworzec kolejowy. Dawniej zamknięty na parę nocnych godzin, od czasu „blitzów" otwarty był całą noc. Tam – już za czasów „Balonika" – wędrowali nad ranem wypędzeni skądinąd cyganie. Pamiętam, jak raz malarza Stasia C., zalanego porządnie, opanowała uparta myśl, że wszyscy, którzy tam czekają na ranne pociągi, przyszli pić, tylko „kuferki, hycle, dla niepoznaki pobrały", powtarzał z podziwem dla ich pijackiej chytrości. Tenże Staś C. rzucił się na brodatego portiera Czecha, który nosowym głosem wykrzykiwał swoje: *„Schnellzug nach Dziedzitz, Oderberg, Prerau, Lundenburg, Wiee-en"*, i wpił się namiętnie w jego wargi, krzycząc: „Usta mi twoje daj, chcę kąsać twoje usta!" Ale niech nikt nie przypuszcza nic złego, to była tylko taka fantazja artysty. Ten cygan nad cyganami, biedny jak mysz kościelna, ożenił się później z ekscentryczną hrabianką: była to już epoka „Balonika" i pod tym znakiem był też poczęty ów mariaż. Żyli z sobą wcale dobrze, ale można było umrzeć ze śmiechu, słysząc, co za historie haftuje Staś na temat tego małżeństwa; jak ona nim pomiata, jak go maltretuje, jak mu wymawia łaskę, którą mu zrobiła. „Rano myję zęby kalodontem, a ona wydziera mi tubkę i wyrzuca przez okno: «Ty dziadu jeden, woła, czyś ty wiedział przed tym, co to kalodont?»" etc. Tak potrafił snuć godziny całe, kiedy się urżnął, i płakał przy tym nad sobą rzewnymi łzami. Czyż kawiarnia, w której występowali tacy komicy, nie była atrakcją?

Nie pamiętam dokładnie, kiedy zaczęła się do kawiarń inwazja kobiet. Zdaje mi się, że to było w „Secesji" (róg Rynku i Św. Anny), z jej tandetnym szykiem, muzyczką i w ogóle wiedeńskim stylem. Tam zaczęły chodzić rodziny i w ogóle damy. Natomiast stara kawiarnia Sauera (gdzie jeszcze królowa Jadwiga miewała randki z Wilhelmem, ale wtedy nie było tam kawiarni, tylko dom Gniewoszów), na przeciwległym rogu Rynku, wciąż była męska. Aby iść umiarkowanie z duchem czasu, Sauer wprowadził pokoik, gdzie mężczyzna mógł pojawić się tylko o tyle, o ile towarzyszył damie. Koniec temu nonsensowi położył jakiś gość, który wszedł sam i zażądał herbaty. Przeproszono go, że nie wolno go obsłużyć, o ile jest bez damy. „A, tak?", odpowiedział i wyszedł. Za chwilę wrócił z „protustką" (jak to nazywa Jakub Wojciechowski) z rogu, posadził ją naprzeciw siebie i rzekł spokojnie do osłupiałego kelnera: „Proszę o herbatę."

Z tych kawiarni najruchliwszą i przez długi czas najbardziej „literacką" był Schmidt na rogu Szewskiej i plantacji. Było tam nieprawdopodobnie brudno, bo właściciel, jako radny miejski, nie lękał się żadnych przepisów i inspekcji. Kiedy mu ktoś zwracał przyjacielską uwagę, że jednak warto by oddzielić kuchnię od klozetu i wprowadzić pewne elementarne ulepszenia, odpowiadał spokojnie: „Pełniej nie będzie", pokazując gestem salę, w której w obłokach dymu istotnie była

głowa przy głowie.

Potem „Paon", o którym mówiłem już gdzie indziej. Zdziwi może kogo na rycinie, że w ogólnej sali jest zamalowane płótno, a w „Paonie" ściany są puste. Bo właśnie „Paon" był ucieczką od tego ogólnego płótna, którego demokratycznej pstrokacizny nie mógł znieść czciciel hierarchii w sztuce, Jan Stanisławski. W „Paonie" były tylko bloki z papierem rysunkowym, pastele i węgle pod ręką. Często nad ranem zaczynał tam robić swoje portrety Wyspiański. Tam pamiętam heroiczną scenę, kiedy Przybyszewski i Kasprowicz spotkali się pierwszy raz (tak to przynajmniej przedstawiał Przybyszewski, troszczący się w tym momencie o wszystko raczej niż o ścisłość historyczną), od czasu jak Jaś pasał gęsi w rodzinnym Szymborzu o miedzę od Łojewa, ojczyzny Stacha. Upili się oczywiście obaj jak nieboskie stworzenia; nie wiedząc już, co robić z wzajemnej czułości, zamienili kamizelki jak bohaterowie Homera zbroje. Stach miał berlińską kamizelkę brązową ze złotymi guzikami na dwa rzędy, z której był bardzo dumny, ale oddał ją bez wahania. Kasprowicz chciał wymienić i pugilaresy, ledwo go przyjaciele powstrzymali, bo Kasprowicz, jadąc do Warszawy na odsłonięcie pomnika Mickiewicza, pugilares miał spęczniały banknotami, a nasz Stach, Boże zmiłuj się... Ale na jedno wyszłoby Jasiowi, bo i tak wszystko w Warszawie przepił.

Czasem zaglądał do Krakowa i do „Paonu" Miriam, wytworny smakosz, który kunsztownie skomponowaną biesiadę zwykł był kończyć kieliszkiem *crème de Mocca*. Pamiętam scenę, jak Stach dawał restauratorowi Turlińskiemu skrócony kurs literatury polskiej. „Uważasz, robaczku, najsampierw idzie Jaś, taki wielki magnat polskiego słowa, taki sobie biedniuchny «syn ziemi», idzie sobie takim grzmiącym krokiem do nieśmiertelności. Uważasz, robaczku: Jaś. No, Kasprowicz." – „A, pan Kasprowicz, znam, znam", odpowiadał życzliwie Turul, pamiętny, że w czasie przejazdu Kasprowicza pękło w „Paonie" ze dwadzieścia butelek szampana. „A drugi, uważasz, robaczku, taki wytworny książę kultury europejskiej, mag wiedzący wszystkie tajemnice, ten, co najsubtelniejsze włókna... No, Miriam!... (Barania mina Turlińskiego zdradzała wyraźnie, że ani w ząb nie wie, o kim mowa.) No, Miriam, ten, co najsubtelniejsze włókna duszy..." (Ta sama mina restauratora.) I byłoby się tak ciągnęło długo, aż wreszcie znawca ludzi i napojów, Stasinek, zniecierpliwiony tym nieporozumieniem wynikłym jedynie z użycia niewłaściwego języka, rzucił tylko: „No, Turul, likier kawowy..." Oblicze Turlińskiego rozjaśniło się natychmiast w i e d z ą c y m błyskiem: „A, pan Przesmycki, znam, znam, oczywiście..." Bo Zenon Przesmycki był mu doskonale znany, ale nie jako mag, tylko jako smakosz.

Poczciwy Turliński, a jednak i on uległ czarowi atmosfery! Kiedym go spotkał „na wygnaniu", we Lwowie, omal nie płakał wspominając krakowskie czasy. Wówczas Turliński prowadził we Lwowie kawiarnię „Sztuka", niby to w duchu krakowskich tradycji, i robił w niej dziwne cuda. Pozawieszał na ścianach rysunki z „Paonu", o pewnej godzinie muzyczka grała pianissimo, światła gasły ustępując miejsca czerwonym lampkom, robiła się cisza, i to się nazywało „nastrój". Myślałem, że pęknę ze śmiechu, kiedym to ujrzał. I sam Turliński czuł różnicę... Toż samo kelner jego, Jan, dla którego *bruderschaft* wypity z Przybyszewskim u Rosenstocka stał się głębokim wstrząsem psychicznym i przeanielił go w jakąś półfantastyczną postać. Tajemnicze są czary Sztuki!

JAN APOLINARY

Po rozbiciu się „Paonu", rój cyganerii przycupnął u tak zwanego „Bodegi". Był to pierwotnie handel win południowych, w lokalu jak na Kraków dość egzotycznym, gdzie zamiast stolików były beczki i gdzie szynkowano na czczo marsalę, taragonę i xeres. Ta nowość się nie przyjęła, „Bodega" zbankrutowała; kupił ją jakiś Czech, aby marsalę zastąpić piwem, a xeres kiełbaskami z chrzanem, o wiele lepiej udającymi się w naszym klimacie. Podawano tam i cienkusz austriacki, w osobliwym szklanym naczyniu z kurkiem, nazywanym przez cyganerię hegarem. „Obniżyć, obniżyć krtań", takie było tam zagadkowe hasło, powtarzane przez obecnych chórem, w chwili gdy jeden z nich wypróżniał spory puchar wódki. W „Bodedze" królował Kasper (Żelechowski), malarz popularny dla swoich fenomenalnych talentów mima i komika. Miał ogromny repertuar komponowanych przez siebie numerów: dziś żyłby z tego jak książę w jakim „Qui pro quo", wówczas dopłacał życiowo do tego talentu. Wymowny przyczynek do tego, co wprzód mówiłem na temat produktywności i nieproduktywności. Talenty jego były dla Kaspra zgubą: niezmiernie towarzyski, najlepiej wyżywał się w knajpie; potrafił po parę dni nie sypiać w domu, wobec czego budziła wesołość wisząca u niego w mieszkaniu wielka karta z napisem: „Dom to wszystko." Otóż aforyzm ten miał wyrażać, że to, co Kasper daje żonie na „dom", obejmuje już wszystko, i żeby mu poza tym nie suszyła głowy.

Nieodłącznym przyjacielem Kaspra był przygłuchy malarz Stroynowski, zawsze poważny, nawet wtedy, kiedy pijany w sztok, w lokalu z „damską kapelą" Benzaka, ściągał na ziemię obrus z całym nakryciem, koledze zaś, który go chciał powstrzymać, odpowiadał spokojnie i zwolna: „Nie przeszkadzaj, bo pyski zbiję; nie jestem dziecko, wiem, co robię"; po czym najpoważniej kończył, wśród przeraźliwego brzęku talerzy, dzieło zniszczenia.

Bądź co bądź, po dytyrambie „Paonu" wszystko to zdawało się ubogie i szare. Po trosze młodzi malarze uciekali na wieś, do Bronowic, gdzie od kilku lat siedział, wżeniony w „króla Piasta", Włodzimierz Tetmajer. W dzień malowali, wieczorami zbierali się u Włodzia lub w karczmie na „kurdesze", bywało tam wesoło. Z tego wynikło później małżeństwo Rydla i jego literackie konsekwencje.

Ale już tworzył się nowy ośrodek życia w cukierence, która później miała się stać bardzo głośna, w „Cukierni Lwowskiej" Michalika, przy ul. Floriańskiej nr 45. Kim był jej założyciel, Jan Apolinary Michalik, o tym objaśnia monografia cukierni, której autor podpisał się skromnie Zenon. Trzeba by z kolei objaśnić w kilku słowach, kto jest Zenon. Każdy k r a k o w i a n i n znał malowniczy zaułek ulicy Pijarskiej, gdzie w parterowym oknie dość niepokaźnego domu stale widniała karta: „Potrzeba kilku dziewcząt zaraz." To był istniejący do dziś prastary zakład litograficzny Zenona Pruszyńskiego, zarazem uczonego numizmatyka i zbieracza. Litografia Pruszyńskiego była przez wiele lat żywym ośrodkiem, zwłaszcza że jej właściciel, entuzjasta sztuki, szedł na rękę wszelkim poczynaniom artystów. Stamtąd wychodziły „Teka Melpomeny", „Chochoł", „Liberum Veto"; tam odbijały się (gratis) słynne „zaproszenia" „Zielonego Balonika". Bo nie było większego patrioty krakowskiego kabaretu nad Zenona, który do dziś, przez dwadzieścia pięć lat, przychodzi co dzień do Michalika na kawę i siada dla tradycji przy

stoliku malarskim", obchodząc po kolei sumiennie wszystkie dziesięciolecia, piętnastolecia etc.

Książka Zenona, jak przystało na dzieło erudyty, roi się od błędów i nieścisłości; mimo to zawiera szereg cennych szczegółów o człowieku, którego nazwisko miało stać się godłem. Dowiadujemy się stamtąd, że Jan Apolinary Michalik był cukiernikiem z bożej łaski. Kiedy w drugiej klasie gimnazjalnej dostał „dwóję", ojciec, za karę i dla postrachu, oddał go na wakacje do znanej cukierni Bienieckiego we Lwowie. Po wakacjach przyszedł go odebrać; ale mały Jaś rzucił mu się do nóg z prośbą, aby go zostawił w cukierni; tak mu się spodobał ten zawód. Po latach pan Jan przeniósł się na swoje, aby założyć w Krakowie „Cukiernię Lwowską". Rozwinął w swoim fachu wielką pomysłowość. Wpadł na ideę nazywania ciastek po imieniu (Carmen, Flirt, Paderewski itp.) i raz po raz wypuszczał nowe kreacje, reklamując je wszelkimi sposobami. Wprowadził afisz na ciastko! Gorszyło to wielce poważnych kupców krakowskich, gardzących reklamą; elegancją starej firmy było nie mieć nawet szyldu. Najbardziej gorszył się p. Parys Maurizio, cukiernik z Rynku, który wyrabiał jeszcze lepsze ciastka, ale uważałby sobie za hańbę bodaj palcem ruszyć dla ściągnięcia odbiorców. Za to kiedy chłopcy mu donieśli, że jeden z profesorów uniwersytetu stale łasuje z lady czekoladki, płacąc np. za trzy, kiedy ich wsunął jedenaście, Maurizio zabronił chłopcom przeszkadzać mu w tej czynności. Przez cześć dla *Alma Mater*, tej najstarszej firmy krakowskiej.

Ponieważ cukiernia Michalika znajdowała się o parę kroków od Akademii Sztuk Pięknych, siłą rzeczy zaczęli tam wstępować młodzi malarze; z czasem stała się ich obozowiskiem.

O Michaliku pisano w nekrologach wiele pięknych, a zdawkowych rzeczy: polski Ragueneau, ukochał sztukę, karmił ciastkami artystów etc. Jak zwykle, wszystko było zupełnie inaczej i o wiele zabawniej. W tym smak figury tego cukiernika, który miał zawdzięczać sławę cyganerii, że był na antypodach jej ducha. Dość spojrzeć na ten reklamowy portret, który stanowił radość artystów i na którym Jan Apolinary tak łudząco podobny jest do króla Jana III z pudełka od zapałek. Ten piękny wąs, ten biały krawat, te dyplomy i medale, wszystko świadczy, że ideały czynnego i ambitnego przemysłowca były zgoła niecygańskie.

I kiedy od stolika malarskiego w jego cukierni padło – rzucone przez J. A. Kisielewskiego – hasło kabaretu, największą trudnością było uzyskać zgodę – samego Michalika. Ani rusz nie chciał, zdawało mu się to profanacją lokalu. Prawda, że potem, po latach, podpiwszy raz sobie trochę (bo i pić nauczyli go w końcu ci rozpustnicy), ściskał nam dłonie z rozczuleniem, mówiąc: „Panowie zrobili ze mnie człowieka." Ale w gruncie walczyły w nim wciąż dwa światopoglądy, dając powód do bardzo zabawnych kolizji.

Lepiej niż wszystko inne scharakteryzuje go następujący fakt. W czwartym roku „Balonika", przed sezonem, ożywieni świeżym zapałem malarze wzięli się do tego, aby przemalować i ozdobić freskami małą salę (dużej jeszcze nie było). Sichulski zawiesił swój *Kabaret szalony* do wiersza E. Leszczyńskiego; Filipkiewicz z Kamockim kończyli „aeroplan"; Wojtkiewicz rozrzucił po ścianach swoje misterne drobiazgi. Między innymi Alfons Karpiński wykonał żartobliwy obraz, przedstawiający aktualne wówczas odkrycie bieguna północnego, o którego chwałę spierali się Cook i Peary. Przybyły na biegun odkrywca spostrzega ze zdziwieniem resztki śniadania oraz młodego Zengtellera, którego wszędobylskość była przedmiotem stałych żarcików kompanii. Wśród malowanych resztek była przylepiona prawdziwa skorupka od jajka. Na drugi dzień artysta, który robił obraz, widzi, że skorupki nie ma. Myśląc, że odpadła, przykleja nową. Skorupka znowu znika. Zaintrygowany malarz pyta kelnera, co to znaczy; dowiaduje się, że pan gospodarz kazał zdjąć skorupkę. Idzie do Michalika. „Tak, ja kazałem zdjąć – odpowiada Michalik chłodno – bo w moim lokalu nie mogą się walać skorupki od jajka." Artysta próbuje obrócić to w żart, ale widzi, że to bardzo serio. Z kolei on wpada w irytację. „To ja zabieram obraz." – „Może pan zabrać obraz, ale w moim lokalu skorupki od jajka nie będzie."

– „To my się wszyscy wyniesiemy od pana.” – „Mogą się panowie wynieść, ale u mnie skorupki od jajka nie będzie.” Było to tak zabawne, że w końcu malarz parsknął śmiechem i zrezygnował ze skorupki. Tłumaczyliśmy to sobie tym, że za młodu biedny Jaś tyle musiał się nabrać w cukierni po karku za każdą walającą się skorupkę od jajka, że wytworzył się w nim „kompleks skorupki”. Ale zważmy, że było to w czwartym roku „Balonika”, a w dziesiątym blisko współżycia z artystami!

Dziwne igraszki robi los z ludźmi! Powołaniem Michalika był wypiek ciastek i sprzedawanie ich. Pokoik za sklepem był rzeczą uboczną, bez znaczenia, coś tak np. jak pokoik za sklepem Wedla. Tymczasem poszło wszystko odwrotnie. Ciastka nie chwyciły; nie pomogły ani afisze, ani pieczątki wybijane na asfalcie, ani nazwy coraz to nowszych kreacji, tak obiecujące, jak Marzenie, Manru, Goplana. Krakowianin reklamy nie lubi, nie ufa jej, drażni go. Każdy wiedział od dziecka, że ciastka kupuje się u Maurizia, i koniec. Natomiast zwycięska reklama przyszła Michalikowi nieoczekiwanie właśnie z tego pokoju za sklepem, z tych rzeczy, które się tam działy w sobotnie noce, z tych cudactw, które pokryły ściany. O ile krakowianie mało kupowali ciastek „na froncie”, o tyle masowo tłoczyli się do pokoju za sklepem. Codziennie między piątą a siódmą oblegały sklep pielgrzymki tych, którzy nie mogli dostać miejsca. Słowo Michalik było na ustach wszystkich. Michalik rad nierad zrozumiał tę wskazówkę losu; rozszerzył lokal, z cukiernika stał się kawiarzem, z solidnego przemysłowca patronern cyganów. Sądzę, że nie bez żalu: w ciastkach sam był twórcą, poetą!

Kiedy powstała nowa sala, było już właściwie po wszystkim. Całe życie balonikowe rozegrało się w starej sklepionej salce, która z trudem mogła pomieścić sto dwadzieścia osób. I charakter mają obie sale różny. Pierwsza ma coś z improwizacji, stopniowego narastania; druga jest jednolitą, całkowicie obmyśloną kompozycją Mączyńskiego i Frycza. Na chlubę Michalika trzeba powiedzieć, że w dobie gdy on powierzył artystom urządzenie tej sali, w całej Polsce nie śniło się nikomu o tym, aby artyści mieli tworzyć wnętrze kawiarni. Ale już przeszedł przez Kraków Wyspiański. Jestem przekonany, że Wyspiański bez wahania byłby się podjął dekorowania kawiarni: inna rzecz, że urządziłby ją w stylu Bolesława Śmiałego.

I tu nie obyło się bez zabawnego konfliktu. Na wielkim *panneau*, obejmującym drzwi nowej sali, Sichuła machnął jurną parafrazę *Sądu ostatecznego* Michała Anioła z postaciami uczestników „Balonika” i jego ofiar; i – zabawna mistyka związków! – zdarzyło się mu to samo, co prawdziwemu freskowi genialnego mistrza. Mianowicie, nagie a dosadnie malowane postacie obudziły takie zgorszenie w stałym gościu cukierni, emerytowanym austriackim generale, że nie dopił rannej kawy, splunął i opuścił lokal. Można sobie wyobrazić jakie to uczyniło wrażenie. Generał nie pił kawy, generał splunął!... Skonsternowani chłopcy donieśli o tym Michalikowi; przybiegł, zaperzony, i oświadczył, ze wyrzuci obraz na podwórze, o ile artysta nie pozasłania bodaj najdrażliwszych szczegółów. I tak samo jak Michał Anioł, Sichuła musiał dorobić kąpielowe majtki wszystkim, począwszy od niżej podpisanego, który wraz z Nosem i Teofilem znajduje się w centrum obrazu. Szkoda mi dróbek Hoesicka, które były potraktowane przez artystę z łagodnym humorem.

Trudno się dziwić, że z tego wszystkiego w głowie Jana Apolinarego Michalika musiał zapanować chaos. Sztuka wciągnęła go w swój krąg coraz zawrotniejszy, zmieniła doszczętnie plan jego życia, zburzyła wszystkie pojęcia, przyzwyczajenia. Michalik był trzeźwy, akuratny, spokojny, skromny, choć ambitny w swoim zawodzie, brzydził się pijanymi, hałasem, burdą, szanował urzędy i godności. I oto życie nasyciło jego ambicję ponad wszelkie spodziewanie, ale w jakże paradoksalny sposób! Lokal jego gościł figury, o których nie zamarzył nawet we śnie: rektory, redaktory, hrabiowie, hofraty, ba, ekscelencje; i wszystko to zawdzięczał tym pijanicom, których uczynkami się brzydził. Po każdym „kabarecie” chaos ten w głowie Michalika zwiększał

się. Tu rozmawiał z nim łaskawie ekscelencja Wodzicki, tu kopnął go w brzuch Boguś Adamowicz: jak ustalić bilans tak spędzonego wieczoru? Wynoszą Xawerego Dunikowskiego, który w powietrzu miota się jak opętany i gdzie może dosięgnąć rozdaje policzki: ale oto Michalik widzi, że, patrząc na to, rektor uniwersytetu Cybulski uśmiecha się życzliwie i nie przerywa rozmowy z innym luminarzem nauki. Ktoś strzela z rewolweru w sufit; Michalik, czerwony z furii, rzuca się w tę stronę: ale co ma powiedzieć, kiedy to strzelił sam prokurator P... (dziś prokurator Sądu Najwyższego). Nie pozostało nic, jak tylko uśmiechnąć się przyjemnie. A cóż dopiero kiedy nad ranem otoczą go kręgiem we wściekłej sarabandzie, pomieszani z łazikami, z aktorkami, profesorowie, radcy, sędziowie, wywijając mu nogami pod sam nos i wznosząc okrzyki na jego cześć.

Bierze do ręki gazetę, nowy chaos. Gdzie spojrzy, czyta swoje nazwisko. „Kultura Michalikowa", „pachołki Michalikowe", „jaskinia Michalikowa". O co właściwie chodzi? Tu wymyślają, wyklinają, a tu przychodzą najszanowniejsze figury i mówią mu komplementy. Co to wszystko znaczy? Co to jest ta „kultura Michalikowa", o której piszą? Biedny cukiernik zaczął myśleć; głowa jego – czuć to było – pracowała ponad swoją możność; od ciągłego obracania rzeczy, których nie mógł ogarnąć, twarz jego nabrała jakiegoś wyrazu uwagi, napięcia, dochodzącego do tragizmu. Dodajmy, że Michalik był najzupełniej wyzuty z poczucia humoru; wszystko brał poważnie. Toteż gdyby się to nie przerwało, obawiam się, że byłby zwariował.

Na co tam nie patrzył ten schludny gospodarz, który nie mógł znieść na obrazie skorupki od jajka! Żona przyszłego dyrektora departamentu kultury omal, na jednym z wieczorów „Balonika", nie urodziła w lokalu dziecka; ledwie ją zdołano odwieźć do domu. Pamiętam znowuż taką scenę. Staś C., kompletnie pijany, słania się na nogach. Układają go w kącie na kupie paltotów, aby się przespał. Ale elektryzują go dochodzące dźwięki muzyki; zrywa się ze słowami: „Ja chcę brać udział", i – dostaje ataku typowej morskiej choroby. Przychodzi chłopiec, zasypuje ten „udział" trocinami, sprząta, Staś śpi. Budzi go nowa fala muzyki, gwaru; znów się zrywa: „Ja chcę bra-ać u-udział." I znów trociny, sprzątanie, sen itd. Termin „brać udział" stał się przysłowiowym określeniem. Kiedy później nieco Staś wstąpił we wspomniany poprzednio arystokratyczny związek, „Zielony Balonik" przesłał na ucztę weselną następującą depeszę:

> Dziś, kiedy dłoń kapłana złączyła dwa światy,
> krakowską cyganerię z polskimi magnaty,
> w tym święcie, radośniejszym niźli sam lajkonik,
> serdeczny b i e r z e u d z i a ł „Zielony Balonik".

Z całej legendy Michalika najopaczniejsza jest bajka o „karmieniu artystów". Nikogo nie karmił, nikomu nawet nie kredytował. W ogóle w przemyśle cukierniczym kredyt nie istnieje. Można kupić na kredyt ubranie, fortepian, ostatecznie kopalnię węgla, ale ciastko płaci się gotówką. Michalik był rachunkowy i ostrożny aż do pedantyzmu. Po pierwszym sezonie „Balonika", kiedy zauważył, że wkradły się w obrót drobne pozycje kredytowe kilku osób, rozesłał tym swoim najlepszym gościom, kurom, które mu niosły złote jajka, wezwania płatnicze przez adwokata. Teofil Trzciński dostał taki pozew o trzy korony z halerzami; może zachował go na pamiątkę gdzieś w swoich papierach? Skoro cukiernia przeobraziła się – faktycznie, jeśli nie nominalnie – w kawiarnię, Michalik zaprowadził instytucję kelnerów (w cukierni byli tylko „chłopcy"), która oddziela gospodarza murem bezpieczeństwa od wszelkich zakusów kredytowych. Artyści nie zostali mu winni ani grosza, natomiast wydawali u niego dużo, ściągali mu tłumy gości i zostawili mu w prezencie krociową wartość firmy i urządzenia. Tak samo było z Turlińskim, i tak wygląda stale legenda o „polskich Ragueneau".

Mimo incydentów z artystami, Michalik przywiązał się z czasem do swoich pstrokatych ścian, ale i to przywiązanie objawiało się w swoisty sposób. „Gdybym kiedy sprzedał moją cukiernię, nie oddałbym tego wszystkiego", mówił raz pokazując na freski swego lokalu. „A co by pan zrobił?", spytał ktoś. „Zamalowałbym na biało."

Nie zamalował jednak dobry Michalik, bo nabywca wymówił sobie całość ścian w cenie kupna. W czasie wojny, znękany trudnością prowadzenia cukierni, sprzedał ją wraz z urządzeniem dwom swoim pomocnikom. Osiadł w Poznaniu, gdzie założył wykwintny pensjonat. Z rozczuleniem witał każdego gościa z Krakowa i wspominał rzewnie „Jamę Michalikową". Ale mieszkańcy pensjonatu obowiązkowo musieli wkładać smoking do kolacji, taki był regulamin. I to dopiero był rewanż Michalika nad losem, ziszczenie ambitnych marzeń młodości. Bo Jan Apolinary zawsze w gruncie pozostał takim, jakim go przedstawia fotografia, z medalami i w białym krawacie. Ten patron krakowskiej cyganerii zostawił jej na wieki swoje imię, ale duszy nie oddał jej nigdy.

SZAŁ

Najpierw maleńka dygresja. Z okazji mego ostatniego felietonu, opowiedział mi Karol Frycz następującą swoją rozmowę z Michalikiem. Cukiernik, w chwili wynurzeń, mówił tak: „Proszę pana, jaki to dawniej człowiek był głupi. Dawno temu, jeszcze zanim panowie się tu zadomowili, przychodził do cukierni co dzień pan Wyspiański. I jednego razu zaproponował mi, że jeżeli mu zwrócę za farby, to on mi nocami całą tę salę, od stropu do podłogi, pomaluje." – „Jak to za farby?" – „No, oczywiście, bo zawsze farby kosztowałyby kilkanaście guldenów." – „I pan się nie zgodził?" – „Ano, taki człowiek był głupi... Myślałem sobie: malowana cukiernia, jak to będzie wyglądało, będą się ze mnie śmiać... Teraz żałuję."

Bardzo wierzę! I my żałujemy. Pomyśleć tylko: stara, sklepiona sala, malowana „od stóp do głów" przez Wyspiańskiego. Zależało tylko od zgody cukiernika. Czy nie miałem racji mówić, że Kraków to było miasto niepodobne do wszystkich innych?

A teraz ciągnijmy dalej. Właściwie ten dziesiątek felietonów o starym Krakowie napisał mi się sam nie wiem jak. Chciałem po prostu z okazji dwudziestopięciolecia poświęcić wspomnienie „Zielonemu Balonikowi". I okazało się, że trzeba zacząć z tak daleka, inaczej nie byłoby zrozumiałe. Ta egzotyczna roślinka miała korzenie tak głębokie, tak rozgałęzione. A zdaje mi się, że niezależnie od osobistych sentymentów warto jej było poświęcić trochę uwagi. Wszakże to było bodaj pierwsze w Polsce zjawisko zbiorowego śmiechu. Właśnie w tym smutnym Krakowie. Trzeba było pokazać, do jakiego stopnia było to naturalnym wykwitem całej krakowskiej przeszłości. Widzieliśmy, ile humoru, ile kpiarstwa nagromadziło się w tym cichym i zbożnym mieście, ile wytworzyło się tam prężności imaginacyjnego życia, ile się spotkało różnych elementów. Wszystko to, zmieszane razem w tej małej sali, niby w retorcie, podgrzane płomykiem spirytusowym, zaczęło się burzyć, dawać nowe połączenia i straty.

Znalazł się tam teatr, który przebył tymczasem dyrekturę Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i zaczął okres Solskiego; i sztuki piękne – profesorowie i uczniowie – i redakcja „Czasu", i sztuka stosowana, i Bronowice, i przybyszewszczyzna, i uniwersytet, i kawiarnia... Spotkali się starzy i młodzi; Żuk-Skarszewski, który był dla nas patriarchą, ósmoklasista Leon Schiller, który pierwszy raz wystąpił na estradzie Michalikowej w mundurze gimnazisty, albo młodziutki aktor Osterwa, który w „Baloniku" zdobył pierwsze oklaski. Wszystko znalazło się tam razem jak w arce Noego, płynącej po mętnych wodach krakowskiej melancholii.

Zaznaczyłem już, że aby zrozumieć ducha „Balonika", trzeba zupełnie oddzielić tę instytucję od pojęć o wszystkich mniej lub więcej wesołych teatrzykach. Nie było to żadne przedsiębiorstwo; wstęp był bezpłatny, ale za to warunkowany w udzielaniu zaproszeń surową cenzurą; każdorazowy program był na wpół improwizowaną premierą, której się nie powtarzało. Każdy miał prawo wypowiedzenia się; zaledwie że istniał rozdział między salą a estradą. Z czasem uczestnicy, scementowani między sobą nieuchwytną wspólnością duchową utworzyli rodzaj luźnego bractwa czy zakonu, który nadawał ton życiu Krakowa.

Dość naturalne jest, że jądrem tego skupienia stał się pierwotnie stolik malarski. Malarze to element najbardziej zżyty; istnieje tu koleżeństwo szkoły i rzemiosła, którego nie ma w innych

sztukach; wspólne zabawy, wspólne natrząsania się i bunty. Talent mimiczny jest u malarzy częsty, literacki również; dość rzadki natomiast jest malarz, który by nie miał poczucia humoru. Wyostrzony wzrok, nawyk obserwacji, która chwyta automatyzm gestu, widzi grę muskułów pod draperią, element zwierzęcości w masce ludzkiej. Każdy prawie malarz jest po trosze karykaturzystą, ówczesne zaś pokolenie szczególnie obfitowało w ten rodzaj talentów: dość wymienić Sichulskiego i Frycza.

O ile naturalne było, że „Zielony Balonik" urodził się przy stoliku malarskim, tak znowuż było niemal symboliczne, że zdecydował o jego narodzinach autor *Karykatur* i *W sieci*, który w swojej „szalonej Julce" ucieleśnił rozpaczliwe tłuczenie głowami o pręty krakowskiej klatki – Kisielewski. I on, jak wszyscy młodzi, wydzierał się „za granicę", i teraz wrócił z upragnionego Paryża, ale wrócił już ze śmiertelnym pęknięciem. Toteż o ile on dał inicjatywę i objął prowizoryczne berło, o tyle dla poprowadzenia „kabaretu artystów" trzeba było męża większego hartu i silniejszej ręki.

Patrzymy dziś wszyscy na sympatycznego Węgra, Fryderyka Jarossy, jak z taktem i wdziękiem spełnia rolę *conférenciera*: otóż tak samo jak wszystko w „Zielonym Baloniku" było niepodobne do czego innego, tak i ta rola o ileż była trudniejsza! Wyobraźmy sobie natłoczoną po brzegi salę, gdzie przy stolikach gęsto zastawionych flaszkami siedzi najniesforniejsza, najdziksza i najbardziej wybredna publiczność; publiczność, która nie chce być bierną, ale chce się wyżywać, chce współgrać, chce wyrażać swobodnie uciechę lub niezadowolenie. Im późniejsza godzina, tym było trudniej o posłuch, z wyjątkiem dla paru ulubieńców, którzy zdobywali go samym zjawieniem się na estradzie. Ale nieraz długo musiał Stasinek uderzać kaduceusem swoim o deski i wołać sakramentalne: „Mak", co oznaczało w skróceniu: „Cicho, do cholery, jak makiem zasiał!"

Bo już od drugiego wieczoru kabaretowego berło *conférenciera* ujął – i nie wypuścił go do końca – Stasinek. Był on zjawiskiem wpółrealnym, wpółfantastycznym. Zjawił się w bandzie Przybyszewskiego, nie znany w tym małym Krakowie nikomu (podobno był rodem z Podgórza), dwudziestoletni chłopczyna, z brodą tak białą, że robiła wrażenie siwej. Co robił wprzód, nie wiadomo; jakoby studiował sanskryt. Zadomowił się u Stacha, niańczył mu dzieci, chodził po wódkę, tłumaczył rękopisy, słowem, średniowieczny „uczeń filozofa". Rabelesowski Panurg. Młody ten człowiek miał zadziwiającą zdolność absorbowania napojów wyskokowych i doświadczenie nad wiek. Zauważono, że w ciemną noc w ogrodzie umiał nalewać wódkę do kieliszka zupełnie pełno, a nie przelał nigdy. Zapytany, jak on to robi, odpowiedział spokojnie: „To bardzo proste; trzeba sobie wybrać na niebie gwiazdkę, patrzyć na nią przez brzeg kieliszka i nalewać. Kiedy gwiazdka zniknie, to znaczy, że jest pełno." Jak wam się podoba ta „astronomia Wojskiego"? Takich anegdot o Stasinku można by przytoczyć mnóstwo. Widzę go jeszcze, jak, obejmując rękami na plantach olbrzymi kasztan, woła na Janusza Ł..., bratanka Deotymy: „Janusz, trzymaj drzewko, bo się chwieje."

(Spostrzegam, że w tych moich krakowskich wspomnieniach dużą stosunkowo rolę odgrywają spirytualia; ale o ile osobiście jestem raczej abstynentem, o tyle uznaję, że są w życiu narodów epoki, gdy słowo „spirytus" legitymuje się chlubnie swoim pierwotnym znaczeniem, którym jest nie co innego jak DUCH.)

W klanie Przybysza Stasinek poznał się z Rudolfem Starzewskim; kiedy zawakowało w „Czasie" miejsce korektora, objął je; niebawem awansował na współpracownika pisma, z czego był niezmiernie dumny. Bo Stasinek miał poczucie tradycji. To połączenie stylu „Bodegi" ze stylem „Czasu" wydało bardzo zabawną mieszaninę: grymas krakowskiej „celebry" z podbitym okiem skończonego łazika. Stasinek stale miał na estradzie frak, ale zawsze ten frak robił wrażenie, że go od trzech dni nie zdejmował. Coś niby Stanisław Tarnowski, który by się

przespał w rurze wodociągowej.

To był nasz *conférencier*; i w ogóle osobliwością „Balonika" było, że wszyscy główni jego działacze wzięli się nie wiadomo skąd, rodzili się na miejscu, talenty ich były dla nich samych niespodzianką, odkryciem. Takim był Teofil Trzciński, nasza prymadonna. Bo „Zielony Balonik" nie wydał ani jednej kobiety. Mury nie chciały. Wanda się utopiła, Jadwiga wyszła z rozsądku za Jagiełłę; nie było tradycji. Podczas gdy w Warszawie Mery Mrozińska budziła perwersyjne dreszcze minodując *Stefanię* Boya, w „Jamie Michalikowej" utwór ten recytował jakże skromnie sam autor.

Teofil zatem to była nasza „androgyne", mężczyzna i kobieta, uosobienie piosenki. Absolutna muzykalność, miły głos, porywająca siła komiczna, zdolność imitatorska. Jednym z luksusów naszego życia jest, że w kraju, gdzie nie istniała piosenka, bez tradycji, bez wzorów w tej mierze, zjawił się ten fenomen, któremu równego nie spotkałem w świecie. Niezrównany odtwórca, przy tym sam humorysta, obserwator. Ilekroć jestem na jakim obchodzie jubileuszowym, wstrzymuję się, aby nie parsknąć śmiechem, gdy sobie przypomnę owego sepleniącego mówcę: „W pracy pirsy, w spocynku ostatni, dla podwładnych nie psełozony, ale najlepsy kulega, cy to w towazystwie zalickowym, cy w towazystwie pogzebowym" etc. Charakterystyczne jest, że Trzciński wstydził się swego talentu, akcentował swą pozycję „dystyngowanego amatora", certował się, utrudniał, całą zaś ambicję kładł w to, aby wygłaszać nudne odczyty o Ibsenie.

Działanie piosenki, i to w takim wykonaniu, było czymś piorunującym. Da się to porównać jedynie z pierwszym zetknięciem się dzikich ludów z „wodą ognistą". Znam to wrażenie, bo sam go doznałem, kiedym się zetknął pierwszy raz z piosenką w Paryżu. Zważmy, że w Polsce, w Krakowie zwłaszcza, użytek piosenki był czymś zupełnie nie znanym. Nie było żadnych form artystycznych życia zbiorowego. To uskrzydlenie myśli, sparzenie jej z melodią, budziło ekstazę. Władysław Leopold Jaworski, wrażliwy na dowcip, ale biorący wszystko filozoficznie, zwierzał się Starzewskiemu, jak głęboko wstrząsnęła go piosenka w „Baloniku", jako zupełnie dlań nowy sposób manifestowania się inteligencji, coś niby śpiewany sylogizm, rytmiczne formuły myśli. Na tym filozoficznym gruncie zyskaliśmy w Jaworskim prawdziwego entuzjastę.

Bo mieliśmy i wrogów. Jednym z najzaciętszych był Wilhelm Feldman, który zresztą nigdy nie był na naszych wieczorach. Ten nie kapował absolutnie nic. On uznawał tylko jeden śmiech: k r w a w y; jedną tylko jego funkcję: protest społeczny. Nie znajdując tego w „Baloniku", karcił nas. Nie rozumiał innych wartości śmiechu; nie rozumiał zwłaszcza, że to była zabawa artystów między sobą, w szczupłym kółku, i że nie mogliśmy protestu przeciw krzywdom społecznym zakładać na ręce Axenta czy Wyczółkowskiego, boby nie wiedzieli, co z nim począć.

Piosenka miała jeden magiczny skutek: im była udatniejsza, tym więcej wykwitało na stołach flaszek szampana. Można by przypuszczać, że rzeczy martwe mają swoją inteligencję i że te dostojne butelki wiedziały, kiedy warto się pojawić. Czasami tłoczyły się gromadnie. Jakim cudem się to działo w tym ubożuchnym Krakowie, sam nie wiem, ale po szopkach zwłaszcza żłopało się szampan jak wodę. Ziściła się *Pieśń szampańska* Edwarda Leszczyńskiego, wieszczo zrodzona o wiele wcześniej, przy stoliku malarskim, który wówczas nie znał jeszcze innego napoju oprócz wiśniówki:

Oto jest pieśń, co się śmieje,
oto jest pieśń wyuzdana;
rodzi się, nim kogut pieje,
noc w noc, z wystrzałów szampana...
I tańczy w bachicznym szale,
i tańcząc gwiazdami brzęczy;

z nogi jej w tańca zapale,
opadła podwiązka z tęczy...

Kochany Edzio Leszczyński! Figura jakby żywcem przeniesiona z epoki Musseta czy Teofila Gautier. Najleniwszy z poetów, o którego duszę walczyły z poezją fortepian, papieros i filozofia ścisła, destylowana zresztą raczej w dym i marzenie. Jego *Kabaret szalony*, wiersz napisany do obrazu Sichulskiego (malowanego na niezagruntowanym prześcieradle), jest jedną z najładniejszych pamiątek owych lat „balonikowych".

Mój Boże! Dwadzieścia pięć lat minęło od tych czasów, a wspomnienie ich zostało w uczestnikach jakże żywe! Dotąd dostaję z Kowna listy od prof. Herbaczewskiego, w których nasz Józef Albin komentuje swoje występy, niepokojące wówczas nawet nas swoim kopromistycyzmem. Herbaczewski uważa, że przed laty nie został zrozumiany, że był prorokiem f u t u r y z m u literatury, a zwłaszcza prozy polskiej. Na poparcie swoich rewindykacji przytacza taki swój wiersz:

Z ponuro-łojowych łąk
wychodzą tanie nimfy
i wśród ojojowych mąk
rzucają brzanie tynfy.

Kończy zaś swój długi list słowami:

„Kończąc moją proklamację, pozwalam sobie prosić was, polscy koledzy, abyście mnie nie odsądzili od czci i wiary za to, że jestem pokłócony (zresztą b. serdecznie, mam nadzieję chwilowo) z politykami Wolnej Polski! Pamiętajcie, że chcę być waszym serdecznym przyjacielem, i jednego tylko pragnę, aby wszystkie narody nauczyły się największej sztuki – sztuki wzajemnego przebaczania!... Upewniam was, koledzy, że w «Zielonym Baloniku» (gdyby dziś istniał) Polacy z Litwinami prędzej by się pogodzili aniżeli dziś przy zielonym stoliku. A więc niech żyje tradycja krakowskiego «Zielonego Balonika»!"

Pewno, żeby się pogodzili! Może by się znów pokłócili na drugi dzień, ale za to już „Balonik" nie odpowiada. Nie takie rozdźwięki tam się załatwiało. Było to niby święto saturnaliów: co kto miał na wątrobie przeciw drugiemu, mówił mu w żywe oczy. Opowiadałem gdzie indziej o przyjęciu Jana w dwóch osobach Styki.[8] Młodzi uczniowie gadali swemu profesorowi Stanisławskiemu najcięższe rzeczy, co mu sprawiało perwersyjną radość. Bo może tajemnym cierpieniem Stanisławskiego było to, że nigdy nie spotykał oporu, wszyscy się go bali. Tutaj łykał wymyślania, zarzuty, obelgi niemal, z rozkoszą. I w ogóle nikt tak się nie umiał rozkoszować atmosferą „Balonika" jak Stanisławski. W momencie ekstazy formułował to wielokrotnie powtarzanym wykrzyknikiem: „Noo! niechże się cesarz Franciszek Józef potrafi tak bawić!" W istocie, nie ma dwóch zdań, Franciszek Józef na pewno by nie potrafił... Pamiętam raz taką scenę, jak przy pianinie ktoś – nie wiem już, Lulek Schiller czy Noskowski – grzmi *Warszawiankę*, cała sala śpiewa chórem, a olbrzymi Stanisławski, z lagą w garści, z krwią nabiegłymi oczami, komenderuje zdobyciem Olszynki. Biedny grubas, obawiam się, że mu to wszystko ukradło parę lat życia, bo kiedy wpadł w zachwyt, nie chciał nic wiedzieć o przestrogach lekarza. Umarł w drugim roku „Balonika"; jeszcze na dzień, w którym skończył, od dawna przykuty do łóżka, zamówił sobie Trzcińskiego i Frycza, żeby mu pokazali ostatni program.

A cóż dopiero mam powiedzieć o sobie? Żyłem od dziecka w środowisku artystycznym;

[8] *Dzieje pewnego sukcesu (Zmysły... zmysły...)*

przebyłem po kolei wszystkie krakowskie skupienia literackie; i raczej odstręczyły mnie one od literatury. Dopiero ta igraszka, w której gwizdało się na wszystko, co jest „literaturą", wyzwoliła we mnie instynkt pisarski. Składałem piosenki i wiersze w wesołości ducha, dla zabawy jednego wieczoru, bez myśli o druku. Pierwsze wydania tych moich utworów, to były odbitki hektograficzne, sporządzane dla słuchaczy Michalikowych, gdy nie mogłem nastarczyć prośbom o odpisy. „Zielony Balonik" zrobił mnie – ot tak, od niechcenia – pisarzem; mogę zresztą z czystym sumieniem powiedzieć, że mu się wypłaciłem; wypełniałem w nim dobrą połowę repertuaru, przedłużyłem o kilka lat jego istnienie. Zeszłoroczne „jubileuszowe" wydanie *Słówek* musiałem już opatrzyć historycznym komentarzem, tak bardzo te ulotne *Słówka* przetrwały nastroje i wydarzenia, z których się zrodziły. Dreszcz mnie przejmuje czasem, gdy sobie wyobrażę, co by się ze mną stało, gdybym w danym momencie – już jako trzydziestoletni lekarz – nie znalazł tej atmosfery. Bo nic fałszywszego, niż często spotykany komunał, że wszelka zdatność czy powołanie muszą sobie wcześniej czy później znaleźć drogę. To jest tak, jakby powiedzieć, że każde ziarno musi zejść, bez względu na to, czy padnie na asfalt, czy na glebę. Całkiem przeciwnie, jestem przekonany, że świat jest pełen ludzi, którzy nie odnaleźli siebie samych i którzy cierpią często nie wiedząc od czego. Zwłaszcza w ówczesnych warunkach życia. Biedny mój brat, tzw. Edziula, który skończył samobójstwem, był – jestem przekonany – takim człowiekiem, takim artystą, który się nie odnalazł. Jedyne chwile, gdy ten mimowolny urzędnik bankowy odżywał, to były wieczory „Balonika", którego był generalnym sekretarzem, archiwariuszem, aktorem *dell'arte* i niezmordowanym przy pianinie grajkiem.

Bo pianino nie cichło tam nigdy. Co jeden odpadł bez tchu (bo to było już nie granie, ale furia opętańcza), natychmiast zastępował go drugi. Zmagały się z sobą murzyńskie *cake-walki*, azjatyckie „tańce brzuchem", i przekorne krakowiaki, i kunsztowne wariacje na temat melodii paryskich. Czasem mieszała się w to murarska harmonia Kaspra, czasem (bardzo rzadko) wystrzał z rewolweru, wciąż brzęk szkła, pękanie baloników i huk ludzkich głosów. Ale kiedy pianino umilkło bodaj na chwilę przy luzowaniu się grajków, czuć było coś niesamowitego w powietrzu. Jakiś niepokój ścinał wszystkie twarze. Jak gdyby lęk, że wedrze się przez mury upiorny hejnał mariacki.

WIELKI KRAKÓW

W szeregu felietonów, którym oto pragnę dać zwięzła konkluzję, odmalowałem przemiany, jakim uległ dawny Kraków w ciągu lat kilkunastu. Miasto, o którym wprzódy przejeżdżający do wód warszawiak mówił lekceważąco: „Kraków? Co to jest Kraków? Ot, Sukiennice i Hawełka", stało się czymś, co zaczęło niepokoić, intrygować całą Polskę. Legendą stał się Pawlikowski i jego teatr. Legendą „Paon" i jego sabaty. Tu warto zanotować jeden epizod. Pod wpływem dziwnych wieści, zjechali z Warszawy do Krakowa, niby dwaj rewizorzy, Piotr Chmielowski i Antoni Sygietyński, uprzedzeni bardzo niekorzystnie, zaniepokojeni pogłoskami, że Przybyszewski „rozpija młodzież". Zaszli do „Paonu" i powitani tam serdecznie... dowiedli, że *in puncto* alkoholu krakowskie dzieci szatana były istotnie dziećmi wobec wyczynów uspołecznionych warszawiaków. Nad ranem dwóch rewizorów, wpółżywych, trzeba było odwieźć do hotelu; ale wyjechali uspokojeni...

Potem poszła na Polskę legenda tej dziwnej zjawy astralnej, jaką był Wyspiański. Legenda miasta malarzy, miasta witraży, miasta poezji, miasta grobów, miasta życia, miasta sztuki – Krakowa.

Wśród tych duchowych przemian materialnie Kraków zmienił się bardzo niewiele. Trochę oczywiście miasto rosło, ale jakże wolno, jak nieśmiało. Wspominałem już, jak specjalne warunki Krakowa hamowały jego rozwój gospodarczy, przemysł, handel... Przeważał w mieście żywioł urzędniczy, ale i tu godzi się zauważyć pewien paradoksalny symptom. Cechą każdej stolicy jest, że skupia ona elementy najbardziej rzutkie, ambitne, najzdolniejsze. Otóż w Krakowie, też niewątpliwie stolicy na swój sposób, było pod tym względem wręcz odwrotnie. Co rok odbywał się tu połów najzdolniejszych sił, które zabierano do Wiednia do ministeriów. Zostawały ciury albo też ci, którzy, wszedłszy pod urok artystyczno-cygańskiego Krakowa, mniej dbali o kariery. Stąd przy klanie artystów pasało się sporo takich estetyzujących urzędników, kibiców sztuki, czytających, dysputujących, interesujących się wszystkim.

Dam jeden przykład owej supremacji sztuki w Krakowie. Był pewien młody inspektor gorzelniany (solidna rządowa posada), przy tym amator-muzyk. Zakochał się i oświadczył o pannę. Zgodziła się, ale pod warunkiem, że zmieni fach i zostanie „prawdziwym artystą". Rzucił posadę, zaczął się forsownie kształcić, pobrali się, wyjechali do Paryża, cierpieli prawie nędzę; on jest dziś jednym z naszych zasłużonych muzyków. Wedle tradycji matrymonialnych, normalniejsza byłaby rzecz odwrotna, aby panna odpowiedziała artyście, że wyjdzie za niego, o ile rzuci mrzonki i zdobędzie solidną posadę. Ale taki był ówczesny Kraków.

Mimo wszystko doczekało się miasto i na polu gospodarczym doniosłego zdarzenia: z małego stało się Wielkim Krakowem. Wskażę w kilku słowach, jak i ta przemiana wynikła raczej z duchowych niż materialnych wartości Krakowa.

Wszystko w tym mieście było paradoksalne. Śmierć stawała się elementem życia. Ważnym faktem krakowskiej kroniki były – pogrzeby. Mając i Wawel, i Skałkę, Kraków stał się wielkim domem przedpogrzebowym całej Polski. Od niezapomnianego pogrzebu Mickiewicza iluż dostojnych umarłych ciągnęło przez te ulice: Kraszewski, Lenartowicz, Matejko, Asnyk,

Wyspiański... Znamienne jest, że pierwsze występy poetyckie, jakimi Kazimierz Tetmajer, późniejszy piewca *Wenus Kallipygos* i *Skalnego Podhala*, zwrócił na siebie uwagę, to były dwa konkursowe wiersze na sprowadzenie zwłok: Mickiewicza i Kraszewskiego. Tak młodość była zmuszona akomodować się do warunków:

> Przystaniesz sobie za trumienką z boku,
> Posłuchasz śpiewu i żałobnych mów,
> Dziewczątko małe uszczypniesz gdzieś w tłoku,
> Już się od dawna tak nie czułeś... zdrów!

śpiewałem później w „Baloniku".

(Jak długo przetrwało w Krakowie to spoufalenie się z życiem grobów, niech świadczy następujący autentyczny fakt. Kiedy przed kilku laty teatr Szyfmana wystawił w Warszawie *Bolesława Śmiałego*, pożyczono część rekwizytów od teatru krakowskiego, między innymi trumnę św. Stanisława. Otóż chodziło o wypróbowanie trumny i przyrządzenie jej tak, aby statyście idącemu w trumnie nie było widać nóg, jak je było widać na krakowskiej premierze. Karol Frycz, malarz-dekorator Teatru Polskiego, pojechał do Krakowa, kazał sobie wynieść ze składu tę teatralną trumnę św. Stanisława, wlazł w nią i chodził w niej po ulicy Radziwiłłowskiej w samo południe, nie budząc zbytniego zdziwienia przechodniów; aż dopiero dziecko jakieś przelękło się i rozpłakało.)

Oczywiście przy wszelkich żałobnych okazjach pierwszą figurą był gospodarz miasta: w czarnym kontuszu, w kołpaku z kitą, czuł się niemal spadkobiercą Jagiellonów, Zygmuntów... Było zresztą zatrzęsienie nie tylko pogrzebów, ale wszelakich obchodów. Polskie i austriackie, na przemian. Tu wizyta Franciszka Józefa czy jego następcy, tu Muzeum Narodowe lub restytucja Wawelu; otwarcie nowego teatru, pięćsetlecie Akademii Umiejętności czy inauguracja Akademii Sztuk Pięknych; odnowa kościoła Mariackiego czy zjazd Słowian, pomnik Mickiewicza lub Jagiełły, to znów przyjęcie dla ministra... Fety, bankiety, mowy, toasty. I wciąż na pierwszym miejscu krakowski Wierzynek, nieustający jubilat – prezydent miasta.

I tu godzi się zanotować rzecz znamienną. Osoba gospodarza miasta była poniekąd projekcją duchowego Krakowa. Wedle tego, czym był w danej chwili Kraków, głowa jego bywała na przemian albo dostojnym prezydentem, albo pociesznym burmistrzem. Nasilenie duchowego życia miasta wzdymało samopoczucie i ambicję jego gospodarza. Kraków Matejkowski wydał Zyblikiewicza. Kraków młodopolski szczęśliwie uderzył do głowy Juliuszowi Leo. W epokach duchowego marazmu na stolcu burmistrza zasiadały ciury. Zostawszy burmistrzem Krakowa, na który wówczas zwrócone były oczy całej Polski, Leo uczuł się prezydentem wielkiego miasta. Skoro materialna rzeczywistość temu nie odpowiadała, postanowił zmienić rzeczywistość. Tak powstała w jego głowie idea Wielkiego Krakowa.

A była to głowa ambitna i zdolna. Ten profesor *Almae Matris* wyrzekł się kariery naukowej dla prezydentury miasta, w której może widział odskocznię dla wielkiej kariery politycznej, może tekę jakiego ministra skarbu?... Tak czy owak, faktem jest, iż powziął zuchwały zamiar podciągnięcia Krakowa do wyżyn jego znaczenia moralnego.

Idea ta miała dwie fizjognomie: jedną nadającą się do łatwych żartów, drugą w istocie płodną i twórczą. Wielki Kraków! w zestawieniu tych słów był kontrast, który budził uśmiech. O co chodziło? O stopienie gmin okalających Kraków i wcielenie je w miasto. To była myśl do której urzeczywistnienia Leo dążył przez szereg lat z wytrwałym uporem. Łatwo było z tego żartować: czyż mały Kraków powiększy się, czy urośnie przez to administracyjne przesunięcie granic? A jednak tak. Rzecz była dla Krakowa kwestią wprost życia. Jak wspomniałem, jednym z kalectw

Krakowa było sztuczne zduszenie go w strefie „fortecy". Udaremniało to rozwój przedmieść, hamowało ruch budowlany, bo na pierwsze żądanie wojskowości wszelki dom położony w tej strefie musiał być zburzony (tzw. rewersy demolacyjne). Forteca ta nie miała od dawna żadnej wartości strategicznej, ale tępy konserwatyzm austriackich generałów bronił jej uparcie. Trzeba było wielu lat starań i walki z szykanami, nim Leo zdołał uzyskać zniesienie fortyfikacji, a tym samym wolny oddech dla peryferii Krakowa. Natychmiast z ogromnym impetem zaczął wytyczać plany nowego Wielkiego Krakowa. Rozmach i ambicje tej „piatiletki" Lea były wielkie, niekiedy budziły uśmiech swą megalomanią; np. wspaniali konni policjanci „regulujący ruch" w miejscu, gdzie ledwie snuło się paru ospałych przechodniów. Ale w zamian trzeba było widzieć tę konną policję, jak dziarsko wyglądała na jakimś pogrzebie czy obchodzie! A czyż dolą Krakowa nie było żyć od obchodu do obchodu?

Przepowiadano Leowi, że doprowadzi miasto do bankructwa, że gospodarka jego jest nierealna, lekkomyślna. Jak byłoby się to skończyło w ówczesnych warunkach, trudno zgadnąć. Ale dziś wystarczy przejść się po ślicznych dzielnicach powstałych w dawnej fortecznej strefie, gdzie przed niewielu laty jeszcze były ogrody warzywne i ugory, aby zrozumieć znaczenie jego czynu dla Krakowa. Dał miastu ramę dla przyszłego rozwoju na lat sto. I w tym oryginalność, że nie napór życia stworzył te nowe dzielnice, ale że raczej wartości duchowe miasta, obudziwszy ambicję jego gospodarza, kazały mu wytyczać wspaniałe ulice i bulwary w pustce, niby Piotrowi Wielkiemu ulice Petersburga.

Leo był popularną postacią w „Zielonym Baloniku". Mimo wielu istotnych różnic, czuliśmy w nim bratnią duszę. I jemu, jak nam, było ciasno w Krakowie, i on starał się powiększyć go fikcją, zmienić bieg życia. Odwrócenie przez prezydenta Leo biegu maleńkiej Rudawy może się wydać symboliczne. W szopce „Zielonego Balonika" Leo był dorocznym Herodem (raz tylko, w dobie burz w Akademii Sztuk Pięknych, zastąpił go w tej roli Fałat). Jemu to Trzej Królowie przynosili mniej lub więcej groźne wieści; on, trawestując starodawny tekst szopki, obwieszczał: „Jam jest władca potężny, który ma trzy części świata, Europę, Afrykę i pamiętne lata; króluję w wielkiej chwale u Puzyny i w kahale... A hasło moje: Bóg nad nami – i salami..." (Była to aluzja do jego władzy, opartej na potężnej korporacji rzeźników i masarzy.) Tak dworowaliśmy sobie z lekka z naszego burmistrza, ale był to stosunek życzliwy, mimo iż nie można rzec, aby to był stosunek Moliera do Ludwika XIV, bo – wręcz przeciwnie – Kraków artystyczny czuł się w mieście królem, a Kraków mieszczański był jego nadwornym komikiem.

Nic dziwnego, że wzięliśmy skwapliwie na języki ów zamierzony Wielki Kraków oraz fantastyczny plan podzielenia przyszłego miasta na dzielnice zawodowe:

Nasz Wielki Kraków, nowiusieńki gród,
Dziwuje mu się z całej Polski lud;
Tak równiutko podzielony,
Na dzielnice rozłożony.
Wszystkie profesyje zmieści, jeszcze przestrony...

W pierwszej dzielnicy ma Kraków Wielki,
Świętość narodu, swoje handelki,
Wśród klombów fontanna z piwem,
Tryska źródłem wiecznie żywem,
Wszystkie ludu łączy stany wspólnym ogniwem.

Koło handelków, w drugiej dzielnicy,
Mieszkają radcy i urzędnicy:

Niańki, mamki, babki, sługi,
Małe dzieci, duże długi;
Dwa są piękne dni w miesiącu: pierwszy i drugi.

W trzeciej dzielnicy... bardzo przestrono:
Przemysł i handel ma tam być pono;
W czwartej same profesory,
W piątej księża i doktory,
Szóstą zasię pan prezydent dał na amory...

Cóż dopiero, kiedy przyszedł sam obchód Wielkiego Krakowa, kiedy usłużna prasa zaczęła grzmieć w surmy reklamy, kładąc nam co dnia w uszy specjalnie ukuty termin „powiększonej ojczyzny". Uroczystość spaliła po trosze na panewce dla bardzo prostej przyczyny. Kraków był wyspecjalizowany w uroczystościach żałobnych, a nie radosnych; nauczony był spoglądać w przeszłość, a nie w przyszłość. Przy tym Wielki Kraków to było pojęcie zbyt abstrakcyjne. Z czego się miał cieszyć mieszkaniec Zwierzyńca, że odtąd jego prastara dzielnica miała się nazywać Kraków XIII? Z czego się miały cieszyć Grzegórzki, że będą się zwały Kraków VII czy IX? To pachniało przymusem bruków, szkół, kanalizacji, powiększeniem podatków... Słowem, feta zakrojona na największe rozmiary, z banderiami, krakusami, strażą ogniową, sztandarami, zmieniła się w sztywną galówkę dość kpiarsko przyjętą przez stary Kraków, który nie takie lajkoniki widywał! W dodatku urozmaicił tę uroczystość dość niemiły incydent, w którym ktoś złośliwy mógłby dojrzeć symboliczny omen. Na koniec obchodu, z wieczora, pod kościołem Franciszkańskim, sąsiadującym z gmachem magistratu, zaaranżowano fotografię dla „Nowości Ilustrowanych"; nastąpił wybuch magnezji, przy czym siła wybuchu uszkodziła słynny witraż Wyspiańskiego, *Św. Salomeę*, a sam Leo oberwał coś odłamkiem szkła.

Jak tu nie wyzyskać takiej okazji! Urządziliśmy tedy w „Baloniku" parodię całego obchodu, który przeciągał tryumfalnie przez cukiernię Michalika, sam zaś incydent opiewany był na nutę piosenki *Grzmią pod Stoczkiem*, zmodernizowanej okolicznościowo na: „Grzmią przed Lejem wiwaty, błyszczą białe krawaty..." Po wyliczeniu wspaniałości obchodu, samą katastrofę tak utrwaliliśmy, wspólnie z Tolem Noskowskim:

Skoro takie dziś czasy,
Że ni kroku bez prasy,
Więc wezwano w cichości
Fotografa z „Nowości".
Leo wyszedł zza kulis,
Wzrok natchniony wzniósł w górę,
A tymczasem już W. Lis
Wycelował nań rurę.
Błysło, hukło i trzasło,
Szyby prysły jak masło;
Tłum się zwalił na ziemię,
Lej się złapał za ciemię.
I wyleciał zza bramy
Franciszkański braciszek:
„A łajdaki, a chamy,
Salomea, Franciszek!..."

Ale kończyła się pieśń optymistycznym akordem:

Więc się nie smuć, narodzie,
Rany zrosną się w blizny,
A my cieszmy się w zgodzie
Z powiększonej ojczyzny.

Tak więc bohaterski okres Krakowa zamknął się podwójnym faktem: Wielki Kraków i „Zielony Balonik"; podwójna synteza, uroczysta i kpiarska, dualizm na wskroś krakowski. Wielki Kraków był syntezą materialną, „Balonik" duchową. Dałem wprzód wykład tego zjawiska racjonalistyczny; rozebrałem elementy, przyczyny, starałem się wytłumaczyć co, jak i czemu. Teraz spróbuję dać wykład mistyczny, jedyny, jaki w sprawach ducha jest realny. Otóż „Zielony Balonik" zaczął się tuż po wybuchu rewolucji rosyjskiej, skończył się w okresie wojny bałkańskiej. W tej właśnie dacie, 1905–1912, można by znaleźć głęboki sens. Wszak 1905 to rok, w którym rozpoczęło się owo podziemne drżenie, mające doprowadzić do wielkich wydarzeń i do naszej wolności. Otóż zastanawiam się dzisiaj, czy najistotniejszym motorem naszych balonikowych zabaw nie było instynktowne antycypowanie tej wolności? Czy nie były one najskwapliwszą rewindykacją prawa do śmiechu, do swobodnego spojrzenia na świat, zdjęciem żałoby, jak gdyby w przeczuciu, że czas jej niebawem ma się skończyć? Czy nie były już rewizją, odrzuceniem wielu szacownych przeżytków, które rychło miały się stać niepotrzebne, wielu pobożnych kłamstewek hodowanych w niewoli? Czy nie były próbą przestrojenia tonu? Sądzę, że w sprawach ducha takie antycypowanie zdarzeń jest rzeczą zwyczajną. „Dusza nie zna interwallów", jak mawiał Przybyszewski. A czas to jest pojęcie na wskroś użytkowe, lansowane przez zegarmistrzów i fabrykantów kalendarzy...

WSPOMNIENIA

WŚRÓD STAŃCZYKÓW

Pierwsze lata życia spędziłem w Warszawie. Nie umiem powiedzieć, w jakim wieku dziecko przyswajało tam sobie pojęcia polityczne; ale zdaje się, że takie chwytane z powietrza słowa, jak Moskale, żandarm, Cytadela, Apuchtin, niosły z sobą najwcześniejsze obrazy, spowijające beztroskie dziecięctwo atmosferą nieuchwytnej grozy.

Byłem brzdącem, kiedy rodzice przenieśli się do Krakowa. Inny klimat. Żadnego widomego ucisku. Mickiewicz w szkole, Kościuszko w teatrze, Polska na codzień i od święta. Wszystkie tamte warszawskie pojęcia stały się nagle nieaktualne.

Miejsce ich zajmowały znowuż inne, co prawda bardziej skomplikowane. Na przykład słyszało się o kimś, że jest „szwarcgelb". Nie było mi tak łatwo zrozumieć związku między tym wyrażeniem a kolorami, na jakie była pomalowana budka austriackiego szyldwacha. Jako ilustrację, cytowano przemówienie zwierzchnika, w którym ów życzył nowym podwładnym, aby pracowali na pożytek „cesarzowi, Bogu i ojczyźnie", z „cesarzem" stale na pierwszym miejscu.

Z tym cesarzem też było coś niejasne. Kiedy przyjechał do Krakowa, Kraków witał go tak, jakby to właśnie sam Sobieski przybył z Wiednia. Ale w szkole, kiedy po jakimś uroczystym nabożeństwie msza kończyła się hymnem: „Boże, wspieraj, Boże, ochroń nam cesarza i nasz kraj", szanujący się uczeń, krzywiąc się ironicznie, nie brał udziału w śpiewie albo umyślnie fałszował. A kiedy przyszła z kolei zwrotka: „Przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask", wszyscy chichotali po trosze.

Były inne nabożeństwa – w rocznice patriotyczne – na które uczniowie wymykali się ze szkoły. „Belfry" patrzyły na to przez palce, raczej z sympatią. Po jednym z takich nabożeństw któryś ze starszych uczniów rzekł: „A teraz jazda, zrobimy kocią muzykę Popielowi. Hańba stańczykom!"

Słowa te były dla mnie niby zrównanie o trzech niewiadomych. Nie wyrobiony politycznie, nie wiedziałem w dwunastym roku życia, co jest „kocia muzyka", co Popiel i co stańczyk. Co jest kocia muzyka, dowiedziałem się niebawem i dość mi się to spodobało. Jedno *x* było tedy zastąpione cyfrą. Ale inne? Zacząłem się pytać, co to są stańczycy. Wirtuozi kociej muzyki nie bardzo umieli mnie objaśnić. „Na przykład kto?", pytałem.

Wymieniono mi kilku poważnych panów, przeważnie profesorów uniwersytetu, wśród nich paru przyjaciół mego ojca. Prowadziłem indagację dalej, domyślając się jakiejś przenośni. „Co to Stańczyk?", pytałem matki. „ Błazen króla Zygmunta." Nie o wiele mnie to posunęło. Co ma jedno do drugiego? Kraków wydał mi się miastem o wiele bardziej skomplikowanym od Warszawy.

Niewiadoma „Popiel" dała mi się bliżej poznać z pism humorystycznych. Paweł Popiel, arcystańczyk, figurował w każdym prawie numerze satyrycznego „Diabła". Czasem jako strażak z sikawką, czasem w kontuszu i w pierogu austriackim. Opowiadano o nim, że będąc raz w kościele, póki śpiewano *Z dymem pożarów*, wtórował z przejęciem, ale kiedy zaczęto śpiewać *Boże, coś Polskę*, wyszedł wzburzony, mrucząc coś gniewnie pod swoim potężnym nosem. „Czemu?", pytałem. „No cóż, stańczyk!" Zrozumiałem później, że pieśń *Boże, coś Polskę*,

związana z pamięcią i kultem roku l863, działała na tego stańczyka na kształt czerwonej płachty.

Tak więc przez cały czas mojej młodości słowo „stańczyk" bzykało mi ustawicznie koło uszu, powtarzało się w rozmowach i żartach. A cóż dopiero, kiedy przyszły wybory do sejmu lub Rady Państwa, gdy rogi ulic pokrywały się kilka razy dziennie coraz to nowymi afiszami. Cóż za uciecha dla dzieciaków te afiszowe polemiki! Z jednej strony padały słowa: „tromtadracja, warchoły" – z drugiej: „serwilizm, trójlojaliści". To stańczycy walczyli o mandaty z demokratami. Z reguły stańczycy zwyciężali. „Było do przewidzenia, mają pieniądze, mają za sobą rząd, nieboszczyków, no i bezecny system kurialny", mówili z goryczą najbardziej uświadomieni politycy w mojej klasie, która na ogół była nastrojona demokratycznie.

I nic dziwnego, że słowo „stańczycy" powtarzało się tak często. Cała epoka galicyjskiego życia mieściła się między *Stańczykiem* Matejki a Stańczykiem z *Wesela* Wyspiańskiego.

Stronnictwo polityczne, potocznie zwane stańczykami, urodziło się z kombinacji dwóch klęsk: klęski powstania styczniowego w r. 1863 i klęski Austrii, przetrzepanej przez Prusy pod Sadową w r. 1866. Klęska powstania przekreślała na długo wszelkie marzenia niepodległościowe, kazała szukać form współżycia z zaborami. Klęska Austrii znowuż kazała owej składanej monarchii szukać zbliżenia do poszczególnych krajów w drodze szerokiej autonomii, swobód języka i administracji. W tej sytuacji najwpływowsze sfery znalazły dla siebie rolę, kojarzącą ich naturalne skłonności z nakazami trzeźwej polityki: skupić się koło tronu. W uznaniu „łask monarchy" i w najlojalniejszym oparciu o tron utrwalić się w kraju jako klasa przodująca. Toteż z końcem roku 1866 powołany do życia sejm galicyjski skierował do cesarza Franciszka Józefa słynny adres, zakończony słowami, które później nieraz miały być szyderczo cytowane: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy."

Nie wszyscy godzili się na tę dość jednostronnie pojętą polską „rację stanu". Żywioły gorętsze i demokratyczne burzyły się przeciw temu niepowołanemu – ich zdaniem – przedstawicielstwu. Rozkołysana niedawnymi wypadkami młodzież łaknęła jeszcze patriotycznego wyżywania się; że jednak widoków na żaden „ruch" nie było, tęsknoty te wyradzały się coraz bardziej w jałowy gest, w krzykactwo. Tym tłumaczą się epitety, jakimi się wzajem częstowano z obu stron: „tromtadraci", „serwiliści".

Aby pognębić „warchołów", czołowi przedstawiciele nowej ideologii wydali w r. 1869 satyryczną broszurę pt. *Teka Stańczyka*, od którego to tytułu przylgnęła nazwa do całego stronnictwa. A ów Stańczyk w tytule wziął się znowuż z – obrazu Matejki (1862), gdzie błazen-patriota, jedyny jasnowidzący, zadumał się w swojej czapce z dzwonkami nad przyszłością kraju. Tak więc autorem Stańczyka-symbolu jest Matejko, którego malarstwo tak potężnie oddziałało na myśl i na literaturę polską. Ale czy ów Stańczyk na obrazie Matejki właśnie to myślał, co *Teka* pisała, to inna sprawa.

Autorami *Teki Stańczyka* byli przyszli luminarze partii: Szujski, Tarnowski, Stanisław Koźmian, wówczas ludzie młodzi, zaledwie trzydziestoletni. Pamflet był jadowity, bolesny, bo dotykał nie zabliźnionych jeszcze ran narodu. Ale gdy chodziło o rok 1863, żadne słowo potępienia nie zdawało się autorom dość ostre.

Stańczycy – wedle własnego określenia – chcieli być „sikawką pożarną" (stąd ów Popiel z sikawką w „Diable"); chcieli gasić w narodzie „nadmiar uczucia i siły"!

W *Tece Stańczyka* rysował się zarazem antagonizm między Krakowem a Lwowem. Twierdzą stańczyków był Kraków, bardziej zahukany, bardziej pozostający pod ciśnieniem sfer „miarodajnych", jak wówczas się mówiło; we Lwowie natomiast, mieście młodym i ruchliwym, skupiła się ideologia demokratyczna, niepodległościowa (bodaj w gębie), tworząc wówczas pyskatą i zadzierzystą prasę, która ostro dobierała się do stańczyków. Czamara przeciw kontuszowi. W *Tece Stańczyka* Lwów nazywa się „Tygrysów", Kraków – „Gawronów"; z czego

można by wnosić, że stańczycy – może wbrew swoim intencjom – lepiej potraktowali swoich przeciwników niż swoich wasalów.

W walce owej stańczycy zwyciężali na całej linii. Po ich stronie był sukces. Koncesje, użyczone krajowi przez Austrię, były – w porównaniu z dawniejszym stanem rzeczy – olbrzymie, a stańczycy umieli je pochwycić prawie niepodzielnie w ręce. Mieli ten rozum, aby wyjść po trosze z ciasnego kręgu szlachetczyzny i wciągnąć do swego obozu czołową inteligencję, zwłaszcza z kół profesorskich. W rezultacie na kilka dziesiątków lat administracja, mandaty poselskie, teki ministerialne, katedry uniwersyteckie, Akademia Umiejętności, Rada Szkolna, wszystkie prawie instytucje, przedstawiające jakąś siłę, wszystko bez mała znalazło się w ich rękach.

Czy owo hasło: „Przy Tobie stoimy i stać chcemy", było mądrą i zbawienną dla kraju taktyką, oto pytanie – dziś dość jałowe, ale wówczas często roztrząsane. Podnoszono nieraz, iż Czesi i Węgrzy, mniej wobec Austrii potulni, bardziej stający okoniem, osiągali nie gorsze od nas, raczej lepsze rezultaty. Ale to były całe organizmy narodowe. Galicja była okaleczoną cząstką. Polski, o bardzo mieszanej ludności. Po stu latach gospodarki austriackiej była mizerna i słaba. Szlachta była w niej jedyną warstwą przedstawiającą jakąś zwartość i siłę. Szlachta ta stała zbyt skwapliwie może przy cesarzu, ale czy ówczesne mieszczaństwo byłoby bardziej rogate? Niech mi będzie wolno w formie ilustracji przytoczyć anegdotę z czasów znacznie późniejszych, ale przez to tym wymowniejszą. W roku 1910 czy 1911 cesarz zapragnął powiększyć swoją flotę wojenną. Ponieważ przewidywano opozycję, przeto wypróbowanym sposobem Najjaśniejszy Pan zapraszał do siebie kolejno co wpływowszych posłów, aby z nimi osobiście porozmawiać. Mało który z Polaków umiał się oprzeć takiej rozmowie, zwykle wychodził oczarowany, miękki jak masło. Tak stanął przed cesarzem pewien demokratyczny i mieszczański poseł galicyjski, który po paru łaskawych słowach monarchy zdołał tylko wyjąkać ze wzruszeniem, że Galicja przyjęła wiadomość o zwiększeniu floty z najwyższym entuzjazmem. Było to w epoce *Szopki krakowskiej*; wzięliśmy tedy na ząb niefortunnego „admirała", wkładając mu w usta, na nutę *Santa Lucia*, piosenkę, której jedna strofa brzmiała:

Wierni poddani
Aż drżą z ochoty,
Galicja wiecznie
Wzdycha do floty;
A że do floty
Trzeba bałwanów,
Więc płyn, drednaucie,
Do Izby Panów etc.

Piosenka dostała się do Wiednia między posłów; nawet ci, którzy nie rozumieli po polsku, przechodząc koło swego parlamentarnego kolegi, nucili *Santa Lucia* ku rozpaczy biednego wybrańca ludu.

Jeżeli wspominam *Szopkę krakowską* z „Jamy Michalikowej" nie odbiegam tak daleko od tematu stańczyków, jakby się zdawało. Wręcz przeciwnie. Można stwierdzić, że protoplastami *Szopki krakowskiej*, zmienionej w narzędzie satyry, byli poniekąd autorzy *Teki Stańczyka*, którzy w zapale polemicznym nie gardzili żadną bronią. W r. 1873 pojawiła się bezimienna *Wędrówka po Galilei*, pamflet w formie rewii, przeplatanej piosenkami. Autorowie – a byli nimi ni mniej, ni więcej Szujski i Tarnowski – podkasali togi profesorskie i rżnęli kuplety na nutę *Pięknej Heleny* i innych. Oto np. kuplecik włożony w usta „Lwowa", na nutę *Pięknej Galatei*:

Ach, dla Wiednia, papuńci,
I Galicji, mamuńci,
Miłość serce me rozpiera, żem tak dzielny chwat;
Bo też Wiedeń, papuńcia,
I Galicja, mamuńcia,
Chowali mnie na sztucera prawie od stu lat.
Od Grodeckich bram,
Po Łyczaków sam,
Biję, piję, krzyczę, baję, łaję, ćwiczę,
Bom też w Galilei najgorętszy duch!
Taki, jak ja zuch,
Baje, łaje, ćwiczy, żyje, bije, krzyczy,
Wszędzie wznieca ruch.
Nawet w sejmie panem ja,
Pan marszałek respekt ma,
A gdy czasem „Czas" mnie kpa,
Wnet mu Jańcio po łbie da.
Wy, wy, z waszym Krakowem,
Padnijcie przed Lwowem,
Bo sam Wiedeń Lemberg zna;
Bo kto raz się do mnie uda,
Widzi same cuda! cuda! cuda! cuda!
Ach, dla Wiednia papuńci,
I Galicji mamuńci,
Miłość serce me rozpiera, żem tak dzielny chwat;
Bo też Wiedeń, papuńcia,
I Galicja, mamuńcia,
Chowali mnie na sztucera prawie od stu lat.

W owej „komedii, nie przyjętej na deski", mówi się wiele o opinii kraju; w końcu zjawia się na scenie ta Opinia we własnej osobie: okazuje się, że jest dzieckiem z angielską chorobą i wodą w głowie, niezdolnym ani chodzić, ani myśleć...

Takie były boje pierwszych stańczyków. Ale bronią ich był nie tylko pamflet, nie tylko publicystyka. Terenem ich ofensywy była i – historia. I tutaj działalność ich była najwartościowsza i najtrwalsza. Z nich wyłoniła się słynna „historyczna szkoła krakowska", reakcja przeciw taniemu poetyzowaniu przeszłości, przeciw tendencyjnemu przekształcaniu dziejów, przeciw schlebianiu wadom narodowym. Narodowi trzeba mówić całą prawdę, choćby ta prawda miała być najbardziej gorzka; przyczyn upadku Polski trzeba szukać przede wszystkim we własnych błędach i błędy te poznać – oto teza, której najdobitniejszy wyraz dał Michał Bobrzyński w swoich *Dziejach Polski*. Owa „szkoła krakowska", która podniosła niewątpliwie poziom polskiej wiedzy historycznej, ostrą swoją rewizją uświęconych poglądów również działała drażniąco na wielu i wyzywała polemiki. W satyrycznym wierszyku pod adresem „historycznej nowej szkoły" Asnyk przycinał jej, że nie spocznie w swoim trudzie, „aż dowiedzie, że król Herod – dobroczyńcą był dla sierot".

Stańczycy trwali długo i mieli czas się przeżyć. Lali wodę ze swoich sikawek, kiedy dawno już nie było ognia. Zbyt wszechwładne i wyłączne ich panowanie wytworzyło – w Krakowie zwłaszcza – swoistą atmosferę. Atmosfera ta – zanim odwietrzyły ją nowe prądy – była dla wielu gorętszych serc i niecierpliwszych duchów nie do zniesienia; miarę tego dają słowa kreślone przez młodego Stefana Żeromskiego z Krakowa w liście do narzeczonej. Mimo że ostre – może

krzywdzące – zacytuję je tu dla scharakteryzowania nastrojów chwili; można to czynić bez skrupułów, ile że sami stańczycy też nie przebierali w słowach wobec swoich przeciwników. Żeromski tedy pisze:

„Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę głupotę, to nadużycie słowa, śmiałabyś się do rozpuku jak ja. Galicja – Kraków to niewyczerpane źródło humoru, to po prostu sam humor, potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota – i ci... w swoich kontuszach i... kitach."

To są wrażenia Żeromskiago – właśnie z pogrzebu Pawła Popiela w r. 1891. Żeromski byłby może pobłażliwszy, gdyby pamiętał, że ten Popiel bił się za młodu za ojczyznę w r. 1831. Ale skromny krzyżyk virtuti militari przykryty był na piersi jego ekscelencji tajnego radcy tyloma austriackimi gwiazdami!

Stare pokolenie stańczyków odchodziło lub kostniało w dawnych pojęciach i w niezrozumieniu idącej epoki. Kadry ich zasilali młodsi, skupieni koło dziennika „Czas". Ale ci nie zawsze mogli mieć tę samą wiarę w hasła, zrodzone z innych warunków, z innych potrzeb społeczeństwa. Męczyli się nieraz, szarpali się wewnętrznie. Jednego z takich najlepszych młodostańczyków pokazał z autentycznego wzoru Wyspiański w osobie Dziennikarza w *Weselu* (1901). I wprowadził na scenę samego Stańczyka, tego właśnie Matejkowskiego Stańczyka, zjawiającego się na porachunek ze stronnictwem, które go wzięło za patrona. „Masz tu kaduceus polski, mąć nim wodę, mąć" – rzuca Stańczyk z ironią Dziennikarzowi. A Dziennikarz, łamiąc z bólu ręce, woła:

> Może by Nieszczęście nareszcie
> dobyło nam z piersi krzyku,
> krzyku, co by był nasz
> z tego pokolenia...

Wyspiański nie poprzestaje na tym. Cały ówczesny Kraków wiedział, kogo wyobraża w *Wyzwoleniu* figura Prezesa, który

> myśl swoją więzi długo,
> nim ją uczyni swą sługą
> i wypowie z wiarą najgłębszą,
> im płytszą będzie i tępszą...

i który kończy swoje namaszczone przemówienie słowami: „A teraz, pogodni, zasiądźmy do wspólnego stołu i pamiętajmy jedno: nie wymawiać nigdy słowa Polska."

I jeszcze mocniej w scenie Masek z aktu drugiego. Podejmując tak często przez stańczyków użyte i nadużyte w walce słowo „warchoły", Wyspiański odwraca jego ostrze, zaczynając rozmowę Konrada z pierwszą z Masek od słów: „Warchoły to wy! Wy, co liżecie obcych tronów podnóże, czołgacie się u obcych rządów i całujecie najeźdźcom łapy uznając w nich prawowitych wam królów..."

Tak brzmiał gniewny głos poety: bo już odwracała się karta dziejów, której szelest on pierwszy usłyszał. Już przeczuł Konrada, do którego historia miała zawołać: „Więzy rwij!" I mądrość stańczyków, od których – od Szujskiego zwłaszcza – Wyspiański wprzód wiele się uczył, stała się już dla niego bez wartości.

Takie są echa walk, które się toczyły. Dziś są już one – szczęśliwie – niepowrotną przeszłością. Ci, co tworzyli i co pisali historię, sami z kolei należą do historii.

Z RĘKAMI NA KLAWIATURZE

Od czasu jak piszę na maszynie, często nawiedza mnie szczególne uczucie. Drażni mnie podobieństwo maszyny do fortepianu, a raczej to jej przedrzeźnianie fortepianu. Irytuje mnie, gdy siądę i położę ręce na klawiszach, że one nie wydają głosu, że nie mogę błądzić po nich palcami, aby słyszeć natychmiast myśl przelaną w dźwięki. Czasem czuję w sobie jak gdyby melodię: machinalnie siadam do maszyny. Bezduszna klawiatura! Nic, nic, nic! Żeby te klawisze nie wiem jak muskać, żeby nie wiem ile wkładać w nie czucia, nie wydadzą nic więcej poza mechanicznym odbiciem litery. Wyskakuje ubożuchno jeden znaczek po drugim, a skoro mimo woli wziąć akord, mechanizm się zacina, podczas gdy chciałoby się walić akordami, oktawami, po cztery, po pięć nut na raz, szarpać arpedżiami, młócić w klawisze fortissimo, wzniecać z nich burzę tonów, a potem znów, żeby perliste nutki sączyły się ciurkiem, żeby się lały jakimś anielskim tirlitirli... A pedał, gdzie pedał?!

O, jakże gnuśnym przewodnikiem uczuć jest słowo. I jak brutalnym, niedelikatnym, jak gwałci ono wszystkie sekrety człowieka! Przestałem pisać wiersze, bo zbytnio cierpiała od nich moja wstydliwość; co będzie, gdy to samo zdarzy mi się z prozą? W takich momentach ogarnia mnie pociąg do jakiegoś dadaizmu; nienawidzę płaskiego sensu słów, ich zawartości pojęciowej, chciałbym je rozkładać, przekładać na dźwięki, płynąć po tępym WERTZUIOP maszyny do pisania – andante, scherzo, allegro, zmieniać rytmy, tonacje...

Może to atawizm, może przechowane wrażenia dziecięctwa, kiedy od najmłodszych lat widziałem przy fortepianie ojca i przywykłem słyszeć, jak za położeniem rąk klawisze odpowiadają mu głębokim, szlachetnym tonem. A najgłupsze przy tym jest to, że nie umiem grać na żadnym instrumencie, mimo że syn znakomitego muzyka. A raczej... właśnie dlatego.

Kiedyśmy wraz z braćmi kolejno odrastali od ziemi, wyłaniała się oczywiście kwestia muzyki. Rzecz prosta, że ojciec nie mógł się nami zająć osobiście, szkoda było na to jego czasu. Przy tym jakby taka nauka wyglądała, strach pomyśleć! Ojciec, najlepszy człowiek, przechodził z biegiem lat bardzo sarmacką ewolucję: z marzącego młodzieńca, jakim go widzę przed sobą na portrecie Grottgera, coraz bardziej przeistaczał się w wykapany obraz cześnika Raptusłewicza. Porywczość jego i niecierpliwość były przysłowiowe. Obdarzony absolutnym słuchem, myśląc muzyką tak jak się oddycha, nie mógł po prostu pojąć, aby jej zdobycze mogły przychodzić z jakimiś trudnościami; wszystko skłonny był uważać za „sabotaż", który karcił, starodawnym trybem rodzicielskim, grzmotnięciem po łapach albo po plecach. Rzecz prosta, że ten system umuzykalniania tym bardziej paraliżował dziecko, tak iż każdy egzamin ojcowski kończył się fatalnie.

Otrzymaliśmy tedy pedagoga. Był nim wielki oryginał, nazwiskiem Płachecki, zmarnowany eks-kolega ojca, stary pijus z długą zapuszczoną brodą i wąsiskami. Czemu właśnie jego wybrał ojciec? Zapewne przez poczciwość („Tego mi, Władku, nie zrobisz, aby kto inny miał uczyć twoje dzieci!"), może także przez ową słabostkę, jaką każdy Cześnik ma do swego Dyndalskiego, gdyż tak się w istocie układał wzajemny stosunek tych dwóch dawnych kolegów. Bo zresztą wszystko ojca w tym muzykusie irytowało. I jego system układania ręki, którego podstawą był

mętny choć lapidarny aforyzm: „Trzymaj rękę jak kiełbasę!”, i zamazane legato, w którym się nauczyciel muzyki lubował; słowem, wszystko. Trzeba zaznaczyć, że nasz Płachecki często przychodził na lekcje zalany, wówczas drzemał kiwając się przy fortepianie lub towarzysząc uczniowi w basie. Lekcje – starała się o to matka – odbywały się w godzinach, gdy ojca nie było w domu: ale czasem ta matczyna dyplomacja zawodziła i ojciec stawał się przypadkowym lub umyślnym rewizorem nauki. Wówczas niech ręka boska broni, co się działo! Z ostatniego pokoju, kładąc pasjansa, słyszał „stary Żeleński” (nie taki stary wówczas) najlżejszy fałsz, najmniejszą skazę w rytmie; najpierw poprawiał niecierpliwie na odległość, krzycząc: „fis!”, głosem, od którego przyrastały palce do klawiszów; następnie, gdy kawałek z Leberta i Starcka szedł coraz gorzej, ojciec wpadał jak burza do pokoju. Dostawało się i uczniowi, i nauczycielowi; a najgorsze, że z Płacheckim, jako z dawnym kolegą, ojciec był „na ty”: ta forma miewa w krytycznych chwilach swoje poważne niebezpieczeństwa...

Huczał tedy salon od gromów ojca; na to wbiegała matka, która od początku lekcji z drżeniem nasłuchiwała każdego odgłosu. Widząc męża czerwonego, sinego niemal od krzyku, obejmowała go błagalnie.

– Władziu, nie irytuj się, zaszkodzisz sobie.

– Daj mi spokój! – prychał na nią ojciec.

– Władziu, na rany boskie, ja też jestem człowiek i ojciec rodziny!

– Dureń jesteś!

– Władziu, nie mów tak do mnie, bo ja tu trupem padnę! – krzyczał Płachecki również z krwią nabiegłymi oczami.

– Niechże pan męża nie drażni! – rzucała się ku niemu matka jak tygrysica.

– Ja też mam swój ambit! – wołał stary pijak i łzy kapały mu na brodę.

A malec, na swoim wysokim, obrotowym krześle, drżał tylko, byłby się pragnął schować pod klawiaturę.

W tych warunkach nic dziwnego, że lekcje owej boskiej sztuki były katorgą, każdy z nas marzył tylko, aby się od nich wykręcić; jakoż w istocie, pod pozorem zajęć szkolnych, jeden po drugim pryskał. Bracia moi odzyskali po trosze wykształcenie muzyczne sami, ja, wymigawszy się od tej nauki najwcześniej, zostałem jak ta dziczka w lesie. Toteż dławię się nieraz od wstrzymanej muzyki i kiedy siądę do maszyny do pisania, odzywają się we mnie niewyżyte tęsknoty...

KRAKÓW NAIWNY

Miałem sześć lat, kiedy ojciec przeniósł się z Warszawy do Krakowa. Warszawa ówczesna miała dla dziecka coś z grozy, coś z tajemnicy. Upiorni kozacy na koniach, w wysokich skórzanych rurach na głowie, z pikami; olbrzymi czerkiesi z kindżałami i w czapach; obmierzłe galówki z łojowymi lampkami kopcącymi w rynsztokach; sciszone rozmowy starszych, nagła wieść o zamordowaniu cara Aleksandra...

A Kraków? Nie od razu zorientowałem się w różnicy atmosfery. Długo przejmowało mnie lękiem spotkanie żandarmów, którzy zawsze chodzili we dwóch, z nasadzonym bagnetem, w kapeluszach z kogucimi piórami. Z dość niespokojnym wzruszeniem mijałem Węgra, który w obcisłych cyfrowanych spodniach stał na warcie przed swoją budką. Dopiero kiedy ujrzałem na murze plakat zaadresowany: „Kochany hrabio Taaffe", podpisany: „Franciszek Józef m.p.", uspokoiłem się. Ten życzliwy i konstytucyjny sposób korespondowania sprawił mi podświadomą ulgę.

W Warszawie chodziłem do pani Mleczko. To była taka freblówka. Tu miałem iść do prawdziwej szkoły, do szkoły powszechnej. Właściwie nie była ona taka powszechna: nazywała się „wzorowa" i była pomieszczona przy seminarium nauczycielskim, dla którego była terenem doświadczalnym. Mieściła się na wylocie ulicy Brackiej, w domu barona Larischa; mówiono krótko: „u Larysza". Była to jedyna w Krakowie uczelnia nie pod wezwaniem jakiegoś świętego; toteż zapytany przez kogoś z krewnych, do jakiej szkoły chodzę, odpowiedziałem naiwnie, z najlepszą wiarą: „Do świętego Larysza."

Już przy wstępnym egzaminie odczułem różnice dwóch systemów nauczania. W Krakowie był system bardziej naukowy, w Warszawie bardziej domowy. Na przykład, kiedy na pytanie z zakresu zaimków zwrotnych wyjaśniłem, że forma „Staś myje się", zastępuje zdanie „Staś myje Stasia", zauważyłem, że komisja przyjęła tę moją wiedzę z pobłażliwą ironią. W Warszawie kwitło jeszcze klasyczne sylabizowanie be-a-ba, be-a-ba, ba-ba, podczas gdy w Krakowie obowiązywało już postępowe prztykanie wargami b′. Omal nie zgubiłem się wreszcie przy egzaminie, kiedy na pytanie, gdzie koń ma grzywę, odpowiedziałem: „Na szyi." Ale ostatecznie przyjęto mnie, mimo młodego wieku, do klasy drugiej. Może przez wzgląd na ojca? Bo ojciec mój miał wówczas w Krakowie wielkie stanowisko. W dniu jego imienin, na św. Władysława, o siódmej rano orkiestra ustawiała się w półkole pod naszym mieszkaniem przy ulicy Szewskiej i rżnęła marsze. Dlatego że sławny muzyk i że dał sto guldenów na założenie tej orkiestry.

W tej szkole galicyjskiej czekało mnie przeżycie na pozór paradoksalne. Szydzono ze mnie, przybysza z Warszawy, ponieważ mowa moja była najeżona germanizmami. Mówiłem s z y f e r, gdy tam mówiło się r y s i k; mówiłem b a n h o f zamiast dworzec i inne takie rzeczy. W Warszawie te germanizmy miały jakieś historyczne tradycje jeszcze sprzed bitwy pod Jeną, szanowano je; w Krakowie tępiono już i tropiono niemczyznę dla zbyt bliskiego sąsiedztwa.

Jak wspomniałem, było to seminarium nauczycielskie. Seminarzyści nazywali się „panowie" albo „kandydaci". Wydawali mi się bardzo dorośli i groźni. Nie wiedziałem, że to są młodzi chłopcy i że tak samo się w tej szkole nudzą jak ja. Od czasu do czasu przychodził cały kurs „na

praktykę"; każdy niósł na głowie krzesło i zapychali całą naszą klasę. Wówczas zjawiał się dyrektor, nazwiskiem Zgórek; nie widziałem w życiu nic tak straszliwego jak on. Ale sądzę, że „panowie" bali go się daleko bardziej niż my, malcy, a najbardziej musiał się go bać gospodarz klasy, który miał złote okulary, rude bokobrody, nazywał się pan Kowalikowski i niekiedy zasypiał w czasie lekcji. Dopiero w tej chwili rodzi się we mnie podejrzenie, że on lubił się napić.

Tylko jednego z tych „panów" (lub „kandydatów") spotkałem później w życiu. Był najgorszy ze wszystkich, brzydki, ryży, kuternoga, nazywaliśmy go „kandydiabeł", pastwił się nad nami w czasie inspekcji na pauzach. Mimo że już byłem pod wąsem, serce we mnie zamarło, kiedym go później ujrzał w okienku jako urzędnika w Towarzystwie Zaliczkowym, gdzie jako student chronicznie prolongowałem swoje „konsumpcyjne" weksle, związane z opłakanym nałogiem karciarstwa. Jakbym zobaczył czarta! I przekonałem się, że w każdej profesji można zaspokoić wrodzony sadyzm. Bo ten kandydiabeł znów pastwił się nade mną i nad moimi biednymi wekslami: najmniejsza poprawka, najmniejsza kreska nie tam, gdzie trzeba, i już odrzucał blankiet z wyraźną, zmysłową wprost rozkoszą. Dla mnie był to dramat, gdy na przykład w deszcz czy mróz musiałem z nowym blankietem pieszo dyrdać do Bronowic do Włodzia Tetmajera, mego nadwornego żyranta, po świeże żyro. Wracałem zdyszany, pędząc do okienka; eks-kandydiabeł szatańskim gestem wskazywał zegar: minuta po pierwszej, za późno, do protestu. Zawsze pedagog!

Do pierwszych dziecięcych lat odnosi się przeżycie, które utkwiło we mnie dość ciężkim urazem. Ono to może stało się później (znacznie później) źródłem mojego balzakizmu. Bo pierwsza powieść Balzaka, która mi wpadła w ręce, to były *Stracone złudzenia*: jakże żywo odczułem stan duszy młodego Lucjana de Rubempré, kiedy się znalazł niedobrze ubrany w loży margrabiny d'Espard! Bo oto, co mi się zdarzyło w siódmym roku życia.

Rozdarło mi się palto na gwoździu; oddano je do krawca, który nie odniósł go na czas. Było to w zimie, w czym tu iść do szkoły? Matka, mimo że sama przejęta świętością obowiązków szkolnych, zwróciła się nieśmiało do gromowładnego ojca z zapytaniem, czybym nie mógł zostać w domu. Ojciec aż się żachnął: nie iść do szkoły?! – ani słyszeć nie chciał o tym. Matka wykombinowała tedy taki strój: włożyła mi jakiś damski serdaczek, a na to stary żakiet ojca, rosłego i zażywnego mężczyzny. Rękawy dało się zawinąć, obfity przód zapięto jakoś agrafkami, ale poły! poły sięgały do samej ziemi, a kto wie, czy się nie wlokły. Płakałem rzewnymi łzami przez całą drogę ze wstydu i rozpaczy, byłbym chciał nigdy nie zajść na miejsce, umrzeć w drodze. Jak mnie w szkole powitano, można sobie wyobrazić. A myśl o powrocie!

Tak oto w małym mieście – bo Kraków był wówczas bardzo mały – mogą się pomieścić wielkie tragedie...

WYBORY A DZIECI

Najmilszy stan to być człowiekiem w sile wieku. Taki ma wszystko: ma przeszłość, ma ociupinkę teraźniejszości, ma jeszcze przyszłość, siedzi sobie okrakiem między wczoraj a jutrem, buja nogami i bawi się. Bo świat jest zabawny, zwłaszcza w zestawieniach, w ciągłych zmianach perspektywy.

I tak na przykład, zaledwie pułkownik Sławek bąknął o rozpisaniu nowych wyborów, samo słowo „wybory" potrąciło we mnie jakieś wpółzapomniane obrazy. Najodleglejsze wspomnienia dzieciństwa: wybory w dawnym Krakowie. Cichy, cichutki Kraków. Zaczynało się dość poważnie: plakatowano pisma samego cesarza zaczynające się od sakramentalnych słów: „Kochany hrabio Taaffe..." Ale potem! Naraz gwałt, wrzaski, wymyślania, hasła, wielkie słowa, masę pijanych ludzi po ulicach – i skończyło się, ktoś pojechał do Wiednia i znów cicho. A starzy ludzie kiwali głowami ze smutkiem: „Wszystko (powiadali) ta demokracja, ta «Nowa Reforma». Dawniej był jeden dziennik – «Czas» – i była zgoda; zeszło się kilkunastu ludzi, uradziło, kto ma posłować, nie było tych gorszących kłótni. A całe to piwo warzy ten wariat Pawlikowski: gdyby on nie dopłacał do «Reformy» dziesięciu tysięcy guldenów rocznie, musieliby ją zamknąć i byłaby jedność w narodzie."

Takie to były czasy! Demokracja – to był na wskróś pański dom Mieczysławów Pawlikowskich; „lud" – to byli dzisiejsi burżuje. Socjalistów jeszcze nie było. I była jeszcze „wielka własność", gdzie kilku ludzi mianowało posła. Dużo się zmieniło, ale do tego jednego wróciliśmy: znów dziś kilku ludzi mianuje posłów.

Ale nie o tym chciałem mówić. Raczej o tym, czym były wybory dla nas, dzieciaków. Te dni to były istne saturnalia, wielkie święto odwetu. Wyobraźcie sobie malca, któremu dorośli suszą głowę, że nie trzeba kłamać, że trzeba szanować starszych, że nie trzeba się złościć. I naraz, ci poważni, ci dorośli, często znajomi rodziców, przez kilka dni wymyślają sobie jak opętani afiszami, nalepkami, na wszystkich rogach ulic, zarzucają sobie nawzajem kłamstwa, przekupstwa, wszelkie zbrodnie i występki. No, a dopiero w gazetach co można wyczytać o każdym z nich!... Śliczne rzeczy. Bo w owych czasach technika wyborów (a tym samym wymyślania) była inna niż dziś. Celowało się nie w bezduszne „numery", ale w żywe osoby. To było o wiele soczystsze i zabawniejsze. „Precz z korupcjonistą! Precz z warchołem!" – Złodziej grosza publicznego, pasożyt to jeszcze najniewinniejsze. A my, bębny, pławiliśmy się w rozkoszy.

Poza tym uświadomienie polityczne w mojej klasie było słabe. Gardziło się „szwarcgelbami" jak nasz dyrektor Stawarski, życzący co rok maturzystom w swojej przemowie, aby wyszli na pożytek „ cesarzowi, Bogu i ojczyźnie". Słowo „stańczyk" też było źle widziane. Raz, pamiętam, starsi uczniowie zmobilizowali nas na „kocią muzykę" pod oknami Pawła Popiela, ale czemu, o co, nie bardzo się wiedziało. Kocia muzyka jest sama w sobie rzeczą tak przyjemną, że nie wymaga ścisłego umotywowania. Jedyny polityk w klasie to był Staś Kasznica. To był męczennik swoich przekonań; przez jakiś czas co dzień był bity, bo kiedy mu któryś z klasy rzucił: „stańczyk", stawał z płomiennymi oczami i wołał: „Tak, jestem stańczyk i szczycę się

tym, że jestem stańczykiem.” I mimo że wątły, walczył z nerwową siłą przeciwko gradowi spadających nań kułaków. Istne sceny z rewolucji francuskiej! Nieraz Kasznica – mieliśmy wówczas lat ze trzynaście – starał się wprowadzić mnie w arkana polityki. Rozróżniał dwojakich stańczyków: prawdziwych, jak Stanisław Tarnowski, i fałszywych, zgubnych, jak Michał Bobrzyński. Byliśmy w wielkiej przyjaźni, ale nigdy nie mógł sprawić, abym słuchał tych subtelności serio: toteż on jest dziś senatorem, a ja błaznem.

Ale Kasznica był wyjątkiem; ówczesna dzieciarnia była w polityce jak tabaka w rogu. Wybory były przede wszystkim uciechą. Idąc do szkoły widziało się na murze afisze bezczeszczące jakiegoś kandydata; wiedzieliśmy, że nim wyjdziemy z klasy, już afisze będą zdarte, a miejsce ich zajmie odpowiedź, w której przeciwnik nie pozostanie mu dłużny. Bawiła nas niewyczerpana inwencja formy przy monotonii treści. No i szybkość! Dla chłopców, dla których technika druku była czymś tajemniczym, chyżość tej afiszowej dyskusji na murach była fantastyczna.

Były i inne sposoby, imponujące wówczas w Krakowie swoim amerykanizmem; nie tylko rozlepiano afisze, ale obnoszono je na kijach! Kiedy raz kandydował ośmieszony hr. Zyzio (Cieszkowski), paru pijanych drabów obnosiło plakat z napisem, który zapamiętałem, nie wiem czemu, do dziś: „Zostawmy hrabiów salonom, my, ludzie pracy, wybierajmy Tadeusza Romanowicza.” Co na to odpowiedział hr. Zyzio, nie pamiętam. Pewnie coś o tradycji i o wierze ojców. Wkrótce potem musiał zmykać do Ameryki.

Były zebrania wyborcze, na których namiętności wrzały. Trząsł się Kraków po mowie Asnyka, w której „czerwonemu” poecie wymknął się zwrot o „zezwierzęceniu arystokracji”. Ponieważ Asnyk był parę razy na herbacie u Tarnowskich na Szlaku, uznano jego znalezienie się za czarną niewdzięczność. Inny kandydat, „dobrze myślący” Tomkowicz, miał dość zabawną przygodę. Był to człowiek bywający w świecie, anegdociarz, dowcipny, ale dowcipem, można powiedzieć, „kameralnym”, jaki wówczas, w epoce Kazimierza Morawskiego, księdza Pawlickiego, stał w Krakowie bardzo wysoko. Otóż Tomkowicz, kandydując na posła, przygotowywał sobie mówkę wyborczą, zaczynającą się od słów: „Jestem dobrze urodzony...”; miał dodać po artystycznej pauzie: „bo jestem urodzony w Krakowie”. Nieborak spodziewał się burzy oklasków, tymczasem nie zdał sobie sprawy, że nie przemawia w salonie, ale w ujeżdżalni; jakoż po słowach: „Jestem dobrze urodzony”, rozległy się ryki, piski, gwizdania, nie pozwolono mu dojść do słowa. Stał z kwadrans, dając na próżno znaki na migi, że mu zepsuto pointę; nic nie pomogło: zlazł w końcu i poszedł do domu; i to „jestem dobrze urodzony” było jedyną mową kandydacką, jaką wygłosił w życiu. To był przełom dawnego a nowego Krakowa.

Powoli nasze uświadomienie polityczne rosło. Dostaliśmy nowego nauczyciela języka polskiego; nazywał się Maślak. Zdziwiło nas, czemu nauczyciel, wykładając literaturę polską, mówi stale „wasza literatura”. Z początku sądziliśmy, żeśmy się przesłyszeli, ale gdy się to powtarzało, zagadnęliśmy gospodarza klasy. Z pewnym zakłopotaniem przyjął nasze zwierzenie i objaśnił nas, że prof. Maślak jest – Rusin. I tak dowiedzieliśmy się o kwestii ruskiej, o której się w Krakowie nam, dzieciakom, nie śniło. Bo nikt nie ma pojęcia o ciemnocie co do spraw życia bieżącego, w jakiej utrzymywała chłopców ówczesna galicyjska szkoła.

Wielkim wydarzeniem dziecięcego życia politycznego był wybór na posła do parlamentu nauczyciela historii, Augusta Sokołowskiego. Był to profesor surowy, wymagający; dobrze wykładał, mówiono o nim, że omal nie został profesorem uniwersytetu; imponował nam przy tym nienagannym strojem, zawsze czystym kołnierzykiem i niewzruszoną flegmą. W istocie miał się habilitować, ale „utrącono” go, zdaje się, z przyczyn politycznych. Była to nie zagojona rana; swoje nauczycielstwo gimnazjalne traktował zawsze z pobłażliwym lekceważeniem, a żądza odwetu trawiła mu serce. Parlament, Wiedeń – to dla ówczesnego bakałarza była kariera tak zawrotna, że dziś na próżno szukam dla niej porównania. Kandydował raz, przepadł; coś tam

potem rozwiązano czy też ktoś umarł, dość, że były nowe wybory: przeszedł. Cóż za ewenement w szkole! Był właśnie naszym „gospodarzem klasy”; jak nie obejść podobnej okazji! Padło słowo fakelcug! Była to w owym czasie najwyższa skala owacji: orszak z pochodniami. Kupowało się smolne łuczywa, a wystarczało oczywiście wyjść z nimi na ulicę, tłumy były pewne. Po drodze chciano zrobić „kocią muzykę” pod mieszkaniem kontrkandydata, ale nikt nie wiedział, gdzie mieszka; ja wiedziałem, bo to był przyjaciel mego ojca i często bywał u nas w domu. Poprowadziłem tłumy: cóż za rozkosz choć przez chwilę być tak ważną figurą! Potem znaleźliśmy się pod domem, gdzie mieszkał August Sokołowski. Słysząc okrzyki, wiwaty, ukazał się w oknie, w otoczeniu politycznych przyjaciół oświecających go lampami. Podziękował nam gestem i wygłosił mowę polityczną, w której przyrzekł nam, że wstąpi do Koła Polskiego, ale że obierze – to były jego słowa – „wdzięczną drogę opozycji”. Przy moim niewyrobieniu politycznym nie mogłem zrozumieć, skąd on wie, że będzie oponował, kiedy nie wie jeszcze, co tamci będą gadali. Ale fakelcug udał się świetnie, z nieodzownym zakończeniem: jedni poszli na Kazimierz „bić Żydów”, nie wiadomo za co, bo Żydzi „jak jeden mąż” oddali głosy za „szczełym demokłatą” (nie wymawiał *r*) Augustem Sokołowskim; a inni poszli do domu publicznego. Byłem zbyt młody i zbyt nieśmiały, aby im towarzyszyć.

To były sielankowe czasy parlamentaryzmu w Krakowie. Potem nagle przyszedł socjalizm, płomienny Daszyński, i owa osławiona „piąta kuria” mająca oszukać gniew ludu; jeszcze potem powszechne głosowanie. Technika wyborów się zmieniła. Może to i szkoda. Za mało robi się dla dzieci.

PIERWSZA WÓDKA

Nie wiem, czy to jest przeczucie, że mam umrzeć młodo, ale czuję wzmożoną potrzebę udzielania się publiczności. Misterium śmierci i życia. Jest coś seksualnego w tej żądzy oddawania się największą powierzchnią, w tej kombinacji wstydliwości i bezwstydu. Coraz częściej oblega mnie przeszłość, przeżywam ją jak gdyby na nowo. To jest właściwie przeszłość... muszę się przyznać, że ja w ogóle nie bardzo wierzę w rzeczywistość świata. Przeszłość, teraźniejszość... używam tych słów przez rutynę, ale naprawdę są dla mnie pozbawione sensu. „Fiume", jak mówi wielki Dymsza. Sen! Kartezjuszowe „myślę, więc jestem" – przerobiłbym na „śnię – więc jestem". Myśl to jest tylko wzmocnione marzenie, coś jak wiśniówka wzmocniona rumem.

Czemu wiśniówka i czemu rumem? Bo właśnie tam zawiodły mnie dziś wspomnienia: *Moja pierwsza wódka* brzmi tytuł. Byłem wtedy dzieckiem dwunastoletnim, trzecioklasistą. Byłem na ogół grzecznym chłopcem, dość surowo chowanym, uczyłem się dobrze. Ale miałem jedną właściwość, która mi została: byłem błazen. Muszę powiedzieć, że cieszyłem się u profesorów dużą bezkarnością, podobną tej, jakiej zażywały błazny na dworach królów: musi ta instytucja tkwić w potrzebach człowieka, jako ludzka korektura dogmatu, władzy. Czasem przebrałem miarę, wówczas spadały na mnie represje w formie mniej lub więcej dotkliwej. Jednego razu gospodarz klasy, nie mogąc sobie dać ze mną rady, przeniósł mnie za karę do ostatniej ławki. O Boże! to było tak, jakby p. Mirę Zimińską za nieostrożną jazdę automobilem wsadzić do kryminału z podpalaczami i gwałcicielami. Ładnie by ją poprawili! Ta ostatnia ławka była zamieszkała przez recydywistów, chciałem powiedzieć repetentów, chłopów niemal pod wąsem, których bał się niejeden młodszy profesor. Z pewnym niepokojem zająłem miejsce w tej ławce, o wiele za wysokiej dla mnie, tak że nogi dyndały mi w powietrzu. Obserwowałem spod oka moich sąsiadów, bojąc się tak strasznych nieraz w szkole prześladowań. Gdzież tam, przyjęli malca serdecznie, stałem się ich ulubieńcem. Szeroko otwierałem oczy siedząc w tej ławce; był to dla mnie świat z bajki; działy się tam rzeczy, o których bym nawet nie przypuścił, że istnieją. Był to jeszcze system ławek na całą szerokość klasy, ostatnia ławka była zatem niedostępna, nawet wzrok profesora nie bardzo mógł tam sięgnąć. Co się tam działo! Na godzinie religii i polskiego, a często i na innych, draby rżnęły w karty, w scyzoryk, organizowali biuro loterii, aby wyłudzać pieniądze z naiwnych. Jeden był w pozaszkolnych godzinach pomocnikiem klakiera, przynosił – o zgrozo! – fotografie aktorek, handlował kontramarkami na galerię po parę groszy. O dziwkach mówili tak jak sam Antoni Beaupré za swoich dobrych czasów. Dla mnie, naiwnego wówczas jak nowonarodzone dziecko, były to, powtarzam, nowe światy. Garnąłem się też do tych patriarchów, robiłem im zadania, podpowiadałem im jak rutynowany sufler, za co odwdzięczali mi się, jak umieli, dzieląc się ze mną – doświadczeniem. Byłem jak ów ptaszek – nie pamiętam nazwiska – który mieszka w paszczy krokodyla i wykała mu zęby. Idealna symbioza.

Po jakimś czasie profesor, widząc tę komitywę, nabrał wątpliwości co do celowości swojej metody pedagogicznej: przesadził mnie z powrotem do pierwszej ławki. Ale węzły były zadzierzgnięte, już zasmakowałem w tym wytrawnym towarzystwie, już mi się wydawały mdłe

zabawy malców. Na pauzie składałem tam wizyty, na godzinach pobłażliwych lub roztargnionych profesorów udawałem, że nie wiem o zmianie, i wracałem do ostatniej ławy. Jednego dnia draby umówiły się ze mną na wieczór poza szkołą.

Pamiętam ten wieczór – jak przez mgłę. Bo w istocie – była to późna jesień czy zima – mgła była tak gęsta, że można by ją, jak to mówią, jak ser krajać. Kraków miewa londyńskie mgły, zwłaszcza wówczas, gdy był fatalnie oświecony naftą. Dreptałem przy moich kompanach po linii A–B, przeszliśmy ją kilka razy, zaglądając, jak każe obyczaj, w oczy szwaczkom, wreszcie skręciliśmy w ulicę Szpitalną. Towarzysze moi zatrzymali się przed sklepem, koło którego przechodziłem nieraz, ale nigdy mi nie przyszło na myśl, że tam się wchodzi. Na szyldzie widniał napis: „E. Bochnak, handel wódek i rosolisów." Co to jest rosolis, do dziś dnia nie wiedziałem; zaglądam w tej chwili do słownika Arcta; pisze, że „słodka wódka pachnąca". W takim razie musiały tam rosolisy mieć stosunkowo słabszy odbyt, bo bardzo tam nie pachniało... Był to szynk podrzędnej klasy, dorożkarski, z blaszaną ladą, z wyziewami spirytusu. Nie bez bicia serca znalazłem się w tej mordowni, gdzie twarze wydały mi się straszne. Nie wiedziałem jeszcze, że pijacy to dobrzy ludzie. Czy zresztą pijacy? Z pewnością był tam ten i ów pracowity ojciec rodziny, który wszedł po prostu na kieliszek dla rozgrzewki, ale wyglądało to groźnie, zwłaszcza oglądane nieśmiałymi oczyma dziecka. Właśnie jakiś dorożkarz w bundzie komenderował: „Ociec z matką." Naleli mu z dwóch flaszek. Za chwilę nowy gość: „Kwaśna z mocną." Znowuż naleli mu z dwóch flaszek. Utkwiło mi w pamięci, że napoje były przeważnie kombinowane, jak gdyby w przeczuciu dzisiejszych cocktailów. Raz nalali z jednej flaszki, mimo skomplikowanego zamówienia: „Szpagatówka w kratkę." Potem, z czasem, poznałem tam inny trunek, przeznaczony na wyszukane libacje; nazywał się knikebein, złożony z kunsztownie nalanych warstw kolorowych wódek (czy rosolisów?), które nie mieszają się z sobą, ale tworzą tęczowe obręcze, a na wierzch daje się żółtko od jajka. Znakomite na wymioty. Ale to poznałem dopiero później. Na razie zakrztusiłem się solennie przy pierwszym „ojcu z matką", drugi poszedł gładziej; jakich wrażeń doznawałem, nie podejmuję się zanalizować; sądzę, że przeważało uczucie męskiej dumy. Po jakimś czasie przestałem być obcy, śmiałem się, błaznowałem, czułem się jak w szkole. Ale zrobiło się późno, bałem się powrotu do domu, wybiegłem. Mgła wydała mi się jeszcze gęstsza. Na powietrzu uczułem, jak bardzo mi się w głowie kręci. Latarnie naftowe miały tęczowe koła, ludzie przesuwali się jak cienie. Biegłem z bijącym sercem przez tę mgłę.

I kiedy to wspominam, kiedym oczyma duszy oglądał tego szkraba pędzącego przez ulice, uczepił mi się natrętny frazes. Pamiętacie *Cieplarnie* Maeterlincka i ich dziwne wyliczania: „muzyka trąb pod oknami nieuleczalnych... zapach eteru w lesie..." etc. Wymyśliło mi się nowe: „pijane dziecko we mgle..." To brzmi dosyć maeterlinkowsko, prawda? I przyszła mi oto myśl, czy to nie jest motto mojego życia... Gdyby mnie ktoś spytał w tej chwili, czym jestem, odpowiedziałbym szeptem: „Pijane dziecko we mgle..."

Ach!

Rozczuliłem się nad sobą.

WAKACJE Z PRYDUMKĄ

Przypomniało mi się z nadejściem lata, że już trzeci rok nie korzystam z urlopu. Czemu, sam nie wiem. Nie chce mi się, lubię powszedni dzień, nudzi mnie świętowanie. Ale czasem czuję jakieś ciągoty. „Natura." Natura jest właściwie dla mnie tylko jedna: Tatry i ich akcesoria. Zakrztusić się dymem płonącej kosówki, dać się odmuchać do czysta górskiemu wiatrowi, usłyszeć dzwoneczki na hali... A może by znów, jak tyle razy dawniej, przenocować sobie w Roztoce i powędrować przez Białą Wodę, gdzieś pod Polski Grzebień, w górę... Ale boję się smutku, który pewnie tam czeka na mnie przyczajony.

Zakopane, Tatry, cóż oklepańszego, wstyd prawie mówić o tym. Ale w moim tatrzańskim wtajemniczeniu było coś, co je wyodrębnia z bezliku innych. Byłem między czternastym a osiemnastym rokiem życia towarzyszem włóczęg górskich Kazimierza Tetmajera, młodego wówczas poety, dla którego powziąłem fanatyczne uwielbienie. Byłem smarkatym Horacjem tego Hamleta, którego pęknięcie duszy nie było nigdy fasonem literackim, ale najgłębszą i najboleśniejszą prawdą. I on, mam wrażenie, w okresach mizantropii lubił towarzystwo chłopca, którego wierna obecność broniła go od samotności nie nakładając ciężarów, który umiał słuchać i umiał szanować jego milczenie, i smucić się z nim, i błaznować po trosze dla jego rozrywki.

Dla mnie zbliżenie to – i na tym tle! – było cudowną przygodą, było niezapracowanym i darowanym przez los rozszerzeniem skali życia i wrażeń. Z zachwytem przechodziłem kurs żrącego pesymizmu, który tak oczyszcza serce dziecka. Asystowałem czarnoksięskim operacjom, w których powszedniość przetapia się na sztukę. Byłem pod nieustającym urokiem. Tetmajer w górach był nie tylko najmilszym towarzyszem; był tym, czym jest medium na seansie: wabikiem dla świata zjaw. Przyszły autor *Skalnego Podhala* samą obecnością swoją dobywał tam ze wszystkiego poezję – och, wolną od wszelkiego poetyzowania – poezję *in statu nascendi*. Zresztą, urodzony i wychowany na Podhalu, miał tam przyjaciół po wszystkich szałasach, znał skomplikowane góralskie parentele, znał miejscową gwarę i etykietę, umiał zagadywać starych i przekomarzać się z młódkami, i ciągnąć bajarzy za język. W mieście nie zdradzający swej muzykalności, tutaj rozróżniał wszystkie odcienie i warianty trudnej nuty góralskiej i znał do nich najudańsze teksty. Wszystko przy nim stawało się interesujące: świstak, kozica, orzeł wiszący w powietrzu, niedźwiedź, który nigdy zresztą nie raczył mi się pokazać, dziwaczne nazwy szczytów i przełęczy, noce przesiedziane w szałasie przed długo dopalającym się polanem, wyiskrzone niebo nad szałasem...

Na wszelki sposób uczyłem się mowy poezji. Często wieczór, w obliczu gór, Tetmajer lubił mówić – wiersze morskie Heinego. W jakiejś korespondencji zakopiańskiej, pisanej przez nauczyciela gimnazjalnego, autor powiadał, że wyszedłszy na szczyt Świnicy nie mógł się wstrzymać, aby nie zakrzyknąć: „Ej, ty na dzielnym koniu, gdzie pędzisz, kozacze?" Podobnie wiersze morskie mogłyby się wydawać nie na miejscu w górach. A jednak nie. Kiedy zapadł mrok, a wiatr rozkołysał falę Czarnego Stawu, jakże wzruszające było siedzieć na wcinającym się w wodę kamieniu i słuchać tego np. wiersza mówionego zwolna, nabrzmiałym od melancholii półgłosem:

Es ragt ins Meer der Runenstein,
Da sitz ich mit meinen Träumen,
Es pfeift der Wind, die Möwen schrei'n,
Die Wellen, die wandern und schäumen...

Serce mi się wzdymało jakimś nie doznanym wprzódy uczuciem przy tych pierwszych inicjacjach w osobisty język liryki. A cóż dopiero, kiedy przyszła następna strofa:

Ich habe geliebt manch schönes Kind,
Und manchen guten Gesellen...

– wówczas, mimo że miałem piętnaście lat i nie straciłem ani kochanki, ani przyjaciela, ledwie mogłem wstrzymać wewnętrzne łkanie, zwłaszcza że już czułem nadchodzące zamknięcie frazy tym echowym nawrotem, który dziś wydaje mi się dość łatwą sztuczką wersyfikacyjną, ale który wówczas miał dar wywlekania duszy ze mnie:

Wo sind sie hin? Es pfeift der Wind,
Es schäumen und wandern die Wellen...

Czy jeszcze błądzi kiedy nad Czarnym Stawem cień Heinego? Gdyby tak sprawdzić?

Tetmajer był niezrównanym przodownikiem wędrówek górskich. Znał szlaki niebanalne, przejścia dolinami o dziewiczej roślinności, zawalone pniami swobodnie próchniejących drzew. Był zresztą jednym z najśmielszych taterników, a ja... lazłem wszędzie za nim, choć nie mogę powiedzieć, abym się nie bał. Kiedy wieczorem, na noclegu, popatrzyłem na czarną prostopadłą ścianę i wyobraziłem sobie, że nazajutrz mamy piąć się na nią, ciarki chodziły mi po plecach, w nocy budziłem się zlany potem. Modliłem się w duchu o deszcz, który by uniemożliwił wyprawę. Ale kiedy już znalazłem się na turni, dotknięcie jej upajało mnie, doznawałem jakiegoś zmysłowego drżenia (wszędzie te zmysły!), owego mdławego łaskotania w piersiach, jakie się odczuwa wisząc na rękach nad przepaścią.

Przypuszczam, że wszystkie te trwogi i niebezpieczeństwa wydałyby się naiwne dzisiejszym pogromcom gór; ale wówczas była inna technika i inne przygotowanie: nie śniło się o linach ani zabezpieczeniach – lazło się, jak Pan Bóg przykazał, na rękach, na nogach, na siedzeniu, kładąc w to więcej serca niż zręczności.

Tetmajer lubił odkrywać Tatry – te Tatry maleńkie i olbrzymie, dziecinne i groźne – nie były wówczas tak zdeptane jak dziś. Wdrapałem się za nim na parę szczytów, na których nie stanęła wprzódy „stopa ludzka": na Staroleśną, na Furkot, może jeszcze na jaki, którego nie pamiętam. Właściwie na Furkocie zostałem na kilkanaście metrów pod szczytem, zmożony wyczerpaniem i tremą; wskutek czego długo przetrawiałem jakże ważny wówczas dylemat, czy mam prawo powiedzieć, że byłem na Furkocie czy nie? Dziś szczerze wyznaję, że mi to jest wszystko jedno, ale wówczas dawało to człowiekowi niemal pozycję socjalną. W owym miodowym miesiącu młodego taternictwa ludzie dzielili się na takich, którzy byli na Lodowym, na Ganku itd. Kiedy biedny Birkenmajer niedawno znalazł śmierć na Ganku, drapał się na niego w zimie, najtrudniejszą stroną i w nocy – aż tylu smaków było mu potrzeba; wówczas człowiek jakże był szczęśliwy i dumny, że w ogóle wylazł na ten Ganek zwykłą drogą, która mi się wydawała aż nadto niezwykła...

Jeżelim się nie wygramolił na sam szczyt Furkotu, niech mnie tłumaczy to, że to była w ogóle moja pierwsza większa wycieczka. Jedno upojenie! Nocleg w Niewcyrce pod gołym niebem

(deptanie boso zrosionej trawy, zmysły, zmysły...), potem lubieżny dotyk Hrubego Wierchu, wreszcie nagły widok na Szczyrbskie Jezioro... ta granatowa tafla w ciemnozielonym lesie, powiększająca się w miarę, jak się schodziło ku niej w zakosy w ciągu kilku godzin, to było dla młodego warszawo-krakowianina, pozbawionego dotychczas wszelkiej styczności z naturą, czymś fantastycznym. To było coś jak Włochy ujrzane nagle z przełęczy alpejskiej – w miniaturze; bo wszystko jest w miniaturze w tych górach dla dzieci, gdzie – jakby przez nieporozumienie – kręci kark tylu dorosłych.

Trzeciego dnia powrót przez Wysoką i Rysy, Roztoka...

„Roztoka", słowo niegdyś tak magiczne, dziś martwe! Stanęła mi w pamięci ta Roztoka jak żywa, nie zgadlibyście kiedy. W teatrze, na sztuce *Most* Szaniawskiego, owej historii o nadrzecznym domu przewoźnika, którego egzystencję podcina zbudowany obok – most. Coś podobnego zdarzyło się Roztoce. Niegdyś wrzało tam życie. Każda prawie partia idąca w góry lub wracająca z gór zatrzymywała się tam na nocleg. Wytworne panie, panowie... Wieczorem płonął wesoły ogień, skwierczała na patelni jajecznica z niezliczonej ilości jaj, skrzeczała harmonia i piskały skrzypki, nierzadko pięty biły o podłogę we wściekłym tańcu góralskim. Gospodarz był to tęgi chłop, nazywał się Wojtek Buc, zawsze plątało się tam pod jego komendą parę przystojnych dziewcząt do posługi. Ale już pełzał ku Roztoce wróg, który miał ją zdusić. Już posuwała się, kilometr po kilometrze, zwolna, ale nieuchronnie, wspaniała bita droga do Morskiego Oka, wytyczona wysoko nad Roztoką, koło malowniczych wodogrzmotów. Skoro ta droga doszła do końca, skończyła się jajecznica i w ogóle życie Roztoki. Po cóż by kto zbaczał do niej, po cóż by nocował, skoro nocleg stał się zbyteczny. Gospoda zamarła; co najwyżej zaszedł tam jakiś uparty tradycjonalista, romantyk, który lubił wieczorem zadumać się w pustce, wodząc oczami po czarnej ścianie świerków.

Gdyby tak zajrzeć, co się tam dzieje, czy jeszcze stoi stare schronisko w Roztoce?

I potem powędrować tą jedyną bezkonkurencyjną doliną Białej Wody, której woda, biała, czarna, zielona, niebieska, rozmaita, tak mocno namagnesowana jest wiecznością? Nic banalniejszego niż górski strumień; wiadomo, że płynął tak samo sto lat temu, tysiąc lat temu, i w ogóle to wszystko jest bardzo głupie. Czemuż właśnie w tej Białej Wodzie czuło się „to" tak dotykalnie, że można było godzinami wpatrywać się w rozbryzgującą się białą pianę i poprzez nią zaglądać w twarz wielkiej Tajemnicy?

Tylko... czy to jest zajęcie na wakacje?

URAZ PSYCHICZNY

Są z pewnością ludzie bardziej ode mnie zasłużeni, ale nie ma chyba bardziej wymyślanych. Wymyślają mi ciurkiem od lat okrągło dwudziestu pięciu, tj. od chwili, gdy pierwszy raz wychyliłem głowę spod prasy. I rzecz dziwna: nie sprawia mi to żadnej przykrości, wręcz przeciwnie. Budzi to we mnie uczucie, które trudno określić, jakiejś rzewnej tkliwości, jakiejś niemal zmysłowej tęsknoty, jak gdyby coś szeptało we mnie: „Jeszcze, jeszcze." Kiedy minie jakiś czas, a nikt mi nie nawymyśla, sam się nadstawiam. Perwersja? Czym to wytłumaczyć? Jestem człowiekiem nawykłym do robienia rachunku sumienia, do czytania w samym sobie z całym aparatem nowoczesnej psychoanalizy. Ś w i a d o m a p o d ś w i a d o m o ś ć oto najnowsza formuła, której zastrzegam sobie opatentowanie. Zastanawiam się tedy nad istotą tego mojego uczucia. Recepta: położyć się na kanapie z zamkniętymi oczami i puścić myśl luzem. Niech sobie sama łowi asocjacje, obrazy.

Złowiłem tedy na wędkę ś w i a d o m e j p o d ś w i a d o m o ś c i takie wspomnienie.

Byłem młodym chłopcem. Kochałem i byłem kochany. To jest... nie bardzo. Ukochana moja, światowa pani, nie lubiła mnie właściwie za to, że byłem jej tzw. kochankiem. Stało się to w słabej chwili, przez reakcję nerwową, ale byłem dla niej zupełnie nieodpowiedni, za młody, za durny, nie dość reprezentacyjny, dobry co najwyżej na przygodę, epizod, ale na dłużej kompromitujący. Co gorsze, ja się zakochałem w niej na umór, a wtedy robiłem się nudny jak flaki z olejem. Znalazł się inny kandydat, o wiele odpowiedniejszy, ja byłem zawadą; spostrzegłem to i wycofałem się z godnością. Cierpiałem strasznie, ale zacisnąłem zęby, skryłem się, unikałem spotkania.

Może za mną zatęskni?

Aż raz, po kilku miesiącach, spotkanie przyszło samo z siebie, przypadkowo. Z zamarłym od wzruszenia sercem, ujrzałem moją damę w salonie wspólnych znajomych. Wypadło mi miejsce obok niej przy kolacji; nie miałem sił przeciwdziałać temu. Ale zastosowałem metodę Fredry: „Trzymaj się, Albinie." N a l a ł a m i w o d y, a ja nic. N a l a ł a m i w i n a, a ja wypiłem. Ale nic. Dama wypiła także: rezultat był ten, że uczułem leciutkie muśnięcie nogi pod stołem. „Trzymaj się, Albinie." Ja nic.

Wyszliśmy razem, tak się złożyło; nie miałem siły przeciwdziałać. Drżałem na całym ciele jak młoda oblubienica. Co mnie czeka za tymi drzwiami? Tuż za drzwiami, w głębokiej ciemności, nie wiem, jak się to stało, uczułem na ustach wilgoć jej gorących ust. Tego już nie wytrzymałem. Schody!... Kto nie wie, czym mogą być dla dwojga serc ciemne schody, ten nie ma pojęcia o dawnym Krakowie. Schody, puchowe posłanie miłości!... Naraz, w pełni upojenia, rozlega się ciężki łoskot: to brama na dole się otwarła i jakiś spóźniony lokator, wolno, po ciemku – o elektryczności wówczas się nie śniło – stąpa krokiem Komandora pod górę. Zbliża się... Wypchnięty nadludzką siłą, zacząłem się staczać z hałasem po schodach. Zatrzymałem się wreszcie, ktoś mnie po ciemku minął czy okroczył i poszedł wyżej.

Za chwilę znalazłem się obok mej ukochanej na ulicy. Ja szedłem zataczając się, na wpół przytomny od wstrząsu niedopowiedzianej miłości. Ona szła obok z zaciśniętymi ustami. Czuć

było, że się w niej gotuje wulkan. Naraz zaczęła mówić. O Boże! Gdybym żył sto lat, tego nie zapomnę. Lawa wymyślań, wśród których powtarzało się najcięższe słowo, jakie mogło wyjść w owej epoce z ust kobiety: „Pan mnie kompromituje.” I to drugie: „Tak kochać to potrafi byle stróż.” I wiele innych rzeczy, jakie dama w gniewie może powiedzieć kochankowi, którego nie lubi. Ale wciąż, w tym potoku słów, wracało, niby *leitmotiv*: „Pan kompromituje kobietę. Tak kochać potrafi byle stróż.” Wśród tego szliśmy dalej, daleko, mieszkała na drugim końcu miasta. A ja wciąż, automatycznie, obliczałem odległość i myślałem z rozpaczą w duszy, że to się skończy... Ona wymyślała mi jednym tchem, a ja liczyłem: „Jeszcze trzy ulice, jeszcze dwie, jeszcze jedna, zamknie się brama, i koniec, nie zobaczę jej, nie usłyszę jej już, koniec.” I ciągle ta myśl podskórna: „Ach, byle to trwało, byle ten głos...”

Dama mówiła bez przerwy. Podniecała się własnym sykiem, wymyślała mi coraz jadowiciej, coraz dokuczliwiej. A ja wciąż: „Niech to trwa, niech się nie skończy...”

Zadzwoniła, zniknęła w bramie, brama zatrzasnęła się. Zostałem na ulicy. Skończyło się.

I nie umiem wytłumaczyć związku, ale do dziś, ilekroć mi wymyślają, mimo woli dźwięczy mi w uszach niezapomniany głos: „Kompromituje literaturę... Tak pisać potrafi byle stróż...” Zaledwie drobna odmiana w tekście... I serce moje zalewa jakaś fala tkliwości, i w myśli szepcę bezwiednie: „Jeszcze, jeszcze, byle tak trwało...”

Kompleks.

PSYCHOLOGIA

Spędziłem młodość w epoce, w której życie codzienne było bardzo skomplikowane. I szalenie wstydliwe. Na przykład, kiedy ktoś był z wizytą, a zachciało mu się siusiu, o ile nie gorzej. Sytuacja bez wyjścia; zwłaszcza kiedy wśród domowych były same panie. Gość wolałby się pod ziemię zapaść niż spytać się jak i gdzie. Zapytać pokojówki też nie podobna bez zwrócenia uwagi; zresztą naraziłby się na to, że pokojówka uda się do pani domu, zawiadującej kluczem od sanktuarium, położonego w drugim końcu podwórza. A świeca, a zapałki? To było zupełnie nie do pomyślenia, raczej umrzeć. Wyjść, uciec to była jedyna droga; też niełatwa: trzeba się było żegnać, wytrzymać długie certowanie: „Ależ nie puścimy, zaraz będzie kolacja, żartuje pan, mowy nie ma.” Impertynencja! Aby się wydostać, gość, który na przemian robił się czerwony i blady, musiał się uciekać do przemyślnych chwytów psychologicznych, nastrojowych. Przybierał postać człowieka dziwnego, fantasty, który się rządzi kaprysem, Hamleta, który ma ataki niewiary w ludzi; rzucał półsłówka z sardonicznym grymasem, wreszcie, ku zdumieniu obecnych, wypadał nagle.

Zaczynała się rozmowa o jego charakterze:

– To bardzo oryginalny człowiek.

– Tak, niezwykły; ma w sobie jakieś pęknięcie; to natura, która szuka czegoś, męczy się...

– Jest w nim jakiś metafizyczny niepokój...

Od tego czasu panienki inaczej odnosiły się do gościa. Z takim nie można jak z byle kim. „Wie pan, bałabym się pana. Pan musi być natura szalenie nieujarzmiona, kapryśna. Ale to mi się podoba.”

I czasem zdarzyło się, że po kilku miesiącach powabna mężatka, tonąc w jego objęciach i oddając mu gorące pieszczoty, szepnęła: „Czy wiesz, kiedyś mnie zainteresował, odkąd zaczęłam na ciebie zwracać uwagę? Wtedy u państwa X, kiedyś był taki dziwny i kiedyś tak nagle uciekł bez powodu...”

Czyż ta przygoda to nie jest symbol całego niemal psychologizowania literatury? Olbrzymia nadbudowa, której – niby domkowi z kart – często można by dać prztyczka jakimś maleńkim wyjaśnieniem...

BAUDELAIRE, POETA KRAKOWSKI

Czytałem świeżo nowe studium o Baudelairze, kończące się słowami: „Jeden z największych poetów wszystkich wieków...” Przesada? Zapewne. Ale czytajcie, co o nim piszą dziś krytycy, artyści; z jakim wzruszeniem mówi o nim taki Paul Valéry; ba, jak się ten Baudelaire rozpiera coraz szerzej w podręcznikach! Ojciec nowej poezji francuskiej, klasyk... Szczególne mam uczucie, kiedy czytam to wszystko; tak jak gdybym słuchał o kimś, kogo znałem młodym człowiekiem z prowincji, a który potem zrobił wielką karierę na szerokim świecie. No, no, taki sobie dekadent krakowski!

Bo dla mnie w podświadomym irracjonalizmie pamięci Baudelaire pozostał poetą krakowskim. Jak Wyspiański widział Hamleta w krużgankach wawelskich, tak Baudelaire w dżdżystą, jesienną noc snuje mi się po śródmieściu Krakowa, może Rynkiem, może gdzieś ulicą Św. Marka...

Poznałem go bardzo wcześnie. Wcześnie... jak na mój wiek, nie jego, bo do Krakowa doszedł gdzieś około r. 1890. Długa droga dla poety, który umarł w r. 1867, a którego jedyny tom wierszy dziesięć lat wprzódy – w r. 1857 – dostąpił glorii procesu i konfiskaty, do dziś dnia, co najzabawniejsze, nie zdjętej. Ale wówczas, pod koniec XIX w., Baudelaire wszędzie niemal był tylko „kapliczką”.

Kiedym go poznał, miałem lat kilkanaście. Znalazłem go na biurku młodego poety Kazimierza Tetmajera, którego byłem wówczas giermkiem. Uderzył mnie tytuł *Les Fleurs du mal*, tajemniczo odpowiadający memu ówczesnemu stanowi ducha. Przykuł mnie portret, ta twarz gładko wygolona (u nas wtedy wszyscy nosili sumiaste wąsy); z sardonicznym uśmiechem na cienkich wargach, niby jakiś zbuntowany ksiądz, w swoim surducie wpółduchownego kroju. Zacząłem czytać *Przedmowę* wierszem, zwróconą do czytelnika. Och, jakże inny ton od tego, czego nam wówczas kazano szukać w poezji.

Si le viol, le poison, le poignard, l’incendie,
N’ont pas encor brodé de leurs plaisants dessins.
Le canevas banal de nos piteux destins.
C’est que notre âme, hélas! n’est pas assez hardie...[9]

– wszystko, aby zdławić najstraszliwszego, krwiożerczego potwora – *l’Ennui* – Nudę!

Byłem oczarowany. Tak trzeba mówić do dziecka! Chłonąłem w zachwycie wszystkie spleeny i ideały kolejno; owo patetyczne błogosławieństwo i albatrosa, który później tyle miał znieść albatrosich jajek w poezji polskiej, i złego mnicha, i don Juana w piekle, i wampira, i wszystkie upajające trucizny. Znajomość była zawarta. Sztama. Na kilka lat Baudelaire stał mi się nieodłącznym, stał mi się wcieleniem poezji.

W ślad za tomikiem Baudelaire’a przyszła do Krakowa jego legenda. Że sobie farbował włosy

[9] Jeśli gwałt, trucizna, sztylet i pożary nie zahaftowały jeszcze swym uciesznym deseniem banalnej kanwy naszego żałosnego istnienia, to dlatego że dusza nasza, niestety, nie jest dosyć śmiała...

na zielono, że drapał nowe ubranie szkłem, aby nie wyglądało na nowe, że zażywał haszysz, że miał kochankę Murzynkę, że umarł na paraliż... Słowem – dekadent.

D e k a d e n t! Nigdzie ten modny termin nie miał tak pełnego oddźwięku jak w ówczesnym Krakowie. Dola mojego pokolenia była straszna. Czym żyć? Gdzie znaleźć powszedni chleb romantyzmu? Patos cierpień narodowych, podgryzany przez „Szkołę krakowską", zanudzony na śmierć – w osobie poezji – przez szkołę *tout court*, był już dla młodych próchnem, nowych bogów jeszcze nie było. Warszawska młodzież nie znała zapewne tej pustki: postęp, pozytywizm, konspiracja, praca społeczna, samokształcenie z całym urokiem zakazanego owocu, Marks czytany potajemnie jak romans, ciągłe ryzyko, ciągły dramat w powietrzu, coś na kształt wielkiego miasta wreszcie – wszystko to syciło głód duszy. Ale Kraków! Maleńka ówczesna mieścina, z której nie wiodła droga nigdzie, gdzie życie było dość spętane, aby przywieść do rozpaczy, a nie dość, aby zgęścić pasję buntu... D e k a d e n t y z m: podnieść własną beznadziejność do wyżyn idei, stworzyć z niej zakon to jedyne, co pozostawało. Nikt nie wyobrazi sobie, ile zimnej desperacji, ile nienawiści do siebie i pogardy dla ludzi, ile gryzącej autoironii, zakisłych, głupkowatych marzeń, bezradności dziecinnej, ile smutku zbierało się w młodych duszach w tym maleńkim światku odgrodzonym od świata wysokimi murami. I dla niejednego przyjacielem, powiernikiem, przewodnikiem stał się wówczas – Baudelaire.

Bo, rzecz szczególna: ten paryżanin, urodzony w Paryżu i który prawie nie opuszczał stolicy świata, dość wiernie mógł wyrażać stan duszy krakowskiego wyrostka. Przede wszystkim ubóstwo zewnętrznych przeżyć; wszystko na wewnątrz. Baudelaire to jest wyciśnięcie maksimum poezji z minimum zdarzeń. I co on bierze z Paryża! Paryż Baudelaire'a to nie ów Paryż, który na nieznane onieśmielał i drażnił ogromem i blaskiem; to było coś, co od biedy można sobie było odtworzyć w Krakowie. Ulica ciemna i lepka – pod tym względem Paryż baudelairowski dość musiał być podobny do Krakowa z owych lat. Szynk, pijak w rynsztoku, tania prostytucja, zdechły pies gnijący na środku ulicy, starowinka kryjąca swą drżącą ruinę pod czarną mantylką, cmentarz, koty, organy i woń kadzidła, alkohol, księżyc, noc i – marzenie, marzenie... Oto motywy Baudelaire'a, to jego pejzaże paryskie; wszystko do nabycia i u nas... Trupia cera baudelairowskiej muzy jakże harmonizowała z ówczesnym podwawelskim klimatem. Z *Fleurs du mal* można było sobie ułożyć kalendarzyk przeżyć, a raczej ich braku; brewiarz pustki i – pełni zarazem. Wszystko zmieniało się przez niego w poezję, wszystko stawało się przeduchowione, nawet straszliwe błoto krakowskie. Charakterystyczne jest, że jedyny wiersz Baudelaire'a, jaki mnie wówczas natchnął, aby go sobie przetłumaczyć na prywatny użytek – to był jego sonet *Brumes et Pluies*. Ileż razy, godzinami brodząc w błocie, rozpaczliwie obchodząc w kółko śpiący już Kraków, smagany drobnym deszczem, mamrotałem:

> Kocham was, nasycone wonią mgły błotnistej,
> Późna jesieni, wiosno; serce moje w mglisty
> Spowiwszy całun, kładąc na wilgotne mary... itd.

początek owego sonetu, który kończył się także k r a k o w s k o:

> Chyba, w bezksiężycowy wieczór, twarz przy twarzy,
> Uśpić smutek w ramionach, które traf nadarzy...

Tu poezja stawała się rozgrzeszeniem: melancholia zmarłego przed ćwierć wiekiem poety stawała się niemal rajfurką...

Jeszcze bliższy byłby nam Baudelaire, gdybyśmy mogli wówczas znać poufniejszą biografię

poety, jego wieczną małoletniość, mizerne niedobory pieniężne, zależność od rodziny, uprzykrzoną kuratelę, dziecinny stosunek do matki, dąsy na ojczyma. Ale wtedy jeszcze Baudelaire nie miał biografii, miał tylko legendę. Zresztą sama jego poezja wystarczała. To przeczarowanie nędznej ciasnoty życia było niby parą skrzydeł, które można było sobie przypiąć i szybować nimi, jak na nartach, po krakowskich ulicach; oczywiście raczej w nocy niż w dzień. Widziana przez te szkiełka rzeczywistość stawała się na wskroś baudelairowska: brzydota puszyła się wyrafinowaniem piękna, nuda udawała, że jest interesująca. Zdechły pies w chmurze brzęczących much był żywym poematem; „olbrzymka" dość średniego wzrostu, oglądana w panopticum, urastała do wymiarów *La Géante*, a gościna trupy Syngalezów w Parku Krakowskim stawała się – lichym co prawda – pretekstem do recytowania sobie pachnącej egzotycznym Wschodem inwokacji *A une Malabaraise*. A już niewinne świętokradztwa Baudelaire'a, te miały aż za wiele żeru w tym mieście kościołów. Dzięki niemu Kraków w najokropniejszej dobie swego istnienia oglądał może o parę samobójstw mniej: rozpacz rozchodziła się po kościach... poezji. A to, co stanowi miejscami słabszą stronę baudelairowskiej poetyki – dziecinna poza, to z pewnością nie było przeszkodą w porozumieniu się z młodymi dekadentami znad Wisły.

Cóż dopiero, kiedy ktoś został przypadkowo studentem medycyny! Zimne i przeszywające oczy Baudelaire wyglądały z oczodołów trupiej czaszki przy lekcji anatomii; Baudelaire towarzyszył do prosektorium, stroił w posępną poezję salę szpitalną i ciała wzdęte puchliną; kapryśnym rytmem skandował puls śmiertelnie chorej na serce młodej dziewczyny, której się podawało digitalis; wyłaniał się z mroku obok szafki z narkotykami, kuszącym gestem podsuwając strzykawkę Prawatza. Tu był ten przyjaciel najniebezpieczniejszy; on, autor rozprawy porównawczej o winie i haszyszu, jako o ś r o d k a c h p o m n o ż e n i a o s o b o w o ś c i. Et, wino, haszysz... to już nie na Kraków takie fanaberie: a wódki niełaska?

I tu nastąpiła zmiana warty: Baudelaire oddał swoją krakowską gromadkę w inne ręce, w ręce Przybyszewskiego. Ale został z nami. Jakżeby inaczej: toż był on jednym z owych *poètes maudits*, poetów przeklętych, tak drogich naszemu Stachowi. I zaczęło się dla Baudelaire'a w Krakowie nowe życie: przystał do bandy już na zupełnego swojaka. Recytowało się – co prawda parskając śmiechem, tak bardzo pryzmat polskiego języka inaczej łamie pewne promienie – tę samą *Przedmowę* do *Kwiatów grzechu* (czy *Kwiatów zła*, jak kto woli), ale już po polsku, w dobrym przekładzie Brzozowskiego:

> ...jak ubogi rozpustnik kąsa, z żądzą w oku,
> Całując nierządnicy starej pierś zmęczoną,
> Tak my chwytamy rozkosz w bólu utajoną,
> Ssąc ją jak pomarańczę starą i bez soku...

Alboż to nie był poemat zrodzony pod Wawelem, poemat ubogiego dekadenta? A ileż razy na wpół żartem, a na wpół z przejęciem odmawialiśmy gdzieś nad ranem, klęcząc i bijąc się w piersi, ową *Litanię do Szatana* i jej rytmiczne kuplety:

> Który starym pijaka kościom niespożytą
> Dajesz giętkość, gdy wpadnie pod końskie kopyto.
> O Szatanie, mej długiej nędzy się ulituj!...

Tyle wspomnień, tak krakowskich, tak swojskich! I dlatego mimo jego fantastycznej kariery trudno mi myśleć o Baudelairze jak o cudzoziemskim luminarzu. Co najwyżej przedstawia mi się on niby drugi Conrad Korzeniowski, którego nam obcy zabrali. Ale co do mnie, zawsze go będę

widział na tle Krakowa, jak w dżdżystą jesienną noc, z gołą głową, snuje się po krętych, błotnistych ulicach, świecąc w mroku swymi fosforyzującymi, jak u kota, oczami...

CZYSTA POEZJA

Paru moich znajomych nakryto świeżo w domu gry. Trochę byli tym spłoszeni, ale ogłosili w pismach, że to nie był dom gry, tylko dom schadzek, a grało się jedynie dla zabawy, no i jakoś rzecz się załagodziła. Jedni się trochę gorszyli, drudzy się śmiali; co do mnie, wyznaję, że mnie to rozmarzyło. Zaraz wyjaśnię dlaczego.

Byłem... (niech się już wyspowiadam kolejno z moich grzechów) byłem – dawno już temu – graczem. Graczem namiętnym, frenetycznym i dość nieszczęśliwym. Nieszczęśliwym, na szczęście, bo gdybym, na nieszczęście, był szczęśliwym, obawiam się, że byłbym został przy tym zajęciu. Byłem tedy graczem; mogę się przyznać, już jest przedawnienie. Za okoliczność łagodzącą niech mi posłuży rozdwojenie duchowe. Skazany na obkuwanie podręczników medycyny, od których myśl mi uciekała, a broniąc się przed oblegającymi mnie zainteresowaniami umysłowymi, które mi się wydawały szkodliwym zbytkiem wobec wiszących wciąż nad głową egzaminów lekarskich, nie umiałem znaleźć innego rozwiązania, jak tylko chowając głowę jak struś... do domów gry. Wtedy znikała medycyna, filozofia, literatura, z chwilą gdy ciągnąłem dziewiątkę (a choćby ósemkę) do figury, żyłem czystą poezją, bo na dnie zawsze byłem i jestem tylko poetą.

Mówiąc „domu gry", popełniam bezczelny eufemizm, bo właściwie były to spelunki przy kawiarni. Czasem, dla bezpieczeństwa, wprost pokoik w mieszkaniu właściciela tejże, gdzie zresztą za całe umeblowanie był stół do gry, trochę krzeseł i w kącie nocnik. Ten ostatni sprzęt był niejako symboliczny; miał oznaczać, że to jest mieszkanie prywatne i że policja nie ma tam prawa wstępu. Miała co prawda od biedy to prawo, ale korzystała z niego rzadko, niejako zmuszona, w razie jakiejś poważnej denuncjacji. Raz, w czasie takiego najścia policji, wsławił się swoim naiwnym okrzykiem znany dobrze w ówczesnym Krakowie lekarz bez pacjentów, zwany po imieniu „Tyda", a w przydomku „stary szmenda", gracz legendarny, obłąkany, mityczny, który wobec komisarza policji zgarniającego ze stołu pieniądze założył protest: „Panie komisarzu, ta setka stoi za piątkę..." (Co znaczyło, że obstawił tylko pięć guldenów, a położył setkę z braku drobnych. Ale komisarz nie wydał mu reszty! Tylko gracze zrozumieją cały wdzięk tego epizodu.)

Tych spelunek było sporo. Kraków ówczesny – nie wiem, jak jest dziś – był podminowany grą. Przyczyną była może bieda. Nic nie można było zarobić, nic wykombinować, pensja w tym biednym urzędniczym mieście nikomu nie wystarczała, chyba na to, co niezbędne, a któż może żyć tym, co niezbędne? Drugą przyczyną to było ubóstwo już nie pieniędzy, ale życia. To był Kraków z epoki *W sieci*, gdy młodzi tłukli głowami o mur. Smutek, ciasnota, beznadziejność... Jeden Wyspiański umiał to przeczarować na Sztukę, inni wyli z desperacji. Otóż kiedy się przekraczało próg spelunki, znikał na jej progu mały, śmieszny Kraków: wchodziło się w wielkie zaklęte królestwo gry. Bo namiętność jest jedna, czy jej terenem Paryż, Londyn, wielkie miasto portowe czy nadwiślański gródek, talia kart wszędzie jest jednaka, stawka wysoka czy niska, dla tego, co ciągnie kartę, to w danej chwili wszystko jedno. Karciarnia była w maleńkim Krakowie niby eksterytorialna ambasada potężnego szatana. Trudno o silniejszy kontrast niż ten, jaki był

między martwą i pustą ulicą ówczesnego Krakowa a wnętrzem jaskini gry. Miało się uczucie, jakby za obróceniem pierścienia w bajce lub wymówieniem zaklętego słowa otwierał się sezam wzruszeń, przeżyć, nadziei... Długi stół bakarata, przy którym, głowa przy głowie – zwłaszcza przez kilka dni po „pierwszym" – cisnęli się gracze; ciągnąca się czasem kilka dób bez przerwy partia, przy której partnerzy zmieniali się, wychodzili, wracali, szli do domu, do biura, wracali znowu, ci sami lub inni, a tylko „szmenda" (*chemin de fer*) niestrudzona obiegała w koło, tylko raz po raz rozlegały się sakramentalne zaklęcia czarów. Od pierwszego wejścia chwyta po prostu za włosy astralna ręka gry, dreszczyk przebiega po krzyżach. Stanowczo w tym jest coś więcej niż te pieniądze, które się rozgrywa: to powietrze przesycone wszystkimi możliwościami, całą energią potencjalną szansy, niespodzianki, występku i nieszczęścia, energią, która jest utajona w talii kart. Prawda, ta sama talia może służyć do poczciwego bridża i do wściekłego baka, ale to tak samo, jak ładna stenotypistka może być skromną pracownicą w biurze, a demonem zniszczenia na dansingu.

W chwili kiedy to wspominam, zaciągam się tym powietrzem, widzę ten stół, te twarze, podniecone lub szare, zmęczone czuwaniem, oczy błyszczące lub tępe, oblicza wesołe lub napiętnowane rozpaczą. Bo elementy spotykały się tam najrozmaitsze; student przegrywający czesne lub pensyjkę miesięczną, aktor humorysta wpadający tam z objazdu po prowincji obok urzędnika, który miał kilkoro dzieci w domu, a pensję tak obdłużoną wszelkimi zaliczkami, że co miesiąc wypadało mu dopłacać magistratowi, w którym pracował, dwa guldeny. Cóż taki mógł robić, jak nie grać: za co, licho go wie! Obok tego suchotnika goniącego ostatkiem, tłusty, zbogacony rzeźnik, rumiany, wesoły, opanowany nagle przez biesa gry, od którego stawał się coraz chudszy, coraz smutniejszy, aż jednego dnia powiesił się za sklepem. Obok niego inny – nikt nie wiedział, jak się nazywa – co to kogo obchodzi, pracuje przy pogłębianiu dna Wisły, stąd zwą go po prostu „pogłębiacz". Obok inny, niewiadomego zajęcia, albinos, wołają go „biały": otruł się jednego dnia sublimatem i konał trzy tygodnie. Obok, jakby złowrogi symbol, przedsiębiorca pogrzebowy w czarnym tużurku z płową hiszpańską bródką, zjawiający się tylko „po pierwszym", ciągnący iście demoniczne „passy" i zostawiający złupionych graczy, aby się gryźli między sobą o resztki. Inny... Może Ryś Ordyński mi przypomni więcej albo Wicio*** (nie wymieniam nazwiska, szanowanego w przemyśle i w literaturze).

Ileż zresztą tych twarzy widzę przed sobą! Jedni przygodni, którzy płacili mniej lub więcej kosztowne frycowe i nie wracali już, inni, którzy trwali w spelunce lata, żyć nie mogli bez jej powietrza, chodzili błędni, gdy wieczór minął bez partii. I tylko między tymi stałymi wytwarzało się koleżeństwo podobne, jak musi się wytwarzać między recydywistami w więzieniach, braterstwo w namiętności – żółtodziób był tam „na ty" z siwowłosym starcem – koleżeństwo scementowane wzajemnymi usługami kredytu, który dawał im olbrzymią przewagę nad grającym za gotówkę frycem. Bo „nóżki na stół" obowiązywały tam bezwzględnie; ewangeliczne: „Głos słyszę, ale osoby nie widzę", było uświęconą a szyderczą odpowiedzią na wszelkie słowo nie poparte srebrem lub banknotem. Swoją drogą, dzięki temu, gra w tych norach była rzetelniejsza niż w niejednym pańskim klubie, gdzie czyha na naiwnych rozbójnicze lub samobójcze „słowo honoru"... Nie trzeba dodawać, że w tej kompanii niemałą część stanowiły niebieskie ptaki, szulerzy zawodowi, figury dziwnego przemysłu, kompania iście szekspirowska, której nie brakło i Falstaffa. Był nim żelazny medyk, syn słynnego szpicla, z ogromną niekształtną głową: ten był mistrzem w jowialnym wyzyskiwaniu rozkoszy „kibica". Skoro usiadł przy kim i tubalnym głosem zarechotał: „Karta lubi dym!" – natychmiast przesądny gracz częstował go cygarem. Ta mieszanina żywiołów, zbiorowisko figur charakterystycznych, silnie zarysowanych, znamiennych przez swoje powiedzenia, manie i obyczaje, czyniła ze spelunki rodzaj osobliwego klubu, gdzie nawet bez gry zajmującym było spędzić kilka chwil.

Jeśli czego żałuję, to tego, że nie prowadziłem dzienniczka owych czasów, że nie notowałem epizodów, anegdot, kapitalnych powiedzeń, ostrych jak brzytwa, ujmujących filozofię gry i życia w bezwiednych aforyzmach, których nie powstydziłby się najtęższy pisarz, a których autorem bywała namiętność lub rozczarowanie. Tam, w atmosferze nerwów napiętych jak struny, słowo musiało być zwięzłe; gracz, który „szczebiotał", denerwował wszystkich i był znienawidzony. Po „szczebiotaniu" poznawało się nowicjusza. Za to dobry dowcip, lapidarny aforyzm spotykały się z milczącym uznaniem. Dobra szkoła literacka; no, a szkoła życia!!

I ta ostrość atmosfery, w której można było zaciągnąć się narkotykiem kryminału, nie opuszczając ram społeczeństwa, w równym stopniu może nęciła jak sama gra. Przeżycia, na których wspomnienie jeszcze się zimno robi, i sceny, z których jeszcze śmiać się chce. Było coś podniecającego w tym spleceniu dramatu z farsą. Adwokat (skończył później samobójstwem), który, mieszkając w Krakowie, taił swój nałóg przed żoną w ten sposób, że niby to wyjeżdżał w interesach, jechał wprost do spelunki z kuferkiem i grał z rozkładem jazdy pod ręką, aby wiedzieć, kiedy z rzekomego miejsca podróży ma wrócić do domu. Zwykle spóźniał się na kilka fikcyjnych pociągów: „Psiakr... kurier z Tarnowa już przyszedł, no, ale mam jeszcze osobowy!" etc. – Pamiętam znów, jednego wieczora rozmowa toczyła się o ślubie młodego lekarza, stałego bywalca spelunki, który tego dnia się ożenił i nazajutrz miał wyjechać z żoną na prowincję. Naraz zjawia się ów kompan we fraku, z bukiecikiem ślubnym. Zostawił żonę u rodziców, zaszedł do karciarni... pożegnać się. Od niechcenia siadł do baka, no i do rana przegrał wszystkie pieniądze, które mu teść dał na zapłacenie długów i na instalację. Przegrawszy ostatniego guldena rozpłakał się i błagał, aby mu oddali pieniądze, bo inaczej sobie w łeb strzeli. Cóż było robić, wściekali się, wymyślali od szantaży, no i oddali mu prawie wszystko... A nuż sobie naprawdę w łeb strzeli, dochodzenia, skandal...

Ale pamiętam i mniej sielankowe epizody. Stary emeryt opanowany grą zaczął przychodzić codziennie na ferbla. Nazywano go patriarchalnie „dziadzio". Otóż dziadzio cierpiał na padaczkę – epilepsję – i prawie co wieczór miał parę ataków; ale w takiej formie, że nie spadał na ziemię, tylko tracił przytomność, oczy stawiał w słup i siedział trzęsąc się na krześle. Trwało to parę minut, po czym odzyskiwał sam z siebie świadomość. Nie grałem z nim nigdy, ale często przyglądałem się tej partii. Gracze byli tak oswojeni z jego chorobą, że nie zwracali na nią uwagi, nie przerywali gry, tylko mówiło się wówczas tasującemu, pokazując starego: „Dziadziowi nie dawać kart." I opuszczali go na parę tur, po czym znów dawali mu karty jak zwykle; można sobie wyobrazić, że w tym stanie dziadzio był pewną ofiarą! Ta partia ferbla z półtrupem, drgającym na krześle i chwytającym karty trzęsącymi rękami, skoro odzyskał pierwszy ślad przytomności, to jedno z bardziej niesamowitych wrażeń, jakie pamiętam... Raz kiedy siedziałem „kibicując" i patrząc na taką scenę, jeden z graczy, chłopiec z „dobrego domu", nachylił się do mnie i rzekł: „Dziadzio ma szczęście, że trafił na porządną partię, bo gdzie indziej to by mu po prostu pieniądze z pularesu zabrali." Powiedziane to było zupełnie naiwnie, z niejaką dumą z własnego dżentelmeństwa.

Ach, te „blaski i nędze" życia graczy, te ich emocje! Mógłby coś opowiedzieć o tym Ludwik Solski, którego jeden z „paczki" obudził raz w domu o piątej rano, z błaganiem o pożyczenie pieniędzy, ponieważ ma w ferblu cztery króle – karta pewna jak mur! – a nie pozwalają mu „na pysk" odbić. Gracze tymczasem czekali, pilnując kart, aż wróci. Wrócił, odbił, partner odbił z powrotem, głupia historia, jak tu na cztery króle nie dodać, no i pokazało się, że tamten miał cztery asy. W rezultacie beknął – Solski, który sam z dobroduszną wyrozumiałością opowiadał to, odgrywając cudownie całą scenę. Sam Solski miał lepszą partię, u przeora Na Skałce...

Jeszcze jeden obrazek. Jeden z graczy wygrywa znaczną kwotę. Telegrafuje do brata, którego miał w Grybowie, aby natychmiast przyjechał, że go bierze na swój koszt do Monte Carlo. Brat

w Grybowie (nigdy nie był za granicą) pakuje manatki i bez tchu pędzi radośnie do Krakowa. Nim dojechał, szczęśliwy gracz zdążył już wszystko przegrać, czekał na brata na peronie, pożyczył od niego pieniędzy i następnym pociągiem odesłał go z powrotem do Grybowa.

Gra jest tym straszliwa, że wyżera zdolność interesowania się czymkolwiek. Pamiętam, jak przyjechała wówczas do Krakowa słynna aktorka japońska Sada Yakko. Sensacja! Ludzie zamawiali na miesiąc naprzód miejsca, i ja kupiłem sobie bilet. Kiedy zbliżała się godzina teatru, grałem w baka; wysiłkiem woli (skoro już był bilet!) oderwałem się od partii i poszedłem. Naraz, zaledwie się zaczął spektakl, uczułem taką jałowość wrażeń, że depcąc po nogach sąsiadom wydarłem się z krzeseł, darowałem bilet komuś, kto stał smętnie pod teatrem, i popędziłem z powrotem do kart. Siadłszy przy stoliku odetchnąłem pełną piersią; cóż za różnica: tam nędzny surogat, tu poezja w stanie czystym...

Ogłupienie grą przechodzi w najniebezpieczniejszą fazę, kiedy zaczyna trącić finansowym platonizmem. Dochodzi się do tego, że wszystko jedno jak, z kim, po czemu, byle grać. Pamiętam taki okres wręcz patologiczny, kiedy spłukany w poważnej partii, za parę pożyczonych srebrników tłukłem się o grosze z dwoma austriackimi oficerami, Czechami, którzy, w podobnym mojemu stanie ducha, czekali wyniku dochodzenia z powodu jakichś nieporządków w kasie i zabijali czas w ten sposób. I potrafiliśmy tak do białego rana... Leniwy powrót do domu, zimna herbata i jakaś książka przy łóżku, *Lalka* Prusa albo *Parerga* Schopenhauera – rozkosz! Ale na to, aby móc czytać, trzeba wrócić goluteńki, inaczej myśli się o jutrzejszej partii.

Świt... Ileż razy go oglądałem! Żaden pracowity rolnik, żaden cierpiący na bezsenność skowronek nie ogląda tylu wschodów słońca, co gracz. Często, wracając i przemykając się do swego pokoju na pięterku, słyszałem ze ściśniętym od wstydu i roztkliwienia sercem, jak ojciec jeszcze coś komponuje, nucąc przy fortepianie. Raz obróciłem się dziecinnie w tę stronę i szepnąłem z czułością: „Przepraszam.” Sumienie gryzło mnie bardzo. Paimiętam szczególnie jedną noc, przez którą rżnąłem w karty we dwójkę z młodym Asnykiem (strzelił sobie później w łeb w Paryżu); formalnie słyszałem głos, który mówił z wyrzutem: „Synowie takich ojców...” Ale gdybym miał dziś robić ścisły rachunek sumienia, nie żałuję chwil spędzonych w ten sposób. Zawdzięczam im dużo; nie wiem, czy bez tej szkoły edukacja moja byłaby dość serio. Trzeba się z tym pogodzić, że najczęściej tym człowiek wychodzi na ludzi, czym sprawiał zmartwienie rodzicom...

CYGAN NIEZNANY

Młoda Polska, taka, jak ją dziś widzi wielu, przypomina po trosze stracha na wróble. W niechlujnej pelerynie, w rozłożystym czarnym kapeluszu, w powiewnym krawacie, z długimi włosami i źle ogoloną brodą, istotnie może kogoś przestraszyć. Czasem ten strach na wróble przekrzywia trochę główkę na bakier, jakby zawiany...

Peleryna wydaje się mundurem Młodej Polski, jak fałdzisty płaszcz był mundurem Romantyzmu. Lecz tak samo jak romantyczny płaszcz nie był właściwością wyłącznie polską, ale był wspólny ówczesnej poetyckiej Europie, tak samo styl „młodopolski". Kiedy mi się zdarzy czytać opis biesiady młodych „dekadentów" paryskich w powieści Gide'a albo wspomnienia z Młodych Niemiec w pamiętnikach Przybyszewskiego, albo, dajmy na to, skandynawską *Nowiznę* Hamsuna, mam wrażenie, że jestem w Krakowie z końca ubiegłego wieku, poznaję ten sam fason. Tak samo dysputują, hałasują, piją, gardzą „mieszczuchem", wyolbrzymiają swoje sercowe dramaty i często za marny gest płacą życiem.

Ale ten styl nie jest może również całkowitą własnością epoki. Dużo jest w nim starej, wciąż odradzającej się „cyganerii", uwieńczonej przez Murgera w jego miłej powieści, choć w życiu nie zawsze wesołej. Cyganeria artystyczna rodzi się z demokracją, z rozdrobnieniem mieszczańskich społeczeństw. Dawniej artysta pracował pod opieką możnego protektora lub był sam z siebie niezawisły materialnie, w każdym razie nie żył z pióra. Dziś w wielu krajach rolę protektora obejmuje państwo; ale przez cały wiek XIX wyłącznym odbiorcą sztuki była bezimienna publiczność. Kto nie zdobył jej łaski, mógł umrzeć z głodu, nie znany nikomu, choćby miał zapał i talent. Stąd element tragicznej loterii w życiu artysty; stąd jego pogarda dla opinii – często niesprawiedliwej i tępej; stąd ekscentryczne formy życia tego „króla bez ziemi", jakim się czuje twórca, zgubiony w obojętnym mrowiu wielkiego miasta. Stąd i specjalny kostium, w którym lubowali się zwłaszcza nieuznani, czujący potrzebę takiej legitymacji. Zresztą płaszcz lub peleryna służyły często do tego, aby osłonić dziury w surducie, a długie włosy oszczędzały wydatku na fryzjera.

Cyganeria to się wynurza, to chowa się pod ziemię. Zwykle obecność jej schodzi się z przypływem poezji. Koniec XIX wieku był prawie we wszystkich krajach okresem wzmożonego tętna poezji.

W Polsce cyganeria, o ile się zdarzała, miała odrębny charakter. Nie mogło być u nas atmosfery czysto artystycznej. Po pierwsze, nie było potrzebnego skupienia ludzi. Rozdarty kraj nie mógł stworzyć duchowej stolicy. Wielu najświetniejszych twórców wyrywała z kraju przymusowa lub dobrowolna emigracja. Nie mówiąc o poezji romantycznej, całe prawie nasze malarstwo żyło za granicą; w znacznej części i nasza muzyka, od Chopina do Paderewskiego. Wreszcie klęski, spadające raz po raz na kraj, ucisk cenzury, ciasnota stosunków, żałoba lub jej konwenans, bezpowietrzna wreszcie próżnia obojętności, wszystko to nie sprzyjało hodowli sztuki.

Otóż zdarzyło się, że taką atmosferę artystyczną stworzył zbieg okoliczności w Krakowie z ostatnich lat ubiegłego stulecia. Różne rzeczy się na to złożyły.

Przede wszystkim warunki życia narodowego. Nigdy nie było równie długiego okresu, wolnego od tragicznych wstrząśnień, jak w owym pokoleniu zrodzonym już po roku 1863. Autonomia Galicji, pełne prawa języka, swoboda wypowiadania się, wszystko to dawało fikcję zupełnej niemal wolności. Fikcję – oczywiście, skoro o parę mil od Krakowa biegły granice rosyjskie i pruskie, wcinając się w żywe ciało Polski...

Ale zarazem ten niby wolny Kraków był maleńkim miastem, które pod ojcowskim rządem postarzałych już stańczyków usypiało coraz głębiej. Młodość dławiła się, krzyczała o prawa do życia na wspak fałszywej powadze i skostniałej obrzędowości. Przez instynkt samozachowawczy młodzi coraz baczniej nadstawiali uszu na echa idące z Europy. A uprzejma Europa przychodzi niejako do tego cichego Krakowa sama; wciska się na wszystkie sposoby. Reorganizacja Szkoły Sztuk Pięknych sprowadza wraz z młodymi profesorami, a starymi „paryżanami", powietrze Francji. Mroczne pracownie, gdzie walały się bezużyteczne już po śmierci Matejki szyszaki, miecze i kolczugi, zmieniają się pod wpływem nowych prądów impresjonizmu w królestwo słońca, światła, koloru, pejzażu. Nowy dyrektor teatru, Tadeusz Pawlikowski, szeroko otwiera scenę krakowską dla młodych, a zarazem otwiera ją dla najgłośniejszych nazwisk zagranicy; co tydzień dostarcza nowego wstrząsu i nowego tematu do nie kończących się dyskusji. Wraca z Paryża po kilkoletnim pobycie Wyspiański; z Paryża wprost z Théâtre Libre przyjeżdża Zapolska. Przybyszewski, zelektryzowawszy swoimi pierwszymi utworami Młode Niemcy, przybywa z wędrówki przez Skandynawię, Paryż i Hiszpanię, aby osiąść w Krakowie. W ciągu paru lat fizjognomia duchowa Krakowa zmienia się do niepoznaki.

I odmładza się zarazem. W przeciwieństwie do obrosłych mchem dawnych przodowników Krakowa, ci, którzy teraz przychodzą w nim do głosu, to są – mimo iż dojrzali twórcy – ludzie młodzi, podwójnie zaś młodzi przez entuzjazm, jaki wznieca we wszystkich to nieoczekiwane spotkanie się tylu bujnych talentów i ciekawych indywidualności.

Indywidualizm, oto hasło! Ten indywidualizm, który mimo ich rozpaczliwego pesymizmu uderzył taką świeżością w pierwszych poezjach Kazimierza Tetmajera, jednego z najbardziej duszących się w dawnym Krakowie. Być sobą – wyżyć, wyśpiewać swoją ludzką dolę, cierpieć prywatnie, niekoniecznie „za miliony"! Indywidualizm bucha z programowych manifestów Przybyszewskiego w objętym przez niego wówczas tygodniku „Życie". I bałwochwalcza adoracja sztuki, sztuki ponad wszystko, jedynej prawdy, jedynego zbawienia. Nie podobna dziś czytać bez uśmiechu owych manifestów, skupiających swoją nienawiść do „mieszczucha" – jako nie-artysty – na jakimś mitycznym „mydlarzu", i to w epoce, gdy nie można powiedzieć, aby Polska konsumowała za wiele mydła, nawet Młoda Polska... Ale tym bardziej uśmiech muszą budzić oburzenia, jakie wywołała osławiona „naga dusza", która zaniepokoiła nawet krakowskiego prokuratora. Ileż było próżnego krzyku, zgorszenia! Tymczasem „naga dusza" Przybyszewskiego określała po prostu człowieka w obliczu wiekuistych zagadnień bytu, a nie pod kątem przemijających układów społecznych. Ale cóż! Te „przemijające układy społeczne" to była Polska, to była niewola... Tego nawet najwspanialsza sztuka nie mogła na długo przesłonić.

Rzecz osobliwa, że nigdy się tak bardzo nie żyło kupą, jak w owej dobie indywidualizmu. Młody teatr, młode malarstwo, młoda literatura i cała masa łazików, grzejących się zawsze przy ogniu obozowisk artystycznych, wszystko to stworzyło jedną wielką gromadę. I ta sama gromada, która gdzieś w wielkiej stolicy gnieździłaby się na uboczu, nie wpływając na bieg życia, tu, w małym i cichym Krakowie, wystarczyła, aby przeobrazić charakter miasta, aby je wypełnić sobą.

Co najmniej zaś wypełniła kawiarnie. Kawiarnie krakowskie inne były od dzisiejszych. Zaludniali je prawie wyłącznie mężczyźni obok nielicznych jeszcze „emancypantek" albo studentek, którym dopiero co otworzono wydział lekarski uniwersytetu krakowskiego. Widziało

się w tych kawiarniach samotnych pożeraczy zagranicznych gazet; to znów stoliki, gęsto obsadzone głowami, gdzie zagadywano się do upadłego, rozprawiając, dysputując, kłócąc się, gdzie bzykały bezładnie takie nazwiska, jak Ibsen, Björnson, Wilde, Maeterlinck, Rimbaud, Strindberg, Stirner, Nietzsche, Rops, Boecklin, Poe, Hamsun, Hansson, Dostojewski, d'Annunzio, Flaubert, France, Huysmans i bezlik innych.

Niech nikogo nie dziwi ten potop cudzoziemszczyzny. To nie był snobizm. Młodzi w owej epoce byli straszliwie ciekawi świata: świata myśli. Przy tym nie znano wówczas sportu. Dysputa zastępowała po trosze futbol i boks. Odbijano nazwiska, teorie, argumenty, jak dziś odbija się piłki, czasem głową, czasem nogą.

Kawiarnie miały rozmaite stopnie. Jedne sale otwarte były dla wszystkich, inne tylko dla wybranych, jak ów słynny „Paon". Tam było pianino, były przybory malarskie, tam Przybyszewski genialnie fuszerował Szopena, a Wyspiański, zawsze poważny, zamyślony, zwykł był przypinać papier do blejtramu i kreślić swoje uduchowione portrety.

Ale nadmiar życia nie dał się zamknąć w ciasnej sali, przelewał się na ulice. I dopiero od czasu, jak wdarła się do niego sztuka, pokazało się, że ten i mały, smutny Kraków jest cudownym miastem, że trudno by wymarzyć piękniejszą ramę dla tych nocnych biesiad i wędrówek. Młodzi cyganie nie umieli się rozstać z sobą o żadnej godzinie, koczowali po kawiarniach, snuli się, mówiąc wiersze, nocami po starych zaułkach i ulicach, tłukli się do bram Wawelu, zmieniali, dzięki uprzejmości gospodarza, w swoje obozowisko skład fortepianów w Krzysztoforach, gdzie długie rzędy czarnych zwierzów szczerzyły w nocy fantastycznie swoje białe uzębienie... „Świt już, świt... już gasną latarnie... Ta noc czy mi ujdzie bezkarnie, czy nie sięgnie za zapłatę po życie..." – pisał młodziutki wówczas i wątły Perzyński. Czasem rewolucjonizowano mieszkania szanownych obywateli krakowskich, czasem zapraszano przez okno obcych ludzi z ulicy. Czasem zdarzało się, że jeden z wędrowców, obejmując rękami gruby kasztan na plantacjach, wołał drugiego na pomoc naiwnymi słowami: „Potrzymaj drzewko, bo się chwieje..." Z nastaniem nocy Kraków zmieniał się w miasto z nieprawdziwego zdarzenia. Kraków odrabiał cyganerię za cały wiek i za całą Polskę.

Ten okres nie trwał długo. Premiera *Wesela* była jakby jego zakończeniem, otrzeźwieniem. Kraków wchodził pod znak Wyspiańskiego, a z nim sztuka wracała – ale jakże odnowiona – w służbę zagadnień narodowych. Poeta z *Wesela* zajrzał w oczy widmu; „Nos" swoim bełkotem ośmieszył alkoholiczne ekstazy. Pianie kura i melodia Chochoła spłoszyły cyganerię krakowską. Przycupnęła gdzieś.

Ale o ile *Wesele* było przeciwstawieniem się atmosferze Krakowa, było ono zarazem tej atmosfery wynikiem. Bez niej byłoby nie do pomyślenia, bo gdzie nie ma nic, tam nie można się przeciwstawić niczemu. I to jest znamienne dla burzy, jaką wszędzie – kędy przeszedł, wzniecał Przybyszewski, że podnosił dokoła siebie temperaturę życia, wzmagał tętno twórczości, tak przez współdźwięki, jak przez sprzeciwy, które budził. Na jego głos Kasprowicz odzywa się chorałem swoich *Hymnów*, podrażniony hałasami „przybyszewszczyków" i złośliwościami *Wesela*, Kazimierz Tetmajer cofa się w swoje ukochane Tatry, dojrzewa w nim *Skalne Podhale*. Spotkania się indywidualności twórczych są nie tylko ich liczebnym zsumowaniem się, są najczęściej ich pomnożeniem się przez siebie. Klimat artyzmu, jakim oddychał przez kilka lat Kraków, wydał wspaniałe owoce.

A sędziwy Tarnowski, wieczysty prezes Akademii Umiejętności, wciąż nauczający z katedry literatury polskiej, patrzał, co się dzieje w tym jego Krakowie, i ciskał słowem i drukiem gromy. Nieporozumienia między starym a młodym pokoleniem zdarzają się zawsze; tu były jaskrawsze niż kiedykolwiek. Nie wiedział Tarnowski, kogo ma srożej potępić, kto większy szkodnik i truciciel, czy Tetmajer, czy Przybyszewski, czy Kasprowicz, czy Wyspiański. Wyspiański wydał

mu się najgorszy. I przypomniał sobie hrabia-profesor broń, którą władał przed kilkoma dziesiątkami lat, broń Stańczyka: pamflet i satyrę. Napisał i wydał bezimiennie parodię *Wesela*, pod tytułem *Czyściec Słowackiego*. Ale broń zawiodła.

Tymczasem wiatr niósł nasiona nowej sztuki na cały kraj. Na prowincji ten i ów młody nauczyciel, który spędził lata uniwersyteckie w Krakowie, który słyszał Przybyszewskiego i był na premierze *Wesela*, dzielił się ze starszymi uczniami swoim wtajemniczeniem, roznosił zarazki poezji. To znów w jakimś dworze wiejskim zabłąkany numer „Życia" wzniecał szczęśliwy zamęt w młodych głowach. Teatr Pawlikowskiego przeniósł się do Lwowa i tworzył nowych „dekadentów"; peleryny – w ich liczbie młodziutki Staff – skupiły się tam dokoła Kasprowicza. W Warszawie „naga dusza" odrodziła się w „Chimerze", wydawanej przez Miriama, później pierwszego ministra sztuki w odrodzonej Polsce; ale chłodniejszy estetyzm „Chimery" nie miał już namiętnego akcentu krakowskich manifestów. W „Chimerze" robi Berent porachunek z najbliższą mu współczesnością, drukując powieść pod wymownym tytułem *Próchno*... A niebawem przyszedł rok 1905 i też przypomniał, że daremnie próbowałaby sztuka zamykać oczy na rzeczywistość. Zapanował Żeromski, okrutny budziciel sumień. Potem przyszła wielka wojna, znacząc olbrzymie przemiany w życiu całego świata, a naszym w szczególności. Polska zjednoczona, wolna i naprawdę m ł o d a, mająca przed sobą ileż realnych zagadnień, znalazła się bardzo daleko od dawnych nastrojów. Sposób odczuwania, styl życia zmieniły się zupełnie. I o ile wszystko, co było w Młodej Polsce twórcze – to znaczy bardzo wiele – weszło w krew dzisiejszej Polski, o tyle młodopolska peleryna stała się po trosze strachem na wróble. Może niesprawiedliwie? Proponuję, aby ją zawiesić w Muzeum Narodowym – za gablotką. Symbolicznie. „Cygan nieznany."

CICHY JUBILEUSZ[10]

Nie powiem, ażebym był zbytnim czcicielem jubileuszów; mimo to jest jeden jubileusz, który bym chętnie obszedł, gdyż data jego budzi we mnie odzew bardzo osobistego sentymentu. A data to ważna dla całego naszego życia literackiego ostatnich czasów i godna, aby ją przypomnieć. W sierpniu bieżącego roku upływa dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy Stanisław Przybyszewski przybył do Krakowa, do Polski. Czym był pierwszy okres pobytu Przybyszewskiego w Polsce dla nas wszystkich, którzyśmy mieli szczęście przeżyć go w najbliższym obcowaniu ze „Stachem", trudno dać wyobrażenie w kilku słowach... trudno byłoby może dać je i w wielu słowach... Co on z nami robił, ten cudowny hipnotyzer dusz – nie wiem; na czym polegał ten magnetyczny wpływ, dobroczynny dla jednych, zabójczy dla drugich, ale tak mocny, że nikt nie mógł zostać nań obojętny? To pewna, że nie był to wpływ czysto literacki; Przybyszewski był jednym z tych artystów, którzy lubują się w kształtowaniu samego życia. Toteż najsumienniejszemu historykowi literatury, który przestudiuje przy biurku teorię „nagiej duszy", *Confiteor* etc., etc., tajemnica istotnego oddziaływania „Przybysza" umknie gdzieś między palcami. Nie zdradzi jej rocznik ówczesnego „Życia", jego namaszczony ton dość fałszywe dałby pojęcie o codziennym bytowaniu tej małej gminy czy sekty, której każdy dzień znaczył się – między jednym a drugim dramatem – jakąś zabawną anegdotą.

Gdzież więc znajdzie wyraz istotny duch owej epoki literackiej i co z niej przechowa się w pamięci? Zapewne nic; rozwieje się w nicość, przepadnie, jak tyle ciekawych epok, figur naszego życia artystycznego.

Kiedy z okazji wznowienia w Warszawie *Wesela* zapragnąłem podać garść osobistych wspomnień, związanych z epoką i powstaniem utworu, posypało się na mnie sporo gromów. Przypomnienie owej rzeczywistości, której świadomość pogłębia we mnie tylko uczucie podziwu dla genialnego utworu Wyspiańskiego, a zarazem wydaje mi się nieodzowną dla jego właściwego rozumienia, zdało się niektórym profanacją, zdzieraniem uroku etc.

Widocznie tak już nawykliśmy do odświętnego jedynie obcowania z literaturą, że razi nas wszelki poufalszy z nią stosunek. Wolno się tylko licytować na superlatywy i ogólniki, nie wolno tykać codziennego faktu. Owszem, i o epoce *Wesela* będzie wolno pisać, ale wówczas kiedy ostatni jej świadek zejdzie ze świata nie zostawiwszy żadnych śladów tego, co mógł widzieć i pamiętać, wówczas zacznie się mozolne i wielce naukowe odkopywanie r e a l i ó w *Wesela* na podstawie ślepych hipotez i domysłów. To, co dziś jest profanacją, będzie aktem pietyzmu; to, co dziś jest plotką, będzie „dokumentem"...

Widocznie egzegeza literacka jest po prostu grą towarzyską, w rodzaju „zgadnij zgadula", gdzie wolno mówić o tym, co się wie z domysłu, a nie wolno o tym, co się w i d z i a ł o, bo to jest przeciw regułom gry i psuje zabawę innym. Tylko jak ta wiedza będzie wyglądała!

Niedawno był tego przykład. W jednym z codziennych pism pojawił się fachowy artykuł z powodu dwudziestopięcioletniego jubileuszu „Sztuki". Epokę tę pamiętam bardzo dobrze i

[10] Pisane w r. 1923.

pamięta ją wielu moich niestarych rówieśników, ale już dla młodszych o kilka lat historiografów jest ona w istocie „historią". Jakoż jeden z literatów, pamiętających tę epokę z osobistych stosunków, musiał na łamach owego pisma prostować zasadnicze omyłki fachowca. Tak szybko zacierają się w pamięci fakty.

Świeżo miałem w ręku książeczkę *U kolebki modernizmu*, poświęconą właśnie dobie literackiej Przybyszewskiego i „Życia". Młody autor omawia ją tak, jakby to była jakaś zamierzchła epoka, znana nam jedynie z odkopanych palimpsestów; nie czyni najmniejszej próby, aby ją ująć na tle życiowym, mimo iż dziś jest ono jeszcze dostępne. A wszak p. Ludwik Szczepański, założyciel „Życia", mógł był z łatwością udzielić wszelkich objaśnień, ale snadź „reguły gry" nie pozwalają ich szukać, tak jak nie wolno przy bridżu zaglądać w karty sąsiadowi. Zgadnij zgadula!

A cóż dopiero atmosfera, koloryt danej epoki, bez których nie może być mowy o historii literatury! Owa zdolność utrwalania tej atmosfery w całej jej żywości jakże wysoko stoi np. w literaturze francuskiej. Nie ma wybitniejszej osoby w XVIII w. we Francji, której by się nie znało dziś jak dobrego znajomego; fizjognomia każdego niemal z gości salonu, w którym obracał się jakiś Diderot lub Wolter, wygląda ku nam jak żywa z pamiętników, listów, monografii. Mały tomik anegdot Chamforta jest jednym z najkapitalniejszych dokumentów do zrozumienia epoki. Dziewięć tomów Goncourtów ukazuje nam podszewkę życia literackiego z lat kilkudziesięciu; a ileż mamy książek tego typu, choć nie tak konsekwentnie spisywanych? Każdy salon, każda grupa mają swoje anegdotyczne monografie. Bo bez tego literatura musi zawisnąć w próżni, można o niej fantazjować, ale nie można jej naprawdę rozumieć. Istnieją zresztą pisarze, których rola wyrażała się więcej osobistym oddziaływaniem niż piórem. Mógłbym zacytować Sokratesa; ale poprzestanę na Teofilu Gautier. Życiorys Ninon de Lenclos to z pewnością jeden z ciekawszych dokumentów do poznania danej epoki literackiej. Literatury nie da się zizolować od życia.

Otóż, dawniej niebezpieczeństwo takiej izolacji produktów literackich było mniejsze. Istniały dwa ważne źródła do poznania ich tła: listy i pamiętniki. Dziś dwa te źródła niemal znikły. Pocztówka, telefon, telegram, zwłaszcza zaś przyspieszone tempo życia zabiły list. Tak samo przepadł i pamiętnik, gdyż hasło „produktywności!" posuniętej do maksimum nie pozwala grzebać talentu, a nawet półtalentu literackiego w tak nieprodukcyjnym zajęciu. Zwłaszcza zaś i list, i pamiętnik zabiła gazeta. Dlatego o ile np. z początku zeszłego wieku pozostało względnie dużo, o tyle z naszej epoki nie utrwali się tą drogą rysów osobistych prawie nic.

A nie nauczyliśmy się utrwalać ich w inny sposób. Czyż zamiast wielu jałowych gadań „teatrologicznych", którymi psuje się tyle papieru, nie powinien ktoś był zebrać żywych rysów i dokumentów składających się na ciekawą i tak ważką dla dziejów naszego teatru fizjognomię Tadeusza Pawlikowskiego? Co będzie o nim, o nim samym, wiadomo za dwadzieścia lat? Nic. Dziś jeszcze wspomina go ten i ów z tych, co go znali, ale coraz rzadziej; za kilka, kilkanaście lat zostanie mglista legenda, potem nazwisko, koło którego skrystalizuje się nieco mniej lub więcej fałszywych ogólników.[11] W ten sposób raz po raz patrzymy na drugą powolną śmierć człowieka, może istotniejszą, bardziej osmucającą od śmierci fizycznej. Tak samo

[11] Weźmy choćby taką kwestię. Pawlikowski znany jest w dziejach teatru polskiego jako człowiek, który stracił duży majątek na teatr (co mu zresztą jedynie przyczyniło glorii). Otóż jeden z bliskich uczestników tej epoki udowadniał mi matematycznie, że Pawlikowski nie stracił grosza na teatrze, który mimo wszystko się opłacał; jedynie wydał swój majątek przy okazji prowadzenia teatru na ów szeroki tryb życia, który starsi i niestarsi nawet aktorzy doskonale pamiętają. Nie obchodzi mnie tu sama ta kwestia; chcę jedynie dać przykład, jak wątpliwe i sporne są najbardziej „murowane" elementy legendy. A, powtarzam, bez tej podszewki życiowego realizmu wszelka historia jest jedynie bajką dla dzieci.

przepadł za mojej pamięci malarz Jan Stanisławski, wieloletni „dyktator" krakowskiego życia artystycznego, przepyszna indywidualność, człowiek, którego każde powiedzenie warte było stenogramu. Przepadł ciekawy profil przedwcześnie zmarłego Wojtkiewicza, przepadnie zapewne Jacek Malczewski, Włodzimierz Tetmajer i tylu innych.

A mistrz Wincenty Lutosławski? Czy będzie miał jakiekolwiek pojęcie o tym osobliwym człowieku ktoś, kto będzie znał jego pisma, a nie będzie znał anegdotycznej ich podszewki, np. stacji doświadczalnej dla płodzenia geniuszów założonej w Tunisie, deputacji profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego przyjętej w adamowym stroju, platońskich biesiad w łaźni rzymskiej[12], ślubów czystości składanych w sali Teatru Ludowego przez rozegzaltowane krakowskie matrony etc., etc.

Kiedy umarła Gabriela Zapolska, wszystkie pisma zamieściły jej panegiryki; nawet te, które stale obrzucały jej działalność błotem, uderzyły w wielki dzwon: „Cześć pamięci!" etc. To jedno umiemy: „celebrę", ale czy komukolwiek przyszło na myśl utrwalić bodaj jakiś rys z bogatego życia tej naszej George Sand?

Polska była podobno zawsze krajem „indywidualistów", mamy też w każdym pokoleniu indywidualności ciekawych sporo i życie artystyczne dość bujne, ale ubożymy je nie umiejąc się z nim obchodzić. Z dwojga złego raczej „plotka" niż kanonizacja, raczej artysta w szlafroku niż w brązie na codzień! Z pewnością szlafrok będzie bliższy prawdy od pomnika i lepiej pozwoli nam zrozumieć żywego człowieka. Historia bez anegdoty, to kuchnia bez soli. Nie umiemy żyć z literaturą po prostu, jak z przyjacielem, jak z kochanką; obcałowujemy ją po rękach jak matronę albo biskupa. Każde proste słowo, każdy żart brane są za złe i wykładane opacznie, jak gdyby uśmiech nie był bardzo naturalną formą obcowania duchów.

Toteż miałbym pokusę obejść na swój sposób cichy jubileusz owego krakowskiego „Stacha" sprzed ćwierć wieku, względem którego poczuwam się do niewygasłej wdzięczności, któremu zawdzięczam podwaliny swego człowieczeństwa. Miałbym pokusę zrobić nową „plotkę" i opowiedzieć pokrótce to, co pamiętam z tego ślicznego okresu. Czy zamiar ten nie zostanie, jak tyle zamiarów, w sferze zamiaru, nie wiem; bądź co bądź, notuję go tutaj jako wyraz moich dobrych chęci oraz mego przeświadczenia, że literaturę, sztukę tworzą nie „izmy", ale żywi ludzie, że samo ich i s t n i e n i e bywa nieraz tworem artystycznym i że ratowanie przed falą niepamięci tych ż y w y c h i s t n i e ń jest pierwszym zadaniem nas, współczesnych.

[12] Kiedy raz byłem u Włodzimierza Tetmajera w Bronowicach, zjawił się tam Lutosławski. Przybył z Krakowa pieszo, w góralskim stroju, i tłumaczył nam, iż uznał ten strój za najwłaściwszy, gdyż każda jego część symbolizuje jakąś cnotę, którą człowiek powinien sobie wyrobić. Ponieważ się chmurzyło, gospodarz odesłał nas wózkiem; gawędziliśmy w drodze, a na rozstaniu Lutosławski zaprosił mnie, abym zaszedł kiedy do łaźni rzymskiej, gdzie co poniedziałek o szóstej rano grono ludzi dobrej woli zbiera się, aby rozmawiać o sprawach ducha. Nigdy nie mogłem się zdobyć, aby wstać tak wcześnie, i nie byłem, czego do śmierci nie przestanę żałować.

NASZA CYGANERIA

W powodzi artykułów o Stanisławie Przybyszewskim – wpadło mi w rękę w jednym z pism wspomnienie o zmarłym i jego epoce, bo wszak Przybyszewski to cała epoka! Jest tam mowa o latach „cyganerii" krakowskiej, o domu Przybyszewskich, o „Paonie". I między innymi czytam:

„Znalazł się nawet dziwny człowiek, ot, zwyczajny pozornie restaurator, Turliński, naprzeciw teatru miejskiego, którego lokal stał się przybytkiem sztabu Przybyszewskiego. Malarze ozdobili go ściennymi pysznościami, wśród nich pawiem (po francusku *paon*), stąd całą firmę zwano «Pod Pawiem». Zamiłowanie do braci po piórze przypłacił z czasem Turliński bankructwem..."

Znam tę legendę, kursowała już przed laty bez mała trzydziestu. Wiąże się z nią nawet następujący znamienny epizod: usłyszawszy, iż krążą opowiastki, że malarze malują u Turlińskiego obrazki na ścianach, ale nie płacą za to, co zjedzą i wypiją, Wyspiański, który był w rzeczach pieniężnych i w ogóle życiowych niesłychanie skrupulatny, tak się zirytował, że wszedł na krzesło i przedarł wielki karton, na którym malował coś na ścianę „Paonu". Karton później sklejono, ale już go nie dokończył. Karton znajdował się potem w zbiorach Turlińskiego, przedstawia sylena goniącego za nimfami.

Otóż gospodarstwo Turlińskiego znałem lepiej niż ktokolwiek, jako że żadne namiętności nie były mi wówczas obce. Wiem też doskonale, jak i czemu „Turul" zbankrutował. Gospodarstwo było trójpolowe. Restauracja na górze, najmodniejsza wówczas w Krakowie; dalej kawiarnia na dole, gdzie gromadzili się chudeusze, z „Paonem", który zajmował mały pokoik i stanowił rodzaj zamkniętego klubu (o „Paonie" powiem jeszcze gdzie indziej[13], bo i na ten temat wiele czyta się rzeczy opacznych); i wreszcie w tylnych pokojach spelunka, gdzie kwitły gry hazardowe: bak i f e r b e l, cudowna gra, o całe niebo wyższe od pokera, specjalność małopolska. Otóż Turliński zbankrutował dlatego, że:

1. grywał we własnym lokalu namiętnie w hazard, zaniedbując interes;

2. stracił znaczne sumy na pozłacanej młodzieży szampitrującej „na górze", której przez szacunek nie śmiał odmówić kredytu.

Jedyną natomiast czynną pozycją w jego bilansie była kawiarnia, gdzie kredyt nie istniał (pomiędzy właścicielem a gośćmi istniał czynnik pośredni: tzw. „płatniczy", najstarszy kelner odpowiedzialny za kasę i jeżeli udzielający drobnego kredytu, to na własny rachunek i – zysk), najczynniejszą zaś pozycją był niewątpliwie ów „Paon", który glorią swą rozsławiał firmę kawiarni i ściągał jej klientelę z całej Polski.

Kiedy zaś „Turul" szczęśliwie po krótkich cierpieniach zbankrutował, zostały mu dwie rzeczy:

1. ta właśnie reputacja „artystyczna", ta firma, dzięki której mógł otworzyć nową kawiarnię we Lwowie;

2. kolekcja obrazów, do której przyszedł gratis, która przyczyniła się do jego lwowskiej renomy i za którą ofiarowywano mu zresztą pokaźną sumkę.

Tak więc zbankrutował na czym innym, poratowała go zaś w niedoli, jak widzimy, sztuka.

[13] *Ludzie żywi*, 1929.

Taki jest prawdziwy bilans tego „dziwnego" jakoby człowieka, który był nie tylko pozornie, ale i w rzeczywistości „zwyczajnym restauratorem", zresztą sympatycznym, i na tyle sprytnym, że umiał ocenić handlową wartość obozu, który artyści rozbili w jego murach.

Nie ma zresztą nic upartszego niż pewne konwenanse myślenia. Tak na przykład w licznych nekrologach po niedawnej śmierci Jana Michalika czytałem uparty frazes, w którym nazywano go „polskim Ragueneau" (pasztetnik wsławiony przez Rostanda w *Cyranie de Bergerac*). Otóż Michalik był zacny człowiek, ale różnica między nim a Ragueneau była ta, że Ragueneau pisał wiersze i żywił poetów, gdy, przeciwnie, Michalika jeżeli nie żywili, to bogacili artyści. Obrawszy sobie na siedzibę jego lokal, będący w pobliżu Szkoły Sztuk Pięknych, byli jego stałymi gośćmi, wprowadzali tam swoje zabawy, które ściągnęły tłumy innych gości, rozsławili jego „Jamę" na całą Polskę, podnieśli ogromnie jej wartość handlową, ozdobili ściany malowidłami i konceptami, zostawili, po pańsku, wiszące na nich obrazki (samego Wojtkiewicza z dziesięć sztuk!) etc. Dzięki temu Michalik sprzedał swój lokal za znaczną wówczas sumę i do dziś dnia ta tradycja artystyczna stanowi cenny kapitał handlowy dla jego następców. To są prezenty, jakie artyści zostawiają w lokalach, do których raczą zachodzić na wódkę; nietylko nie są przyczyną bankructwa, ale, przeciwnie, źródłem bogactwa. Płacą jak każdy inny, a kiedy odchodzą, zostawiają wspaniały napiwek w formie dzieł sztuki i legendy.

W ogóle do bajek warto by zaliczyć lekkomyślność artystów, życie kosztem burżujów etc. Oczywiście, zdarzają się różne typy; nie byłby niczym dziwnym nieporządek życiowy u ludzi, którzy żyją niejako w innym wymiarze, których i praca, i dochody są niestałe, którzy sami wciąż padają ofiarą niesłowności, wyzysku i szalbierstwa przedsiębiorców żywiących się na ich dziele. Z artystów, których znałem osobiście, nieskończenie większy procent przypada na ludzi idealnie rzetelnych w sprawach materialnych, a sumiennych aż do pedantyzmu w sprawach zawodowych. C y g a n e r i a to raczej „ogon" sztuki, ci, którzy przeważnie nie tworzą, a tylko przybierają kostium artystów i korzystają z ich przywilejów. Bardzo rozumnie mówi o tych rzeczach sam Murger, mimo że jego *Cyganeria* jest główną sprawczynią podań o artystach; ta c y g a n e r i a wciąż jeszcze odgrzewana u nas przez ostatnich (na papierze zresztą) mohikanów fałszywej bohemy.

Ale fakt najciekawszy może to pewna jakby zamiana ról, objaw – ukujmy termin naukowy – „znamiennego *mimicry*". Artyści tak długo żyją z „filistrami", że przejęli wiele ich zalet, a na odwrót – pewne właściwości ich samych udzieliły się tamtym. Po prostu zamiana. Nawet zewnętrznie. Nieraz widywało się na ulicach Warszawy wielkiego pisarza ze swoim wydawcą. Otóż kto by ich nie znał, byłby przekonany, że ten wygolony mężczyzna, prosty w stroju i w mowie, o jasnym i ścisłym sposobie wyrażania się, to jest przedsiębiorczy wydawca; tamten zaś drugi, o długich włosach, „chrystusowej" masce i mistycznych oczach, to jest wielki poeta; tymczasem było odwrotnie... I trzeba to powiedzieć na chwałę księgarzy, że wychowali nas, literatów, na wcale solidnych ludzi. Ale że nic w naturze nie ginie, więc cała bujna natura artystów przeszła w nich, w księgarzy. Tam są typy, tam jest cały Murger, nawet z Muzettą i Mimi! To są przemiłe urwisy, nieodpowiedzialne, lekkomyślne, roztrzepane, kochliwe. Pięć razy zbankrutować, schować się za „nadzór sądowy" i pokazać język wierzycielom-artystom, wystawić czek bez pokrycia i pękać ze śmiechu z miny literata, gdy zgłosi się naiwnie do banku, podczas gdy jego wydawca biesiaduje ze śliczną kobietką, czyż to nie są rozdziały z nieśmiertelnego Murgera? A to są ich figle. Ale kto by się gniewał na tych lubych wisusów! To jest dziś nasza cyganeria.

TROCHĘ ANEGDOTY

Miałem przyjaciela, człowieka, którego umysłu nie wahałbym się nazwać genialnym, gdyby jakieś organiczne pęknięcie, w połączeniu ze splotem okoliczności, nie skazało go na nieproduktywność. Udzielał się osobiście, jak Sokrates: szkoda, że nie miał swojego Platona. Nazywał się Ludwik Janikowski. Ostatnie lata spędził w Wiedniu jako urzędnik w ministerium kolei. Karol Kraus, słynny wydawca „Fackel", trzymał go przy sobie i chciał mu płacić stałą pensję, żeby go „zapładniał". Pisywał też z przyjaźni listy miłosne wiedeńskim dziweczkom. Też „Księgi pielgrzymstwa polskiego"! Niestety, już wówczas żarła Janikowskiego choroba umysłowa, która miała się rozwinąć niebawem i zrobić mu koniec. I rzecz ciekawa: u tego człowieka, którego całe życie nikt nie mógł skłonić do napisania bodaj paru kartek, obudziła się wówczas bolesna, gorączkowa żądza tworzenia: już w zakładzie dla umysłowo chorych pisał, pisał bez końca, snuł plany. Jednym z takich planów, z których się zwierzał przyjaciołom, było *Pośmiertne życie Słowackiego*...

Janikowski nie napisał swego dzieła, ale tytuł ten utkwił mi w pamięci i niejednokrotnie oblegał mnie w atmosferze ostatnich uroczystości. Pośmiertne życie Słowackiego! Jeżeli kiedy, to w tym wypadku określenie to jest prawdziwe i wierne. Czyż każdy z nas, żyjących trochę lat na świecie, nie patrzał na kolejne a tak różnorodne fazy tego życia?

Najpierw szkoła. Nauka o Słowackim jako o zarozumiałym, zawistnym i niesfornym fantaście dosyć trafiła do smaku pedagogom. Szkodziło mu też to, że większość jego utworów była niedokończona: wiadomo, co znaczy w szkole zadanie niedokończone! Mickiewicz to co innego; proszę siadać! Był tu po trosze ten sam stosunek co na emigracji paryskiej: Mickiewicz zabrał dla siebie całe miejsce, wszystko powietrze do oddychania. Na poezję romantyczną program szkolny wyznaczał pół roku czy rok: cały ten czas zużył profesor na dyktowanie nam – nie wykład, ale d y k t o w a n i e! – życiorysu Mickiewicza, bałwochwalczo dokładnego, którego musieliśmy się uczyć potem na pamięć. Pamiętam ustęp wykładu, opowiadający, jak Mickiewicz pisał w Paryżu *Pana Tadeusza*. „Mieszkał wówczas przy ulicy Saint-Nicolas-d'Antin", dyktował z powagą profesor.

Usłyszawszy tę cenną wiadomość, mimo woli parsknąłem śmiechem.

– Proszę cię, Żeleński, wyjdź.

Było to powiedziane tak spokojnym głosem, że spoglądałem na profesora niepewny, nie wiedząc, co począć: tak spokojnie nie wyrzuca się przecież nikogo za drzwi. Ale niedługo trwała moja niepewność: ów złudny spokój płynął z nadmiaru oburzenia. „Wychodź natychmiast!!!" – ten ryk profesorski rozległ się nade mną, a widok pięści trzęsących się nad moją głową sprawił, że w mig znalazłem się za drzwiami. Dzięki temu zapamiętałem do końca życia (o ile czego nie pomyliłem), że pisząc *Pana Tadeusza*, Mickiewicz mieszkał przy ulicy Saint-Nicolas-d'Antin. I zarazem został mi pewien odcień bardzo nielogicznej urazy do Mickiewicza.

Rzecz prosta, że przy tym systemie wiedza nasza o Słowackim skurczyła się po trosze do wyliczania tytułów: *Hugo*, *Mnich*, *Arab*, *Jan Bielecki*, *Żmija*, recytowało się jednym tchem, niby wyjątki łacińskie. Potem zaczynało się jąkanie. O *Beniowskim* szkoda gadać: nie dokończony! O

Horsztynskim, o *Nowej Dejanirze* (*Niepoprawnych*, jak się mówiło wówczas) nie wiedziała szkoła nic. Dukało się tam jakiegoś *Mindowego*, z takim samym sentymentem co *Götza von Berlichingen*. „Zdawało się" na pamięć *Ojca zadżumionych*, *Grób Agamemnona* i *Smutno mi Boże*.

Deklamacja! Był to zloty wiek tej szlachetnej sztuki. Gdzie się było ruszyć, wszędzie wówczas kwitła deklamacja, na wieczorkach, na koncertach. Wybór bywał dosyć dziwny. Ileż razy na koncercie, w Sali Saskiej, w Sokole, wysłuchałem całego *Ojca zadżumionych*! W dusznej i przegrzanej sali gaz syczał usypiająco, a spocony amator na estradzie grzebał jednego synka po drugim, aż w końcu został „pod kręgiem słońca jako krew czerwonym" sam, z dromaderami. A publiczność liczyła w myśli trupy, jak punkty na meczu, czekając aż jej ostatni przyniesie wyzwolenie.

Największym tytanem deklamacji był Kotarbiński: znane jest roztargnienie tego zacnego artysty i jego słynne „sypki". Jest ustęp w tej rozpuście bólu, gdy ojciec zadżumionych mówi o córce: „na pierś jej twardą, krągłą, białą..." Kotarbiński zawsze mówił: „na pierś jej miękką, krągłą, białą...", kładąc na epitet „miękką" cały akcent liryczny. Widocznie lepiej mu to brzmiało: ciekawy przyczynek do fonetycznej przeważnie deklamacji aktorów. Ale nikt tego nie zauważył, gaz syczał, dzieciątka konały...

Tak, to był trupi, martwy okres poezji. Ale równocześnie „z lewego łoża", że tak powiem, rodziła się dla nas, młodych, poezja żywa. Dochodziły nas mgliste wieści że Słowacki to jest naprawdę całą gębą poeta, ale że nie trzeba go szukać w oficjalnych wydaniach: najpiękniejsze jego rzeczy znajdują się w trzech tomikach jego *Pism pośmiertnych*. *Pisma pośmiertne*: sam ten tytuł miał w sobie coś tajemniczego; a przy tym owe pisma miały i ten urok, że były nie tknięte przez szkołę (nie dokończone!). W tego Słowackiego zatapiali się wówczas z rozkoszą poeci, artyści. Te trzy tomiki, razem oprawne, widywałem zawsze na biurku Kazimierza Tetmajera. I pamiętam prawie moment przeobrażenia się stosunku do poety. Pamiętam list Włodzimierza Tetmajera do brata, pisany, jak lubił pisywać Włodzimierz, makaroniczną polszczyzną XVII wieku, polszczyzną *Złotej czaszki*, w którym to liście nazywa Słowackiego *„poetarum nostrum maximus"*. Może on pierwszy sformułował tę herezję i czuł potrzebę osłonić ją wstydliwie łaciną? Miłość zaczynała wówczas iść ku Słowackiemu z całym posmaczkiem owocu zakazanego: Mickiewicz to był niejako ślubny mąż; zdradzało się go ze Słowackim. Wyczuwam dziś bardzo ściśle ten odcień ówczesnego nastroju.

Włodzio Tetmajer zasłynął niebawem w kołach młodych z prześlicznego czytania Słowackiego. Co za przeciwieństwo do oficjalnej „deklamacji": i wybór, i sposób. Po prostu siadał na krześle, brał książkę i czytał tak, jak się mówi, z cudowną prostotą i sentymentem. Czytał najczęściej *Pogrzeb kapitana M.*, *Odę na sprowadzenie zwłok Napoleona*, *Zachód słońca nad Salaminą*, którym rozkoszował się po malarsku („Wstałem – tańczyły fal różane bryły..."), kolendę makaroniczną, jakieś mało znane strofy z *Beniowskiego*, wszystko dobyte ze skarbnicy owych „pośmiertnych". Często nad wieczorem albo jeszcze lepiej rano po przebumblowanej nocy (było to już na uniwersytecie) szło się do Bronowic i wyciągało się Włodzia na czytanie.

Nagle Słowacki buchnął przez teatr. Rzecz znamienna: kiedy zbudowano w Krakowie obecny teatr, nie przyszło na myśl nazwać go Teatrem im. Słowackiego. Dedykowany był Fredrze, którego biust stoi też przed gmachem (a na gmachu Tadeusz i Zosia z *Pana Tadeusza*...). Dopiero znacznie później dość bezceremonialnie odebrano go Fredrze i ofiarowano Słowackiemu, którego miano dziś nosi. Za moich studenckich lat grywano Słowackiego mało, najczęściej *Mazepę*. „Czas" w numerze poświęconym Słowackiemu przytoczył świeżo recenzję gdzieś z lat pięćdziesiątych, w której krytyk „Czasu", już po śmierci poety, wskazuje, jakie przeróbki należałoby uskutecznić w *Mazepie*: „albo opuścić rolę Kasztelanowej, albo rozwinąć ją i wpleść

w akcję...” *Mazepa* wracał na scenę zwykle jako popisowa rola dla tragika. Swojego czasu przyjechał z nią do Krakowa stary Leszczyński; przed pierwszą próbą oznajmił, że chciałby powiedzieć kilka słów do aktorów. Skupili się na scenie, a on rzekł: „ Chciałem uprzedzić kolegów, że to jest sztuka, którą należy grać z talentem.”

Zdarzeniem artystycznym było odgrzebanie przez teatr *Nowej Dejaniry*, za którą ówcześni młodzi poeci oddawali wszystkie tragedie „przedśmiertne”, ale była to premiera niejako literacka, kameralna; natomiast ewenementem, który zaważył na losach teatru – nie tylko krakowskiego – było wystawienie *Kordiana*, śmiały krok dyrekcji Kotarbińskiego. „Jak dyrektor będzie dawał takie *Kordiany*, to dyrektor będziesz z gołą... chodził”, tak brzmiał dosłownie głos rozsądku Kalibana krakowskiego teatru. A sekretarz teatru, nieomylny „wujcio”, szacował imprezę na trzy przedstawienia; a spektakl był kosztowny, bo i Mont Blanc na scenie, i wojsko w kamaszach... Entuzjazm Kotarbińskiego wygrał sprawę na całej linii, był to szereg tryumfalnych przedstawień, wielki dzień poezji w teatrze, przewrót w pojęciach o sceniczności. *Kordian*, za którym poszły *Dziady*, *Nieboska*, wskazał drogę późniejszemu repertuarowi Teatru Polskiego i poniekąd Teatrowi im. Bogusławskiego.

Nową nutę wniósł przyjazd Przybyszewskiego. Był to niejako wyższy krąg „wtajemniczenia”. W czasie gdy mówiło się o *Beniowskim*, *Nowej Dejanirze*, *Złotej czaszce*, on – uwielbiał Słowackiego, twórcę *Genezis z Ducha*, *Listu do Rembowskiego*, *Króla Ducha*. Resztę, z właściwą sobie ekskluzywnością, ignorował. Byłem z nim w loży na *Nowej Dejanirze*, z której uciekł po pierwszym akcie, mrucząc: „Okrutnie tego Julka nie lubię...” To był początek kursu mistycznego, który obecnie rozpowszechnił się tak dalece, że ten urodzaj na mistyków aż budzi obawę o ich gatunek...

W owym czasie „Przybysz” pojechał na kilka dni do Lwowa, tam zetknął się z Janem Gwalbertem Pawlikowskim na gruncie Słowackiego-mistyka. Jan Gwalbert wydał na cześć Przybyszewskiego obiad, gdzie oczywiście wiele mówiono o mistyce. Przemawiał rektor ówczesny uniwersytetu, Abraham, i mówił coś, co się Przybyszewskiemu, siedzącemu obok, nie podobało. Najspokojniej Przybysz ujął magnificusa za głowę, wsadził ją sobie pod pachę i gładząc ją pieszczotliwie, szeptał: „Abramku, robaczku, przysłuchaj się, co inni mówią, ale sam, robaczku, nie szczekaj, nie szczekaj!” Sam rektor przyjął to z pogodą, a nawet rozczuleniem, ale trzeba sobie wyobrazić tę scenę na tle ówczesnego galicyjskiego kultu rang i stanowisk! Toteż przytaczam ją jako przykład daru urzekania ludzi, jaki miał Przybyszewski.

W tej atmosferze rosnącego kultu dojrzała myśl o Wawelu dla Słowackiego, idea na owe czasy rewolucyjna. Rzecz załamała się o weto kardynała Puzyny, stąd wiece, manifesty. Oburzano się powszechnie na kardynała; co do mnie, wyznaję, że dość mi się podoba taka męska afirmacja swego przekonania. Taki opór, jeśli są dane po temu, zawsze w końcu będzie przełamany, walka wpływa natomiast bardzo zbawiennie na krystalizację pojęć. Uważam, że raczej za mało jest u nas takich walk; nie czyjeś weto, ale powszechna mdłość i obojętność bywają najgroźniejszym wrogiem.

Oto w końcu – apoteoza. Cały naród... z miłością... wieszcz... trumna... prochy... To znaczy, partie strzelają tymi prochami do siebie. Jeden z czytelników nadesłał mi uprzejmie dwa numery prowincjonalnych pisemek. „Wrócił Wielki Polak, Katolik, w przeddzień koronacji Matki Boskiej Ostrobramskiej...”, pisze jedno. „Złożono na Wawelu szczątki wieszcza i apostoła Polski Mesjanicznej, który śmiało i bez ogródek powiedział Polsce: «Polsko, Twa zguba w Rzymie...»”, pisze drugie. A w teatrze na wspaniałym, porywającym *Samuelu Zborowskim* – pustki. Słowem, wszystko normalnie.

W ciągu lat swego pośmiertnego życia Słowacki miewał swoje „hossy” i swoje „bessy”. I los tak zrządził, że zawsze niejako on był na jednej szali wagi, a na drugiej – Mickiewicz.

Przekleństwo rywalizacji przeciągnęło się poza grób. Jak gdyby jakieś fatum każe zawsze wielbić jednego po to, aby drugiego bić nim po głowie. Czy to konieczne? Bywało coś podobnego z Schillerem i Goethem. Kiedy wspomniano o tym Goethemu, wzruszył ramionami i rzekł: „*Unsinn! Die Deutschen sollten froh sein, dass sie zwei solche Kerle haben*.” Co brzmi mniej więcej po polsku tak: „Bądźmy kontenci, że mamy dwóch takich hyclów!”

POST SCRIPTUM
PO SPROWADZENIU ZWŁOK JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Przeżyliśmy piękne i podniosłe chwile.

Patrzałem z mego okna na niedzielny pochód, na te ciężkie armaty konwojujące garść prochów poety, na kaski i infuły, na sztandary i wieńce, na nieprzeliczony tłum ludu i mimo woli przebiegałem myślą drogę, jaką za mojej pamięci przebył stosunek społeczeństwa do Słowackiego.

Przejrzałem lub przeczytałem z pięćset artykułów, jakie we wszystkich pismach pojawiły się o Słowackim, i odniosłem z nich wrażenie, że moment przeobrażenia „zjadaczy chleba w aniołów" jest już nader bliski.

Cieszyłem się, że *Genezis z Ducha* stanowi ulubioną lekturę większości naszych literatów.

Byłem we wszystkich teatrach, upajałem się czarem mowy Słowackiego; serce mi rosło, kiedy widziałem na Starym Mieście dziesiątek tysięcy ludu słuchającego płomiennych słów Księdza Marka i Kordiana.

Tych kilka dni to było jedno wspaniałe misterium.

Otóż w czasach, kiedy misteria były żywą formą sztuki, kiedy publiczność kochała się w podniosłych tragediach, istniał jeden obyczaj: po skończeniu górnego widowiska dawano na zakończenie krotochwilę. Była w tym może głęboka i religijna myśl: upokorzyć po chwilowym wzlocie naturę ludzką, ukazać w poczwarnej formie jej niemoc i śmieszność, przekłuć wzdęty pęcherz pychy.

Taką krotochwilę w dwóch aktach pragnę pokazać, a właściwie przypomnieć.

Czy słyszał kiedy kto z państwa, co to był *Klekot bociani*? Może nikt, bo to już bardzo dawna historia. Był to żart literacki, który niegdyś narobił dużo śmiechu w Krakowie, a o którym za czasu mej młodości już tylko słuchy chodziły. Ten i ów umiał jeszcze ten *Klekot* na pamięć, ale mało który. Był to żarcik w rodzaju tego, co Francuzi nazywają *à la manière de...*, imitacja jakoby wiersza Słowackiego. Autorem tego wierszyka był stary Mieczysław Pawlikowski, ojciec Jana Gwalberta, znakomitego znawcy mistyki Słowackiego, i Tadeusza, dyrektora krakowskiego teatru, wówczas młodych chłopców. Otóż z utworem tym wiązała się następująca historyjka, którą słyszałem z ust świadomych i wiarygodnych.

Młodzi Pawlikowscy chodzili do Gimnazjum Św. Anny, gdzie profesorem polskiego języka był niejaki Teofil Z., gorliwy Słowacczyk, później docent Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zanieśli mu ten wiersz, rzekomo znaleziony przez ich ojca w bibliotece w Medyce. „Ojciec – mówili – przypuszcza, że to jest wiersz Słowackiego, ale nie jest pewny; chciałby wiedzieć, jaka jest opinia pana profesora w tej mierze." Profesor wziął, wiersz, trzymał go kilka dni, po czym oddał chłopcom mówiąc: „Ojciec ma rację, to jest wiersz Słowackiego."

A oto ów wiersz, który przypadkowo zapamiętałem, poza paroma słowami, których mi brak i które zostawiam wypunktowane:

KLEKOT BOCIANI

Klekot bociani, płynący obłokiem,
Czasem się jasną opierścienia chmurą,
To znad uroczysk, nieścigniony okiem,
Fenickich grobów rozbrzmiewa purpurą.

To znów w krąg Hadu, rozpowietrzon żalem,
W noc jutrzenkową w smutki się obłóczy,
Edenu ciszą, greckich urn opalem,
W namiętny uścisk włos rozplecie kruczy.

Ale przenigdy, przenigdy w swym płaczu
Ciebie nie wspomni, w ciebie się nie wpłuży,
Przenigdy z tobą, aniele-oraczu,
W nieprzeniknionej nie skłębi się burzy;

Przenigdy w Cymbrów chaldejskiej spuściźnie
Marzanny modrym nie śćmi się półzielem,
A choć szyderstwa aureolą bryźnie,
Hekatą raczej będzie niż Botwelem.

Dość na tym, dość już; niech ją na stos wiodą,
Głoszącą czerni śmierć albo oklaski;
..... egipską pagodą,
Grobowiec jęknie pod słoneczne brzaski.

Częstotliwości gwarliwe milczenie
Niechaj bezwonnych zapachów nie drażni...
Tak śnił mąż wielki w starej Mitylenie,
W jesiennych wiosen półjesienne jaźni...

A teraz inna historia:

Będzie temu lat około dwudziestu, w Krakowie, w epoce bardzo już czynnego kultu Słowackiego, dwaj kawalarze (znam ich nazwiska) wpadli na koncept, aby do redakcji jednego z tygodników posłać parę strof wyjętych ze środka znanego wiersza Słowackiego *Do Laury*. W liście, zeszpeconym błędami ortograficznymi, młody debiutant prosił, na zasadzie tej próbki, o ocenę, czy ma „talęt" i czy ma dalej uprawiać niwę poezji. Jakaż była radość autorów listu, kiedy wyczytali taką Odpowiedź od redakcji:

Zapytuje pan, czy pan ma t a l ę t. Otóż musimy panu powiedzieć, że nie mamy jeszcze łokcia do mierzenia t a l ę t u, posiadamy natomiast kosz redakcyjny, w którym spoczął pański wiersz, mimo tak obiecującego początku:

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
Na jedną chwilę spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem?
A ty, smutniejsza niż ludzie smutni,
Biegłaś za innym widziadłem?

Ciemność twej duszy jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty ustami przebiegła?
A ten na głowie płonący wieniec
Tyś skrami oczu zażegła...

Tylko tyle! Przytoczono te strofy jako wzorek grafomanii. Gdybyż bodaj zachęcono młodego poetę do dalszej pracy, gdyby mu przyznano bodaj zadatki „talętu”!

Młodym kpiarzom udało się dojść, kto był autorem Odpowiedzi od redakcji: był nim W. F., jeden z najbardziej ruchliwych krytyków i historyków literatury (już nie żyje).

Było z tego sporo śmiechu, a nawet zgorszenia, bo sprawa się rozeszła; krytyk tłumaczył się przemęczeniem, a przyjaciele usprawiedliwiali go, że w istocie w owym czasie był bardzo zajęty organizowaniem wieców w sprawie przeniesienia zwłok Słowackiego na Wawel...

MÓJ DEBIUT W PSYCHIATRII

Nie ma na świecie nędzniejszej istoty niż literat. W niczym nie jest „kompetentny". Każde najmizerniejsze rzemiosło ma swój, maleńki bodaj, zakres, w którym człowiek jest kompetentny, a literat nic! Wiem to po sobie. Kiedy chciałem się odezwać coś o literaturze, natychmiast jakiś historyk literatury skarcił mnie, abym się nie mięszał do nie swoich rzeczy. Chciałem mówić coś o języku, ofuknęli mnie lingwiści. Teraz świeżo o medycynie: odtrącili mnie ze wzgardą lekarze, mimo że mam patent doktorski. Taka jest dola literata. Czasem literatowi sprzykrzy się ta chroniczna niekompetencja i poszuka sobie straszliwego odwetu: zostaje dziennikarzem, wówczas jest kompetentny we wszystkim.

Otóż bierze mnie ochota wylegitymować się przed pp. psychiatrami, których tak gorszą moje niewinne *Kurkiewy*, że nawet w ich własnej dziedzinie nie jestem takim laikiem, jak przypuszczają. A przechodziłem kurs psychiatrii w dość osobliwych i trudnych okolicznościach; składałem egzamin, przy którym pomylić się nie wolno.

Było to tak:

Kiedy byłem studentem, zawsze miałem za mało pieniędzy, a za dużo namiętności. Zwykła studencka rzecz. Jedyną drogą w takich razach jest pompować ojca; ale to ma wdzięk wówczas, kiedy się jest np. młodym artystą, a synem groszoroba; ja, na odwrót, byłem medykiem, a synem artysty, więc mnie to żenowało. Miałem kilku kolegów, którzy pobierali stypendium wojskowe i otrzymywali ze skarbu co miesiąc pokaźną kwotę w zamian za zobowiązanie sześciu lat służby w charakterze wojskowego lekarza. Żyłem wówczas pełnym życiem „cyganerii", doktorat był jeszcze we mgle, nie namyślając się tedy długo, podpisałem taki cyrograf nie myśląc, co będzie potem. Ale przyszedł moment, że ukończyłem studia, i jak ów Twardowski w bajce stanąłem wobec musu wypłaty z tego paktu z szatanem. Przebyć sześć lat jako wojskowy lekarz austriacki, rzucany z miasteczka do miasteczka po różnych nieciekawych koronnych krajach, zmuszony wciąż śmiać się z dowcipów pana majora – rozpacz! Chciałem zwrócić stypendium – nie wolno, trzeba służyć. Na tym punkcie Austria, stale cierpiąca na brak wojskowych lekarzy i łowiąca celowo młodzież na lep tych srebrników, była nieubłagana. Postanowiłem się bronić. Zdarzyło się, że niedawno przedtem upiłem się do nieprzytomności z kochanym „Stachem" (Przybyszewskim) i jego gromadką, przeleżałem kilka godzin w śniegu i chorowałem ciężko parę miesięcy. Wziąłem to za punkt wyjścia, uzbroiłem się w świadectwo lekarskie, stwierdzające jakąś tam depresję, psychastenię etc., wydobywając wszystkie wypadki umysłowych chorób w rodzinie, i przedłożyłem to wszystko władzom wojskowym z prośbą o zwolnienie, ofiarowując się zwrócić pobrane kwoty, co jak wspomniałem, było zresztą niedopuszczalne. Obejrzano mnie, zbadano powierzchownie i nie bardzo wiedząc, co z tym fantem począć, udzielono na razie urlopu.

Zapisałem się jako praktykant do szpitala i tak przebyłem półtora roku, łudząc się w końcu naiwnie, że wojsko o mnie zapomniało!

Naraz jak grom spada na mnie wezwanie, aby się zgłosić w ciągu 24 godzin do wojskowego szpitala na Wawelu. Przychodzę, każą mi się rozebrać, włożyć tzw. gaciehosen i położyć się do

łóżka, zakonnica zakłada mi termometr, oj, źle! Nazajutrz sam *Stabsarzt* (major) bierze mnie do badania. Byłem nieprzygotowany, miałem zamiar wygrywać jedynie neurastenię, ale groza tego całego aparatu przejęła mnie tak, że odtąd działałem w jakimś transie. Co opowiadałem temu doktorowi, już sam nie wiem, ale był to zdecydowany zarys umysłowej choroby. A było to tym delikatniejsze, iż jeszcze poprzedniego dnia pełniłem nienagannie zawód lekarski w cywilnym szpitalu! Skomponowałem tedy intuicyjnie typ człowieka w stanie neurastenii silnie już trącącej psychozą, ale wstydzącego się swojej choroby, ukrywającego ją poniekąd, każącego z siebie przemocą wydzierać zeznania, człowieka bardzo drażliwego i ambitnego na punkcie swoich zdolności. Przekonałem się przy tym, że człowiek ma w sobie w zarodku wszystkie bziki i że tylko silna garść wychowania społecznego trzyma je w ryzach: wystarczy im dać folgę, a zaczną hasać aż miło. Znalazłem w sobie zasób nieoczekiwanych objawów nawet czysto fizycznych, dziwne odruchy etc. Po dobrej godzinie tej spowiedzi, *Stabsarzt* zadumał się długo, nie tyle, jak sądzę, nad moją niedolą, ale nad tym, jaką drogę mu trzeba obrać, aby się nie zasypać, gdyż ostatecznie chodziło nie o zwykłe „w rekruty", ale o kandydata do godności lekarza i oficera; w końcu rzekł: „Ależ, na miłość boską, jakim cudem pan zdał doktorat?" Popatrzyłem na niego spode łba, zaczerwieniłem się (czułem to) i odrzekłem ponuro: „*Herr Stabsarzt, ich bin sehr begabt*." (Panie majorze, ja jestem bardzo zdolny.) Pokręcił głową i odprawił mnie.

Zaczęło się codzienne badanie. Zastawiano mi najrozmaitsze pułapki, obmyślone na symulantów, brano mnie w krzyżowe indagacje; ja wciąż trzymałem się na terenie subtelności „życia duszy". Wreszcie zostawiono mnie w spokoju, codziennie tylko podczas wizyty lekarskiej stałem wyprostowany przy moim łóżku; *Stabsarzt*, mijając mnie w otoczeniu młodszych lekarzy, zatrzymywał się, patrzył mi bystro w oczy i szedł dalej. Wreszcie po dwóch tygodniach z górą dowiedziałem się poufnie od kaprala-saniteta, że nazajutrz mam być wypuszczony. Wiadomość ta zbudziła we mnie zrozumiałą radość, która widocznie musiała się odbijać w moich oczach, gdyż major przechodząc rzekł do swego asystenta (do dziś dnia słyszę dźwięk tych słów!): „*Schau'n sie, der Kerl sieht heute nicht so blöd aus wie gewöhnlich, das ist sicher ein Simulant*." (Spójrz pan, ten chłopak nie ma już dziś takiej głupkowatej miny jak zwykle, to z pewnością jest symulant.) I poszedł dalej.

Zdrętwiałem. Byłem tym pobytem w szpitalu tak zmęczony, że czułem, iż mój fluid się wyczerpał. W tej roli nic już nie umiałem z siebie wykrzesać, uczułem, że trzeba zrobić jakiś zamach stanu. Skupiłem się, w dwie minuty powziąłem postanowienie. Po wizycie, gdy major udał się do swej kancelarii, wpadłem do tego sanktuarium bez pukania i podszedłem prosto do biurka. (Jestem z natury człowiekiem nieśmiałym i delikatnym, toteż działałem tu jak w transie, była to symulacja, ale dziwnie skombinowana ze stanem przymusowego działania.) Wyrżnąłem z całej siły pięścią w stół, nachyliłem się tuż nad jego twarzą i rzekłem po niemiecku stłumionym, dygocącym głosem, ze łzami, które mi napłynęły do oczu: „Panie majorze, to że jestem chory, to nie daje panu prawa, alby mnie znieważać."

Major zmieszał się, widząc mnie w tym na wpół nieprzytomnym stanie: „Jak to? Co to? Kto pana znieważył?" – „Pan mnie znieważył! – ryknąłem – pańskie postępowanie jest niegodne lekarza, aby tak obrażać swego chorego kolegę. Pan nie ma prawa nazywać mnie głupkowatym, ja jestem chory, ale nie jestem" etc., etc.

Major (był to jakiś zniemczony Czech) patrzał chwilę, zakłopotany (gdyż w istocie dopuścił się grubego nietaktu), próbował mnie uspokoić, ale widząc, że to nic nie pomaga, przyparty do muru, wpadł znów on w pasję. „O, mój drogi – rzekł – albo co; jeżeli jesteś chory, te drażliwości są zupełnie nie na miejscu, a jeżeli masz takie wygórowane poczucie honoru w takim razie możesz służyć. *Schauen Sie dass Sie weiter kommen, marsch*!" I wyrzucił mnie za drzwi.

Wyszedłem z rozpaczą w duszy, jak wygwizdany aktor. „Klapa!", myślałem sobie. Stanąłem

w oknie w sieni i melancholijnie patrzałem z drugiego piętra na dziedziniec wawelski. Naraz słyszę, że drzwi się otwierają, i kątem oka widzę, że major zagląda i podchodzi do mnie. Czy żal mu się mnie zrobiło, czy zląkł się, że pacjent może z okna się rzucić i wpakować go w jakąś kabałę, dość, że złagodniał. Zaczął mówić do mnie z dobrocią, uspokajać etc. Na to ja rozpłakałem się jak bóbr, rzuciłem mu się w ramiona, zacząłem go całować po rękach, oskarżać siebie o niewdzięczność, że on był dla mnie tak dobry jak ojciec, a ja mu się tak źle wypłaciłem etc. Czech głaskał mnie po głowie, ja oplatałem się o niego kurczowo i tak cackaliśmy się dobrą chwilę, niczym Romeo i Julia. Wszystko to była oczywiście symulacja, ale wciąż w jakimś transie, w natchnieniu. Podobnego uczucia doznawałem później nieraz, kiedy zacząłem pisać wiersze. W końcu, kiedy nie mogłem utulić się w płaczu, major rzekł, aby mnie pocieszyć, że to nawet dobrze to, co się stało, że owa scena właśnie rzuca wiele światła na mój stan, że odegra ważną rolę w orzeczeniu etc. „To już dobrze", pomyślałem, pocałowałem go przemocą w same usta, choć się bronił, i poszedłem do wspólnej izby.

Odtąd stosunki nasze ukształtowały się tak: ilekroć major wchodził do „cymbry", rzucałem się ku niemu z oznakami radości, całowałem go w rękę i chodziłem za nim w czasie wizyty jak pies, łasząc się do niego, niemal kręcąc ogonem. Ale wszystko to bardzo dyskretnie. Działo się to na oczach moich kolegów uniwersyteckich, pełniących tam służbę lekarzy-asystentów i przyglądających mi się ze zdziwieniem, nie wiedząc, co o tym mają myśleć.

Wreszcie kwarantanna dobiegła końca, pomyślny rezultat był już pewny. Ów „zamach stanu" rozstrzygnął sprawę. Przypadek zrządził, że w owym czasie mego majora przeniesiono; oddając oddział, powierzył mnie swemu następcy, objaśniając półgłosem „przypadek". Kiedy przyszło redagować orzeczenie, nowy lekarz był w widocznym kłopocie, co chwila przerywał pisanie i zastanawiał się. Patrzałem mu przez ramię, co pisze, gdyż zachowałem z nowym władcą moje poufałe przywileje. Widząc, że mu niesporo idzie, zacząłem mu poddawać zwroty, w końcu podyktowałem mu całe prawie orzeczenie lekarskie o sobie samym.

Skończywszy pisać, opatrzył się dopiero, przyjrzał mi się zdziwiony i rzekł: *„Was ist eigentlich mit Ihrer Krankheit?"* Natychmiast skurczyła mi się twarz w minę obrażonego idioty i odparłem ponuro: *„Herr Stabsarzt, ich bin sehr begabt."* Patrzył chwilę, machnął ręką i podpisał. Na drugi dzień wyszedłem ze szpitala wolny, uznany na zawsze za niezdatnego do wszelkiej służby wojskowej. (Co nie przeszkodziło, że mnie po wybuchu wojny zaraz powołano.)

Wyszedłszy ze szpitala miałem uczucie, żem przebył trzy tygodnie w jakimś halucynacyjnym śnie. Przez te trzy tygodnie nauczyłem się psychiatrii więcej niż ze wszystkich podręczników i zyskałem przeświadczenie, że nasza normalność a nienormalność psychiczna oddzielone są od siebie dość cienkim przepierzeniem...

JAK ZOSTAŁEM LITERATEM

(Odczyt wygłoszony w Toruniu, Poznaniu, Sosnowcu, Będzinie, Częstochowie, Radomiu, Kielcach, Lublinie, Kaliszu, Siedlcach, Łodzi, Włocławku, Lwowie, Przemyślu, Jarosławiu, Rzeszowie, Grodnie, Białymstoku, Brześciu Litewskim, Inowrocławiu, Ciechocinku, Otwocku, Łomży, Płocku, Krynicy, Żegiestowie, Zakopanem, Szczawnicy, Piotrkowie, Modlinie, Dąbrowie Górniczej, Łucku, Zgierzu, Pabianicach, Tomaszowie, Chełmie, Wilnie, Słonimie, Kutnie, Zamościu, Katowicach etc.)

Szanowni państwo! Wszystko, co się dzieje w Warszawie, znajduje mniej lub więcej żywy odzew w całym kraju; toteż z pewnością musiały was dojść echa sprawy, którą w ostatnim czasie mocno zajmowała się stolica, mianowicie kwestią n a g o ś c i, wywołaną tym, iż pewna primadonna operetki pokazywała się na scenie tak, jak ją Pan Bóg stworzył. Czy to było dobrze, czy źle, tego ja nie mogę sądzić: to jest sprawa poważna, którą ujął w swoje ręce rząd, może się nią zajmie sejm, senat, nie wypada tedy, abyśmy ją lekkomyślnie przesądzali. Ale nasunęło mi to pewne refleksje odnośnie do literatury. Czy mianowicie nie byłoby dobrze, czy nie byłoby zbawienne, aby pisarze nasi pokazywali się czasem publiczności tak, j a k i c h P a n B ó g s t w o r z y ł (oczywiście w znaczeniu moralnym, proszę być bez obawy), a nie zawsze w tym odświętnym, uroczystym, szczelnie zapiętym tużurku. Nie stałoby się to z pewnością taką atrakcją jak występy pani Niewiarowskiej w *Najpiękniejszej z kobiet*, ale przyczyniłoby się może do zadzierzgnięcia cieplejszych stosunków miedzy publicznością a literaturą, co by było dla obu stron z pożytkiem.

Dlatego, kiedy mnie zaproszono do kilku miast polskich z odczytem, zastanawiałem się dosyć długo nad tematem. Mój Boże! Rzecz zdawałaby się na pozór tak łatwa: tyle jest tematów na świecie, tak interesujących! Mimo że nie mam pretensji do uniwersalności doktora Fausta, mógłbym mówić piąte przez dziesiąte o poezji, o krytyce, o teatrze, o literaturze, o filozofii, ba, nawet o teologii jako tłumacz Pascala i o reumatyzmach jako – doktor wszech nauk lekarskich. Ale zastanawiałem się, czy to miałoby sens. Wyobraźmy sobie, że przyjeżdżam np. tutaj z odczytem na temat *Molier* albo *Balzak*, albo inna taka gruba ryba. To byłoby po trosze tak, jakby ktoś wszedł do czyjegoś mieszkania, do salonu, gdzie jest zgromadzonych kilka czy kilkanaście osób, ukłonił się, odchrząknął i tak rozpoczął:

„Wieloryb jest to zwierzę ssące, żyje w morzach północy, ma grubą skórę, płetwy, robi się z niego tran, sznurówki itd."

Wszyscy popatrzeliby na siebie, potem na mówiącego, w końcu ktoś by bąknął pod nosem:

– No dobrze, wieloryb, ale kto p a n właściwie jesteś?

I z towarzyskiego punktu widzenia miałby słuszność: literat czy nie literat, kiedy wchodzi do czyjegoś salonu, powinien się przedstawić.

Bądźmy szczerzy. O co chodzi publiczności, czego pragnie publiczność, kiedy przybywa do niej w odwiedziny taki nie znany jeszcze pan literat? Posłuchać go, zapewne, ale po trosze i obejrzeć. I to jest bardzo naturalne: książek jest na świecie pełno, i doskonałych, i wciąż fabrykuje się nowe, może aż za wiele: otóż nie ruszając się z domu, leżąc sobie wygodnie w łóżku albo na kanapie, bierze się książkę z półki i można sobie wędrować po wszystkich tematach, jakich dusza zapragnie. Książkę można wziąć i odłożyć, można się zdrzemnąć w pół

rozdziału, można zapalić papierosa – słowem, wszelkie wygody. Odczyt zatem – zwłaszcza pierwszy odczyt – który byłby czytanym artykułem, rozprawką, tym różną od książki, że się jej słucha o oznaczonej godzinie, na niewygodnym krzesełku, niezupełnie, moim zdaniem, byłby zgodny z celem: a celem tym jest poznanie ż y w e g o c z ł o w i e k a. Ta godzina spędzona z żywym człowiekiem ma sprawić, aby się później z innym uczuciem brało jego książki do ręki, aby się stał bliższym, bardziej jednolitym. I pisarz, który się decyduje na taki osobisty kontakt, czuje widocznie potrzebę nie odczytania artykuliku, ale jak gdyby oddania się publiczności bardziej jakoś bezpośrednio, wprost, a nie przez bibułkę.

Zwłaszcza pisarz w moim położeniu, którego kariera literacka biegła odmiennymi drogami od tych szczęśliwych ludzi, co wcześniej odnajdą się w swoim powołaniu i których droga znaczy się regularnie – niby milowymi kamieniami – książkami, artykułami, sztukami teatralnymi. U tych ludzi „dzieła" ich mówią same za siebie.

Ja jestem w innym położeniu. Przywykłem do tego, że każdy czy każda, kto mnie pozna, mówi mi: „Zupełnie sobie pana inaczej wyobrażałam." Prześladuje mnie największa z tragedii: dwoistość osobowości. Z jednej strony (jak o mnie piszą łaskawie w gazetach) Boy, benedyktyn pracy, niestrudzony tłumacz i komentator ośmiuset... czy osiemdziesięciu tomów, autor głębokich (ja tylko wciąż cytuję) studiów z literatury francuskiej, słowem, siwy starzec w okularach, abnegat życiowy; z drugiej strony – Boy, poeta leniwy, kapryśny i l u b i e ż n y, co całą swą duszę zamknął w jednym tomiku *Słówek*, które dzieci czytają w sekrecie przed rodzicami, a rodzice w sekrecie przed dziećmi. Z jednej strony prrrrofesor uniwerrrrsytetu (na szczęście *in partibus infidelium*), kawaler orderów krajowych i zagranicznych – z drugiej błazen deklamujący na estradzie nieprzyzwoite wierszyki. Asceta i pornograf! Wydawca *Myśli* Pascala i *Żywotów pań swowolnych* Brantôma! A w głębi, poza tym wszystkim, kryje się jeszcze Boy były lekarz, założyciel pierwszej „Kropli Mleka" etc. Słusznie może się ktoś zapytać, co to jest właściwie za figura? Otóż przedstawić w kilku słowach tę figurę będzie po trosze treścią mego odczytu, pokazać się – że tak powiem – ze wszystkich stron, skoroście, drodzy państwo, przyszli mnie obejrzeć.

Urodziłem się w mieście Warszawie, datę urodzenia niech mi będzie wolno skromnie przemilczeć. Natomiast pochwalę się, że jestem synem znakomitego muzyka i pieśniarza polskiego, Władysława Żeleńskiego, i to nie żadnym synem naturalnym, ale legalnym, to jest moje prawdziwe nazwisko, a tamto tylko pseudonim. Chowałem się w atmosferze sztuki i artyzmu, mimo to, nie bardzo wiem czemu, ukończywszy w Krakowie gimnazjum, znalazłem się na medycynie. Może to były sugestie nie tak dawnej jeszcze epoki pozytywizmu, że wszelkie studia nad człowiekiem trzeba zaczynać od początku, od krajania trupów.

Dość szybko zorientowałem się w omyłce, mimo to ukończyłem ten wydział, z pewnym wysiłkiem woli co prawda, gdyż myśl uciekała mi wciąż w inne strony. Przyznam się zresztą, że w tej rozterce ducha przeważnie grałem w karty. Niejeden z państwa zauważył, że nic tak nie nastraja do filozoficznych dumań, jak zerżnąć się w baka, ale tak na goło!...

Otóż zdarzyło się, iż niedługo po tym doktoracie medycyny wybrałem się do Paryża dla uzupełnienia studiów lekarskich. Raz i drugi zaszedłem do tamtejszych klinik, ale natychmiast uczułem, iż znalazłszy się w Paryżu, tym jedynym na świecie mieście, byłoby szaleństwem opukiwać płuca i obmacywać wątroby absolutnie takie same jak te, których pod dostatkiem zostawiłem w ojczyźnie. Cisnąłem tedy szpitale i laboratoria i zacząłem się wałęsać po Paryżu.

Atmosfera tego miasta to coś, czego nie da się z niczym porównać. Nie dlatego, że jest wielkie; są inne wielkie miasta na świecie; nie dla jego gorączkowego ruchu i łatwych rozrywek. Ale jest w tym mieście jakiś tajemniczy fluid, jakiś magnetyzm duchowy, który krąży w murach, ulicy, tłumie i powietrzu Paryża. Może to fluid wytworzony przez wieki całe historii, myśli i

wdzięku życia? Działanie to jest tak mocne, tak odurzające, iż wielu wrażliwych ludzi nie wytrzymuje wręcz nerwowo tego pierwszego zetknięcia z Paryżem: chcieliby wszystko wchłonąć, poznać, przeżyć; nie mogąc wszystkiemu nadążyć popadają w prostrację. Dostałem i ja takiego ataku neurastenii paryskiej, którą pomnażały jeszcze wyrzuty sumienia, że tak zaniedbuję poważne studia, dla których przyjechałem. Zdenerwowany, prawie chory, zamknąłem się w moim hoteliku, całe dni leżałem w łóżku, bo była ostra zima, a pieca tam nie było, jak wszędzie w dzielnicy studenckiej, tylko lichy kominek, i chcąc się tak czymś ogłuszyć, ogłupić, zacząłem – czytać książki. Wpadł mi w rękę jakiś tom Balzaka, pochłonąłem kolejno kilkadziesiąt tomów tego pisarza, całą prawie *Komedię ludzką*. Ta lektura Balzaka, przy akompaniamencie odgłosów Paryża dolatujących z ulicy, dała mi parę tygodni spędzonych jakby w fantastycznym świecie. Wieczorem, kiedy trzeba było wyjść z domu, aby coś zjeść wreszcie, szedłem na miasto, błąkając się po ulicach, żyjąc w dalszym ciągu z bohaterami *Komedii ludzkiej*. W ten sposób Balzak uczył mnie rozumieć Paryż, Paryż uczył mnie poznawać Balzaka.

Jest w Paryżu jedno cudowne urządzenie, mianowicie wybrzeże Sekwany, którego parapet na przestrzeni paru kilometrów zajmują kramy z książkami. Idąc wolno, zatrzymując się przy każdym, biorąc w rękę ten i ów tom, czytając tu i ówdzie po parę kartek, można spędzić kilka rozkosznych godzin, zanim się dojdzie od jednego końca do drugiego. Więcej powiem: od samego oglądania tylu książek, od samego wdychania ich myślącej stęchlizny człowiek staje się inteligentniejszy, rozszerza swój horyzont. Wobec stanu dzisiejszych nauk metapsychicznych nie widzę żadnych przeszkód do przypuszczenia, że esencja książki może wnikać do mózgu bez czytania, za pomocą samego oglądania i zapachu. Istnieje nawet bardzo piękna teoria okultystyczna w tej mierze... jeszcze dotąd w szkołach nie przyjęta, co może zresztą i lepiej.

Te spacery stały się moim nałogiem. Tam, mając przed oczyma najcudniejszy w świecie kamienny pejzaż starego Paryża, od Notre-Dame aż do Luwru, przy tych kramikach, z których dość często unosiłem jakiś tom do domu, przechodziłem na świeżym powietrzu kurs literatury francuskiej. Był to zresztą jedyny, jaki przeszedłem.

Tak z każdym dniem wchodziłem coraz bardziej pod czar tej myśli francuskiej, z którą czułem w sobie powinowactwo od dziecka, ale od której wraz z całym ówczesnym młodym pokoleniem odbiegłem dość daleko. Ale zwłaszcza jeden czynnik, najbardziej uroczy i lotny ze wszystkich, dopełnił tego zbliżenia. Była nim piosenka francuska, piosenka paryska. Zakochałem się w niej od pierwszej chwili, tłoczyłem się w każdej gromadce otaczającej ulicznego śpiewaka, zabłądziłem wreszcie tam, gdzie osobliwie uprawia się tę piosenkę, do tzw. kabaretów.

Nie lubię tej nazwy, daje ona powód do nieporozumień. O tak zwanym kabarecie paryskim pokutowały u nas najdziksze legendy. Wyobrażano sobie miejsce nocnych orgii, gdzie szampan leje się bez przerwy, a półnagie bachantki śpiewają i tańczą sprośności. Trudno o coś odleglejszego od rzeczywistości. W istocie jest to mała, najskromniej urządzona salka, gdzie przedstawienie zaczyna się po dziewiątej, a kończy regularnie, jak wszystkie widowiska w Paryżu, o trzy kwadranse na dwunastą. Szklankę piwa lub cienką kawę czarną opłacało się jako bilet wstępu. Publiczność to studenci, młódź artystyczna, ich przyjaciółki i inni miłośnicy piosenki, bo przychodzi się tam tylko dla niej. Toteż publiczność jest prawie wyłącznie miejscowa, francuska, cudzoziemiec zabłądzi tu rzadko, raczej chodzą do banalnych bulwarowych tinglów, utrzymywanych głównie dla nich, skąd wychodzą przekonani, że byli w „paryskim kabarecie”... Na estradzie ustawionej wśród publiczności zjawiają się muzycy lub poeci osobnego pokroju, śpiewający i recytujący wyłącznie własne utwory. Kobieta pojawia się na estradzie rzadko.

Pierwszego wieczoru, kiedy znajomy literat zaprowadził mnie do takiej skromnej budy w dzielnicy studenckiej, gdzie jednak można było słyszeć najlepszych piosenkarzy niedawno

wówczas rozbitego, a tak głośnego w swoim czasie w całej Europie „Chat-Noiru", siedziałem jak oczarowany. Ta piosenka, to sentymentalna i tkliwa, to iskrząca się dowcipem, o rozkosznie ironicznym akompaniamencie, to znów gryząca i krwawa znowuż na inny sposób objawiła mi w swoich rytmicznych skrótach wieki całe kultury i myśli, stała się dla mnie nowym łącznikiem między literaturą a życiem, odsłoniła mi nowe formy wyrażania się. To było dokończenie edukacji zaczętej przy kramikach nad Sekwaną. Ale rezultat tego wszystkiego był ten, że wałęsałem się po mieście mamrocząc fałszywie piosenki, martwiąc się, że zaniedbuję mój fach, i kłopocąc się, co ze mnie będzie.

Na razie wróciłem do kraju i do mego szpitala. Na zapytanie moich profesorów o stan francuskiej medycyny wyłgiwałem się dyplomatycznie, jak umiałem. Coraz bardziej czułem się obco, coraz mniej byłem lekarzem, a wciąż nie byłem literatem. Aby uciec od szpitala, który mnie przygnębiał, rzuciłem się do mikroskopu. Drukowałem w fachowych pismach rozprawy *O aglutynacji streptokoków*, *O pojawianiu się myelocytów we krwi osesków* i wiele innych pod podobnie futurystycznymi tytułami. Za te zasługi mianowano mnie pierwszym asystentem kliniki chorób dzieci. (Od tego czasu nerwowo nie znoszę dzieci.) Wreszcie dzięki tym wytrwałym pracom otrzymałem stypendium paryskie: po raz drugi znalazłem się w Paryżu i znów – to już moje fatum – dla studiów lekarskich!

Tym razem nie siliłem się nawet zachodzić do klinik, ale równocześnie czułem, iż jako stypendyście wypada mi przywieźć do kraju jakieś zdobycze naukowe. Wybrałem sobie tedy dział poniekąd intelektualny, dosyć zresztą zajmujący, zapoznałem się z żywym ówczesnym ruchem we Francji pod hasłem ochrony niemowląt. Obznajmiwszy się szybko z tym przedmiotem, żyłem sobie poza tym po swojemu. Wróciwszy do Krakowa wygłosiłem w Towarzystwie Lekarskim odczyt o instytucji „Kropla Mleka". Jakież było moje zdziwienie, omal przerażenie, kiedy w kilka dni potem, znakomity profesor ginekologii w Krakowie oznajmił mi: „Panie kolego (tak, mówił do mnie: „Panie kolego", to mnie strasznie głaskało po sercu...), jest ktoś, kto chciałby urzeczywistnić pańską myśl i założyć taką instytucję pod pańskim kierownictwem."

Była to pewna hrabina, zacna osoba, która chciała mieć ze swoim hrabią dziecko, a nie miała; jako osoba nabożna uczyniła w tym celu ślub, że założy coś dobroczynnego. Ta „Kropla Mleka" nadała się jej jak ulał. Złapany niby w pułapkę, rad nierad zorganizowałem tę pożyteczną instytucję, pierwszą, zdaje mi się, w kraju, i prowadziłem ją przez trzy lata, daję słowo honoru, sumiennie. Instytucja dostała na wystawie higienicznej we Lwowie złoty medal, hrabina powiła szczęśliwie syna (dwanaście funtów żywej wagi!) i – przestała się nią interesować, ja zaś korzystając z tego oddałem skwapliwie całe to mleko w inne ręce. W ten sposób, bardzo przypadkowo, jak wszystko w moim życiu, zostałem filantropem.

Byłem tedy filantropem, ale wciąż nie byłem literatem, i nie śniło mi się, że nim kiedy będę. Byłem w tej epoce bardzo nieszczęśliwy. Ale czas było zająć jakieś poważniejsze stanowisko w społeczeństwie, zostałem tedy lekarzem kolejowym: skusiło mnie to, że będę jeździł na lokomotywie.

Wśród tego wszystkiego, jak wspomniałem, zawsze żyłem w artystycznym świecie krakowskim: to było moje najbliższe towarzystwo i moja, że tak powiem, prywatna przyjemność. Lata owe był to bardzo bujny okres krakowskiego, a jeden z najbujniejszych polskiego życia artystycznego. Odrodzona Akademia Sztuk Pięknych, teatr przodujący wówczas całej Polsce, młode czasopismo literackie „Życie", Przybyszewski, Wyspiański – to był prawdziwy polski renesans. Z bogatego tego życia w młodej generacji nagromadziło się sporo humoru – bodaj galgen-humoru – który zawsze żyje w każdym pokoleniu artystów, ale który, w opłakanych warunkach naszego życia narodowego; w świętoszkowatej po trochu atmosferze Krakowa, nigdy

publicznie nie przychodził do głosu. Młodzi artyści schodzili się w cukierni Michalika koło bramy Floriańskiej. Był tam stały stolik malarski, gdzie kreślili swoje karykatury Sichulski, Frycz, Wojtkiewicz i inni sławni później lub głośni artyści. Przy tym stoliku skupiali się i literaci, i ich znajomkowie.

Do tej knajpy spadł pewnego dnia wprost z Paryża Kisielewski, młody autor głośnych sztuk *Karykatury* i *W sieci*. Już wówczas nurtował go początek choroby umysłowej, która miała go zmieść niebawem. Ale może to właśnie dało mu rozmach i sprawiło, iż rzucił myśl, która wydawała się szaleństwem: stworzenie „kabaretu artystów" w małym, cichym i świątobliwym Krakowie.

Tak powstał ów „Zielony Balonik", którego nazwę może ten i ów pamięta, chociaż to dawno temu, a który był ojcem i dziadkiem wszystkich tych stałych i wędrownych „kabaretów", mnożących się później bez liku po całej Polsce. Patrzałem z żywą sympatią na ten fajerwerk humoru, budzący we mnie echa wspomnień paryskich, ale tylko jako prosty widz: n i e b y ł e m l i t e r a t e m! Wreszcie, porwany prądem wesołości i ośmielony amatorską, bezceremonialną atmosferą, skreśliłem jakiś drobiazg, jeden, drugi, wierszyk, piosenkę, i sam nie wiedząc kiedy, stałem się jednym z filarów tego „Zielonego Balonika". Wszyscy się dziwili, ja dziwiłem się najbardziej, gdyż w życiu prywatnym raczej zdradzałem skłonność do melancholii. Że jednak nie śniło mi się o wydawaniu drukiem tych żartów pisanych dla zabawy jednej nocy, wciąż jeszcze n i e b y ł e m l i t e r a t e m!

Ten „Zielony Balonik", o którym może kiedy opowiem obszerniej, był dość odmienny od swoich paryskich pierwowzorów. Wynikało to z samych warunków małego miasta, w którym powstał. Nie był żadnym przedsiębiorstwem: wszystko tam było gratis, z wyjątkiem oczywiście napojów. Nie istniał rozdział pomiędzy sceną a publicznością: i owszem był między nimi bardzo ścisły łącznik w postaci wspólnie wypróżnianych butelek. Po prostu w soboty po premierze gromada wszelkich artystów i ich przyjaciół zbierała się w małej salce cukierni Michalika. Kto co miał do powiedzenia lub pokazania, wchodził na estradę. Trwało to zwykle do rana. Raz mówiony utwór już więcej nie wracał, na następną sobotę były wszystkie nowe. Tematów dostarczała głównie kroniczka życia artystycznego, była to mówiona i śpiewana satyra, czasem zarywała o politykę, o ile to, co się tam wtedy w tej Galicji robiło, można nazwać polityką. Zrazu wieczory te odbywały się co tydzień, później znacznie rzadziej, ledwie parę razy na rok. Mimo to „Zielony Balonik" przetrwał lat sześć czy siedem, a zakończeniem jego bytu była owa *Szopka krakowska*, która również wydała liczną progeniturę po całej Polsce.

Po jakimś czasie, przeglądając swoje szpargały, zobaczyłem, że tego jest dosyć dużo: namówiono mnie, czybym tego nie wydał. Mimo to wciąż nie byłem literatem, tak dalece brałem ten pierwszy tomik piosenek i fraszek za przygodny epizod w moim życiu lekarskim, w które tymczasem rad nierad wszedłem, że uważałem za potrzebne wziąć sobie pseudonim: nie mogłem przecież tą samą firmą sygnować recepty i kupletu! Za pseudonim posłużyło mi przezwisko dawane mi niegdyś na lekcjach angielskiego: Boy, znaczy chłopiec. Nie przypuszczałem, że go będę tak długo nosił, z czego wynikł później ten paradoks, że propaganda literatury francuskiej odbywała się pod angielskim pseudonimem: to już szczyt cudzoziemszczyzny... Sagalas London à Bałabanówka... Krytyk któregoś z pism, hańbiąc ze zgorszeniem te moje wierszyki, pochwalił mnie bodaj za to jedno, że wziąłem sobie pseudonim, aby nie paskudzić uczciwego nazwiska.

Te noce „Zielonego Balonika" był to chyba pierwszy wybuch śmiechu, jaki wstrząsnął poważne mury Krakowa od czasu, gdy Stańczyk płatał figle królowej Bonie. Kraków zatrząsł się najpierw z oburzenia, potem z ciekawości; ale na próżno, nikt poza małą gromadką uprzywilejowanych nie mógł się dostać do osławionej jaskini. Plotkowano za to na jej temat tym piękniej. Ale ten wyskok wesołości nie płynął z atmosfery, był to raczej wybryk artystów na

przekór otoczeniu, na przekór życiu, toteż z czasem piosenka zamarła.

Pióro ma tę właściwość, że gdy raz zacząć się nim bawić, nie daje już spokoju. Czułem potrzebę coś gryzmolić, poza rzadkimi wierszykami i piosenkami, które mnie nawiedzały czasem w najmniej odpowiedniej chwili, w pełni moich czynności lekarskich, gdy np. snując w głowie nową piosenkę, zacząłem mimo woli nucić w czasie badania czworga dzieci chorych na szkarlatynę. Proszę sobie wyobrazić minę stroskanej rodziny! Dwoistość mego zawodu stwarzała czasem komiczne epizody. Raz wezwano mnie na wieś pod Krakowem do pewnego obywatelskiego domu, do chorego dziecka, dziecko miało 40 czy 45 stopni gorączki, matka szalała z niepokoju. Zbadałem sumiennie dziecko i uspokoiłem ją, że to tylko zwykłe zapalenie gardła. Na to matka ochłonęła i zwracając ku mnie twarz jeszcze mokrą od łez, rzekła: „A teraz m u s i mi pan powiedzieć *Stefanię*!" (To był taki mój wierszyk, który był wówczas w modzie.)

Czułem tedy nieokreśloną świerzbiączkę w piórze, ale nie wiedziałem, co pisać. Powieści? Komedie? Skądże, nie byłem przecież literatem. Dręczyła mnie tęsknota za Paryżem, brakowało mi owego cudnego uśmiechu Francji, jej żartobliwej, a głębokiej mądrości, jej miłosnego powiewu. Zacząłem doznawać mglistej potrzeby, aby udzielić mego entuzjazmu, a zarazem stworzyć sobie w moim gabinecie s z t u c z n ą F r a n c j ę, coś niby modne dzisiaj w medycynie „sztuczne słońce górskie". Zacząłem tłumaczyć. Przypomniałem sobie chwile spędzone z Balzakiem i od Balzaka też zacząłem. Później przełożyłem *Mizantropa* Moliera, pragnąc ujrzeć na krakowskiej scenie moją wielką miłość, Molierowską Celimenę. Coraz więcej smakowałem w tej zabawie, stawała mi się nałogiem. Przestawać co dzień kilka godzin w najpoufalszym zbliżeniu z genialnym pisarzem – a nikt z nim tak blisko nie obcuje jak tłumacz – wydzierać zeń najskrytsze tajemnice języka i myśli, to przyjemność, po której wszystkie inne rozrywki wydają się mdłe. Ale zabawę tę uprawiałem bez systemu, dla przyjemności: nie byłem jeszcze literatem.

Kończyłem właśnie drukować pięć tomów Rabelais'go, kiedy wybuchła wojna. Wcielono mnie natychmiast do austriackiego wojska jako lekarza pospolitego ruszenia, dano mi wojskową czapkę na głowę, potem cały mundur. Znów znalazłem się na cztery lata w roli Molierowskiego „lekarza mimo woli". Szczęściem, zostawiono mnie w t w i e r d z y K r a k ó w.

W pierwszej chwili zdawało się, że wszelkie życie c y w i l n e zamiera, że wszystko zaleje żołdactwo i dzikość. Całe dni spędzało się w służbie lub kantynie prowadząc z lekarzami i oficerami wszelkich narodowości idiotyczne dysputy na temat wojny, kiedy się to skończy etc. Równocześnie z tym napływem dziczy wdarł się do szpitali i „stacji zbornych" inny, sympatyczniejszy element: rój ładnych i dystyngowanych pielęgniarek ochotniczek, cudnie pachnących pod swymi białymi kitlami, podnieconych atmosferą, spragnionych wrażeń, skłonnych do flirtu ze srogim Aresem. Wszystko to, wyznaję, wniosło na jakiś czas zamęt w moją duszę.

Ale niebawem chwyciły mnie z podwójną siłą dawne tęsknoty. Urzędując cały dzień po niemiecku, fabrykując niemieckie fałszywe raporty, cały czas poza służbą, a o ile się dało i w służbie, obracałem na swoje ulubione prace. Zawsze w stoliku pod raportami krył się jakiś tomik francuski, który chowałem jak student, kiedy usłyszałem groźny głos mego komendanta Niemca. Podczas gdy Niemcy z Moskalami tłukli się pod samym Krakowem, pławiłem się z rozkoszą w mądrych gawędach Montaigne'a. Kartezjusza przekładałem w mojej dyżurnej izdebce przy dźwiękach orkiestry żegnającej pułki, które odchodziły na włoski front.

Udało mi się z trudem przekonać drukarzy, że wojna nie przeszkadza drukowaniu książek. Przez jakiś czas byłem w Krakowie jedyną „firmą", która drukowała i wydawała książki. W najciemniejszym okresie wojny, w r. 1915, udało mi się założyć podstawy Biblioteki Boya; tom po tomie, prawie co miesiąc wydawałem, przeważnie zresztą własnym kosztem, ulubione moje przekłady. Z przedmów, jakimi je opatrywałem, urosły potem tomy *Studiów z literatury*

francuskiej.

Dziś liczba tych przekładów przekracza 80 tomów wierszem i prozą. Słysząc tę cyfrę, istotnie może ktoś pomyśleć: „Ależ to obrzydliwe, to nie człowiek, tylko jakaś maszyna do tłumaczenia, fe!" Otóż zupełnie przeciwnie, ani jednej litery nie robiłem z jakiejś pilności, z systematyczności, przeciwnie, każdy tom jest wypływem entuzjazmu i tęsknoty.

Jeżeli w pracach moich wędrowałem przez kilkaset lat wstecz, aż het do wieku XV, to z pewnością nie z jakiejś żyłki antykwarskiej ani broń Boże profesorskiej, ale z wyczucia na wskróś życiowego. Literatura francuska to jedyna może, w której wszystko trzyma się z sobą za ręce i wiąże się na przestrzeni co najmniej czterech wieków: nie podobna jej dobrze rozumieć, nie znając jej całej, przynajmniej w jej najtypowszych okazach.

Być może zresztą, iż w tej mojej pracy odezwał się instynkt naszych duchowych potrzeb. Duchowy nasz związek z Francją ma wiekowe tradycje: sięga w literaturze epoki Kochanowskiego i Morsztynów. Odblask literatury francuskiej przerwał u nas wiekową ciemnotę, stwarzając stanisławowski wiek oświecenia. Francji, sokom z niej czerpanym, zawdzięczamy rozkosz i dumę naszej literatury, Fredrę. Był to więc zawsze wpływ dobroczynny, zgodny z naszym naturalnym doborem.

Ale lata niewoli zrobiły swoje, odcięły nas murem od Francji, a zarazem poddały nas bezpośredniemu działaniu innych wpływów. Coraz bardziej stawała się nam obcą, coraz mniej rozumianą. Stopniowo utrwalało się lekceważenie dla wszystkiego, co francuskie, z wyjątkiem oczywiście perfum i konfekcji damskiej. Ogół nie znał Francji zupełnie, wykształceńsi znali ją powierzchownie, z modnej powieści i farsy. Podczas gdy Francja wciąż słała na cały świat promienie swej myśli, nauki, sztuki, u nas z przymiotnika „francuski" silono się czynić synonim płytkości i cynizmu. To, co jest w myśli francuskiej najczarowniejszego, jej ludzkość, jej prostotę, jej u ś m i e c h wreszcie, obrócono przeciwko niej.

Otóż w tym uśmiechu francuskim rozkochałem się przed laty, a cała ta moja praca miała instynktownie jedną przewodnią myśl: objaśnić, wytłumaczyć ten uśmiech. Wściekało mnie, że go nie rozumieją. Albowiem wieki całe nieprzerwanej, genialnej pracy i kultury myśli kryją się poza tym uśmiechem. Trzeba było zdeptać wszystkie ścieżki ducha, aby skrót mądrości pokoleń nauczyć się podawać w żartobliwej formie, trzeba było mieć Kartezjusza i Pascala, i Monteskiusza, aby wydać bodaj Caillaveta i Flersa. Rozbawiona pustota najuczeńszego człowieka swojej epoki, Rabelais'go, nie darmo jest kolebką literatury francuskiej.

Ileż zresztą odwagi, ileż heroizmu bywało w tym śmiechu! Z piosenką, z żartem na ustach przez parę wieków idzie duch francuski naprzód przed całym światem, niosąc mu światło, wolność i wdzięk życia, tak jak w ostatniej wojnie, śpiewając płochą *Madelon*, trwali żołnierze francuscy w bohaterskim oporze lub biegli do zwycięstwa. Ze śmiechem Rabelais naraża się na stos, aby swymi zuchwałymi żartami wywalczać tolerancję religijną; śmiechem obronił przyszłe pokolenia Molier od tego, by je świętoszek gnębił, filozof ogłupiał, a lekarz zabijał; śmiechem Pascal w *Prowincjałkach* oczyścił religię, śmiechem wreszcie wstrząśnięto murami Bastylii i śmiechem dano hasło do jej zburzenia. Bez tego francuskiego śmiechu źle by się działo na świecie! Prostota francuskiej mądrości, jedynej w tym od czasów starożytnej Grecji, również jakże często bywa zapoznana! Uczono nas całe lata, że mądrość to coś, co musi być niezrozumiałe, ciężkie, najeżone specjalnym żargonem naukowym; że mądrość, filozofia, nauka to coś wyłącznie dla ludzi cechu. Jakże odbija od tego mądrość francuska, która pozwala najuczeńsze dzieło czytać jak najbardziej zajmującą powieść! Bo też u kolebki tej mądrości francuskiej stoi swobodna i prosta gawęda Montaigne'a, tego jedynego filozofa, przed którym taki mózg jak Nietzsche skłaniał głowę, uznając go za swego mistrza.

Ludzkość wreszcie francuskiej literatury można by ująć w tym starożytnym godle:

„Człowiekiem jestem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.” Tam pisarz od wieków ma odwagę być sobą: pragnie dać z siebie nie cząstkę, ale pełnię swego życia. Śmiało zapuszcza się w głąb własnej duszy, odsłania jej wnętrze bez fałszywego wstydu i bez obłudy. Stąd zarzut niemoralności, jaki spada często na tę literaturę: nic częstszego niż spotkać się u nas z taką opinią. Trochę jest w tym nieporozumień opartych na różnicach obyczajowych naszego chłodniejszego i tamtego gorętszego nieba. Ale sama kwestia sięga głębiej. Niemoralność to był wszak zarzut, z jakim najwięksi pisarze francuscy spotykali się i we własnej ojczyźnie, zanim ich dzieła, te same, które były przedmiotem oburzeń, odleżały się dostatecznie i wypromowały ich na szkolnych klasyków. Niemoralny był Molier i Racine, i Diderot, i Balzak, i Gautier, i Flaubert, i w ogóle wszyscy byli niemoralni...

Otóż nastręcza się tu maleńki wniosek. Pisarze są to wychowawcy narodu, a o wychowywaniu sądzi się podobno po rezultatach. Myśmy mieli księdza Skargę, oni księdza Rabelais’go; myśmy mieli literaturę kaznodziejską, oni niemoralną: i jakiż był rezultat? Trzebaż się wreszcie zastanowić: jeżeli naród, chowany od wieków na niemoralnej literaturze, na niemoralnym teatrze, rósł tęgi, zdrowy, genialny, przodujący wszelkim ideom, wszelkim walkom o dobro ludzkości, to może jest jakaś omyłka w tych naszych pojęciach o moralności? Tak sądzę. Ta niemoralność literatury to jest ciągła walka o prawdę moralną, o szczerość, ciągła czujność przeciw kostnieniu pojęć, przeciw fałszom, które się w nie wciskają, przeciw obłudzie wreszcie. Toteż dziełem, które rozpętało największy krzyk o niemoralność był *Świętoszek* Moliera. Ta niemoralność to bujność sił żywotnych, to męska odwaga nie lękająca się spojrzeć życiu w oczy, kształtująca je na modłę jutra, a nie wczoraj. W ogóle trzeba się z tym pogodzić, że jednym z integralnych zadań literatury jest obrażać poczucia moralne swoich współobywateli.

Często zresztą, jak wspomniałem, dla nas, mieszkańców innego klimatu, niemoralność francuskiej literatury to po prostu jej erotyzm, to element kobiecy, jakim jest przepojona. Jest istotnie; tak dalece, że aż to razi nas, Sarmatów, z dawna nawykłych zabawiać się szklenicą w jednej izbie, podczas gdy białogłowy radzą o swoich białogłowskich sprawach w drugiej. Ale w zamian jakimiż cennymi darami opłaciła kobieta tę swoją inwazję we francuską literaturę! Od kilku wieków kobieta jest tam towarzyszką wszystkich chwil mężczyzny, a nie rzadkich jego momentów. (To jest, chcę powiedzieć, s t o s u n k o w o rzadkich, nie chcę nikogo obrażać.) Aby nie zostać samą, czego nie znosi, uczyła się w XVI w. po grecku; w XVII w. dyskutowała o teologii, o filozofii kartezjańskiej i wysubtelniła język; w XVIII w. zgłębiała ekonomię, wtargnęła do pracowni fizyków i obserwatoriów astronomicznych. I francuski pisarz nie chciał mówić tylko do mężczyzn: chciał mieć nie tylko słuchaczy, ale i słuchaczki. Kartezjusz przez wzgląd na swoje słuchaczki zmienia w pismach swoich łacinę na francuszczyznę czyniąc tym przewrót w całej filozofii; La Rochefoucauld kreśli swoje wiekopomne *Maksymy* dla zabawy pani de la Fayette; Wolter swój *Zarys historii obyczajów* dla pani de Châtelet, i tak dalej bez końca. Niewiele jest w XVII i XVIII w. we Francji dzieł, które by nie przeszły przez salon lub sypialnię jakiej damy. Czasami, zapewne w słabszych swoich chwilach, w tym obcowaniu duchowym, myśl zdrabnia się, schodzi do kobiety: ale częściej podnosi kobietę do siebie, nie czyniąc sama żadnych ustępstw, znajdując natomiast cudownie jasne i dostępne formuły wyrażania się. Owa prostota, jasność francuskiej literatury to w znacznej mierze owoc jej wiekowego współżycia z kobietą. Za tę niespożytą zasługę, jaką ma kobieta w k l a r o w a n i u się myśli francuskiej, a pośrednio wszechludzkiej, przebaczmy jej tedy te ażurowe majteczki, które nam – ku naszemu zgorszeniu – pokazuje czasem na scenie lub w powieści.

Oto są w krótkości rzeczy, które chciałem przypomnieć, dając polskim czytelnikom w ręce najcelniejsze dzieła dawnej literatury francuskiej. Dlatego ograniczyłem się do dawnej, że tutaj wydawała mi się moja interwencja bardziej potrzebna: dobra współczesna książka sama znajdzie

czytelników, ale nie znajdzie właściwego zrozumienia, o ile nie będzie podparta bodaj tą odrobiną klasycyzmu – choć to niepopularne słowo – którą ja starałem się zaszczepić moją Biblioteką.

Mogę z przyjemnością powiedzieć, że zamiar mi się udał. Szereg pisarzy, wprzód znanych w Polsce zaledwie z nazwiska, stał się tysiącom ludzi poufałymi przyjaciółmi. Znam dziś w Polsce zastęp entuzjastów i czytelników Moliera, Montaigne'a, Rabelais'go, Balzaka itd. Wielka literatura francuska stała się czymś bliskim i znanym: może nam poniekąd zastąpić naszych klasyków, których właściwie nie mamy, bo nasza żywa literatura zaczyna się dla nas naprawdę dopiero od naszej wspaniałej poezji romantycznej.

Nie mogę przemilczeć jednego elementu, który mi dopomógł w tej propagandzie: to element zgorszenia. Nie wiem właściwie, czemu się ono tak do mnie przyczepiło. Osobiście jestem człowiekiem raczej skromnym i obyczajnym. W przekładach moich utwory płoche – o ile nie mogłem pominąć ich zupełnie chcąc dać pełny koloryt epoki – zajmują stosunkowo bardzo szczupłą pozycję: mimo to utarło się, że ten skromny podpis BOY budzi zaraz u publiczności jakieś nieskromne myśli. Nie przeciwdziałałem tej legendzie, skoro się okazała tak korzystna dla propagowania moich ideałów: owszem, przyznaję się, iż raz wyzyskałem ją nawet świadomie. Kiedy mianowicie uznałem za kardynalny punkt do zrozumienia literatury francuskiej poznanie filozoficznej książeczki Kartezjusza *Rozprawa o metodzie* etc., a obawiałem się, że nie znajdzie dość chętnych odbiorców, opatrzyłem to dziełko tajemniczą opaską: „Tylko dla dorosłych", wyjaśniając lojalnie w przedmowie, że istotnie dziełko to jest tylko dla dorosłych, gdyż dla młodzieży jest o wiele za poważne. Ale skutek był piorunujący! Chłopczyki, panienki, starsi panowie, wszystko ciągnęło sznureczkiem do księgarni i wychodziło unosząc swego Kartezjusza pod paltotem lub w zarękawku, po czym biegli do domu, zamykali się na dwa spusty i zatapiali się w nim, aby się przekonać, co to jest za metoda, której oni jeszcze nie znają. Dzięki temu *Rozprawa o metodzie* liczy dziś po polsku cztery wydania, o którym to sukcesie z pewnością się temu filozofowi nawet w grobie nie śniło!

Nie uważam zresztą tej mojej działalności za ukończoną. Przeciwnie. Niedawno przystąpiłem do planowego wydania *Komedii ludzkiej* Balzaka, której całość zamierzona jest na dobrych kilkadziesiąt tomów. Wiele jest jeszcze dzieł, wielu autorów, których chciałbym przyswoić naszemu piśmiennictwu. Ale w pracy tej przeszkadza mi po trosze nowy element, który się wcisnął w moje życie. Skoro się już tak ze wszystkiego spowiadam, muszę powiedzieć i o tym. Tym elementem jest teatr. Wszedł on w moją egzystencję, jak wszystko inne, przypadkiem, ale przyczepił się do mnie i nie chce mnie puścić. Uproszony raz w Krakowie przez znajomego redaktora, abym w zastępstwie recenzenta „Czasu" napisał sprawozdanie, poszedłem pewnego wieczora do teatru (gdzie wprzódy pojawiałem się co prawda dość rzadko), no i jak poszedłem, tak zostałem tam cztery lata! Po kilku latach tego „flirtu z Melpomeną", uwiecznionego w kilku tomach pod takimże tytułem, przyszła mi dość zrozumiała ochota, aby się trochę zapoznać z tym, o czym tyle pisałem, i obejrzeć trochę teatr od wewnątrz, od strony kulis. No, ale jak kulisy, to już warszawskie, prawda? Zapomniałem wspomnieć, że od ukończenia wojny rozstałem się wreszcie ostatecznie z medycyną: będąc tedy zupełnie wolny, przeniosłem się do Warszawy i byłem tam przez rok kierownikiem literackim paru teatrów. Po roku doszedłem jednak do przekonania, że ładniej i przyjemniej jest oglądać dekoracje od strony pomalowanej niż od tekturowej i widzieć ładne aktorki jak ładny obrazek na odległość niż oglądać je z bliska z pokładem szminki na dwa palce... Wróciłem tedy na wygodny fotel krytyka teatralnego w Warszawie i siedzę na nim do dziś dnia, co mi zajmuje sporo czasu i odciąga od poważniejszych zajęć.

Jak państwo widzą, życie moje wypełnione jest wciąż jedną myślą, mianowicie: w ł a s n a

p r z y j e m n o ś ć. Pokazałem się i przedstawiłem bezwstydnie, ze wszystkich stron. Starałem się objaśnić, że błazen i człowiek nauki, że leniwy wierszokleta i zajadły pracownik to nie są dwie osoby luzujące się na przemian i wstydzące się jedna drugiej – jedna czcigodna, a druga kompromitująca – ale że to jest zupełnie jeden i ten sam człowiek. Kluczem do wytłumaczenia tego człowieka to rozkosz, namiętność, l u b i e ż n o ś ć!!! Pocałunek może być króciutki i lekki jak ulotna piosenka, może być łakomy i długi jak sześć tomów Moliera. Ale nigdy, przez całe moje życie literackie, nie miałem godziny, która by nie była przyjemnością, w której bym dźwigał moje zajęcia jak ciężar i uroczysty obowiązek. I dlatego w konkluzji na pytanie zawarte w tytule odczytu, przychodzi mi poważna wątpliwość: c z y j a w o g ó l e j e s t e m l i t e r a t e m?

PIERWSZY WIECZÓR

Przysiadłem przed kawiarnią „Pod Dwoma Magotami", gdzie mi naznaczył spotkanie pewien dziennikarz. Patrzę dokoła, jakże mi znane to wszystko. Kościół Saint-Germain-des-Près, pomnik Diderota siedzącego w fotelu, tuż obok ulica Bonaparte i hotelik, w którym mieszkałem za pierwszym pobytem w Paryżu. Jak żywe stają mi w oczach te chwile. Przyjazd, pierwszy wieczór. Czym było wówczas dla młodego dzikusa pierwsze zetknięcie z „Babilonem", to z trudnością można sobie wyobrazić dzisiaj. Życie pod wieloma względami wyrównało się ogromnie; oczywiście zewnętrznie. Automobile, kina, kawiarnie, reklamy, jazz, charleston, nagie tancerki, międzynarodowa *Markita* czy *Walencja* brzmi wszędzie ta sama, kobiety wszystkich miast zrobiły się podobne jak rodzone siostry, ta sama szminka, te same cieliste pończoszki, ta sama – prawie – swoboda i obojętność życia. Ale wówczas, przed ćwierćwiekiem, dla młodego chłopca przenieść się nagle w ciągu niewielu godzin z małego i cichutkiego szarego Krakowa do Paryża, to była feeria, to było zanurzenie się w świat tajemnicy, baśni.

Przybyłem późno wieczór, zajechałem do hoteliku, gdzie wiedziałem, że mieszka znajomy mój i powinowaty, młody malarz. Nie było go w domu. Zostawiłem oczywiście kuferek i puściłem się na Paryż, po omacku. Zabrnąłem w gąszcz ulic wiodących ku Sekwanie mając ledwie ogólne pojęcie o kierunku. Słabo oświetlone wąskie uliczki, sędziwe mury. Pusto, cicho. Naraz wyszedłem na wolną przestrzeń, owionął mnie chłód wody, znalazłem się na wybrzeżu, skąd rozpościerał się czarodziejski pejzaż Sekwany w nocy, z jej arkadami mostów, wzruszającym drżeniem świateł odbijających się w wodzie, czarnymi masami nadbrzeżnych gmachów. Przebyłem most, zapuściłem się w te czarne masy. Minąłem je, ujrzałem przed sobą długą, jasną aleję, lśniącą mokrym asfaltem, puściłem się nią jak pielgrzym, nie wiedząc, dokąd wiedzie. Nie chciałem pytać nikogo o drogę, było coś miłego w tym błądzeniu po omacku, w tym odkrywaniu Paryża. Sen na jawie. Po jakimś czasie odgadłem, że jestem w samym sercu, na placu Opery, owym słynnym placu Opery.

Zgiełk, tłum, hałas oszołomiły mnie nagle; orgia świateł dokonała reszty. Był to wówczas początek nowoczesnych reklam; dziś zapewne wydałyby się skromne, wówczas były oślepiające. *„Passez l'hiver à Pau, l'été a Aix-les-Bains"* wrzeszczało światłem z ogromnego gmachu naprzeciw Opery: nigdy tej zdrowej rady nie mogłem wprowadzić w czyn, ale zapamiętałem ją dotąd. Czy może być lepszy dowód skuteczności reklamy?

Bulwary! Skręciłem w nie i dałem się nieść fali ludzkiej, ogłupiały, potrącany, zaczepiany przez przekupniów fotografii i przez dyskretne dziewczęta. „Apéritif... raz po raz powtarzało się w ich propozycjach to nieznane słowo, dając mi uczuć niedostatek mego filologicznego wykształcenia. Arab w burnusie, Chińczyk, Murzynka, to znów polski język brzmiący na tych bulwarach jak egzotyczne narzecze... Terasy przed kawiarniami – w styczniu – rojne, nie skończony sznur dorożek, pojazdów, automobilów. Kwiaciarki, handlarze zabawek, krzyk gramofonów, różnojęzyczny szum, w którym dominowała jasna nuta paryskiej francuszczyzny. „Maryś, dziwujesz się?", przypominały mi się te słowa z Sienkiewiczowskiego *Za chlebem*.

Trzeba wracać. Skręciłem znów w boczne uliczki, niewinnie jak dziecię: nie czytałem jeszcze

dzienników, które by mnie uświadomiły o ich niebezpieczeństwach. Kontrast między hukiem i blaskiem bulwarów a sennym mrokiem ulic starego Paryża był przejmujący. Z przecznicy wysunęła się zupełnie stara, skromnie odziana kobieta, o wejrzeniu raczej czcigodnym. *„Viens chez moi, je serai bien polissonne”*, szepnęła do mnie. Upiór. Zląkłem się, zacząłem uciekać, straciłem kierunek. Brnąłem przez puste ulice zupełnie już na oślep. Bałem się. Wiedziałem, że aby dojść do domu, trzeba mi przebyć Sekwanę. *„Monsieur, où est la Seine?”*, spytałem zapóźnionego przechodnia. Na to dość dziwne zapewne pytanie popatrzył na mnie podejrzliwie, wziął mnie może za kandydata na topielca. *„La Seine est grande”*, odrzekł wreszcie, wzruszył ramionami i odszedł. Z innym dogadałem się lepiej, pokazał mi kierunek. Znów znalazłem się na moście, jakże już kochałem ten baudelairowski pejzaż z mroku, kamieni i światła. Już czułem się tutejszy. Dopytałem się ulicy i hotelu i znalazłem się u siebie. Malarz mój wrócił tymczasem. Oczywiście o pójściu spać nie było mowy, ja drżałem z ochoty zanurzenia się znów w Paryżu, on cieszył się przyjemnością oprowadzenia mnie po tym „piekle”.

I znów odbyliśmy tę samą drogę, przez mosty, przez Luwr, na bulwary. Już były puste, ale co kilkaset kroków wołały jakieś drzwi światłem. „Olimpia”! ta dawna, nie podobna do dzisiejszego banalnego dansingu, wydała mi się bajką wschodnią. Z pustej i ciemnej ulicy, po kilkunastu schodkach w dół, wchodziło się do sal natłoczonych, jasnych, z kilku stron brzmiała muzyka, pełno wymalowanych dziewczynek mówiących – po francusku. O cudny kraj, gdzie każda kokotka mówi językiem Verlaine’a, to uczucie raczej niż myśl napełniało mnie szczęściem. Siedliśmy w kącie sali przy szklance piwa, gawędząc z przystającymi na chwilę lub przysiadającymi dziewczynkami. Wydawały mi się takie grzeczne, takie dystyngowane. Nagle tumult w drugim końcu sali. *„Cochons! cochons!”*, woła publiczność, oburzona bardzo serio na jakąś parę; co robiła ta para, nie wiem, ale musiało to być coś szczególnego, aby wywołać tak żywiołowy protest bywalców „Olimpii”. I wiecie, jak zakończyła się historia? Garson przyniósł parawan i zastawił nim gorszącą parę.

Późno było, kiedyśmy się znaleźli znów na bulwarach. Pustka tych miejsc, naelektryzowanych gwarem, ma swoją wymowę. Malarz mówi: „Pokażę ci jeszcze coś.” Idziemy długo, przechodzimy znów jakiś most, jakiś plac, gdzie majaczą w mrokach wieże Notre-Dame, i kierujemy się za katedrą do małego budynku. Morga. Dziś podobno nie istnieje, wówczas wystawiało się tam trupy nierozpoznane; ci, którym ktoś bliski zginął, szli tam przede wszystkim go szukać. Trupy ustawione za szkłem, zamrożone, aby się nie rozłożyły. „Popatrz!”, wskazuje palcem mój towarzysz. Patrzę i ponad trupem widzę tabliczkę, anons opiewający, że ta sama firma dostarcza najlepszych maszynek do robienia lodów. Mrożonego trupa wyzyskano jako reklamę!

„To masz Paryż! – mówi mój przewodnik. – A teraz, chodźmy spać.”

„MÓJ ROMANS Z FRANCJĄ”

Prosi mnie redaktor pewnego pisma o felieton, poddaje mi nawet temat i tytuł: *Mój romans z Francją*... Niech i tak będzie; nadaje mi się ten tytuł. Istotnie jest coś z romansu, jest jakiś sekret erotyczny w tym powinowactwie duchowym, które odkąd sięgnę pamięcią, ciągnęło mnie ku Francji. To był jakiś instynkt prześladujący mnie wbrew rozsądkowi, wreszcie przemieniający z gruntu moje życie. Jak każdy romans, zaczyna się to od marzenia. Trzynasto- lub czternastoletni chłopak, chorobliwie nieśmiały, trafia w domu na modną francuską książkę: dzieje występnej miłości, analiza kobiecego serca, zapach dobrych perfum, szelest opadających na ziemię batystów i jedwabi, cóż za narkotyk dla uczniaka kującego na pamięć *Grażynę* w swoim pokoiku w maleńkim i cichym Krakowie.

To było moje pierwsze poznanie z Francją. Tak, to był prawdziwy romans, którego heroinami były kobiety Feuilleta, Bourgeta, Maupassanta... Jakiegoż uczucia doznałem, kiedy zabłądziwszy w Paryżu do parku Monceau, ujrzałem niespodzianie pomnik Maupassanta, gdzie pod popiersiem pisarza spoczywa na marmurowej kanapie młoda kobieta, biała, z książką w ręce, zadumana, ubrana w ową suknię z wielkimi bufami, jaką nosiły kobiety z czasów mej młodości. „Tyżeś to, kamienna kobieto, która wypiłaś tyle moich łez...”, szepnąłem w duchu.

Kiedy to było? Och, dawno: wówczas, kiedy jako świeżo upieczony doktorek, znalazłem się nad Sekwaną dla zapoznania się z klinikami stolicy świata. Nie chodziłem co prawda do tych klinik ani trochę. Coś wypędzało mnie na ulicę, kazało mi się wałęsać dni całe po bruku i asfalcie Paryża. Szczególne życie, którego wszystkie koszty znów opędzała wyobraźnia. Nie znałem nikogo, nie wiem, czy przez pierwszy okres pobytu miałem okazję powiedzieć dwieście słów po francusku, poza elementarnymi potrzebami, jak garson i praczka.

Skoro zdeptałem cały Paryż wiele razy wzdłuż i wszerz, najczęściej coś mnie ciągnęło na wybrzeże Sekwany, gdzie parapet, na przestrzeni paru kilometrów, zasłany jest książkami: antykwarnie na świeżym powietrzu. Kiedy w wiele lat później zaszedłem znów na to wybrzeże, ujrzałem straszliwe ulepszenie w tym handlu; książki, niby ciasteczka, w cieniutkich przeźroczystych celuloidowych puzderkach, aby się nie niszczyły od wpływów atmosferycznych, a może i dlatego, aby ich nie można było wyczytywać gratis.

Ale wówczas obyczaje były patriarchalne: wolno było książkę brać do rąk, oglądać, kartkować, czytać po trosze, niby to wahając się z kupnem. Toteż wędrówka taka przez wybrzeże trwała kilka godzin. Ale właściwie nie tyle się czytało w czasie tej wędrówki, ile obmacywało książki, oddychało ich zapachem. Dziwne zajęcie. Ale czy można zaręczyć, że to też nie jest sposób poznawania ich treści? Dziś, gdy inżynier Ossowiecki czyta zapieczętowane listy nogą, gdy poważni uczeni obiecują nam w niedługiej przyszłości, że będziemy mogli widzieć skórą, gdy zdobycze metampsychiki bezgranicznie niemal rozszerzyły nasz horyzont, czy mógłby ktoś twierdzić, że te włóczęgi po wybrzeżu nie były dla mnie kursem literatury francuskiej? Bo to fakt, że był to jedyny, jaki przeszedłem.

Nie umiałem nigdy pracować w bibliotece. Biblioteka zasmuca mnie, robi wrażenie cmentarzyska książek, przytłacza niestosunkiem między tym, co człowiek zdąży poznać, a

ogromem tego, czego nie pozna nigdy. „To już w ogóle wszystko jedno", myśli się ze zniechęceniem. Ogarnia jakaś nerwowość. Wybiec czym prędzej na ulicę, otrząsnąć się z tej stęchlizny, odetchnąć powietrzem... Ale zresztą jakże mógłbym wówczas pracować w blibliotece nad literaturą, skoro przyjechałem uczyć się medycyny? Nonsens.

Czytać to rzecz inna; czytać wolno każdemu, cudownie czyta się leżąc w łóżku, o ile można, cały dzień. Trzeba wygrzać inteligencję, zizolować ją od świata zewnętrznego. Było zimno, mokro... Kupowałem za parę groszy starą książkę na wybrzeżu, szedłem do domu i buch pod kołdrę. Ten etap mego romansu z Francją skończył się tedy, jak większość romansów – w łóżku.

Pierwsza książka, którą uniosłem ze straganu, znęcony jej intrygującym tytułem, to był *Kubuś Ffatalista i jego pan* Diderota. Przeczytałem jednym tchem, nie posiadałem się z rozkoszy. (Przez wdzięczność przetłumaczyłem ją potem jedną z pierwszych.) Przypadek zrządził, że o parę kroków od mego hoteliku stał pomnik Diderota, koło którego przechodziłem co dzień: przemiły pomnik, siedzi sobie Diderot na fotelu, z żywym gestem człowieka, który rozmawia. Stawałem odtąd długo pod tym pomnikiem, dopowiedział mi resztę powiastek swego Kubusia. I niech kto przeczy użyteczności pomników!

I tak ciągnęło się to życie wyobraźnią. „Tydzień książki"... w łóżku, a raczej wiele tygodni.

Dziwne spędzenie czasu w Paryżu, powie ktoś. Aby czytać Balzaka, na to nie potrzeba wyjeżdżać z Krakowa.

Z gruntu fałszywe rozumowanie, jak każde, które nie uwzględnia pierwiastka mistycznego. Wręcz przeciwnie. Przeżywać za młodu dzieje pięknego Lucjana de Rubempré na piątym piętrze paryskiego hoteliku, z porami mózgu rozpulchnionymi fluidem tego miasta, z dochodzącym z oddali głuchym drżeniem Paryża, które czuje się przez ścianę, to są emocje, których nie da się zapomnieć ani powtórzyć. Czytając *Stracone złudzenia* musiałem przestawać co chwilę, aby złapać oddech.

Ze spuchniętą głową, odurzony tym nadużyciem łóżka (o nieopatrzna młodości!), człowiek ubierał się wreszcie i wychodził na ulicę. Wówczas ciągnęło mnie tam, gdzie najgwarniej, gdzie nad wieczorem fala ludzka płynie korytem bulwarów. Bulwary sprzed lat trzydziestu, z epoki „żywego konia", o ileż więcej mówiące niż dziś, gdy nieprzerwany sznur zamkniętych pudeł przesuwa się trąbiąc w ucho i terkocząc motorami, a ruch reguluje się mechanicznie na komendę białej pałki. Ale wówczas ile żywej poezji płynęło bulwarem. Każda młoda kobieta z bukiecikiem fiołków wracała najoczywiściej ze schadzki. Co paręset kroków ze sklepu z gramofonami buchała melodia, gromada ludzi skupiona koło blaszanej tuby uczyła się jej na gorąco i za chwilę wychodziła nucąc na ulicę. Dziś, w epoce warszawskich „przebojów", nie wyda się to niczym nadzwyczajnym; w owym czasie dla chłopca przybyłego z sennego Krakowa ta piosenka tryskająca zewsząd, dająca niejako rytm myślom, działała jak narkotyk, niby „woda ognista" na dzikiego. Owo życie wyobraźnią, samo przez się upajające, czymże się stawało jeszcze skąpane w tej aurze miłosnej, którą oddycha *chanson* paryska! Te słodkie i jakby zmęczone melodie, wałęsające się po moim mózgu i siadające na kolana jego zwojom, dawały nową fizjognomię i nowy sens drukowanym światom. (Czytałem właśnie wówczas listy Diderota do Zofii Voland...)

Ilomaż powierzchniami zresztą migoce ta piosenka. Sentymentalna na ulicy, najbardziej sentymentalna w norach, gdzie zbierają się szumowiny społeczne, jakże znów staje się nieoczekiwanie inna, gdy zaiskrzy się ogniem dowcipu. To było dla mnie objawienie. Nowa kopulacja myśli, ociupinkę przewrotna. Sylogizmy śpiewane. Demonstracja *per absurdum*. Pułapki zastawiane zdrowemu rozumowi: idzie sobie, idzie, w takt melodii, pewnie, śmiało, kontent z siebie, aż tu bęc, leży, a refren skrzeczy nad nim szyderczo. Melodyjki ironiczne, zuchwałe, rewolucyjne. Pamiętam jakąś melodię „Chat-Noiru", której pierwsze takty

elektryzowały mnie wręcz: robiły na mnie wrażenie *Marsylianki* drwiącego intelektu...

Takie były wzruszenia owego kilkumiesięcznego pobytu w Paryżu, w czasie którego chodziłem jak pijany. Kiedy znalazłem się z powrotem w Krakowie, pijaństwo pamięci wciąż trwało. Mimo niewinności przeżyć, było to urzeczenie wręcz zmysłowe. I ten charakter zaciążył na drugiej fazie mego „romansu z Francją", fazie, w której przeszedłem z roli biernej do czynnej. Wszystko się pokiełbasiło w moim życiu. Medycyna poszła w diabły. Literatura, którą nasiąkłem na wybrzeżu Sekwany, zaczęła się we mnie telepać nad Wisłą. To, czego doznawałem, to była tęsknota, można powiedzieć, fizyczna. Nie mogłem żyć bez atmosfery Paryża: trzeba ją było sobie sfabrykować. Chciałem słyszeć piosenki, więc pisałem je. Chciałem oglądać na scenie Celimenę, Izabelę, Joasię, Rozynę – więc tłumaczyłem sztuki, których są heroinami, i wystawiałem je w teatrze. Chciałem dzielić się (cóż za perwersja!) z publicznością książkami, z którymi tyle przeżyłem w łóżku – więc ciskałem je w publiczność dziesiątkami tomów Biblioteki Boya. Wszystko to miało charakter sublimacji erotycznej, aż do *Ducha praw* włącznie. Nawet moje uczone *Studia z literatury francuskiej* noszą tytuł *Mózg i płeć*... Ma redaktor rację; to był romans i bardzo niebezpieczny.

ROK 1900

Spędziłem zajmujący dzień z nową książką Paul Moranda pod tytułem *1900*. Po prostu rok 1900. Kroniczka jednego roku, zestawiona tak zręcznie, że staje się zarazem i satyrą, i dramatem, i dokumentem. Morand uważa ów rok za przełomowy; zmierzch epoki, i to zarówno w rzeczach ważnych, jak błahych. Wystawa paryska z r. 1900 to dla niego apogeum kończącego się królestwa tryumfalnej burżuazji, owego świata bogatego, sytego, brzydkiego, zadowolonego z siebie, mimo iż kokietującego swoim „pesymizmem". Wojna, socjalizm, rozwój techniki wykopały przepaść między tym w c z o r a j a d z i ś; nigdy, zdaniem Moranda, nie było takiego odskoku; mniejsza jest odległość między berlinką Ludwika XVI a karocą koronacyjną Napoleona niż między paryskim omnibusem zaprzężonym w trzy białe konie a dzisiejszym hydroplanem.

Jakie charakterystyczne punkty widzi Morand we Francji roku 1900? Rozdarcie wewnętrzne – dziedzictwo świeżej jeszcze sprawy Dreyfusa. Wściekłe nienawiści wyrażające się w stylu, który przetrwał do dziś w inwektywach Leona Daudet. Nacjonalizm, antysemityzm wojujący. Koronacja mieszczucha w osobie prezydenta Republiki, pana Loubet. Nastrój wybitnie antyangielski; klęski Anglików w Transwalu przyjmowane z radością; popularność Boerów. Pociągnięcia antyklerykalne rządu: teatromania i *prestige* Akademii, wymowa Jauresa, strajki, premiera *Orlątka*, która czyni Rostanda bożyszczem chwili...

Wystawa powszechna. Niby zawieszenie broni po wojnie domowej. Olbrzymie miasto – C o s m o p o l i s – rozciągające się na przestrzeni kilku kilometrów nad Sekwaną. Zdobycze elektryczności, zaranie reklam świetlnych. Loïa Fuller. Czułości franko-rosyjskie. Olbrzymi książę Urusow komplementuje małego Loubeta, taksując tego reprezentanta Francji spojrzeniem. Ofiaruje mu, imieniem Rosji, mapę Francji całą z drogich kamieni; miasta są z brylantów, rzeki z platyny, wszystko spoczywa na wielkim płaszczu z gronostajów. Drogo ten prezent miał kosztować Francję. Sukcesy f o n o g r a f u. Pierwsza linia kolei podziemnej, nieufnie przyjęta przez babcie. Rewelacja Niemiec i ich druzgocącego przemysłu: „To Sedan przemysłowy!", wołają przerażeni Francuzi. Rewelacja Japonii, jej bohaterstwa, jej patriotyzmu, które miały się za kilka lat objawić w wojnie z Rosją, a które wyczuwa Paryż w sposobie, w jaki... umiera na scenie Sada-Yakko. Ameryka – to daleki naród bez znaczenia, który podobno ma dobrych dentystów; poza tym nikt nie interesuje się pawilonem amerykańskim.

W sztuce – s e c e s j a. Brama Wystawy, jedna z najpotworniejszych rzeczy, jakie zdarza się oglądać. Secesyjne meble „z makaronu"; afisze Muchy – epoka najgorszego gustu. Szkaradny Pałac Sztuki, gdzie nie dopuszczono nikogo prawie z malarzy, dziś uważanych za chlubę Francji. Królewskie kurtyzany – Otero, Cléo de Mérode; birbantki koronowanych głów incognito; orkiestry cygańskie, egzotyzm wschodnich ludów, Anamitki w czarnych sukniach ze złotymi smokami... Pociąg kolei transsyberyjskiej, dający za pomocą rozwijającego się płóciennego pejzażu złudzenie podróży do Pekinu... na Wystawie; w rzeczywistości zaś rewolucja w Chinach, pamiętna ekspedycja karna. Pierwsze zdobycze automobilu. Szybkość od 9 do 30 kilometrów: co powyżej to już niebezpieczne szaleństwo. Szoferzy w futrach jak Eskimosi, dla ochrony przed zimnem, jakie m u s i wytwarzać tak zawrotna szybkość. Książę Walii, zawsze na czele ruchu,

puszcza się w swoim komicznym dzisiaj pudle aż do... Wersalu, przewalczając uprzedzenie ludzi wytwornych, którzy z wysokości swoich zaprzęgów z pogardą patrzą na ten demokratyczny surogat konia. Brody i wąsy. Emil Zola, z brodą, na ciężkim rowerze, w spodniach zapiętych na sprzączki u dołu. Pierwsze entuzjazmy dla boksu. Napływ zagranicznej literatury: Ibsen, Dostojewski, Hauptmann, Björnson, Kipling, Tołstoj, Nietzsche. Sukces *Quo vadis*. Domowe lwy Sary Bernhardt. Mody do konnej jazdy: cylinder, czarny surdut, długie spodnie. Mody kobiece: długie suknie z pasmanteriami, wielkie upierzone kapelusze. Salony, „gdzie się rozmawia" i gdzie pani domu udziela kolejno głosu sławnym ludziom, nie pozwalając im gawędzić na stronie. Arystokratyczne kluby bojkotują republikę. Obżarstwo: Morand przytacza menu z piętnastu potraw, w którym, w odstępach kilku dań, d w a r a z y figuruje p u l a r d a w różnej postaci. Urywek rozmowy o kobiecie: „Ile ona może mieć lat?" – „Trzydzieści pięć." – „Jeszcze ładna n a s w ó j w i e k."

Autor sądzi ów rok 1900 bez synowskiej czułości. Epoka wydaje mu się niedorzeczna, płaska, bez gustu, śmieszna...

I kończy apostrofą pod adresem ojców: „Czemuście byli tacy? Czemuście tyle jedli i pili, że my dziś mamy podagrę? Czemuście przy lada okazji pokazywali zęby i przekazali nam wojnę? Czemuście byli tacy brzydcy, tacy bogaci, tacy szczęśliwi?..."

Czytałem tę zabawną i żywą książkę ze szczególnym uczuciem. Bo 1900 to był właśnie rok mego pierwszego poznania się z Paryżem. Przybyłem tam w grudniu. Było już po Wystawie, ale budynków nie zdążono jeszcze rozebrać, nie wszystkie przynajmniej. Jeszcze stała ta brama wchodowa, którą Morand uważa za model szpetoty. Fantastyczna osada z drzewa i stiuku ciągnęła się wzdłuż Sekwany, opustoszała, sczerniała, kruszejąca w gruzy. Lubiłem jeździć w stronę Trocadéro na imperiałce tramwaju i patrzeć na to umarłe miasto. Pokazano mi kawiarnię przy Boul'Mich', gdzie wedle tradycji, siadywał Oskar Wilde, który umarł miesiąc wprzódy, zapomniany, wzgardzony, on, bożyszcze Paryża sprzed kilku lat. Oglądałem na Polach Elizejskich tę defiladę powozów, strojów, kobiet, brałem udział w tych samych wydarzeniach, oddychałem tą atmosferą. Jak? – zaraz wytłumaczę.

To fakt, że książka ta żyje bardziej może dla mnie niż dla niejednego Francuza, który ją czyta dzisiaj. Pisze Morand: „Pytam na chybił trafił dzisiejszych młodych ludzi; żaden z nich nie słyszał o Pelletanie, o Marcelu Hebert, o Andrém." Tymczasem dla mnie wszyscy ci ludzie, wszystkie te wypadki to coś bardzo bliskiego. Jakim cudem? Obcy wówczas w Paryżu, wyzuty ze światowych możliwości, daleki od wszelkich – jakże zamkniętych – paryskich środowisk, skąd mi się bierze ta poufałość? Przez... p i o s e n k ę. Oto jedna ze specjalności Paryża, rzecz nie spotykana nigdzie. Kto zżył się z ówczesną piosenką, mógł znać wszystko: ludzi, wydarzenia, plotki; mógł być wtajemniczony w najpoufniejsze wypadki Paryża, zaciągać się jego powietrzem. Do tego stopnia, że dziś, czytając tę na wskroś paryską książkę Moranda, mam wrażenie rewii rzeczy doskonale znanych.

Tak, to sprawa p i o s e n k i p a r y s k i e j, tej uroczej kroniki dnia, która chwyta na gorącym uczynku wielkie i małe wydarzenia, elektryfikuje je rytmem, uskrzydla melodią. Wszystko! Wojna burska i noc poślubna Artura Meyer z prawnuczką wielkiego Tureniusza, i bankiet-*monstre* merów Francji (*Nos pères, messieurs, ont pris la Bastille, et nous, messieurs, nous prendrons le café...*), i prezydent Loubet inaugurujący Wystawę, i pożegnanie księcia Walii, gdy został Edwardem VII, głośna premiera czy podróż balonem... Nie potrzeba zaglądać do gazety; ma się w piosence wszystko, i więcej jeszcze. Któż by w istocie pamiętał dziś generała André i jego antyklerykalną kampanię w wojsku, zakończoną policzkiem Syvetona? Nikt, z wyjątkiem tych moich rówieśnych, którzy przyswajali sobie historię Francji – publiczną i poufną – w rytmach piosenki. Ci nie tylko wiedzą, kto był Pelletan, ale i wiedzą, że ten minister miał wstręt

do mydła; i że aktorka Jeanne Bloch była osóbką nieprzeciętnej tuszy; i że wódz antysemityzmu Drummont był łudząco podobny do Żyda; że powieściopisarz Jean Lorrain miał w miłości nieco specjalne gusty, i że prezydent Loubet był z Montelimar, ojczyzny nugatów, i wiedzą, co zabił na oficjalnym polowaniu (*Monsieur Loubet a tué un pivert...* słyszę jeszcze ten refren i paradną jego intonację!); i że Deschanel był arbitrem elegancji i jaką mowę wygłosił – odśpiewał – pod kopułą Nieśmiertelnych; i każdorazowy wybór nowego Akademika, i miłostki głośnych aktorek i światowców; i historia wielkiego krawca, który gdy pani ministrowa potrzebowała nagle sukni, zażądał, jako warunek, legii honorowej i otrzymał ją; i Déroulède ze swoją wieczną fanfarą; i dobrodusznie ośmieszony stary poeta François Coppée; i historia „satyra" w Lasku Bulońskim; i podróż ministra Delcassé do Włoch; i... mógłbym długo wyliczać zdarzenia, o których nikt już nie pamięta. – Bo niech nikt nie przypuszcza, że wystarczy mieszkać w Paryżu, aby wiedzieć, co się w nim dzieje. Przypomniał mi to żywo jeden epizod z książki Moranda, mianowicie słynny w owym czasie Fort-Chabrol. W domu przy ulicy Chabrol zabarykadował się wódz ligi antysemickiej, Jules Guerin, którego policja miała aresztować za jakieś polityczne ekscesy. Oświadczył z emfazą, że nie da się wziąć żywcem. Przez żaluzje błysnęły lufy karabinów, załoga składała się z czterdziestu ludzi. W piwnicy były zapasy żywności na kilka miesięcy – samej wody mineralnej 2000 butelek – ambulans, drukarnia. Policja była bezsilna; cały Paryż bawi się tą farsą, pielgrzymuje pod Fort-Chabrol; rząd nie chce użyć siły, aby nie drażnić; i trwa to przeszło miesiąc, i właściwie nie co innego skłoniło Guerina do poddania się, tylko to, że publiczność znudziła się zabawką i przestała się nim interesować.

Oczywiście historia tego Fort-Chabrol zapełniała co dzień wszystkie dzienniki europejskie (krakowskie także), wszędzie o tym pisano, mówiono, był to w istocie – jak na owe spokojne czasy – fakt dość niezwykły. Naturalne jest, iż po przyjeździe do Paryża jednym z pierwszych moich pytań był Fort-Chabrol: jakże byłem zdziwiony, że gospodarz mego hotelu w ogóle o tym zdarzeniu nie słyszał! Zrozumiałem wówczas to, co mówiono mi później nieraz, że Paryż jest nie tylko bardzo wielkim miastem, ale że to wielkie miasto składa się z wielu miasteczek, z których każde żyje własnym życiem.

Wróciłem z Francji do Polski z końcem marca r. 1901. Zastałem Kraków oszołomiony premierą Wesela Wyspiańskiego, która odbyła się przed tygodniem. I kiedy czytam sąd Moranda o roku 1900, i przymierzam go do tej samej doby u nas, odczuwam różnice. Zapewne, wiele z tych rzeczy brzydkich i śmiesznych mieliśmy i my; a tych, których nie mieliśmy w ogóle, znalazłoby się jeszcze więcej. Ale przynajmniej nie da się powiedzieć, aby zadowolony z siebie, syty i sentymentalny burżuj był dla nas symbolem owej epoki. Nie pozwoliły nam na to warunki – niestety czy na szczęście?... I w niczym może ta inność nie występuje tak plastycznie, jak w tych dwóch niemal równoczesnych premierach, paryskiej i krakowskiej: *Orlątko* i *Wesele*...

VILLON W CYLINDRZE

Wyznaję, że z pewnym oporem zabieram się do czytania powieści. Przebrnąć zwłaszcza przez pierwsze rozdziały, zapoznawać się z nowymi ludźmi, wchodzić w ich dusze i środowisko, dowiadywać się tylu niepotrzebnych rzeczy po to, aby wynieść czasem z tego tak niewiele! Toteż kiedy wziąłem do rąk świeżą wówczas, a tak już dziś głośną książkę Céline'a *Voyage au bout de la nuit*, zdziwiło mnie, że od pierwszej stronicy uczułem się wzięty, zelektryzowany. Rychło zdałem sobie sprawę, że owym c z y m ś, co przykuwa, jest język książki, tak odległy od zwykłych form literackiego stylu. Interesuje sam przez się, działa ożywczo, tonizująco, zaskakuje, niepokoi. A ten język, którym pisany jest ogromny, przeszło sześćset stronic druku liczący tom, to jest stylizowana gwara paryskiego robotnika czy półinteligenta, pisana, „tak jak się mówi", ze wszystkimi elizjami, z całym pozornym niechlujstwem dykcji i składni, z charakterystycznym nadużyciem słówka „que", powtarzań i przydatków, ale jakże soczysta i kolorowa! Ciągła inwencja tego języka, niespodzianki napotykane po drodze podtrzymują żywość wrażeń i pozwalają przebyć tę „podróż" do końca rozpaczliwej zaiste Nocy.

Ale zarazem, przy czytaniu tej książki, język jej budził we mnie echa jakby czegoś znanego. I w końcu to mgliste wrażenie zgęściło się w wyraźny obraz, cofnęło mnie z górą o trzydzieści lat wstecz. Stanął mi w oczach Paryż, zakątek „lewego brzegu", i tam, w maleńkiej norce – poeta recytujący swoje utwory. Tak, to jego przypomina mi ta gwara, słyszę wręcz jego głos przy wymawianiu pewnych zwrotów. Tego głosu nie podobna zapomnieć. To był Jehan Rictus, którego na próżno szukałoby się w antologiach i podręcznikach literatury, ale który ma do dziś swoich żarliwych wyznawców, uważających go za jednego z wielkich poetów Francji. Tego wielkiego poetę miałem szczęście za młodu nieraz słyszeć w kabarecie, gdzie prawo wstępu, łącznie z filiżanką kawy lub szklaneczką piwa, kosztowało 75 centymów.

Paryż ówczesny – około r. 1900 – różnił się dość zasadniczo od dzisiejszego, a różnicę tę stwarzał brak nowoczesnej komunikacji. Przez ten brak Paryż stanowił – pod noc zwłaszcza – pewną ilość odrębnych miast. Zaledwie od kilku miesięcy istniała wówczas jedna linia m e t r o biegnąca wzdłuż Sekwany, bez licznych żeber łączących dziś dzielnice z północy na południe. Nie było taksówek, tylko gnuśne i kosztowne dorożki. Wybrać się wieczorem z Quartier Latin np. na Montmartre, znaczyło narażać się – po północy – na godzinny powrót pieszo. To dawało obyczajom „lewego brzegu" pewien patriarchalizm; bawiono się u siebie. Po obiedzie studenci obsiadali kawiarnię wzdłuż Bulmiszu, aby kończyć wieczór w „Le Grillon" czy „Les Noctambules". Po ulicy, pomiędzy werendami kawiarń kręcili się chłopcy, obnoszący na kijach wielkie tablice z nazwiskami piosenkarzy i poetów, których można było słyszeć danego wieczora. Niektórzy występowali co dzień, miesiące całe i lata żyjąc kilkoma piosenkami; inni – zapewne mniej atrakcyjni – co kilka dni, od czasu do czasu. Między tymi zjawiało się nazwisko. które miało swoją klientelę: Jehan Rictus.

Poeta, który sam recytował swoje utwory, nędzarz i cygan, Rictus wyprzedził zarazem o trzydzieści lat spowszedniałą dziś, niestety, w literaturze figurę bezrobotnego inteligenta, na którego sam po smutnej młodości awansował, którego serce spowiadał w swych utworach,

pisanych tym właśnie „niemożliwym" językiem, dźwięczącym mi echowo w prozie Céline'a. Kwiaty liryzmu, beznadziei i humoru wyrosłe z błota Paryża, z hardej i ironicznej nędzy.

Wysoki, długi, chudy jak szkielet, w nieodmiennym czarnym tużurku i staromodnym, równie zniszczonym cylindrze, blady, z czarną brodą i płonącymi oczami, Rictus stanowił niezapomniane zjawisko. Zwano go Chrystusem Montmartre'u; w istocie głowa jego była stylizowana „pod Chrystusa". Miał własny, bardzo niefrancuski sposób recytowania swoich utworów; z rękami w kieszeniach, bez gestów, monotonnie na pozór i prawie bez akcentu, a jednak z jakąż wymową! Z tragicznego tła jego strof wyskakiwały rakiety pysznego humoru językowego, brutalne, nieoczekiwane, trzymały słuchaczy w napięciu. Kobiety to chlipały po trosze i ocierały łzy, to chowały zawstydzone oczy, to parskały zażenowanym śmiechem.

Widziałem go owej zimy wiele razy, ilekroć nazwisko jego pojawiało się na tablicy; poza tym nigdy później, będąc w Paryżu, nie spotkałem Rictusa, nie wiedziałem, co się z nim stało. Mówiono, że robi politykę, że jest – wedle ówczesnej nomenklatury – „anarchistą". Znalazłem gdzieś na straganie zbiór jego wierszy: *Les soliloques du pauvre*, książkę wówczas już na wpół zapomnianą. Ale oto teraz, w kolekcji „ Wielkich wydarzeń literackich" wyszła monografia tej książki (pióra Jeanne Landre): uzupełniłem sobie tedy obraz autora zarówno z tej monografii, jak z jego dawnej autobiograficznej powieści *Fil-de-Fer*.

Oto jakie były jego koleje. Był nieślubnym synem pewnego Anglika, który znowuż chlubił się, że jego praprababcia zgrzeszyła z królem francuskim Franciszkiem I, dając nieślubne życie jego praszczurowi. Matką młodego Randon (bo takie było istotne nazwisko Rictusa) była Francuzka, kobieta piękna, głupia i zła, niewydarzona aktorka, straszliwe połączenie dulszczyzny i kulis. Chowany przez matkę, która go niecierpiała, głodzony przy tym i bity, dzieciak był w dziewiątym roku życia statystą w rewii, w dwunastym kolporterem, w trzynastym roku chłopcem sklepowym; wśród tego pożerał ukradkiem książki, pisał wiersze, rwał się do literatury. Posłał jakiś utwór redaktorowi pisma literackiego; otrzymał przychylną odpowiedź i zaproszenie, z którego nie mógł skorzystać z braku przyzwoitego ubrania: tragedia! Wreszcie ujrzał się w druku, otarł się o kółka i kawiarnie literackie, wydźwignął się do godności inteligenta, ale nigdzie nie mógł zagrzać miejsca; czy to przez brak szczęścia, czy przez jakąś wadę charakteru wciąż tracił posady. W dniach swego bezrobocia tułał się, zdeptał za pracą wielekroć cały Paryż, sypiał – zawsze w cylindrze, jak Chaplin w meloniku – na ławkach i pod mostami, poznał – jak Verlaine – wywczasy szpitalne. Wśród tych wędrówek zetknął się z ludem paryskim. Uderzył go fałsz poezji, która w konwencjonalnym lub sztucznie sfabrykowanym języku eksploatuje motywy nędzy i nieszczęścia; odczuł bogactwo i siłę akcentów prawdziwego języka Paryża. Spróbował w tym języku tworzyć.

Pewnego wieczora zgłosił się do właściciela modnego wówczas kabaretu „Des Quat'z' Arts" głodomór z zapadniętymi policzkami, ofiarując się recytować swoje wiersze. Ponieważ przybysz miał pewne referencje literackie, gospodarz zgodził się na próbę – oczywiście gratis. Była to w istocie dość śmiała próba. Poezja Rictusa, to nie było zadzierzyste „skalne podhale" paryskich apaszów, które ewokował Aristide Bruant w swojej knajpie; Rictus był to człowiek-widmo, społeczny wyrzut sumienia, którego miano stawić do oczu burżujskiej klienteli. Czy jej przypadnie do gustu, czy jej nie wystraszy? Występ zyskał zawczasu pewien rozgłos w świecie literackim; oprócz zwykłej publiczności znalazło się w „Quat'z' Arts" sporo przedstawicieli literatury i prasy.

Debiut ten przypadł w jesieni tego samego roku 1896, w którym odbyła się opowiadana niedawno przeze mnie (patrz *Wakacje z prydumką*) burzliwa premiera *Króla Ubu*. Osobliwe było spotkanie się obu młodych autorów w pewnym efekcie. Zarówno u autora *Króla Ubu*, jak u autora *Les soliloques du pauvre* pierwszym słowem, jakim zadebiutowali przed publicznością,

było *„merde”*. A przecież się nie umówili, nie mogli się umówić, nie wiedząc wzajem o swoim istnieniu. Widać było coś w powietrzu... W tym słówku był sąd nad epoką, sąd nie pozbawiony trafności.

Wszedł tedy długi i chudy Rictus na estradę i zaczął swoją *Zimę*:

Merd’! V’ là l’hiver et ses durtés.
V’ la l’moment de n’pus s’mett’ à poils...

Publiczność – urzeczona tym zjawiskiem, tym głosem, tym nowym tonem – słuchała. To był prawdziwy „życiorys bezrobotnego”, który, dorwawszy się estrady, pluł ironią w twarz burżuazji opasłej i nieczułej i wybrylantowanym paniom od went i bazarów dobroczynnych, i wygadanym społeczniczkom. (*„Maam’ Sév’rine va rouvrir tous ses robinets...”*) I tu – jak na *Królu Ubu* – nie zbrakło incydentu oburzenia. Kiedy Rictus zadrwił w uświęconej osobie Wiktora Hugo z owych poetów, którzy robią świetne interesy na litości dla nędzarzy, zerwał się Catulle Mendès krzycząc, ale wyśmiano go, posadzono z powrotem na miejscu – dał pokój. Rictus zwyciężył: miał publiczność po swojej stronie. Elegancki Paryż tłoczył się co wieczór, aby na maleńkiej scence oglądać tego, którego reporterzy nazwali „Chrystusem Montmartre’u” od głośnego jego utworu *Le revenant*. Potentaci prasy, Lemaître, Jean Lorrain, poświęcili mu osobne felietony; stał się modny. Mógł się nareszcie odjeść trochę, bo dostawał w kabarecie po pięć franków za wieczór, a niebawem konkurencja ofiarowała mu dziesięć franków.

Entuzjaści wołali, że wniósł nową nutę w poezję francuską, że odnowił jej formy, mówili o Villonie, o tragicznych bufonach Szekspira. Mimo to, kiedy Rictus obchodził z podziękowaniem – jak mu to doradzono – łaskawą nań krytykę, spotkał się z charakterystyczną radą.

Lemaître – wówczas „książę krytyki paryskiej” – przyjął go dobrotliwie i rzekł: „A teraz, niech mi pan przyrzeknie, że pan będzie pisał wiersze takie jak wszyscy.”

Z kolei przyjął go król felietonu, Jean Lorrain. Ten powiedział: „Cieszę się, że moją kroniką mogłem pana postawić. A teraz niech pan nam dowiedzie, że pan potrafi być poetą takim jak wszyscy.”

Jak wszyscy! Wszędzie to okropne słowo! Nie! Wyrzec się tego, co było mu najbardziej własne, wyrzec się języka, który był jego zdobyczą? Za nic. Rictus wierzył, że jego droga jest dobra, i nie chciał z niej zejść. Wierzył, że ten mówiony język paryskiego ludu jest odnowieniem literatury, dezynfekcją poezji; że mówić o pewnych rzeczach nie da się inaczej niż we właściwej im gwarze. Bardzo zdecydowanie formułuje swoje literacko-społeczne credo w liście do Léona Bloy, „niewdzięcznego żebraka” (Bloy ogłosił autobiograficzny utwór pod tytułem *Le mendiant ingrat*), człowieka, który powinien był go zrozumieć, a który powtarzał te same banalne zarzuty.

„Język mój jest okropny – powiada pan. Czemu? – Czemu? Dlatego, że używam słów, które po większej części bliższe są źródłosłowów łacińskich i greckich niż wyświechtany słownik przeciętnych poetów? Naturalizm odbarwił kolor języka. Są wyrazy, zwroty, z których zrobiły się istne trupy. Jak odnowić pewne słowa wyciśnięte do ostatka, jeżeli nie wracając do źródła języka, który, ostatecznie, zawsze jest gwarą? Gwarą połączoną z narzeczem ludowym, zawsze dramatycznym i przejmującym. Czy pan myśli, że oficjalny język literacki też nie jest gwarą? Gdzie jest granica dobrego i złego języka? Język raz ustalony stanie się martwy.

Pisze pan o okropnym wrażeniu, jakie na panu robi ten sposób pisania. Ależ mnie właśnie chodzi o to, aby wywołać wstrząs i grozę. Zatem cel osiągnięty! Chodziło właśnie o to, aby burżuje zdali sobie sprawę z cierpień, jakie zadają, ze zbrodni, których odgłos zamiera w ich egoizmie i obłudzie, ze straszliwej doli nieznanych egzystencji, które miażdżą. I jakżebym to mógł osiągnąć, nie używając słów owych ludzi zmiażdżonych?

Zaiste, nigdy upodlenie człowieka, mego brata-niewolnika, nie dosięgnęło tego stopnia – nigdy, nawet w starożytności; i ja nie miałbym prawa pokazać go z całą furią ukochania? Wzniosłym hymnom burżujów wyjących na chwałę Postępu, Pracy itd. nie miałbym przeciwstawić tego obrazu, który woła: «Oto macie swój postęp! Oto macie swego człowieka pracy! Zrobiliście z niego bydlę, istotę, jakiej nie stworzyła nigdy żadna cywilizacja.»

Może pan być pewny, że kiedyś będę miał w ręku środki działania, straszliwą siłę mas, i że, o ile mi się uda, postaram się, aby kamień na kamieniu nie został z gmachu burżuazji. Wszystko jest lepsze, nawet powrót do barbarzyństwa, do pierwotnej jaskini, niż taki ustrój. Jeżeli kiedy będę mógł, już ja im wrzepię, tym burżujom, ja im wrzepię ich Postęp, ich Pracę, ich Sprawiedliwość, ich Równość, ich Wolność, takie, jak oni je rozumieją. Ja ich nauczę dać zdychać z głodu szczeremu artyście, wyzyskiwać siły robotnic i wypędzać je na ulicę; ja im dam alkoholizm i głód, i szaleństwo, i gruźlicę, i wypadki kolejowe, strzelanie do nieletnich, mordowanie, z których biorą się ich bogactwa. Dalibóg, powinni by mi uciąć głowę od razu, tak niezłomnie mam zamiar zniszczyć w mózgownicach ludu ogłupiający mit Pracy! Stać się kiedyś niebezpieczeństwem, grozą! Co za radość! Czy będę miał siłę i wytrwanie?"

Tak pisał poeta w r. 1900. Mimo że dopiero kilka lat minęło od jego debiutu, Rictus był wówczas już niemal zapomniany przez Paryż, typowy bohater jednego sezonu. Zużył się i opatrzył. Był zjawiskiem, którego nie da się na stałe wcielić w „program". Nie da się pięści buntu społecznego, upiornej twarzy rozpaczy i nędzy pokazywać co wieczór za biletami. Strój, w jakim pojawił się poeta pierwszego wieczoru, stał się kostiumem, skoro przestał być koniecznością. Te same strofy, powtarzane co wieczór z tym samym akcentem, z tym samym zmechanizowanym już efektem łez czy śmiechu, musiały stracić dla bywalców siłę swej eksplozji. Rictus przeniósł się na „lewy brzeg" Sekwany, gdzie słuchano go nie dla snobizmu.

Toż samo było i z autorem. Rictus przestał pisać. Nie wyszedł poza swój pierwszy tom i jeszcze parę wierszy. Czyżby mieli rację Lemaître, Jean Lorrain i ci inni, którzy mimo swych protekcjonalnych zachwytów uważali, że ta droga nie doprowadzi nigdzie dalej? To jest dość obojętne. Dać taką książkę, to wystarczy; to więcej niż niejedno płodne życie umiejętnego hodowcy własnego talentu. Są w tych *Soliloques* rzeczy niezapomniane, jedyne, choćby owe *Masons*, ta przeciągła elegia na chwałę – a raczej na niesławę – domów paryskich, domów przedmieścia, domów nędzy i szpetoty, domów-trumien opatrzonych oknami. (Rysunki Steinlena cudownie zilustrowały te *Masons*.) Albo te dziecinnie-zmysłowe marzenia nędzarza wiecznie niedojedzonego, niedospanego, niedogrzanego i niedokochanego, u którego „kompleks matki" zmienił się w istny „kompleks mamki", jakiejś kobiety rozłożystej, przytulnej, cichej i dobrej, kobiety wypoczynkowej, której bujna pierś streszcza dlań i poduszkę do spania, i butlę ciepłego mleka, i obiekt pieszczoty. Tym „mamusiom" – mamusiom jego marzeń – można wyspowiadać swoje życie, one rozgrzeszą ze wszystkiego, pocieszą i ukoją:

– „Moman, j'ai fait ci et pis ça!',,
Et a dirainet: – „Ben, mon cochon."
– „Moman, j'ai eu ça et pis ci!"
Et a diraient: — „Ben, mon salaud!"

Język Rictusa nie przeobraził poezji francuskiej; pozostał raczej jej wybrykiem, kaprysem. Ale przyszła chwila, że język ten znalazł nieoczekiwaną sojuszniczkę: wojnę. Wojnę, która sprawiła, że miliony Francuzów – bez różnicy sfery i wykształcenia – przez cztery lata mówiły soczystą gwarą okopów, jakże pokrewną tamtej. Nie mogło to spłynąć bez śladu, jakoż znalazło wyraz w pysznej książce Céline'a. I nie jest zapewne przypadkiem, że z największym

entuzjazmem powitał Céline'a ten sam Léon Daudet, który jeszcze przed kilku laty (1928) mówił o *Soliloques du pauvre* jako o arcydziele; który ze swoim wybuchowym temperamentem wołał: „Oddam całego Leconte de Lisle za jeden wiersz Rictusa", i który wciąż przepowiada Rictusowi wspaniałe miejsce w literaturze francuskiej.

Czy je zajmie? Nie wiem i nie mnie się w to mieszać. Kariera pośmiertna, niegorzej niż kariera życiowa, zależna jest od tylu ubocznych okoliczności! Wiem tyle, że Rictus, recytujący swoje wiersze w małej salce przy ulicy Champollion, jest jednym z niezatartych wrażeń mego życia. Usłyszeć, ujrzeć autentycznego Villona – choćby w cylindrze – to jest coś.

W chwili gdy poprawiałem korektę tego artykułu, w listopadzie r. 1933, przyszła z Paryża wiadomość o śmierci Rictusa.

ECHA PIOSENKI

Od czasu, gdy byłem profesorem uniwersytetu, zostało mi profesorskie roztargnienie: zawsze czegoś zapomnę, to parasola, to teczki. I tak, w poprzednim felietonie wprowadziłem na scenę p. Aubac, a zapomniałem go szerszej publiczności przedstawić: objaśniam zatem, że to jest dziennikarz paryski, korespondent pism warszawskich etc.

Drugiej rzeczy zapomniałem opowiadając o prowincji francuskiej i jej budzącym się zainteresowaniu Polską. Udzielono mi mianowicie w naszej ambasadzie wzruszającego dokumentu: list francuskiego uczniaka adresowany wprost do ambasadora. List, pisany uczniowskim pismem na kartce wydartej z zeszytu, brzmi:

„Panie Ambasadorze Polski!

Jestem uczniem niższego gimnazjum w Besançon i mam przygotować odczyt o Polsce; proszę tedy Pana najuprzejmiej o łaskawe nadesłanie mi fotografii, dokumentów oraz ekonomicznych i politycznych dat tyczących Polski.

Racz przyjąć, panie Ambasadorze, wyrazy mego głębokiego szacunku.

Georges Devillers

Dołączam markę za 50 centimów na odpowiedź."

Obawiam się, że nasze dzieciaki, ośmielone przykładem tej pięknej ufności, zaczną się masowo zgłaszać do p. Laroche o fotografię Józefiny Baker.

A teraz mówmy o czym innym, mówmy jeszcze raz o piosence.

Odkąd sięgnę pamięcią wstecz, zawsze się słyszy u nas felietonowe rozważania, czy piosenka we Francji się przeżyła, czy zanikła etc. Czy może zaniknąć to, co tkwi tak głęboko w charakterze rasy? Oczywiście daleko jest od czasów „Chat-Noiru", „bohaterskiego" niejako okresu piosenki, kiedy to tyle elementów złożyło się na jej wybuch. I formy ludowładztwa, tyle przedstawiające tragikomicznych kontrastów między ideami a ich ucieleśnieniem; i pierwsze pomruki nadciągającego nowego „ludu"; i zawód na republice, która nie uleczyła ran społecznych; i protest artysty przeciw pospolitości i obłudzie życia; i niezapominajki sentymentalizmu wyrosłe nad rynsztokami olbrzymiego miasta; i powiew od pól prowincji, skąd przybył do Paryża niejeden z tych śpiewających głodomorów – ileż nut, ileż tonów! I pierwszy raz zetknięcie artysty, cygana, anarchisty, który w maleńkiej sali na estradzie spotkał się oko w oko z arystokratą, z burżujem, ze światową lalą szukającą tam nowych dreszczyków, z dyplomatą lub zagranicznym księciem – było w tym coś podniecającego, coś twórczego. To był okres niesłychanego bogactwa form, bujności; niezatarte wspomnienie dla tych, co ten okres przeżyli. Kiedy miałem zaszczyt przemawiać w Sorbonie, po mnie mówił René Doumic, stały sekretarz Akademii, uważany po trosze za mamuta. (W artykuliku pt. *Nieprawdopodobny wirtuoz*, Wiktor Snell pisał: „P. Boy rozbawił samego René Doumica: to mówi wszystko!") Otóż przewodnim motywem przemówienia Doumica była – piosenka, były wspomnienia, gdy młodym chłopcem wymykał się do „Chat-Noiru", gdzie na estradzie skandalizował publiczność niejeden z jego dzisiejszych kolegów-akademików. Mówił Doumic o głębokim znaczeniu piosenki w życiu Francji, o poezji paryskiego bruku. To przemówienie reprezentanta Akademii stało się poniekąd

sensacją naukowego Paryża. „Pan Boy przybył do nas, aby działać cudy – powiedział w końcowej żartobliwej już apostrofie minister Marin – słyszeliśmy tu poważną «Revue des Deux Mondes» śpiewającą hymny na cześć «Czarnego Kota»; to się jeszcze nie zdarzyło."

Tak więc, na samym wstępie, w najuroczystszych murach zabrzmiało mi echo piosenki. Ale potem słyszałem je ciągle. Wszędzie spotykałem moich rówieśników, którzy w tej samej epoce, gdym ja się wałęsał po Paryżu, studiowali w Dzielnicy Łacińskiej i słuchali tych samych piosenek. Później, pożeniwszy się, zostawszy ojcami rodzin, zamknęli po trosze na kłódkę te studenckie przeżycia, jak czyni zazwyczaj Francuz, który staje się innym człowiekiem, skoro się „ustali"; ale jakże one, te drzemiące wspomnienia, są żywe! W jednym domu gospodarz, rozgrzany tymi wspominkami, ożywił się do tego stopnia, że zaczął przy obiedzie śpiewać dziesięcioma głosami udając dawnych szansonierów; służąca, Alzatka, która go znała jako poważnego człowieka, zaśmiewała się na ten widok.

Kiedy przybyłem do Colmar, prefekt wydał na moją cześć przyjęcie. I co za przyjęcie! Czerwony dywan na schodach aż na ulicę. „To bywało tylko dla marszałka Focha i dla prezydenta republiki", mówią mi zdziwieni tą pompą Colmarczycy. Tak w Alzacji cenią sobie przyjaźń Polski. Sala przybrana kwiatami, muzyka gra *Z dymem pożarów*, całe miasto defiluje przede mną, a ja robię łaskawie udzielnego księcia. Bardzo mi z tym było do twarzy. W rozmowie sympatyczny prefekt zagaduje mnie:

– Pan studiował w Paryżu?

– Studiował... to za wiele powiedziane!

– Zdaje się, że pan bywał w „Noctambules"...

– A, co to, to fakt...

Tuśmy się spotkali. Okazało się, że prefekt bywał tam pilnie w tych samych latach, słuchał tych samych piosenek, umie jeszcze wszystkie na pamięć. Usuwamy się dyskretnie za krzewy i zaczynamy podśpiewywać jeden drugiemu do ucha *Chanson d'antan* Montoji i inne po kolei. Zapominamy o gościach. Prefekt ma ładny tenorowy głosik, robię mu komplement, że i on sam pewnie śpiewa. „Ach nie – odpowiada – podczas wojny gazy zniszczyły mi głos..."

Zapewne to intermezzo sprawiło, że prefekt w mowie swojej podnosił głównie zasługi moje jako piosenkarza, zakończył zaś okrzykiem na cześć prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Ale zwłaszcza utkwiła mi w pamięci jedna scena, jak gdyby skomponowana do druku. W parę dni po moim występie otrzymałem list podpisany: „hrabia de L..." Hrabia prosił mnie o naznaczenie godziny lub zajście do niego w pewnym interesie literackim. Dość długo mieszkałem w Galicji, aby się nauczyć szanować hrabiów; nie chcąc być przy tym skrępowany godziną, odpisuję, że zajdę sam do hrabiego. Idę pod wskazany adres: skromny dom, oficyna, tylne schody, na drzwiach tabliczka z napisem: „Lekcje śpiewu." Myślałem, żem się omylił, ale pytam o hrabiego de L... Starszy pan, który mi otworzył, powiada: „Tak, to ja." Mam przed sobą typ w rodzaju pana Pobratyńskiego z *Dziejów grzechu*, rasowa piękna fizjognomia, wielka dbałość o siebie przy widocznym ubóstwie, twarz starannie ogolona, piękny staroświecki wąs.

– Pan miał do mnie interes? – pytam.

– Tak.

Oto jaki interes. Hrabia miał siostrę, znaną pisarkę z pseudonimem Champol, pisywała cenione przed ćwierćwiekiem powieści dla młodych panien; jedna z tych powieści dostała nawet *Prix Monthyon* (nagroda cnoty).

– Czy pan nie zechciałby przetłumaczyć paru z nich i znaleźć w Polsce wydawcy?

Z trudem wstrzymuję się od śmiechu; tłumaczę się, że mam inny zakres działania, jestem bardzo zajęty... Przez cały ten czas, głusząc naszą rozmowę, dochodzą z drugiego pokoju namiętne tony piosenki; raz po raz wracają słowa *tendresse-caresse-maîtresse-ivresse-sans cesse*

– klasyczne rymy wybuchów lirycznych z café-concert. Oryginalna lekcja śpiewu! Gospodarz widzi zapytanie w moich oczach.

– Tak, to żona moja daje lekcje, przygotowuje młodych adeptów do café-concert, do kabaretów... Także amatorów... Trzeba sobie pomagać w życiu... Ale ja powiem, żeby przerwali lekcję...

– Ależ nie, proszę pana, ja to pasjami lubię, ja też byłem piosenkarzem...

Na to hrabia ożywia się, machinalnym gestem odsuwa na bok nagrodzone za cnotę płody siostrzane, wypytuje mnie, opowiada... Inny człowiek! Pokazuje się, że ma przeszłość piosenkarską, żył blisko z całą gwardią „Chat-Noiru", nie występował sam, ale dostarczał piosenek śpiewakom z café-concert (zapewne z prawem autorstwa, bo taki jest los tych „murzynów" paryskiego rynku). Daje po trosze lekcje z żoną. Trzeba sobie pomagać... Nie wiodło mu się w życiu. Zrobił wynalazek: jakiś niesłychanie oszczędny sposób drukowania nut; nie wziął patentu, wynalazek ściągnął mu jego pomocnik i zrobił na nim majątek. Teraz hrabia ma nowy wynalazek, ale go już nie zdradzi nikomu. Nie wiodło mu się, stanowczo. Napisał operetkę, *L'enclos de Ninon* (gra słów z Ninon de Lenclos), nigdzie mu jej nie chcą wystawić, na to trzeba stosunków. Gdyby tak w Polsce?... Powiadam mu, że to nie jest mój dział, ale że znam sporo osób, może by mi przysłał egzemplarz. Ma tylko jeden; przepisywanie to kosztowna rzecz. Ale może mi coś przegra. Wymawiam się, że chyba innym razem, spieszę się...

– Niechże pan chwilę zostanie, przedstawię pana mojej żonie.

Wchodzimy do klasy śpiewu; na znak męża żona wyprawia ucznia, jakiegoś młodego niezgułę, i oto w nauczycielce, która uczyła za ścianą tych płocho-namiętnych akordów i poprawiała ich ekspresję, widzę zgrzybiałą niemal staruszkę...

– Pozwól, że ci przedstawię – mówi dwornie hrabia do hrabiny – pan jest z Polski, z Warszawy, krytyk teatralny, piosenkarz, kolega... Przegramy panu coś z *L'enclos de Ninon*.

I Filemon i Baucis zasiadają przy pianinie i za chwilę dwa zwiędłe, ale czyste głosy wyciągają duet miłosny.

Jakże daleko odbiegliśmy od początku wizyty: hrabia, starzec, wynalazca, siostra, nagroda cnoty, i w rezultacie – piosenka. Sorbona, Akademia. Alzacja, prefektura – piosenka. Wszechwładna, tryumfująca piosenka. Zwyciężyłeś, „Czarny Kocie"!

ZAKOŃCZENIE

Pewnego wieczoru lub raczej pewnej nocy, wychodząc z jakiegoś bankietu, spotkałem się w drzwiach z p. Marią Kasterską. Uszliśmy parę kroków razem.

– Gdzie można by jeszcze iść? – spytałem będąc w Paryżu niepoprawnym włóczęgą.

– Ja pana zaprowadzę.

Szedłem posłusznie, zaciekawiony. Wkroczyliśmy w najpoufniejsze zakątki Dzielnicy Łacińskiej, jakieś stare ulice, stare kościoły. Okazuje się, że pani Kasterska jest namiętnie zakochana w dawnym Paryżu, zna każdy kąt, każdy kamień, o każdym ma coś ciekawego do powiedzenia. Cudnie jest.

> Księżyc płynie swobodnie po przestrzeni bez chmur,
> tajemnych uczuć niepojęta władza
> odbiera sen, tęsknotę naprowadza...

jak śpiewają w operze.

– Miałam o panu gorsze wyobrażenie – mówi pani Kasterska z poważną minką – ale widzę, że pan dosyć dobrze umie chodzić.

– Po Paryżu? Choćby całą noc – odpowiadam.

– No, to pana jeszcze gdzieś zaprowadzę. Przecinamy Sekwanę samym cyplem Wyspy Św. Ludwika, okrążamy milczący Hôtel Lambert i przechodzimy na prawy brzeg. Jakże głęboko w nocy uśpiony jest Paryż, jak szanuje spoczynek nocny to najpracowitsze miasto! Wszystkie okna ciemne, jedynie na ogromnej płaszczyźnie bocznego ślepego muru błyszczy czerwoną firanką jedno samotne okienko. Nie wiem czemu, ale w tym oknie czytam nagle całą powieść Balzaka czy Barbeya. Mijamy wiele ulic, przystajemy pod starym pałacykiem pani de Sévigné – dziś muzeum – moja przewodniczka sunie przez labirynt ulic bez jednego wahania, z nieomylnością lunatyczki. Wchodzimy w zamknięty czworobok domów, tworzący ogromny plac, w nim ogród, po rogach cztery fontanny, w środku konny pomnik.

W tej chwili wszystko śpi. Światło księżyca leje się na tę pustkę. To plac des Vosges. Może tam byłem kiedy, może nigdy, ale w tej chwili wydaje mi się czymś czarodziejskim. Mury mówią, kamienie mówią, słyszy się je jak muzykę.

Późno jest, przejeżdża automobil, chcę odwieźć moją przewodniczkę. Odmawia z oburzeniem.

– Nigdy – powiada – w Paryżu nie używam tego wstrętnego pudła, chodzę piechotą. Niech pan jedzie, jeżeli pan zmęczony, wrócę sama, nie boję się.

Oczywiście ja znów się oburzam, jak przystało na rycerskiego Polaka i odprowadzam tę drobną i mężną kobiecinkę przez pół Paryża, aż gdzieś za Panteon, po czym, już o brzasku, leniwo wlokę się do domu.

Och, te powroty o świcie, pieszo, ileż mi one chwil przypominają. Ile razy tak wracałem. Powrót godzinę, półtorej godziny do domu w nocy nie był tu za studenckich czasów niczym niezwykłym. Dorożka była fantastycznym zbytkiem, zresztą nie było ich w nocy, a jeżeli która wzięła pasażera, to o tyle, o ile jej to było po drodze do domu. Ileż uroku miały takie powroty,

pełne myśli, marzenia, drażnione budzącym się życiem rannego Paryża. W szarzejącym ledwie brzasku ciągnęły wozy z warzywem, z mlekiem. Czasem doczekało się otwarcia piekarni, kupował człowiek ciepłą bułkę chleba, potem otwierali mleczarnię, świeżutki Gervais z chlebem, cóż za pyszne śniadanie w wygłodzeniu bezsennej nocy. Szło się wolno, smakując chleb, ser, poranek. W perspektywie łóżko, gorąca kawa i książka w łóżku, i utopiony w niej dzień, i znów Paryż – życie próżniacze, a pełne, nie zmącone żadną inwazją rzeczywistości.

Czy może istnieć idealniejszy teatr marzeń niż tu, wśród tych mówiących kamieni? Czarne wieże Conciergerie odbijające się w Sekwanie, to znów pomnik Maupassanta w parku Monceau i jego niemodna paryżanka w sukni z bufami albo Musset pod Komedią Francuską, wreszcie, o każdej porze dnia i nocy zawsze niespodziany, zawsze jak gdyby pierwszy raz widziany, plac Zgody! To znów, z wyżyn Sacré-Coeur, morze Paryża spowite delikatną mgłą. Ale każda ulica, trudno powiedzieć, na czym polega czar tych ulic. Ileż razy wówczas, przed laty, zmęczony chodzeniem, siadałem na imperialkę omnibusu i jechałem wszystko jedno gdzie, patrząc sennie, wystawiając się na promieniowanie miasta, niby w kąpieli słonecznej na działanie słońca. To znów wieczór, co za rozkosz przecinać miasto z lewego brzegu na prawy omnibusem w trzy siwe konie – sławny Batignolles-Clichy-Odéon – robić zakręt koło Saint-Sulpice, patrzeć z góry na te tak dramatyczne wody Sekwany, przepychać się w trzy konie długą ulicą Richelieu, zanurzyć się na minutę w gwarze przecinanych bulwarów i już piąć się pod górę na Montmartre, zaglądając niemal w niskie okna antresoli na tych wąskich, ludnych uliczkach!

Wyznam po cichu: w ciągu tych kilku miesięcy pierwszego pobytu nie byłem właściwie nigdzie; ani w żadnej bibliotece, ani w sali wykładowej, ani – o zgrozo – w Komedii Francuskiej. Nie znałem nikogo, nie zamieniłem dwóch słów z żadnym Francuzem. Pławiłem się jedynie w ulicy Paryża. Raz, pamiętam, spędziłem cały dzień wiosenny na jakimś skwerze, na przemian drzemiąc, gapiąc się, czytając *Cezara Birotteau*. Po kilku miesiącach tego wałęsania się wróciłem innym człowiekiem.

Magia Paryża! Niedawno temu zakrawałoby to na mistycyzm. Dziś, wobec wielu nowych pojęć naukowych, wydaje się to czymś zupełnie realnym, czyż nie mogą kamienie mówić, czy nie może dusza miasta wnikać w duszę człowieka nieuchwytnym fluidem?

Mury Paryża są bardzo szczodre. Kiedy człowiek wałęsa się po tym mieście, ma uczucie, że jest mądry. Złudzenie! To Paryż jest mądry za niego; odczuwa się to bardzo dotkliwie, kiedy się wróci do domu i wyjdzie ze sfery działania tej potężnej dynamo. Pamiętam jedno takie przedpołudnie, przed dwoma laty, w dzień wyjazdu z Paryża po krótkim pobycie. Siedziałem na terasie kawiarni, przygrzewało łagodnie majowe słońce, byłem trochę niewyspany, sączyłem aperitif (nauczyłem się już znaczenia tego wyrazu), przydrzemując trochę od czasu do czasu. Miałem uczucie, że jestem Diogenesem grzejącym się na słońcu. I nagle przyszło na mnie olśnienie. Ujrzałem przed sobą otwartą, wspaniałą karierę. Zastanawiałem się mianowicie, że w naszej epoce są ludzie uczeni i mniej uczeni, mędrsi i mniej mądrzy, ale że zanikła profesja, która istniała w starożytności: mędrzec. Co to był mędrzec, trudno dziś określić. Mędrzec nie potrzebował pisać książek, nie potrzebował robić wynalazków ani dokazywać jakichś szczególnych rzeczy; wystarczyło parę rysów, parę gestów – mędrzec. To był pewien stosunek do życia, do siebie samego, do świata. Taki Diogenes zerwał z kobietami i sprawił sobie drewniany kubek – mędrzec. Jakiś tam Greczyn nie uznawał innej linii tylko prostą: przyjaciele musieli za nim chodzić i pilnować go, aby nie wlazł do rzeki albo nie rozwalił sobie głowy o drzewo – mędrzec. Inny uszedł po prostu kilka kroków, aby zadać fałsz komuś, kto twierdził, że nie istnieje ruch – mędrzec. Kazałem sobie podać jeszcze jeden wermut. Słońce łaskotało mnie rozkosznie po twarzy. Coraz bardziej czułem się mędrcem. Widziałem przed sobą drogę życia tak wyraźnie, że układałem sobie, iż pierwsza rzecz po powrocie do kraju będzie zamówić sobie

bilety wizytowe z napisem:

B O Y
m ę d r z e c

Potem, w drodze, zapomniałem o tym. Przypomniałem sobie, kiedym wysiadał na dworcu w Warszawie. O biada! nigdy się nie czułem głupszy. Padał deszcz. Zajechałem do domu. Wróciłem do moich zajęć.

Biletów wizytowych nie zamówiłem dotąd...

DIARIUSZ SZLACHECKI DYREKTORA TEATRU

Nazywam książkę Kotarbińskiego *W służbie poezji i sztuki* diariuszem szlacheckim, bo ma ona w istocie coś z tej lektury. Dziennik jego sześciolecia teatralnego, premiera po premierze, statystyka ilości przedstawień, cytaty z recenzji, wszystko podane bez żadnej zaprawy, rzeczowo, drobiazgowo, miejscami niemal naiwnie. Ale kto jak ja ma w pamięci te jakże interesujące lata teatru krakowskiego, dla tego wszystkie te cyfry, wszystkie te szczegóły żyją i mówią. Jako przykład prostoty, z jaką ten odważny pionier teatru podaje fakty, niech służy jeden przykład: Kotarbiński powierzył inscenizację Dziadów Wyspiańskiemu; czyn śmiały, oryginalny; ileż mógłby nahaftować na ten temat! I ot, posłuchajmy, co on mówi:

„Gdy powziąłem zamiar wystawienia *Dziadów*, żona moja, ze swym kobiecym rozsądkiem i znajomością praktyki życiowej, poradziła, abym poruczył ułożenie tekstu autorowi *Wesela*. Dlaczego? Bo przewidziała bystro, że przy mnie zostanie zasługa wprowadzenia poematu na repertuar, a recenzenci krytykować będą pracę poety, który z konieczności musi dokonać licznych skrótów i modyfikacji... Przewidywania mojej żony sprawdziły się w zupełności..."

Czy nie rozkoszny ten passus, czy nie jest arcypolski ten hołd? Człowiekowi, który tak pisze, możemy wierzyć; książka kreślona z taką prostotą ma wartość dokumentu.

Takim jest Kotarbiński we wszystkim. Czy kiedy cytuje swoją rozmowę z Przybyszewskim („Panie Stanisławie – rzekłem do niego – dlaczego pan, człowiek wykształcony, przedstawiasz tak jednostronnie ludzką naturę, pod kątem erotyzmu?..."), czy kiedy z najlepszą wiarą uwiecznia banalne „głosy prasy", że coś „grano koncertowo", co innego znów „przednio", że coś „wypadło szczęśliwie", a nawet takie kwiatki znanego ze swoich andronów wieloletniego krakowskiego krytyka, który pisze po *Romantycznych*, że „Rostand otworzył szarą przędzą pleśni od dawna zasnute okno i wpuścił przez nie powiew świeżych prądów po stęchliźnie szpitalnej, jaką daje literatura modernistyczna..." I właśnie w tych rysach poznajemy z przyjemnością samego autora, zasłużonego na niwie naszego teatru, inteligentnego, pracowitego i twórczego działacza, który równocześnie zawsze zachował odcień jakiejś dobrodusznej naiwności; a z drugiej strony odbija się w tym diariuszu ówczesny Kraków, prowincjonalny partykularz, jeśli sądzić wedle materialnych możliwości, a jakże pięknie wywiązujący się z roli duchowej stolicy Polski, która mu na szereg lat przypadła. I wciąż czytaniu tej książki towarzyszą sprzeczne uczucia. Uśmiechamy się, kiedy dyrektor teatru notuje po latach, iż „krytyk zaznacza, że po skończeniu widowiska kurtyna podnosiła się pięć razy..." Ale zmienia się nasz nastrój, kiedy sobie uświadomimy, że tym „widowiskiem" była – premiera *Bolesława Śmiałego*, w inscenizacji Wyspiańskiego, w kostiumach i dekoracjach jego pomysłu. I ten olbrzymi – nawet dla najzasobniejszego teatru – wysiłek artystyczny obliczony był na ile przedstawień? – Na trzy! Sztuka szła t r z y r a z y, w następnym zaś sezonie powtórzono ją razy pięć. I Kotarbiński stwierdza, że dramat „zyskał wybitne powodzenie", i dodaje, że „to dobrze świadczy o publiczności, która popiera usiłowania stworzenia nowego istotnie scenicznego piękna .." I naraz ludzie, którzy pracowali w tych warunkach, urastają nam do rozmiarów bohaterskich!

Ileż tam osobistej pracy trzeba było wkładać w każdą z premier, które zmieniały się jak w kalejdoskopie! I znów diariusz notuje poczciwie każdą pomoc, jakiej udzielała niestrudzona towarzyszka artysty, tak dobrze znana w teatrze „pani Lucyna". Tu jakiś salonik, „urządzony elegancko na biało przez moją żonę"; tu w *Sonacie* Kisielewskiego „w głębi imitator ptaków specjalnie najęty odzywał się i tu, i ówdzie za kulisami; napełniliśmy scenę za pomocą rozpylacza zapachem żywicznym, gdy podniosła się kurtyna, wionęło na salę tchnieniem lasu – złudzenie było zupełne i bardzo estetyczne". Dzisiejszy widz, rażony w teatrze huraganowym ogniem reflektorów, uśmiechnie się czytając, jak w *Bolesławie Śmiałym* wydobywano efekty wodne za pomocą „latarni czarnoksięskiej"; ale pokręci z uznaniem głową, czytając, że gdy było trzeba, autentycznych mebli z XVI wieku pożycza na scenę Stanisław Tarnowski.

Raz po raz w tej sielance jakiś rys ofiarności, przywiązania do swego teatru. Młodzież statystuje „za niewielką opłatą na czytelnię akademicką". Czytając przypominamy sobie niedawne zajście w Warszawie, kiedy statystujący akademicy z powodu jakiegoś zatargu o płace grozili w wilię premiery strajkiem i chcieli pobić dyrektora teatru. Aby umożliwić wystawienie *Protesilasa i Laodamii*, Modrzejewska zrzeka się honorarium za jeden występ...

Ale niczym to wszystko w porównaniu do ofiarności sił, jaką składał sztuce cały teatr, począwszy od jego „dzierżawcy", który był w jednej osobie przedsiębiorcą, dyrektorem, kierownikiem literackim, reżyserem i czołowym aktorem. Jak on to robił? Warunki, w jakich pracowano wówczas, dziś wydają nam się fantastyczne. Premiera co sobotę: taki był niezłomny obyczaj. *Dziady* nie *Dziady*, *Faust* nie *Faust*, o czterech, pięciu próbach! I tak szło tam w najświetniejszych epokach, za Koźmiana, za Pawlikowskiego, za Kotarbińskiego i długo jeszcze później.

Kotarbiński przybył do Krakowa powołany przez Tadeusza Pawlikowskiego na stanowisko „bohatera", głównego reżysera i kierownika literackiego, z kontraktetm sześcioletnim. Ten wyjątkowy kontrakt był zrozumiały: Kotarbiński opuszczał dla Krakowa stanowisko w teatrach warszawskich, do których powrót, „splamiwszy się" patriotycznym repertuarem w Krakowie, musiał mieć odcięty. Otóż bardzo szybko, dla przyczyn ubocznych, stosunek z dyrekcją się zmącił; Kotarbiński znalazł się w niełasce u tego Neronka, jakim przy swoich nieocenionych zaletach znawcy sztuki i dyrektora teatru był Pawlikowski. Zaczęła się cicha walka, Pawlikowski bowiem smakował w tego rodzaju złośliwościach. Albo miesiącami nie dawał mu grać, albo obsadzał go tak, jak to on umiał. Kotarbiński, wedle ówczesnego obyczaju, miał co rok prawo do „benefisu". Do niego należał wybór sztuki, ale do dyrektora wybór daty. Raz wybrał *Koriolana*, Pawlikowski oznaczył premierę na 30 czerwca, ostatni dzień sezonu, i *Koriolan*, wystawiony po raz pierwszy w Krakowie, szedł raz jeden! Kotarbiński marzy o roli Keana. Zbliża się benefis, idzie do Pawlikowskiego.

– Dyrektorze, przychodzę porozumieć się co do benefisu.

– W y b o h n i e – powiada Tadeuszek grasejując – cóż pan w y b h a ł?

– *Keana* Dumasa.

– W y b o h n i e, ale któż będzie g h a ł Keana?

Wszystkie te kawały teatralne opowiadano sobie w kołach artystycznych w Krakowie i bawiono się nimi, ale Kotarbiński opłacił je kilkoma latami swego aktorskiego życia.

Ale przetrzymał, nie ustąpił. Może nie mógł spaliwszy za sobą mosty w Warszawie, może nie chciał dać swemu tyranowi tej satysfakcji. Pocieszał się deklamacją estradową, jeździł na gościnne występy i czekał. Pomagała mu w tym wytrwałość jego żony. Stworzyli miły dom o typie w Krakowie nieznanym. W trzech pokoikach skromnych, ale wypełnionych po brzegi dziełami sztuki, stworzyła pani Lucyna środowisko, gdzie spotykało się wszystko: arystokracja, teatr, „miasto", dziennikarstwo, sztuka. Kiedy przed nową kadencją teatralną kapryśny

Pawlikowski ociągał się z postawieniem swej kandydatury i postawił ją aż w ostatniej chwili, większość głosów na następne sześciolecie uzyskał Kotarbiński. Zdobył upragnioną placówkę do pracy.

O tym wszystkim nie pisze on w swoim ściśle rzeczowym diariuszu ani też nie pisze, jak w czasie przymusowej bezczynności musiał się w nim gromadzić ładunek, z którym od razu wystrzelił. Linia jego była poniekąd przeciwieństwem linii Pawlikowskiego i przez to właśnie w sumie te dwie dyrektury dopełniły się tak dobrze. Pawlikowski, modernista, otworzył okno na współczesną Europę: Ibsen, Maeterlinck, Curel, Strindberg, Hauptmann etc.; Kotarbiński oparł się na poezji polskiej wprowadzając na scenę dzieła uważane wprzód za „niesceniczne". *Kordian*, *Dziady*, *Nieboska*, *Sen srebrny Salomei*, *Wesele*, *Wyzwolenie*, *Bolesław Śmiały*... Ale te zasługi zbyt są znane i bezspornie stwierdzone, aby było potrzeba jeszcze raz je podnosić. Co natomiast warte jest podkreślenia, to właśnie warunki, w jakich się to działo.

Weźmy dla przykładu kulminacyjny moment jego dyrektury – trzeci sezon – i zajrzyjmy do „diariusza". Zaczyna się, jak zwykle, od patriotycznych sztuk pod adresem przejezdnych królewiaków. *Młodzi bohaterowie*, sztuka nieznanego autora, pada po dwóch przedstawieniach. Urbańskiego *Pod kolumną Zygmunta* – również dwa przedstawienia: drugie przy pustej sali. Potem idą *Dziady* „wypróbowane w ciągu tygodnia"... Po *Dziadach Ksiądz Marek* i długi, długi szereg premier, wśród nich takie, jak *Cymbelin*, *Sen nocy letniej* i *Henryk IV* Szekspira, *Nadzieja* Heijermansa, *Rękawiczka* Björnsona, *Budowniczy Solness* i *Mały Eyolf* Ibsena, *Gioconda* d'Annunzia etc., etc.

I czy wyobrażacie sobie, ile razy przeciętnie szły te sztuki, z których każda musiała pochłonąć ileż wysiłku? Trzy – wyraźnie – trzy razy! *Mały Eyolf* na drugim przedstawieniu świeci pustkami. *Albert wójt krakowski* – sztuka w pięciu aktach wierszem! – szła dwa razy. *Kapelusz słomkowy* Labiche'a – raz! I gdy przeglądamy inne sezony, ileż sztuk, które – zaledwie do uwierzenia! – szły jeden raz. *Sąsiadka* Rittnera, „sztuka, która (pisze krytyk) mogła się podobać tylko zwolennikom skrajnego modernizmu", szła raz; Curela *Nowe bożyszcza* raz etc. Bo mimo swoich wielkich aspiracji i jeszcze większych obowiązków, Kraków był małym miastem, publiczności teatralnej – poza utworem, który wyjątkowo trafił do szerszych mas – było niewiele.

Znowu przerzucam parę kartek... Czytam: „Sztuka Ronikiera wydała się mdłą i bezbarwną, tak że jej nie można było nawet powtórzyć..." Więc znów raz grana! Obok swoich wielkich sukcesów (*Kordian* – dziewiętnaście razy w ciągu sezonu!) teatr ten pełnił – mimo woli zapewne – rolę „studio" dla garstki publiczności, przed którą aktorzy tacy, jak Kamiński, Solski, Mrozowska etc. przegrywali raz lub dwa utwory młodych autorów lub obce nowości. Cóż za zbytek, cóż za pańskie przepychy spotyka się w Polsce!

Tak, te warunki, w jakich pracował teatr krakowski, to coś czemu wciąż trzeba się zdumiewać. Wiadomo, tak dziś jeszcze bytują niektóre teatry prowincjonalne, ale na nich nie ciąży tyle wymagań, tyle obowiązków. Tu w tych warunkach pracował lata całe teatr przodujacy, torujący nowe drogi, zdobywający wciąż nowe kręgi repertuaru, zmieniający pojęcia reżyserii i sceniczności, skupiający świetnych aktorów, odchowujący ich dla całej Polski. Bo kogo tam nie było? Solski, Kamiński, Przybyłko-Potocka, Mrozowska, Ordon-Sosnowska, Siemaszkowa, Siennicka, Wysocka, Tarasiewicz, Mielewski, Knake-Zawadzki, Roman, Sobiesław, Stanisławski, Jerzy Leszczyński, Zelwerowicz, ileż jeszcze najlepszych dzisiejszych nazwisk. Jak ci ludzie to robili, jak im sił i zapału starczyło, aby się uczyć wciąż nowych ról, nowych sztuk, często wierszem, które ledwo – po kilku próbach – zagrane, już schodziły ze sceny?

Z tych fatalnych warunków wynikały, osobliwym porządkiem rzeczy, szczęśliwe następstwa. Z jednej strony tzw. „żelazny repertuar", o którym tyle dziś się gada w Warszawie i wciąż na próżno, tam był prostą koniecznością. Skoro sztuka przeciętna nie szła nawet tygodnia, trzeba

było wciąż mieć w pogotowiu kilkanaście sztuk „żelaznych", którymi wypełniało się resztę dni.

Drugie następstwo to większa inicjatywa w przyjmowaniu utworów. Skoro wystawa kosztowała niewiele, skoro aktor przywykł wciąż uczyć się czegoś nowego, kalkulowało się zaś przeciętnie na trzy wieczory, teatr mógł wystawić wszystko, każdy mógł bez trudu docisnąć się, przebyć próbę sceny. Ileż w tym diariuszu widzimy takich sztuk granych na stracenie, ileż nazwisk, których w ogóle potem nie widać ani śladu. Ale w zamian cóż za wspaniałe zdobycze, co za atmosfera!

Bo pracując w ten sposób aktor nie był utalentowanym urzędnikiem teatru, ale zespoloną z nim jedną duszą. Był zresztą takim chudeuszem, że przy ówczesnych gażach mógł w istocie tylko siedzieć w teatrze i grać.

To zupełne oddanie się aktorów, zupełne wchłonięcie ich przez teatr, tworzyło z nich jakieś odrębne społeczeństwo, świat złudy, coś, co stwarzało poezję teatru, jego murów. Z tych kulis teatru krakowskiego, z ich poezji urodziło się *Wyzwolenie*: wystarczyło Wyspiańskiemu przenieść na papier rozmowy swoje ze starym „Stępcem", aby stworzyć postać „aktora"; z rozmów z Kamińskim urodziła się jego książka o Hamlecie. Bezpośrednim promieniowaniem tej atmosfery było otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie *Irydionem*; w niej wychowali się Osterwa i Schiller...

Jakże się to wszystko wydaje odległe, fantastyczne! Dziś w Warszawie teatry przywykły do tak wygodnych norm pracy, że kiedy sztuka idzie mniej niż trzy tygodnie, wydaje się to katastrofą. Nie znaczy to oczywiście, aby wzdychać do owego systemu improwizacji; warunki, w jakich rozwijał się teatr krakowski, były czymś wyjątkowym, czymś, co się nigdy i nigdzie zapewne nie powtórzy. Ale w epoce, gdy ten i ów skłonny jest widzieć zbawienie teatru w maszynowej centralizacji, dobrze jest przypomnieć sobie, że sztuka chętnie chodzi zgoła innymi drogami, że nieraz w najgorszych, najbardziej paradoksalnych warunkach duch płonie wielkim ogniem, a w najpomyślniejszych i najracjonalniejszych usypia głębokim snem... Teatry nasze w Warszawie są poniekąd w fazie takiej zamożnej drzemki; dlatego przeglądanie raptularza kochanego „pana Józefa", mimo że w istocie przenosi nas ledwo o ćwierć wieku wstecz, robi wrażenie egzotycznej lektury z innych wieków.

UROCZY ZNACHOR

Przed paru tygodniami ozwał się w moim gabinecie dzwonek telefonu. Mówi – Wincenty Lutosławski; pyta, kiedy mógłby mnie odwiedzić. Umówiliśmy się na po południu; oczekiwałem tej wizyty z zaciekawieniem. Samego Lutosławskiego spotkałem tylko raz w życiu, przed trzydziestu może laty; ale Kraków ówczesny pełen był dymów jego działalności. Potem straciłem go z oczu. Myślałem, że jest starszy; kiedy wszedł do pokoju, zdziwiłem się czerstwości i żywotności tego siedemdziesięciolatka o smagłej twarzy okolonej siwą brodą, z bardzo czarnymi, bystrymi a mętnymi oczkami.

Wyjaśnił przedmiot swej wizyty. Czytał – powiada – moje studia o Przybyszewskim; otóż obecnie zapoznał się z powieściami Anglika D. H. Lawrence i uderzyło go jakby wyraźne echo Przybyszewskiego – aż do pojedynczych zdań i zwrotów; pragnął podzielić się tym spostrzeżeniem, skontrolować je. Ale przyznaję, że ta kwestia mało mnie przejmowała, bardziej zaciekawiał mnie człowiek, który siedział koło mnie na kanapie; starałem się sprowadzić rozmowę mego gościa na niego samego. Dobrze trafiłem, bo okazało się, że właśnie w tej chwili wychodzi pamiętnik jego życia – *Jeden łatwy żywot*, jak brzmi tytuł. Żegnając się mistrz Wincenty wręczył mi egzemplarz książki, zachęcając mnie, abym napisał o niej.

W trzy dni później odwiedził mnie znowu. Przez ten czas zdążyłem przeczytać jego wspomnienia; rozmowa bardziej się kleiła. Niespodzianką był dla mnie duchowy f r a n k o f i l i z m Lutosławskiego. Okazało się, że był uczniem Gastona Paris, kolegą Josepha Bedier, że pisał za młodu po francusku pracę o szaleństwie Tristana i że wyniósł z owych lat niewygasły podziw dla francuskiej jasności myśli i elegancji formy. To nas zbliżyło.

– O, na przykład pan – rzekł Lutosławski – pan jest szkodnik, ale pan jasno pisze.

– To może gorzej? – rzekłem śmiejąc się.

– O nie, to lepiej, zawsze lepiej – odparł. – Ot, niech pan napisze o mojej książce, to bardzo jej pomoże. Może pan pisać o mnie absolutnie, co się panu podoba, ja się o nic nie obrażam.

– Kto wie – rzekłem – może napiszę. Co by pan powiedział na przykład na taki tytuł: *Uroczy znachor*? Zastanowił się.

– Owszem, może być i tak. Znachor to szerokie pojecie... Znachor... Czemu nie? – mruknął jeszcze i wyszedł.

Kiedy wziąłem do rąk książkę Lutosławskiego i przerzuciłem jej kartki, najpierw pociągnął mnie okres, który budził jakieś echa mojej pamięci: jego czasy krakowskie. Najpierw docent Uniwersytetu Jagiellońskiego, usunięty z katedry, powrócił jako mistrz zakonu elsów; przemawiał, agitował, fanatyzował, odbierał przysięgi na poczwórne śluby abstynencji, głosząc ideał etyczny, oparty głównie na wstrzymywaniu się od różnych rzeczy.

Należałem wówczas do tych, którzy sceptycznie patrzyli na tę propagandę; jest nawet w *Słówkach* jakiś wierszyk poświęcony „nowej wierze". Ale zdziwiłem się niemało, kiedy ujrzałem, że we wspomnieniach swoich sam Lutosławski poddaje dziś ową działalność druzgocącej krytyce. Stwierdza, że założenie w r. 1903 towarzystwa „Eleusis", opartego na poczwórnej wstrzemięźliwości, było „ciężkim błędem, bardzo szkodliwym w skutkach"; że

negatywne te podstawy wcale nie zapewniały odrodzenia duchowego; że „motywy abstynencji mogą być całkiem ujemne – najczęściej działa tu ambicja górowania nad innymi i wynoszenia się nad nich... Później się okazało – pisze – że wszystkie te abstynencje nie wykluczają wcale skłonności do kłamstwa, oszczerstwa, zazdrości, ambicji, próżności – i przez hasła negatywne ściągałem ku sobie ludzi ciasnych, słabych i marnych, a odstręczałem najlepszych..."

To szczere wyznanie godne jest filozofa, ale z drugiej strony nasuwa wątpliwość, czy człowiek, popełniający tak naiwne omyłki i zdolny w nich tkwić przez lat kilkanaście (boć, ostatecznie, przyczyną usunięcia się mistrza z „Eleusis" był fakt, że go właśni uczniowie wygryźli), nadaje się na „wychowawcę narodowego", za jakiego zawsze Lutosławski się uważał? A wreszcie, czy tej samej diagnozy nie przyjdzie mu rozszerzyć na inne ogniska swojej działalności? Przekonamy się o tym przy opisie genewskiej Kuźnicy. Ale zwłaszcza, na tle tych wyznań, szczególnej wymowy nabiera dla nas ustęp, w którym Lutosławski opowiada o tworzeniu kół elsów na Śląsku. „Bywałem – pisze – w Zabrzu i Gliwicach i zbierałem tam elsów górników potajemnie. Później władze pruskie skazały ich na sto kilkadziesiąt lat więzienia za te zebrania..."

Sto kilkadziesiąt lat więzienia za zebrania, których wartość sam mistrz skwalifikował jak powyżej; jest w tym w istocie wisielczy humor. *Jeden łatwy żywot*...

Ale mówmy po porządku. Zaletą książki Lutosławskiego jest, że pozwala nam objąć okiem całe jego życie i całą działalność. Życie to było długie, a czynność odbywała się na tylu planach, w tylu krajach, a nawet częściach świata, że bez takiego przewodnika łatwo się w niej zgubić.

Lata szkolne, lata uniwersyteckie. Gimnazjum w Mitawie, potem Ryga, Dorpat. Zrazu politechnika, bo jako najstarszego ojciec przeznaczał Wicusia do prowadzenia browaru. Paradoksalne jest, że ten apostoł abstynencji był całe życie współwłaścicielem gorzelni i browaru (piwo drozdowskie!), że z tych źródeł czerpał swobodę nauczania i że od przypadku, od woli ojca, zależało, aby jako posłuszny syn poświęcił się zawodowemu pędzeniu wódki.

Opisując dzieje swej młodości, opowiada nam Lutosławski dość obszernie, w jaki sposób ustrzegł się „zarazy socjalizmu" i rozwiązał sobie raz na zawsze kwestię socjalną. Po prostu, patrząc na życie swego ojca, nie mógł uwierzyć w krzywdy robotników. Bez kasy chorych ojciec dbał o zdrowie pracowników. Kiedy w Wielki Piątek r. 1870 spłonęła kaplica, zebrał ludzi i zbudowali pod jego komendą w ciągu dwóch dni nową, tak aby na Wielkanoc wieś nie była bez mszy. „Nie było rażącej różnicy między życiem tego kapitalisty a jego robotników. Życie było w domu skromne, wino tylko przy gościach, obiad zwykle z trzech dań, na kolację jedno. Zyski były używane na wychowanie dzieci i na spłatę długów zaciąganych na przedsiębiorstwa przemysłowe..." Słowem, kwestia socjalna wydała mu się fikcją, i w tych pojęciach wytrwał. Mimo to w swojej późniejszej działalności nie zaniedbał i robotników: Czytywał im *Króla-Ducha*.

Przemęczonemu forsowną nauką chłopcu lekarze zalecili odpoczynek. Puścił się w podróż po Europie, starając się poznawać życie i ludzi. W Paryżu zasięgnął rady słynnego lekarza Charcot, który poradził mu zaniechać wyższych studiów, a poświęcić się ogrodownictwu, co obudziło w nim „oprócz oburzenia i przekorę, i postanowienie, aby w nauce czegoś dokonać i dowieść temu Francuzowi, że się mylił". Zwiedza Niemcy, Heidelberg, gdzie „czeka przeszło tydzień na ojca i poczytuje sobie za swój obowiązek poznać różne odmiany win reńskich"; wreszcie wraca do Dorpatu, gdzie go czekają nowe egzamina. Zostaje kolejno kandydatem chemii, kandydatem, a potem magistrem filozofii, głównie pod wpływem profesora swego Teichmüllera, który poznał w nim „złotą naturę" filozoficzną. I wówczas, przy czytaniu Platona, zdarza mu się „rzecz najważniejsza, jaka mu się w całym życiu przydarzyła" – odkrycie lub uświadomienie własnej jaźni. „Uczułem się nagle odwiecznym i wiekuistym duchem, różniącym się zasadniczo od ciała,

przeto nieśmiertelnym i niezniszczalnym, a co za tym idzie – niematerialnym.” W ślad za tym idzie wiara, że on sam przeżył już wiele istnień i że „spowodowałoby ogromną przemianę, gdyby ludziom można było ukazać jasno, że są odwiecznymi duchami i że wszystkie nędze i krzywdy życia ludzkiego są tylko echem naszych zapomnianych grzechów...”

W swoich badaniach naukowych zdradzał młody kandydat inicjatywę, nawet tendencje odkrywcze. W chemii rzucił myśl analogii między przyśpieszoną szybkością reakcji chemicznej a ruchem przyśpieszonym spadających ciał; w filologii – pomysł „fonetycznej poetyki”, skrytykowany przy egzaminie i odrzucony przez prof. Baudouina de Courtenay. Miał lat dwadzieścia trzy, kiedy złożywszy egzaminy puszcza się w świat na dalsze studia. Paryż – tu następują entuzjastyczne karty na chwałę myśli francuskiej; Londyn – tu niemal liryczny opis znakomitej organizacji pracy w British Museum, istnym raju dla pracowników naukowych, gdzie sam katalog biblioteki składa się z 2000 tomów, nie licząc znakomicie zgrupowanych katalogów specjalnych. Dalej Portugalia, Hiszpania. I tu zachodzi znów w jego życiu fakt świadczący o jakichś odrębnych cechach jego psychiki. Lutosławski poznaje w Madrycie (1886) młodą pannę, wcale już głośną poetkę hiszpańską. Na drugi dzień po poznaniu, ona ofiarowuje mu swoją książkę, on dopisuje po polsku pod jej dedykacją: „Ta kobieta będzie moją żoną.” Od tej pory traktował ją jak przeznaczoną sobie, jak swoją oblubienicę, narzucił jej niejako tę wiarę. Ale nie była to miłość w zwykłym znaczeniu. „To jakiś tajemniczy mus mnie wołał, niepodobny do miłości ani do pożądania... Od samego początku nigdy nie wyrażałem najmniejszej wątpliwości, że musi się stać tylko to, co ja sam zechcę. Nie pytałem się wcale o zgodę, tylko arbitralnie objawiałem wyrok nieodwołalny i zaraz pisałem o celu, mianowicie o powołaniu do życia syna, który by czegoś mógł dokonać dla Polski. Przytaczałem widzenie Księdza Piotra, ukazujące mu bohatera narodowego, urodzonego z matki obcej. Wprawdzie sobie nie mogłem przypisywać krwi dawnych bohaterów, bo nigdy w historii nie napotykałem żadnej wzmianki o moich przodkach, lecz przecież każdy polski szlachcic czuł się równy dawnym wojewodom. Więc mogłem i ja spełnić wróżbę księdza Piotra, spełniając zarazem wróżbę osobistą. Nawet imię miałem gotowe dla syna...”

Ta dość zadziwiająca w młodym kandydacie chemii i filozofii wiara, że on właśnie ma spłodzić syna, którego imię będzie 44, ma swoje źródło w przeżyciu lat chłopięcych. W gimnazjum w Mitawie, w czternastym roku życia, poznał pierwszy raz trójcę wielkich poetów, których dzieł, jako zakazanych, w domu nie było; wrażenie było wstrząsające i pozostało mu na całe życie. Wieszcze nasi, których traktuje ryczałtowo, raczej niby jakąś Biblię polską niż indywidualnie jako utwory poetyckie, stali się przedmiotem jego kultu, podstawą jego swoistego mesjanizmu.

Wiara w przeznaczenie tego małżeństwa miała doznać bolesnego zawodu. Widzenie Księdza Piotra zawiodło. Ze związku z „matką obcą” przyszły na świat – same córki. Nie zachwiało to mistycznej wiary filozofa w posłannictwo swoich lędźwi. Cytowałem swego czasu list Sewera do Elizy Pareńskiej, w którym dobry Sewer, zaprzyjaźniony z żoną naszego mistyka, informuje:

„Pisała L..., że 44 już w drodze, tylko nie przez nią. Znalazł Lutuś podobno na Wołyniu matkę «cudzoziemkę», która pozwoliła na to, aby z niej (i Lutusia) przyszedł na świat «a imię jego 44»...”

Na razie doprowadził młody uczony do skutku małżeństwo, mimo pewnego oporu rodziny. Zarazem szukał dla siebie pola do pracy, do głoszenia myśli filozoficznej. Nie było o to łatwo przy dyplomie jego, ważnym jedynie dla cesarstwa rosyjskiego. Wreszcie otrzymał profesurę filozofii w Kazaniu, gdzie spędził lat trzy. Wśród tego umiera ojciec, zostawiając do podziału z rodzeństwem znaczny majątek, co pozwala filozofowi swobodnie zorganizować sobie życie. Po uregulowaniu schedy, odwiedza Amerykę i jest świadkiem osobliwego „kongresu religii, gdzie

zaproszono przedstawicieli różnych wiar, aby sobie wzajemnie wyjaśnili, co stanowi treść ich przekonań". Przypomina się powiastka Woltera... Zarazem amerykański przyjaciel ułatwia na prośbę filozofa poznanie większej ilości milionerów, którzy odsłaniają mu sekret swego życia. „Ogólnym rezultatem – pisze nasz Pangloss-optymista – było potwierdzenie tego doświadczenia, jakie wyniosłem z dzieciństwa patrząc na rodzonego ojca... Ci ludzie przede wszystkim budzili od pierwszego wejrzenia duże zaufanie jako pracownicy rzetelni, którzy najmniej dbali o siebie, a zawsze najwięcej dbali o to, by innym w jakiś osobliwy sposób życie ułatwić." Każdy z nich, „dążąc do tego celu bezinteresownego, zrobił duży majątek"...

To było w roku 1893; podejrzewam, że od tego czasu milionerzy cokolwiek się zmienili.

Po Ameryce jeszcze Londyn, gdzie pochłaniając wszystkie gałęzie wiedzy jawnej i tajnej, zapoznaje się z Hoene-Wrońskim, którego określa jako „trzeciorzędnego niemieckiego filozofa, piszącego po francusku i pragnącego uchodzić za Polaka".

Wreszcie osiedla się z rodziną w Hiszpanii, gdzie kończy dzieło o Platonie. Tam pędzi rajski żywot, pracując nago na wielkiej oszklonej werandzie. Tam przychodzi na świat – czwarta córka; utwierdza to naszego mistyka w przekonaniu, że związek jego był omyłką, co się też wyraża „przesileniem wewnętrznej jedności rodziny".

Z dzieła Lutosławskiego o Platonie największe uznanie zyskało to, co on sam traktował raczej ubocznie, mianowicie s t y l o m e t r i a; bardzo pomysłowy system, w którym za pomocą pewnych właściwości stylu, powtarzających się form, słów i zwrotów badacz nasz znalazł nową podstawę do ustalenia chronologii dialogów Platona. Dzieło, wydane po angielsku, dało mu kredyt moralny dla działalności, jaką później rozwinął w tym języku.

Ale już głos wewnętrzny wzywał filozofa do kraju. Robiono mu nadzieję katedry w Krakowie. Doktoryzuje się w Helsingforsie, w Lipsku wydaje dzieło *Seelenmacht*, w którym rozwija pogląd oparty na świadomości odwiecznej i niezniszczalnej jaźni własnej. „Przyznawałem – dodaje szlachetnie – podobne jaźnie innym ludziom, a także zwierzętom i roślinom... Sięgałem wyżej i uznawałem jaźnie istot wyższych niż ludzie, aniołów i archaniołów. U szczytu tej hierarchii duchów przeczuwałem Boga lub bogów."

Nie dziw, że w r. 1899 powołano go na katedrę filozofii w Krakowie. Ale w drodze coś się zepsuło: katedrę jego dano księdzu Pawlickiemu, a naszego filozofa zdegradowano na docenturę, przy czym nigdy nie mógł uzyskać wyjaśnienia tej filozoficznej wolty.

W styczniu r. 1900 zaczynają się wykłady. Największa sala Kopernika natłoczona jest stale słuchaczami. Ale już po pierwszym półroczu zachodzi między nowym docentem a wydziałem uniwersyteckim konflikt, który prowadzi do zawieszenia wykładów. Wysłano do docenta komisję, którą przyjął – nago. „Proszę, badajcie mnie panowie..." I ustąpiwszy, jako odwet stara się o habilitację w Szwajcarii, podejmując wykłady równocześnie w Lozannie i w Genewie.

W owej epoce, tuż przed ostatnimi wykładami, zachodzi w życiu Lutosławskiego drugie wielkie wydarzenie. W czasie bytności w łaźni parowej przychodzi mu myśl, że „dobrze by tak duszę oczyścić, jak się w łaźni oczyszcza ciało". Udał się tedy do kościoła kapucynów i wyspowiadał się przed ojcem Wacławem, ale nie chciał przyjąć komunii, nie wierząc w obecność Chrystusa. Spowiednik zmusił go prawie do przyjęcia komunii na jego kapłańską odpowiedzialność; jakoż w tym momencie filozof doznał łaski żywej wiary.

Zaczęła się „praca trwająca lata całe, poznawanie i interpretacja dogmatyki", spowiedzi generalne w Jerozolimie, Rzymie, w Lourdes... I jako filozof, i jako wyznawca pozostał mistrz Wincenty tym samym globtroterem. Pewien kłopot był z tym, że nie chciał ustąpić ze swej wiary w preegzystencję, która była dlań tak oczywistym pewnikiem, że, gdyby był pewien, że Kościół ją potępia, nie mógłby wierzyć w Kościół". Ale w takich rzeczach Kościół ma szeroką rękę: patrzano przez palce na p r e e g z y s t e n c j ę Lutosławskiego, jedynie ojciec Honorat w Nowym

Mieście i proboszcz w jakiejś zapadłej kolonii polskiej w Ameryce zgromili go jako heretyka.

Ta łaska, która spłynęła na człowieka, będącego wprzód niedowiarkiem, miała się z czasem objawić w nieoczekiwany sposób. „W pięćdziesiątym roku życia dopiero doszedłem do zrozumienia nierozerwalnego związku małżeńskiego i wobec nieważności pierwszego małżeństwa, zawarłem nowy związek..." – pisze.

Zdumiewające! Gdy na człowieka spłynie łaska wiary, najczęściej zaczyna przemawiać językiem Tartufa. Bo w istocie sam Tartufe nie wymyśliłby kunsztowniejszej formuły. „Doszedł do zrozumienia nierozerwalności małżeństwa" i dlatego – r o z e r w a ł małżeństwo, zawarte z katoliczką, po katolicku, w arcykatolickiej Hiszpanii, małżeństwo pobłogosławione czworgiem dzieci, po dwudziestu pięciu latach trwa nia. Jak na w y c h o w a w c ę n a r o d u to nieźle...

Nie dość na tym. Dokonawszy tego czynu, przerabia swój dawny, „heretycki" – jak pisze – traktat o sprawach małżeńskich i wydaje go „z późniejszem opracowaniem tegoż zagadnienia, zawierającym gorącą obronę nierozerwalności małżeństwa i przedstawienie piekła małżeńskiego jako najskuteczniejszego środka przyśpieszenia rozwoju moralnego obojga małżonków ku doskonałości, która stanowi ostateczny cel życia ludzkiego".

W istocie, warto jest być autorem grubego dzieła (po angielsku) o logice Platona, aby rozumować z taką oszołamiającą logiką...

Na lata 1907–1908 przypadają wykłady w Ameryce, które przygotował, odbywszy piętnastodniowy post. Tematem – dzieje porozbiorowe Polski, w duchu rozgrzeszenia przodków, a oskarżenia o dzieło rozbiorów jedynie chciwości sąsiadów.

Wykłady miały być wielką apologią Polski; płatne były po 150 dolarów za wykład (angielski): „amerykanizm" ten sprawia niekłamaną satysfakcję naszemu filozofowi. Miał wielkie powodzenie; czasem po sześć wykładów dziennie! W koloniach polskich brał tylko po 50 dolarów. Kursy jego zyskały wielki rozgłos: zaproszono go nawet w Sacramento do synagogi, gdzie zaimprowizował wykład o dwóch mesjanizmach, kończąc hasłem Mickiewicza z r. 1848: „Cześć dla Izraela." Trzeba tu podnieść zadziwiającą łatwość Lutosławskiego w improwizowaniu przemówień w kilku językach oraz w doraźnym przekładaniu na obce języki utworów polskiej poezji i komentowaniu ich; jak w ogóle samą łatwość słowa, które płynęło z niego ciurkiem. Pożegnalny wykład w Chicago zaczął się o siódmej wieczorem i trwał, z przerwami co dwie godziny, do siódmej rano.

„Z początku było kilkuset słuchaczy, potem coraz mniej, a gdy został tylko jeden, odprowadził mnie do domu. Tematem wykładu była interpretacja wieszczów i polski pogląd na świat... O tym jednym, co wytrwał do końca, miałem sposobność przekonać się, że niewiele zrozumiał – a tylko miał ambicję zawiązania ze mną osobistego stosunku."

Wraca do Warszawy i zaczyna tu działać z amerykańskim rozmachem. W r. 1908 parę tysięcy słuchaczy tłoczy się w Filharmonii na wykładzie o Darwinie i Słowackim. „Chodziło o wykazanie wyższości polskiej teorii ewolucji nad teorią Darwina." Ale Lutosławski nigdzie długo nie mógł usiedzieć na miejscu; ruchliwość jego jest zdumiewająca. Wpaść z Londynu do Kosowa na głodówkę albo z Francji pod Jasło dla zrobienia porządku z nieposłusznymi elsami – to dla niego drobnostka. Jakoż niebawem zwija w Warszawie mieszkanie i postanawia „szukać jakiegoś stanowiska w Anglii, Francji lub Ameryce". Wpada na chwilę do Hiszpanii, potem do Londynu, gdzie pertraktuje o katedrę filozofii w Australii, lecz pertraktacje zawiodły. Poznaje wówczas Bernarda Shaw, którego odwiedza na wsi, mając do niego list polecający. „Nie zrobił on na mnie wrażenia człowieka myślącego, tylko kpiarza lubującego się w olśniewaniu ludzi pospolitych paradoksami, które dla ludzi myślących stanowią bezpłodną akrobatykę. Są to efekty przemijające, jak u Makuszyńskiego."

Z Anglii zagląda do Paryża, gdzie styka się z kołem ludzi interesujących się jego

doświadczeniami psychofizycznymi. Powstaje myśl stworzenia „Kuźnicy" Lutosławskiego w – Tlemcenie, w Algerze; niejaka pani Paris, Francuzka, ofiarowuje na ten cel cały majątek i osobisty udział. Kuźnica powstaje za miastem, w willi otoczonej roślinnością. „Wkrótce sprowadziłem jedną parę robotniczą z Westfalii – pisze – i mieliśmy z nią rozpocząć ćwiczenia psychofizyczne." Ale pani Paris nagle umarła, niestety bez testamentu. Rzecz upadła, brat pani Paris ledwie zgodził się wypłacić 20000 franków „na koszta likwidacji Kuźnicy". Kuźnica istniała parę miesięcy.

Ale myśl nie umarła. Zdeptawszy jeszcze sporo lądów, osiada filozof w okolicach Bonneville koło Genewy i tam tworzy nową Kuźnicę. Cel – „rozpowszechnienie polskiego poglądu na świat i zupełne przełamanie partyjnych waśni, aby wytworzyć jednolitość twórczego życia narodowego, które by mogło być wzorem dla innych narodów, i prowadzić je do harmonijnej organizacji całej ludzkości". Filozof najmuje ładny domek w uroczym położeniu, organizuje bibliotekę i pracownię „w tych rajskich warunkach" – jak pisze – spędza lat siedem (1913–1920) goszcząc tam przeszło czterdzieści osób. Było tam kilka polskich dziewcząt wiejskich, które pełniły pracę domową, przy tym słuchały wykładów. Jedna umarła, drugą usunął z powodu „przewrotnego charakteru", trzecia nie umiała wytrwać, czwarta – pisze – „po kilku latach przyjęła służbę w Szwajcarii, stopniowo dochodząc do stanowiska ochmistrzyni w zamożnych domach. Ona jedna swoją dalszą pracą dowiodła zrozumienia narodowych ideałów. Poza tym cel wychowania innych dziewcząt w Kuźnicy nie został osiągnięty. Ideałów myśli narodowej im przedstawianych nie mogły w pełni zrozumieć – i nie były zdolne nimi się przejąć."

Z mężczyznami było niewiele lepiej. Paru podobno wyszło na ludzi, ale w ogóle i bez Kuźnicy ludzie wychodzą czasem na ludzi. Jeden umarł, drugi został dyrektorem związku współdzielczego, trzeci oficerem. To, zdaje się, jedyni, którymi można się pochwalić. „Był też inny uczeń Kuźnicy – pisze mistrz – który w niej długo przebywał i często powracał, ale potem wielce nas zawiódł i okazał się człowiekiem równie marnym jak pierwszy uczeń kuźnicy tlemceńskiej. W ogóle tego doświadczyłem, że nigdy nie warto nagle zmieniać warunków życiowych ludzi, którym Opatrzność dała najniższy poziom bytowania. Im więcej się im daje, tym więcej wymagają i prawie zawsze źle kończą. Niejeden z tych, których mozolnie dźwigałem własnym kosztem, wykoleił się i dużo ludzi skrzywdził, czego by nie było, gdybym go pozostawił w tej nędzy, w której go zastałem... Jednak w Kuźnicy i tacy ludzie nie zdradzali się jeszcze ze złymi skłonnościami, które w nich później się rozwinęły. Owszem, przyczyniali się oni mimo woli do wrażenia, że w Kuźnicy coś się dzieje, że ma oma wartość dla życia narodowego..."

Smutny los Kuźnicy, jeżeli na takich ludziach musiała budować pozór, że „coś się w niej dzieje"... Ale to nie zraża filozofa do ukochanej myśli. Na razie kres pracom Kuźnicy kładzie powołanie go do Wilna na katedrę filozofii (1920). Lata wileńskie wspomina profesor bardzo niewdzięcznie; wykłady jego i hasła nie miały oddźwięku, wskutek czego przeniósł punkt ciężkości swego działania na teren Anglii, gdzie zaopatrywał swymi pracami przeglądy o charakterze filozoficzno-teozoficznym. Ale wciąż woła z Wilna o stworzenie Kuźnicy Wychowania Narodowego, nie tracąc nadziei, że „znajdzie się bezdzietny zamożny ziemianin, co by zechciał ofiarować swój majątek na ten cel. Dla takiej Kuźnicy – pisze – w każdej chwili gotów jestem opuścić katedrę uniwersytecką i nawet przedłużyć termin obecnego wcielenia na czas nieograniczony, wyrzekając się wiekuistej szczęśliwości w bezcielesnym bycie, do której od dawna tęsknię..."

Bezdzietny ziemianin się nie znalazł... Niemniej Kuźnica powstała, dzięki zapałowi jej twórcy, w Dzięgielowie na Śląsku, gdzie po ustąpieniu z katedry wileńskiej filozof osiadł.

Na tym kończy się ów żywot malowniczy, wielopostaciowy, spisany z całą prostotą, można

rzec, z całą naiwnością. Pomieszanie rzetelnej zasługi naukowej, erudycji, pracowitości z jakimś zdumiewającym bałamuctwem myśli daje temu żywotowi smak bardzo oryginalny. Europejski spec od Platona, komiwojażer *Króla-Ducha*, arcykapłan własnego obrządku, Lutosławski, zwłaszcza jako mag, jako prorok, jest arcyciekawym zjawiskiem. Jest może ostatnim refleksem naszej tragedii narodowej, wielkiej emigracji. Ale wszystkie jej elementy destylują się w nim w szczególny sposób. Ta pszczółka filozoficzna wyciągnęła z najbardziej gorzkich kwiatów same miody. Bez męki twórczej prześwietlił sobie skronie aureolą wielkiej poezji. Ze znaku 44 przejął samą pychę bez cierpienia; widzenie Księdza Piotra przetłumaczył sobie na – wyrób dziecka. Tułaczkę emigracyjną złagodził na podróżomanię za paszportem. W katolicyzmie dojrzał boczne schodki do konsystorza. Pustelnię zmienił na rajski ogródek, posty na kurację owocową, biczowanie na gimnastykę rytmiczną, westchnienia na głębokie oddychanie, ogołocenie na nudyzm. Wszystkie krzyki i wołania mesjanizmu, zrodzone niegdyś z gorączki, rozpaczy i nadziei, skanalizował w potok słów, beznamiętny a mętny, kołyszący do snu swoim szmerem. Nieświadomy życia jak dziecko, przeszedł, w pogodnej autohipnozie, obok wszystkich rzeczywistości społecznych i narodowych. Krzywdy ludzkie wytłumaczył sobie szczęśliwie grzechami minionych istnień. Sam rozgrzeszył się z omyłek i rozrzutności jednego żywota, czyniąc ten żywot nieodpowiedzialnym epizodem całego łańcucha egzystencji. *Jeden łatwy żywot* – w istocie dość łatwy; ale czy równie pożyteczny? Obawiam się, że z tego długiego, głośnego i ruchliwego żywota zostaną dwie rzeczy: stylometria Platona, o ile jej kto nie obali, i... wydana w r. 1909 broszurka *Jak tanio podróżować?* – o ile ją kto zaktualizuje...[14]

[14] Artykuł ten wywołał ze strony prof. Lutosławskiego najosobliwszą reakcję. Patrz Przypisy.

TRZYDZIESTOLECIE HOFRATA FEIGLA

Nigdy nie wiadomo, co w człowieku obudzi wspomnienia i jakie. Przeczytałem w gazecie notatkę. Młody człowiek (było to w Częstochowie) wyrwał jakiejś pani pękatą torebkę, za pieniądze znalezione w torebce zjadł dobrą kolację, szumiał całą noc na dansingu jako „hrabia", stawiał tancerkom kosztowne wina, ugaszczał orkiestrę i – w rezultacie stanął przed sądem, który go skazał na rok więzienia.

Banalna historia. Kroniczka dziennikarska, podana z tzw. „humorkiem". Otóż sprawa ta przywiodła mi na pamięć podobną historię sprzed lat trzydziestu. Stała się wówczas głośna, ponieważ zajął się nią Karl Kraus w swojej „Fackel". Można ją znaleźć w t. I wyboru jego pism pt. *Sittlichkeit und Kriminalität*, tomie dedykowanym wspólnemu naszemu przyjacielowi Ludwikowi Janikowskiemu.

Przez Janikowskiego zetknąłem się parę razy z Krausem. Ten młody, wówczas trzydziestoletni, człowiek był w Wiedniu swego rodzaju potęgą. W dowolnych odstępach czasu, ale dość często, ukazywały się czerwone zeszyty „Fackel", które wypełniał prawie sam. Umiał interesować, drażnić, ośmieszać jak mało kto. Powtarzano jego szlagworty. Sam jeden przeciwstawiał się całej prasie wiedeńskiej, wyławiając pracowicie jej osielstwa, odsłaniając jej brudy. Był biczem na wiedeńską dulszczyznę, na mieszczańską moralność; był, na wiele lat przed krwawą odnową świata, pionierem „reformy obyczajów". Co parę miesięcy wreszcie miał swoją wolterowską „sprawę Calasów"; jakiś *Justizmord* okrutnej austriackiej procedury, jakąś krzywdę, jakieś łajdactwo: wówczas walczył zębami i pazurami, świetnym dowcipem, namiętnym oburzeniem, temperamentem człowieka wolnego. „Fackel" Krausa była nieodzownym wentylatorem zaduchu Wiednia, gdzie niby w izdebce suteren, za dużo było stłoczonych hofratów i Habsburgów.

Otóż dn. 10 marca 1904 r. sądzono w Wiedniu sprawę dwudziestotrzyletniego chłopca, nazwiskiem Krafft, który trochę z nędzy, a trochę z podpicia usiłował na najludniejszej ulicy (Ringstrasse) wydrzeć jakiejś pani torebkę. Tylko usiłował – przeszkodzono mu. Stanął przed sądem przysięgłych. Skazano go – zgadnijcie na co? N a d o ż y w o t n i e c i ę ż k i e w i ę z i e n i e. Przewodniczył rozprawie hofrat Johann Feigl, który obostrzył jeszcze karę dorocznym dniem postu.

Data ta, pisał wówczas Kraus, nie zatrze się w dziejach sądownictwa austriackiego. Ani nazwisko Johann Feigl.

W istocie, Krafft i Feigl, cóż za symbolika nazwisk, jakby skomponowana przez brukowego powieściopisarza! Ale czyż życie nie bywa brukowym powieściopisarzem?

Ten prezes Feigl, którego Kraus przekazał potomności, to postać z jednej sztuki! Jak w Szekspirowskiej komedii *Miarka za miarkę* – która też dzieje się w dobrodusznym Wiedniu – hofrat Feigl wyciągał z kurzu stare prawa i stosował je z całą srogością. Jeden z owych sędziów, którzy bawią się z podsądnym jak kot z myszą. I tę rozprawę prowadził z wybitną nienawiścią do oskarżonego. Co prawda, reporter „Deutsches Volksblatt" stwierdził usłużnie, że oskarżony Krafft był zuchwały i że się... sprzeciwiał przewodniczącemu. Ale poważne prawnicze pismo

„Juristische Blätter" krytykowało i wyrok, i sposób prowadzenia rozprawy. „Niestety – pisano tam, a słowa te i dziś jeszcze, i u nas, warto polecić uwadze niektórych pp. sędziów – nie wszyscy prezesi sądów rozstali się z tradycją, która każe im schodzić do oskarżonego niby na cyrkową arenę, pastwić się nad nim, dając mu odczuć swą umysłową przewagę, a wszelki opór oskarżonego lub nawet odwodowych świadków uważać za zuchwalstwo. Trudno uwierzyć – mówił dalej autor artykułu, wielki prawnik Benedikt – aby wyrok ów miał być zemstą za zachowanie się oskarżonego. Ale skandaliczne jest, aby sędzia, dopiero co skazawszy małoletniego oskarżonego na dożywotnie więzienie, karę cięższą od śmierci, natychmiast zaskakiwał go pytaniem, czy chce apelować, zamiast go wyraźnie przestrzec, by się nie wypowiadał w tej mierze, nim się naradzi z obrońcą i nim się dobrze zastanowi. Skandalem jest, aby ciśnięte w uniesieniu słowa oskarżonego, że się zrzeka apelacji, sędzia brał w rachubę jako nieodwołalne oświadczenie; to jest coś, co trudno pojąć..."

(Wedle ówczesnego prawodawstwa austriackiego granicą pełnoletności było lat dwadzieścia cztery, a zrzeczenie się apelacji przez oskarżonego było nieodwołalne.)

W rezultacie apelował – na rzecz oskarżonego – prokurator.

Uderzyć tu może jedno: sprawa toczyła się przed sądem przysięgłych, instytucją, w której do dziś, na przekór powtarzającym się faktom, doktrynerstwo chce widzieć ostoję sprawiedliwości ludu. Jak się to często zdarza, sędziowie przysięgli, usłyszawszy wyrok, osłupieli. Jeden z nich napisał w parę lat potem list do Krausa. Tłumaczy się w liście, że nie zawziętość na oskarżonego była powodem ich wyroku; ale pytania zadane były w ten sposób, że musieli je potwierdzić, nie znali zaś jeszcze sędziego Feigla i nie wiedzieli, jaki z nich zrobi użytek. Słowo „dożywotnie więzienie" raziło ich jak grom. Piszący ów list powiada, że wybiegł z sali bełkocąc: „Miłosierne nieba, tegośmy przecie nie chcieli!" Aby się zemścić na prezesie Feiglu za ów wyrok, taż sama ława przysięgłych rozmyślnie uniewinniła w kilka dni potem notorycznego złodzieja, złapanego na gorącym uczynku...

Takie są figle sprawiedliwości ludu.

Prokurator tedy – paradoksalne zdarzenie! – apelował. Złagodzomo Krafftowi karę na dwanaście lat ciężkiego więzienia. Dalej nie można się było posunąć: byłoby to – nieuprzejmie wobec hofrata Feigla. Już i ta zmiana wyroku była dla sędziego dotkliwa. Krafft nabawił się w więzieniu gruźlicy, tytularny radca dworu Feigl otrzymał stopień rzeczywistego radcy dworu. Najwyższe sfery chciały mu wynagrodzić przykrości, jakich doznał ze strony prasy.

Takie spojrzenie wstecz, porównanie wyroku wiedeńskiego z r. 1904 i częstochowskiego dziś, pozwala nam uprzytomnić sobie, jak bardzo świat się zmienił! Mimo że bałwochwalstwo własności dominuje wciąż w naszych porządkach społecznych, kodeks nie ma już odwagi bronić świętości pieniądza tak brutalnie jak dawniej. Młody Krafft dostałby dzisiaj pół roku więzienia z zawieszeniem kary. I zaledwie można uwierzyć, że owa potworność zdarzyła się w Europie trzydzieści lat temu. A jednak sądzę, że godziło się przypomnieć ją i że można się nad nią zamyślić. Bo równocześnie ogarnia nas niepokój: pytamy mimo woli, ile w tzw. wymiarze sprawiedliwości dzieje się jeszcze rzeczy, które za trzydzieści lat wydadzą się równie potworne? A może wcześniej, jako że teraz żyjemy szybciej? A może już dziś?...

Myślę o tych kilku nieszczęśliwych kobietach, o których pisałem, skazanych tak niedawno przez małopolskie sądy przysięgłych na szubienicę. Co się z nimi dzieje? Nie słyszeliśmy, aby je powieszono: na ile tedy dziesiątków lat więzienia złagodzono im wyrok, tak aby jednak nie urazić pp. prezesów sądu zbytnią dysproporcją?

Wszystko to, dziś jak i wówczas, za czasów hofrata Feigla, nazywa się wymiarem s p r a w i e d l i w o ś c i. Czy nie za pretensjonalnie?

O SZOPCE KRAKOWSKIEJ «ZIELONEGO BALONIKA»

Kochanemu Tolowi Noskowskiemu
to wspomnienie poświęcam.

Proszony przez jedno z pism o skreślenie historii *Szopki*, z przyjemnością zanurzyłem się pamięcią w te dawne dzieje. I ta ich d a w n o ś ć niech mi będzie usprawiedliwieniem, jeśli w te moje wspominki wkradła się może odrobina sentymentu.

Kiedy Jan August Kisielewski spadł prosto z paryskiego bruku do cukierni Jana Michalika w Krakowie i poddał myśl stworzenia kabaretu artystycznego, zastał grunt znakomicie przygotowany. W cukierni tej, bliskiej Szkoły Sztuk Pięknych, istniał od paru lat stolik malarski, gdzie rodziły się żarty, karykatury, parodie, gdzie siadywali młodzi, o głośnych później w sztuce nazwiskach. Prochy były, wystarczało rzucić iskrę. Kiedy po wyczerpującej naradzie, dobrze już rano, młodzi cyganie wyszli na rynek krakowski, ujrzeli chłopca niosącego na sprzedaż pęk zielonych baloników. Właśnie debatowano nad nazwą przyszłego kabaretu. „Ot, mamy nazwę; «Zielony Balonik»", rzucił któryś. I tak się stało.

Ale na razie była tylko nazwa. Co ma być poza tym, nie bardzo było wiadomo. Wiedziano – ten i ów powąchał Paryża – że musi być *conférencier*, słyszano piąte przez dziesiąte o Salisie, o Bruancie. Podjął się tej funkcji sam Jan August, resztę zdano na wolę bożą. Nikt nie wiedział jeszcze wówczas, że autor *W sieci* wrócił z owego marzonego pobytu za granicą z głębokim pęknięciem, z zarodem choroby umysłowej, która miała rozwinąć się niebawem.

W pamiętny wieczór znalazł się *conférencier* na estradzie, we fraku, w białych getrach, i zaczął przemowę pół po polsku, pół po francusku. Wymyślał publiczności od bydląt, jak przystało artyście w obliczu filistrów. Co prawda tych filistrów trzeba by ze świecą szukać na sali, wypełnionej szczelnie artystyczną bracią; niebawem zresztą okazało się, że *conférencier* jest gruntownie „wstawiony", i to nie żadnym szlachetnym winem, ale po prostu wódką. Od słowa przeszedł do czynów i rzucił się z gołymi rękami na „sytych burżujów", których uosobienie ujrzał w pysznym grubasie, malarzu Stanisławskim. Olbrzym ten dobrotliwie rozbroił napastnika, którego ułożono do spoczynku, ale młody kabaret został bez widomej głowy. Resztę wypełniły jakieś improwizacje, chóralne kurdesze, no i pijaństwo.

Po tym pierwszym wieczorze los instytucji zdawał się zachwiany. Sos był, nawet jakoby paryski, ale nie było pieczeni. Kto ją zgotuje? Czy krakowski kabaret potrafi stworzyć własną treść, czy znajdzie w paryskich echach coś więcej prócz niewinnego snobizmu, czy obudzi talenty, czy znajdzie swoją rację bytu, oto pytania, które zawisły nad nim od chwili narodzin. Po tej próbie raczej zdawało się, że będzie on poronionym pomysłem. Gdzie Krakowowi być Paryżem!

Ale już drugi wieczór rozwiązał te wątpliwości w sensie dodatnim, a rozstrzygnęły je *Wawele* Witolda Noskowskiego, znakomity i aktualny koncept na temat, jak sobie rozmaici wyobrażają odnowienie Wawelu. Rzecz była ilustrowana kartonami młodych malarzy, Frycza, Sichulskiego i

innych. Witold Noskowski był wówczas jednym z czołowych publicystów „Czasu", jakoś literacka działalność „Balonika" skupiała się po trosze koło „Czasu"; na maszynie redakcyjnej tego dziennika przepisywało się wszystkie płoche piosenki, ku wielkiej radości redaktora, Rudolfa Starzewskiego, który widział w tym dowód żywotności sędziwego pisma. Świetnym wykonawcą piosenek „Nosa" (nie mieszać go z „Nosem" z *Wesela* Wyspiańskiego, jego stryjecznym bratem) był Teofil Trzciński, dziś dyrektor teatru lwowskiego, w którym od pierwszego występu na estradzie Michalikowej objawił się rasowy talent piosenkarza i humorysty. Białe kamasze Jana Augusta (symbol władzy *conférenciera*) przywdział „Stasinek" Sierosławski (też z redakcji „Czasu"), który następnie przez pięć lat z cudownym namaszczeniem miał dopełniać tej ważnej funkcji.

Te *Wawele* były niejako symboliczne: związały od razu młody kabaret ze „swoim" życiem, z tym, co Kraków miał najbardziej polskiego, wskazały drogę, gdzie szukać natchnień. A podczas gdy elita artystyczna Krakowa bawiła się tak i troskała odnowieniem Wawelu, w maleńkim miasteczku gotowało się formalnie, obiegały najdziksze plotki o orgiach i bluźnierstwach, jakie się dzieją w osławionej „Jamie Michalikowej", na którą wzywano niemal policji. Ale to tylko podsycało zabawę; co tydzień prawie, po premierze, „Jama Michalikowa" huczała wesołością i brzmiała piosenką, bodaj nigdy nie słyszaną w murach poważnego Krakowa.

Było to późnią jesienią. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, pora gdy szopki krakowskie, błyszczące jaskrawymi wyklejankami, kolorowymi szybkami, strzelające kończystymi wieżyczkami, wylegają na Rynek. Te szopki, ze swoim tradycyjnym tekstem, odtwarzanym przez bezrobotnych w zimie murarzy z Krowodrzy, ze swoim Herodem, trzema królami, krakowianką i góralem, żydkiem i panem Twardowskim, to przedmiot marzeń i wzruszeń każdego chowanego w Krakowie dzieciaka. Przypadkowo powstanie „Zielonego Balonika" zeszło się z pierwszymi poczynaniami „Polskiej Sztuki Stosowanej", szukającej dróg w ożywieniu ludowego zdobnictwa; i tak urodził się pomysł stworzenia swojej artystycznej Szopki. Funduszów na budowę „gmachu" dostarczyła sztuka stosowana, czyli po prostu „Jerzyk" (Jerzy Warchałowski), dziś goły jak święty turecki, wówczas ofiarny jej mecenas; miejscem, gdzie budowano gmach, były podziemia Wystawy Sztuk Pięknych, przeznaczone na „Stację graficzną", ufundowaną świeżo przez Edwarda hr. Raczyńskiego. Z zapałem młodzi malarze wzięli się nocami do pracy. Autorem kompozycji, wzorowanej na kościele w Modlnicy, był, o ile pamiętam, Stanisław Kamocki; budował zaś i kleił, kto żył: oczywiście Frycz, mistrz wszelakiej „wystrzyganki", bracia Czajkowscy, Józef i Stanisław, Sichulski, Wojtkiewicz, Szczygliński, Rzecki, Kuczborski, Tadeusz Rychter, kogóż tam nie było przy tej robocie, obficie zakrapianej wiśniówką! Równocześnie odbywała się praca nad laleczkami; lepił je dzisiejszy laureat wystaw europejskich Szczepkowski oraz utalentowany rzeźbiarz, z zawodu okulista, dr Brudzewski. Żony artystów ubierały laleczki. Wszystko to oczywiście odbywało się w ścisłym porozumieniu z tym, który miał dostarczyć tekstu Szopki i który przez ten pierwszy sezon dźwigał na swoich szerokich barach cały niemal repertuar kabaretu, Witoldem Noskowskim.

Kiedy szopka była gotowa, odbyły się uroczyste przenosiny jej do cukierni Michalika. Malarze nieśli ją na własnych barach. Widok tej olbrzymiej budowli, rozmiarami i świetnością przewyższającej oczywiście nieskończenie zwykłe murarskie szopki, wywołał poruszenie wśród „andrusów" krakowskich. Nie brakło pomruków niezadowolenia na tę niespodzianą „konkurencję". Jednakże szopka bez szwanku doszła na miejsce przeznaczenia.

Pomysł *Szopki* „Zielonego Balonika" okazał się bardzo szczęśliwy. Laleczki dały pole do dowcipnej karykatury znanych osobistości, tekst zaś prawdziwej szopki krakowskiej stał się ramą, w której doskonale się zmieściły aktualności polityczne i artystyczno-literackie. Więc Herodem był potężny prezydent ówczesnego Krakowa Leo, do którego trzej królowie zwracali

się z tradycyjnymi słowami:

Witaj, królu Herodzie,
Nasz możny sąsiedzie,
Słyszelim jako w tym kraju nowina,
Że z prezydenturą coś się źle zaczyna,

po czym Leo chełpił się, powtarzając słowa poprzednika swego Heroda:

Jam jest władca potężny, który ma trzy części świata,
Europę, Afrykę i pamiętne lata;
Króluję w chwale
U Puzyny i w kahale... etc.

dopóki go nie ścięła śmierć, którą był chudy istotnie jak śmierć krytyk opozycyjnej „Nowej Reformy", Prokesch. Na nutę *Żydzie, Żydzie*! rozprawiali się z sobą Mangha-Jasieński i Wilhelm Feldman, których spory właśnie wypełniały krakowską prasę. Znana radykałka, prof. Bujwidowa, opiewała działalność swego małżonka:

Jeszcze dotąd w Galilei taki doktor nie żył,
Co by leczył psią wściekliznę, polityczną szerzył...

Twardowskim był „poseł od Podola":

Hej, bodaj to dawne czasy,
Poseł z wódki i z kiełbasy,
Człek pogadał ze starostą
I do Widnia walił prosto,
Do Sachera na frykasy,
Hej, bodaj to dawne czasy!

Anarchista, na nutę poloneza o Trzecim Maju, wyliczał wszystkie szpecące Kraków budynki, pod które warto by bombę podłożyć. Ułan i Saper to byli Mangha i „Jerzyk", była i pyszna laleczka Stanisławskiego, i Miciński, itd., itd. Dodać trzeba, że laleczkami bardzo dowcipnie poruszali malarze Józef Czajkowski i Alfons Karpiński (później do mistrzowskiego zgrania doszli w tej delikatnej sztuce Czajkowski i Puszet), niezrównanym zaś humorystą na fortepianie okazał się Nos.

Ta pierwsza *Szopka*, wystawiona w lutym r. 1906, obudziła entuzjazm jako objawienie nowej formy artystycznej opartej na współdziałaniu wszystkich sztuk; w sennym życiu ówczesnego Krakowa był to niebywały wybuch wesołości i swobody. Ale dostępna była tylko dla wybranych: odbyła się, jak wszystkie wieczory „Zielonego Balonika", w zamkniętym kółku, w małej, sklepionej salce cukierni (druga, większa, która jest obecnie za nią, jeszcze nie istniała), zdolnej pomieścić z trudem sto do stu dwudziestu osób. Mimo ogromnego zainteresowania nie powtórzono tego przedstawienia, jak nigdy żadnego. Taki był arystokratyczny szyk „Zielonego Balonika", gdzie wszystko było „premierą". Wstęp był zawsze bezpłatny, poza drobną opłatą (l korona) na koszta. Dopiero przy czwartej i piątej *Szopce* odstąpiono od tej zasady, jak również te dwie ostatnie *Szopki* wydano drukiem.

Co do mnie, byłem wówczas prostym widzem i gościem „Zielonego Balonika". Zanurzony smętnie w bakteriologii i hematologii, przygotowując się do niedoszłej, na szczęście, habilitacji

na wydziale lekarskim, nieświadom zresztą swego uzdolnienia w zakresie piosenki, bawiłem się serdecznie, podziwiając talent Nosa, jego dowcip muzyczny, i odnajdując w tej zabawie echa paryskich wspomnień z Dzielnicy Łacińskiej i Montmartre. Przypadkowo wciągnąłem się w tę zabawę; przesłałem „Balonikowi" jakiś drobiazg, wreszcie z początkiem drugiego sezonu zdobyłem „ostrogi" parodią *Bodenhainu* Rydla i wszedłem w grono rzeczywistych członków kabaretu. Wówczas spotkał mnie zaszczyt, który wzruszył mnie z pewnością więcej niż później wiele innych zaszczytów: Nos zaproponował mi, abym do współki z nim napisał drugą *Szopkę*!

Co to było za rozkoszne pisanie! Sporo piosenek dostarczyłem sam, ale najczęściej schodziliśmy się razem z Nosem w zacisznym gabinecie restauracyjnym, koniecznie z pianinem, i tam pracowaliśmy wspólnie. Nie byłem wówczas literatem, nowością było dla mnie, że można mieć pomysły na komendę, o oznaczonej godzinie. Poznałem tajemnicę spółek autorskich; do jakiego stopnia dwaj ludzie mogą dojść do tego, aby myśleć jednym mózgiem, dopełniać się najściślej, poddawać sobie rymy, koncepty w ten sposób, iż nieraz w jednej piosence nie podobna byłoby rozróżnić, które słowo, który wiersz do którego należy. Co parę strofek Nos, muzyk nad muzykami, siadał do pianina i prześpiewywał to, cośmy zrobili, dla skontrolowania efektu. Głupio to może wygląda, gdy ktoś się śmieje z własnych dowcipów, ale śmieliśmy się nieraz do łez. Wreszcie, stale spóźniony, tajemniczy, zjawiał się „Teofil", i prześpiewywał znów on to, cośmy zrobili. Nowa zabawa, nowa podnieta. Często Teofil przychodził w trakcie samej roboty i brał w niej udział poddając „pointy", których jako wykonawca miał wyborne poczucie.

Te wieczory wspólnej, a tak wesołej pracy miały dla mojej przyszłości literackiej niemałe znaczenie. To była moja jedyna szkoła „rzemiosła". I wyborna szkoła.

Szkoła zwięzłości, treściwości, przymus obracania się na ciasnej przestrzeni, kręcenia słowem jak szewc skórą, matematyka humoru, przymus „natchnienia" na oznaczoną godzinę (każdy taki wieczór m u s i a ł dać dwie albo trzy piosenki) – wszystko to jakże przydało mi się później.

Druga *Szopka* odbyła się tak samo jak pierwsza. Tekst był dłuższy, pomnożony o wiele piosenek; te, któreśmy zachowali z pierwszej, były odświeżone i zaktualizowane. Leo znów był Herodem, ale w nowej konstelacji politycznej, Wilhelmowi Feldmanowi oddawali pokłon trzej królowie – Tarnowski:

> Jam Stanisław Tarnowski, zwą mnie krytyki hetmanem,
> Przychodzę się pokłonić przed tobą Feldmanem...

Kallenbach:

> Jam jest Kallenbach, bardziej sławny niż zabawny,
> Czczę w tobie objawienie Polski starodawnej..

i Hoesick.

Na nutę *Urlopnika* śpiewał i gwizdał poseł Battaglia (laleczkę wykonał Szczepkowski, w braku fotografii z opowiadania, i co najlepsze, że była dosyć podobna), który od tego czasu stał się entuzjastą i przyjacielem „Zielonego Balonika". Rydel opiewał na nutę *Na krakowskiej sali* świeży list Koźmiana do kanclerza Bülowa i list Sienkiewicza do cesarza Wilhelma:

> Tak za mym przykładem
> Wszyscy idą śladem,
> Okrutnie się pastwią nad niemieckim zadem.
> Na co ci, Polaku, rozumu lub szabli,
> Tylko pisz i gadaj, Niemców wezmą diabli.

Trzciński na nutę z Delmeta śpiewał piosenkę o sobie samym: Szyfman, wśród katastrofy „Figlików", błagał Trzcińskiego o radę i pomoc:

> Panie Trzciński, niech pan ratuje,
> Ja bankrutuję;
> Głowa mi spuchła jak siedzenie,
> W kasie pustki, a dziś moje jubileuszowe przedstawienie.

Mangha na nutę *Gejszy* opowiadał historię swoich zbiorów darowywanych i odbieranych kolejno wszystkim stolicom; Hoesick śpiewał swój słynny *Kurdesz Hoesicka*; dziadkiem zaś, w miejsce tradycyjnego szopkowego dziadka, był Ludwik Solski. Wiele było jeszcze innych rzeczy, których wyliczenie zajęłoby zbyt dużo miejsca.

Trzecia *Szopka* odbyła się w lutym r. 1908 cokolwiek odmiennie. Jakieś tam drobne nieporozumienia wybuchły między „Zielonym Balonikiem" a gospodarzem lokalu i doprowadziły do chwilowej secesji: *Szopka* odbyła się w hotelu „Pod Różą". Nowe laleczki, którymi trzeba było uzupełnić dawne, wykonał H. Kunzek; do współpracy zaś nad tekstem, który musieliśmy napisać cały na nowo, przybraliśmy sobie Żuka-Skarszewskiego, późniejszego autora *Rumaka Światowida*. Wykonawcą był jak zawsze Trzciński, który miał coraz cięższą pracę, bo Szopka była coraz dłuższa: ostatnie trwały do trzech godzin, tyleż prawie co teatralne przedstawienie. Zarazem zachodziły pewne zmiany w charakterze *Szopki*: tradycyjne jej melodie, mimo że zawsze nam miłe, nie zawsze wystarczały naszym pomysłom; toteż rozszerzaliśmy czasem skalę aryjkami z oper, które miały w wielu zastosowaniach komiczną wymowę, gdy np. Hoeslick uwodził sędziwego St. Tarnowskiego na nutę *La ci darem la mano* z *Don Juana*.

> Daj mi twą fotografię,
> Gdy miałeś lata dwa,
> Bo twoją biografię
> Napisać pragnę ja...

Z czasem z elementem starej szopki krakowskiej zespalał się charakter rewii paryskiej (tej z kabaretów artystycznych, nie tej z music-hallów), która doskonale wchodziła w te szopkowe ramy. Ta trzecia Szopka miała sporo elementu politycznego, może dlatego, że był to moment zaognienia ówczesnej polityki galicyjskiej; że zaś Nos i Żuk pasjonowali się obaj czynną polityką, znaleźli się w przewadze nade mną, dosyć na tym punkcie obojętnym. I tę *Szopkę* pokazano tylko jeden raz.

Potem przyszły ciężkie czasy na „Zielony Balonik". Zakwasił go po trosze Kraków, to małe miasteczko, które nie dostarczało dosyć tematów, ale w zamian dostarczało aż zanadto komerażów. Nos był zapracowany w dzienniku i coraz leniwszy do piosenki; Teofil chronicznie grymasił i utrudniał; ten i ów wyjechał. Ja czułem się wówczas w szczególnej wenie piosenkarskiej, ale nie mając jej gdzie ulokować, rzuciłem się z furią w przekład Moliera, który mi zajął szczelnie parę lat. Przez trzy sezony ledwie parę razy do roku nabrzmiewał humor i strzelał w „Jamie Michalikowej" wraz z korkami szampana w kilku bardzo udanych wieczorach; ale nie stało już dawnego zapału na tyle, aby podjąć wysiłek parotygodniowej pracy, jakiej wymagała nowa *Szopka*. Dwa lata nie było tedy *Szopki*; zdawało się, że ta tradycja już będzie pogrzebana.

Ale przyszła niespodziana podnieta. Michalik postanowił rozszerzyć swój lokal; wybudował drugą salę w podwórzu i dekorację jej powierzył Fryczowi, za p i e n i ą d z e!! Legendy chodziły

o wysokości tej sumy; miało być tego aż cztery tysiące koron! Pierwszy to raz pieniądz wchodził w życie cyganerii krakowskiej; dotychczas każdy oddawał gratis, co miał najlepszego. Wywołało to pewne podniecenie i miało wydać nieoczekiwane skutki. Na razie nowa sala to była długa, wąska kicha, z nagimi ścianami, bez mebli. I przyszło nam na myśl urządzić tam *monstre*-szopkę, całkiem nowy tekst, nowe figurki, i wystawić ją nie jeden raz jak poprzednie, ale publicznie, za biletami, tyle razy, ile tylko się da! Już demon pieniądza wkradł się w nasze serca. Wzięto się do roboty z dawno niewidzianym zapałem. Spłowiałą szopkę odnowiono tak, że zalśniła wszystkimi kolorami tęczy; zaopatrzono ją w postępowe urządzenia świetlne, obok Szczepkowskiego i Kunzeka kilka laleczek, istnych cacek (między innymi dzisiejszego kowieńskiego Litwina Herbaczewskiego), zrobił Puszet. Ja z Nosem, przy częstym udziale Teofila, zabraliśmy się do pisania tekstu.

I mam wrażenie, że idea publicznego widowiska (luty 1911), przed którym tak wprzódy broniła się arystokratyczna wzgarda artystów, okazała się szczęśliwa. Odświeżyło to nas, kazało ująć rzeczy z szerszego punktu widzenia. Zresztą to zetknięcie się dwóch przeciwnych światów jest istotą elektryczności „kabaretu". Nie będę opisywał tej *Szopki* bliżej, bo była wydana drukiem; zresztą zajęłoby to za wiele miejsca. Herodem był malarz Fałat, w związku ze świeżymi wydarzeniami Szkoły Sztuk Pięknych przetworzonej wówczas na Akademię; był dalej Jacek Malczewski, marszałek sejmu Badeni, śpiewak Bandrowski, którego Teofil udawał wręcz bosko, Mycielski, Leo, Bujwidowa, Trzciński, Mangha, Wyczółkowski, Tarnowski, „jeden w dwóch osobach Styka" z „Tadziem swoim synem", Feldman, Herbaczewski, Młoda Polska, Warchałowski, Battaglia, Psyche, Footbalista, Paderewski, Solski jako Fryderyk Wielki, Nowaczyński etc., etc. Całe niemal życie artystyczne Polski przedefilowało w tej szopce.

Powodzenie jej było nadzwyczajne. Bilety w cenie 5 koron rozchwytywano wśród niesłychanego ażiotażu uszczęśliwionych chłopców z cukierni, którzy je wykupywali na handel. Pojemność sali wciąż rosła, a ciała ludzkie okazały na nieprawdopodobny stopień ściśliwości. Rozpromieniony Michalik odbił sobie wszystkie koszta nowej sali, zanim ją jeszcze otwarto. Prowincja pielgrzymowała do Krakowa. Graliśmy tę *Szopkę* trzynaście razy, a mogliśmy ją grać jeszcze dużo więcej, ale jak zawsze Teofil zgrymasił. Trudno mu się zresztą i dziwić; my, raz napisawszy tekst, już tylko odcinaliśmy kupony, ale on, biedak, trzy godziny musiał śpiewać i gadać bez wytchnienia, trzydziestoma głosami, tenorem, sopranem, basem, udając do złudzenia sposób mówienia wszystkich znanych osobistości. Nawiasem mówiąc, nie ma trudniejszej i bardziej wytężającej rzeczy dla wykonawcy niż *Szopka*. Na estradzie ma pomoc mimiki, gestu, uśmiechu; samym swym zjawieniem nastraja publiczność. Ale tu, schowany za kulisami, musi operować jedynie głosem, który do tego wychodzi zza szopki do połowy stłumiony. Trzeba było ogromnej *vis comica* Teofila, aby zwyciężyć tak, jak on zwyciężał wszystkie te przeszkody; ale też jestem pewien, że on był w swoim rodzaju europejskim fenomenem i że gdzie indziej niż w Polsce nie dano by mu się marnować na stanowisku (szanownym zresztą) dyrektora teatru.

Kto żył zatem, tłoczył się na *Szopce*. Najczcigodniejsze mamuty ówczesnego Krakowa, hofraty, ekscelencje, wszystko to przedefilowało przez „Jamę Michalika" ku olśnieniu jej gospodarza a naszej zabawie. Była to jeszcze epoka, gdy kobiety nie bywały w Krakowie w kawiarni; cóż za pikanteria dla nudzących się hrabin zapuszczać się do tej jaskini! Miejscowa arystokracja wykupywała całe rzędy krzeseł, a przede wszystkim nęciła ją parodia bożyszcza krakowskiego Saint-Germain, eksc. prof. hr. Stanisława Tarnowskiego, papieża Krakowa, którego do złudzenia udawał Teofil. Wreszcie – rzecz nie do wiary i którą wszyscy brali zrazu za pusty żart! – gruchnęła wieść, że sam – sam Tarnowski wybiera się do Michalika, aby zobaczyć samego siebie. Nie ma dziś – powtarzam – wydarzenia, nie ma dostojnika w państwie, którego zjawienie się gdziekolwiek byłoby podobnym ewenementem, co ta wizyta. I – przybył

białobrody patriarcha do „Jamy Michalikowej" poprzedzony przez siostrzeńca swego, prof. Jerzego Mycielskiego, który nigdy nie był tak wzruszony i przejęty, co tego dnia. Jan Michalik, nie wiedząc, jak ma przyjąć niebywałego gościa, ściągnął ze swego prywatnego mieszkania trzy fotele, trzy istne trony, na których zasiedli Stanisław Tarnowski, córka jego hrabina Esterhazy i kochany Jerzy Mycielski, coś niby ochmistrz, niby szambelan. Redaktor Starzewski, patrząc na tę arystokrację krakowską, tłoczącą się i dławiącą się ze śmiechu na widok dwóch Tarnowskich – nie wiadomo, który podobniejszy: jeden na sali, drugi na scenie – mówił do mnie żartem: „To istne *Wesele Figara*. Ci ludzie śmieją się z tego, co ich zabije." Ale nie zabiło.

To było apogeum *Szopki krakowskiej*. Jeszcze ostatni raz, w następnym roku (1912), odbyła się nowa, ale to już nie było to samo. Potem przyszło jej potomstwo, szopka lwowska, poznańska, tarnowska, wileńska, paryska etc., etc., wreszcie świetna warszawska. Piosenka brzmi dziś w całej Polsce. Wówczas „Jama Michalikowa" była jedynym miejscem, gdzie odważyła się zaświegotać.

NAMIOT WRÓŻB

Porządkując papiery w starej szafie znalazłem numer jednodniówki. Tytuł: „Jednodniówka wydana w dzień Wielkiego Festynu Ogrodowego na rzecz ubogich miasta Krakowa.” Data – mniejsza z tym, bardzo dawno temu. Zacząłem przeglądać tę jednodniówkę, o treści nader obfitej, i ani się spostrzegłem, kiedy ją przeczytałem od deski do deski, taki miała oryginalny smak, tak zabawne było w niej kumanie się przeszłości z przyszłością, tyle tam spotkałem nazwisk, dziś opromienionych glorią lub zapomnianych, wówczas w pełni rozkwitu. Więc: księżna Marcelina Czartoryska, uczennica Szopena, i tuż obok młody dziennikarz Kazimierz Ehrenberg, który oczywiście dał wstępny artykuł. Józef Kenig i Bolesław Prus; Sienkiewicz i tuż obok jego młodziutka narzeczona, kandydatka do tak niefortunnie i szybko zakończonego małżeństwa. Wiersz Jacka Malczewskiego. Kogóż tam nie ma! Zadumałem się nad tą jednodniówką i po trosze, po trosze przypomniał mi się cały ów sławny monstre-festyn, o którym Kraków długo mówił potem, a jeszcze dłużej przedtem. Przypomniał mi się namiot, przy którym pełniłem służbę galopanta, dama, do której przez nieśmiałość nie umiałem się odezwać, rakowe rękawiczki splamione lodami... Stanął mi przed oczyma cały ów dawny Kraków ze swoim *coté de Guermantes* i *coté de chez Swann*, jakże godny jakiego Prousta; ta mała mieścina nabita talentami, fumami, herbami, dewocją, staropanieństwem i musową cnotą, pełna nie wyładowanych energii, nie wyżytych marzeń. Dla tego wszystkiego było tylko jedno ujście – dobroczynność. Dobroczynne koncerty, dobroczynne teatry amatorskie, dobroczynne wenty, szlichtady, oto było jedno magiczne słowo, które rozgrzeszało odrobinę życia. Gdyby nie ten wentyl, pękłaby chyba pokrywa tego kotła z kiszoną kapustą. Dobroczynność stanowiła teren, gdzie schodziły się wszystkie stany; platformę, na której mieszczka mogła zazdrościć, a hrabina imponować, gdzie poeta mógł otrzeć się o smukłe linie „ panny z towarzystwa”, a młody hrabicz wycałować o zmroku w klombie przystojną córkę korzennego kupca.

Park krakowski, oto było miniaturowe boisko tych dobroczynnych turniejów, ze swoją miniaturową sadzaweczką, z miniaturowym zwierzyńcem, gdzie przechadzał się rachityczny niedźwiedź i dwie papugi. Nad tą sadzawką wyczyniał swoje cuda w zakresie ogni sztucznych pirotechnik Mądrzykowski, dla krótkości zwany popularnie „piromądrzyk”; nad tą sadzawką chodził po linie słynny Blondin, który później znalazł śmierć w wodospadzie Niagary (co o tym było gadania w Krakowie, wszak równie dobrze mógł utonąć w sadzawce w parku!), nad nią w oświetleniu bengalskim pokazywano żywe obrazy.

Żywe obrazy! I nie byle jakie. Kraków był miastem Matejki. Cała arystokratyczna sosjeta przeszła przez pracownię mistrza, który uwieczniał te rasowe głowy na swoich wielkich historycznych płótnach. Nic dziwnego, że to nasuwało pomysły żywych obrazów z Matejki. I oto autentyczna rozmowa dwóch komitetowych hrabin, organizujących obraz z *Bitwy pod Racławicami*, w poszukiwaniu typów:

– *Nous avons le* czarny chłop – chwaliła się na sesji pierwsza.

– *Et nous avons le* kasztanowaty – odparła jej z dumą druga.

À propos tej francuszczyzny. W owym czasie osiadł w Krakowie sędziwy Oskar Kolberg.

Przyjmowano staruszka „Pod Baranami" i „Na Szlaku". Ale młodsze i płochsze hrabiny nie wiedziały, co to za dziwna postać, przygarbiona, w wytartym tabaczkowym tużurku.

– *Qui est-ce, ce vieux* – pyta jedna półgłosem drugiej.

– *C'est le Loude*. (*Lud*, kapitalne dzieło etnograficzne Kolberga).

– *Qu'est ce que c'est le Loude?...*

Kto się wówczas szanował, mówił tylko polsko-francuskim żargonem. To była mowa salonów, a w salonach skupiało się wszystko; kto nie był w środku, zaglądał bodaj przez dziurkę od klucza. Salony trzymały w arendzie literaturę, sztukę. Który z pisarzy był grzeczny, zapraszano go „Na Szlak" do hr. Tarnowskiego; kto jeszcze grzeczniejszy, to i „Pod Barany". Jaki był prestiż tej arystokracji, dość powiedzieć, że Sienkiewicz, na szczycie swej sławy, kiedy się żenił z jakąś morganatycznie arystokratyczną odroślą, obchodził niby stacje te dwory krakowskie, klękał przed starą panią Branicką i prosił ją jak o zaszczyt, aby mu była druhną dziesięcioletnia panna Tarnowska, która naiwnie pytała: „Czy pan Sienkiewicz nie ma żadnej rodziny?" Toż samo było z malarstwem, które arystokratyczna władza „Zachęty" trzymała na nitce widokami nagrody czy zakupu, jedynego źródła półżycia tych głodomorów. Było to już przed epoką, kiedy szalone Julki tłukły głowami o mur, a Kisielewski miał napisać *W sieci*. Ale wtedy jeszcze nawet nie tłukły głowami o mur.

Przełom zaczął się od tłuczenia głowy, ale cudzej. Malarz Damazy Kotowski obalił jednego razu na ziemię dyrektora „Zachęty", hrabiego Zyzia (Cieszkowskiego), i bił go długo pięścią po głowie, wołając: „Ty ufryzowany psie!" To był pierwszy objaw, że w Krakowie świta nowa era.

Niebawem przyszły inne oznaki. Powstało czasopismo młodych „Życie"; rozbito cygańskie obozy po kawiarniach; zjechała z Paryża Zapolska poprzedzona legendą, zjechał wreszcie Przybyszewski. Kraków zmienił fizjognomię. Miasto ewangelicznych cnót stało się Synagogą Szatana. Jeszcze przedtem zafurkały pierwsze jaskółki socjalizmu, pierwsze procesy polityczne, w których prokurator oskarżył kilku młodych „o symbolizm i dekadentyzm (autentyczne!) oraz inne prądy wywrotowe". Kraków zaczął chodzić na głowie.

Ale jak stwierdza Połaniecki, filozofie się zmieniają, a msza święta odprawia się ciągle. Tak i festyn dobroczynny. Kraków chodził na głowie, ale rokrocznie, z początkiem lata, park krakowski zaludniał się namiotami, wykwitały kosze szczęścia, tombole, wenty, namioty wróżb. Piromądrzyk umarł, ale zastąpił go brat, łudząco do niego podobny. Zdawało się, że nic nie naruszy świętej tradycji festynu. Aż wreszcie...

Było to w pierwszym rozkwicie „Zielonego Balonika". Kraków trząsł się od plotek o tej gorszącej „Jamie", która skupiła w sobie elitę intelektualną i do której dostać się było trudniej niż „Pod Barany". I któraś z pań komitetowych wpadła na śmiałą myśl: a gdyby tych panów z „Zielonego Balonika" zaprosić do namiotu wróżb! Atrakcje się znużyły, to by było coś nowego...

Zaproszono nas. Ponuro, ciężkim i niedbałym krokiem wkroczyło do namiotu kilku drabów, aby objąć w posiadanie laboratorium wróżb. Miłe i ładne aktorki (też rewolucja!) zasiadły na froncie. Nowi wróżbici mieli dziwne, nie znane tam wprzód obyczaje... Zdjęli surduty, kamizelki, bo czerwiec był upalny i posłali do hrabiny prezesowej z prośbą o flaszkę koniaku i wodę sodową. Zdziwienie, narady, szepty – w końcu dano flaszkę. Skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B, zdecydowała zwolenniczka modernizacji festynu. Zaczęła napływać publiczność. Na pierwszy ogień podeszła jakaś młodziutka panienka z mamą. Panienka wzięła kartkę i nakreśliła pytanie: „Czy będę sławną?" Jakież było osłupienie mamy, kiedy, nachyliwszy się przez ramię córki, zamiast zwykłej w tym namiocie karmelkowej odpowiedzi, wyczytała:

> Różne rodzaje sławy bywają na świecie.
> Może urodzisz kiedy o dwóch głowach dziecię...

Mama podniosła krzyk, poleciała do prezesowej. Jak się to skończyło, nie pamiętam, ale to wiem, że ten namiot wróżb to był słup graniczny dzielący uciechy dawnego i nowego Krakowa...

HOESICK W POEZJI POLSKIEJ

Tuż przed gwiazdkowym numerem zapytał mnie przez telefon mój redaktor, czy nie znam tekstu jakiego kurdesza. Odpowiedziałem, śmiejąc się, że znam tylko jeden, mianowicie *Kurdesz Hoesicka*, któryśmy śpiewali swego czasu w „Zielonym Baloniku". I znów, jako że jestem w tych czasach dziwnie nastrojony na nutę wspomnień, sięgnąłem myślą wstecz, i znów objął mnie wiew przeszłości. Hoesick! toż to cała epoka, a raczej kilka epok, przesuwających się kolejno przed mymi oczyma! Ale nie mam pretensji ogarnąć tu tych epok ani też pisać monografii człowieka, który sam ich napisał tyle, słowem, być Hoesickiem Hoesicka: przypomnę jedynie to, co znalazłem w starych papierach. Ot, to, co historia literatury nazywa „przyczynek". Hoesickiana. Mówię oczywiście o Hoesicku Ferdynandzie, nie zaś o Hoesicku-symbolu przywiązanym do firmy księgarskiej, tak jak z imienia Cezar powstało słowo cesarz, a z Karola król. Jak wiadomo, obecnie nam panującym Hoesickiem jest najpłodniejszy z wydawców, sympatyczny p. Marian Stainsberg. Ale o nim kiedyś osobno. Wart tego.

Kurdesz Hoesicka wiąże się z historią polskiego salonu literackiego. Do obrzędów starego Krakowa, owego sprzed paru dziesiątków lat, należały „niedziele" Ludwika Michałowskiego. Gospodarz tych niedziel, człowiek dużego osobistego uroku, zamożny, posiadający piękne zbiory, związany – już samym nazwiskiem – z naszymi świetnymi tradycjami artystycznymi, umiał gromadzić u siebie wszystko niemal, co w kraju było wybitnego, a co przesuwało się przez Kraków, który wszędzie był po drodze. Przedstawiciele sztuki, nauki, dobierani z wielką skrupulatnością w swoich najcelniejszych okazach, spotykali się tam na popołudniowej herbacie z reprezentantami rodowej arystokracji, których kwalifikacje duchowe były przesiewane już przez mniej gęste sito. Śmiano się też po trochu z owych „członków dziedzicznych" i „członków mianowanych" (na wzór austriackiej Izby Panów) niedzielnego salonu; jednakże, właśnie przez tę kunsztowną miszkulancję, odgrywał on niewątpliwie swoją rolę i był cenną instytucją dawnego Krakowa. Kiedy Ludwik Michałowski umarł, zabrakło jego „niedziel" (które znałem zresztą jedynie z opowiadań), nikt zaś nie czuł się powołany do podjęcia tradycji. Podjął ją wreszcie Ferdynand Hoesick, niedawno wówczas – było to gdzieś w roku 1906 czy 1907 – osiadły w Krakowie po dłuższej zeń emigracji, wskrzeszając u siebie popołudniowe niedziele z całym ich obrzędem, którego pilnował ściśle staruszek Karol Estreicher, czuwający nad tym, aby każdy gość zapisał się najsamprzód do księgi pamiątkowej, również śladem Michałowsjkiego wprowadzonej przez Hoesicka.

Jednakże nowy salon nie mógł utrzymać dawnego charakteru. Urodzoiny w erze powszechnego głosowania, nosił już na sobie jej piętno. „Członków dziedzicznych" nie stało; cenzus „członków mianowanych" był znacznie łagodniejszy. Przy tym duch czasu uległ wśród tego znamiennej odmianie: puls życia artystycznego opuścił salony i przeniósł się do zadymionej knajpy; artyści stronili od tych nieco sztywnych niedziel. Wykazywała to z nieubłaganą wiernością księga pamiątkowa, pielęgnowana przez tradycjonalistę Estreichera, ozdobiona na jednej karcie szerokim podpisem eksc. hr. Stanisława Tarnowskiego, na innej Henryka Sienkiewicza i in., lecz poza tym gromadząca co niedzielę przeważnie podpisy tych samych

radców miejskich, adwokatów, lekarzy etc. Salon artystyczno-literacki doznał nieuniknionego losu każdego „Koła artystyczno-literackiego". Drużyna z „Jamy Michalikowej" – był to właśnie okres rozkwitu „Zielonego Balonika" – zajrzała również raz i drugi na owe herbatki, ale nie czuła się na nich swojsko. Gospodarz niedziel zostawił przed kilkoma laty Kraków cichym, taktownym i uczonym, zastał go rozhukanym, kudłatym i pełnym nieuszanowania. Przeszedł przez Kraków Przybyszewski ze swoją bandą.

I menu owych kulturalnych herbatek opierało się również na obyczajach dawnego Krakowa, pozostawało zaś w rażącej sprzeczności z obyczajami nowego. Weteranom „Paonu", „Bodegi" i „Jamy Michalikowej", nawykłym puszczać kolejką potężny tzw. „dziecinny" pucharek, ta dosłowna h e r b a t k a literacka musiała się wydać nieco mdła; gospodarz zaś, nie dość zorientowany w nowych prądach, nie rozumiał, aby pół litra czystego wyskoku na głowę miało być proporcją niezbędną do otworzenia nowoczesnego salonu literackiego i utrzymaniu go na wysokości zadań. Toteż rozgoryczeni cyganie wyciekali jeden po drugim z „salonu" do knajpy, złorzecząc niesłusznie zacnemu domowi i przypisując względom oszczędności to, co było jedynie zasadniczym nieporozumieniem dwóch epok. I tak urodził się sklecony wspólnie w wesołej kompanii *Kurdesz Hoesicka*, będący trawestacją staropolskiego kurdesza *Każ podać wina, gospodarzu miły...* chętnie śpiewanego przy okazjach przez Włodzia Tetmajera.

Oto ów Kurdesz:

Każ dać herbaty, gospodarzu miły,
Bogdaj się twoje niedziele święciły,
Osłodź ją cukrem, wychyl razem z nami,
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Flaszka po winie, syfon i trzy placki,
Wiwat najnowszy salon literacki,
Tam duchy na czczo obcują z duchami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Wspomnijmy przodków szlaki wiekopomne;
Precz filiżanki, naczynia ułomne,
Precz filiżanki, pijmy imbrykami,
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

(Ta strofka specjalnie do hr. Stanisława Tarnowskiego.)

Ty, ekscelencjo, najstarszy z nas wiekiem,
Pomnij, herrrbata jest dla starców mlekiem;
Dolej śmietanki, zażywaj kroplami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

A ty, o stróżu, coś został lokajem,
Pomnij, że Polska jest północnym krajem,
Zapal więc w piecu, ogrzejesz się z nami –
Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

A jeśli węgli zbyt wysoka cena,
Podpal Słowackim i dorzuć Szopena,
My Tarnowskiego dołożymy sami –

Kurdesz, kurdesz nad kurdeszami!

Na tacy wreszcie wnosi coś służąca;
Gość łyka ślinkę i sąsiada trąca:
To – pamiątkowa księga z podpisami!!
Hoesick, Hoesick nad Hoesickami!

Śpiewało się czasem tego bluźnierczego kurdesza u Michalika, wynagradzając sobie koniaczkiem ową nazbyt herbacianą dietę salonu. Dziś to już przeszłość jakże dawna! Zamiłowany badacz epok literatury p. Ferdynand Hoesick nie weźmie mi chyba za złe, że ją przypomniałem. Zwłaszcza że dzisiaj ja piję herbatę, a on koniak...

MÓJ DEBIUT MALARSKI

Przypadkowo tak się złożyło, że wypadło mi sięgnąć myślą we wspomnienia „Zielonego Balonika": dawne dzieje, do których, pochłonięty wciąż jakąś nową pracą, nową pasją, doprawdy nie miałem czasu wracać. Musiałem przejrzeć dawne „archiwa", stare szpargały, rysunki, zaproszenia, jakie mi, dość niekompletne zresztą, pozostały z owej epoki. I oto, między innymi, wpadł mi w rękę dokument, który mnie szczerze ubawił: jedyne d z i e ł o m a l a r s k i e, jakie w życiu wykonałem.

Ponieważ widnieje na nim podpis Karola Frycza, sama zaś rzecz ściśle wiąże się z jego osobą, trzeba mi jemu kilka słów poświęcić. Wiadomo, że ten tak dobrze znany Warszawie artysta młodość swoją spędził w Krakowie. Jeden z najzdolniejszych uczniów krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, chadzał w malarstwie własnymi drogami. W dobie gdy w młodej malarii ówczesnej panował wszechwładnie pejzaż, Frycz, mimo iż siedząc na wsi z pasją studiował naturę, inny czynił z niej użytek. Jego wystrzyganki – których technikę sam sobie wymyślił – owe pyszne pawie, pantarki, kokoszki, jego karykatury, koncepty malarskie wszelakiego rodzaju, wszystko to robiło czasem – i jakże niesłusznie – wrażenie, że on się raczej bawi malarstwem, niż traktuje je serio. Tymczasem we Fryczu tkwił ów olbrzymi talent dekoracyjny, który dławił się w Krakowie, nie mając sposobu wypowiedzenia się pełniej. Niebawem Frycz zabłysnął na polu zdobienia kościołów; pochodząc zaś z ziemiańskiej rodziny, umiał doskonale porozumiewać się z księżmi i tak ich oczarował, że jeden z nich, ks. Józef Rokoszny, wydał – ku niesłychanej uciesze „Zielonego Balonika" – broszurę pt. *Karol Frycz* z portretem młodego malarza.

Kiedy powstał ów „Zielony Balonik", rzecz oczywista, że Frycz był jednym z twórców i filarów tej instytucji. On sam był w owej porze chodzącym „kabaretem". Urodzony mim i aktor, parodysta, karykaturzysta, transformista, kostiumer, dowcipnie władający rymem i prozą, przepadał zwłaszcza za wszelkimi kawałami, za mistyfikacją. Przebudować koledze bawiącemu w knajpie mieszkanie tak, aby ten, wróciwszy nieco zawiany, cofnął się z przerażeniem z własnego pokoju przypuszczając w końcu, że oszalał; przeprowadzić szereg rozmów telefonicznych głosami coraz to innych osób i zaplątać jakąś intrygę niewinną w gruncie, ale dającą powód do nieskończonych zamieszań, to były Frycza ulubione rozrywki. Imitację p. Heleny Sulimy, wówczas artystki krakowskiego teatru, doprowadził do takiej doskonałości, że koczując raz w czasie nieobecności artystki w jej mieszkaniu, przez zamknięte drzwi przeprowadzał jej głosem długie rozmowy z odwiedzającymi ją znajomymi.

Frycz, ruchliwy jak żywe srebro, miał jedną właściwość, mianowicie – znikał. Znikał jak kamfora, w chwili gdy się go najbardziej potrzebowało; i nigdy nie było wiadomo, czy się wynurzy po paru godzinach w kawiarni Sauera, czy po tygodniu na wsi w Sandomierskiem, czy po dwóch miesiącach we Florencji. Że otaczał się przy tym hiperdyskretną tajemniczością i adresu jego, często zmieniającego się zresztą, nikt nie znał, doprowadzało to do rozpaczy każdego, kto miał do niego pilną sprawę. Niesłowność jego była przysłowiowa, wynikała zresztą z jego dobrych chęci, zapalał się do każdego projektu i w każdym szczerze obiecywał współdziałanie. Gawędziarz, bardzo towarzyski, nigdy nie panował nad swoim czasem.

Oczywiście, gdy chodziło o żarty, gdyż sekretem jego „znikań" była zwykle jakaś poważna i wytężona praca.

Bądź co bądź, przed każdym wieczorem „Zielonego Balonika", a często i bez tej okazji, rozlegało się po wszystkich kawiarniach jednobrzmiące pytanie: „Czy nie było tu Karola Frycza?..." Zjawiał się zwykle w ostatniej chwili, wówczas wykonywał w pół godziny robotę, która zdawałoby się, wymagała tygodnia, strzygł, kleił, malował, dostarczał wszystkiego, co trzeba, tak świetnie i wesoło, że rozbrajał wszystkich, i nie było sposobu się gniewać za niepokoje, jakich przysporzył. Ale czasem się nie zjawiał, i wówczas gromy spadały na głowę... nieobecnego.

Uwiecznił te pościgi za Fryczem bard kabaretu, Witold Noskowski, w piosence na nutę *Nie widział kto małego Kohna gdzie?*, zaczynającej się od słów: „Rwij włosy z głowy, płacz i krzycz, gdzieś mi się podział Karol Frycz" etc. Oto jedna z wielu strofek:

– Halo? – Tu teatr? Frycz tam był?
– Pięć minut, cztery suknie szył,
Sześć dekoracji machnął w mig,
Spiesząc ku drzwiom coś pilnie strzygł...

– Halo? Tu Sauer? – Pił sześć kaw,
Był minut trzy po nawał spraw!
– Halo? Hawełka? – Sługa sług,
w tej chwili właśnie przeszedł próg...

Po czym refren:

Nie widział kto Karola Frycza gdzie?
Wszakże z nim tak łatwo spotkać się!
I wie całe miasto,
Że sto razy na sto
Punktualnie w miejscu schadzki stawi się!

Otóż zdarzyło się, że Frycz nadużył trochę wyrozumiałości komitetu „Balonika". Urządzaliśmy właśnie drugą *Szopkę*, pisaną przez Nosa i mnie, i mieliśmy rozesłać zaproszenia. Zaproszenia takie były stale zdobione rysunkiem któregoś z malarzy. Oczywiście do Frycza. Obiecał.

– Ale czy dotrzymasz?

– Przecież zawsze dotrzymuję – odparł Frycz z uśmiechem, który mi się wydał szyderczy. Ten uśmiech mnie zaniepokoił.

– Słuchaj, Karolu – powiadam – umówmy się tak: jeżeli nie dotrzymasz do tej a do tej pory, oświadczam ci, że ja sam, jak mnie tu widzisz, zrobię rysunek, podpiszę ciebie i oddam do litografii. Zgadzasz się?

– Zgadzam – odparł Frycz, który przepadał za takimi kawałami.

– Ale ja mówię serio – zaznaczyłem jeszcze raz.

– Serio, serio – odparł Frycz już znikając.

Czekaliśmy cierpliwie. Przyszedł oznaczony dzień, oznaczona godzina, Frycza ani śladu. Udałem się do zakładu litograficznego naszego kochanego „Zenona" (Pruszyńskiego), poprosiłem o atrament litograficzny, wykonałem rysunek przedstawiający Trzech Królów i aniołka i oddałem do wykonania. Wypadło doskonale. Kiedy zaproszenie już rozesłano pocztą,

poszedłem do Michalika, siadłem przy stoliku malarskim i bardzo mnie bawiło słuchać uwag kolegów malarzy o tym dziele. Nikt nie podejrzewał, aby to nie był autentyczny Frycz, wobec wyraźnego podpisu; zachwycali się tylko, w jaki sposób Frycz potrafił tak dobrze podrobić naiwność dziecka nie mającego pojęcia o rysunku...

Patrzę dziś na datę na tym dziele (1907) i spostrzegam, że to właśnie upłynęło dwadzieścia lat. Mój Boże! Dwudziestoletni jubileusz mojego debiutu malarskiego! W powodzi jubileuszów jakoś przeoczono tę datę...

SUKUR–MUKUR

Kiedy w lecie wyczytałem w gazetach, że zjeżdża do Warszawy półoficjalny delegat Litwy, profesor kowieńskiego uniwersytetu, Józef Albin Herbaczewski, doznałem dziwnego uczucia. Uczucia tego doświadczam nie pierwszy raz. Wracam mianowicie czasem myślą kilkanaście lat wstecz, widzę całą naszą krakowską paczkę „michalikową" i myślę sobie, jakbyśmy się śmiali, gdyby nam tak jaki wróżbita przepowiedział wówczas nasze przyszłe losy; że Trzciński będzie dyrektorem teatru, ja krytykiem w Warszawie, Stefański posłem w Moskwie, Siedlecki kaznodzieją, German autorem *Iwonki*, Skotnicki dyrektorem departamentu itd. Ale nie ulega wątpliwości, że Herbaczewski przelicytował nas wszystkich w niespodziance. Jest coś z rozmachu „Zielonego Balonika" w tej karierze, którą zresztą powitałem z najżywszą sympatią. „Niech wszyscy Litwini będą z tej rasy – pomyślałem sobie – a pokochamy się z nimi bardzo prędko." Bo nie ulega dla mnie kwestii, że Herbaczewski nie mógł nie przewieźć ze sobą do Kowna tych dwudziestu lat spędzonych w Krakowie, przeżytych w braterstwie bodaj najmocniejszym, bo braterstwie wspólnej myśli i zabawy.

Herbaczewski narodził się u Michalika; przynajmniej dla mnie, bo tam go poznałem. Co robił wprzód w Krakowie, czym się zajmował, nie wiem. Nikt z nas zresztą nie myślał o realnych warunkach życia Józefa Albina; był on dla nas figurą fantastyczną, hoffmanowską. Blada, ściągła twarz z na wpół sardonicznym, na wpół dziecięco-dobrym uśmiechem na wąziutkich ustach; oczy małe, błyszczące a mętne, olbrzymia szopa włosów wyglądających tak, jakby ktoś wyrwał garść rosharu z materaca i przykleił do czaszki, chudy jak szkielet, o stawach jakby związanych sznurkiem, nerwowa gestykulacja... Skąd wziął się na estradzie u Michalika, powtarzam, nie wiem; wiem tyle, że od pierwszych wieczorów „numer" jego prozy stał się uświęconym punktem programu. Wśród recytacji i piosenek Herbaczewski był naszym felietonistą. W swoim tużurku stalowego koloru, z szyją spętaną w czarny staromodny halsztuk, Herbaczewski wychodził na estradę i śpiewnym litewskim akcentem wygłaszał długie przemówienia, w których czuło się, że mu o coś chodzi, i to bardzo; o co jednak, myśl słuchacza nie była zdolna pochwycić. Zaczynał zwykle od pozdrowienia słowami „sukur-mukur", co podobno, jak owo powitanie murzyńskie ze znanej anegdoty, znaczy po litewsku: „Witaj, cudzoziemcze"; po czym mówił, mówił... Oto np. urywek z dłuższego jego utworu pt. *Pająk, pasożyt i pan dyrektor*, naszpikowanego aluzjami do sztuki *Pająk*, która świeżo wówczas zrobiła klapę na scenie krakowskiego teatru. (Wyjmuję ten tekst, jak i karykaturę, ze skromnego archiwum „Zielonego Balonika",)

– Tss! Panowie! Pająk jest stworzeniem, które wydaje dźwięki podobne do syku węża! Tsss! Panowie! Pająk ma jedną głowę, trzy oczy – jedno z przodu, a dwa z tyłu, 49 nóg i 7 rąk! Tsss! Brzucha nie ma wcale; żyje prawie nic nie jedząc! Tsss! Panowie! Duszy Pająka żaden z dyrektorów teatru jeszcze nie wymacał, więc nic o niej powiedzieć nie może prócz tego, że jest stworzeniem Lucypera! Tsss! Pająk jest straszny albowiem syczy: tsss! Jest niemoralny, albowiem nie ma siedmiu żon aktorek i czterdziestu dziewięciu nieprawych dzieci! Tsss! Jest niebezpieczny, albowiem nie pokazuje się nigdy w teatrze, albowiem etc., etc.

Ale trzeba było słyszeć, jak to było wygłoszone! Płomień, dynamit! I tak dalej, i tak dalej,

przez kwadrans, pół godziny, z takim nakładem spalanej energii, przejęciem, patosem, to znów gryzącym sarkazmem, iż te występy Józefa Albina robiły wrażenie jakiegoś demoniackiego opętania. Czasem wystrzelał jakiś paradny koncept, jak np. w długiej bajce o „pchle, która cierpiała na rozdwojenie osobowości – na wesz i pluskwę"; czasem padały z jego ust słowa tak... naturalne, iż słuchacz zapytywał sam siebie z trwogą, dokąd to zaprowadzi, i oddychał dopiero wówczas, gdy zyskał przeświadczenie, że wobec tego, co było, nic już gorszego nastąpić nie może. Podczas oracji Herbaczewskiego można powtórzyć z poetą – *„Die Ritter schauten muthig drein, und in den Schooss die Schönen..."* Zrazu oracje te wywoływały zgorszenie, z biegiem czasu polubiono jednak te kabalistyczno-litewskie „sukurmukur". Herbaczewski stał się pewnego rodzaju próbą dla nowych gości; kto jego strawił, ten wylegitymował się brakiem pruderii, stawiającym go w rzędzie godnych pomazańców kabaretu. Zresztą, gdy przebierał miarę w swojej mistycznej koprolalii, pozostawał zawsze sposób wyniesienia go z estrady przez tzw. osiłków kabaretowych, których wśród młodej malarii było kilku, gotowych zawsze do działania na znak dyrektora.

Kiedy w tradycyjnej dziadowskiej pieśni dziadek „Zielonego Balonika" dopełniał prezentacji swojej menażerii, Józefa Albina charakteryzował w tych dwóch strofach:

Jensy na łbie ma kłaki,
Jak u jakiej pokraki,
Ponoś jaze jest ze Żmudzi,
Co ten gębą napaskudzi,
To ratuj Chryste Pa-a-a-a-nie!

Mówią o nim dochtory,
Że na rozum jest chory,
Bo do kobit tak się bierze,
Zamiast użyć jak należy,
Ino gada pluga-a-a-a-a-stwa.

Od czasu „Zielonego Balonika", Herbaczewski stał się w Krakowie jedną z najpopularniejszych postaci. Przyjęto go jak swego. Został lektorem litewskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Czy umiał po litewsku? Może. Napisał parę ciekawych, mimo swego „sukurmukur", książek; *Amen* i *Nie wódź nas na pokuszenie*. Żył z nami wszystkimi jak z braćmi. Nie można sobie było Krakowa wyobrazić bez jego kłaków, bez jego halsztuka i tużurka. Poszukiwano go też dla jego sztuki mediumistycznej, dla jego poufałych stosunków z szatanem, którego umiał wywoływać. Bo ten mistyk był zdecydowanym, choć zapewne mimowolnym satanistą. Drżał przed „złym", przed biesem, ale pozostawał w kręgu jego fascynacji. Nie dałbym głowy, czy w Krakowie nie odbywały się czarne msze, których Józef Albin był celebrantem. Jednego tylko bał się jak ognia, jak morowej zarazy: masonów. Przekonany był, że masoni całego świata spiknęli się, aby go kusić. Znaliśmy tę jego słabość i nieraz, witając się z nim, dawaliśmy mu przez żart znak masoński (który, nawiasem mówiąc, bez najmniejszego skutku próbowałem dawać Kostaneckiemu i Askenazemu); wówczas Herbaczewski odstępował na kilka kroków wstecz, oczy płonęły mu jak karbunkuły i przecinał powietrze szerokim znakiem krzyża świętego, wołając: „Odstąpcie! Znam was! Precz! A kysz! a kysz!".

Piszę to wszystko po trosze dla przyjemności tych starych wspominków, ale i nie bez poważniejszej myśli. Uważam mianowicie za konieczne przestrzec dziś, gdy Herbaczewski reprezentuje mocarstwo, z którym na sąsiednich, a może i bliższych stosunkach tyle nam zależy, dziś, kiedy może będziemy za jego pośrednictwem pertraktowali: błagam, nie wysyłajcie mu

żadnego masona, zgubilibyście wszystko! Proponuję natomiast wysłać do niego paru starych kompanów z „Zielonego Balonika”; ci się z nim dogadają z pewnością. Przede wszystkim dawnego jego dyrektora, „Stasinka” Sierosławskiego; dobry będzie też Lulek Schiller, no i ostatecznie ja się mogę do Kowna przejechać, aby popatrzeć w oczy naszemu staremu i kochanemu druhowi i szepnąć mu: „Sukurmukur.” Tylko, na miłość boską, nie masona!

DOKUMENTY

Znają wszyscy powieść *Fermenty* Reymonta. Pamiętacie tam urzędnika kolejowego na małej stacyjce, który jest zarazem zawiadowcą i kasjerem, własnym swoim zwierzchnikiem i podwładnym. Dostaje z czasem fijoła na punkcie podwójności swych funkcji; sam ze sobą koresponduje, żąda wyjaśnień, udziela sobie nagany etc. Coś podobnego grozi po trosze każdemu człowiekowi, który ma podwójne agendy. Tak np. ja: jestem autorem i krytykiem. Dawniej nie zazębiało się to o siebie; jako krytyk zajmowałem się teatrem albo daleką Francją. Ale od jakiegoś czasu ogarnęła mnie rozpusta przeszłości, perwersja dokumentu; raz po raz wyciągam jakieś szpargały, wpatruję się w stare fotografie. Otóż czuję, że z tą chwilą ta kumulacja charakterów staje się niebezpieczna. Boy-krytyk i badacz zaczyna ciekawie zerkać na skrytkę, gdzie znajdują się rozmaite dokumenty tyczące Boya-autora i co gorsza, człowieka. Czasem zdarzy mu się, kiedy wyjdę z domu, wracać po cichu, zakradać się do pokoju i chodzić na palcach koło tego kantorka, od którego wiem, gdzie Boy chowa kluczyk. To już groźne, prawda?

Czasem zaglądam: czy jako ja, czy jako ten drugi? Czegoś mi potrzeba, czegoś szukam, więc niby to jako ja; ale czuję, że tamtemu drugiemu aż oczy się świecą przy każdym świstku, który biorę w rękę. Ja jestem zdrów i pełen wigoru, a ten drugi, kanalia, już myśli pośmiertnie". Patrzy łakomie na jakieś wierszyki pisane do prywatnych osób, czasem w celach erotycznych, nigdy nie wydane, i kombinuje sobie, co by to był za sensacyjny artykulik do „Wiadomości Literackich". To znów jakiś drobiazg okolicznościowy, wymagający komentarza: wszyscy będą się biedzić, a on wie co, jak, czemu! I kiedy to stanie się pośmiertne, czyli aktualne, jego nie będzie, żeby to wypaplać: to się wściec można! A taki na przykład brulion wierszyka, wpisanego do albumu nieletniej bratanicy:

Jeden o herbach swych plecie,
Drugi bogactwem się puszy,
Lecz wierzaj, nie ma na świecie
Nic ponad pogodę duszy.

Niechaj los wszystko ci zburzy,
Uczciwość, cnotę i mienie,
Bylebyś z życia podróży
Wyniosła c z y s t e s u m i e n i e!

Czy to włączyć do dzieł zbiorowych Boya, czy nie? Ileż tu pasjonujących zagadnień dla krytyka!

I w czasie takiej eskapady w przeszłość – mogę powiedzieć cudzą – znalazłem dokument, ot, zdawałoby się nic: rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek*: *Ludmiła*. Boy-badacz pieści go miłośnie, obraca w rękach: co to? z drugiej strony rękopisu niemiecki formularz recepty kolejowej! I znów przemiana osobowości: znika uczony erudyta i już ja sam, wpatrzony w ten dokument, biegnę pamięcią wstecz. Śnieg jest jak dzisiaj, ja stoję

obok palacza na starej, trzęsącej lokomotywie, co chwila otwiera się czeluść, z której bucha czerwony żar. Ileż chwil życia tak spędziłem!

Nominację na lekarza kolejowego otrzymałem w tym samym roku, w którym wydałem pierwszy tom piosenek i wierszyków. Lekkomyślnością tą przypieczętowałem na zawsze moją karierę niedoszłego docenta chorób dzieci; trzeba się było obejrzeć za czym innym. I co mi tam zaszkodziło, tutaj mi pomogło; posadę moją dostałem dzięki protekcji amatora moich piosenek i wierszyków, który był sekretarzem prezydialnym przy ministrze kolei w Wiedniu. Obecnie handluje w odrodzonej Polsce spirytusem.

Nie chcę wymawiać memu dobroczyńcy, kochanemu Poldkowi S., ale posada była straszna. Była to tak zwana „sztreka", czyli „przestrzeń", od Krakowa do Podłęża. Poza ranną ordynacją dla przychodnich chorych, trzeba było w każdej chwili być na zawołanie; przychodziła depesza służbowa z „przestrzeni", że chory taki a taki wzywa pomocy. Nigdy się nie wiedziało, co cięższe, a co lżejsze, co nagłe, a co nie, więc na każde wezwanie – o każdej godzinie dnia i nocy – jazda! I co za jazda! Jechało się tym, co było pod ręką: pociągiem osobowym, towarowym, bydlęcym, lokomotywą. Ileż przeszkód, mitręgi. Pytam np. telefonicznie stacji, jakie jest najbliższe połączenie. Odpowiadają mi: za dziesięć minut odchodzi ciężarowy. Pędzę na dworzec, ciężarowy już w ruchu; nie chcąc stracić okazji, wskakuję w biegu, z małym ryzykiem skręcenia karku, i kontent z siebie sadowię się na bremzie. To znów pokazuje się, że pociąg nie może odejść, bo Płaszów „nie puszcza".

Czekam, chodząc po peronie, pół godziny, czasem więcej, wpatrzony w sygnał, który ma oznajmić „frei". Nareszcie ruszamy. Pod Płaszowem – *halt*! Płaszów to węzłowa stacja z ogromnym ruchem: nie zdarzy się prawie ciężarówce przebyć jej bez zatrzymania. Siedzę na mojej bremzie, marznę, wysiadam, chodzę, znów wsiadam... gdyby to wiedzieć, ile się będzie czekało, to bym się odpowiednio nastawił psychicznie, ale tego nikt nie wie: może minutę, może trzy kwadranse, nie wiadomo. Wreszcie „frei": jazda dalej. Przybywam do Podłęża, nie ma na stacji koni; nie przysłali, nie mają obowiązku; trzeba iść po straszliwym błocie, dwadzieścia minut, pół godziny. Przychodzę i dowiaduję się, że wezwano mnie, bo matka wczoraj się zlękła, że „dziecko jakoś dziwnie patrzy".

– Pokażcie dziecko, zobaczę.

– Kiedy go nie ma, poszło gęsi paść.

Jest jakaś nemezis: lud, tak długo pozbawiony pomocy lekarskiej, mając ją na zawołanie, nadużywa jej w straszliwy sposób. Zdarzyło się memu koledze, że jechał w nocy z narzędziami do porodu, a pokazało się, że baba nawet w ciąży nie była. Histeria jest u ludu o wiele częstsza niż w salonach, nie jest to bynajmniej choroba „literacka".

Wracam tedy, zapisawszy coś lub nie, przybywam na stację, czekam; najbliższy pociąg za godzinę, jak się zdarzy. Kiedy minęła godzina, przychodzi depesza, że spóźniony o trzy kwadranse. Potem znów Płaszów nie puszcza, potem znów Kraków nie puszcza, ale już nie czekam, tylko zbiegam po plancie na dół i drałuję pieszo. Nareszcie, straciwszy pięć czy sześć godzin, dobijam do domu, gdzie zastaję depeszę, wzywającą mnie pilno do... Podłęża! Byłem tam właśnie, widział mnie naczelnik stacji, który nadawał tę depeszę, i nie powiedział mi ani słowa o tym drugim wezwaniu! Zapewne miał inne rzeczy na głowie... Może myślał o pociągu, który trzeba przepuścić, może w myśl francuskiej piosenki (*„Il est cocu, le chef de gare..."*) myślał o tym, że podczas gdy on ma dyżur i nie może się ruszyć ani na krok, zastępca jego jest wolny, a żona młoda i ognista... czy ja wiem, o czym on myślał. Może zrobił mi to umyślnie, bo urzędnicy ruchu nie lubili lekarzy kolejowych, uważając ich za darmozjadów i zazdroszcząc im (jest czego, mój Boże!) tytułu doktorów. Dość, że dostawszy taką drugą depeszę i zmuszony odbywać znów tę moją Golgotę, myślałem nieraz, że się rozbeczę z desperacji.

Co to była za służba, wyrażę tym jednym. Kiedy wybuchła wojna i wcielono mnie do wojska, świat się trząsł w posadach, a ja myślałem z uczuciem ulgi: nie będę jeździł na „sztrekę”!

I doprawdy, nie wiem, jakbym przetrzymał to wszystko, gdyby nie – wierszyki, które mnie nawiedzały w owej epoce. One mnie ratowały od rozpaczy. Doszedłem do takiej wprawy, że ledwo usadowiłem się w wagonie lub częściej na b r e m z i e (hamulcu) zaraz zapadałem w rodzaj katalepsji; oblegały mnie słowa, słówka, rymy, melodie, i tak spędzałem tych parę godzin, przerwanych na chwilę na wpół przytomnym opukaniem chorego i zapisaniem recepty. Prawie wszystkie moje wierszyki powstały w ciągu tych lat na bremzie albo na lokomotywie. W tej chwili znajduję w kantorku jakiś kalendarzyk reklamowy g l i c e r o f o s f a t ó w R o b i n, gdzie trzęsącym się ołówkiem – widać, że pisane w ruchu – znajduję zanotowane bruliony i warianty różnych lekkomyślności. A ile nie utrwalonych, nie dokończonych, uleciało z dymem lokomotywy!

I stanęła mi w myśli jak żywa historia *Ludmiły*. Przechowała mi się w zakamarkach pamięci, ponieważ przez nią zdarzyło mi się, jedyny raz, minąć stację, jadąc do chorego. Wezwano mnie do Podłęża. Przypadkowo trafiłem na osobowy pociąg: gratka! Było to w zimie, pociąg przegrzany czekał bez końca na odjazd, siedziałem sobie w cieple z zamkniętymi oczami i anim wiedział, ile czasu upłynęło, nimeśmy wreszcie ruszyli. Dumałem o Ludmile. Nie wiedziałem, kiedyśmy minęli Płaszów, tak byłem zajęty jej losami. Skąd mi się wzięła, czemu ta, czemu taka, licho ją wie. Każda twórczość ma swoje „czterdzieści i cztery”. Nie wiedziałem, jak się to skończy, co się z nią stało. I zadumałem się tak głęboko, że kiedy machinalnie spojrzałem w okno, ujrzałem nieznany pejzaż. Wzdrygnąłem się. Moją „przestrzeń” znałem jak pacierz; po drzewach mogłem poznać, na którym znajduję się kilometrze. Oszołomiony, spuszczam szybę, wyglądam, naraz pociąg zwalnia, stacja Kłaj! Przejechałem moją stację, gdzie mnie oczekiwano u chorego. Wysiadam, wściekły wpadam do kancelarii, rzucam się do stołu, wyjmuję z kieszeni formularz recepty i notuję historię Ludmiły, której koniec uświadomił mi się w nagłym olśnieniu. Nie znany mi i nie znający mnie wzajem naczelnik stacji patrzy na mnie jak na wariata; przepraszam go za moje wtargnięcie do sanktuarium Ruchu i pytam o najbliższą okazję do Podłęża. Wróciłem do domu z kilkogodzinnym opóźnieniem i z tą Ludmiłą w kieszeni. Jest to rzadki egzemplarz, bo w ogóle nie chowałem wówczas moich autografów, nie wiedziałem, że dojdą takiej ceny. Boy-historyk literatury znalazł go w biurku Boya-autora i ogłasza. Czy to jest początek losu owego naczelnika-kasjera z *Fermentów*? Któż wie!

JESZCZE DOKUMENTY

Ogłaszając pierwszą partię znalezionych dokumentów, zaznaczyłem pewne refleksje, jakie mi nasunęło to „rozdwojenie osobowości" na autora i badacza literatury, na człowieka i obserwatora; to czyhanie na przejawy życia, którego jestem podmiotem i przedmiotem. Wszystko to, przez analogię do owego Reymontowskiego zawiadowcy stacji i kasjera w jednej osobie, wydało mi się dość niepokojące. Cóż dopiero, kiedy w ostatnich czasach wierna Informacja Prasowa zaczęła mi przynosić pewne „głosy prasy". Przeląkłem się, kiedym się ujrzał w tym zwierciedle: przedwczesny uwiąd starczy, sanatorium dla zboczeńców, szpital jako najwłaściwsze dla mnie miejsce, ekshibicjonizm, symulacja, zgniła gorączka, rajfurstwo, „polski Goriot" (nie wiem czemu, poczciwy ojciec Goriot z Balzaka stał się nagle dla naszych świątobliwych analfabetów najcięższą obelgą, coś tak jak u chłopów „omentra" albo „sufragan"?). Przewertowano moje pisma; znaleziono w nich zwierzenie, że cierpię na b r a d y k a r d i ę (zwolnienie tętna) i że w chwilach takiego „odpływu życia" czuję się zdolny do wszelkiej p e r w e r s j i, nawet z b r o d n i, byle je trochę popędzić. Straszna ta wiadomość, powtórzona tłustym drukiem, obiegła część prasy, jako oczywisty dowód moich zbrodniczych instynktów.

Wszystko to będzie kiedyś cennym przyczynkiem do dzieła *Historia głupoty w Polsce*, o ile znajdzie się taki benedyktyn, taki tytan pracy, aby je napisać. Ale jako mędrzec, mam ten zwyczaj, że cokolwiek mi ktoś powie, choćby to był najgorszy człowiek i rzecz najobelżywsza, zastanawiam się, ile w tym może być prawdy. Może w istocie jest ze mną niedobrze? Rozpocząłem nad samym sobą gruntowne badanie. Zapuściłem się w genealogię; niewyraźna: zarówno po mieczu (jeśli to można nazwać mieczem), jak po kądzieli, mam w rodzinie sporo wypadków obciążających z punktu widzenia normalności umysłowej... I kiedy tak dumałem nad sobą samym, szperając moim obyczajem w dokumentach, wpadł mi w rękę akcik dość szczególny. Jest to urzędowy protokół c.k. policji krakowskiej, jeszcze z r. 19.. Protokół ten [...] brzmi:

„Dr Tadeusz Żeleński, 26 lat liczący, syn Władysława i Wandy, rodem z Warszawy, lekarz, zamieszkały w szpitalu św. Łazarza na ulicy Kopernika, doprowadzony przez c.k. ajenta cyw. poi. Nykulacza oraz c. i k. kaprala policyjnego Golenia dnia 8.XI.19.. o godzinie 1/2 l rano, z powodu, iż tenże, idąc chodnikiem od ulicy Siennej ku głównej poczcie, nie wymawiając żadnych wyrazów, krzyczał w okropny sposób, tak iż się ludzie mogli przerazić nawet w odleglejszych ulicach.

Doprowadzony, zupełnie trzeźwy, przyznaje, że krzyczał, bo jest cierpiący na nerwy.

Po stwierdzeniu tożsamości, puszczony wolno.

Podpis nieczytelny".

Przypominam sobie, skąd ten papier dostał się w moje ręce. Policja przesłała go dyrektorowi szpitala, gdzie pracowałem jako lekarz; dyrektor szpitala wezwał poufnie mego starszego brata, wypytując go dyskretnie o mnie i oddał mu ten papier, a brat mój, wpół śmiejąc się, wpół zakłopotany, oddał go mnie. W ten sposób akt ten znalazł się w moim posiadaniu: cóż za skarb dla historyka literatury!

Nic do tego suchego dokumentu dodać nie potrafię. Krzyczałem, to fakt. Ale czemu? Nie umiem wyjaśnić, tak jak nie umiałem wyjaśnić w urzędzie policyjnym. Zeznałem, że cierpię na nerwy; bo cóż miałem powiedzieć, aby uniknąć grzywny lub aresztu? Ale czemum krzyczał? Może jakiś kosmiczny ból ziemi krzyczał przez moje gardło w tę noc jesienną i to tak, że „ludzie mogli się przerazić nawet w odleglejszych ulicach"! Teraz już nie krzyczę. Czy to znaczy, że mi lepiej, czy zastygłem w niemej rozpaczy, czy po prostu znalazłem wyładowanie w powołaniu pisarskim, którego wtedy nie byłem świadomy? Nie wiem.

A oto drugi dokument z ciemnego momentu mego życia. Pismo dziekana uniwersytetu poznańskiego.

„Do Jaśnie Wielmoznego Pana
Profesora Dr-a T. Żeleńskiego
Kraków

Dziekanat wydziału filozoficznego Uniwersytetu Poznańskiego zapytuje niniejszym uprzejmie, kiedy J.W.Pan Profesor przybędzie do Poznania celem objęcia katedry.

Sprawa nominacji J.W.Pana Profesora została pomyślnie załatwiona w Ministerstwie W.R i O.P. jakoteż sprawę kosztów przeniesienia pomyślnie załatwiło Ministerstwo Skarbu, oficjalna nominacja na Profesora Uniw. Poznańskiego zostanie ogłoszona w najbliższym czasie. Dziwi nas zatem wiadomość tutejszych dzienników o przyjęciu przez J.W Pana Profesora posady Dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie.

Łączę wyrazy wysokiego poważania
Dziekan Wydziału filozoficznego
podpis nieczytelny".

Skąd przyszedłem do tego pisma i w ogóle do korespondowania z dziekanami? Było tak. Zaproponowano mi objęcie katedry literatury francuskiej w Poznaniu. Wahałem się; namawiano mnie. Upłynął rok, półtora roku, o niczym ani słychu. Półtora roku wtedy, to było bardzo dużo, warunki życia tak się zmieniały, epoka była tak gorąca... Zupełnie zapomniałem o tej całej profesurze, przeniosłem się tymczasem do Warszawy, poszukałem innego uczciwego zajęcia... Zapomniałem na śmierć. Naraz, nie zawiadomiwszy mnie ani słowem o nominacji, pytają mnie ostro, kiedy przybędę objąć katedrę, „dziwią się" czemuś... Zląkłem się tak surowej władzy; wolałem zrezygnować. Byłem młody, płochy... Ale dziś, kiedy patrzę na rzeczy poważniej, fakt doszczętnego zapomnienia w tak doniosłej sprawie życia znów wydaje mi się podejrzany...

I kiedy się zastanawiam nad tym wszystkim w świetle najnowszych „polemik", w świetle tego, co piszą o mnie osoby nabożne, powodowane szczerą miłością bliźniego, widzę tylko jedno wytłumaczenie. Ale na to potrzebny jest mały wykład medycyny. Każdy wie, co to jest p a d a c z k a, czyli e p i l e p s j a. Nieraz zdarzyło się wam widzieć na ulicy człowieka, który leży nieprzytomny na chodniku, tłucze głową o kamienie i toczy pianę z ust. Otacza go zwartym kołem tłum, patrząc nań ze zgrozą i wzywając pomocy; jedynie doświadczony posterunkowy wie, że nic tu nie trzeba robić, tylko zostawić nieszczęśliwego w spokoju, co najwyżej uważać, aby sobie nie rozbił głowy. Jedną z cech takiego ataku jest wielki palec wciśnięty w pięść; tak że niezręcznych symulantów poznaje się po braku tego objawu.

Ale nie każdy wie, że ta choroba, to jedna z najciekawszych komediantek, jakie istnieją, że lubi się przebierać w rozmaite formy, znane w medycynie jako kryptoepilepsja. Znana jest *absentia epileptica*; okresy, w których człowiek spełnia jakieś niewytłumaczone, często niezgodne z jego charakterem czynności, będące niejako „namiastką" ataku epileptycznego. I kiedy dumałem tak nad sobą samym, spojrzałem i – wzdrygnąłem się z przerażenia: oba wielkie palce miałem wciśnięte w pięść! Zacząłem się obserwować, śledzić; stwierdziłem, że ile razy się zamyślę nad jakąś doniosłą kwestią, ile razy przeżywam treść przyszłego felietonu, oba wielkie

palce mam schowane w pięść, i zdaje mi się, że utrafię w intencję moich cenzorów, jeżeli tu poszukam wytłumaczenia wielu szczegółów zarówno mego życia, jak i kariery pisarskiej. K r y p t o e p i l e p s j a. Tajny epileptyk, tak jak był dawniej t a j n y r a d c a. Może to lojalne zwierzenie położy wreszcie koniec oszalałym atakom na mnie. Nie szanują mojej pracy, może uszanują chorobę.

PSYCHOLOGIA SUKCESU

Czytam w dziennikach głosy prasy o wystawie Styków i bawię się serdecznie. Bawi mnie bezradność krytyki wobec niezrozumiałego dla niej dylematu: czemu wobec tego, że wystawa Styków nie posiada prawie wartości artystycznej, że znawcy stwierdzili to z rzadką jednomyślnością, mimo to „przysłowiowo dla sztuki obojętna Warszawa zapełnia i przepełnia sale wystawy", ba, nawet raz po raz szkoły organizują zbiorowe wycieczki, które wodzi się i oprowadza po „bogato przystrojonej sali i tajemniczo-mrocznych salkach, gdzie mieszczą się arcytwory Styków". Czytam to i uśmiecham się, bo – wiem czemu.

Jana Stykę pamiętam od dziecka. Oglądałem tego barczystego, rumianego mężczyznę, ubierającego się wówczas w czamarę, sunącego w niedzielę do kościoła z wielką książką do nabożeństwa w ręku, z płową bródką, obleśnym spojrzeniem – kombinacja dobroduszności i chytrości. Zagłoba i Tartufe. Wśród malarzy uchodził za pacykarza, to, co wystawiał, było zawsze jakąś imitacją: to coś z Matejki, to z Grottgera, to z Siemiradzkiego, to zarywał niby Jackiem Malczewskim, ale płodził dużo, uprawiał wszystkie rodzaje, wszędzie go było pełno. Jako humorystyczna lektura kursował tomik jego poezyj, częstochowskich wierszy, pełnych „bogo-ojczyźniackiego" frazesu, oddychających naiwną megalomanią. Utkwił mi w pamięci jeden wiersz, zatytułowany *Do Juliusza Słowackiego na grobie jego na Montmartre* (a może do Adama Mickiewicza, już nie pamiętam). Oto cały ów wiersz:

Na tym grobie
Powiem tobie,
Że laur temu służy wiernie,
Kto za życia nosił ciernie.

I tyle.

Ośmieszony w Krakowie, Styka przeniósł się do Lwowa, skąd do zdumionej malarskiej braci doszła wieść, że obraz jego, *Polonię*, zakupiła rada miasta celem zawieszenia go w wielkiej sali posiedzeń. Znacie wszyscy bodaj z reprodukcji ten straszliwy bohomaz. Otóż w ślad za wieścią o tym wydarzeniu, które było podstawą wielkiej kariery Jana Styki, przyfrunął komentarz, jak się to stało. Styka, który miał szeroki gest, osiadłszy we Lwowie i zdobywszy trochę zamówień, wystawił sobie willę, ale z należnością architekta było krucho. Architekt był jednym z najwpływowszych radnych miejskich; otóż Styka podsunął mu takie wyjście: niech Lwów zakupi *Polonię*, a architekt pokryje się z tej sumy. I tak się stało, co chyba nie zdziwi nikogo znającego tajniki wszelkich gospodarek miejskich.

Niebawem twórca *Polonii* skombinował nową aferę w związku ze zbliżającą się wystawą krajową: panoramę Racławic. Nie tyle *pinxit*, ile *combinavit* Styka. Malowało ją wielu; on, na szczęście, najmniej, i dlatego panorama była niezła. Wojsko malował Kossak; do pejzażu sprowadzono z Monachium specjalistę Bollera, tak że tę „krwią przesiąkłą ziemię racławicką" odrabiał, popijając piwo, flegmatyczny Niemiec, zresztą wyborny praktyk, a pomagał mu młody Jan Stanisławski. Tetmajer miał wydział kosynierów. Styka malował mało: cały był pochłonięty

oprowadzaniem zwiedzających roboty dostojników; wówczas pokazywał, objaśniał, gadał, przy czym oczywiście on był twórcą wszystkiego. Pamiętam, jak Włodzio Tetmajer na ciepło odgrywał te paradne sceny, śmiejąc się i wściekając po trosze, bo nieraz zdarzało się, że Styka pokazywał jako swoją – grupę jeszcze mokrą od pędzla Tetmajera. Gorzej było, kiedy próbował wywłaszczać Kossaka! Po wizycie jakiegoś arcyksięcia, gdy Styka zanadto właził Kossakowi w szkodę, temperamentowy Wojtek gonił go po rusztowaniach chcąc go obić, aż dopiero spokojny Niemiec Boller musiał godzić zwaśnionych racławicczyków.

Wyżyłowawszy ojczyznę, mistrz przeszedł na niwę malarstwa religijnego. Zaczął kropić święte pańskie, opowiadał o swoich nadprzyrodzonych wizjach i nawiedzeniach, o których jeszcze więcej podobno mogłyby opowiadać hoże mołodycie rusińskie, służące zażywnemu artyście za modelki. (Wizje Styki, z jego postawą i gębą jurnego rabelaisowskiego mnicha, to było coś nieopłaconego!) Niebawem wyjaśniło się, że to było preludium do nowej kombinacji: *Golgota*! – panorama wystawiona przy ulicy Karowej w Warszawie, później szczęśliwie pocięta na kawałki. Co się działo przy malowaniu tej *Golgoty*, to jeszcze opowiadają naoczni świadkowie: ile się Styka należał krzyżem, jak posyłał palety do święcenia papieżowi do Rzymu, jak miał specjalnie skonstruowany aparat do tego, aby całą panoramę móc malować na klęczkach! W sumie nowy bohomaz, i znów tłumy. Dowcipnisie mówili, że frekwencję panorama zawdzięcza temu, iż księża zadają ją jako pokutę, dawkując wedle miary grzechów: trzy razy panorama Styki, pięć razy panorama Styki...

Po tym wyczynie, dla Styki było w kraju za ciasno. Przeniósł się do Paryża. I o dziwo, ten człowiek, który mimo wszystko w kraju zawsze miał opinię pacykarza i nie liczył się prawie do malarstwa, w Paryżu zdobył sobie pewną „markę". W niewielkiej Polsce, gdzie się wszyscy znali, zbyt zuchwały humbug obijał się o opinię, której ton dawali artyści; na światowym rynku natomiast reklama mogła zdziałać cuda. Rozwinął ją Styka po mistrzowsku. Zaczął od tego, że wynajął pracownię po świeżo zmarłym wówczas Puvis de Chavannes. To go postawiło. Uczepił się – „jak rzyp psiego ogona" – Henryka Sienkiewicza, wyjednał sobie prawo ilustrowania *Quo vadis*, w kulminacyjnym momencie powodzenia tej powieści. Niebawem zaczęły się w paryskiej prasie takie wzmianki: „Nie wiadomo, jak długo będzie czytana powieść Sienkiewicza, ale udział największego polskiego malarza Styki zapewnia jej wieczność", i tym podobne.

W Paryżu Styka odmienił znów manierę; patriota i religiant przeobraził się w poganina: Wenery, bachantki, nagie ciała, kuszące wymiona etc. Przeszedł na Rubensa. Wśród tego dorastali dwaj synowie Styki, co pozwoliło mistrzowi rozszerzyć przedsiębiorstwo. Stary budrys wezwał nie trzech, ale dwóch synów i podzielił między nich królestwo pędzla. T a d é, zdolny chłopak, od szesnastego roku odkomenderowany na portrecistę światowych pań, zdobywał kosmopolityczny Paryż; drugi, Adam, tępszy, poszedł na rodzajowego malarza widoczków z Maroka. Stary kupił mu nawet używanego wielbłąda, aby mógł swoje Maroko kropić i na miejscu.

Odtąd mistrz Styka siedział za granicą, gdzie interes szedł coraz lepiej. Malował sam, malowali pod jego okiem synowie, administracja była wspólna. Jedna willa pod Paryżem, druga willa na Capri. Dla kraju zachował zawsze życzliwość. Pamiętam, raz w Krakowie Towarzystwo Dziennikarzy urządzało bal prasy i przesłało wszystkim malarzom ćwiartki bristolu z prośbą o ozdobienie karnecików. I do Styki na Capri poszło takie zaproszenie. Przesłał, z uprzejmym listem, dwie główki... Chrystusa, zresztą okropne. Na karneciki balowe. Cały Styka!

Ale jeszcze raz przeznaczone mu było napełnić wrzawą i śmiechem Polskę. Przyszła epoka, w której nieomylnym węchem zwietrzył aferę: Grunwald. Jakżeby Styki tam nie było. Na rok przed pięćsetną uroczystością Grunwaldu Styka zjechał do Krakowa z nową kombinacją. Jeszcze jedna panorama. Znalazł budynek jak stworzony do tego, bo z natury okrągły: prastary „rondel", czyli

Barbakan naprzeciw bramy Floriańskiej. Wszystko miał przygotowane, na wszystko miał odpowiedź: jak umieścić rusztowanie żelazne, aby płótno nie wilgło, jak zbudować dach szklany, jak wzmocnić mury, aby się nie rysowały, co poszerzyć, co zaadaptować, wszystko. Panoramę miał malować z synem Tadé, z którym przyjechał; coś w rodzaju Velasqueza, jak mówił. Konserwatorów krakowskich aż zatknęło z oburzenia. Barbakan, jeden z bezcennych zabytków średniowiecza, unikat w Europie, i – dach szklany, i panorama, i do tego Styki! Ale konserwatorowie to brzmi jak konserwatyści, a wówczas kurs konserwatystów stał w radzie miejskiej fatalnie. Świeża secesja prezydenta Leo do obozu demokracji stworzyła w Krakowie miodowy miesiąc demokratyzmu, a ostatecznie od rady miejskiej zależało wszystko. Znakomicie to wyczuł Styka. Jeżeli Lwów kupił *Polonię*, czemuż Kraków nie miałby się zgodzić na wypacykowanie barbakanu Grunwaldem? Zaczęło się działanie na opinię przy równoczesnym obrabianiu radców. Styka posunął się do sposobu, którego próbował już we Lwowie, kiedy chciał gmach powystawowy oszpecić cyklem historii polskiej i kusił radnych miejskich, że w historycznych postaciach odmaluje ich konterfekty. To samo w Krakowie. Zaczęły się w pismach przegrywki patriotyczne, sokolskie: „czuj duch" – „tęż się" etc., sławiące projekt panoramy jako jedyny czyn godny wielkiej rocznicy. Styka dokazywał cudów. Wzdychał po kościołach, łykał po handelkach, bratał się z łykami, całował z dubeltówki, przebierał się po sokolsku, chodził na strzelnicę i strzelał do kura, pochlebiał, karmił, poił, obiecywał, namawiał, kadził, gromił, grzmiał, huczał, kazał, dreptał, urabiał, obrabiał, i w rezultacie miał za sobą bardzo poważną większość. Łyki były oczarowane: „To mi artysta!", mówili.

Wówczas, z dumą mogę to powiedzieć, ocalił Kraków od nawały Styków „Zielony Balonik". Radę miejską mocno trzymał w garści prezydent Leo, który, mając ambicje wybiegające w przyszłości poza horyzont miejski, bardzo był czuły na śmieszność. Tak jak dziś się pytają: „Co mówi Pim?", tak on zaglądał zawsze na barometr: „Co mówi «Zielony Balonik»?" Bo też „Zielony Balonik" to była esencja kulturalnego Krakowa.

Gotowaliśmy się oczywiście w „Baloniku" poświęcić parę słów projektowi Styki, który mnie polecono „zreferować". Ale nie spodziewaliśmy się, że on sam się zgłosi po naszą opinię. Otóż Styka, niestrudzony w „urabianiu", dowiedziawszy się, że w Krakowie istnieje „kabaret artystów", objawił chęć odwiedzenia go. Oczywiście wysłaliśmy mu natychmiast zaproszenie (bez zaproszenia nikt tam się dostać nie mógł) – obmyślając zarazem, jakby tę wizytę dla celów wesołości wyzyskać. Tego wieczora „Jama Michalikowa" była przepełniona: gruchła wieść, że mają być Stykowie i że... coś się stanie. Do ostatniej chwili nie dowierzało się: przyjdą czy nie przyjdą. W pewnym momencie któryś z malarzy wszedł jak herold i obwieścił grzmiącym głosem:

„Jaśnie wielmożni Jan i Tadeusz Styki!" Szmer oczekiwania i – zawód, bo wszedł całkiem kto inny. Wreszcie ktoś ze stojących na czatach rzucił gorączkowym szeptem: „Idą." Zupełnie scena, jaką opisuje Sienkiewicz w oblężeniu Zbaraża, kiedy to pan Michał w zasadzce szczypie Skrzetuskiego w udo, szepcąc: „Idą na pewno." Jakoż, prowadzony przez Axentowicza, zjawił się potężny posturą mistrz, w którego cieniu, zahukany, słabo rozumiejący po polsku, wszystkim jakby zdziwiony, wsunął się młody Tadé Styka. Przyjęto Stykę grzmiącym i długim oklaskiem; dziękował ręką w krąg, w poczuciu, że nareszcie, po tylu atakach, znalazł bratnie dusze. Kiedy już mistrz się usadowił, po paru numerach programu zaczęła się kronika „Balonika" w okolicznościowych krakowiakach, które śpiewali na przemian, przytupując, na estradzie Teofil Trzciński i młody adwokat Zakrzewski, w czerwonych krakuskach na głowie. W pewnym momencie drzwi się otwarły i wniesiono na kiju świetną karykaturę Frycza, przedstawiającą dwóch Styków, rondel krakowski i małego pieseczka, równocześnie zaś Zakrzewski huknął na nutę *Siedziała na lipie*:

Zobaczył pan Styka,
Jak raz mały kondel
Podniósł zadnią łapkę
I spaskudził rondel – oj dana!

I przyszła mistrzowi
Do głowy myśl słodka,
A gdyby to samo
Zrobić ode środka – oj, dana!

Ze ludzie ofiarni
Są w tych czasach rzadcy,
Więc mu deputację
Ślą dziękczynną radcy – oj, dana!

Tak to z małych przyczyn
Skutki są ogromne,
Z niepozornej psiny –
Dzieło wiekopomne – oj, dana!

Lecz w czym niezbadane
Losów tajemnice,
Nie wie nikt o piesku,
A każdy o Styce – oj, dana!

Patrzyliśmy wszyscy spod oka na Stykę i podziwialiśmy wyrobienie tego człowieka. Ani mrugnął. Bił brawo, potem pił z nami i ściskał się do rana. Jeszcze w parę lat potem posyłał mi czułe widokówki. To był wyga nad wygami.

Niebawem piosenkę o Styce śpiewało całe miasto; Leo dał znak i projekt Barbakanu, już niemal obrobiony, przy głosowaniu upadł.

Uwieczniliśmy z Witoldem Noskowskim całe to zdarzenie w *Szopce krakowskiej*, wystawionej już po obchodzie grunwaldzkim. Pyszną lalkę Styki ulepił rzeźbiarz Jan Szczepkowski: olbrzymi Styka, w obszernym płaszczu, miał pod pachą przyszytego do niego małego Tadé. Na jego widok, obecny na scenie Mangha (Feliks Jasieński) ucieka wołając:

Jezusie, Mario! kto żyw niech umyka!
Idzie tu jeden w dwóch osobach Styka.

Po czym Styka:

Przebóg! przerwijcie wasz turniej próżności!
Słuchajcie! przez me usta krzyczą bohatyrów kości:
– Zbudź się i walcz! Sokole skrzydła wdziej!
– Czuj duch! Słyszycie jęk grunwaldzkich kniej?
Proporce, skrzydła, wichrowe poświsty!
(Nie panorama, lecz obraz kolisty.)
Już mam na wszystko plany –
Klatka żelazna, dach szklany,
Olbrzymów godne dzieło! Wid ponadczłowieczy!

(Rondel się od wypadku w „Feniksie" ubezpieczy.)
Gdy się w ten obraz wpatrzą nasze sokolice,
Rodzić będą bohatyrów już wyszedłszy na ulicę.
Więc czuj duch! Niech serce narodu zabije goręcej!
polsko, czy żałujesz swemu synowi głupich pięćdziesiąt tysięcy?

(Śpiewa na nutę: *Pomoc dajcie mi, rodacy*.)

Pomoc dajcie mi, rodacy,
Bo olbrzymia myśl mnie nęka,
Kilometrów zbożnej pracy
Pragnie ma mocarna ręka,
Wielkie duchy ojców wskrzeszę,
Witołdowym święte czynem,
Bohatyrów zbudzę rzesze –
Razem z Tadziem, moim synem.

Kto mi w sprawie dopomoże,
Ten mi brat i Polak szczery,
Za to gębę jego włożę
Między zbrojne bohatery.
Miedniak będzie więc Jagiełłą,
Kosobucki Piotr – Melsztynem,
Velasqueza godne dzieło
Stworzę z Tadziem, moim synem.

Choć ród ducha gasicieli
Żółcią plwa i jadem syczy,
Serc nam w piersiach nie spopieli,
Nie przygasi polskich Zniczy.
Dalej, druhy! ramię w ramię!
Tężmy się sokolim czynem.
Ja przy świętym czuwam chramie
Razem z Tadziem, moim synem.

Lecz jeśli nasz czyn ofiarny
Z waszych duchów w moc nie wstanie,
Pluniem na ten naród marny,
I wrócimy na wygnanie;
I w Salonie, hen paryskim,
Ozdobimy skroń wawrzynem,
Może nawet z większym zyskiem –
Razem z Tadziem, moim synem.

Niech tylko nikt nie przypuszcza, że Styka sobie na zimno kombinował to wszystko. Nie, on taki nie był, z bożej łaski. Lepiej może od długiego komentarza odmaluje go ten drobny epizod:

Umarł w Krakowie, nie pamiętam już kto, ktoś znany. W jakiś czas po tej śmierci żona otrzymuje zza granicy starannie opakowaną sporą przesyłkę. Nadawca: Jan Styka, Capri. Stroskana wdowa otwiera, w jednym opakowaniu znajduje drugie, trzecie, wreszcie, po odwinięciu znacznej ilości papierów, pudełko, w którym znowuż kilkakrotnie opakowana –

pestka. Równocześnie przychodzi list, w którym Styka objaśnia przesyłkę. Mianowicie, nieboszczyk był raz w jego willi, gdzie w cieniu pigwy, wiedli z sobą długą i podniosłą rozmowę. Posyła tedy Styka wdowie pestkę z onej pigwy, iżby ją zasadziła na grobie męża, aby kiedyś, po latach, ta pigwa szumem swoim przypominała nieboszczykowi chwile spędzone w willi Styki.

Teraz rozumiecie, czemu my, starzy krakowianie, uśmiechamy się, czytając biadania warszawskiej krytyki. Tej wystawie, na którą się tłoczy publiczność, patronuje duch Jana Styki, niespożytego kombinatora palety, renesansowego bufona. Jest tam wszystko, od przesławnej *Polonii* począwszy, Grottgery i Elidy, cycki i ojczyzna, nagusy i Chrystusy, Joanna d'Arc i Pola Negri, i Tadé ze swymi szatańskimi dekoltami, i Adam ze swoim afrykańskim panopticum, jest cały interes Styków, pół wieku grandy malarskiej. A choć zamknął powieki ten, który był jej twórcą, z jego kości jest i z jego krwi, i jego to kalibański duch magnetycznie zza grobu ściąga tłumy. I kiedy stałem na tej wystawie przed którymś z jego autoportretów – są dwa: jeden *à l'artiste*, drugi z polska w kontuszu – miałem uczucie, że Jan Styka, herbu Wczele, mruży do mnie przyjaźnie oko i mówi: „A co? moje za grobem zwycięstwo..."

To był typ! Już tacy się nie rodzą.

LEGENDA „ZIELONEGO BALONIKA” Z PERSPEKTYWY ĆWIERĆWIECZA

Wśród codziennej porcji paszkwilów, których mi udziela życzliwa Polska Informacja Prasowa i które stanowią moją zabawę przy śniadaniu, jeden rozweselił mnie szczególnie. Oto jak w nim scharakteryzowano siedzibę „Zielonego Balonika”, tzw. „Jamę Michalikową”:

„...w «Jamie» lągł się ów zastęp ludzi, którzy, z Boyem na czele, rozpełzli się potem po całej Polsce, ludzi zarażonych austro-galicyjskim oportunizmem, cynizmem życia i użycia, kompromisami tradycyj rodzinnych z nieokiełznanym żadną głębszą dyscypliną bałaganem instynktów, ludzi *Cracoviae nati, Vindobonae educati*” itd.

Znam dobrze obżartucha i nygusa, który to wysmażył: otóż dałbym mu chętnie półmisek kołdunów w zamian za to, aby mi wymienił jedno nazwisko, do którego ta diatryba mogłaby się odnosić. Kto są ci ludzie zarażeni „cynizmem życia i użycia... *Cracoviae nati, Vindobonae educati*”? Frycz, Sichulski, Trzciński, Siedlecki, Osterwa, Schiller, Noskowski, Czajkowski czy kto, u licha?

Tyle tylko głuptas ten powiedział prawdy: w istocie biesiadnicy „Jamy” „rozpełzli się” po całej Polsce i na różnych stanowiskach, w różnych obozach zajęli wybitne stanowiska. Rzadko zapewne zdarza się, aby tak nieliczna stosunkowo grupa wydała tylu „ktosiów”.

Gdyby z okazji tego ćwierćwiekowego „jubileuszu” dało się zgromadzić u jednego stołu wszystkich weteranów „Zielonego Balonika”, znalazłoby się tam kilku dyrektorów teatru, kilku czołowych publicystów, cała chmara tęgich malarzy i rzeźbiarzy, wówczas młodych cyganów, dziś profesorów, rektorów, laureatów... Nie licząc tych, którzy odeszli, ale którzy zdążyli dobrze się zapisać w dziejach naszej sztuki. Z tej przyczyny, jak również i dlatego, że „Zielony Balonik”, mimo iż stosunkowo tak bliski czasem, stał się już rodzajem legendy, warto może utrwalić główne momenty z jego dziejów. A któż je ma utrwalić, jeżeli nie jeden z uczestników. Uprzedzam tylko, że będę rzeczowy i oschły. Raz w życiu chcę o czymś pisać poważnie.

ELEMENTY

Trzeba przypomnieć, że pochodzenie „Zielonego Balonika” było przede wszystkim – malarskie. Bo też w Szkole Sztuk Pięknych, przeobrażonej wówczas świeżo w Akademię, zaszły w owej dobie wielkie przemiany. Po śmierci Matejki, mimo żalu, jaki obudził zgon genialnego malarza, Szkoła zakwitła nowym życiem. Przedtem obowiązywały gipsy i „kobyły” mniej lub więcej historyczne, dystans i respekt; obecnie, z przybyciem plejady młodych jeszcze profesorów – Stanisławski, Wyczółkowski, Axentowicz, Pankiewicz, Fałat itd. – wszystko wywróciło się do góry nogami. Słońce, światło, natura, plener, wesołe koleżeństwo, radość współpracy. Równolegle, poza murami Szkoły, zdobywała teren sztuka ludowa, sztuka stosowana, której pionierem stał się Warchałowski. Powstało stowarzyszenie „Sztuka”, którego wystawy zdobyły Polsce sukcesy w Europie. Ale w Szkole już kiełkował bunt przeciw nowej „tyranii”, tyranii pejzażu: już najbardziej utalentowani uczniowie Szkoły, Frycz, Sichulski, Wojtkiewicz, szukali

swoich dróg, w karykaturze, w sztuce dekoracyjnej, w pogardzonej „fabule" obrazu. Słowem, w światku malarskim wrzało życie, że zaś plemię to odznacza się często talentem mimów, zabawy „plastyków" w owej epoce bywały już szkicem przyszłego kabaretu. Generalną kwaterą tej cyganerii była cukiernia Michalika, tylko bramą Floriańską oddzielona od Akademii Sztuk Pięknych. Tam, już przed powstaniem „Zielonego Balonika", znajdował się w kącie „stolik malarski", i on stał się jądrem instytucji.

Inny zarazem czynnik, zespalający po trosze wszystkie sztuki, miał stanowić cement „Zielonego Balonika": cyganeria Przybyszewskiego. Od wyjazdu Przybyszewskiego minęły zaledwie cztery lata; życie, jakim „Przybysz" napełnił przez czas swego pobytu Kraków, miało wiele ostrego humoru: stosunkowo dużo „starych" przybyszewszczyków weszło w skład „Zielonego Balonika".

Pobyt Przybyszewskiego był zresztą tylko jednym z momentów przeobrażenia i zrewolucjonizowania Krakowa. Już pierwej w senny i uczony Kraków, rządzony przez Tarnowskiego ze Szlaku, dominowany przez Akademię Umiejętności i większą może potęgę „matrony krakowskiej", zaczęło się wciskać nowe życie. Zakwitł teatr pod Tadeuszem Pawlikowskim, powstało czasopismo młodych, gdzie rozpoczął pierwsze harce Nowaczyński. Objawił się Wyspiański. Grzeczny Kraków rozbisił się na dobre. „Zielony Balonik" był niby „kropką nad i" tego przeobrażenia; był niby ową farsą, jaką niegdyś w dawnym teatrze grywano po pięcioaktowej dramie. Czerpał soki z wszystkich spraw, które się rozegrały w artystycznym światku Krakowa w poprzedzającym dziesięcioleciu.

A wreszcie jeszcze inny element, niewidzialny wprawdzie i nieuchwytny, niemniej przeto obecny: Paryż. Coraz bardziej życie nasze artystyczne i intelektualne ocierało się o Paryż. Z Paryża przybyli wszyscy prawie nowi profesorowie młodej akademii malarskiej; tam też wysyłali młodzież wyjeżdżającą za granicę, gdy dawniej celem wędrówek malarzy było Monachium, tak jak Lipsk, Berlin i Heidelberg były Mekką naszych „.intelektualistów". Z Paryża, wprost z Théâtre Libre zjechała Zapolska, która działała na terenie teatru i „Życia". Z Paryża przywiózł swoje słynne zbiory Jasieński. Z Paryża szedł wiew błogosławionego nieuszanowania, dochodziły echa „Chat-Noir". Yvette Guilbert, piosenki.

Data inauguracji: jesień 1905. Data, która niejednego zdziwi, może nawet zgorszy. Mimo to sądzę, że nie było przypadkiem, iż „Zielony Balonik" powstał niemal w tej samej chwili, gdy wypadki warszawskie wstrząsnęły Polską. Życie miewa takie paradoksy w reagowaniu na wydarzenia. Dodajmy jedną okoliczność: rewolucja w Warszawie zdwoiła jeżeli nie zaludnienie, to z pewnością siłę witalną Krakowa. Z jednej strony uchodziła doń ścigana młodzież, z drugiej chroniła się zaniepokojona obrotem wypadków burżuazja. Kraków ledwie mógł pomieścić tylu przybyszów; teatr był stale przepełniony, toż samo kawiarnie, restauracje... W powietrzu była gorączka, dreszcz oczekiwania. Że to wszystko wyładowało się w „Jamie Michalikowej" właśnie w ten sposób, nie dziwcie się. Każdy robi, co umie. Wspomnijcie „kuglarza Matki Boskiej", który na jej cześć żonglował kulami przed świętym obrazem...

POWSTANIE

To były współczynniki powstania „Zielonego Balonika". A samo powstanie? Było dziełem szczęśliwego natchnienia. W stolik malarski rzucił hasło „kabaretu artystów" J. A. Kisielewski, świeżo przybyły z Paryża. Kto był wówczas przy tym stoliku, trudno mi dokładnie powiedzieć; ale z grupy „plastyków", którzy się tam skupiali, wymienić trzeba nazwiska następujące: wspomniani już wprzódy Frycz, Sichulski, Wojtkiewicz; dalej Szczygliński, Kamocki, Karpiński, Rzecki, Kuczborski, Filipkiewicz, Dunikowski, Szczepkowski, Pautsch, Frommer, Kunzek,

Piotrowski, Skotnicki, Czajkowscy, Józef i Stanisław, Rychter, Żelechowski, Samlicki... może jeszcze ktoś, kogo w tej chwili nie pomnę. Kiedy, około ósmej rano, radzący nad tą doniosłą sprawą wyszli na Rynek, spotkali chłopca niosącego pęk dziecinnych baloników; któryś rzucił: „Ot, mamy nazwę: «Zielony Balonik»!" I tak się stało.

Nie umiem ściśle powiedzieć, kto spoza malarskiego grona był obecny przy narodzinach „Zielonego Balonika". Przypuszczam, że Witold Noskowski, wówczas współpracownik „Czasu", młody kandydat adwokacki Tadeusz Zakrzewski, Edward Leszczyński, Adam Siedlecki, może kto jeszcze. Co do mnie, mimo iż pisząc o „Zielonym Baloniku" liczono mnie często do jego założycieli, w istocie nie mam prawa do tego zaszczytu. Zajęty w owym czasie pracami lekarskimi, częściowo nieobecny w Krakowie, dopiero od drugiego sezonu „Zielonego Balonika" brałem w jego igraszkach żywy udział. Natomiast jednym z najgorliwszych działaczy, czynnym na estradzie i przy pianinie, sekretarzem i archiwariuszem instytucji, był od początku mój brat młodszy, Edward.

ORGANIZACJA

O tej organizacji trzeba parę słów powiedzieć, ponieważ na tym punkcie najwięcej spotyka się nieporozumień. Mimo woli, przez analogię, widzi się w „Zielonym Baloniku" coś w rodzaju teatrzyku, z wykonawcami i publicznością, regularnym programem itd. Otóż był to raczej klub artystów, który urządzał swoje wieczory od czasu do czasu, bez określonych terminów, o charakterze półimprowizowanym. Zebrania zaczynały się około północy, po premierze teatralnej, która z reguły odbywała się wówczas w soboty. Część „kabaretowa" trwała mniej więcej do trzeciej rano; część towarzyska znacznie dłużej... Żadnej kurtyny; estradą było maleńkie podium tuż koło pianina. Programu nie powtarzało się nigdy, każdy wieczór był premierą. Wstęp był bezpłatny, natomiast obowiązywało bardzo ściśle zaproszenie, bez którego nikt się na salę dostać nie mógł. „Zaproszenia" te były zawsze ozdobione przez któregoś z malarzy-karykaturzystów. Sala zebrań była bardzo mała, obejmowała jakieś sto do stu dwudziestu osób, przy czym już było straszliwie ciasno, część stała w otwartych drzwiach, niemal w bramie. Była to pierwsza sklepiona sala cukierni Michalika, drugiej, dużej, jeszcze nie było. Publiczność siedziała przy stolikach; spożycie alkoholu było znaczne. Rdzeń publiczności stanowiły przeważnie te same osoby: była to elita ówczesnego Krakowa, profesorowie Akademii Sztuk Pięknych, artyści i ich przyjaciele, sporo profesorów uniwersytetu, teatr, dziennikarze itd. Byli entuzjaści, którzy przybywali na wieczór „Zielonego Balonika" z Wiednia, ze Lwowa, z Warszawy. O zaproszenie starały się jako o fawor najwybitniejsze figury, „komitet" zaś robił sobie tę przyjemność, aby przebierać, kręcić nosem, odrzucać. W ostracyzmie tym doszedł zwłaszcza do rozpusty Trzciński, który jako nasza primadonna, miał wszystkie kaprysy związane z tym zawodem.

WIECZÓR PIERWSZY I NASTĘPNE

Kiedy Kisielewski zdecydował uroczyste otwarcie „kabaretu artystów", nikt jasno nie zdawał sobie sprawy z jego przyszłej fizjognomii, wszyscy byli pełni oczekiwania. Jan August, przystrojony we frak i białe kamasze, objął czynności *conférenciera*; przemówienie, jakie wygłosił, znajduje się, jeśli się nie mylę, w jego *Panmusaionie*. Program był prawie zupełnie improwizowany, wypełniły go „kawały" malarskie i teatralne, w których celowali młodziutki wówczas aktor Osterwa, malarze Żelechowski, Frycz i inni. Treść literacka ograniczyła się do okolicznościowych „kurdeszów", ułożonych przez Noskowskiego. Zebranie miało charakter wielce towarzyski, o wysokiej temperaturze zgęszczonego spirytusu.

Na ogół ta inauguracja była dość niezdecydowana. Drugi natomiast wieczór wyklarował

fizjognomię młodej instytucji; był zarazem bardziej przygotowany i ujawnił szereg specyficznych talentów. Malarze – zwłaszcza Frycz – przygotowali dowcipny cykl karykatur, poświęcony „odnowieniu Wawelu", które właśnie zaczynało być aktualnością – wedle rozmaitych projektów. Noskowski napisał do każdego „projektu" ciętą piosenkę, a na estradzie pojawił się jako wykonawca Trzciński i od pierwszego występu okazał się mistrzem tego rzemiosła. Zarazem wypłynął na widownię młody człowiek, a stary przybyszewszczyk, cygan nad cyganami, Stanisław Sierosławski („Stasinek"), który od trzeciego wieczora począwszy, zajął na estradzie miejsce po Kisielewskim i pełnił te funkcje z wielkim wdziękiem. Od początku tedy „Zielony Balonik" znalazł własną nutę, która mimo jej paryskiego rodowodu nie była zgoła naśladownictwem. Kabaret, który zaczynał od troski o restaurację Wawelu, był rdzennie krakowski...

Noskowski był tym, który głównie zasilał programy w owym pierwszym roku. Niezwykle muzykalny i dowcipny, napisał szereg wybornych piosenek, tworząc nowy „rodzaj" literacki. Działał niestrudzenie przy pianinie, nieraz uwieczniony w tej roli przez karykaturzystów. Świetnie zakończył sezon pierwszą *Szopką krakowską*, bo znowuż muszę sprostować, że dopiero od drugiego roku brałem żywy udział w pisaniu tych szopek, które miały się stać tradycyjne.

Zarazem od tego drugiego wieczora zaczął się formować zastęp tych, którzy obok primadonny-Teofila pojawiali się na estradzie. Leszczyński zwykle miał w zanadrzu jakiś wiersz, który wygłaszał wpół żartobliwie, wpół z romantycznym patosem; później wydał te wiersze w zbiorku *Kabaret szalony*. Stale miał zastrzeżony głos Herbaczewski, obecnie profesor w Kownie, który przemawiał dość mglisto, ale namiętnie, jak Savonarola, przerażając damy brutalnością swoich antysatanistycznych inwektyw. Dalej Adamowicz, którego *Taniec brzuchem* stał się rodzajem hymnu „Zielonego Balonika". Schiller, młody ósmoklasista, który wykradał się ze szkoły do kabaretu i recytował pierwsze swoje utwory, m.in. popularny później *Wiatr za szybami...* i inne. Młody kandydat adwokacki Zakrzewski śpiewał bardzo fałszywie, ale z doskonałym zacięciem, własne piosenki na swojskie melodie. Osterwa paradnie odgrywał sceny z życia teatralnego, m.in. próbę z *Wesela*. Dr Brudzewski, okulista i rzeźbiarz, śpiewał piosenki; parę razy pojawił się na estradzie jako pieśniarz Jan Starzewski, radca skarbowy!! Jasieński (Mangha) wygłaszał swoje, jak je nazywał, „dyrdymały". Roger Battaglia, wówczas wybitny poseł do parlamentu, zjawiał się wprost z pociągu po północy, aby na naszej estradzie przemawiać wierszem i prozą, nawet tańczyć. Zygmunt Stefański, późniejszy poseł w Moskwie, gędził swoje żartobliwe ballady, towarzysząc sobie na gitarze. Brat mój Edward, tzw. „Edziula", celował w improwizowanych parodiach kołtunów. Stałym numerem programów w pierwszym okresie były wielkie karykatury Sichulskiego, które były objawieniem tego żywiołowego talentu. (Sława tych karykatur rozeszła się tak, że zaproszono artystę, by rysował parlament wiedeński: w dniu kiedy ukazał się jego album, musiano zawiesić na cały dzień sesję parlamentu, bo nikt nie interesował się nią, wszyscy oglądali album i śmiali się.) W ogóle w tym pierwszym okresie udział malarzy w programach był bardzo żywy. Raz, w dzień otwarcia wystawy „Sztuki", pokryli wszystkie ściany znakomitą parodią tej wystawy, której otwarcia dokonał Trzciński, w urzędowym pierogu, paradnie odgrywając ministra przybyłego z Wiednia („Wistawa bidlowa otwarta..."). Innym razem Lulek Schiller, ubielony gipsem, reprezentował pomnik Chopina Wacława Szymanowskiego. Improwizowano sceny zbiorowe, np. jubileusz „Stasinka", na którym Adam Siedlecki wcielał postać Stanisława Tarnowskiego, Herbaczewski przemawiał imieniem Litwy i Rusi, od papieża zaś nadeszła depesza tej treści: *„Cum jubilantibus jubilans, annuntio vobis gaudium magnum: Lucianum Rydel de Tonie martyrem ruralium canonisatum."* To znów dla poratowania finansów instytucji, która, pracując bezpłatnie, grzęzła w długach, urządzono jeden kabaret publiczny, dopuszczając, za olbrzymią cenę wstępu 5 koron, filistrów; to

znów wypędzono ich sromotnie jako nie umiejących się bawić i wyśmiano piosenką. Obok konceptów malarskich, nie brak było i muzycznych, w których celowali Noskowski i Karol Rostworowski, muzyk. I tak odbywały się te wieczory zrazu niemal co tydzień, wśród jakiejś młodej wesołości. Była w tej małej salce elektryczność. Mnóstwo ludzi, którzy nie znali się wprzódy, zetknęło się z sobą; radość objawienia się nieoczekiwanych talentów, radość piosenki, która dla smutnego i obchodowopogrzebowego Krakowa była – jak i dla całej Polski – czymś nowym, niemal egzotycznym; radosne braterstwo wszystkich sztuk, huczące bez przerwy pianino, strzelające race konceptów, wszystko to stwarzało atmosferę jedyną w swoim rodzaju. Dam przykłady tego entuzjazmu. Jan Stanisławski, profesor Akademii Sztuk pięknych, ukochany nauczyciel i towarzysz, który mimo że nie działał czynnie w „Zielonym Baloniku", był duszą każdego zebrania, a radość jego była hasłem wesołości sali – umierał. Beznadziejnie chory, nie mogąc ruszać się z łóżka, jeszcze zaprosił do siebie balonikowych wesołków, aby mu chociaż w domu odśpiewali ostatni program. Drugi przykład. Żona jednego z malarzy, później dygnitarza urzędowego w niepodległej Polsce, była w odmiennym stanie, w dobrze zaawansowanym dziewiątym miesiącu. Mimo to, nie mogąc znieść myśli, aby miała opuścić wieczór w „Jamie", wybrała się do Michalika; otóż w czasie wieczoru zaledwie zdążono ją wyprowadzić z sali i odwieźć do domu; maluczko, a byłaby urodziła w „Jamie Michalikowej".

Trzeci przykład, może najwymowniejszy. Właściciel zakładu litograficznego, Zenon Pruszyński, oddał swą litografię, o każdej porze dnia i nocy do dyspozycji „Zielonego Balonika" zupełnie bezinteresownie. Mimo że od czasów „Zielonego Balonika" upłynęło lat przeszło dwadzieścia, „Zenon", jak go popularnie nazywają, codziennie po południu zasiada w „Jamie" przy stoliku „ Zielonego Balonika" dla utrzymania tradycji. W ubiegłym miesiącu wydał z powodu „jubileuszu" ilustrowany przewodnik po „Jamie Michalikowej".

Ale nic w świecie nie trwa; i ta furia improwizacyjna osłabła. W maleńkim Krakowie, gdzie życie dostarczało tak skąpo materiału, nie podobna było zdobyć się – i to zupełnie bezinteresownie – co tydzień czy dwa na taki nabój humoru. Toteż w następnych latach wieczory stały się rzadsze, a zarazem bardziej przygotowane, przy czym program literacki wziął górę nad elementem malarskim. Na razie pierwszy sezon zakończył się – jak wspomniałem – wyborną *Szopką*. Sam gmach był dziełem zbiorowego wysiłku artystów; śliczną szopkę, projektowaną przez Kamockiego z motywów kościoła w Modlnicy, wykleili i wystroili własnoręcznie malarze, doskonałe figurki ulepił przeważnie Szczepkowski (w późniejszych szopkach dzielili z nim pracę Kunzek, a zwłaszcza Puget, który tworzył małe arcydziełka w tym rodzaju), muzykę do prologu napisał Bolesław Raczyński.

Z początkiem drugiego roku zetknąłem się ściślej z „Zielonym Balonikiem". W pierwszym sezonie jego istnienia, bawiąc na studiach klinicznych we Wrocławiu, przeczytałem w „Czasie" felieton Rydla, żądający natychmiast kanonizacji królowej Jadwigi. Ubawiony, nagryzmoliłem na ten temat balladę (nie drukowaną zresztą nigdy) i przesłałem ją „Zielonemu Balonikowi". Na tej zasadzie, kiedy w krakowskim teatrze wystawiono sztukę *Bodenhain* Rydla, mnie polecił „Zielony Balonik" jej zreferowanie. Zostałem członkiem komitetu, zasilałem wszystkie programy. Wszystkie prawie piosenki i wiele wierszy znajdujących się w *Słówkach* powstało dla „Zielonego Balonika", oprócz tego wiele innych nigdy nie wydanych. Sporo pisaliśmy też wspólnie z Noskowskim, czasem we trójkę z Trzcińskim; to wspólne przyrządzanie piosenek było przemiłą zabawą.

Już w trzecim roku wieczorów „Zielonego Balonika" było ledwie kilka, potem bywało nie więcej niż dwa wieczory na sezon. Wykształciliśmy smak publiczności, co obróciło się przeciw nam, stała się wybredna, wymagania jej były wysokie. Woleliśmy tedy rzadziej, a dobrze. Ponieważ jednak potrzeba wspólnych zabaw była większa niż pracowitość dostawców programu,

urządzano przynajmniej raz na rok wieczory kostiumowe, taneczne, parodie modnych wówczas redut prasy w formie tzw. „Redut Prasy Hydraulicznej", w których znowuż pomysłowość malarska mogła się wyładować w obmyślaniu kostiumów i dekorowaniu sali.

ESTRADA I PUBLICZNOŚĆ

Z charakteru „Zielonego Balonika" wynikało, że – szczególniej w początku – nie było tam ścisłego rozdziału między estradą a publicznością. Siedzieli wszyscy przy stolikach i popijali; kto chciał i miał co do powiedzenia, wchodził na estradę. Kiedy miał nieszczęście znudzić publiczność, ta nie krępowała się w wyrażaniu swego niezadowolenia; parę razy nawet zdarzało się, że mówcę, który zwłaszcza pod wpływem spirytualiów nadużywał wolności słowa i ględził zbyt długo, „osiłki kabaretowe" – byli to dwaj rośli malarze – łagodnie znosili z estrady. Ale ten ostateczny środek stosowano wyjątkowo i na wyraźne żądanie publiczności. Z początku mała salka gromadziła cały świat artystów; ponieważ jednak treścią żartów były właśnie sprawy artystyczne (innych w Krakowie prawie nie było, przynajmniej dla nas), wynikła stąd niejedna obraza, niejeden kwas, ten i ów zagrożony w swoim autorytecie zaczął stronić od zebrań „Zielonego Balonika" i przechodził do obozu jego wrogów. Na miejsce dezerterów wprowadzano innych, szczególnie świat naukowy, który bardzo się garnął do takiej rozrywki, znużony znadź uroczystym stylem *Almae Matris*. Napoleon Cybulski, Wł. L. Jaworski, później Kazimierz Morawski byli najmilej widzianymi gośćmi.

Ciemny Kraków zareagował na wieść o wieczorach w „Jamie Michalikowej" oburzeniem. Dewotki i matrony puściły języki w ruch. Obiegały groźne plotki: o orgiach, o tańcach nago itp., podczas gdy nie było chyba bardziej ascetycznej instytucji niż ten „kabaret", w którym ledwie parę razy, przygodnie, pojawiła się na estradzie kobieta (Ordon-Sosnowska, Wierzejska, Zimajerka, Honorata Leszczyńska). Przyczynił się do oburzenia dość zagadkowy istotnie w swojej stylizacji napis, który Herbaczewski nakreślił węglem na ścianie, a który brzmiał tak:

> W Polszcze jest zwyczaj haniebna
> Czcić ścierwa, gdy eunuchy wołają, że jest podniebna.

W jaki sposób napis ten stał się źródłem bajki, że w „Jamie" bezcześci się tajemnice wiary, trudno odpowiedzieć; faktem jest, że gospodarz cukierni, wystraszony plotkami, zasłonił zbrodniczy napis; odsłaniało go się tylko podczas „kabaretu", przez co nabrał niemal misteryjnego charakteru.

Później, w miarę jak intelektualne i towarzyskie „szczyty" Krakowa zaczęły się ubiegać o zaproszenia i dawać autentyczne świadectwo prawdzie, w miarę jak dzienniki w całej Polsce zaczęły rozbrzmiewać echami „Zielonego Balonika", nastroje te odmieniły się: „Zielony Balonik" stał się pieszczochem Krakowa, stał się swego rodzaju autorytetem, zwłaszcza w kwestiach artystycznych. Opowiadałem na innym miejscu, jak obronił Barbakan krakowski przed panoramą Styki. I później, kiedy po innych miastach zaczęła się namiętna agitacja pod hasłem „Precz z kabaretem", w Krakowie tego zjawiska zupełnie nie było.

«CABARETIASIS»

„Zielony Balonik" był pierwszym zbiorowym wybuchem śmiechu, jaki od niepamiętnych czasów rozległ się w Polsce; nic więc dziwnego, że śmiech ten stał się epidemiczny. Wieść o tym zdarzeniu obiegła wnet cały kraj; niebawem wydane drukiem tomiki Boya uchyliły rąbka tajemnicy. Zaczęła się fala naśladownictwa: w Warszawie „Momus", we Lwowie różne „Wesołe Jamy", „Ule" itd. Rozmnożyły się „szopki": poznańska, tarnowska, lwowska, paryska itd. Nie

było prawie miasteczka w Galicji, gdzieby garstka młodszej inteligencji nie próbowała stworzyć swego „kabaretu", przy czym oczywiście kończyło się kwasami, komerażami itd.

Opiewa dziś rytmicznie
Kabaret w Jaśle,
Że sznycle u poborców
Nie są na maśle;
Kabaret w Sędziszowie
Z estrady wam opowie,
Co z młodszym sędzią czyni
Pani radczyni...

– tak dworowaliśmy sobie w „Zielonym Baloniku" z tej kabaretowej epidemii. Zarazem najróżnorodniejsze tingielki, nocne lokale, widząc modę na nowe godło, przechrzciły się natychmiast na rzekome „kabarety"; powstał istny szał kabaretowy. Kabaretowano w domach robotniczych, kabaretowano w arystokratycznych salonach, nawet w post... To zaczynało być niepokojące; tym też tłumaczy się wielkie kazanie wielkopostne, jakie arcybiskup Teodorowicz wygłosił we Lwowie „przeciw rozkabareceniu" (było to pod adresem „kabaretów", jakie, mając za podstawę odczytywanie *Słówek*, odbywały się w salonie hrabiny P...). Zarazem nasza młodzież, niezupełnie zorientowana, a tak zawsze gotowa bronić cnoty, zbierała setki podpisów na „listy otwarte" pod godłem „Precz z kabaretem". Pisano tam: „Brońmy serc przed zbeszczeszczeniem, brońmy spokoju i czci jednostek biczowanych ku dzikiej uciesze rozwydrzonych tłumów" itd.

Kiedy po Lwowie i Warszawie hulały te manifesty, „Zielony Balonik" już nie istniał. Jeszcze dwa razy miał się odezwać, już w innym charakterze, dając przedstawienia czwartej i piątej *Szopki krakowskiej*, tym razem o charakterze publicznym.

NIECO «WPŁYWOLOGII»

Owo „rozkabaretowanie" Polski to był wpływ „Zielonego Balonika" bezpośredni. Ale warto by może rozważyć z perspektywy ćwierćwiecza inne wpływy bardziej istotne. Nie może to być oczywiście moim zadaniem; uważam jednak, że ten wybuch zbiorowego śmiechu był u nas dość rzadkim i dość egzotycznym zjawiskiem, aby mu warto było poświęcić nieco uwagi. Faktem jest, że ten śmiech poszedł przez Polskę, że nadsłuchiwała go chciwie młodzież (nie owa „protestująca"); że ci, co pisali na prowincji „szopki" i robili kabarety, to byli przeważnie młodsi nauczyciele gimnazjalni; było w powietrzu jakieś powszechne ośmielenie do „ próby śmiechu" wobec kanonów i powag. Był w tym niewątpliwie początek pewnego odcelebrowania Polski. Niestety, poniektóre dawne wesołki z „Zielonego Balonika", przemienione dziś w kaznodziejów i moralistów, dokładają wszelkich sił, aby ją zamarynować w celebrze na nowo.

Gdy mowa o oddziaływaniu „Zielonego Balonika", muszę zacząć od siebie. Mogę powiedzieć, że zawdzięczam mu wszystko. Doszedłem wówczas trzydziestki i nawet nie wiedziałem o tym, że siedzi we mnie kawałek pisarza. A przecież obracałem się wciąż w kołach artystów; przebyłem cały okres Przybyszewskiego; tylko po prostu ton ówczesnej atmosfery literackiej nie odpowiadał mi. Natomiast w atmosferze „Zielonego Balonika" odnalazłem się natychmiast. Zarazem kult formy, jakiego wymaga piosenka, zaostrzone poczucie satyry skierowały mnie na drogę przekładów: pierwsze z nich – *Fizjologia małżeństwa*, Rabelais, Brantôme – już w samym wyborze natchnione są duchem kabaretowej zabawy. Potem na tej samej linii znalazłem Moliera itd., tak że, razem wziąwszy, patronem stutomowej Biblioteki

Boya jest „Zielony Balonik”... I kiedy, przemawiając w Paryżu w amfiteatrze Sorbony, miałem tę przyjemność, że audytorium uczonych bonzów doprowadzałem raz po raz do wybuchów śmiechu, czułem się tam ambasadorem „Zielonego Balonika”.

Poza tym „wpływologię” zostawiam w tym przedmiocie innym. Może po latach zdumiony badacz i religiolog dojdzie, że rozmyślna częstochowszczyzna niektórych partyj *Miłosierdzia* Rostworowskiego lub frywolność jego *Strasznych dzieci* wiodą się w prostej linii z *Szopki* naszej, której Karol Hubert, przed swoją kanonizacją za życia, był fanatycznym wielbicielem. Może dopatrzy się tu i ówdzie ostrza na wpół „kabaretowej” pointy w subtelnych strofach Marii Pawlikowskiej i odkryje ze starych metryk, że cudna ta poetka była siostrą wychowanicy „Zielonego Balonika”, autorki *Na ustach grzechu*. Może uderzy kogo, że grupa pisarzy, która w pierwszym dziesięcioleciu odrodzonej Polski okazała największą żywotność w tylu dziedzinach – myślę o grupie „Skamandra” – wyszła z kabaretu artystów „Pikador”, który jedyny ze wszystkich bliski był duchem „Zielonego Balonika”; że główni uczestnicy tej grupy, najwybitniejsi nasi poeci, są zarazem mistrzami dowcipu, a coroczną wspólną ich biesiadą jest *Szopka warszawska*... Może, śledząc rodowód *Pastorałek* Schillera i życiorys ich autora, odkryje, że młodziutki Schiller szedł z gwiazdą jako pasterz w prologu do *Szopki* w „Jamie Michalikowej”, że w tejże „Jamie” już czarował nas Trzciński starymi, odgrzebanymi piosenkami o Dorydzie i Justynie. Może spostrzeże paradoksalną transmisję energii w fakcie, że z „Zielonego Balonika” urodziły się „Figliki” Szyfmana, bez których nie byłoby „Momusa”, bez którego nie byłoby Teatru Polskiego; tak że Teatr Polski jest poniekąd naturalnym stryjecznym wnukiem „Zielonego Balonika” i – co więcej – ten atawizm się w nim od czasu do czasu odzywa. Może... Ale dość tego: nie róbmy konkurencji przyszłym badaczom; zostawmy to np. Instytutowi Popierania Polskiej Twórczości Literackiej. Oczywiście nie dziś, ale za lat pięćdziesiąt.

POEZJA W SŁUŻBIE NAUKI
NIEZNANY WIERSZ BOYA W ŚWIETLE PSYCHOLOGII NAUKOWEJ

Świeżo pojawił się drugi tom wielkiego dzieła prof. Władysława Witwickiego *Psychologia* (dla użytku słuchaczów wyższych zakładów naukowych). W dziele tym znajdujemy ciekawy ustęp: analizę naukową nieznanego wiersza Boya, zamieszczonego swego czasu w *Albumie Jadwigi Mrozowskiej*, 1913. Prof. Witwicki bierze go, obok wiersza Jana Kochanowskiego *Do Anny*, jako ilustrację pewnych swoich poglądów. Oto, co pisze:

„Wystarczy wziąć jakikolwiek dobry wiersz liryczny, żeby zobaczyć, jak się uczucie wypowiada w obrazach. Wypowiada się w nich, bo one należały do jego składu, były zawarte w czynniku obwodowym uczucia. Weźmy dla przykładu wiersz Boya do Jadwigi Mrozowskiej.

?

Kiedy po prostu okręci o głowę
Swoje warkocze długie, ciemnopłowe,
I spojrzy spod nich łagodnie jak trusia,
Rzekłbyś: ot swojska, poczciwa Jagusia.

Lecz nie dowierzaj zbytnio tej prostocie!
Bo oto chwila nie minęła jeszcze,
Jak w tych źrenicach jakieś błyski kocie
Czają się, dziwne niecąc wkoło dreszcze.

W tej samej chwili ta prosta i szczera
Dziewczyna polska, z polskim niebem w oku,
Pręży się niby królewska pantera,
Węsząc krew świeżą, gotowa do skoku.

Więc odurzony przez tej pani śliczność,
Wnet przed zjawiskiem stajesz niepojętym,
I chciałbyś wiedzieć „z kimże okoliczność”,
I co w niej prawdą [jest], a co talentem?

Czy z nią w dożynki pomknąć obertasa?
Czy nagą rzucić na kosztowne futra,
Erdgeist czy tylko „kółecka u pasa”?
Śluby panieńskie czy też *Kamasutra*...?

Łatwiej podziwiać jest ten urok rzadki,
Jakim w jej ustach skrzy się każda zgłoska,
Niźli klucz znaleźć drażniącej zagadki
Noszącej godło: Jadwiga Mrozowska...

Sławna z talentu i niezwykłej piękności niebieskooka artystka podoba się tu poecie najwyraźniej. To, co czytamy, jest ozdobionym i ocenzurowanym wyrazem uczucia z pewnego momentu. Nie ma żadnego powodu podejrzewać szczerości tego stanu. Gdyby to były słowa żywe, mówione przy herbacie, w pokoju, bez rymów, nic by w nich nie dziwiło. W pierwszych trzech zwrotkach opis wyglądu artystki barwny. Jej postać i głowa ma wdzięk naiwnej, ponętnej bierności zrazu, pewne rysy sadyzmu później. Te «dziwne dreszcze» w otoczeniu pięknej damy – to nie dreszcze naprawdę, tylko najprawdopodobniej wrażenia ustrojowe odpowiadające odruchom erotycznym. Wyraz dreszcze jest tu listkiem figowym. Trzy pierwsze zwrotki omawiają czynnik centralny: wygląd danej osoby w świetle uczucia poety. Trzy ostatnie charakteryzują uczucie, wydobywające różne elementy z jego czynnika obwodowego. Pretekstem i osnową dla tego wydobywania jest rzekome zagadnienie psychologiczne. Poeta stawia sobie, niby to, zagadnienie z dziedziny psychografii jednostki i pyta rzekomo sam siebie, jakie są dominujące dyspozycje artystki, jaki typ uczuć przedstawia ta osoba. Szczera jest czy udaje? Naiwna czy rafinowana? Mamy prawo sądzić, że te kłopoty psychologiczne nie są całkiem szczere, ponieważ testy, które poecie na myśl przychodzą, są zbyt przyjemne i ponętne same przez się, a wymagają od badacza takiego udziału osobistego, że to by zbyt widocznie utrudniało obserwację i analizę. Obertas i kosztowne futra to nie są aparaty do badań psychologicznych. Ciekawość poety jest niewątpliwie szczera, ale oczywiście, to nie jest pragnienie wiedzy dla niej samej. Ta «ciekawość» ma charakter coraz bardziej niespokojny, czynny i przedsiębiorczy. Zaczęło się od zwyczajnego pytania, które przybiera minę Antków znad Wisły: «z kimże okoliczność», a skończyło się na futrach. Ta ciekawość ma cel przezroczyście poddany w zwrotce ostatniej. Poeta rozważa środki prowadzące do celu, pragnie wiedzieć, z której strony zajść i jak wziąć tę piękność bez niezgrabnego włamania. Zdaje się jednak rezygnować przy końcu; poprzestaje na podziwianiu jej pięknej dykcji.

Czy pożądanie bijące z sześciu zwrotek było głębokie i w jakim stopniu szczere, trudno wiedzieć; stan uczuciowy został oddany wymownie. Obraz postaci kobiecej wypadł barwnie; uwaga skupia się zawsze na przedmiotach uczuć, nadaje im plastykę i barwę. Powiadają, że pierwszy portret wyrysował na skale pasterz zakochany, obwodząc węglem cień profilu dziewczyny. Niezmiernie trudno jest rysować i pamiętać rysy osób nieinteresujących. Sny erotyczne mają żywość, plastykę i koloryt halucynacji. Na jawie świat się robi z reguły wyrazisty i piękny, kiedy sytuacja ma zabarwienie erotyczne i w powietrzu jakby wiszą pocałunki. Z tła świadomości wydobyte liczne elementy charakteryzują stan uczuciowy z pomocą wyrazów mocno obciążonych półświadomymi skojarzeniami. Tam gdzieś są dalej i lubieżne koty w tle, bo «skok» ma w hodowli zwierząt ustalone znaczenie nie czysto gimnastyczne, i tańce apaszów, i wakacyjne przygody z dziewczętami w życie, i Sacher Masocha *Dame im Pelz*, i *Faust*, i muzyka w karczmie, i fredrowskie panienki rozbudzone a naiwne, i wyszukane smaki erotyczne z indyjskiej *Ars amandi*. To wszystko są tony górne, które nadają barwę pełnemu akordowi. Akordem pewnego rodzaju, a nie czymś prostym, jest stan uczuciowy oddany w tym wierszu.”

SIOSTRZYCZKI

Gdyby mnie ktoś zapytał o wspomnienia z czasu wielkiej wojny, byłbym doprawdy w kłopocie: przeważnie myślałem o czym innym. Powołano mnie do wojska jako „lekarza pospolitego ruszenia", dano mi najpierw samą czapkę wojskową (co przy cywilnej marynarce wyglądało dość komicznie), potem mundur, szablę, gwiazdkę, dwie gwiazdki... Spędziłem dwa lata w szpitalu, dwa lata w barakach stacji zbornej, robiłem opatrunki, podpisywałem papiery, bałem się moich przełożonych, którzy mi dość często wymyślali po niemiecku, ukrywałem przed nimi moją teczkę z Montaignem lub Descartem, tak jak żaczek w szkole ukrywa zakazaną lekturę, i od czasu do czasu, złapany na gorącym uczynku, słyszałem groźny potok słów: „*Herr Doktor, diese ewige Literaturschreiberei werd ich nicht dulden*." Z czasem ułożyłem sobie życie tak, jakby wojna miała trwać wiecznie; naraz skończyła się, zdjąłem mundur i zapomniałem o niej doszczętnie. Czasem tylko przemknie mi przez ekran pamięci jakiś obraz, ale tak nierealny, tak mało związany ze mną, niby jakaś scena widziana w kinematografie. Tak na przykład, widzę sklepioną salkę w klasztorze, czyściutko wybieloną, z zakratowanym oknem otwartym na ogród, letnie popołudnie, muszki brzęczą wlatując przez otwarte okno, silny zapach eteru, jodyny, w powietrzu jakaś ciepła senność... Asystuję do amputacji, siostrzyczka w białym kwefie narkotyzuje, lekarz kraje, ja trzymam, zamyślam się, naraz chwieję się, tracę równowagę, to ucięta noga została mi w ręce... Budzę się niby ze snu, patrzę na biały kwef, na ogród w popołudniowym słońcu, na ludzką nogę, którą trzymam w rękach, i myślę:

„Co ty właściwie znaczysz, dziwny śnie życia..."

Biały kwef... To może jedno z najoryginalniejszych moich wrażeń z okresu wojny. Byłem lekarzem przy szpitalu fortecznym: te szpitale forteczne mieściły się prawie wszystkie w klasztorach żeńskich, które zarekwirowano w tym celu, i to wraz z personelem, o ile „klauzura" nie stanowiła bezwarunkowej przeszkody. To wtargnięcie wojny w pierwszej swojej gorączce (ogromna była różnica między pierwszym okresem wojny a następnymi jej fazami: początek był improwizacją, dalszy ciąg biurokracją) w zacisza klasztorne było czymś arcyciekawym.

Nie mówię tu o szarytkach. Te siostry, specjalistki do pielęgnowania chorych, obyte z praktyką szpitalną, zastała wojna na stanowisku: cywil czy wojskowy to tylko kwestia paszportu; dla nich wojna była najmniejszym przewrotem. Ale myślę o tych klasztorach, które np. dotąd prowadziły ochronki, w których siostrzyczki, poświęcone wychowaniu drobiazgu, od nowicjatu nie widziały dorosłego mężczyzny, nie stykały się ze światem. I w taki klasztor wkracza pewnego dnia – nim jeszcze zjawią się chorzy – personel sanitarny, kwateruje się tam, przewraca wszystko do góry nogami, rwetes, hałas, wesołość, żarty, młodość, niemal życie biwaku; komenderuje oficer-lekarz, pod nim wachmistrz, cały tłum mężczyzn. Później przychodzą pierwsi chorzy, ranni; z sióstr pod komendą lekarza robią się improwizowane pielęgniarki, rękami nawykłymi do ucierania nosków małym dzieciom przewijają bandaże, robią kompresy. Wszystko to działa na te stworzenia oszałamiająco, jak nagły dopływ zbyt ostrego powietrza, jak oddychanie czystym tlenem. To dla nich jeden wielki karnawał, jedno upojenie, jakieś nieznane, nowe, mocne życie...

„Pan doktor!” najwyższa władza w tym małym państewku; pan doktor, któremu „przydzielono” do pomocy te siostrzyczki, aby mu były ślepo posłuszne. Przenoszą na niego uwielbienie, tkliwość, posłuszeństwo należne władzy duchownej. Coś niby biskup, ale z wąsami i z pałaszem! czy może być doskonalszy ideał? Jemu wolno wszystko: gdyby mu przyszła ochota wziąć którą pod brodę, uszczypnąć w policzek albo broń Boże pocałować, nie wzdragałyby się ani na chwilę, choćby dlatego, że nie wiedziałyby, jak się to robi. Niezaradność życiowa w najprostszych sytuacjach tych uroczych istot, chowanych niby pod kloszem, jest rozczulająca.

Znoszą stosami rannych, leje się krew, ropa, chorzy jęczą... wszystko nic; dla tych istot, mających inne poglądy na śmierć, żyjących fantastycznym życiem, to wciąż karnawał, to figury jakiegoś kotyliona. „Pan doktor” bada ciężko chorego, który bliski jest ostatniego tchnienia: trzy siostry – trzy wielkie motyle w białych kwefach – bujają wkoło niego, każda myśli tylko, czym by mu usłużyć, czym by mu się przypodobać. I szemrzą bez ustanku: „Ach, pan doktor taki dobry!... pan doktor tak się męczy... pan doktor tak się poświęca.” A chory rzęzi...

Był tam na moim oddziale „jednoroczny” kapral, młody, tęgi chłopak, „dekujący się” przy sanitariuszach. Ten rozgościł się w klasztorze na dobre, kazał sobie wyporządzić jakiś pokoik i byczył się tam opychany przez siostrzyczki białą kawą i bułeczkami z masłem. Cieszyły się nim jak dzieci, kiedy im darować kotka z różową wstążeczką na szyi, wszystko z anielską naiwnością. „Pan doktor nie ma pojęcia, co to za śpioch – mówiły do mnie głaszcząc chłopca po twarzy – rano przychodzimy go oblewać zimną wodą, a jakie on ma łaskotki...” etc. A chłopak tylko zęby szczerzył i łypał ku mnie okiem. Niewinność tych scen trudna jest do opisania; tak by się musiały zachwycać anioły w niebie, gdyby się tam mógł zjawić młody kapral w autentycznej męskiej postaci.

Nadeszła jesień, wczesne wieczory, deszcz, melancholia dwudziestoczterogodzinnych dyżurów w szpitalu. Ściągałem czasem siostry do dyżurnego pokoju, siadałem wygodnie na kanapie, po jednej ręce sadowiłem jakąś Porcjunkułę, po drugiej Serafitę czy coś podobnego, i gawędziliśmy godzinami niewinnie jak dzieci. Czasem nuda, smutek tej okropnej wojny – ot, psychoza wojenna! nasuwały mi pomysły jakichś przewrotnych figlów. Zaczynam tak: „Wiedzą siostry, wczoraj w nocy przyszedł do mnie diabeł (okrzyk zgrozy sióstr) i tak mnie kusił...” Tu już mogłem wyplatać, co mi ślina na język przyniosła; pod tym diabelskim cudzysłowem mógłbym przemycić nawet najryzykowniejsze rzeczy, wszystko to brały dobre siostrzyczki za budującą rozmowę; od czasu do czasu wydawały tylko westchnienie lub lekki okrzyk dziwiący się zuchwalstwu lub wymyślności szatana. Aż mnie samemu było wstyd tej niewinności.

W rozmowach tych z siostrzyczkami poznałem nieco te ładne, naiwne dusze. Przekonałem się też, że potocznie kursujące pojęcia o klasztorze i zakonnicy to licha literatura. Wedle tej literatury eroso-psychowatej, zakonnica to młoda piękność wstępująca za kratę pod wpływem miłosnego zawodu i żyjąca tam albo z wiecznym, słodkim uśmiechem rezygnacji albo też szarpiąca kraty i tłukąca o nie głową z tęsknoty za światem. Otóż prawdziwy obraz jest bardzo inny. Zakonnice to są przeważnie dziewczęta rekrutujące się z niższych klas, przeważnie niełądne, skłonne do marzycielstwa lub po prostu nie mające – wedle tego, co widzą dokoła siebie – odwagi do życia. Świat przedstawia się w oczach takiej dziewczyny w formie beznadziejnej egzystencji jakiejś niełądnej szwaczki itp. lub w razie zamążpójścia w postaci jakiegoś rzemieślnika wdowca z kilkorgiem dzieci, brutala zaglądającego do kieliszka. Z jednej strony dom, ciasnota, zaduch życia między balią a kuchnią – z drugiej kościół napełniony wonią kadzideł dźwiękiem organów, a w nim, w stallach, tajemnicze postacie w białych kwefach i powłóczystych szatach... Jest to olbrzymi awans socjalny dla takiej dziewczyny, dostojeństwo przemawiające do wyobraźni, spokój... Sądzę zresztą, że są to z urodzenia natury marzycielskie, może te, które w innych warunkach miałyby coś z artystek? Czy dostawszy się za furtę tęsknią za

światem? Wątpię. Ten świat, jak wspomniałem, nie jest dla nich w niczym podobny do głosu wędrownego rycerza z *Erosa i Psyche*, nie umiałyby się w nim poruszać, nie przychodzi im to zapewne na myśl. A „zmysły”? Żyjemy w klimacie raczej chłodnym; zresztą tajemnice ekstazy mają swoją subtelną zmysłowość, wyższą zapewne od tego, co może dać takiej dziewczynie nędzne życie, które byłoby jej udziałem. Nie żałujmy tedy siostrzyczek, kiedy je spotkamy przypadkiem na ulicy; raczej uśmiechnijmy się do nich.

SETNY TOM BIBLIOTEKI BOYA
ROZMOWA Z BOYEM-ŻELEŃSKIM

– Setny tom Biblioteki Boya? Już?

– Jak to już? – odparł wzruszając ramionami Boy, jak zawsze na wpół kpiarski, na wpół opętany jakąś myślą. – Chyba dopiero! Leżał gotowy w tece od dawna, ale nie miałem czasu się nim zająć. Tyle się awanturowałem w ostatnim roku...

– Nic dziwnego, że w tych warunkach zapomniał pan nieco o przekładach...

– Tak. W ostatnim czasie coraz więcej sprzeniewierzałem się tej pracy. Ale nie odrzekam się jej bynajmniej. To jest znakomite schronienie na chwile odpływu, neurastenii, to działa wprost leczniczo. No i co za miła asekuracja na przyszłość, co za uczucie bezpieczeństwa: mieć w zanadrzu rodzaj pracy literackiej, który można uprawiać nawet będąc już zupełnym ramolem. Cóż za gwarancja honorowej starości, iluż pisarzom oszczędziłaby ona przykrego schyłku! Co prawda, pisarze nieraz w czym innym znajdują ratunek: rzucają się w ramiona polityce, partii; wówczas mają rękojmię, że choćby pisali brednie, znajdą laurów i uznania do sytości. Polityka żyruje wszystko.

– Słyszę, że powstało nowe wydawnictwo, które podjęło wskrzeszenie Biblioteki Boya?

– Tak. Urzeczywistnienie tego, co od dawna było moim marzeniem, mianowicie ujednostajnienie mojej Biblioteki, wydanie jej na dobrym papierze, w jednym formacie, w tekście starannie przeze mnie zrewidowanym. Że to było moim pragnieniem, zrozumie pan, jeśli pan sobie uprzytomni warunki, w jakich ta Biblioteka powstała.

–Warunki?

– No tak. Zacząłem ją wówczas, gdy wyrabiano chleb z trocin, a ubrania z papieru, więc go już nie bardzo starczyło na książki. Mimo że przedtem wyszło już nieco moich przekładów – Molier, Rabelais – nagłówek Biblioteka Boya pojawił się pierwszy raz w r. 1916, w Krakowie, na pięciotomowym wydaniu Montaigne'a.

– I znalazł pan wówczas wydawcę?

– Wydawcę? Właśnie! Sam wydałem. I nie tylko to jedno. Blisko pięćdziesiąt tomów musiałem sam wydać w epokach, gdy z nikim nie można było gadać o książce. Toteż robiłem, co mogłem, aby uczynić dokoła nich jakiś ruch, wskutek czego do dziś jeszcze uchodzę za „reklamistę". Ale co to było w najciemniejszym okresie wojny, wszystkich jej utrapień i braków, kazać ludziom przeczytać kilkadziesiąt tomów arcydzieł!

– A księgarze?

– Och, księgarze! Jeżelibym opisał kiedy moje doświadczenia, byłoby to smętnym dokumentem dla naszego księgarstwa. Gdybym się był oglądał na księgarzy, nie zrobiłbym absolutnie nic, nie ruszyłbym z miejsca. Później dopiero, kiedy moja Biblioteka utorowała sobie drogę, zacząłem znajdować wydawców, ale i to rwało się ciągle. Żaden z nich nie miał dość tchu, aby konsekwentnie poprowadzić rzecz zaczętą na tak szeroką skalę.

– Więc nikogo?

– Prawda, był w Krakowie początkujący księgarz, z którym pracowałem trochę; podobała mi

się jego ruchliwość i śmiałość. Ten miał jedną słabość: lubił ponętne tytuły i na nich budował powodzenie książki. Nieraz namawiał mnie, abym któremuś z głośnych utworów dał inny, pikantniejszy tytuł. Daremnie tłumaczyłem mu, że to byłoby tak, jakby ktoś zmienił tytuł np. *Pan Tadeusz* na *Kluczyk pani Telimeny* albo coś podobnego. Przekonał mnie zresztą na przykładzie, że handlowo miał słuszność. Kiedy komedie Marivaux – pod skromnym tytułem *Komedie* – okazały się chwilowo zbyt ciężkie w sprzedaży, mój księgarz zmienił okładkę na obu tomach, drukując na jednym, od tytułu pierwszej z komedii, *Zebranie amorów*, a na drugim *Pułapka miłości*. I poszły jak woda! Chciał tak samo „rozparcelować" pięć tomów Rabelais'go i dać im soczyste tytuły, ale się nie zgodziłem...

– Musiał pan jednak mieć wielkie trudności, choćby z drukiem?

– Oczywiście, ciągle był brak czegoś, trzeba było wydawać, jak się dało, stąd każda książka w innym formacie, na innym papierze, często złą farbą, niektóre wprost haniebne.

– Bądź co bądź, rozwinął pan niepospolitą energię handlową...

– Tylko z konieczności. Ideałem moim jest pracować w swoim pokoju i nie wiedzieć nic o stronie technicznej. Ileż ja czasu na to straciłem! Ale cóż miałem robić, gdy na moje propozycje wydawcy otwierali szeroko oczy. Wszak o dawnej literaturze francuskiej ogół tyle u nas wiedział co o japońskiej! Aby wydać Montaigne'a, zadłużyłem się na kilkanaście tysięcy koron (w złocie!). Dziesięć komedii Marivaux udało mi się sprzedać księgarzowi za łączną sumę 500 koron (już w gorszym złocie), ale musiałem mu dodać lampę wiszącą i piecyk żelazny (przeprowadzałem się właśnie), aby go skłonić do dobicia interesu. To był czas wojenny! Kartezjusza wpakowałem publiczności dzięki znanej opasce „Tylko dla dorosłych", której historia obiegła już, dosłownie, kulę ziemską. *Kawalerskie gospodarstwo* Balzaka kupowały wdowy, które miały na kwaterze i wikcie wojskowych (było to w czasie największych kłopotów aprowizacyjnych), myśląc, że to jest rodzaj książki kucharskiej.

– A pomoc ze strony instytucji naukowych?

– Och! Raz jeden, nie widząc nadziei wydania pięciu tomów Montaigne'a, którego uparłem się ujrzeć po polsku, udałem się do generalnego sekretarza krakowskiej Akademii Umiejętności, a zarazem dyrektora drukarni uniwersyteckiej, aby mi udzielił w tej drukarni jakiegoś kredytu. Odmówił wręcz, nie szczędząc mi zresztą komplementów co do mojej pracy, ale oświadczył, że jest nieaktualna, na długie lata nieaktualna. W zamian udzielił mi rady: mianowicie, abym pisał opowiastki wojenne (mogą być i pieprzne, dodał klepiąc mnie po brzuchu), a wtedy, powiadał, znajdę łatwo wydawcę... Taką radę dostałem od przedstawiciela Akademii Umiejętności i to był jedyny objaw zainteresowania się owej czcigodnej instytucji moim wysiłkiem, który się odbywał tuż pod jej bokiem...

– Mimo to dał pan sobie radę?

– Ba, radziłem sobie, jak mogłem; w potrzebie wygrywałem niezawodne atuty tłumacza *Pań swowolnych* i autora *Słówek*. Przeplatałem umiejętnie powagę płochością: przez *Listy perskie* torowałem drogę dla *Ducha praw* (tak samo zresztą, jak uczynił wielki ich autor). *Noc i chwila* Crébillona poprzedziła *Myśli* Pascala. Czytelnik, wciąż utrzymywany w niepokoju, wciąż łechtany moją dwuznaczną reputacją, brał wszystko, wszędzie spodziewając się pikanterii. *Rozprawę o metodzie* widział mój znajomy w szufladzie u panny bufetowej razem z *Kultem ciała*. Czytała cierpliwie, aby się dowiedzieć wreszcie, co to za metodę ten osławiony Boy zaleca... Stąd moja podwójna reputacja, która towarzyszy mi zresztą do dziś: z jednej strony witano mnie jako „wychowawcę", z drugiej odżegnywano się ode mnie jako od demoralizatora!

– Które z pańskich wydawnictw było najpoczytniejsze?

– *Tristan i Izolda*, obok *Pan swowolnych* oczywiście. Potem *Spowiedź dziecięcia wieku* Musseta, *Manon Lescaut*, *Listy panny de Lespinasse*, słowem, książki apelujące przede

wszystkim do serca kobiet. Ale Tristan ze swą Izoldą pobili wszystkie rekordy: stary rekin książkowy z ulicy Świętokrzyskiej, p. Jakub Przeworski, ojciec czworga dorosłych dzieci, płakał nad tą książką...

– A jaki był stosunek krytyki?

– Wówczas idylliczny! Jeżeli mogłem osiągnąć mój cel, to w znacznej mierze dzięki niepodzielnemu prawie poparciu prasy. Byłem wówczas tak na uboczu, w moim mundurze wojskowego lekarza tak nie zawadzałem nikomu! Należało do dobrego tonu popierać mnie. Nic zresztą nie pojawiało się wówczas na rynku księgarskim, nie było o czym pisać, chwytano tedy z radością sposobność, każdy tom moich wydawnictw omawiano w wielkich felietonach. Specjalną życzliwością otaczali w początkach moją Bibliotekę Ludwik Szczepański, Zdzisław Dębicki, profesorowie Sinko, Szyjkowski i Jachimecki, Czesław Jankowski, W. Fallek... Wacław Borowy przede wszystkim, który napisał całą książkę pt. *Boy jako tłumacz*. Ale i inni. Klerykalny „Głos Narodu", który obecnie ściga mnie jako „masona", a wielkich pisarzy francuskich w czambuł zwie „brudną literaturą", witał pochwalnie wydanie *Powiastek* Woltera! K. H. Rostworowski mienił mnie „wielkim poetą" po *Świętoszku*... Pan Nowaczyński pisał, że „Boy sam jeden zrobił dla zbliżenia Francji z Polską tyle, co cały paryski Komitet Narodowy". Potem się to zmieniło potrosze: obecnie jestem w połowie przynajmniej dzienników na czarnej liście, wraz z biednymi francuskimi geniuszami. Ale wówczas! Koroną było to, że „Krakauer Zeitung", organ komendy twierdzy w Krakowie (oczywiście wychodzący po niemiecku), zamieścił felieton pt. *Boy*, sławiąc moje zasługi w – propagandzie kultury francuskiej. To było w pełnej wojnie, gdy w Berlinie Niemcy wykreślali z karty restauracyjnej wszystko, co trąciło Francją, i z patriotyzmu majonez przechrzcili na *„Oeltunke"*. Poczciwa Austria!

– Słowem, sielanka!

– Tak, sielanka. Był to okres, w którym, opanowawszy rynek i dusze, osiągnąłem wreszcie to, że mogłem prowadzić za sobą czytelników wszędzie, gdzie mi przyszła ochota. Wałęsałem się też z rozkoszą po literaturze pięciu wieków, od Villona do Verlaine'a. Wówczas to poznałem w całej pełni rozkosze tłumacza, ową „rozpustę stylów", o której zwierzenia moje znalazły tak sympatyczny oddźwięk, gdym o niej opowiadał zebranym w amfiteatrze Sorbony matadorom francuskiej krytyki. Dzięki tej pracy przebyłem koszmar wojny jak we śnie. I oto zupełnie paradoksalne zjawisko: jedynie dzięki owym warunkom chwili udało się wytworzyć stan masowej konsumcji arcydzieł. Prawie nic, jak wspomniałem, wówczas innego nie wychodziło, ja zaś wydawałem dziesięć do dwunastu tomów na rok; nic więc dziwnego, że witryny księgarskie były zapełnione Biblioteką Boya, a publiczność nawykła czekać nowego tomu z niecierpliwością. To był jeden z najoryginalniejszych kursów „klasycznego" wykształcenia. Będąc we Francji, śmiało mogłem powiedzieć Francuzom, że Montaigne lub Rabelais są potoczniej czytani w Polsce niż we Francji, gdzie ich oddziela od czytelnika najeżona trudnościami stara francuszczyzna. U nas Montaigne'a czytano w rowach strzeleckich. Dla wielu literatów polskich literatura ta była rewelacją, zwłaszcza Rabelais, który na przykład stał się m.in. ulubioną lekturą Reymonta.

– Czy, wznawiając Bibliotekę Boya, czyni pan jakie zmiany w tekście?

– Ogromne! Mimo że krytyka była na mnie jak na tłumacza tak łaskawa, ja nie zawsze byłem z siebie zadowolony. Pracowałem w strasznym pośpiechu, pędziła mnie jakaś gorączka, aby zapełnić te wiekowe luki, jakie mieliśmy w naszym stanie duchowego posiadania wielkich pisarzy francuskich. Bo większość tych nazwisk była u nas zupełnie obca, większość tych utworów pojawiała się w Polsce po raz pierwszy. Kiedy zacząłem je wydawać, z wielkiej literatury francuskiej nie istniało w handlu księgarskim po polsku – można powiedzieć – nic. Dlatego śpieszyłem się bardzo: takie zresztą mam usposobienie, że raczej pracuję gorączkową

niecierpliwością niż skrzętną pilnością. Przez całą wojnę pracowałem zresztą w fatalnych warunkach, w czasie dyżurów, chowając papiery na odgłos kroków zwierzchnika, z terczącym wciąż dzwonkiem telefonu nad głową. Dlatego też czułem potrzebę gruntownej rewizji tekstu; nowe wydanie będzie przeważnie bardzo różne od dawnego, poprawione, ulepszone, staranne. W niektórych tomach ani jednego zdania nie zostawiłem tak, jak było. Dlatego bardzo bym pragnął, aby w rękach moich sympatyków i czytelników to zbiorowe wydanie zajęło miejsce dawnych tomów.

– I liczy pan na powodzenie?

– Oczywiście! Tylu mam wśród publiczności przyjaciół i tyle spotykało mnie nieraz tej przyjaźni dowodów, iż kiedy powiem moim czytelnikom, że zależy mi na tym, aby pojedyncze, błąkające się na półkach tomiki oddali ubogim dzieciom stróża, a sami zaabonowali się na całość Biblioteki, nie wątpię ani chwili, że to uczynią z przyjemnością dla mnie, a z pożytkiem dla siebie. Będą mieli z czasem rząd książek ładnie wydanych, wykwintnie oprawnych, w jednostajnym formacie a nic bardziej nie drażni amatora książki niż tego rodzaju dziadowski wygląd, jaki przedstawiała dotąd Biblioteka Boya. Będzie to, w polskiej mowie, ekstrakt myśli pięciu wieków: w tym mała szafeczka z napisem Trucizny" – jak w aptece. Bo w literaturze, jak w medycynie, trucizny bywają najdzielniejszym środkiem leczniczym...

WŚRÓD KOREKT I JUBILEUSZÓW

Czas przedświąteczny upłynął mi pod znakiem korekt i jubileuszów... własnych, święconych minutą mimowolnego skupienia w zaciszy gabinetu. Taki już rok. Począwszy od trzydziestolecia – pseudonimu, które przypomniały mi korekty nowego wydania *Słówek*. I w związku z tym uderzyła mnie pewna dość znamienna gra ulotności i trwania, jaką wszystko bez mała przybiera w mojej karierze literackiej. Choćby ten „Boy". Wzięty jako alibi, konieczne dla młodego lekarza, kompromitującego swoją obowiązkową powagę tomem piosenek i wierszy, pseudonim ten, nie obliczony na dłużej niż na jeden wybryk pisarski, przylgnął natychmiast do mnie i trzyma się mnie uparcie do dziś. Ale i te *Słówka* (też jubileusz) to również przykład tej samej gry ulotności i trwania. Pierwsze ich egzemplarze odbijane były dla przyjaciół na hektografie; niedawno jeszcze, porządkując szufladę, znalazłem taką edycję urągającą wynalazkowi Gutenberga. Że jednak przyjacielskie żądania rosły, narzuciła się dogodność druku, i oto właśnie ściśle trzydzieści lat temu... Co prawda pod innym tytułem. Dziś na korekcie tych *Słówek* czytam: „Trzydziesty siódmy tysiąc." A w komentarzu „ krytyczno-naukowym" trzeba objaśniać mnóstwo realiów epoki już dziś zupełnie niezrozumiałych. I tu połączenie znikomości z trwaniem. Książka, od której nie mogę się odczepić.

Pseudonim mój miał jedną właściwość: zapraszał niejako do wymyślań. Tak już był szczęśliwie dobrany, zwięzły, poufały, dobrze ludziom leżał w pysku. Nigdy by zwyczajnemu Tadeuszowi Żeleńskiemu nie nawymyślano tyle, ile nawymyślano „Boyowi" w ciągu tych lat trzydziestu, od „Zielonego Balonika" do Akademii Literatury. To jest nie zawsze przyjemne, ale bywają chwile, które wynagradzają wiele przykrości. I tak, jeden z życzliwych czytelników nadesłał mi świeżo taki pocieszający dokument. Jest to egzemplarz mojej własnej książeczki – dawnej, bardzo dawnej – z pieczątką katolickiego oddziału opieki nad duszami więźniów w Berlinie (*Hilfsausschuss für Gefangenen-Seelsorge – Katholische Abteilung*) i z tą drugą pieczątką: *„Inhalt unbedenklich"* – co znaczy po polsku: „T r e ś ć b e z z a r z u t u." Mój Boże! Aż do berlińskiego więzienia musiałem po taki certyfikat zawędrować! Nikt nie jest prorokiem wśród swoich.

W tej chwili przynoszą mi – nową korektę, od dawna wyczekiwaną. Minuta zadumy... I znów to połączenie ulotności i trwania. Mam wrażenie, że jak mitycznemu królowi Midasowi wszystko w rękach mieniło się w złoto, tak mnie wszystko zmienia się w – brąz. Wiotkość wszelkiego kaprysu tężeje mi w ten solidny metal. Bo ta nowa korekta to – *Marysienka Sobieska*. I przypomina mi ona, że trzydzieści lat temu (znów jubileusz) skreśliłem lekkomyślną dłonią żart na temat tej francuskiej wytwornisi na polskim tronie i jej heroicznego małżonka; i oto żarcik ten wrócił do mnie echowo – po paru dziesiątkach lat – w formie propozycji jednej z najpoważniejszych firm wydawniczych, aby napisać monografię królowej Marii Kazimiery. I napisałem, i wychodzi w tej chwili gruby tom, sama bibliografia zajmie ze cztery stronice druku. Czy nie brąz?

Jeszcze jedna korekta: nowe wydanie *Ojca Goriot* Balzaka; odprysk tej Biblioteki Boya, z powodu której sam uroczysty Lechoń uchylił cylindra pisząc artykulik pt. *Boy brązowy*, I

przypomina mi się, jak i kiedy zaczęła się ta studwudziestotomowa Biblioteka. Też trzydzieści lat temu (taki był już rok) – od żartu, od figla. Również Balzakiem, ale jakim! Genialna i błazeńska *Fizjologia małżeństwa* to był ten Balzak ignorowany lub odsuwany z niesmakiem przez poważnych historyków literatury, najbliższy mi duchem w owej lekkomyślnej epoce. Wydałem go jako nowość, rozplakatowałem afiszami, że wyszła „prześliczna książka Honoriusza Balzaka", i dowiodłem księgarzom, którzy ani słyszeć o tym przestarzałym pisarzu nie chcieli, że Balzak może iść niegorzej od współczesnej powieści. Potem – Brantôme – okrzyczane *Żywoty pań swowolnych* – urodziły się z tego samego ducha płochości. Ale już następną pozycją (25 lat temu, jubileusz!) były Moliera *Dzieła wszystkie*. Już ten tajemniczy pęd do brązowacenia brał górę.

Robię tedy korekty *Ojca Goriot*, pogrobowca nowego poprawionego wydania Biblioteki Boya, które chciałem doprowadzić w całości do skutku, ale które mogłem wykonać jedynie w 75 proc. – na pozostałe 25 proc. zabrakło mi środków. Czekam z tym lepszych czasów – albo wydawcy. Ale trzeba było zrobić wyjątek dla *Ojca Goriot*, bo okazało się, że *Komedia ludzka* Balzaka nie może się bez niego obyć, to jej kamień węgielny.

Ale już przynoszą mi nowe korekty: *Krótkie spięcia*, szesnasty tom wrażeń teatralnych. Tym razem jubileusz (nawet prywatny) byłby nieco naciągany, bo szesnastka nie jest cyfrą okrągłą, a z drugiej strony brakuje kilkunastu miesięcy do dwudziestu lat od chwili, gdy się przypadkowo znalazłem na fotelu recenzenta. I nigdzie ta podwójna właściwość ulotności i trwania nie występuje tak wyraźnie jak w tym epizodzie. Z powodu nieobecności recenzenta „Czasu" Antoniego Beaupré, redaktor Starzewski namówił mnie do napisania recenzji, nieśmiałość moją uspokajając tym, że grają *Świętoszka* Moliera, znajdę się zatem na znanym sobie terenie. Poszedłem do teatru na jeden wieczór i zostałem tam do dziś dnia, a szesnaście tomów kronik teatralnych (siedemnasty jest w tece) jest bodaj że najobszerniejszym z istniejących zbiorów tego rodzaju. A ile tego jeszcze może być, strach pomyśleć! Bo najtrudniej jest wymyślać tytuły do kolejnych tomów. Do najbliższego mam już przynajmniej tytuł: będzie brzmiał *Murzyn zrobił...* przez aluzję do rozpoczynającej tom recenzji z *Fiesca* Schillera, a trochę może i z głębszą myślą.

Wreszcie ostatnie korekty, najpracowitsze, najmozolniejsze, korekty, z których – jak się to mówi – nie można wyleźć: dwa nowe tomy Prousta, *Strona Guermantes*, ta zaczarowana „strona", dokoła której bohater Prousta krąży w poprzednich tomach tak uparcie, zanim się wreszcie w niej pogrąży. I to tak na wskroś osobiste dzieło przywodzi na myśl datę: listopad rb. znaczy piętnastolecie śmierci Prousta. Ale nie o tę rocznicę mi tutaj chodzi, nie lubię rocznic żałobnych, w sztuce nie mają one racji bytu. Bliżej mnie obchodzi rocznica radośniejsza, a zarazem bardziej lokalna. Właśnie rok temu ukazały się po polsku pierwsze tomy Prousta; obecnie wychodzi 7 i 8, tomy 9 i 10 gotowe są do druku. W tej szybkości akcji wydawniczej duży udział ma publiczność. Gdziekolwiek znalazłem się z jakim odczytem na prowincji, wszędzie pytano mnie o dalszy ciąg Prousta. W czytelniach, wypożyczalniach jest stale oblężony. Ten współudział publiczności pozwala się spodziewać, że w ciągu dwóch lat całość *Poszukiwania straconego czasu*, obliczona po polsku na 19 tomów, będzie się mogła ukazać.

Krytyka, która zawsze ma swoje odrębne słówko, krzywi się, że Proust przychodzi do nas z opóźnieniem, wówczas gdy inne kraje mają go jakoby od dawna. Ale podawane przykłady nie zawsze są ścisłe. Nie interesowałem się specjalnie bibliografią przekładów Proustowskich, ale co się tyczy cytowanego często niemieckiego przekładu, zdaje mi się, że jest z tym inaczej, niż się mniema. Mimo udziału trzech tłumaczów (Schotlaender, Beniamin, Hessel) doprowadzono rzecz niespełna do połowy, a na dalszy ciąg obecnie chyba małe są w Niemczech widoki.

Ale zresztą co to ma za znaczenie i czy można przy tego rodzaju dziele jak Prousta mówić o opóźnieniu? Ledwie dziesięć lat upłynęło od czasu, jak ostatnie jego tomy ukazały się po francusku, raczej tedy dość szybko przedostaje się do Polski. Nie mówiąc o jakimś Pascalu czy

Montaigne'u, którzy czekali na to paręset lat, ileż lat czekał Nietzsche, Dostojewski, Poe i tylu innych. I w samej ojczyźnie jakże długo nieraz odbywa się wędrówka pisarza do czytelnika! Stendhal przepowiadał sobie, że będzie czytany za lat pięćdziesiąt czy sto; wpływ Baudelaire'a czy Rimbauda doszedł do głosu dopiero poprzez parę pokoleń. I we Francji stosunek do Prousta raczej pogłębia się w ostatnich latach. Opadła może fala pierwszego zgiełku dokoła tego nazwiska, ale zaczyna się prawdziwe poznawanie pisarza, czego dowodem choćby świeża książka Massisa *Le drame de Marcel Proust*. Z tego punktu widzenia polski Proust przychodzi w samą porę.

Takie snułem sobie różne refleksje. Ale potem, im bliżej świąt, korekty zaczęły sypać się tak gęsto, że zasypały mi biurko, prawie pokój, jak śnieg. I ta białość to jest najmilszy pejzaż zimowego sezonu.

MES CONFESSIONS

CONFERENCE DONNÉE LE 19 FÉVRIER 1927, AU GRAND AMPHITHÉATRE DE LA SORBONNE

Monsieur le Ministre, Mesdames, Messieurs,

Me trouver ici, à Paris, ce Paris si adoré par moi dès ma jeunesse, dans cet auguste amphithéâtre de la Sorbonne, dans cette brillante assistance, devant ce public choisi; y être l'objet de cet honneur insigne, de cette manifestation de sympathie, parler au public français, tout cela me semble vraiment plutôt un rêve, un songe, qu'une réalité. Vous saisirez encore mieux ce sentiment que j'éprouve, quand je vous raconterai en quelques mots les étapes de ma vie, une vie très simple à la vérité, mais dont le cours pourtant, vu surtout dans les lumières de cette salle, me paraît en ce moment un peu fantastique. Je sens bien tout ce qu'il y a d'audace de se laisser aller à des confidences personnelles devant une telle assemblée; mais enfin se comprendre soi-même, se faire comprendre aux autres, c'est un besoin inné à l'homme, c'est une des sources de la littérature. Or, puisque, Mesdames et Messieurs, vous daignez vous intéresser à ma modeste personne – ou plutôt à l'idée qu'elle représente – puisque nous devons faire connaissance, je ne vois pas d'autre moyen que de me raconter tout simplement à vous, que de faire en votre présence comme qui dirait „une heure avec...", une petite heure avec moi-même.

D'autant plus que ma situation littéraire et personnelle a toujours été, dans mon propre pays, assez compliquée, pour ne pas dire équivoque. D'abord, j'ai le triste privilège d'être considéré comme une sorte de phénomène, ayant, comme vous le savez déjà, traduit bien près d'une centaine de volumes des chefs-d'oeuvres de la littérature française. Oui, c'est là l'aspect vénérable, dirai-je, de ma personne, son aspect „décoré". Quand on parle de moi dans nos journaux, on emploie volontiers des expressions comme: „tâche écrasante", „travail infatigable" – et surtout „bénédictin". Boy et b é n é d i c t i n sont devenus presque des synonymes.

Et pourtant, quand, il y aura bientôt une vingtaine d'années de cela, j'ai débuté par un recueil de petites chansons, elles furent trouvées bien audacieuses, voire frivoles, et faisaient la nique à bien des choses respectées qui me semblaient peu respectables. Lorsque, ensuite, je devins populaire – trop populaire – dans mon pays comme poète, on me fit l'honneur de me trouver sensuel et pervers. Et lorsque, comme critique de théâtre, comme feuilletoniste, je suis parfois obligé de batailler, de me chamailler, je le fais avec un entrain qui vraiment n'a rien de bénédictin.

Et ce n'est pas la fin de ces surprises. Pour les uns, je suis le traducteur de *Pensées* de Pascal, pour les autres le traducteur des *Dames galantes* de Brantôme. D'un côté on m'offrait la chaire de littérature française à l'Université de Poznań, de l'autre côté on me traitait de corrupteur de la jeunesse. Et remarquez enfin que, derrière tout cela, se cachait pendant assez longtemps encore un troisième personnage: Boy-médecin, oh, c'est bien le cas de le dire: „médecin malgré lui".

C'est bien pénible de n'avoir pas de physionomie homogène. Or, il advint une fois que l'envie me prit de voir clair moi-même dans tout cela, et de chercher ce qu'avaient de commun entre eux ces personnages disparates. La voie d'une confession publique me parut la plus efficace. Et non

pas par écrit; non, d'une confession de vive voix. Je fis mes malles, et j'entrepris le voyage dans une cinquantaine de villes en Pologne en y faisant des conférences. Or, il se trouva que cette confession touchait à tout moment aux choses de la France; que c'était en France que j'étais obligé de chercher le sens caché de mes avatars, de sorte, qu'en somme, cette confession devint un hymne passioné à la gloire de la France. Mais, lorsque je me permis d'ôter cette robe de „bénédictin" dont on m'affublait, il me fut impossible de continuer la mystification: je fus contraint de montrer que ce qu'elle cachait, cette robe austère, c'était la passion, l'amour, le plaisir, la volupté.

J'ai été sous le charme de la pensée française presque avant de la connaître; le son de la langue française, la vue d'un livre français, avaient pour moi, enfant, quelque chose de fascinant. Chez nous, en Pologne, dans beaucoup de familles les enfants apprennent le français tôt: pas tout à fait, hélas, comme Montaigne le latin, mais enfin assez tôt. Étant sorti de l'âge des bonnes, j'eus pour maître de français un Cour-landais francisé, d'une famille émigrée, un ancien Zouave, qui avait servi la France dans la Légion Étrangère. C'était un solitaire, un misanthrope à la façon d'Alceste, qui vivait au milieu de ses livres, de ses classiques français chéris. Moi, j'étais alors très „moderne" – ce qui est bien naturel, vu que j'avais treize ans – aussi nous nous disputions souvent. Moi, je lui parlais Guy de Maupassant, il me répondait Pascal. Je reconnus plus tard qu'il avait raison. C'était pis, quand il me fit réciter par coeur la description de la grotte de Calypso du Télémaque, en voulant me faire avouer qu'il n'existait rien de plus beau au monde. J'étais alors sous le charme de bien d'autres Calypsos. Le „roman mondain", qui était alors à son apogée, faisait mes délices; je me bourrais de *Cruelles Enigmes*, de *Mensonges*, de *Notre Coeur*, de *Coeur de femme* etc. Gosse de treize ans, avec des mains barbouillées et des pantalons déchirés, je vivais par mon âme dans les coquettes garçonnières des „hommes du monde", et je couvrais en rêve de baisers brûlants les sveltes, les souples corps de ces „femmes mariées" enchanteresses, qui, après l'heure exquise, s'évadaient discrètement, en laissant après elles une traînée de parfums; je crois que c'était de l'oppoponax. Ah! comme je comprenais bien ces „femmes incomprises", comme j'aurais su les aimer alors! C'était pour moi comme de haschisch, je quittais le livre les joues enflammées, avec une tendresse exaspérée dans l'âme...

Excusez ces détails, peut-être superflus, mais depuis le grand patron de tous ceux qui se confessent, depuis l'immortel Jean-Jacques, une petite description de délires innocents de l'imagination enfantine est devenue, dans une confession, pour ainsi dire de rigueur.

Le collège fini, il fallait embrasser une carrière. J'étais fils d'un artiste, d'un éminent musicien-compositeur, Ladislas Żelenski. Je fus élevé dans l'atmosphère de l'art, pourtant je ne sais quel diable s'en mêla – quand vint le moment de décider, je choisis la médecine. C'était peut-être encore le dernier écho de l'époque positiviste, qui créa ce préjugé que toute étude un peu sérieuse sur la vie devait commencer par la dissection des cadavres. Mon état d'âme était alors à peu près celui du fameux *Disciple*.

Tout en fréquentant assez mollement mes cours, j'avais toujurs quelque livre français dans ma poche. Je me passionnais alors pour la critique française, j'adorais Jules Lemaître. C'était aussi le temps de l'épanouissement d'Anatole France. Ah, Mesdames, Messieurs, c'est au *Lys rouge* que je dus ma première „femme du monde": ma conversation sur ce livre lui parut si délicate, qu'elle sentit d'instinct qu'elle pouvait se confier à moi.

Je fréquentais, par goût, les jeunes cénacles littéraires à Cracovie. La dévotion était alors aux Scandinaves, aux écrivains russes, à Ibsen, à Strindberg, à Dostoïevski, à Nietzsche, à Oskar Wilde etc. Nous autres, Polonais, nous avons une grande et belle littérature à nous, mais à l'époque de ma jeunesse nous consommions énormément de littératures étrangères. Or, dans les cénacles d'alors on n'était pas toujours très tendre pour la France. De ce temps je retins comme

exemple une anecdote, dont le souvenir m'amuse parfois beaucoup. Un jour, en portant un gros livre sous le bras, j'entrai chez le grand écrivain Przybyszewski, dont j'avais l'honneur d'être le jeune ami. Voyant mon bouquin, toujours curieux des livres, il me demande ce que c'était? C'étaient *Les Dialogues philosophiques* de Renan. A cette vue, l'écrivain fut saisi d'un fou rire; de plus il appela de la chambre voisine sa cuisinière, et, hors de lui, les yeux injectés de sang par le rire convulsif, il lui dit en montrant mon livre: „Kasia, regarde ce que ce monsieur lit!" La cuisinière, un peu hystérique, ne comprenant rien, mais gagnée par la hilarité de son maître, se mit aussi à se tordre de rire; et pendant quelques minutes ils se gaussèrent ainsi tous les deux de ma pitoyable lecture.

Mais, si l'on était quelquefois rebelle au côté rationaliste de la pensée française, en revanche, la poésie française avait conquis les coeurs de notre jeune génération d'alors. Il y a trente ans, nous fûmes charmés par la belle traduction faite par le poète Miriam du *Bateau ivre* d'Arthur Rimbaud, dont on se grisait en le „gueulant" à tue-tête. On admirait Verlaine et on se chuchotait tout bas sa légende; *Les Fleurs du mal* de Baudelaire étaient le livre de chevet de nos jeunes poètes. Dans un des jeunes cénacles dont je faisais partie, et où on faisait largement honneur aux spiritueux, il était de rite de s'agenouiller tous ensemble, et de réciter en choeur *Les Lithanies de Satan* de Baudelaire, alors récemment traduites par le poète Stanislas Brzozowski. On se frappait la poitrine comme des derviches en extase tout en hurlant le refrein: „O, Satan, prends pitié de ma longue misère!" On lisait beaucoup Huysmans; plus d'un de nos jeunes décadents (comme on les appelait à cette époque) aurait volontiers imité la vie „à rebours" de des Esseintes, si cela avait été moins coûteux.

Mais, si l'on parle de l'état des esprits de la jeune Pologne à l'égard de la littérature française, il faut bien distinguer: ceux qui connaissaient la langue et ceux qui ne la connaissaient pas. Les premiers étaient tous acquis à la France; les opinions des autres étaient plutôt confuses. La connaissance de la langue française se perdait chez nous; à mesure que surgissaient de nouvelles couches démocratiques, elle devenait un luxe On nous tourmentait beaucoup au collège avec le grec; on nous bourrait de la langue et de la littérature allemande... Or, ceux qui ne possédaient pas la langue française étaient quasi-matériellement séparés de la France, n'en pouvaient avoir qu'une très faible idée, surtout de sa grande littérature. Car, par un paradoxe assez curieux, nous avons toujours eu assez peu de traductions de français, par le fait même de la diffusion séculaire de cette langue chez nous. Prenons un exemple: nous n'avons jamais eu de traduction de la *Nouvelle Heloïse*. A l'époque où, comme veut la légende, le roi Stanislas-Auguste, après son avènement au trône, écrivait à Mme Geoffrin: „Arrivez, maman, votre fils est roi" – on n'avait pas besoin chez nous de traductions. De même Mme Hańska, pour faire sa déclaration à Balzac, n'a pas attendu les traducteurs. Fait curieux: dans la période de la plus vive gloire de Balzac, 1840–1880, nous n'avons pas eu de ses traductions. Mais successivement, quand la connaissance de la langue française commença à se perdre, cet état devint très dangereux pour le rayonnement de la pensée française.

Je devins donc docteur en médecine. Bientôt je me retrouvai à Paris, où je devais me perfectionner dans l'art médical.

C'est à peine si je mis les pieds dans les cliniques. C'était, je crois, aux cours de M. Dieulafoy et de M. Hayem. Mais je sentis aussitôt que, me trouvant à Paris, dans cette ville unique, ce serait folie que de perdre mon temps à percuter les poumons et à tâter les foies absolument identiques à ceux que j'avais laissés dans mon pays. Alors j'envoyai promener les hôpitaux et les laboratoires et tout bonnement je me mis à flâner au hasard.

Je ne trouve rien, à quoi je pourrais comparer l'impression de cette première rencontre. Il y a dans cette ville comme un fluide mystérieux qui se dégage des murs, des rues, de la foule, de

l'air. Cette impression est si forte, si enivrante, que les nerfs de beaucoup de gens se trouvent ébranlés par ce premier contact avec Paris; c'est comme une crise aigüe, suivie d'une prostration. Moi aussi, j'ai subi cette attaque de „neurasthénie parisienne". Affolé, énervé, presque malade, je me suis enfermé dans ma petite chambre d'étudiant – c'était un petit hôtel de la rue Bonaparte – et l'hiver étant dur, je restais presque tout le temps dans mon lit, ayant pris un abonnement dans un cabinet de lecture. Je suis tombé sur un livre de Balzac, auteur que je ne connaissais presque pas: c'étaient par hasard *Les Illusions perdues*. J'ai dévoré de suite toute *La Comédie humaine*. Alors seulement je fus vacciné contre Paris, je pouvais me promener dans les rues. Cette lecture de Balzac en plein Paris inconnu, qu'accompagnaient les rumeurs de l'immense ville arrivant du dehors, me procura quelques semaines que je crus passer dans un rêve. Le soir, quand il fallait quitter la chambre pour prendre quelque nourriture, je parcourais la ville vivant encore dans la magie de la *Comédie humaine*.

Et puis, les quais de la Seine! Je connus la volupté de ces promenades qui durent des heures, de ces langueurs en présence du plus beau paysage du monde, de ce paysage de pierre du vieux Paris depuis Notre-Dame jusqu'au Louvre, tout en furetant dans les boîtes aux livres le long des Quais...

Après Balzac, vint Diderot, dont *Jacques le Fataliste et son Maître* m'intrigua d'abord sur les quais par son titre bizarre. Cela me fit faire le tour du XVIII-e siècle. Et c'est là, sur les quais, que j'ai suivi, en quelque façon, le cours de la littérature française; c'est d'ailleurs le seul que j'aie suivi. Je n'ai fait que m'extasier devant les murs vénérables de la Sorbonne, du Collège de France, fasciné par la force mystérieuse qu'elles recèlent. Mais je n'y ai jamais mis les pieds. J'étais timide, je ne savais pas par où l'on entre, et puis, le principal, j'étais venu à Paris pour étudier la médecine.

Mais autre chose devait me solliciter si fortement que ma carrière s'en trouva changée. Je veux parler de la chanson, de la chanson parisienne. De cette chanson, je fus vaguement épris dès les premiers jours passés à Paris. C'était exotique pour moi: chez nous on ne chantait pas. Je rencontrais cette chanson un peu partout. Dans la rue je stationnais volontiers dans les groupes qui entouraient un chanteur ambulant. Puis, à mon étonnement, je vis des boutiques à chansons, où l'on vendait des chansons comme des petits-pains et où un gramophone d'une patience à toute épreuve enseignait au public la chanson du jour. J'entendais avec plaisir chanter les jeunes filles que j'avais connues au „Bal Bullier". Mais les vraies sources de la chanson parisienne m'étaient inconnues. Certes, les échos des glorieux succès du „Chat-Noir" étaient arrivés jusqu'à Cracovie, mais pour moi, jeune sauvage, seul, perdu dans cet immense Paris, ahuri, je n'ai pas eu l'idée d'en demander des nouvelles; le „Chat-Noir" d'ailleurs n'existait plus.

Mais un soir, un camarade, un vieux Parisien celui-là, rencontré par hasard, me mena dans une petite rue – rue Champollion, je crois, non loin de la Sorbonne – dans une boîte sous l'enseigne „Le Grillon", qui se changea depuis en „Noctambules". Et c'est là que, moyennant un franc, bock ou café compris, j'entendis Paul Delmet, Marcel Legay, Gabriel Montoya, Numa Blès, Vincent Hyspa et les autres bons chansonniers de Montmartre. Je fus ébloui, émerveillé; j'avais l'impression qu'un voile me tombait des yeux, que pour la première fois je voyais le monde comme il faut le voir, reflété dans cette chanson si charmante et si variée. Encore aujourd'hui je saurais répéter presque par coeur les chansons que j'entendis cette première soirée. Les simples et si exquises mélodies, que Delmet, alors bien près de sa fin prématurée, chantait de sa voie grêle de poitrinaire; puis Montoya qui tous les soirs, pendant des années, roucoulait de sa voix de fausset sa jolie *Chanson d'antan*, pareil à un grand oiseau appelant désespérément sa femelle; et les autres qui de leur verve spirituelle fouaillaient petits et grands et donnaient aux événements de la vie plus de rythme et plus de sens. Oh! l'admirable chanson parisienne, ce fut vraiment elle qui

acheva mon éducation; et c'est la nostalgie qu'elle me laissa au coeur qui décida plus tard de ma vie.

Tout cela était bien beau. Mais, pour le moment, le résultat en était tel, que je fréquentais tous les soirs les cabarets, que je flânais dans les rues en fredonnant les chansons entendues hier et en me faisant de dures reproches de négliger mon métier de médecin.

Enfin, après quelques mois de cette existence, il fallut bien rentrer dans mon pays. Je rentrais aussi dans les hôpitaux. Aux questions de mes maîtres de chez nous sur les nouvelles méthodes de la médecine française, je donnais des réponses plutôt diplomatiques. Enfin je poussais tant bien que mal ma médecine, tout en vivant – c'était mon plaisir et ma revanche – dans le monde de la bohème artiste de Cracovie.

Ces années de ma jeunesse se passaient justement dans une période très exubérante de la vie cracovienne et une des plus fécondes de la vie artiste en Pologne. La nouvelle sève s'accumulait dans ce Cracovie, dans ce coin de la Pologne où on respirait plus librement qu'ailleurs. Ce fut le renouveau du théâtre, de la peinture dont l'Académie fourmillait d'une jeunesse pleine de talent, de la littérature – période qui fut ensuite comprise sous le nom général de la Jeune Pologne. Cette abondance de talents fit du Cracovie de ce temps la ville la plus extraordinaire peut-être qui existât jamais: une capitale intellectuelle d'un grand pays, entée sur une ville qui, à d'autres égards, était bien loin d'être une capitale; une ville relativement petite et dont les moyens matériels n'étaient en aucune proportion avec le rôle qu'elle jouait. De cela il s'ensuivit que l'élément artiste et intellectuel n'y était pas contrebalancé par les finances, l'industrie etc. Les artistes y arrangeaient la vie à leur guise sans se soucier des bourgeois et sans éveiller leurs protestations. Tout cela fit aussi qu'il s'accumula dans le clan artiste de Cracovie d'alors beaucoup de fantaisie, beaucoup de cet humour qui vit dans chaque génération d'artistes, mais qui, dans les tristes conditions de notre vie nationale, n'était jamais arrivé à s'exprimer publiquement. Là, tout près de l'Académie des Beaux-Arts, se trouvait un petit café où s'assemblaient peintres, sculpteurs et toute la jeune bohème cracovienne. Bientôt les parois se couvrirent d'esquisses, de caricatures, de là il n'y eut qu'un pas à l'idée de créer un cabaret artistique.

C'est là que naquit le „Petit Ballon Vert", cabaret chat-noiresque, qui groupa la plupart de ceux qui dirigent aujourd'hui la vie artistique en Pologne et qui alors étouffaient dans la trop pleine et trop petite Cracovie. Ce fut une fusée de gaîté folle, un rire bruyant dont les échos parcoururent toute la Pologne; ce fut „le conseil de revision", parfois cruel, de beaucoup de fausses grandeurs, de beaucoup de mensonges officiels, qui trop longtemps avaient trouvé un abri dans les labyrinthes de notre vie nationale, compliquée et tourmentée. C'est là, qu'entrainé par la gaîté qui était dans l'air, travaillé d'ailleurs par mes souvenirs parisiens, j'ai débuté par une chanson, une autre s'ensuivit, et bientôt, presque sans savoir quand et comment, je devins le gros pillier du „Petit Ballon Vert".

Ce cabaret de Cracovie avait une particularité: il donnait toujours de l'inédit. Aussi ne pensait-on pas à imprimer ce qui se débitait là. Mais après un certain temps, le nombre de mes chansons et de mes vers allant grossissant, on me persuada de les publier. Il fallait trouver un pseudonyme: je ne pouvais tout de même pas signer du même nom les ordonnances et les couplets. Sans penser longtemps, je pris le pseudonyme „Boy", qui devint rapidement plus populaire que j'aurais pu le supposer et que jamais je ne pus abandonner depuis. Je ne savais pas alors que ma carrière littéraire aura des suites: de là ce paradoxe que la propagande la plus chaleureuse de la littérature française devait se faire par la suite sous un nom de guerre anglais...

L'encre c'est comme la cocaïne; quand on l'a goûtée on y revient. Aussi sentis-je le besoin de noircir le papier au surplus de chansons qui m'obsédaient. J'étais tourmenté par la nostalgie que

Paris m'avait laissée au coeur. Ce qui me manquait autour de moi, c'était ce merveilleux sourire de la France, c'était sa sagesse aimable et profonde, c'était son souffle d'amour. Je ressentais vaguement le besoin de communiquer mon enthousiasme et de me recréer en même temps, dans mon cabinet de travail, une „France artificielle", quelque chose dans le genre du „soleil artificiel des montagnes" que la médecine nouvelle a mis à la mode. Je me mis à traduire. Je me rappelai les instants merveil leux dus à Balzac, et c'est par Balzac que je commençai. Puis je traduisis *Le Misanthrope*, pour voir au théâtre de Cracovie mon grand amour, la Célimène de Molière. Alors, avec Molière, ce fut une sorte de folie qui s'empara de moi. Je renvoyais les malades, quand ils avaient (rarement d'ailleurs) l'indélicatesse de m'incommoder, et je me prolongeai dans l'oeuvre de Molière. En moins de trois ans je traduisis tout, vers et prose, jusqu'à *Don Garcie de Navarre*, jusqu'à *La Coupole du Val-de-Grâce*, ce qui prouve qu'un grand amour peut mener à des perversités. La vie m'était devenue délicieuse. Quand j'eus fini tout Molière, je poussai un „ouf!" en pensant que jamais je ne pourrai plus entreprendre un travail de longue haleine: j'étais essouflé. Pour me délasser, je m'amusai à traduire les jolies et si innocentes au fond *Dames galantes* de Brantôme; je le fis en vieille langue polonaise; comme notre langue au XVI-e siècle était très sévère, très chaste, cela produisit des effets encore plus cocasses que l'original français. Ah, mesdames, messieurs, cela fit un joli scandale, il faut le dire! mais un scandale que je bénissais, car il aida beaucoup au succès de mon Molière.

Puis, par contraste, je fus tenté par *Les Liaisons dangereuses* de Choderlos de Laclos et leur langue cérémonieuse, sobre, „brûlante à la façon de la glace", comme en a dit le poète. Mais aussi Brantôme m'amena à Rabelais. Oh! ce fut de nouveau un paroxysme de bonheur! Je vous assure, qui n'a pas traduit Rabelais, ne sait pas ce que c'est le plaisir de vivre. Je riais aux éclats, tout en inventant le vocabulaire polonais pour rendre dans toute leur saveur ces énormes farces de génie.

Je le traduisis complet, en cinq volumes, pour lesquels je trouvais un éditeur, en le persuadant, que c'était „quelque chose dans le genre de Brantôme". Il fallait bien employer de ces trucs innocents. Nous finissions justement d'imprimer le dernier volume, quand éclata la grande guerre mondiale. Mon éditeur en fut très contrarié, il me faisait de durs reproches. Nous finîmes notre Rabelais, mais le moment n'était vraiment pas bon pour le lancer: l'éditeur l'a descendu dans une cave, la place était assez bien choisie.

Mais bientôt on m'enrôla, comme médecin-major, plus que jamais „médecin malgré lui", dans l'armée autrichienne; on me donna d'abord une casquette, puis un sabre, à la fin tout un uniforme. Heureusement, on m'oublia dans la forteresse de Cracovie, car Cracovie était – paraît-il – une forteresse.

Au premier moment il semblait que c'en est fait de toute la vie „civile", la soldatesque étrangère envahissait tout. On ne voyait à Cracovie que les uniformes d'une foule de nationalités, qui s'entendaient entre elles tant bien que mal en allemand.

Ces premières semaines m'ont forcément détourné de mes travaux, ou plutôt de mes plaisirs. Mais bientôt ma vieille nostalgie me reprit avec une force redoublée. Écorchant l'allemand au cours de mes fonctions de la journée, improvisant dans cette langue mes rapports médico-militaires, j'employais à mes travaux préférés tout le temps possible. Sous le tas de paperasses il y avait toujours sur mon bureau un petit volume français que je cachais à la façon des écoliers, quand j'entendais de loin la voix hargneuse de mon chef. Pendant que les Allemands se battaient contre les Russes sous les murs mêmes de Cracovie, je me plongeai avec délices dans la traduction des *Essais* de Montaigne. Je traduisis Descartes dans ma petite chambre de service aux sons de la musique qui jouait la marche d'adieu aux régiments partant pour le front d'Italie, et je dois dire que ce rythme allègre allait assez bien à la pensée triomphale de Descartes. Je traduisis

Le Grand Testament de Villon en quelques semaines d'automne, dans une horrible baraque, humide et sombre, qui me servait alors de logement, où les souris se promenaient sur mon lit, tandis que la pluie battait désespérément le toit. C'était vraiment un cadre bien choisi pour vivre soi-même et faire revivre *Le Grand Testament* de Villon.

Mais écrire n'était rien: la grande affaire d'alors, c'était d'imprimer, d'éditer. Trouver, en 1915 ou en 1916, à Cracovie, situé alors parfois à quelques kilomètres du front – non pas un éditeur, mais un imprimeur qui consentît d'imprimer, à crédit naturellement, les cinq grand volumes de mon Montaigne, c'était, sans me vanter, un chef-d'oeuvre d'éloquence et de diplomatie digne de l'illustre Gaudissart. C'est en 1916 que parurent à Cracovie *Les Essais* de Montaigne, et – fait remarquable – ils obtinrent un très grand succès: cette divine sagesse faisait du bien à des gens excédés par cette guerre, à laquelle on ne voyait alors aucune fin. Le Montaigne polonais fut beaucoup lu dans les tranchées.

D'un autre côté, il faut dire, que les livres que je publiais alors se trouvaient dans d'assez bonnes conditions de librairie. Rien ne paraissait presque, et comme le livre du dehors n'arrivait pas, le marché était presque vide. Alors le grand public prenait comme nouveauté – et vraiment c'en était une pour lui – du Diderot, du Voltaire, du Marivaux, de Mlle de Lespinasse, du Rousseau, du Gautier, du Balzac surtout. Et, une fois cette littérature inoculée au public, elle y restat.

Donc, je publiais pendant toute la guerre en moyenne un volume de mes traductions par mois. Pour arriver à mon but qui était de faire vivre ces oeuvres d'époques si éloignées et si différentes, il fallait se faire leur „conférencier", il fallait les présenter au public, en les replaçant dans leur milieu; bref, il fallait m'improviser un peu historien de la littérature. Le temps de guerre se prêtait à des métiers improvisés: ce qui me donna courage. Je me plongeai dans la critique française que j'avais tant admirée dès ma jeunesse; je tâchai aussi de dégager mes impressions personnelles.

Car vraiment je puis le dire, il n'y a peut-être pas de rapports plus intimes que ceux qui se forment entre l'écrivain et son traducteur. C'est à son traducteur que l'auteur dévoile tout, jusqu'à ses faiblesses; c'est le traducteur qui peut le mieux distinguer le titre du métal précieux contenu dans chaque page. C'est lui qui, par son métier, entre dans le mécanisme le plus secret de la création, là où se cache peut-être le mystère du génie: dans le style, dans le verbe. Et cette intimité devient une source de voluptés infinies. Vraiment, je suppose que la décomposition chimique de la phrase d'un écrivain de génie produit un certain ozone que l'on aspire, dont on se grise, et dont l'aspiration devient une habitude, presque un vice, un gouffre où l'on s'engloutit. On se crée tout un sérail de styles, combien différents les uns des autres, combien amusants dans leur variété. La phrase savamment sèche de Mérimée auprès de la phrase congestionnée de génie de Balzac; la phrase sublime de dégout et d'amour de Pascal, et la phrase éprise d'elle-même de Chateaubriand, et la phrase de Stendhal et de Musset et de tant d'autres... Chacune a son visage, son toucher, sa caresse berçante, piquante ou brutale. Je vous assure que c'est une débauche. Et, après ce travail d'analyse instinctive, le travail de reconstruction: le plaisir de couler le mystère de cette phrase dans le moule de notre propre langue. Une des choses les plus curieuses, ce sont les relations. de deux langues différentes. Ainsi la langue polonaise et la langue française se rencontrent surtout deux fois: la première fois au XVI-e siècle, la seconde fois a l'époque du Romantisme. Au XVI-e siècle nous buvions tous aux sources du latin; ainsi Montaigne, reproduit en polonais, nous semble presque aussi familier – génie à part – que nos anciens écrivains de cette époque. Rien de plus spécial au contraire que votre langue du XVIII-e siècle: cette langue parfois si alambiquée et si précise, si „cartésienne" même dans ses frivolités; il est plus facile de traduire tout Rabelais, que de bien rendre une seule page de Marivaux. Et puis, nous nous rencontrons de nouveau à l'époque du Romantisme: c'est le même souffle commun, la même

phrase ailée et émue qui résonne chez vas grands poètes comme chez les nôtres.

Ainsi je m'improvisai critique littéraire. Les préfaces dont je faisais précéder chaque traduction formèrent les quelques volumes de mes *Études sur la littérature française*, y compris un livre sur Molière.

Le total de ces traductions embrasse jusqu' aujourd' hui trente et quelques auteurs français et atteindra bientôt une centaine de volumes. Sur cet aveu je crains de voir quelqu' un de vous faire la moue et dire: „Mais c'est dégoûtant, ce n'est pas un homme, mais une machine à traduire." Ne le pensez pas, cela me tairait de la peine. Tout au contraire; je n'ai jamais fait une seule ligne par application, par assiduité. Toujours, pendant le travail, je sentais en moi comme le frémissement d'un rythme, comme qui dirait un chant; si je savais chanter, je vous chanterais ici la musique non seulement des *Femmes savantes* mais des *Provinciales* et de *Candide*...

La grande guerre finie, ayant ôté l'uniforme, j'abandonnai heureusement la médecine et je me donnai entièrement à la littérature. On me proposa... diverses choses une chaire a l'université et le feuilleton de théâtre. Je choisis, bien entendu, le feuilleton de théâtre, d'abord à Cracovie, puis à Varsovie. Je l'acceptai en plaisantant, presque par gageure, car jamais auparavant je ne m'étais beaucoup intéressé aux choses du théâtre. Mon premier feuilleton tomba heureusement sur le *Tartufe* de Molière. Et bientôt je m'aperçus, qu'avoir pesé et analysé chaque phrase et chaque scène de Molière, de Marivaux, de Beaumarchais et de Musset, cela permettait tout de même d'avoir quelques idées sur le théâtre. Et puis je m'aperçus aussi que c'est là, plus qu'autre part, que je pouvais rendre service à la cause qui m'était chère. C'est par le théâtre que notre grand public connaissait principalement, parfois exclusivement, la France; c'est là aussi que se trouvait la source de beaucoup de malentendus. Songez seulement: un jour on jouait au théâtre *Le Canard sauvage* ou *Les Revenants* et l'autre jour *La Dame de chez „Maxim"*: et l'on en tirait la conclusion que les Scandinaves étaient de beaucoup plus profonds que les Français...

En parlant de l'attitude du grand public et même de celle des lettrés vis à vis du théâtre français, j'avais dit qu'il y avait là quelques préjugés à combattre. On pouvait étendre cette thèse sur l'attitude du grand public vis à vis de toute la littérature française. J'en ai mentionné la cause principale: le manque de la connaissance de la langue. En analyser les autres causes, cela nous mènerait trop loin, il faudrait toucher peut-être à des choses politiques. Nous étions loin de vous, nous étions séparés de vous par un mur épais. Nous avons subi, par contrainte, des influences étrangères qui s'infiltraient par toutes les voies, par le voisinage, par l'école, par le livre, par les facilités mêmes qu'elles donnaient. Ces influences étaient très franchement contraires à l'esprit français, et elle répandirent beaucoup de préjugés d'autant plus dangereux qu'ils sont devenus inconscients. On était à la fin assez enclin à croire que morosité veut dire profondeur, que lourdeur veut dire méthode, et que manque d'esprit veut dire esprit sérieux.

Donc, peu à peu je devins une sorte d'éducateur, je devins moi-même presque un homme sérieux. Mais, croyez moi, ce n'était pas mon ambition. Plutôt je fuyais cette qualité désastreuse, je la „haïssais plus que peste", comme dit le bon Brantôme, d'ailleurs d'autre chose. J'avais le sentiment que le secret de ma réussite, c'était surtout la confiance que le public avait en moi, c'était sa croyance que je ne l'ennuirais jamais. Il serait même injuste de passer sous silence mon auxiliaire non pas le moins puissant peut-être: ma mauvaise réputation. Le fait, qu' à mes débuts, on m'avait classé comme corrompu, m'a aidé prodigieusement. Je ne combattis pas ce mythe; plutôt je le conservai comme un précieux fétiche. Même, je l'avoue, une fois je l'utilisai sciemment. Persuadé que pour bien comprendre la ligne du développement de la littérature française il faut absolument connaître le petit livre *Le Discours de la méthode* de Descartes et craignant de ne pas trouvez pour ce livre assez de lecteurs bénévoles, je pourvus cet opuscule en polonais de cette bande alléchante: „Pour adultes seulement", en expliquant loyalement dans ma

préface qu'en effet ce livre est seulement pour les adultes, étant pour la jeunesse de beaucoup trop difficile et trop sérieux. Mais l'effet en fut immédiat. Les potaches, les fillettes, les vieux marcheurs, tous entraient avec un air innocent dans la librairie et emportaient dans leur manchon ou sous le manteau leur Descartes; puis ils couraient à la maison, verrouillaient leur porte et se plongeaient dans le livre, pour voir quelle était cette méthode mystérieuse qu'ils ne connaissaient pas encore. Grâce à cela *Le Discours de la méthode* obtint en peu d'années quatre éditions en polonais, succès qui dépassa assurément les rêves de ce philosophe.

Ai-je besoin d'ajouter que mon travail n'est pas fini? Peut-être il n'est que commencé. Mon père a vécu 84 ans; j'espère vivre au moins autant: le plaisir conserve. En ce moment je continue mon édition complète de la *Comédie humaine*, j'en suis à la moitié. Longtemps j'ai résisté à cette folle idée de traduire tout Balzac, mais je n'ai pas pu: il m'empoigna, et Balzac était le plus fort. Toutefois, dernièrement je lui ai fait une petite infidélité: il y a quelques mois j'ai publié *L'Esprit des lois* de Montesquieu – c'est notre ministre de la justice lui-même qui a fait la correction des épreuves. C'est chic, n'est-ce pas?

Je reste tout confus après cet acte d'exhibition, pour lequel j'implore humblement votre indulgence. Il me tenait à coeur de vous persuader d'une chose: c'est que, si je me suis donné à la littérature française, je m'y suis donné non pas à la manière froide et méthodique d'un pion, mais comme il faut se donner à elle – avec amour, avec passion, avec joie. Et comment pourrait-il en être autrement? Comme vous avez pu le voir par cette confession, c'est à la France que je dois tant; c'est elle qui m'a élevé, éveillé, délivré, c'est elle qui a changé ma lamentable existence en un plaisir continuel, c'est elle qui m'a fait écrivain et homme. Aussi, malgré tout ce que je pourrais faire pour lui témoigner ma reconnaissance, je resterai toujours son débiteur.

PRZEKŁAD
MOJE WYZNANIA
PRZEMÓWIENIE WYGŁOSZONE 19 LUTEGO 1927 R. W WIELKIEJ AULI SORBONY

Panie ministrze, panie, panowie.

Znaleźć się tutaj, w Paryżu, w tym Paryżu, który tak wielbię od czasów młodości, znaleźć się w tej dostojnej auli Sorbony, w tej świetnej asyście i przed tą wyborową publicznością; dostąpić znakomitego zaszczytu, być przedmiotem gorącej owacji, mówić do publiczności francuskiej – wszystko to wydaje mi się doprawdy bardziej snem, marzeniem aniżeli rzeczywistością. Pojmiecie jeszcze lepiej moje uczucia, kiedy opowiem wam zwięźle o kilku etapach mojego życia – życia co prawda nader prostego, ale którego bieg, oglądany zwłaszcza wśród świateł tej sali, wydaje mi się w obecnym momencie nieco fantastyczny. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak wielką śmiałością jest wobec podobnego zgromadzenia puszczać wodze wynurzeniom osobistym; ale, tak czy inaczej, zrozumieć samego siebie i sprawić, by zrozumieli nas inni – to potrzeba wrodzona człowiekowi, to jedno ze źródeł literatury. A więc, panie i panowie, skoro raczyliście zainteresować się moją skromną osobą, a raczej ideą, którą ona przedstawia, skoro mamy zawrzeć znajomość, dostrzegam po temu jedyny środek: opowiedzieć wam po prostu o sobie, urządzić w waszej obecności jak gdyby *une heure avec*..., godzinkę z samym sobą.

Tym bardziej że moja pozycja literacka i osobista była zawsze w moim własnym kraju dość skomplikowana, by nie powiedzieć dwuznaczna. Przede wszystkim mam ten smutny przywilej, że poczytują mnie za rodzaj fenomenu, bo przetłumaczyłem, jak państwo wiecie, sto blisko tomów arcydzieł literatury francuskiej. Tak, to strona szacowna, rzekłbym, mojej osoby – jej strona „dekorowana". Kiedy mowa o mnie w naszych gazetach, używa się chętnie takich zwrotów, jak „zadanie przytłaczające", „praca niezmordowana" – a zwłaszcza „benedyktyńska". Boy i benedyktyn stali się niemal synonimami.

A jednak kiedy – minie od tej chwili niedługo prawie dwadzieścia lat – zadebiutowałem zbiorem piosenek, uznano je za bardzo śmiałe, a nawet frywolne, gdyż wykpiwały wiele rzeczy szacownych, które mnie wydawały się niezbyt godnymi szacunku. Kiedy następnie stałem się popularny – zanadto popularny – w moim kraju, jako poeta, uczyniono mi zaszczyt powiadając, że jestem zmysłowy i perwersyjny. Ale kiedy jako krytyk teatralny i jako felietonista muszę nieraz walczyć i wykłócać się, czynię to z werwą, która doprawdy nie ma nic benedyktyńskiego.

Lecz to nie koniec niespodziankom. Dla jednych jestem tłumaczem *Myśli* Pascala, dla innych – tłumaczem *Żywotów pań swowolnych* Brantôme'a. Z jednej strony proponowano mi katedrę literatury francuskiej na Uniwersytecie Poznańskim, z drugiej traktowano mnie jak gorszyciela młodzieży. I zauważcie na koniec, że za tym wszystkim ukrywała się dość długo jeszcze trzecia postać: Boy-lekarz, och! trudno tu trafniej powiedzieć: „lekarz mimo woli".

Bardzo to przykre nie mieć fizjonomii jednorodnej. Otóż – zdarzyło się pewnego dnia, że przyszła mi chęć rozeznać się jasno i dokładnie w samym sobie, odnaleźć to, co te różne osobistości mają ze sobą wspólnego. Najskuteczniejszą wydała mi się droga spowiedzi publicznej. I to nie spowiedzi na piśmie; o nie – spowiedzi mówionej. Spakowałem manatki i odbyłem podróż, z odczytami, po jakich pięćdziesięciu miastach polskich. Otóż tak się złożyło, że ta spowiedź dotyczyła pod każdym względem spraw francuskich; że to we Francji musiałem szukać utajonego sensu moich przemian – toteż w ogólności moja spowiedź stała się namiętnym hymnem na cześć Francji. Ale kiedy pozwoliłem sobie zrzucić ów habit benedyktyński, w który mnie przystrojono, niesposób mi było przeciągać mistyfikacji: musiałem pokazać, co kryje pod sobą ta surowa szata – a były to namiętność, miłość, uciechy i rozkosz.

Byłem pod urokiem myśli francuskiej, zanim właściwie ją poznałem; dźwięk języka francuskiego, widok książki francuskiej miały dla mnie – od dziecka – coś fascynującego. U nas w Polsce w wielu rodzinach dzieci wcześnie uczą się po francusku: nie tak wcześnie, niestety, jak Montaigne uczył się łaciny, ale w każdym razie dość wcześnie. Kiedy byłem w tym wieku, że nie potrzebowałem już bony, zaczął mnie uczyć francuskiego pewien sfrancuziały Kurlandczyk, z rodziny emigrantów, dawny żuaw, który służył Francji w Legii Cudzoziemskiej. Był to samotnik, mizantrop w guście Alcesta, żyjący pośród swoich książek, pośród swoich ukochanych klasyków francuskich. A ja byłem podówczas bardzo „moderne" – rzecz całkiem naturalna, gdy się ma trzynaście lat – toteż spieraliśmy się często. Mówiłem mu o Guy de Maupassancie, on zaś replikował Pascalem. Przekonałem się później, że miał rację. Gorzej, kiedy kazał mi recytować z pamięci opis groty Kalypso w *Telemachu*, domagając się, abym przyznał, że nie istnieje nic piękniejszego na świecie. Byłem wtedy pod urokiem wielu innych nimf. Rozkoszowałem się „powieścią z życia wyższych sfer", będącą właśnie u szczytu; faszerowałem się *Okrutnymi zagadkami*, *Kłamstwami*, *Naszym sercem*, *Sercem kobiety* etc. Trzynastoletni smarkacz – umazane ręce i podarte spodenki – w wyobraźni mieszkałem w wykwintnych garsonierach „światowców" i w marzeniach okrywałem pocałunkami gorące i smukłe ciała czarodziejskich „mężatek", które po godzinie rozkoszy wymykały się dyskretnie, zostawiając za sobą smugę perfum; zdaje się, że był to opoponax. Ach! Jak dobrze rozumiałem te „nie zrozumiane kobiety", jakżebym wtedy je kochał! Było to dla mnie niby haszysz, odkładałem książkę z wypiekami, z daremną czułością w duszy...

Wybaczcie te szczegóły, może zbędne, ale od czasów wielkiego patrona tych wszystkich, którzy się spowiadają, od czasów nieśmiertelnego Jana Jakuba, krótki opis niewinnych majaczeń wyobraźni dziecięcej stał się na spowiedzi niemal – by tak rzec – obowiązkowy.

Kiedy skończyłem gimnazjum, należało zastanowić się nad karierą. Byłem synem artysty, sławnego muzyka-kompozytora, Władysława Żeleńskiego. Wychowałem się w atmosferze artystycznej, a jednak – nie wiem, ki diabeł się tu wmieszał – w decydującym momencie obrałem medycynę. Był to jeszcze może ostatni pogłos epoki pozytywizmu, kiedy to wytworzył się przesąd, że każde studium, choćby trochę poważniejsze a dotyczące życia, winno rozpoczynać się od sekcji trupów. Jeśli idzie o stan umysłu, przypominałem wtedy mniej więcej słynnego Ucznia.

Uczęszczając dość niedbale na wykłady, miałem zawsze w kieszeni jakąś książkę francuską. Pasjonowała mnie wtedy krytyka francuska, uwielbiałem Jules Lemaître'a. Był to również okres rozkwitu Anatola France'a. Ach, panie i panowie, to *Czerwonej lilii* zawdzięczam moją pierwszą „kobietę światową": rozmowa, jaką przeprowadziła ze mną na temat tej książki, wydała jej się tak subtelna, iż

uczuła instynktownie, że może mi zaufać.

Lubiłem bywać w kołach młodych literatów krakowskich. Panował wtedy kult Skandynawów, pisarzy rosyjskich, Ibsena, Strindberga, Dostojewskiego, Nietzschego, Oskara Wilde'a, etc. My, Polacy, mamy wielką, piękną i oryginalną literaturę, ale w okresie mojej młodości pochłanialiśmy w ogromnych ilościach literaturę obcą. Otóż w ówczesnych kołach literackich nie zawsze darzono Francję zbyt wielką sympatią. Zapamiętałem z tych czasów – jako przykład – pewną anegdotę, której wspomnienie bardzo mnie nieraz bawi. Jednego dnia, z grubą książką pod pachą, wstąpiłem do wielkiego pisarza Przybyszewskiego, który, choć byłem młody, zaszczycał mnie przyjaźnią. Widząc moją książkę, zapytuje, co to takiego – jak zawsze ciekaw książek. Były to *Dialogi filozoficzne* Renana. Kiedy pisarz je zobaczył, porwał go szalony śmiech; nie dość na tym: zawołał z sąsiedniego pokoju swoją kucharkę i nie panując nad sobą, z oczyma nabieglymi krwią od nerwowego śmiechu, powiedział wskazując moją książkę: „Spójrz, Kasiu, co ten pan czyta!" Kucharka, nieco histeryczka, zaraziła się, nic nie rozumiejąc, wesołością pana i zaczęła również wić się ze śmiechu; i tak przez kilka minut oboje natrząsali się z mojej nieszczęsnej lektury.

Ale choć czasem buntowano się przeciw racjonalistycznej stronie myśli francuskiej, poezja francuska zdobyła serca ówczesnej młodej generacji. Trzydzieści lat temu urzekł nas piękny przekład *Statku pijanego* Artura Rimbaud, dokonany przez poetę Miriama – upajano się tym wierszem, „wywrzaskując" go na całe gardło. Zachwycano się Verlaine'em, podawano sobie szeptem jego legendę; nasi młodzi poeci czytywali do poduszki *Kwiaty grzechu* Beaudelaire'a. Na zebraniach literackiej młodzieży, do której należałem, zebraniach obficie zakrapianych „spirytualiami", należało do rytuału, że wszyscy klękali razem recytując chóralnie *Litanię do Szatana* Beaudelaire'a, przełożoną akurat przez poetę Stanisława Brzozowskiego. Biliśmy się w pierś, niczym derwisze w ekstazie, wyjąc refren: „O Szatanie, zlituj się nad moją przewlekłą niedolą!" Czytano wiele Huysmansa; niejeden z naszych młodych dekadentów (jak ich podówczas nazywano) chętnie naśladowałby życie *à rebours* des Esseintesa, gdyby to było mniej kosztowne.

Ale skoro mówimy o pozycji umysłów Młodej Polski wobec literatury francuskiej, winniśmy oddzielić tych, którzy znali język, od tych, co go nie znali. Pierwsi byli duszą oddani Francji; poglądy drugich były raczej mętne. Zanikała u nas znajomość języka francuskiego; w miarę jak pojawiały się nowe warstwy demokratyczne, stawała się zbytkiem. W gimnazjum zadręczano nas greką; faszerowano nas językiem i literaturą niemiecką... Otóż ci, którzy nie znali francuskiego, byli jakby materialnie odseparowani od Francji, mogli bowiem wyrobić sobie o niej tylko bardzo słabe pojęcie – a zwłaszcza o jej literaturze. Gdyż – a paradoks to dość ciekawy – mieliśmy zawsze stosunkowo niewiele przekładów z francuskiego dlatego właśnie, że ów język był u nas od wieków rozpowszechniony. Na przykład nie mieliśmy nigdy tłumaczenia *Nowej Heloizy*. W okresie kiedy – jak głosi legenda – król Stanisław August wstąpiwszy na tron pisał do pani de Geoffrin: „Przyjeżdżaj, mamusiu, Twój syn jest królem...", nie potrzebowaliśmy tłumaczeń.

Tak samo pani Hańska nie czekała na tłumaczy, żeby się oświadczyć Balzakowi. Ciekawe, że w okresie największej sławy Balzaka, 1840–1880, nie mieliśmy jego tłumaczeń. Ale w następstwie, kiedy znajomość francuskiego poczęła zanikać, ów stan rzeczy stał się bardzo niebezpieczny dla promieniowania myśli francuskiej.

Zostałem więc doktorem medycyny. Wkrótce znalazłem się w Paryżu, gdzie miałem doskonalić się w sztuce lekarskiej.

Rzadko, bardzo rzadko zaglądałem do klinik – jak się zdaje – na wykłady pana Dieulafoy i pana Hayem. Uczułem bowiem zaraz, że znalazłszy się w Paryżu, w tym mieście jedynym, popełniłbym głupstwo tracąc czas na opukiwanie płuc i obmacywanie wątrób absolutnie takich samych jak wątroby i płuca, które pozostawiłem we własnym kraju. Posławszy więc do diabła szpitale i laboratoria, zacząłem się po prostu wałęsać, gdzie nogi poniosą.

Nie przychodzi mi do głowy nic takiego, z czym mógłbym porównać wrażenia, jakie dało mi to pierwsze spotkanie. Istnieje w tym mieście jak gdyby tajemniczy fluid, który wydzielają mury, ulice, tłum i powietrze. Wrażenie to jest tak silne, tak upajające, że u niejednego ten pierwszy kontakt z Paryżem wywołuje wstrząs nerwowy; to jakby ostry atak, po którym następuje prostracja. I ja też uległem owemu

atakowi „paryskiej neurastenii". Oszołomiony, zdenerwowany, niemal chory, zamknąłem się w studenckim pokoiku – hotelik na ulicy Bonapartego – a że zima była ostra, leżałem prawie cały czas w łóżku, wziąwszy abonament w czytelni. Trafiłem na jedną z książek Balzaka, autora dotąd właściwie mi nie znanego: były to przypadkiem *Stracone złudzenia*. Pochłonąłem kolejno całą *Komedię ludzką*. Wtedy dopiero, zaszczepiony przeciw Paryżowi, mogłem przechadzać się po ulicach. Lektura Balzaka w sercu nieznanego Paryża, lektura, której towarzyszyły odgłosy olbrzymiego miasta napływające z zewnątrz, wypełniła mi kilka tygodni, co minęły jakby we śnie. Wieczorem, kiedy trzeba było wyjść z pokoju, żeby coś zjeść, przebiegałem ulice żyjąc jeszcze w magicznym kręgu *Komedii ludzkiej*.

A potem bulwary nadsekwańskie! Poznałem, czym jest rozkosz owych przechadzek trwających godzinami, owych tęsknot, jakie wywołuje w nas najpiękniejszy pejzaż na świecie, kamienny pejzaż starego Paryża od Notre-Dame aż po Luwr; poznałem tę rozkosz szperając jednocześnie w skrzyneczkach z książkami, ustawionych wzdłuż bulwarów...

Po Balzaku przyszedł Diderot, którego *Kubuś Fatalista i jego pan* zaintrygował mnie zrazu na bulwarach swoim dziwacznym tytułem. Dzięki temu zwiedziłem wiek XVIII. I to tam, na bulwarach, przeszedłem w pewnym sensie kurs literatury francuskiej; jedyny zresztą, jaki przeszedłem. Pod szacownymi murami Sorbony i Collège de France wpadałem tylko w ekstazę, zafascynowany tajemniczą siłą kryjącą się za nimi. Ale nigdy nie przestąpiłem tych progów. Byłem nieśmiały, nie wiedziałem, którędy się wchodzi, a poza tym – co najważniejsze – przyjechałem do Paryża, by studiować medycynę.

Ale inna rzecz miała wywrzeć na mnie wpływ tak silny, że zmienił się bieg mojej kariery. Chcę powiedzieć o piosence, o piosence paryskiej. W tej piosence zadurzyłem się, nie zdając sobie z tego sprawy, już w pierwszych dniach spędzonych w Paryżu. Było to dla mnie coś egzotycznego: u nas się nie śpiewało. Spotykałem tę piosenkę po trosze wszędzie. Na ulicy przystawałem chętnie wśród ludzi otaczających wędrownego piosenkarza. Później, ku mojemu zdziwieniu, poznałem sklepiki z piosenkami, gdzie sprzedawano piosenki, jak bułki, i gdzie gramofon o wypróbowanej cierpliwości uczył publiczność aktualnych piosenek. Słuchałem z przyjemnością, jak śpiewały dziewczęta, które poznałem na Bal Bullier. Ale prawdziwe źródła paryskiej piosenki były mi nie znane. Oczywiście, echa znakomitych sukcesów „Chat-Noir" dotarły aż do Krakowa, ale mnie, młodemu dzikusowi, samotnemu, zagubionemu w tym olbrzymim Paryżu, oszołomionemu, ani postało w głowie, by dopytywać się o nie; a zresztą „Chat-Noir" już nie istniał.

Ale pewnego wieczora kolega – ten to był paryżanin! – spotkany przypadkiem, zaprowadził mnie na pewną uliczkę, uliczkę Champolliona, zdaje się, nie opodal Sorbony, do nocnej kawiarenki zwanej „Grillon", którą przerobiono później na „Noctambules". I tam to za franka – w tym piwo albo kawa – usłyszałem Paul Delmeta, Marcela Legay, Gabriela Montoyę, Numę Blesa, Vincenta Hyspę i innych dobrych piosenkarzy Montmartre'u. Byłem olśniony, oczarowany; wydało mi się, że zasłona spada mi z oczu, że po raz pierwszy ujrzałem świat tak, jak widzieć go trzeba – świat odbity w tej piosence tak uroczej i rozmaitej. Dziś jeszcze umiałbym powtórzyć niemal z pamięci te piosenki, które usłyszałem owego pierwszego wieczora. Proste i jakież prześliczne melodie, które Delmet, bardzo już wtedy bliski przedwczesnej śmierci, śpiewał chrypliwym głosem suchotnika; następnie Montoya, który co wieczór, całe lata, gruchał falsetem swoją wdzięczną *Staroświecką piosenkę*, podobny do wielkiego ptaka nawołującego rozpaczliwie samicę; i inni, którzy dowcipem i werwą chłostali wielkich i małych, nadając aktualności więcej rytmu i więcej sensu. Och! Urocza paryska piosenka – ona to naprawdę dokończyła mojej edukacji; i ta nostalgia, jaką pozostawiła mi w sercu, wpłynęła później decydująco na moje życie.

Wszystko to było bardzo piękne. Na razie jednak rezultat był taki, że wszystkie wieczory spędzałem w kabaretach i że wałęsałem się po ulicach, nucąc piosenki usłyszane poprzedniego dnia i wyrzucając sobie surowo, iż zaniedbuję moje rzemiosło lekarskie.

Wreszcie po kilku miesiącach tej egzystencji trzeba było wracać do kraju. Wracałem również do szpitali. Moim mistrzom, którzy wypytywali mnie o nowe metody w medycynie francuskiej, udzielałem odpowiedzi raczej dyplomatycznych. Tak to pchałem lepiej lub gorzej moją medycynę, żyjąc – była to moja rozkosz i mój odwet – w świecie bohemy artystycznej Krakowa.

Te lata mojej młodości upływały akurat w nadzwyczaj bujnym okresie życia krakowskiego i w jednym z najpłodniejszych okresów życia artystycznego Polski. Nowe soki wzbierały w Krakowie, w owym

zakątku Polski, gdzie oddychano z większą swobodą niż gdzie indziej. Była to odnowa teatru, malarstwa – Akademia roiła się od utalentowanej młodzieży, i odnowa literatury: okres ten ujęto później ogólnym mianem Młodej Polski. Ta obfitość talentów uczyniła ówczesny Kraków najosobliwszym może miastem, jakie kiedykolwiek istniało; stolicę intelektualną wielkiego kraju zaszczepiono w mieście, któremu z innych względów daleko było do stolicy; w mieście stosunkowo małym i którego środki materialne nie były w żadnej proporcji do odgrywanej przez nie roli. W wyniku więc element intelektualny i artystyczny nie znajdował przeciwwagi w finansach, przemyśle etc. Artyści urządzali tam życie, jak im się podobało, nie troszcząc się o mieszczuchów, lecz i nie budząc w nich sprzeciwu. Dzięki również temu wszystkiemu nagromadziło się wtedy w artystycznym klanie Krakowa wiele fantazji, wiele owego humoru cechującego każde pokolenie artystów, który jednak w smutnych warunkach naszego życia narodowego nie zdołał nigdy znaleźć wyrazu na forum publicznym. Tu, w najbliższym sąsiedztwie Akademii Sztuk Pięknych, znajdowała się kawiarenka, gdzie zbierali się malarze, rzeźbiarze i cała młoda bohema krakowska. Wkrótce ściany pokryły się szkicami, karykaturami – a stąd był już tylko krok od pomysłu, by stworzyć kabaret artystyczny.

Tak zrodził się „Zielony Balonik", kabaret w stylu „Chat-Noir", gdzie zgrupowała się większość tych, którzy dziś kierują życiem artystycznym Polski, a wtedy dusili się w zbyt przepełnionym i zbyt ciasnym Krakowie. Był to fajerwerk szalonej wesołości, hałaśliwy śmiech, który odbił się echem po całej Polsce; była to „komisja rewizyjna", nieraz okrutna wobec wielu oficjalnych kłamstw i wielu fałszywych wielkości, które zbyt już długo znajdowały schronienie w labiryntach naszego życia narodowego, skomplikowanego i pełnego utrapień. Tam to, porwany wesołością unoszącą się w powietrzu, a zresztą i nurtowany wspomnieniami paryskimi, zadebiutowałem pewną piosenką; po niej nastąpiła inna i wkrótce, nie wiedząc niemal jak i kiedy, stałem się głównym filarem „Zielonego Balonika".

Ów kabaret krakowski miał pewną właściwość: dawał zawsze utwory nigdzie nie publikowane. Nikt więc nie myślał, by drukować to, co tam wystawiano. Ale kiedy po pewnym czasie liczba moich piosenek i wierszy wzrosła poważnie, przekonano mnie, że należałoby je opublikować. Trzeba było znaleźć pseudonim: nie mogłem mimo wszystko podpisywać tym samym nazwiskiem recept i kupletów. Nie namyślając się długo obrałem pseudonim „Boy", który stał się szybko bardziej popularny, niż mógłbym przypuszczać, i z którym nigdy już odtąd nie zdołałem się rozstać. Nie wiedziałem wtedy, że moja kariera literacka będzie miała następstwa; stąd ów paradoks, że najgorętsza propaganda literatury francuskiej musiała dokonywać się pod pseudonimem angielskim...

Atrament jest jak kokaina; kto raz go pokosztuje, ten do niego powraca. Toteż nie tylko już piosenki brzęczały mi w uszach: czułem potrzebę zaczerniania papieru. Dręczyła mnie nostalgia, którą Paryż pozostawił mi w sercu. Najbardziej brakowało mi cudownego uśmiechu Francji, jej miłej i głębokiej mądrości, jej przyjaznego tchnienia. Odczuwałem niejasno potrzebę, by przekazać komuś mój entuzjazm i by jednocześnie stworzyć dla siebie w moim gabinecie „sztuczną Francję", coś w rodzaju „sztucznego słońca górskiego", które nowoczesna medycyna wprowadziła w modę. Zacząłem więc tłumaczyć. Pamiętając, jak cudowne chwile zawdzięczałem Balzakowi, rozpocząłem od Balzaka. Następnie przełożyłem *Mizantropa*, aby ujrzeć w krakowskim teatrze moją wielką miłość – Molierowską Celimenę. I wtedy – nad Molierem – ogarnął mnie rodzaj szału. Odprawiałem pacjentów, kiedy przeszkadzali mi (rzadko zresztą) w swojej niedelikatności, i wzbogaciłem siebie samego o dzieło Moliera. W niespełna trzy lata przełożyłem wszystko, wiersz i prozę, aż do *Don Garcii z Navarry*, aż do *Kopuły Val de Grâce*: dowód, że wielka miłość może przywieść do perwersji. Życie stało mi się rozkoszą. Kiedy ukończyłem całego Moliera, odsapnąłem myśląc, że nigdy już nie zdołam przedsięwziąć pracy, która wymagałaby tak długiego oddechu: zadyszałem się. Aby odpocząć, zabawiłem się tłumaczeniem ślicznych i w gruncie rzeczy tak niewinnych *Żywotów pan swowolnych* Brantôme'a; przełożyłem je na język staropolski; a że nasz język szesnastowieczny był bardzo surowy, bardzo skromny, dało to efekty jeszcze pocieszniejsze niż efekty oryginału francuskiego. Ach, panie i panowie, wywołało to uroczy skandalik, powiedzieć trzeba! – ale błogosławiłem ten skandal, bo przyczynił się on niemało do powodzenia Moliera.

Potem, dla kontrastu, skusiły mnie *Niebezpieczne związki* Choderlos de Laclosa, skusił mnie ich język dystyngowany, oszczędny, „parzący jak lód" – jak mówi poeta. Ale Brantôme zawiódł mnie do Rabelais'ego. Och! Był to nowy paroksyzm szczęścia! Zapewniam was, że kto nie tłumaczył

Rabelais'ego, nie wie, co to rozkosz życia. Zaśmiewałem się jak szalony, wynajdując słownictwo polskie, które oddałoby owe nieprawdopodobne koncepty geniusza w całym ich smaku.

Przełożyłem w całości pięć tomów, dla których znalazłem wydawcę, przekonując go, że to „coś w guście Brantôme'a". Musiałem uciekać się do niewinnych podstępów. Kończyliśmy akurat druk ostatniego tomu, gdy wybuchła wielka wojna światowa. Ogromnie zirytowało to mojego wydawcę: robił mi cierpkie wyrzuty. Ukończyliśmy naszego Rabelais'ego, lecz moment nie był doprawdy stosowny, by rzucić go na rynek; wydawca schował nakład do piwnicy, miejsce było niezgorzej wybrane.

Wkrótce jednak wzięto mnie do wojska jako lekarza sztabowego – i byłem w armii austriackiej bardziej niż kiedykolwiek „lekarzem mimo woli"; dano mi najpierw kaszkiet, potem szablę, a w końcu i cały mundur. Na szczęście, zapomniano mnie w forcie krakowskim, gdyż Kraków był podobno fortecą.

Wydawało się w pierwszej chwili, że nastał kres życia „cywilnego": obce żołdactwo wdzierało się wszędzie. Widziano w Krakowie tylko mundury mnóstwa narodów, które porozumiewały się ze sobą lepszą lub gorszą niemczyzną.

Owe pierwsze tygodnie odwiodły mnie, rzecz jasna, od moich prac, a raczej moich rozkoszy. Ale wkrótce dawna nostalgia chwyciła mnie ze zdwojoną siłą. Kalecząc niemczyznę w czasie służby, improwizując w tym języku raporty lekarsko-wojskowe, poświęcałem na moją ulubioną pracę każdą chwilę, jaką udało mi się wyrwać. Pod kupą szpargałów leżał zawsze na moim biurku jakiś tomik francuski, który chowałem, jak to czynią sztubacy, gdy z daleka zabrzmiał kłótliwy głos mojego przełożonego. Kiedy Niemcy bili się z Rosjanami tuż pod murami Krakowa, tonąłem w rozkoszach, jakimi napawało mnie tłumaczenie *Prób* Montaigne'a. Tłumaczyłem Kartezjusza w pokoiku służbowym przy dźwiękach muzyki, która wygrywała marsza pożegnalnego dla oddziałów wyruszających na front włoski, i muszę powiedzieć, że ów skoczny rytm nieźle pasował do tryumfalnej myśli Kartezjusza. Przetłumaczyłem *Wielki testament* Villona w ciągu kilku jesiennych tygodni, w ohydnym baraku, wilgotnym i ciemnym, który służył mi wtedy za kwaterę, w baraku, gdzie myszy spacerowały po moim łóżku, a deszcz rozpaczliwie bębnił o dach. Była to doprawdy rama dobrze dobrana, by rozerwać się w życiu własnym i znów powołać do życia *Wielki testament* Villona.

Ale pisać – to drobiazg; największa trudność polegała wówczas na drukowaniu, na wydawaniu. Znaleźć w roku 1915 czy 1916 w Krakowie, do którego linia frontu zbliżała się nieraz o parę kilometrów – nie wydawcę, ale drukarza, co zgodziłby się wydrukować, oczywiście na kredyt, pięć grubych tomów mojego Montaigne'a, było, nie chwaląc się, arcydziełem elokwencji i dyplomacji, godnym znakomitego Gaudissarta. To w roku 1916 ukazały się w Krakowie *Próby* Montaigne'a, i – fakt godzien uwagi – zyskały wielkie powodzenie: ta boska mądrość działała dobroczynnie na ludzi steranych wojną, której końca nikt jeszcze wtedy nie dostrzegał. Polski Montaigne był ogromnie czytywany w okopach.

Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że książki, które podówczas publikowałem, znalazły się w niezłych warunkach księgarskich. Nic się prawie nie ukazywało, a że nie przychodziły książki z zagranicy, rynek był niemal pusty. A więc ogół kupował jako nowość – i rzeczywiście było to dla niego nowością – Diderota, Woltera, Marivaux, pannę de Lespinasse, Rousseau, Gautiera, a zwłaszcza Balzaka. I literatura ta – raz publiczności zaszczepiona – przyjmowała się już.

Publikowałem tedy przez całą wojnę średnio jeden tom przekładów miesięcznie. Aby osiągnąć cel, to znaczy tchnąć życie w dzieła epok tak odległych i tak różnych, musiałem wygłaszać o tych książkach odczyty, musiałem przedstawiać je publiczności, umiejscawiać je w ich środowisku; krótko mówiąc, musiałem udawać po trosze historyka literatury. Czas wojny sprzyjał takim improwizowanym zawodom: dodawało mi to odwagi. Pogrążyłem się w krytyce francuskiej, którą tak podziwiałem za młodu; starałem się też dawać wyraz moim wrażeniom osobistym. Bo doprawdy, powiedzieć to mogę, nie ma związków bardziej osobistych niż te, jakie wytwarzają się między pisarzem a jego tłumaczem. Autor odsłania przed tłumaczem wszystko – aż do swoich słabości; to tłumacz umie najlepiej oznaczyć próbę szlachetnego metalu zawartego na każdej stronicy. On to dzięki swojemu rzemiosłu wnika w najsekretniejszy mechanizm twórczości, wnika tam, gdzie kryje się może tajemnica geniuszu: w styl, w słowo. I ta zażyłość staje się źródłem nieskończonych rozkoszy. Doprawdy, przypuszczam, że przy rozkładzie chemicznym zdań pisarza genialnego wydziela się jakby ozon, który wdychamy, którym upajamy się, i wdychanie to wchodzi w zwyczaj, niemal w nałóg; to otchłań, w którą zapadamy. Tworzymy sobie cały

seraj stylów, jakże różnych, jakże w swojej rozmaitości zabawnych. Uczenie suchy okres Merimeego przy nabrzmiałym od krwistego geniuszu okresie Balzaka; zdanie Pascala pełne szlachetnego niesmaku i miłości – i zdanie Chateaubrianda rozkochane w sobie; a zdanie Stendhala, Musseta i tylu innych... Każde ma swoje oblicze, swój rodzaj dotyku, swoją pieszczotę – kołyszącą, lekko drażniącą albo brutalną. Zapewniam was, że to rozpusta. I po tej pracy, polegającej na instynktownej analizie, praca polegająca na rekonstrukcji: rozkosz z jaką przelewamy tajemnicę owego zdania w formę naszego języka. Jedna z najciekawszych rzeczy – to związki dwóch różnych języków. Tak to język polski i francuski spotykają się szczególnie dwa razy: po raz pierwszy w XVI wieku, a po raz wtóry w dobie romantyzmu. W XVI wieku piliśmy wszyscy u źródła łaciny; toteż Montaigne, odtworzony po polsku, wydaje nam się niemal taki bliski – nie mówię tu o geniuszu – jak nasi dawni pisarze z owej epoki. Przeciwnie zaś, nic bardziej specyficznego niż wasz język osiemnastowieczny: to język nieraz tak wyrafinowany i tak dokładny, że aż „kartezjański" – nawet w błahostkach; łatwiej przetłumaczyć całego Rabelais'ego niż oddać trafnie jedną stronę Marivaux. A potem spotykamy się znów w okresie romantyzmu: to samo wspólne tchnienie, to samo zdanie uskrzydlone i pełne wzruszenia rozbrzmiewa zarówno u waszych wielkich poetów, jak i u naszych.

Tak to improwizowałem moją krytykę literacką. Przedmowy, którymi poprzedzałem każdy przekład, stworzyły kilka tomów moich *Studiów o literaturze francuskiej* – w tym książka o Molierze.

Całość owych tłumaczeń obejmuje do dziś trzydziestu kilku autorów francuskich i dosięgnie wkrótce setki tomów. Lękam się, aby ktoś z was nie skrzywił się na to wyznanie i nie powiedział: „Ależ to niesmaczne! to nie człowiek, ale maszyna do tłumaczenia." Nie myślcie tak, sprawiłoby mi to przykrość. Wręcz przeciwnie: nigdy nie napisałem ani jednej linijki z obowiązku, dla pilności. Zawsze podczas pracy czułem w sobie jakby rytmiczne drżenie, powiedziałbyś – śpiew; gdybym umiał śpiewać, zanuciłbym tutaj nie tylko melodię *Uczonych białogłów*, ale *Prowincjałek* i *Kandyda*...

Po wielkiej wojnie zdjąłem mundur i rzuciłem szczęśliwie medycynę, aby bez reszty poświęcić się literaturze. Proponowano mi... przeróżne rzeczy: katedrę uniwersytecką i felieton teatralny. Oczywiście wybrałem felieton teatralny, z początku w Krakowie, a potem w Warszawie. Przyjąłem go żartując, niemal dla zakładu, bo nigdy przedtem nie interesowałem się zbytnio sprawami teatru. Szczęśliwym trafem mój pierwszy felieton był o *Świętoszku* Moliera. Zorientowałem się wkrótce, że kto zważył i zanalizował każde zdanie i każdą scenę u Moliera, Marivaux, Beaumarchais'go i Musseta, może wyrobić sobie mimo wszystko niejakie pojęcie o teatrze. A następnie zorientowałem się również, że tam, bardziej niż gdzie indziej, mogę wyświadczać usługi drogiej mi sprawie. Bo nasza publiczność znała Francję, na ogół biorąc, a czasem wyłącznie, dzięki teatrowi; tam również znajdowało się źródło wielu nieporozumień. Pomyślcie tylko: jednego dnia grano w teatrze *Dziką kaczkę* albo *Upiory*, a następnego *Damę od „Maksyma"*; a publiczność wyciągała wniosek, że Skandynawowie są o wiele głębsi niż Francuzi...

Mówiąc o stosunku naszej publiczności, a nawet literatów do teatru francuskiego wspomniałem, że był tam jakiś przesąd do zwalczenia. Można by rozszerzyć nową tezę na stosunek naszej publiczności do całej literatury francuskiej. Wymieniłem już główną przyczynę: nieznajomość języka. Analiza innych przyczyn zawiodłaby nas zbyt daleko: trzeba by może dotknąć spraw politycznych. Byliśmy daleko od was, dzielił nas gruby mur. Ulegliśmy pod przymusem obcym wpływom, które przenikały wszelkimi drogami: sąsiedztwo, szkoła, książki, a nawet ułatwienia, jakie dawały. Wpływy te były całkiem przeciwne duchowi francuskiemu i rozpowszechniły wiele przesądów, tym niebezpieczniejszych, że w końcu nie zdawaliśmy sobie z nich sprawy. Byliśmy wreszcie skłonni uwierzyć, że kto ponury – ten głęboki, że tępota to metoda i że brak dowcipu cechuje umysły poważne.

A więc stałem się po trochu kimś w rodzaju wychowawcy, stałem się – ja sam – człowiekiem niemal poważnym. Ale, wierzcie mi, nie było to moją ambicją. Uciekałem raczej od tego przymiotu, „nienawidziłem go gorzej zarazy", jak powiada zacny Brantôme – o innej zresztą rzeczy. Czułem, że tajemnicą mojego powodzenia jest ufność, jaką czytelnicy pokładają we mnie, wiara, że nigdy ich nie znudzę. Byłoby nawet czymś niesprawiedliwym pominąć milczeniem nie najmniej chyba potężnego z moich pomocników: moją złą reputację. Fakt, iż już od początku zaliczono mnie do ludzi zepsutych, pomógł mi cudownie. Nie zwalczałem tego mitu; pielęgnowałem go raczej niby szacowny fetysz. A

nawet, przyznam się, raz jeden spożytkowałem go świadomie. Przekonany, że kto chce dobrze zrozumieć linię rozwoju literatury francuskiej, musi absolutnie poznać książeczkę Kartezjusza *Rozprawa o metodzie*, lękałem się jednak, iż nie znajdę dla niej zbyt wielu czytelników; opatrzyłem więc przekład polski tego dziełka opaską: „Tylko dla dorosłych", wyjaśniwszy z całą lojalnością w przedmowie, że istotnie jest to książka tylko dla dorosłych, jako za trudna i za poważna dla młodzieży. Efekt był natychmiastowy. Sztubacy, pensjonarki, starzy wyjadacze – wszystko to wchodziło z niewinną miną do księgarni, by wynieść Kartezjusza w rękawie lub pod paltem; pędzili do domu, zamykali się na klucz i pogrążali się w owej książeczce, by zaznajomić się z tą tajemniczą metodą, nie znaną im dotąd. Dzięki temu *Rozprawo o metodzie* osiągnęła w kilka lat cztery polskie wydania – sukces, o jakim na pewno nie śniło się naszemu filozofowi.

Czy powinienem dodać, że praca moja nie jest zakończona? Może dopiero ją zacząłem. Mój ojciec żył osiemdziesiąt cztery lata; spodziewam się, że przeżyję co najmniej tyle: rozkosz konserwuje. Obecnie pracuję nadal nad pełnym wydaniem *Komedii ludzkiej*; jestem już w połowie. Długo opierałem się szalonemu pomysłowi, by przetłumaczyć całego Balzaka, a jednak uległem: chwycił mnie ten pomysł – i Balzak okazał się silniejszy. Lecz ostatnio dopuściłem się w stosunku do niego drobnej niewierności: przed paroma miesiącami opublikowałem *O duchu praw* Monteskiusza; a nasz minister sprawiedliwości robił – we własnej osobie – korektę. Elegancki facet, prawda?

Obnażyłem się przed wami i – mocno tym stropiony – proszę pokornie o pobłażliwość. Leżało mi na sercu, aby przekonać was o jednym: że jeśli oddałem się literaturze francuskiej, nie oddałem się na zimno i metodycznie jak belfer, ale tak, jak trzeba jej się oddawać – z miłością, namiętnie i radośnie. Bo i jakże mógłbym inaczej? Jak mogliście przekonać się z tej spowiedzi, zawdzięczam Francji mnóstwo: ona to wychowała mnie, zbudziła i wyzwoliła, ona to zmieniła moją żałosną egzystencję w ustawiczną rozkosz, ona to zrobiła ze mnie pisarza i człowieka. Toteż, nie bacząc na wszystko, co mógłbym jeszcze zrobić, aby okazać jej wdzięczność, pozostanę na zawsze jej dłużnikiem.

Przełożył Julian Rogoziński

PRZYPISY

«WYCHOWAWCA NARODU» PRZY ROBOCIE

Z felietonu p. Wysz. i p. Charkiewicza w „Słowie" wileńskim dowiedziałem się o nieprawdopodobnym wystąpieniu prof. Lutosławskiego na odczycie w Wilnie. Komentując ten odczyt, p. Wysz. przytacza następujący ustęp z przemówienia prof. Lutosławskiego:

„Wprawdzie ogłosiłem w pismach, że odpowiem dzisiaj recenzentom mojej ostatniej książki *Jeden łatwy żywot*, ale ci słuchacze, których to moje ogłoszenie ściągnęło, będą srodze zawiedzeni... Nie mam zamiaru odpowiadać tym osłom i świniom. Przenigdy."

P. Charkiewicz zaś streszcza pretensje prof. Lutosławskiego do mnie w następujący sposób:

„Dr Boy-Żeleński zaraz po ukazaniu się książki w druku zwrócił się do prof. Lutosławskiego z prośbą o egzemplarz recenzyjny, a gdy otrzymał, nie tylko napisał niepoważną recenzję, ale bezczelnie skłamał (znowu określenie profesora), że autor prosił go o recenzję, i zmylił ośmieszającą autora rozmowę."

Na to mogę nadmienić tyle. O ile przytoczona przeze mnie w artykule pt. *Uroczy znachor* („Wiadomości Literackie") rozmowa ściśle odpowiadała prawdzie, o tyle każde słowo prof. Lutosławskiego mija się z prawdą w sposób niepojęty. O egzemplarz recenzyjny nie zwracałem się do nikogo, ponieważ ani o pobycie prof. Lutosławskiego w Warszawie, ani o jego książce nie wiedziałem i w ogóle byłem o sto mil od interesowania się wówczas jego osobą. Książkę *Jeden łatwy żywot* otrzymałem na tydzień czy dwa przed jej pojawieniem się w księgarniach, we własnym moim mieszkaniu, z rąk prof. Lutosławskiego i z jego inicjatywy. Zapowiedziawszy swoją wizytę telefonicznie i podawszy jako jej powód chęć porozmawiania ze mną o Przybyszewskim i o Lawrensie, prof. Lutosławski – z którym przedtem nigdy nie pozostawałem nawet w najdalszych stosunkach – był u mnie w ciągu kilku dni trzy razy. Raz nie zastał mnie i rozmawiał pół godziny z moją żoną. Dwa razy zastawszy mnie spędził u mnie za każdym razem przeszło godzinę. Za drugą wizytą prof. Lutosławski był tak łaskaw, iż spożył porcję truskawek, które, poznawszy już jego pamiętnik i dowiedziawszy się z niego, że p. Lutosławski jest miłośnikiem owoców, dla niego przygotowałem. W trakcie pierwszej wizyty oznajmił mi, że niebawem wyjdą jego pamiętniki, których egzemplarz równocześnie mi wręczył, zachęcając do napisania o nich w „Wiadomościach Literackich" i zapewniając, że dla książki byłoby to bardzo korzystne. Skarżył się na ciężką dlań umowę z wydawcą, wedle której prof. Lutosławski (jak mówił) ma otrzymać honorarium autorskie dopiero po sprzedaży całego nakładu. Współczułem z nim i przyznawałem, że istotnie warunki są bardzo ciężkie. Zachęcając mnie do napisania o jego książce, prof. Lutosławski parę razy powtarzał: „Może pan pisać, co pan chce, ja się o nic nie obrażam." Tytuł *Uroczy znachor* poddałem, półżartem, jego aprobacie. Było to już w przedpokoju. W czasie rozmowy, nie taiłem mego żartobliwie sceptycznego stosunku do jego „wychowawczej" misji; zdjąłem nawet z półki tom *Słówek*, aby pokazać prof. Lutosławskiemu wierszyk poświęcony jego dawnej krakowskiej Eleuterii; odpowiedział mi, że zna ten wierszyk.

Pod wrażeniem odwiedzin prof. Lutosławskiego, opowiadałem o nich bezpośrednio potem kilku znajomym. Urywek rozmowy z prof. Lutosławskim podałem na wstępie mojej recenzji, tak jak się odbyła, z pominięciem paru szczegółów, które przytaczam dziś.

Toteż grubiański, oszczerczy i kłamliwy wybryk szanownego profesora przejąłby mnie zdumieniem, gdybym po licznych „kampaniach”, jakich wciąż jestem przedmiotem, był jeszcze zdolny czemukolwiek się dziwić w tej mierze.